

MARY DORIA RUSSELL

DZIECI BOGA

CYKL *EMILIO SANDOZ*

TOM 2

Tłumaczył Andrzej Polkowski

Dla Kate Sweeney i Jennifer Tucker

hermanas de mi alma

PROLOG

Oblany potem i udręczony mdłościami, ojciec Emilio Sandoz siedział na skraju łóżka, z głową ukrytą w tym, co pozostało z jego dłoni.

Wiele rzeczy okazało się nie do zniesienia. Na przykład szaleństwo. Albo śmierć. Jak to się dzieje, że ja wciąż żyję, zastanawiał się, nie tyle z filozoficznej ciekawości, ile głęboko poirytowany swoją fizyczną żywotnością i zwykłym brakiem szczęścia, który spowodował, że wciąż jeszcze oddychał, choć pragnął jedynie śmierci.

– Coś powinienem stracić – szepnął do siebie, samotny w ciemności nocy. – Albo umysł, albo duszę...

Wstał i zaczął się przechadzać, ukrywwszy okaleczone ręce pod pachami, by nie urazić palców. Dręczony koszmarami w ciemności, zapalił łokciem światło, żeby widzieć przed sobą realne przedmioty: łóżko, zmiętą i mokrą od potu pościel, drewniane krzesło, małą, prostą komódkę. Pięć kroków naprzód, obrót, pięć kroków z powrotem. Prawie tyle, co w celi na Rakhacie...

Ktoś zapukał do drzwi i Sandoz usłyszał cichy głos brata Edwarda Behra, którego sypialnia znajdowała się w pobliżu i którego zawsze budziły te nocne spacery.

– Nic ojcu nie jest?

Czy nic mi nie jest? Jezu! Jestem przerażony, okaleczony, straciłem wszystkich, których kochałem...

Stojący za drzwiami brat Edward Behr usłyszał tylko:

– Nic mi nie jest, Ed. Po prostu nie mogę zasnąć. Wszystko w porządku.

Brat Edward westchnął, nie zaskoczony tą odpowiedzią. Już prawie od roku opiekował się Emiliem Sandozem w dzień i w nocy. Troszczył się o jego udręczone ciało, modlił się za niego, obserwując z przerażeniem mękę, z jaką Sandoz usiłował wydobyć się ze stanu krańcowej rozpacz i odzyskać kruchy szacunek do samego siebie. Tak więc i teraz, kiedy szedł korytarzem, by sprawdzić, co się dzieje z jego podopiecznym, spodziewał się tej łagodnej odpowiedzi na swoje bezsensowne pytanie.

– To jeszcze nie koniec – ostrzegł go kilka dni temu, kiedy Sandoz wypowiedział wreszcie to, co wydawało się niemożliwe do wypowiedzenia. – Z czegoś takiego nie wychodzi się od razu.

Emilio musiał się z tym zgodzić.

Wróciwszy do swojej sypialni, brat Edward ułożył wyżej poduszkę i wśliznął się pod prześcieradła, nasłuchując monotonnych kroków. Tak, pomyślał, nie wystarczy poznać prawdę.

Trzeba jeszcze nauczyć się z nią żyć.

W pokoju znajdującym się tuż pod sypialnią Sandoza ojciec generała Towarzystwa Jezusowego również usłyszał nagły, zduszony krzyk, oznajmiający nadejście demona, który władał nocami Emilia. W przeciwieństwie do brata Edwarda, Vincenzo Giuliani nie wstawał już, by spieszyc z pomocą Sandozowi, ale dobrze pamiętał jego twarz w takim momencie, twarz człowieka ogarniętego dziką trwogą, starającego się za wszelką cenę odzyskać panowanie nad sobą.

Vincenzo Giuliani, prowadząc przez wiele miesięcy dochodzenie w sprawie przyczyn niepowodzenia pierwszej jezuickiej misji na Rakhat, był pewny, że gdyby tylko udało się nakłonić Emilia Sandoza do opowiedzenia, co wydarzyło się na owej dalekiej planecie, problem zostałby rozwiązany i Emilio odzyskałby spokój. Ojciec generał był administratorem, ale był też kapłanem. Wierzył, że takie wyznanie jest niezbędne – dla Towarzystwa Jezusowego i dla samego Sandoza – aby stawić czoło faktom. I tak, stosując nacisk bezpośredni i pośredni, łagodny i brutalny, sam i przy pomocy innych, doprowadził wreszcie Emilia Sandoza do krytycznego momentu, w którym prawda mogła go wyzwolić.

Przez cały czas Sandoz utrudniał im zbliżenie go do tego momentu: żaden kapłan, bez względu na to, w jak głębokiej pograżony rozpacz, nie chce nikogo zgorszyć. Vincenzo Giuliani był jednak przekonany, że potrafi przeanalizować i naprawić błąd, zrozumieć przyczynę klęski i wybaczyć, usłyszeć wyznanie winy i rozgrzeszyć.

Nie był jednak przygotowany na niewinność.

„Wiecie, o czym pomyślałem tuż przed tym, jak zostałem wykorzystany po raz pierwszy? Że jestem w rękach Boga”, powiedział Emilio owego złotego, sierpniowego popołudnia, kiedy jego opór został wreszcie przełamany. „Kochałem Boga i zawierzyłem Jego miłości. Zadziwiające, prawda? Pozbyłem się woli, wyrzekłem się wszelkiej obrony. Nie pozostało nic pomiędzy mną a tym, co miało się stać. Nic, prócz miłości Boga. I zostałem zgwałcony. Byłem nagi przed Bogiem i zostałem zgwałcony”.

Dlaczego tak łatwo myśleć źle o innych? Co sprawia, że czynimy to z taką ochotą?

Zawiedziony idealizm? Sami sobie sprawiamy zawód, a potem rozglądamy się wokoło, szukając podobnych przypadków, żeby się upewnić: nie tylko ja.

Emilio Sandoz nie był człowiekiem bez grzechu; przeciwnie, czuł się bardzo winny, a jednak... Powiedział im: „Bo jeśli to Bóg wiódł mnie, krok po kroku, bym Go pokochał, jeśli przyjmę, że prawdziwe było to piękno, prawdziwy ten zachwyt, to i cała reszta jest wolą Boga, a to, moi panowie, rodzi straszliwą gorycz. Ale jeśli jestem tylko oszukaną małpą, która zbyt poważnie potraktowała mnóstwo starych baśni, to ja sam sprowadziłem to wszystko na siebie i na moich towarzyszy. Biorąc pod uwagę te okoliczności, dochodzę do wniosku, że problem ateizmu polega na tym, że mogę oskarżać tylko samego siebie. Gdybym jednak zechciał uwierzyć, że Bóg jest niegodziwy, to pozostawałoby mi na pociechę nienawidzić Boga”.

Jeśli Sandoz został oszukany, myślał Vincenzo Giuliani, wsłuchując się w monotonne kroki nad sobą, to co można powiedzieć o mnie? A jeśli nie, to kim właściwie jest Bóg?

1

NEAPOL

wrzesień 2060

Celestina Giuliani poznała słowo „oszczerstwo” na chrzcie swojej kuzynki. Z całej uroczystości zapamiętała głównie to słowo – i mężczyznę, który płakał.

Podobał jej się kościół, podobały śpiewy, ale niemowlę ubrano w jej sukienkę, a z tym już trudno było się pogodzić. Nikt nie pytał Celestiny o pozwolenie, a uczono ją, że niczego nie wolno brać bez pytania. Mama wyjaśniła jej, że wszystkie dzieci z rodziny Giulianiach mają na sobie tę sukienkę podczas chrztu i pokazała jej rąbek, na którym wyhaftowane było imię Celestiny.

– Widzisz, *cara*? Tu jest twoje imię, a tutaj imię twojego tatusia i cioci Carmelli, i twoich kuzynów, Roberta, Anamarii, Stefana. Teraz kolej na tego nowego dzidziusia.

Celestinę nie bardzo to przekonało. Nadąsana, uznała, że ten dzieciak wygląda jak dziadzia w ślubnej sukni.

Znudzona ceremonią, zwiesiła głowę i zaczęła kołysać rękami, obserwując falowanie swojej spódniczki. Co jakiś czas zerknęła na mężczyznę z dziwnymi urządzeniami przy rękach, który stał samotnie w kącie kaplicy. „To ksiądz, tak jak kuzyn dziadka Giulianiego, don Vincenzo”, wyjaśniła jej mama, zanim ruszyli do kościoła. „Był bardzo długo chory i jego ręce są jeszcze niesprawne, więc ma takie urządzenia, żeby łatwiej poruszać palcami. Nie gap się tak, *carissima*, to nieładnie”.

Celestina przestała się przyglądać, ale co jakiś czas zerknęła na niego z zaciekawieniem.

W przeciwieństwie do wszystkich obecnych, mężczyzna nie był wpatrzony w niemowlę, a raz, gdy akurat na niego zerknęła, spojrzął na nią. Te dziwne urządzenia wyglądały przerażająco, ale on sam nie sprawiał takiego wrażenia. Większość dorosłych śmieje się twarzą, ale ich oczy mówią: „Idź i pobaw się!” Natomiast ten człowiek miał na pewno roześmiane oczy.

Niemowlę wierciło się i płakało, aż wreszcie Celestina poczuła coś nieprzyjemnego.

– Mamo! – zawołała przerażona. – Ten dzidzius...

– Ciiicho, *cara!* – szepnęła dość głośno matka, a wszyscy dorośli roześmiali się, nawet don Vincenzo, który miał na sobie długą czarną suknię, tak jak ów mężczyzna z protezami, i oblewał wodą główkę niemowlęcia.

Kiedy wszystko się skończyło, wyszli z ciemnego kościoła na słońce.

– Ale... mamo, ten dzidzius zrobił kupkę! – upierała się Celestina, kiedy czekali na auto u stóp schodów. – Narobił w moją sukienkę! Wszystko zabrudził!

– Celestino – upomniła ją łagodnie matka – ty też kiedyś to robiłaś! Dzidzius ma pieluszki. Ty też je nosiłaś, pamiętasz?

Celestina otworzyła szeroko buzię. Wszyscy dorośli wybuchnęli śmiechem. Wszyscy prócz tego z protezami, który stał tuż przy niej. Pochylił się, a na jego twarzy malowało się takie samo oburzenie jak na jej buzi.

– To oszczerstwo! – krzyknęła, powtarzając to, co do niej szepnęła.

– Potworna kalumnia! – potwierdził z oburzeniem, prostując się, a jeśli nawet Celestina nie zrozumiała żadnego z tych słów, wiedziała, że ma w nim sprzymierzeńca.

Później wszyscy poszli do domu cici Carmelli. Celestina jadła biszkoptowe ciasto, namówiła wujka Paola, żeby ją pobujał na huśtawce, piła też wodę z bąbelkami, co było dla niej wielkim przeżyciem, bo zwykle jej na to nie pozwalano, mówiąc, że od tego robią się słabe kości. Nie chciała bawić się z kuzynami, bo wszyscy byli od niej starsi, a Anamaria zawsze była mamusią, więc Celestina musiała być dzieckiem, co było nudne. Kiedy zaczęła tańczyć pośrodku kuchni, babcia powiedziała jej, że jest śliczna, a mama, żeby poszła sobie obejrzeć świnki morskie.

Zaczęła marudzić, więc mama zaprowadziła ją do sypialni i położyła do łóżka. Przez chwilę siedziała przy niej, nucąc kołysankę. Celestina prawie już spała, kiedy matka wyciągnęła chustkę i głośno wydmuchała nos.

– Mamo, dlaczego tatuś dzisiaj nie przyszedł?

– Był zajęty, *cara* – odpowiedziała Gina Giuliani. – A teraz już śpij.

Obudziły ją głośne pożegnania: kuzynowie, ciocie, wujkowie, dziadkowie, babcie i przyjaciele rodziny wykrzykujący *ciao* i *buena fortuna* do niemowlęcia i jego rodziców.

Celestina wstała i skorzystała z toalety, co przypomniało jej o „oszczerstwie”, a potem wyszła na loggię, zastanawiając się, czy będzie mogła zabrać parę balonów do domu. Stefano wrzeszczał i płakał.

– Wiem, wiem – mówiła ciocia Carmella – było bardzo miło i trudno rozstać się ze wszystkimi, ale przyjęcie już się kończy.

Wujek Paolo tylko podniósł Stefana wysoko i uśmiechał się, nic nie mówiąc.

Żaden z dorosłych, zaaferowanych tym napadem złego humoru niemowlęcia, nie zauważył stojącej w drzwiach Celestiny. Jej matka pomagała cioci Carmelli zmywać naczynia w kuchni.

Dziadkowie byli na dziedzińcu, żegnając gości. Uwaga wszystkich pozostałych skupiona była na małym Stefano, który wrzeszczał i wierzgał nogami w ramionach ojca. Tylko Celestina zauważyła zmianę w twarzy don Vincenza. A zdarzyło się to tuż po tym, kiedy spojrzała na mężczyznę z protezami na rękach i zobaczyła, że on płacze.

Celestina widziała już, jak płacze jej matka, ale nie wiedziała, że mężczyźni też płaczą.

Przestraszyła się, ponieważ było to bardzo dziwne, ponieważ była głodna, ponieważ polubiła tego człowieka, który stanął po jej stronie, i ponieważ nie płakał tak, jak wszyscy, których знаła.

Ten człowiek płakał z otwartymi oczami; łzy spływały po jego nieruchomej twarzy.

Usłyszała trzask drzwi samochodowych, a potem szmer opon na żwirze. W tym momencie matka spojrzała na nią sponad stołu. Uśmiech zamarł na twarzy Giny, kiedy jej wzrok powędrował za spojrzeniem córki. Patrząc na dwóch kapłanów, powiedziała coś cicho do szwagierki. Carmella zebrała stos talerzy i idąc do kuchni, podeszła do don Vincenza.

– Sypialnia jest na końcu korytarza – powiedziała. – Nikt nie będzie wam tam przeszkadzał.

Celestina odeszła na bok, kiedy don Vincenzo ujął płaczącego mężczyznę pod ramię i wprowadził do domu, kierując się ku pokojowi Carmelli.

– Tak właśnie było? – usłyszała głos don Vincenza, kiedy koło niej przechodzili. – Opierałeś się, a ich to bawiło?

Celestina poszła za nimi, szeleszcząc haftowanymi bufkami skarpetek. Drzwi sypialni nie były do końca zamknięte i zajrzała do środka. Mężczyzna z protezami siedział w fotelu w rogu pokoju. Don Vincenzo stał w pobliżu i w milczeniu patrzył przez okno na trawnik. To podłe, pomyślała Celestina. Don Vincenzo jest podły! Nie znosiła, kiedy nikt nie zwracał uwagi na jej płacz.

Mężczyzna zobaczył ją, kiedy weszła do sypialni, i wytarł twarz rękawem.

– O co chodzi? – zapytała, podchodząc bliżej. – Dlaczego płaczesz?

Don Vincenzo zamierzał coś odpowiedzieć, ale mężczyzna potrząsnął głową i rzekł:

– To nic, *cara*. Ja tylko coś sobie przypomniałem... coś złego, co kiedyś mi się przydarzyło.

– Co ci się stało?

– Pewni... ludzie skrzywdzili mnie. To było dawno temu – zapewnił ją, kiedy jej oczy zrobiły się okrągłe, bo pomyślała, że ci źli ludzie są wciąż w domu. – To było dawno, kiedy byłaś bardzo mała, ale ja wciąż to pamiętam.

– Czy ktoś cię pocałował?

– *Mi scuzi?* – Zamrugał, a don Vincenzo wyprostował się i zamarł.

– Żebyś poczuł się lepiej – wyjaśniła.

Mężczyzna uśmiechnął się łagodnie oczami.

– Nie, *cara*. Nikt mnie nie pocałował, żebym się poczuł lepiej.

– Mogę cię pocałować.

– Byłoby mi bardzo miło – odpowiedział z powagą. – Może poczuje się lepiej.

Wychyliła się i pocałowała go w policzek. Jej kuzyn Roberto, który miał dziewięć lat, twierdził, że całowanie to głupota, ale Celestina tak nie sądziła.

– To nowa sukienka – oświadczyła. – Poplamiła się czekoladą.

– Ale wciąż jest bardzo ładna. I ty też.

– Cece ma małe. Chcesz je zobaczyć? – Mężczyzna spojrział na don Vincenza, a ten wyjaśnił:

– Cece to świnka morska. Świnki morskie wciąż mają małe.

– Ach! *Si, cara*. Bardzo bym chciał je zobaczyć.

Wstał, a ona podeszła, aby wziąć go za rękę i poprowadzić, ale przypomniała sobie o jego protezach.

– Co ci się stało w ręce? – zapytała, ciągnąc go za rękaw.

– To był wypadek, *cara*. Nie przejmuj się. Tobie się to nie przydarzy.

– Czy to boli? – usłyszał Vincenzo Giuliani, kiedy dziewczynka prowadziła już Emilia Sandoza korytarzem.

– Czasami – odpowiedział Sandoz. – Dzisiaj nie.

Drzwi trzasnęły i ich głosy ucichły. Vincenzo Giuliani podszedł do okna, wsłuchując się w wieczorne brzęczenie cykad i obserwując Celestinę ciągnącą Emilia do zagrody ze świnkami morskimi. Koronkowe majteczki wystawały spod sukienki, kiedy przechyliła się nad drucianym ogrodzeniem, aby chwycić jedną z małych świnek i podać ją Sandozowi, który usiadł z uśmiechem na trawie. Czarnosrebrna grzywa włosów rozsypała się ponad wydatnymi indiańskimi kośćmi policzkowymi, kiedy podziwiał zwierzątko złożone przez Celestinę na jego podółku.

Czterech kapłanów musiało przez osiem miesięcy wywierać na Emilia Sandoza niesamowity nacisk, żeby go zmusić do ujawnienia tego, co Celestina wyciągnęła z niego w ciągu dwóch minut. Najwidoczniej czasami najlepiej się do tego nadaje czteroletnia dziewczynka, pomyślał ojciec generał z ironią.

Żałował, że nie widzi tego Edward Behr.

W tym czasie brat Edward był w swoim pokoju, w jezuickim domu rekolekcyjnym w pobliżu Neapolu, jakieś cztery kilometry od tego miejsca. Wciąż nie mógł się nadziwić, że ojciec generał wybrał chrzciny jako pretekst do wprowadzenia Emilia po raz pierwszy między ludzi.

– Ojciec chyba żartuje! – zawołał brat Edward, gdy się o tym dowiedział. – Chrzciny! Ojczyźnie generale, chrzciny to chyba ostatnia rzecz, jakiej Emilio Sandoz teraz potrzebuje!

– To rodzinna uroczystość, Ed. Bez prasy, bez żadnej pompy. Dobrze mu to zrobi! Jest już dość silny...

– Może fizycznie, ale emocjonalnie w ogóle nie jest do tego przygotowany. Potrzebuje czasu! – upierał się brat Edward. – Żeby się pozłościć. Żeby popłakać, pożałować! Ojciec generale, nie można przyspieszać...

– Podjedź przed wejście frontowe o dziesiątej, Edwardzie. Bardzo ci dziękuję – odpowiedział ojciec generał z łagodnym uśmiechem, kończąc sprawę.

Brat Edward zawiózł obu kapłanów do kościoła, po czym wrócił do domu rekolekcyjnego, gdzie przesiedział jak na szpilkach do trzeciej po południu. Wówczas uznał, że powinien już po nich wrócić. Trzeba mieć spory zapas czasu na kontrole bezpieczeństwa, powiedział sobie. Bez względu na to, czy kierowcą był ktoś dobrze ochronie znany, żaden samochód nie mógł się zbliżyć do majątku Giulianiego albo do samego domu rekolekcyjnego, nie podlegając skrupulatnym i wielokrotnym kontrolom śniadych, podejrzliwych ochroniarzy i ich wielkich, bystrych psów, wytresowanych do wykrywania materiałów wybuchowych i złej woli. Edward zaplanował więc czterdzieści pięć minut na podróż, która normalnie zajęłaby mu dziesięć minut.

I rzeczywiście – wzdłuż drogi biegnącej równolegle do morza był wielokrotnie zatrzymywany, przepytywany, obwąchiwany i sprawdzany. Kiedy przy bramie majątku po raz czwarty przestudiowano jego kartę identyfikacyjną i obejrzano podwozie za pomocą specjalnego lustra, uznał, że nie jest to czas zupełnie stracony. Z zachowania psów dowiedział się, na przykład, gdzie taki korpulentny mężczyzna jak on mógłby ukryć broń.

Mimo uzasadnionych wątpliwości co do uczciwości neapolitańskich krewnych ojca generała, dobrze było wiedzieć, że Emilio Sandoz jest tak skrupulatnie chroniony. W końcu pozwolono bratu Edwardowi wjechać na wewnętrzną drogę podjazdową wiodącą do największego z kilku budynków widocznych od bramy frontowej. Loggia przystrojona była kwiatami i balonami. Brat Edward nie dostrzegł nigdzie Emilia, ale po chwili od niewielkiej grupy ludzi odłączył ojciec generał w towarzystwie młodej blondynki. Pomachał Behrowi, a potem zawołał coś w kierunku domu.

Wkrótce pojawił się Emilio. Wyglądał na bardzo zmęczonego, ale trzymał się prosto – posępny amalgamat indiańskiej wytrzymałości i hiszpańskiej dumy. Przy jego boku kroczyła mała dziewczynka w wybrudzonej wizytowej sukience.

– Wiedziałem! – mruknął brat Edward ze złością. – Ma już dosyć!

Wziąwszy tak głęboki oddech, na jaki tylko pozwalała mu astma, brat Edward wygramolił się z samochodu i obszedł go, aby otworzyć drzwi ojcu generałowi i Sandozowi, podczas gdy Giuliani żegnał się z gospodynią i gośćmi. Mała dziewczynka coś powiedziała i brat Edward jęknął, widząc, że Emilio klęka, by ją uściskać. Pomimo, a raczej z powodu czułości tego pożegnania, brat Edward nie był zaskoczony cichą wymianą zdań między dwoma kapłanami, kiedy już szli do samochodu.

– ...jeśli zrobisz mi to jeszcze raz, ty skurczybyku. Do cholery, Ed, odwal się! – warknął Sandoz, wspinając się na tylne siedzenie. – Sam potrafię zamknąć drzwi.

– Tak jest, ojcze. Przepraszam, ojcze – odpowiedział brat Edward, wycofując się szybko na swoje miejsce przy kierownicy, ale i tak myślał swoje. Najważniejsze to robić co trzeba i mieć rację, pomyślał.

– Jezu, Vince! Dzieciaki i niemowlęta! – warknął Sandoz, kiedy ruszyli. – I to miało mi dobrze zrobić?

– I to ci dobrze zrobiło – odparł ojciec generał. – Emilio, trzymałeś się nieźle aż do końca...

– Koszmary to za mało? Próbujemy wywoływać widma z przeszłości?

– Sam powiedziałaś, że chcesz żyć samodzielnie – tłumaczył mu cierpliwie ojciec generał. – Takie rzeczy będą na porządku dziennym. Musisz się nauczyć, jak...

– A kim ty, do cholery, jesteś, żeby mi mówić, czego mam się nauczyć? Kurwa, jeśli to mi się zacznie robić na jawie, to...

Edward wzdygnął się na te słowa i spojrzał w lusterko, kiedy Sandozowi załamał się głos.

Płacz, pomyślał. To lepsze od bólu głowy. Nie duś tego w sobie, płacz. Lecz Sandoz umilkł i spoglądał przez okno, wściekły, ale nieskory do płaczu.

– Na świecie jest obecnie około sześciu miliardów ludzi poniżej piętnastu lat – oświadczył spokojnie ojciec generał. – Trudno ci będzie uniknąć spotkania z dziećmi. Jeśli nie jesteś w stanie temu sprostać w tak kontrolowanym środowisku jak dom Carmelli...

– *Quod erat demonstrandum* – przerwał mu Sandoz z goryczą.

– ...to może jednak powinieneś rozważyć możliwość pozostania wśród nas. Jako lingwista, jeśli niejako kapłan.

– Ty przebiegły, stary skurczybyku. – Sandoz roześmiał się: krótki, twardy dźwięk. – Zrobiłeś mi to umyślnie.

– Nie zostaje się generałem Towarzystwa Jezusowego, będąc tępyim skurczybykiem – odpowiedział łagodnie Vince Giuliani i ciągnął dalej z poważną twarzą: – Tępe skurczybyki stają się słynnymi lingwistami i dają dupy na innej planecie.

– Jesteś zazdrosny. Kiedy ostatnio dawałeś dupy?

Brat Edward skręcił w lewo na nadmorską drogę. Dobrze wiedział, że Emilio blefuje, ale stosunki łączące tych dwóch mężczyzn wprawiały go w zdumienie. Vincenzo Giuliani urodził się w bogatej i uprzywilejowanej rodzinie. Był historykiem i politykiem cieszącym się międzynarodowym uznaniem, a w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat wciąż miał sprawne ciało i umysł. Emilio Sandoz był nieślubnym dzieckiem Portorykanki, która miała romans, gdy jej mąż siedział w więzieniu za handlowanie tymi samymi substancjami, na których wzbogaciły się wcześniejsze pokolenia rodu Giulianich. Ci dwaj mężczyźni spotkali się ponad sześćdziesiąt lat temu w seminarium duchownym. A jednak Sandoz miał teraz zaledwie około czterdziestu sześciu lat. Jednym z wielu dziwacznych aspektów jego sytuacji było to, że spędził trzydzieści cztery lata, podróżując z szybkością znacznie zbliżoną do prędkości światła – do Alfy Centaura i z powrotem. Dla Sandoza minęło zaledwie sześć lat, odkąd opuścił Ziemię. Były to niewątpliwie trudne lata, ale nie sposób ich porównać z latami, jakie przeżył Vince Giuliani, jego przełożony, teraz starszy od Emilia o kilkadziesiąt lat i starszy rangą o dobre kilka poziomów jezuickiej struktury władzy.

– Emilio, proszę cię tylko, żebyś z nami pracował – powiedział Giuliani.

– Dobrze już, dobrze! – zawołał Emilio, zbyt zmęczony, by się sprzeczać. I o to niewątpliwie chodziło, pomyślał brat Edward, mrużąc oczy. – Ale, do cholery, na moich warunkach.

– Mianowicie?

– W pełni zintegrowany system analizy dźwięków połączony z komputerem centralnym. Sterowany głosem. – Brat Edward spostrzegł w lusterku, że Giuliani kiwnął głową. – Prywatne studio – ciągnął Emilio. – Nie mogę już używać klawiatury, a nie będę pracować, kiedy mogą mnie podsłuchać inni ludzie.

– Co jeszcze? – zapytał Giuliani zachęcającym tonem.

– Niech załadują do mojego systemu wszystkie rakhatańskie pieśni... wszystko, co wychwyciły radioteleskopy od 2019 roku. I wszystko, co załoga *Stelli Maris* przekazała radiem z Rakhatu. – Znowu zgoda. – Asystent. Mówiący od urodzenia językiem dene albo węgierskim. Albo baskijskim. I dodatkowo płynnie łąciną lub angielskim. Albo hiszpańskim. Obojętnie którym.

– Co jeszcze?

– Chcę żyć sam. Wstawcie mi łóżko do szopy z narzędziami. Albo do garażu. Obojętnie. Nie proszę o osobny dom, Vince. Po prostu chcę być sam. Żadnych dzieciaków, żadnych niemowląt.

– Co jeszcze?

– Publikacja. Wszystkiego. Wszystkiego, co wysłaliśmy na Ziemię.

– Z wyjątkiem lingwistyki – odpowiedział Giuliani. – Socjologia, biologia, tak. Lingwistyka, nie.

– W takim razie po co to wszystko? – krzyknął Emilio. – Po jaką cholere ja to robię?

Ojciec generał nawet na niego nie spojrział. Patrzył przez okno na archipelag Campano, obserwując, jak „rybackie” kutry *camorry* patrolują Zatokę Neapolitańską, wdzięczny za ich ochronę przed rekinami z mediów, którzy zrobiliby wszystko, by przeprowadzić wywiad z tym małym, przygarbionym człowiekiem siedzącym obok niego: kapłanem, męską dziwką i zabójcą dzieci, Emiliem Sandozem.

– Robisz to *ad maiorem Dei gloriam*, o ile mi wiadomo – odpowiedział niefrasobliwym tonem. – Jeśli większa chwała Boża nie jest już dla ciebie wystarczającym motywem, możesz uznać, że pracujesz na mieszkanie i utrzymanie, zapewniane ci gratis przez Towarzystwo Jezusowe, razem z całodobową ochroną, systemem analizy dźwięków i asystentem. Mechanizm twoich protez to nie błahostka, Emilio. To wszystko kosztowało nas ponad sześć milionów, licząc tylko rachunki szpitalne i obsługę medyczną. To są pieniądze, które wydaliśmy. Już ich nie mamy. Towarzystwo jest prawie bankrutem. Staralem się nie wtajemniczać cię w te sprawy, ale od czasu, jak wystąpiłeś, zrobiło się jeszcze gorzej.

– Więc dlaczego po prostu nie wykopiecie mojego tak kosztownego tyłka? Mówiłem ci od samego początku, Vince, możecie mnie policzyć na straty...

– Bzdura – warknął Giuliani, a Edward Behr napotkał jego spojrzenie w lusterku. – Jesteś dodatnią wartością po stronie naszych aktywów, którą zamierzam teraz skapitalizować.

– Cudownie! A co chcesz za mnie kupić?

– Przejazd komercyjnym pojazdem kosmicznym na Rakhat dla naszych czterech kapłanów mówiących biegle językami *K'san* i *ruanja* dzięki programom Sandoza i Mendes, które są wyłączną własnością Towarzystwa Jezusowego. – Vincenzo Giuliani spojrzął na Sandoza, który przymknął powieki, chroniąc oczy przed światłem. – Możesz odejść w każdej chwili, Emilio. Ale dopóki przebywasz wśród nas, na nasz koszt, pod naszą opieką...

– Towarzystwo ma monopol na dwa rakhatańskie języki. Chcecie, żebym wyszkolił tłumaczy.

– Których wykorzystamy w sprawach ekonomicznych, naukowych lub dyplomatycznych, dopóki będziemy mieć ten monopol. Pomoże to nam odzyskać straty poniesione przy organizacji pierwszej wyprawy na Rakhat i pozwoli na kontynuowanie pracy rozpoczętej przez waszą załogę, *requiescant in pace*. Bracie Edwardzie, proszę się zatrzymać.

Edward Behr zatrzymał samochód i sięgnął do skrytki po pojemnik ze strzykawką, sprawdziwszy wskaźnik dozowania, zanim wysiadł. Kiedy okrążył wóz, Giuliani klęczał już przy Sandozie na skraju drogi, podtrzymując go, gdy ten wymiotował w przydrożne chwasty.

Edward przycisnął dozownik do szyi Sandoza.

– Zadziała po paru minutach, ojcze.

Byli w polu widzenia dwóch uzbrojonych kamorzystów. Jeden z nich zbliżył się, ale Giuliani potrząsnął głową i mężczyzna wrócił na swój posterunek. Emilio zwymiotował ponownie, po czym wyprostował się, wyczerpany i rozczochrany, przyjmując oczy, bo migrena powodowała zaburzenia widzenia.

– Jak ona miała na imię, Vince?

– Celestina.

– Nie wróć tam. – Już prawie zasypiał. Lek, podawany dożylnie, niemal zawsze zwał go z nóg. Nikt nie wiedział dlaczego; jego stan fizjologiczny wciąż nie był normalny. – Boże – wymamrotał – nie rób mi tego znowu. Dzieciaki i niemowlęta. Nie rób mi tego więcej...

Brat Edward napotkał spojrzenie ojca generała.

– To była modlitwa – powiedział stanowczo kilka minut później.

– Tak – zgodził się Vincenzo Giuliani.

Teraz skinął na kamorzystów i cofnął się, kiedy jeden z nich wziął Sandoza na ręce jak dziecko i umieścił z powrotem w samochodzie.

– Tak – powtórzył. – Obawiam się, że to była modlitwa.

Brat Edward zatelefonował, żeby uprzedzić portiera o sytuacji. Kiedy wjechał na podjazd przed wielkim, kamiennym budynkiem, otoczonym bujnymi drzewami, i zaparkował przed frontowym wejściem, czekały już na nich nosze.

– Jeszcze za wcześnie – ostrzegał brat Edward, kiedy on i ojciec generał obserwowali, jak przenoszą Emilia do sypialni i układają w łóżku. – Jeszcze nie jest na to gotów. Za ostro go ojciec przyciska.

– Ja go przyciskam, a on się cofa. – Giuliani przyglądał dłońmi miejsce na głowie, gdzie powinny znajdować się włosy, których nie miał już od paru dziesiątków lat. – Kończy mi się czas, Ed. Powstrzymuję ich, jak mogę, ale chcę, żeby zabrali naszych ludzi. – Opuścił ręce i popatrzył na zachodnie wzgórze. – Nas samych nie stać już na drugą misję.

Brat Edward zacisnął wargi, potrząsnął głową i westchnął z lekkim świstem. Późnym latem astma zawsze bardziej mu dokuczała.

– To niedobry układ, ojczy generale.

Przez pewien czas Giuliani sprawiał wrażenie człowieka, który zapomniał, że nie jest sam. Potem wyprostował się, pełen chłodnej godności, i spojrzał na grubego mężczyznę, oddychającego z wysiłkiem tuż obok niego, w cętkowanym cieniu starożytnego oliwnego drzewa.

– Bracie Edwardzie – powiedział sucho i z naciskiem – jestem bratu wdzięczny za wyrażoną opinię.

Edward Behr, przywrócony do porządku, patrzył przez chwilę na odchodzącego Giulianiego, a potem wrócił do samochodu, by odprowadzić go do garażu. Kiedy to zrobił, wysiadł i z przyzwyczajenia zamknął drzwiczki na klucz, chociaż każdy, komu by się udało przedrzeć przez ochronę kamorry, byłby z pewnością zainteresowany Emiliem Sandozem, a nie starym samochodem, którego akumulator trzeba było ładować co noc.

Brat Edward stał już na podjeździe, spoglądając na okno sypialni, w którym właśnie zaciągnięto zasłonę, kiedy pojawił się jeden z kotów, mrużąc i ocierając się o jego nogi. Edward podziwiał piękno kotów, ale uważał je za stworzenia nieobliczalne.

– Idź sobie – mruknął, ale kot nie przestawał ocierać się o jego nogi, tak samo lekceważąc jego zdanie, jak ojciec generał.

Kilka minut później Vincenzo Giuliani wszedł do swojego gabinetu i choć zamknął za sobą drzwi z cichym, kontrolowanym trzaskiem, nie tyle usiadł, ile zwałił się na fotel. Złożywszy łokcie na wielkim, lśniącym blacie orzechowego biurka, wsparł czoło na dłoniach i zamknął oczy, nie chcąc patrzeć na swoje odbicie. Nawiązanie stosunków handlowych z Rakhatem jest nieuniknione, pomyślał. Carlo wyprawi się tam bez względu na to, czy mu w tym pomożemy, czy nie. A w ten sposób uzyskamy możliwość wywierania jakiegoś łagodnego wpływu...

Podniósł głowę i sięgnął po laptop. Otworzył go jednym krótkim ruchem dłoni i jeszcze raz przeczytał list, który próbował skończyć od trzech dni. Nagłówek brzmiał: „Wasza Świątobliwość”, ale ojciec generał nie pisał tylko do papieża. Ten list stanie się częścią historii pierwszego kontaktu ludzkości z inteligentnym gatunkiem istot kosmicznych.

„Dziękuję Waszej Świątobliwości za łaskawe zainteresowanie się zdrowiem i sytuacją Emilia Sandoza. W ciągu roku od powrotu z Rakhatu na Ziemię we wrześniu 2059 roku ojciec Sandoz wyleczył się ze szkorbutu i anemii, ale jest wciąż bardzo słaby i emocjonalnie niezrównoważony. Jak Wasza Świątobliwość wie z doniesień, które przeciekły w ciągu tego roku ze szpitala Salvator Mundi w Rzymie, na Rakhacie usunięto mu mięśnie pomiędzy kośćmi dłoni, podwajając długość palców i czyniąc je bezużytecznymi. Sam Sandoz nie rozumie do końca, dlaczego tak go okaleczono; w każdym razie nie miała to być forma tortury, choć z pewnością sprawiło mu to trudną do opisanego mękę. Uważa, że owa procedura miała uczynić z niego osobę zależną od niejakiego Supaariego VaGayjura albo, być może, do niego należąca.

Ojciec Sandoz został zaopatrzony w zewnętrzne protezy bioaktywne; pracował bardzo ciężko nad osiągnięciem ograniczonej sprawności manualnej i teraz jest już w stanie wykonać większość czynności związanych z zaspokajaniem swoich potrzeb”.

Już czas, by go odstawić od Eda Behra, postanowił Giuliani i zanotował w pamięci, że musi zmienić przydział bratu Edwardowi. Może wysłać go do tego nowego obozu dla uchodźców w Gambii? Można też wykorzystać jego doświadczenie w postępowaniu z ofiarami gwałtów zbiorowych... Ojciec generał wyprostował się, otrząsnął z tych rozmyślań i powrócił do listu.

„W opinii przełożonych misji to Emilio Sandoz przyczynił się głównie do pierwszych sukcesów w nawiązaniu kontaktu z inteligentnymi mieszkańcami Rakhatu. Jego niezwykle uzdolnienia lingwistyczne, a także jego zapał i cierpliwość bardzo pomogły pozostałym członkom załogi *Stelli Maris* w ich pracy badawczej, a dzięki swojemu osobistemu urowi zyskał sobie wielu przyjaciół wśród VaRakhatów. Co więcej, oczywisty urok jego duchowości podczas pierwszych lat działania misji na Rakhacie przyczynił się do nawrócenia przynajmniej jednego świeckiego członka wyprawy i wzbogacił wiarę innych kapłanów.

Mimo to ojciec Sandoz stał się obiektem złośliwych ataków publicznych z powodu jego rzekomego złego prowadzenia się na Rakhacie. Jak Wasza Świątobliwość wie, w trzy lata po starcie naszego statku kosmicznego Konsorcjum Kontakt wysłało na Rakhat swój własny statek *Magellan*. Cel tej wyprawy był czysto komercyjny. Skandale dobrze się sprzedają. Sensacyjne zarzuty wobec naszych ludzi (i wobec ojca Sandoza w szczególności) były na rękę Konsorcjum, więc ich ponure raporty, przesyłane z Rakhatu drogą radiową, zostały natychmiast sprzedane i rozpowszechnione po całym świecie. W rzeczywistości załoga *Magellana* niewiele wiedziała o Rakhacie, kiedy tam wylądowała, a istnieją powody, by sądzić, że została wprowadzona w błąd przez Supaarięgo VaGayjura. Późniejsze zaginięcie załogi *Magellana* sugeruje, że ona również padła ofiarą niemożności uniknięcia fatalnych błędów na Rakhacie.

Tak więc z osiemnastu ludzi wysłanych na Rakhat w obu wyprawach przeżył tylko Emilio Sandoz. Ojciec Sandoz współpracował z nami tak dalece, jak tylko mógł w ciągu trwających kilku miesięcy intensywnych przesłuchań, często za cenę głębokich psychicznych cierpień.

Dostarczę Waszej Świątobliwości komplet prac naukowych napisanych podczas misji *Stelli Maris* i innych dokumentów jej dotyczących, a także oryginalny zapis przesłuchań; tutaj przedstawiam tylko Waszej Świątobliwości pod rozważę krótkie podsumowanie najbardziej istotnych ustaleń dokonanych przez załogę i ujawnionych w trakcie przesłuchań ojca Sandoza.

1. Na Rakhacie istnieją dwa inteligentne gatunki.

Załoga *Stelli Maris* została początkowo uznana przez mieszkańców wioski Kashan za »zagraniczną« delegację handlową. Mieszkańcy wioski nazywali siebie »Runa«, co w ich języku znaczy po prostu »Lud«. Runowie są wielkimi, wegetariańskimi dwunogami z ogonami, które pomagają im utrzymywać równowagę – podobnie jest w przypadku kangurów; mają długie, ruchliwe uszy i zadziwiająco piękne oczy o dwóch tęczęwkach. Są pokojowo usposobieni, bardzo towarzyscy i żyją we wspólnocie. Ich dłonie mają po dwa kciuki. Są bardzo sprawni fizycznie, ale pod względem umysłowym, jak podejrzewali niektórzy członkowie naszej misji, trochę ograniczeni. Ze względu na kulturę materialną, która okazała się zbyt uboga i prosta, nie można łączyć ich z owymi potężnymi transmisjami wykrytymi przez ziemskie radioteleskopy w 2019 roku. Co więcej, muzyka działa na nich wyraźnie deprymująco, a jak wiemy, po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o istnieniu Rakhatu, wysłuchując przez radio przesyłanych stamtąd chorałów. Niektórzy Runowie okazali się jednak całkiem inteligentni i załoga *Stelli Maris* doszła do wniosku, że wioska Kashan leży na uboczu jakiejś rozwiniętej cywilizacji.

Ponieważ w Kashanie można było zebrać jeszcze wiele informacji, postanowiono zostać tam przez pewien czas.

Ku wielkiemu zaskoczeniu naszych ludzi okazało się, że Śpiewacy Rakhatu to rzeczywiście inny gatunek inteligentnych istot. Jana'atowie są pod względem fizycznym uderzająco podobni do Runów, ale jest to podobieństwo dość powierzchowne. Są mięsożercami, mają chwytny stopy i niedźwiedziowate ręce o trzech palcach zakończonych pazurami. Przez pierwsze dwa lata misji Jana'atów reprezentował tylko jeden osobnik: Supaari VaGayjur, kupiec z miasta Gayjur, który był pośrednikiem handlowym działającym w kilkunastu oddalonych wioskach Runów w południowym Inbromkarze, państwie, które zajmuje centralną część największego kontynentu Rakhatu.

Grupa jezuicka miała wszelkie powody, by sądzić, że Supaari nie ma złych zamiarów.

W wyniku jego interwencji ich stosunki z Runami bardzo się poprawiły, a dzięki jego cierpliwym wyjaśnieniom Sandoz poznał niezłe rakhatańską cywilizację. Zdrada zaufania, jakim obdarzał go Sandoz, pozostaje jedną z największych zagadek tej misji.

2. Ludzie wytwarzają narzędzia; Jana'atowie je hodują.

Runowie są rękami Jana'atów: ich rzemieślnikami, kupcami, służącymi, robotnikami, nawet członkami służb społecznych. Różnica statusu nie polega jednak tylko na różnicy klas, jak sądzili nasi ludzie. Runowie są po prostu udomowionymi zwierzętami – Jana'atowie hodują ich, tak jak my hodujemy psy.

Runowie nie rozmnażają się, jeśli ich dieta nie osiągnie pewnego optymalnego poziomu wzbogacenia, w którym przeżywają coś w rodzaju rui. Ten biologiczny fakt stał się podstawą rakhatańskiej ekonomiki. Runowie zdobywają prawo do posiadania dzieci, pracując dla Jana'atów. Kiedy dochód wspólnoty wioskowej osiągnie określoną wysokość, Jana'atowie dostarczają mieszkańcom wioski odpowiednio więcej kalorii, co pozwala na ich kontrolowaną rozrodczość bez ryzyka degradacji środowiska na skutek przeludnienia.

Główne wartości, na których opiera się jana'atańskie społeczeństwo, to umiejętne zarządzanie i stabilizacja. Trzymając się tych wartości, Jana'atowie ograniczają również własną rozrodczość, tak aby ich liczba nie przekraczała mniej więcej czterech procent populacji Runów.

Życiem społecznym, które ma wysoce ceremonialny charakter, rządzą ścisłe reguły dziedziczenia; tylko dwoje pierwszych dzieci ma prawo do zawarcia małżeństwa i rozmnażania się. Jeśli następne dzieci nie zechcą poddać się sterylizacji po osiągnięciu dojrzałości, mogą utrzymywać stosunki płciowe z konkubinami ruńskimi, ponieważ seks między oboma gatunkami nie prowadzi do zapłodnienia. Trzecie w kolejności narodzin dzieci Jana'atów po osiągnięciu dojrzałości stają się zwykle kucami, naukowcami lub prostytutkami. W tym kontekście warto zapamiętać, że Supaari VaGayjur był właśnie trzecim dzieckiem swoich rodziców.

Poza tym, co jest najbardziej szokujące, Jana'atowie hodują Runów nie tylko w celu posiadania siły roboczej, ale i na mięso. Za tę wiedzę zapłaciliśmy życiem naszych ludzi, Wasza Świątobliwość”.

To w tym miejscu Giuliani zatrzymał się poprzedniego wieczoru, wsłuchując się przez dłuższy czas w odgłos kroków Sandoza nad swoją głową. Pięć kroków, przerwa, pięć kroków, przerwa. Dopóki Emilio krążył po swoim pokoju, można było przynajmniej mieć pewność, żejeszcze nie dodał własnego życia do żniwa ofiar misji na Rakhat...

Giuliani westchnął i zaczął dalej pisać.

„3. Jana'atowie nie trzymają Runów w klatkach czy zagrodach dla bydła.

Kiedy para dorosłych Runów odchowa swoje potomstwo do wieku dojrzałości seksualnej, dobrowolnie oddaje się w ręce patroli jana'atańskich, które krążą po wioskach. Ponadplanowe potomstwo zostaje oddane na rzeź.

Wasza Świątobliwość musi zrozumieć, że nasi ludzie byli całkowicie nieświadomi charakteru stosunków łączących oba gatunki, kiedy napotkali taki patrol, który zaczął mordować dzieci YaKashanich. Sytuacja była złożona, o czym świadczy transkrypcja przesłuchań Sandoza, ale załoga *Stelli Maris* uznała ten incydent za niczym nie spowodowany atak na mieszkańców wioski. Najpierw Sofia Mendes, a potem reszta załogi, stawili opór patrolowi, płacąc za to własnym życiem. Był to akt czysto altruistycznej odwagi i męstwa, który Supaari VaGayjur określił jako podżeganie Runów do rebelii, a Konsorcjum Kontakt jako nierozważne i naganne wtrącanie się w rakhatańskie sprawy. Trzeba jednak dodać, że wielu Runów – zainspirowanych odwagą Sofii Mendes – poniosło wówczas śmierć, broniąc swoich dzieci”.

Ojciec generał odchylił się w fotelu. Teraz, pomyślał, czas na najgorsze.

„Masakrę w Kashanie przeżyło tylko dwóch członków misji, Emilio Sandoz i ojciec Marc Robichaux. Zostali oni zabrani przez jana’atański patrol jako więźniowie i przez wiele tygodni byli świadkami rzezi dokonywanych na bezbronnych Runach w różnych wioskach. Każdego ranka dawano im jedzenie, a Sandoz przez jakiś czas nie zdawał sobie sprawy, że było to mięso ruńskich dzieci. Domyślił się, ale nękał go głód, więc nadal jadł mięso. Jest to dla niego nadal źródło bolesnego wstydu i koszmarów.

Kiedy Supaari VaGayjur dowiedział się o ich uwięzieniu, wysledził miejsce ich pobytu i przekupił dowódcę patrolu, uzyskując w ten sposób władzę nad dwoma kapłanami. Już w domu Supaariego zapytano Sandoza, czy on i ojciec Robichaux chcą »przyjąć *hasta’akala*«. Sandoz był przekonany, że oznacza to przyjęcie gościnności i zgodził się. Ku jego przerażeniu zniszczono im ręce; Robichaux wykrwawił się na śmierć. Około ośmiu miesięcy później Supaari VaGayjur sprzedał Sandoza pewnemu jana’atańskiemu arystokracie, Hlavinowi Kithieriemu.

Mam nadzieję, że Wasza Świątobliwość nie jest w stanie wyobrazić sobie, z jaką brutalnością traktowano Sandoza w domu Kithieriego”.

Ojciec generał wzdrygnął się i wstał gwałtownie, odrywając się od tego, co napisał. „Czym jest kurwa, jeśli nie czymś, czyje ciało zostaje wydane na zniszczenie dla przyjemności innych?”, zapytał go kiedyś Emilio. „A ja jestem kurwą Boga i moje ciało zostało wydane na zniszczenie”. Przez jakiś czas Giuliani spacerował cicho po swoim gabinecie – pięć kroków, obrót, pięć kroków, obrót – dopóki nie zdał sobie sprawy, że nieświadomie powtarza rytm kroków, który przez tyle nocy dobiegał do niego z sypialni nad sufitem. Skończ to, rozkazał sobie w duchu i usiadł ponownie za biurkiem.

„Kilka miesięcy później, kiedy na orbicie Rakhatu pojawił się *Magellan*, przedstawiciele Konsorcjum Kontakt weszli na *Stellę Maris* i zapoznali się z raportami z pierwszych dwóch lat naszej misji. Po naszych ludziach nie było ani śladu; wszystko wskazywało, że już nie żyją.

Załoga *Magellana* wylądowała promem w pobliżu wioski Kashan, gdzie ich powitano z wrogością i lękiem, a więc zupełnie inaczej niż załogę *Stelli Maris*. Młoda Runka o imieniu Askama powiedziała im po angielsku, że Emilio Sandoz wciąż żyje i przebywa w mieście Gayjur, w domu Supaariego VaGayjura. Mając nadzieję, że dowiedzą się czegoś od Sandoza, grupa z *Magellana* udała się do tego miasta, prowadzona przez Askamę, która najwyraźniej była Sandozowi bardzo oddana.

Kiedy przybyli do Gayjuru, Supaari powiedział im, że Sandoz był do niedawna jego domownikiem, ale teraz mieszka gdzieś osobno. Supaari dał im także do zrozumienia, że w wyniku wmieszania się cudzoziemców w miejscowe sprawy wiele osób straciło życie. Mimo to okazał nowo przybyłym ludziom życzliwość i prowadził z nimi interesy, choć nigdy nie zdradził im, gdzie przebywa Sandoz.

Kilka tygodni później Askama sama odnalazła miejsce pobytu Sandoza i zaprowadziła do niego dowódców grupy. Odnaleźli go w seraju Hlavina Kithieriego; był nagi, miał na sobie tylko obrożę z drogimi kamieniami i perfumowane wstążki. Dostrzegli też na jego ciele krwawe ślady sodomii. Zgodnie z tym, co sam o sobie powiedział, znajdował się wówczas w stanie morderczej desperacji. Mając nadzieję, że zostawią go w spokoju albo zabiją, przysiągł sobie, że uśmierci pierwszą osobę, która wejdzie do jego klatki. Nie mógł przewidzieć, że osobą tą będzie Askama, dziecko Runów, które wychował i tak bardzo pokochał.

Kiedy Sandoz podniósł wzrok znad trupa Askamy i zobaczył wysokich rangą przedstawicieli Konsorcjum, roześmiał się. Sądzę, że właśnie to przekonało ich o jego zdeprawowaniu, a Supaari VaGayjur utwierdził ich w tym, mówiąc, że Sandozprostituował się dobrowolnie.

Teraz już wiem, że ów śmiech był objawem hysterii i rozpacz, ale oni byli świadkami morderstwa i w tych okolicznościach uwierzyli w najgorsze”.

Podobnie jak ja, pomyślał Giuliani, wstając ponownie i odchodząc od biurka.

To było od początku absurdalne – zakładać, że garstka ludzi będzie w stanie nie popełnić żadnego błędu, zwłaszcza za pierwszym razem. Nawet najbliżsi przyjaciele mogą czasem się nie zrozumieć. Do pierwszego kontaktu – z samej definicji – dochodzi w stanie całkowitej niewiedzy. Całkowity brak danych o ekologii, biologii, językach, kulturze i ekonomice Innych.

Na Rakhacie owa niewiedza doprowadziła do katastrofy.

Nie mogłeś wiedzieć, pomyślał Vincenzo Giuliani, słysząc własne kroki, ale pamiętając o krokach Emilia. To nie była twoja wina.

Powiedz to umarłym, odpowiedziałyby Emilio.

TRUCHA SAI, RAKHAT

2042 czasu ziemskiego

Sofia Mendes wiedziała od samego początku, że członkowie jezuickiej misji na Rakhat będą na tej planecie gatunkiem zagrożonym.

Załoga *Stelli Maris* składała się z ośmiu osób. Alan Pace zmarł kilka tygodni po wylądowaniu i pozostało ich siedmioro.

Ojciec D.W. Yarbrough, dowódca wyprawy, zachorował parę miesięcy później i już nie odzyskał zdrowia, choć przeżył w ciężkim stanie jeszcze osiemnaście miesięcy. Bez narzędzi badawczych i kolegów, z którymi mogłaby przekonsultować przypadek, doktor Anne Edwards nie była w stanie rozpoznać etiologii chorób, choć jej opieka niewątpliwie przedłużyła D.W. życie. Później została zabita razem z nim, a ich śmierć była potężnym ciosem dla małej grupki, która pozostała.

Na skutek błędu w obliczeniach ilości paliwa w promie po katastrofie samolotu rozpoznawczego pozostali członkowie grupy zostali uwięzieni na Rakhacie. I tym razem nie załamali się, przystosowując do życia na obcej planecie. W wiosce Kashan założyli ogród, źródło żywności, i włączyli się w miejscowy system ekonomiczny, dostarczając mieszkańcom egzotycznych towarów handlowych. VaKashani zaakceptowali ich do tego stopnia, że wiele rodzin nazywało ich krewniakami. Były też bardzo radosne wydarzenia, takie jak ślub Sofii z Jimmym Quinem czy informacja, że spodziewają się dziecka – tuż przed ostateczną katastrofą.

Podobnie jak wiele innych żydowskich dzieci, Sofia Mendes przywykła do koszmarów egipskich nadzorców, babilońskich, asyryjskich, rzymskich prześladowców, kozackich pogromów, inkwizytorów i esesmanów. Dziecięce lęki przewyciężała, wyobrażając sobie, że gdy sama spotka się z przemocą, nie podda się bez walki, a na cios odpowie ciosem. Kiedy patrol jana’atański przybył do Kashanu, spalił cudzoziemski ogród i zażądał, by VaKashani wydali swoje dzieci, a następnie zaczął je systematycznie mordować, Sofia nie wahała się ani chwilę.

– Jest nas wielu, ich tylko garstka! – zawołała do VaKashanich i przytuliła któreś z ruńskich niemowląt do swoich nabrzmiałych już piersi.

Powiedziała „nas” i w ten sposób związała swój los z losem Runów – tych *untermenschen* Rakhatu.

Jej gest powstrzymał falę mordy; jej upadek pod ciosami Jana’atów wzmocnił opór Runów.

A potem, straciwszy wiarę w zwycięstwo, ojcowie padli na własne dzieci, by osłonić je swymi ciałami; matki ściągnęły na siebie wściekłość Jana'atów, by ocalić resztę. Kiedy było już po wszystkim, ziemię pokrywały stopy zakrwawionych trupów; większość wkrótce oprawiono i poćwiartowano.

Po odejściu patrolu w wiosce zapanował chaos. Połączenie przerażenia z uniesieniem towarzyszącym pierwszej w życiu Runów próbie oporu sprawiło, że zgodne działanie okazało się niemożliwe. Zapomnieli o swojej podstawowej zasadzie strategii przetrwania: trzymać się razem, skupić się w wielki krąg w celu obrony, działać zgodnie. Niektórzy, bliscy paniki, wyszukiwali tych, którzy dzielili z nimi jakieś możliwe do określenia emocje, tworząc natychmiast niewielkie, mniej bezbronne grupki. Ci, którym wymordowano rodziny, przystroili się w poskręcane, pachnące wstążki, zbyt otępiali, by zareagować w inny sposób. Większość nie robiła nic, pocieszając się, że życie wkrótce potoczy się tak jak dawniej, skoro nie ma już tych wszystkich cudzoziemców prócz Sofii i nie ma nielegalnych dzieci. Przeważała opinia, że trzeba wydać Sofię w ręce urzędników jana'atańskich, aby wykazać, że Kashan znowu przestrzega prawa.

– Wydamy jedną, ocalimy wielu! – wołano.

– Ale Fia nie zrobiła nam krzywdy! To *djanada* nas skrzywdzili! – sprzeciwiła się dziewczynka o imieniu Djalao.

Djalao dopiero co osiągnęła dojrzałość i w normalnych warunkach nikt nie liczyłby się z jej zdaniem, ale teraz niektórzy spośród nich potrzebowali czyjegoś przywództwa.

– Ostrzeżcie tyle wiosek, ile zdołacie, powiedzcie im, co się wydarzyło w Kashanie – powiedziała tym, którzy zdecydowali się na ucieczkę. – Patrole *djanada* nadchodzą, ale powtórzcie wszystkim to, co powiedziała Fia: nas jest wielu, ich tylko garstka.

Kanchay VaKashan nie wiedział, co robić, podobnie jak pozostali, ale Sofia uratowała właśnie jego córeczkę Puskę, więc był jej wdzięczny. Kiedy więc grupa innych, których dzieci ocalały z masakry, postanowiła poczekać do czerwonego światła i uciec do południowej puszczy, zabrał ze sobą Sofię.

Z wędrówki do leśnej kryjówki Sofia zapamiętała tylko kwilenie rufiskich niemowląt, rozkołysany, płynny krok Kanchaya, który całymi dniami niósł ją na grzbiecie, odgłosy sawanny, a potem puszczy. Z początku miała tak obolałą twarz, że trudno jej było otworzyć usta, więc Kanchay karmił ją jakąś papką pomieszaną z deszczową wodą, wciskając jej ten kleik przez zaciśnięte zęby. Starła się to jakoś przełknąć, powtarzając sobie: to dla dziecka. Dziecko tego potrzebuje. Wykrwawiona, otepiała z bólu, skupiła się na swoim dziecku, które przecież jeszcze miała, w przeciwieństwie do tych, którzy utracili swe dzieci. Skupiła się na swoim łonie, tam, gdzie wciąż żyło jej dziecko, odczuwając dreszcz lęku za każdym razem, gdy poruszało się niemrawo, i przyływ nadziei, kiedy kopnęło mocniej.

Z początku spała kamiennym snem, a i później często zapadała w drzemkę, ogrzewana blaskiem trzech słońc sączącym się przez poszycie lasu. Kiedy się obudziła, leżała nieruchomo, wsłuchując się w rytmiczny, zduszony zgrzyt długich, szorstkich liści, przypominających miecze samurajów, z których Runowie budowali na polanie platformy do snu i zasłony od wiatru.

Gdzieś blisko szumiała bystra woda, oplukując gładkie kamienie. Nad jej głową chyliły się w lekkim wietrze kiście pni *w'ralii*. Zewsząd dobiegały miękkie, porozrywane przydechami spółgłoski języka *Ruanja*, nieustanne mruczenie ruńskich ojców, tulących do siebie dzieci, które nie uzyskały prawa do życia.

Kiedy poczuła przypływ sił, zapytała, gdzie się znajduje.

– Trucha Sai – usłyszała odpowiedź. – Runowie przychodzą do Trucha Sai, kiedy *djanada* za bardzo czuć krwią – wyjaśnił jej Kanchay, mówiąc prosto, jak do dziecka. – Po jakimś czasie oni zapominają. My-i-ty-też czekamy na to w lesie.

Było to coś więcej niż wyjaśnienie. Kanchay z rozmysłem dobrał słowa. „Są dwie formy pierwszej osoby liczby mnogiej”, powiedział kiedyś Emilio Sandoz reszcie członków załogi *Stelli Maris*. „Jedna wyłącza osobę, do której się mówi, rozumiecie? Oznacza my-ale-nie-ty. Druga to my-ale-i-ty. Kiedy Runa używa włącznego my, możecie być pewni, że czyni to świadomie. Możecie się czuć jego przyjaciółmi.

W Trucha Sai zbierali się uciekinierzy ze wszystkich południowych prowincji Inbrokaru.

Każdy Runa niósł niemowlę – potomstwo pary, której dieta została wzbogacona o żywność z ogrodów założonych i uprawianych na wzór ogrodu cudzoziemców. Były to pary, które osiągnęły zdolność rozrodczą bez wiedzy Jana’atów, które spłodziły dziecko bez zezwolenia Jana’atów, które wyzwoliły się spod nadzoru Jana’atów nie tyle w akcie świadomej rebelii, ile w radosnym akcie prokreacji i wzbudzonego przez ów akt rodzicielstwa. Położone w sercu puszczy osiedle Trucha Sai wypełniało się powoli Runami, których grzbiety poznaczone były długimi, potrójnymi, nie do końca zagojonymi ranami, różowymi i woskowatymi, prześwitującymi przez gęste, płowóżłte futra.

– *Sipaj*, Kanchay. Niesienie tej jednej musiało cię boleć – powiedziała pewnego dnia Sofia, przyglądając się bliznom i wspominając wędrówkę do puszczy. – Ktoś ci dziękuje.

Uszy Kanchaya gwałtownie opadły.

– *Sipaj*, Fia! Czyjeś dziecko żyje dzięki tobie!

To już coś, pomyślała ze smutkiem, leżąc znowu na plecach i wsłuchując się w leśną symfonię krzyków, pisków i szeleszczących liści ociekających mglistym deszczem. Talmud naucza, że ocalenie jednego życia oznacza ocalenie całego świata. Może i tak, pomyślała. Kto to wie?

Teraz, miesiąc po masakrze, w której zginęła ponad połowa mieszkańców wioski Kashan, Sofia Mendes była przekonana, że jest ostatnim przedstawicielem rodzaju ludzkiego na Rakhacie, jedynym członkiem misji jezuickiej, któremu udało się przeżyć. Uznając swój letargiczny stan za wewnętrzny spokój, uwierzyła też, że nie czuje rozpacz. Przecież wiem od dawna, mówiła sobie, że łzy nie są żadnym remedium na śmierć.

Jej życie nigdy nie było zbyt szczęśliwe. Kiedy przemijało zadowolenie, nie czuła żalu – ot, po prostu życie wracało do normalnego trybu. W kilka tygodni po masakrze uznała, że miała szczęście znaleźć się pośród tych, którzy nie oplakują zmarłych.

– Deszcz pada na wszystkich, piorun uderza w niektórych – stwierdził jej przyjaciel Kanchay. – Czego nie można zmienić, o tym najlepiej zapomnieć – poradził jej i nie oznaczało to braku czułości czy gruboskórności, tylko jakże jej bliskie, pragmatyczne pogodzenie się z losem.

„Bóg stworzył świat i zobaczył, że było to dobre”, tak zawsze mówił jej ojciec, kiedy uskarżała się na jakąś niesprawiedliwość w okresie swego krótkiego dzieciństwa. „Nie sprawiedliwe. Nie szczęśliwe. Nie doskonałe, Sofio. Dobre”.

Dobre dla kogo? Często się nad tym zastanawiała, najpierw z rozdrażnieniem dojrzewającej dziewczynki, później ze znużeniem czternastoletniej kobiety pracującej na ulicach Stambułu pogrążonego w agonii wojny domowej.

Prawie nigdy w życiu nie płakała. Wcześniej przekonała się, że płacz nic nie daje, chyba tylko ból głowy. Zaledwie nauczyła się mówić, rodzice przyzwyczaili ją uważać łyżę za tchórzliwą taktykę głupców i ćwiczyli ją w sefardyjskiej sztuce trzeźwego przekonywania; uzyskiwała to, co chciała, nie dzięki pochlipywaniu, ale dzięki logicznej i przekonującej argumentacji, oczywiście w granicach określonego stadium jej neurologicznego rozwoju. Kiedy u progu swojej dojrzałości pochylała się nad poszarpanym przez pocisk mózdzierza ciałem matki, była zbyt wstrząśnięta, by płakać. Nie opłakiwała też swojego ojca, który pewnego dnia nie wrócił do domu i którego już nigdy nie zobaczyła: nie było jakiegoś zauważalnego przejścia od strachu do żalu. Nie współczuła innym młodym prostytutkom, kiedy płakały. Panowała nad sobą i nie chciała zepsuć sobie wyglądu napuchniętą, krostowatą twarzą, więc jadła bardziej regularnie od innych dziewczyn i była na tyle silna, by wbić klientowi nóż między żebra, jeśli próbował ją oszukać lub zabić. Sprzedawała swoje ciało, a kiedy pojawiła się taka możliwość, sprzedawała swój umysł – za o wiele wyższą cenę. Przeżyła i wydostała się ze Stambułu z nietkniętą godnością własną, ponieważ nie poddawała się emocjom.

I tym razem żal by jej nie dosięgnął, gdyby nie nocny koszmar – sen, w którym ujrzała swoje dziecko, tuż po narodzeniu roniące krwawe łyżę. Obudziła się, przerażona, i poczuwszy żywy ciężar wewnątrz siebie, zaszlochała, najpierw z ulgi, bo upewniła się, że nadal jest w ciąży, a dziecko nie może krwawić w ten sposób. Lecz tama puściła i poddała się żalowi i rozpacz.

Złożyła ręce na swoim nabrzmiałym, krągłym brzuchu i szlochała, szlochała bez słów, bez uzasadnienia, i zrozumiała, że właśnie od tego – od tego przerażenia, od tego bólu – uciekała przez całe życie. I że miała przed czym uciekać.

Nie знаła dotąd łez, więc teraz bardzo cierpiała, płacząc, a kiedy zdała sobie sprawę, że łzy spływają jej tylko po jednej stronie twarzy, żal zamienił się w histerię. Kanchay, zaniepokojony jej szlochem, zapytał z lękiem:

– *Sipaj*, Fia, śniłaś o tych, którzy odeszli?

Nie mogła mu jednak nic odpowiedzieć, czy choćby poruszyć podbródkiem na znak, że go słyszy, więc Kanchay i jego kuzyn Tinbar zaczęli ją tulić i kołysać, patrząc w niebo i wyglądając burzy, która z pewnością nadejdzie, skoro ktoś zrobił *fierno*. Podeszli też inni, wypytując o jej zmarłych i zawiązując jej wstążki na przedramionach.

W końcu ocaliło ją wyczerpanie. Nigdy więcej, przysięgła sobie, zasypiając, wyzbyta już wszelkich odczuć i emocji. Już nigdy nie pozwoli, aby mi się to przydarzyło. Miłość to zobowiązanie. Kiedy ci wystawią rachunek, płacisz rozpaczą.

Dziecko kopnęło mocno, jakby zaprotestowało.

Obudziła się w ramionach Kanchaya; ogon Tinbara oplatał jej nogi. Spocona, z napuchniętą częścią twarzy, wyzwoliła się z ich uścisków, wstała i powlokła się do strumienia, biorąc ze sobą *chaninchay*, niedawno zrobiony z szerokiej, płytkowej muszli leśnego *pigaru*. Przez długą chwilę stała nad wodą, a potem ostrożnie uklękła, by napełnić misę. Zanurzyła obie ręce w chłodnej, czystej wodzie i oblała sobie twarz. Potem napełniła misę ponownie i odczekała, aż czarna woda uspokoi się, aby użyć jej jako zwierciadła.

Nie jestem Runka, pomyślała zdumiona.

Taka dziwna utrata tożsamości już jej się kiedyś przydarzyła; kilka miesięcy po zawarciu pierwszego zamorskiego kontraktu, w Kyoto, każdego ranka spoglądała w lustro w łazience i odkrywała, że nie jest Japonką jak wszyscy dookoła. Teraz, tutaj, jej ludzka twarz wydawała się naga, jej ciemne, splątane włosy dziwaczne, jej uszy zbyt małe, niestosowne, jej pojedyncze tęczyówki przerażająco bezpośrednio. Dopiero gdy uporała się z tymi dziwactwami, dotarła do niej reszta: ukośna, potrójna blizna, znacząca jej twarz od skroni do szczęki. I ślepe wgłębione... miejsce.

– Kogoś boli głowa – powiedziała Kanchayowi, który przyszedł za nią nad potok i usiadł na brzegu.

– Jak Milo – odpowiedział Kanchay, który był świadkiem migren Sandoza i sądził, że to normalna dla cudzoziemców reakcja na smutek. Usadowił się wygodnie na umięśnionym, stożkowatym ogonie, wspierając się na nogach zgiętych w kolanach. – *Sipaj*, Fia, chodź tu i usiądź – zaproponował, a ona chwyciła jego wyciągniętą rękę, aby się na niej wesprzeć.

Zajął się jej splątanymi włosami, rozczesując je delikatnie palcami. Poddała się temu czułemu dotykowi, wsłuchując w ciszę, jaka powoli ogarnęła las w porze południa. Chwyliła końce wstążek zawiązanych na jej ramionach i zaczęła je splatać, aby zająć czymś ręce, podobnie jak to robiła Askama, gdy siedziała na kolanach Emilia. Askama często wplatała wstążki we włosy Anne Edwards i Sofii, ale żadnemu z cudzoziemców nigdy nie zaoferowano wstążek do przystrojenia ciała. „Może dlatego, że nosimy odzież”, powiedziała kiedyś Anne, ale nie była tego pewna.

– *Sipaj*, Kanchay, ktoś się zastanawia nad tymi wstążkami – powiedziała Sofia, obróciwszy do niego lewą stronę twarzy, aby go widzieć. Na lewe oko zawsze nieco gorzej widziała.

Szkoda, pomyślała, że Jana’ata, który ją uderzył, nie był praworęczny – pozostawiłby jej lepsze oko.

– Tę daliśmy ci za Di, a tę za Ha’an – odrzekł Kanchay, chwytając kolejno obie wstążki.

Jego oddech pachniał wrzosową wonią *njoato*, które w tym tygodniu stanowiło podstawę ich pożywienia. – Te za Dziordzi i za Dżimi. Te za Milo i Marca.

Poczuła skurcz w gardle, gdy usłyszała te imiona, a po chwili już płakała. Przypomniała sobie, że Askama próbowała zawiązać Sandozowi dwie wstążki po śmierci D.W. i Anne, ale był wówczas zbyt słaby i chory.

– A więc to nie dla ozdoby – zapytała – tylko żeby pamiętać o tych, którzy odeszli?

Kanchay roześmiał się łagodnie.

– Nie pamiętać! Okpić! Kiedy duchy znowu przyjdą, poczują zapach, wrócą do powietrza, do którego należały. *Sipaj*, Fia, jeśli znowu będziesz o nich śnić, powinnaś komuś o tym powiedzieć – ostrzegł ją, bo był roztropnym Runą. Potem dodał: – Czasami wstążki są po prostu ładne. *Djanada* myślą, że to tylko ozdoba. Czasami tak jest. – Znowu się roześmiał i powiedział:

– *Djanada* są jak duchy. Można ich okpić.

Anne na pewno by zapytała, dlaczego duchy wracają, kiedy i w jaki sposób; Emilio i inni kapłani byliby zachwyceni tymi wierzeniami. Sofia zebrała końce wstążek, pozwalając, by gładka satyna przelewała się jej przez palce. Wstążka Anne była srebrnobiała. Może jak jej włosy? Ale George też miał siwe włosy, a jego wstążka była jasnoczerwona, Emilia – zielona.

Ciekawe dlaczego. Wstążka jej męża Jimmy’ego była świetliście niebieska; pomyślała o jego oczach i podniosła ją do twarzy, aby wyczuć zapach. Pachniała ziołami, świeżym sianem.

Poczuła dławienie w gardle i puściła wstążkę. Nie, powiedziała sobie. On odszedł. Nie będę już więcej płakać.

– Dlaczego, Kanchay? – zapytała ze złością, uznając, że gniew jest lepszy od bólu. – Dlaczego *djanada* spalili ogród i zabili dzieci?

– Ktoś myśli, że ten ogród nie był dobry. Trzeba chodzić po jedzenie. To niedobre sprowadzać jedzenie do domu. *Djanada* wiedzą, kiedy jest właściwy czas, żebyśmy mieli dzieci. Ktoś myśli, że coś się nam pomieszało i mieliśmy dzieci w niewłaściwym czasie.

Nie chciała się sprzeczać, była rozgrzana i zmęczona, zdenerwował ją też sposób, w jaki do niej mówił, tylko dlatego, że była wielkości ośmioletniego Runy.

– *Sipaj*, Kanchay... ale co pozwala Jana'atom mówić, kto może mieć dzieci i kiedy?

– Prawo – rzekł, jakby to była odpowiedź na jej pytanie. A po chwili dodał: – Czasami w kobietę może wejść niewłaściwe dziecko. Na przykład czasami dziecko powinno być *cranilem*. Za dawnych czasów takie dziecko zabierało się nad rzekę i wzywało *cranilów*: tu jest jedno z waszych dzieci, urodzone wśród nas przez pomyłkę. Trzymało się takie dziecko pod wodą, gdzie żyły *cranile*. To było trudne. – Milczał przez długi czas, w skupieniu delikatnie rozplątując jej włosy, pasemko po pasemku. – Teraz, kiedy urodzi się nam przez pomyłkę niewłaściwe dziecko, robią to za nas *djanada*. A kiedy *djanada* powiedzą: To jest dobre dziecko, wiemy, że wszystko będzie dobrze, matka może z nim wędrować. Serce ojca może być spokojne.

– *Sipaj*, Kanchay, a co mówicie swoim dzieciom? O tym, że dobrowolnie oddajecie się Jana'atom, żeby was zjedli?

Jego palce znieruchomiały. Łagodnie przytulił jej głowę do swojej piersi i zaczął cicho mrużyć, jakby śpiewał jej kołysankę:

– Mówimy im: za dawnych czasów byliśmy samotni na świecie. Wędrowaliśmy tam, dokąd chcieliśmy, nic nam nie groziło, ale byliśmy samotni. Kiedy pojawili się *djanada*, miło nam było ich zobaczyć i zapytaliśmy ich: Jedliście już? Oni odpowiedzieli: Nie, jesteśmy bardzo głodni! Więc daliśmy im to, co sami jedliśmy. Przecież wiesz, że zawsze trzeba nakarmić wędrowców, prawda? Ale *djanada* nie potrafili jeść tak jak my i odrzucili jedzenie, które im daliśmy. Więc usiedliśmy, żeby się zastanowić, co zrobić, bo przecież byłoby niegodziwe nie nakarmić gości. Kiedy o tym rozmawialiśmy, *djanada* zaczęli zjadać nasze dzieci. Starsi powiedzieli: Oni są wędrowcami, są naszymi gośćmi, musimy ich nakarmić, ale ustanowimy zasady. Powiedzieliśmy im: Nie możecie zjadać kogokolwiek, możecie zjadać tylko starych, z których już nie ma żadnego pożytku. W ten sposób oswoiliśmy *djanada*. Teraz wszystkie zdrowe dzieci są bezpieczne, zabierają nam tylko starych i chorych.

Sofia przekręciła głowę, aby spojrzeć mu w twarz.

– Ktoś myśli: To dobra opowiadka dla dzieci, żeby dobrze spały i nie robiły *fiernos*, kiedy przyjdą rzeźnicy. – Podniósł głowę i znowu zaczął czesać jej włosy. – *Sipaj*, Kanchay, ktoś jest mały, ale nie jest dzieckiem, które trzeba chronić przed prawdą. *Djanada* zabijają bardzo starych, chorych i ułomnych. Czy zabijają również tych, którzy sprawiają im kłopot? *Sipaj*, Kanchay, dlaczego im na to pozwalacie? Co daje im do tego prawo?

Jego palce na chwilę znieruchomiały, a potem powiedział z prozaiczną akceptacją:

– Jeśli odmówimy pójścia z rzeźnikami, kiedy nadejdzie czas, będą musieli pójść inni. – Zanim zdołała odpowiedzieć, dotknął jej brzucha, jakby była jego żoną. – *Sipaj*, Fia, to dziecko jest już dojrzałe!

W ten sposób oficjalnie zmienił temat rozmowy.

– Nie – odpowiedziała Sofia – jeszcze nie. Może za szesnaście nocy.

– Tak długo! Ktoś myśli, że nabrzmiejesz jak *datinsa*.

– *Sipaj*, Kanchay – powiedziała, śmiejąc się nerwowo – może i tak.

Strach i nadzieja, strach i nadzieja, strach i nadzieja. I tak bez końca.

Dlaczego tak się boję? Jestem Mendes. Stać mnie na wszystko.

Lecz była również – choć tak krótko – radosną panią Quinn, przez jedno lato szczęśliwą żoną absurdalnie wysokiego, komicznie swojskiego i tak bardzo kochanego irlandzkiego katolika, astronoma. Mogło być gorzej, pomyślała, przypominając sobie zwykłą, dobroduszną reakcję Jimmy’ego na jakiś kryzys.

Dziecko kopnęło tak mocno, że aż jej dech zaparło.

Jestem Sofia Mendes Quinn i mogło być gorzej.

3

NEAPOL

wrzesień 2060

Czasami, jeśli siedział cicho, ludzie odchodzili.

Kiedyś mieszkał tu świecki szofer. Pomieszczenie nad garażem dzieliło od domu rekolekcyjnego zaledwie kilkadziesiąt metrów, ale to wystarczało i Sandoz uznał je za swoje z taką dziką zachłannością, że aż sam był zaskoczony. Niewiele tam wniósł – aparaturę foniczną i dźwiękową, biurko – ale to było jego. Obnażone krokwie i bielone ściany. Dwa krzesła, stół, wąskie łóżko, kuchenka, kabina prysznicowa i toaleta za zasłoną.

Pogodził się już z tym, że nad pewnymi sprawami nie panuje. Nocne koszmary.

Przekleństwo neuralgii, kiedy uszkodzone nerwy rąk wysyłały ku ramionom wiązki ognistych igieł bólu. Nie powstrzymywał się już od krótkich okrzyków, kiedy taka seria ugodziła go bez ostrzeżenia. Tutaj, w samotności, mógł uczyć się z tym żyć – przyjmować uderzenia bólu, kiedy nadchodziły, odpoczywać, kiedy się kończyły. Gdyby tylko wszyscy zostawili go w spokoju – gdyby pozwolili mu zmagać się z tym na jego własny sposób – czułby się zupełnie dobrze.

Czekał z zamkniętymi oczami, kołysząc się nad swoimi dłońmi, nasłuchując kroków oddalających się od jego drzwi. Znowu rozległo się pukanie.

– Emilio! – To był głos ojca generała i wyczuł w nim radość. – Mamy niespodziewanego gościa. Ktoś przyjechał, żeby się z tobą zobaczyć.

– Chryste... – szepnęła Sandoz, wstając i chowając dłonie pod pachami.

Zszedł na dół po trzeszczących schodkach, stanął przed bocznymi drzwiami i przez chwilę starał się uspokoić oddech. Potem jednym krótkim ruchem łokcia wyjął hak z otworu we framudze drzwi i czekał w milczeniu, zgięty w pół.

– No, dobra – powiedział w końcu. – Otwarte.

Na podjeździe stał Giuliani z jakimś wysokim księdzem. Afryka Wschodnia, pomyślał Sandoz, ledwo na niego zerknąwszy, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w twarz ojca generała.

– To nie jest najlepsza pora, Vince.

– Nie – przyznał pogodnie Giuliani. – Najwyraźniej nie najlepsza.

Emilio oparł się o ścianę, nie do końca panując nad swym ciałem. No cóż, nic na to nie można poradzić. Gdyby ten Lopore zatelefonował, że przyjeżdża...

– Wybacz mi, Emilio. Zajmiemy ci tylko kilka minut. Pozwól, że ci przedstawię...

– Znasz swahili? – zapytał nagle Sandoz gościa po arabsku, i to z akcentem sudańskim, który nagle sobie przypomniał. Afrykańczyk wydał się nieco zaskoczony pytaniem, ale skinął głową. – Co jeszcze? Łacina? Angielski?

– I to, i to. I kilka innych języków.

– Świetnie. Nieźle. Nada się – powiedział Sandoz do Giulianiego. – Na razie będziesz musiał popracować sam – zwrócił się do Afrykańczyka. – Zaczynj od poznania *ruanja*. Mamy tu program AI1, sporządzony przez Mendes. *K'san* na razie sobie daruj. Nie za bardzo posunąłem się z analizą formalną. A następnym razem najpierw zatelefonuj. – Zerknął na Giulianiego, który był wyraźnie zaskoczony szorstkością tej wypowiedzi. – Powiedz mu o moich rękach, Vince – mruknął usprawiedliwiająco, wycofując się do swojej samotni. – Dzisiaj obie. Nie jestem w stanie myśleć.

Nie podoba mi się, że przyłazicie tu bez zaproszenia, pomyślał. Zbierało mu się na płacz i nie był w stanie robić komuś wyrzutów. Ledwo do niego dotarło to, co teraz usłyszał.

– Modliłem się za ciebie przez pięćdziesiąt lat – powiedział Kalingemala Lopore głosem pełnym zdumienia. – Bóg ciężko cię doświadczył, ale nie zmieniłeś się aż tak, żebyśmy nie widział, kim jesteś.

Sandoz zatrzymał się na schodach i odwrócił. Wciąż był zgarbiony, ręce miał skrzyżowane na piersi, a dłonie ukryte pod pachami, ale teraz spojrzął uważniej na kapłana stojącego obok ojca generała. Ma z sześćdziesiątkę, pomyślał, pewnie ze dwadzieścia lat młodszy od Giulianiego, i też jest taki wysoki. Hebanowoczarny i szczupły, o mocnych kościach i głęboko osadzonych, przykuwających uwagę, wielkich czarnych oczach, typowych dla mieszkańców Afryki Wschodniej, sprawiających, że tamtejsze kobiety zachowywały piękność nawet w starszym wieku. Pięćdziesiąt lat... Ile ten facet musiał wówczas mieć? Dziesięć, jedenaście?

Emilio zerknął na Giulianiego, żeby zobaczyć, czy rozumie, o co chodzi, ale ojciec generał zdawał się teraz nie zwracać na niego uwagi, będąc równie jak on zaskoczony słowami gościa.

– Czy ja ciebie znam? – zapytał Emilio.

Niezwykłe oczy Afrykanina płonęły, jakby rozświetlał je wewnętrzny blask.

– Nie ma powodu, abys mnie pamiętał, a ja nawet nie znałem twojego nazwiska. Lecz Bóg znał ciebie, kiedy jeszcze byłeś w łonie matki, jak Jeremiasza, którego również boleśnie doświadczył.

I wyciągnął do niego obie ręce.

Emilio zawahał się, po czym zszedł z powrotem ze schodów. W geście, który z bólem odczuł jako jednocześnie znajomy i obcy, złożył swoje palce, poranione i niewiarygodnie długie, w białych, ciepłych dłoniach przybysza.

Tyle lat, myślał Lopore, sam tak wstrząśnięty, że zapomniał o tej sztucznej liczbie mnogiej, którą, po tylu wysiłkach, zdołał już opanować.

– Pamiętam jeszcze kilka magicznych sztuczek – powiedział, uśmiechając się, lecz po chwili spojrział w dół, na jego ręce. – Takie piękno i taka sprawność zniszczone – rzekł ponuro i uniósł dłonie Sandoza do swoich warg, a potem ucałował je po kolei, jakby nieświadomie.

To musiała być, myślał później Sandoz, jakaś zmiana ciśnienia krwi, jakaś przypadkowa interakcja połączeń neuronowych, jakiś kaprys fizjologii – czy patologii – który w końcu położył kres atakowi neuralgii. Afrykanin podniósł oczy i napotkał jego oszołomione spojrzenie.

– Myślę, że ręce to nic w porównaniu z resztą.

Sandoz kiwnął głową i stał oniemiały, szukając wyjaśnienia w twarzy ojca generała.

– Emilio – rzekł Vincenzo Giuliani, przerywając to niesamowite milczenie – może zaprosisz Ojca Świętego do środka?

Sandoz wytrzeszczył oczy, po czym wymamrotał:

– Jezu...

Biskup Rzymu odrzekł z nieoczekiwanym poczuciem humoru:

– Nie, tylko papież.

Ojciec generał parsknął śmiechem i wyjaśnił rzeczowym tonem:

– Ojciec Sandoz był trochę wyłączony z życia przez ostatnie kilkadziesiąt lat.

Emilio, wciąż oszołomiony, ponownie kiwnął głową i powiódł ich do swojego pokoju.

Uczciwie trzeba powiedzieć, że papież przybył sam i nie zapowiadany, ubrany w zwykłą sutannę, a do jezuickiego domu rekolekcyjnego przyjechał najzwyczajszym fiatem i sam go prowadził. Kalingemala Lopore, pierwszy od piątego stulecia afrykański papież i pierwszy w historii nowożytnej prozelita wybrany na ten najwyższy urząd kościelny, nosił teraz imię Gelazego III i rozpoczął właśnie drugi rok swojego pontyfikatu. Do Rzymu wniósł głębokie przekonanie i dalekowzroczną wiarę w uniwersalizm Kościoła, co pozwalało mu oddzielać odwieczną prawdę od głęboko zakorzenionych obyczajów europejskich. Ignorując wymogi polityki i rygory dyplomacji, postanowił osobiście zobaczyć się z Emiliem Sandozem, jezuitą, który poznał inne dzieci Boga i który zobaczył dzieło Stworzenia na innej planecie. Kiedy już podjął decyzję, nie było w całym Watykanie takiej biurokratycznej siły, która mogłaby go od tego odwieść. Gelazy III był człowiekiem niezwykle opanowanym i pragmatycznym. Był jedynym przybyszem z zewnątrz, któremu się udało przedrzeć przez broniące dostępu do Sandoza posterunki kamorry, a dokonał tego, bo uznał za stosowne porozmawiać bezpośrednio z kuzynem ojca generała, don Domenico Giulianim, niekoronowanym królem południowych Włoch.

W pokoju Sandoza panował straszliwy bałagan. Lopore to zauważył i z rozbawieniem zgarnął ręcznik z najbliższego krzesła, rzucając go na nie posłane łóżko, po czym bezceremonialnie usiadł.

– Ja... bardzo przepraszam za to wszystko – wyjąkał Sandoz, ale papież tylko machnął ręką.

– Jedną z przyczyn, dla których uparliśmy się, żeby mieć swój własny samochód, była chęć odwiedzania ludzi bez tych wszystkich maniakałnych przygotowań – powiedział, po czym dodał namaszczone tonem: – Stwierdzamy, że mamy serdecznie dość świeżej farby i nowych dywanów.

Zachęcił gestem Emilia, by usiadł na drugim krześle, po przeciwnej stronie stołu.

– Proszę cię – powiedział, świadomie porzucając liczbę mnogą – usiądź ze mną.

Rzucił krótkie spojrzenie na Giulianiego, który stał w kącie, tuż przy schodach. Nie chciał im przeszkadzać, ale nie miał też ochoty odejść. Zostań, mówiły oczy Ojca Świętego, zostań i wszystko zapamiętaj.

– Pochodzę ze szczepu Dodotów – powiedział papież po łacinie, w której afrykańska nazwa zabrzmiała egzotycznie, a rytmiczne, melodyjne kadencje przypominały o języku jego dzieciństwa. – To pasterze, nawet dziś. Kiedy nadeszła susza, przenieśliśmy się na północ, do naszych kuzynów, klanu Toposa, w południowym Sudanie. Był to czas wojny, a więc i głodu.

Toposa nie chcieli nas przyjąć, sami bowiem nic nie mieli. Zapytaliśmy: „Dokąd mamy pójść?”

Jakiś człowiek na drodze powiedział: „Na wschód stąd jest obóz dla Kikuju. Stamtąd nikogo nie wypędzają”. Była to długa wędrówka i moja młodsza siostra umarła w ramionach matki.

Zobaczyłeś, że się zbliżamy. Wyszedłeś nam na spotkanie. Wziąłeś martwe dziecko z ramion mojej matki i wskazałeś miejsce, w którym mogliśmy odpocząć. Przyniosłeś nam wody, a potem coś do jedzenia. My jedliśmy, a ty kopałeś grób dla mojej siostry. Już sobie przypominasz?

– Nie. Było tyle dzieci. Tyle umarło. – Emilio spojrział na niego ze znużeniem. – Wykopałem wiele grobów, Wasza Świątobliwość.

– Nie będziesz już więcej kopać grobów – powiedział papież, a Vincenzo Giuliani usłyszał głos proroka: zagadkowy, nieuchwytny, pewny.

Wyjątkowa chwila przeminęła i papież znowu zaczął mówić zwykłym głosem.

– Od tego czasu nie ma dnia, żebym o tobie nie myślał! Co to za człowiek, który oplakuje córkę, której nie spłodził? Odpowiedź na to pytanie doprowadziła mnie do chrześcijaństwa, do kapłaństwa, a teraz... tutaj, do ciebie!

Odchylił się na krzesło, zdumiony, że jednak spotkał tego kapłana po upływie połowy stulecia. Przez chwilę milczał, a potem ciągnął dalej łagodnym tonem, już jako kapłan, którego misja polega na godzeniu człowieka z Bogiem. – Od tego czasu oplakiwałeś wiele innych dzieci.

– Setki. Tysiące. Tysiące dzieci zmarło przeze mnie.

– Wziąłeś wiele w swoje ramiona. Ale chodzi mi o to jedno szczególne dziecko. Powiedziano nam o nim. Możesz wymówić jej imię, żebyśmy mogli wspominać ją w modlitwie?

Mógł, ale uczynił to prawie niesłyszalnym szeptem.

– Askama, Wasza Świątobliwość.

Przez jakiś czas panowała cisza, a potem Kalingemala Lopore wyciągnął ręce ponad stolikiem, podniósł opuszczoną głowę Emilia grubymi, mocnymi palcami i otarł mu łzy.

Vincenzo Giuliani zawsze uważał Emilia za ciemnoskórego, ale teraz jego twarz, ujęta tymi potężnymi brązowymi dłońmi, wydała mu się blada. W chwilę później zrozumiał, że Sandoz jest bliski omdlenia. Emilio nie znosił cudzego dotyku, brzydził go niespodziewany kontakt fizyczny. Lopore nie mógł o tym wiedzieć i Giuliani zrobił krok do przodu, aby mu to wyjaśnić, kiedy usłyszał, że papież coś mówi.

Emilio słuchał z kamienną twarzą; zdradzał go tylko szybki, płytki oddech. Giuliani nie słyszał słów, ale zobaczył, jak Sandoz marszczy czoło, odchyła się do tyłu, a potem wstaje i zaczyna krążyć po pokoju.

– Uczyniłem klasztor z mego ciała i ogród z mojej duszy, Wasza Świętobliwość – powiedział miękko, melodyjną łaciną, którą młody Vince Giuliani zawsze uwielbiał i której mu zazdrościł, kiedy byli razem w seminarium. – Kamienie murów klasztornych były mi nocami, a zaprawa murarska dniami. Rok po roku budowałem te mury. Lecz pośrodku założyłem ogród otwarty ku niebiosom i zaprosiłem Boga, by się w nim przechadzał. I Bóg przyszedł do mnie. – Sandoz odwrócił się, drżąc. – Bóg mnie napełnił, a zachwyty, jaki temu towarzyszył, miał taką moc, że zdruzgotał mury. Nie potrzebowałem już żadnych murów, Wasza Świętobliwość. Bóg był moją obroną. Mogłem patrzeć w twarz żony, której nigdy nie miałem, i kochać wszystkie żony. Mogłem patrzeć w twarz męża, którym nigdy nie byłem, i kochać wszystkich mężów. Mogłem tańczyć na weselach, ponieważ Bóg był moją miłością i wszystkie dzieci były moje.

Giuliani poczuł, że oczy napełniły mu się łzami. Tak, pomyślał. Tak.

Kiedy Emilio znowu się odwrócił i spojrział na Kalingemalę Lopore, już nie płakał. Wrócił do stołu i złożył swoje okaleczone ręce na poobijanym blacie; jego twarz stężała w grymasie wściekłości.

– A teraz ogród jest spustoszony – wyszeptał. – Żony, mężowie i dzieci nie żyją. Nie pozostało nic prócz popiołów i kości. Gdzie był nasz obrońca? Gdzie był Bóg, Wasza Świątobliwość? Gdzie jest Bóg teraz?

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

– W popiołach. W kościach. W duszach zmarłych. I w tych dzieciach, które żyją dzięki tobie...

– Nikt nie żyje dzięki mnie!

– Mylisz się. Ja żyję. Są też inni.

– Przynoszę nieszczęścia. Przyniosłem na Rakhat śmierć, jak syfisy, a Bóg śmiał się, kiedy mnie gwałcono.

– Bóg płakał nad tobą. Zapłaciłeś straszliwą cenę za Jego plan, a Bóg płakał, kiedy prosił cię o to...

Sandoz krzyknął i odchylił się do tyłu, potrząsając głową.

– To najokropniejsze kłamstwo! Bóg nie prosi. Nie wyraziłem zgody. Zmarli nie wyrazili zgody. Bóg nie jest bez winy.

Błuźnierstwo zawisło w powietrzu jak dym, lecz po chwili zabrzmiały równie bluźniercze słowa Jeremiasza:

– Dopuszczał, że szedłem pośród ciemności, nie światła, pogrążył mnie w mrokach jak zmarłych od wieków. Nawet gdy wołałem i krzyczałem – recytowałem Gelazy III z oczami pełnymi współczucia – odrzucał moją modlitwę! Napełnił mnie do syta goryczą. Pogrążył mnie w popiele. Porzucił mnie w rozpacz i wystawił na pośmiewisko i potępienie.

Sandoz milczał, wpatrując się w coś, czego oni dwaj nie widzieli.

– Jestem potępiony – powiedział w końcu, zmęczony i udręczony – i nie wiem dlaczego.

Kalingemala Lopore odchylił się na krzesło, długie, silne palce złożył na podolku. Jego wiara w ukryte znaczenie wydarzeń i w Boże dzieło dokonujące się w Bożym czasie była niezłomna jak granit.

– Bóg cię umiłował – rzekł. – I zobaczysz, czego naprawdę dokonałeś, kiedy powrócisz na Rakhat.

Sandoz poderwał głowę.

– Nie wróć.

– A jeśli poprosi cię o to twój przełożony? – zapytał Lopore, unosząc brwi i zerkając na Giulianiego.

Vincenzo Giuliani, dotąd ukryty w rogu pokoju, patrzył w oczy Emilia Sandoza i stwierdził, że jest chyba po raz pierwszy od pięćdziesięciu pięciu lat głęboko przerażony. Rozłożył ramiona i potrząsnął głową, pragnąc, by Emilio uwierzył: To nie ja mu to podsunąłem.

– *Non serviam* – powiedział Sandoz, odwracając się od Giulianiego.

– Nikt więcej mnie nie wykorzysta.

– Nawet gdybyśmy to my cię poprosili? – nalegał papież.

– Nie.

– A więc tak. Nie dla Towarzystwa. Nie dla Świętej Matki Kościoła. Dla siebie i dla Boga. Musisz tam wrócić dla siebie i dla Boga – powtórzył Gelazy III z przerażającą, niemal radosną pewnością. – Bóg czeka na ciebie w ruinach.

Vincenzo Giuliani był człowiekiem, który cenił umiar i całkowicie panował nad sobą. Przez całe dorosłe życie przebywał w towarzystwie podobnych ludzi – zrównoważonych intelektualistów i kosmopolitów. Oczywiście czytał o świętych i prorokach i sam o nich pisał, ale to... Tego już za wiele, pomyślał i zapragnął tylko jednego: ukryć się gdzieś, w jakikolwiek sposób wyłączyć się z tego, co działo się w tym pokoju, uciec przed straszną łaską Boga. „Niech Bóg do nas nie przemawia, bo pomrzemy”, pomyślał i poczuł nagłą sympatię do Izraelitów pod Synajem, do Jeremiasza wykorzystanego wbrew swojej woli, do Piotra, który próbował uciec od Chrystusa. Do Emilia.

Ale trzeba było wziąć się w garść, wyjąkać jakieś krótkie uspokajające wyjaśnienia i usprawiedliwienia, kiedy wraz z Ojcem Świętym schodził po schodach, a potem kroczył obok niego alejką w pełnym słońcu. Grzeczność wymagała zaproszenia dostojnego gościa na lunch.

Długie doświadczenie pozwoliło Giulianiemu poprowadzić Jego Świątobliwość do refektarza i gawędzić po drodze o neapolitańskim domu rekolekcyjnym i architektonicznej twórczości Tristana. O, tu jest wspaniały Caravaggio, a tutaj mamy całkiem niezłego Tycjana. Trzeba było uśmiechnąć się dobrotliwie do brata Cosima, który oniemiał, widząc w swojej kuchni Namiestnika Chrystusowego dopytującego się o zupę rybną, tak zachwalaną przez ojca generała.

W końcu generał Towarzystwa Jezusowego i głowa Kościoła rzymskokatolickiego zjedli razem lunch w kuchni, przy drewnianym stole. Była *anguilla in umido* na toście i *Lacrima Christi* rocznik 49 o godnym uwagi siarczanym posmaku. Później siedzieli, popijając *cappuccino* i pogryzając *sfogliatele*, a obaj uśmiechali się w duchu, przypominając sobie, że każdego z nich nazywano Czarnym Papieżem: jednego z powodu jezuickiej sutanny, a drugiego z powodu hebanowej skóry. Nie było mowy o Sandozie czy o Rakhacie. Rozmawiali o drugich wykopaliskach w Pompejach, które właśnie miały się rozpocząć, skoro Wezuwiusz najwidoczniej uznał, że Neapolowi wystarczy już ta lekcja pokory, którą ostatnio otrzymał.

Gawędzili o wspólnych znajomych, o watykańskich politykach i o meczach szachowych.

Giuliani pogłębił w sobie szacunek do tego człowieka, który przybył do Stolicy Świętej z zewnątrz i zrećźnie wiódł tę starożytną instytucję ku zmianom, ocenianym przez ojca generała jako mądre i budzące nadzieję.

Potem obaj poszli wolnym krokiem do papieskiego fiata; ich długie cienie marszczyły się na nierównym bruku dziedzińca. Zasiadłszy za kierownicą, Kalingemala Lopore sięgnął do stacyjki, ale nagle zawahał się i cofnął ciemną rękę. Opuścił szybę i przez chwilę wpatrywał się przed siebie, zanim przemówił.

– To chyba wielka szkoda – powiedział spokojnie – że wciąż istnieje rozdźwięk między Watykanem i zakonem, który ma za sobą tak długą i chwalebłą historię służby naszym poprzednikom.

Giuliani zeszytniał.

– Tak, Wasza Świątobliwość – odrzekł bezbarwnym tonem, choć serce biło mu gwałtownie.

Właśnie z tego powodu, między innymi, posłał Gelazemu III transkrypcje raportów z Rakhatu i swoje własne streszczenie opowieści Sandoza. Przez pięćset lat wierność papieżowi była podstawą całej działalności jezuitów, ale kiedy Ignacy Loyola zakładał Towarzystwo Jezusowe, kładł nacisk na żołnierską dialektykę posłuszeństwa i inicjatywy. Modlitwa i cierpliwość – i nieubłagany nacisk w kierunku uznanym przez jezuitów za właściwy – raz po raz przynosiły spodziewane owoce. Mimo to od samego początku jezuita propagowali edukację i aktywizm społeczny, niekiedy graniczące z rewolucyjnością; starcia z Watykanem nie były rzadkie, niektóre nawet miały bardzo poważne skutki.

– Bywały momenty, kiedy wydawało się to nieuniknione, ale oczywiście...

– Wszystko się zmienia – przerwał mu wesoło Gelazy z jakąś wielkoświatową niefrasobliwością. – Księża diecezjalni mogą się już zenić. Wybiera się papieża z Ugandy! Kto prócz Boga wie, co może się wydarzyć w przyszłości?

Giuliani uniósł wysoko brwi.

– Prorocy?

Papież pokiwał głową, wydymając wargi.

– Raczej przypadkowi analitycy giełdowi. – Giuliani, całkowicie zaskoczony, roześmiał się i pokręcił głową, a potem uświadomił sobie, że bardzo lubi tego człowieka. – Dzieli nas nie przyszłość, ale przeszłość – powiedział papież do generała jezuitów, przełamując wieloletnie milczenie w sprawie klina, który rozszczępił Kościół na dwie części.

– Wasza Świątobliwość, jesteśmy gotowi uznać, że samo przeludnienie nie jest jedyną przyczyną nędzy i niedoli... – zaczął Giuliani.

– Zarozumiałe oligarchie – przerwał mu Gelazy. – Etniczne paranoje. Fanaberyjne systemy gospodarcze. Utrzymujący się wciąż zwyczaj traktowania kobiet jak psy...

Giuliani zaczerpnął powietrza i zatrzymał je na chwilę w płucach, zanim przystąpił do oznajmienia stanowiska Towarzystwa Jezusowego, które zarazem było jego własną opinią.

– Żadna prezerwatywa nie zapobiegnie głupocie, żadna pigułka czy zastrzyk nie powstrzymają żądz, chciwości czy próżności. Istnieją jednak ludzkie i rozsądne sposoby złagodzenia warunków, które prowadzą do nędzy.

– My sami przeżyliśmy śmierć siostry złożonej w ofierze na ołtarzu Malthusa. W przeciwieństwie do naszych uczonych i świętych poprzedników, nie jesteśmy w stanie dostrzec świadectwa najświętszej woli Bożej w kontrolowaniu zaludnienia ziemi przez wojnę, głód i choroby. Prostemu człowiekowi wydają się ślepe i brutalne.

– I nieodpowiednie do tego celu, jeśli już o to chodzi. Podobnie jak samokontrola i powstrzymywanie się od stosunków seksualnych – zauważył Giuliani. – Towarzystwo prosi jedynie, by Kościół, nasza Święta Matka, wziął pod uwagę ludzką naturę, jak czyni to każda kochająca matka. Zdolność myślenia i planowania z pewnością jest darem Bożym, który może być używany w sposób odpowiedzialny. Nie ma nic złego w pragnieniu, by każde narodzone dziecko było tak czule powitane jak Dzieciątko Jezus.

– Nie ma mowy o tolerowaniu aborcji – oświadczył stanowczo Lopore.

– A jednak święty Ignacy doradzał nam, byśmy nigdy nie ustanawiali reguł tak sztywnych, by nie pozostawało miejsca na wyjątki.

– Nie możemy też godzić się na systemy kontroli narodzin tak nieugięte i okrutne jak ten, który istnieje na Rakhacie – ciągnął Gelazy.

– Droga środka zawsze jest najtrudniejsza, Wasza Świątobliwość.

– A ekstremizm jest najprostszy, ale... *Ecclesia semper reformanda!*

– zawołał papież z nagłym wigorem. – Przestudiowaliśmy propozycje jezuitów, a także braci z Kościoła Wschodniego. Naszym celem jest dobro człowieka! Problem w tym, jak to osiągnąć... Sądzymy, że trzeba będzie ponownie zdefiniować naturalne i sztuczne metody kontroli narodzin. Sahlins... czytałeś go? Sahlins napisał, że „natura” jest definiowana kulturowo, zatem to, co sztuczne, też jest definiowane kulturowo.

Ręka opadła, starter zamruczał, papież był gotów do odjazdu. Ale po chwili spojrzenie tych czarnych oczu znowu spoczęło na twarzy Vincenza Giulianiego.

– Myśleć. Planować. A jednak... cóż za niezwykle dzieci rodzą się z tych nie planowanych, niechcianych, wzgardzonych!

– Mówiono nam, że Emilio Sandoz jest nieślubnym dzieckiem urodzonym i wychowanym w slumsach.

– Twarde to słowa, Wasza Świątobliwość. – Podsunięte zapewne przez watykańskich polityków, snujących się wokół tronu Piotrowego, zwłaszcza kiedy opustoszał po wygnanych jezuickich poprzednikach. – Ale technicznie poprawne, jak rozumiem. – Pomyślał przez chwilę.

– Przychodzi na myśl Księga Liczb, jedenaście, dwadzieścia trzy. I niewiarygodne dziecko Sary. I Elżbiety. Nawet Matki Bożej! Myślę, że jeśli Bóg chce, by narodziło się niezwykle dziecko, możemy Mu zaufać, że sam jakoś do tego doprowadzi.

W nieruchomej czarnej twarzy zapłonęły ciemne oczy.

– Jesteśmy bardzo zadowoleni z tej rozmowy. Może ojciec odwiedzi nas w przyszłości?

– Jestem pewny, że mój sekretarz może to uzgodnić z biurem Waszej Świątobliwości.

Papież pochylił głowę i podniósł rękę w geście błogosławieństwa. Zanim podniósł zaciemnioną szybę fiata i wyjechał na starą, wyłożoną kamieniami drogę wiodącą do autostrady, powtórzył:

– Sandoz musi tam wrócić.

4

WIELKA PUSZCZA POŁUDNIOWA, RAKHAT 2042 czasu ziemskiego

Sofia Mendes świetnie się trzymała w czasie ostatnich miesięcy ciąży, przepędzając ze swoich myśli twarze zmarłych i koncentrując się na dziecku, które żyło w jej łonie. Krytyczny moment nadszedł kilka tygodni po przybyciu do Trucha Sai.

– Ktoś pomyślał: Fia nigdy się z tym nie rozstaje – powiedział pewnego dnia Kanchay, wręczając jej laptop. – Więc ktoś przyniósł to z Kashanu.

Przebiegając drobnymi palcami po gładkich krawędziach, wyczuwając znajomy kształt i ciężar i przecierając szkiełka fotobaterii, Sofia podziękowała szeptem Kanchayowi i odeszła, by usiąść pod zwalonym pniem *w'ralii* i oprzeć laptop na brzuchu i uniesionych kolanach. Po tych wszystkich okropnych przeżyciach i lękach, po oszołomieniu i rozpaczcy miała wreszcie coś zwykłego, coś znajomego. Drżąc cała, wywołała połączenie i głośno westchnęła z ulgi, kiedy pojawił się sygnał dostępu do biblioteki *Stelli Maris*, cierpliwy i godny zaufania jak zawsze.

Dała się pochłonać systemowi, wywołując dane na chybił trafił.
NARODZINY, pokrewne terminy:

NARODZINY

W DOMU, NARODZINY

W ŚREDNIOWIECZU.

PORÓD NATURALNY.

– Moja jedyna opcja – mruknęła do siebie. A potem aż krzyknęła: –
NARODZINY POD WODĄ!

Całkowicie zaskoczona, weszła w odnośniki, żeby zobaczyć, o czym to może być. Nonsens, uznała, i powróciła do przeglądu haseł. ROZWÓJ DZIECKA – tysiące cytatów. Otworzyła hasło ROZWÓJ NOWORODKA – NORMALNY i bezwiednie ulegając przesądowi, opuściła odnośniki do AUTYZMU i UPOŚLEDZENIA W ROZWOJU. WYCHOWANIE DZIECKA – MAKSYMUM. To może być pożyteczne, pomyślała, nie mając przy sobie babci, którą mogłaby zapytać o radę. Och, Anne! Och, mamó! Zdusiła w sobie rozpacz i szukała dalej.

WYCHOWANIE DZIECKA – ASPEKTY RELIGIJNE – JUDAIZM. Tak, pomyślała i zlekceważyła odnośniki do Tory. Co zrobię, jak to będzie chłopiec? Uznała, że dokona obrzezania tego problemu, kiedy się pojawi.

„Przy każdym źdźble trawy stoi anioł i szepce: Rośnij, kochanie, rośnij!” – mówiła jej matka, kiedy była mała i bała się ciemności. „Czy sądzisz, że Bóg troszczyłby się o każdą trawkę, a nie opiekował się tobą?”

Mamo, jestem jednooką, ciężarną, żydowską wdową, pomyślała Sofia. I jestem bardzo daleko od domu. Jeśli to właśnie oznacza, że Bóg się mną opiekuje, to wolałabym być źdźbłem trawy. A jednak... Błagam, daj mi córkę, pomodliła się w duchu. Córeczkę. Małą, zdrową dziewczynkę.

Lecz Sofia nigdy do końca nie ufała Bogu, którego wypowiedzi zawsze wydawały się jej zbyt lapidarne, nawet jeśli rzeczywiście działał pośród swego ludu. Idź do faraona i uwolnij mój lud, powiedział Bóg, a całą logistykę tego polecenia pozostawił Mojżeszowi jako lekcję polegania na sobie samym. Następne tygodnie spędziła, czytając i wchłaniając dostępne książki i artykuły, tworząc wirtualną połoźną: syntetyzując, układając sekwencje faktów, odnajdując punkty rozgałęzień, redukując jak najwięcej danych do stwierdzeń typu „jeśli (warunek) to (działanie)”, o ile to działanie było wykonalne na Rakhacie, wśród Runów. Oczyszczała swoje odpowiedzi, by uzyskać proste zdania, i przekładała je na język *ruanja*, żeby móc ocenić stan swój i dziecka, a w razie potrzeby natychmiast dać Runom odpowiednie instrukcje, które mogłyby ją i dziecko uratować. A robiąc to wszystko, pozbyła się części lęku, piastując w sercu nadzieję.

Ubój Runów trwał w całym południowym Inbrokarze – wszędzie, gdzie założono uprawy. Do schroniska w puszczy nadal przybywali ruńscy ojcowie ze swoimi niemowlętami, w małych grupkach po dwóch lub trzech, przynosząc również nowe wiadomości. Raz odwiedziły ich kobiety z Kashanu, prowadzone przez ową dziewczynkę o imieniu Djalao, która poleciła uciekinierom ostrzec inne wioski o zbliżaniu się patroli *djanada*.

Wiedząc już, że to Djalao VaKashan uratowała życie jej i wielu innym, Sofia wzięła dziewczynkę na stronę, żeby jej podziękować. Był wieczór, kiedy ojcowie gromadzili się, by usnąć dzieci, przysiadając z ogonami owiniętymi wokół nóg i rękami złożonymi na brzuchach.

Djalao, postawiwszy uszy, przyjęła podziękowania Sofii bez zakłopotania, co zachęciło Sofię do dalszej rozmowy.

– *Sipaj*, Djalao, dlaczego w ogóle Runowie muszą wracać do swoich wiosek? Dlaczego po prostu nie odejdą od Jana’atów? Dlaczego nie pokażą im ogonów i nie pozostaną tutaj na zawsze?

Djalao rozejrzała się po leśnej osadzie i uszy jej opadły.

– Tam są nasze domy. Nie możemy opuścić wiosek i miast. Tam żyjemy i pracujemy. My... – Urwała i potrząsnęła głową, jakby *yuv’at* wpadł jej do ucha. – *Sipaj*, Fia, to my zbudowaliśmy miasta. Możemy przyjść tutaj na jakiś czas. Ale porzucić na zawsze dzieło naszych rąk i miejsca naszych serc... nie, tego nie możemy zrobić...

– Ale możecie przestać współpracować z *djanada* – powiedziała Sofia. Djalao obruszyła się, ale Sofia nie dawała za wygraną. – Czy oni są dziećmi, którymi musicie się opiekować? *Sipaj*, Djalao: *djanada* nie mają prawa was hodować, nie mają prawa mówić wam, kto ma mieć dzieci, kto ma żyć, a kto umrzeć. Nie mają prawa mordować was i zjadać waszych ciał! Kanchay mówi, że takie jest prawo, ale to prawo istnieje tylko dlatego, że wy się na to zgadzacie. Zmieńcie prawo! Djalao: to nie wy potrzebujecie *djanada*. To oni was potrzebują!

Dziewczynka siedziała nieruchomo z podniesioną głową, nie patrząc na nią.

– A co by *djanada* jedli? – zapytała, nadstawiając uszu.

– A kogo to obchodzi? Niech jedzą *piyanoty*! – zawołała rozdrażniona Sofia. – Na Rakhacie jest pełno zwierząt, które mogą zjadać mięsożercy.

Wychyliła się do przodu i mówiła przekonana, że w końcu znalazła kogoś, kto jest w stanie zrozumieć, że Runowie nie muszą godzić się na swoje bierne poddaństwo.

– Nie jesteście tylko mięsem. Macie prawo powstać i powiedzieć: Nigdy więcej! Po ich stronie jest zwyczajowe prawo, po waszej liczebność i... – Chciała powiedzieć: sprawiedliwość, ale w *ruanja* nie było takiego słowa, nie było też słowa oznaczającego równość. – Macie siłę – powiedziała w końcu – jeśli tylko zechcecie jej użyć. *Sipaj*, Djalao: Możecie się od nich uwolnić.

Mimo swojej młodości i gatunku, do którego należała, Djalao VaKashan sprawiała wrażenie, że nie tylko może, ale i chce mieć własne zdanie. Jednak odpowiedziała tylko:

– Ktoś rozważy twoje słowa.

Była to uprzejma odmowa. Emilio Sandoz zawsze twierdził, że formuła: „Ktoś rozważy twoje słowa” oznacza: „Kiedy świniom wyrosną skrzydła, może opowiem ci o mojej babci”.

Sofia westchnęła z rezygnacją. Próbowałam, powiedziała sobie w duchu. Kto wie? Może ziarno zostało zasiane?

Kobiety z Kashanu opuściły Trucha Sai następnego ranka i życie w osadzie powróciło do normalnego trybu. Opiekowanie się dziećmi, zbieranie pożywienia i przygotowywanie go, jedzenie – wciąż jedzenie. Było to spokojne życie, pozbawione wyzwań, i Sofia błogosławiła każdy taki dzień, pokonując lęk, kiedy nadchodziły kolejne skurcze. Czuła je nisko i głęboko i mówiła sobie, że nie są na tyle silne, by miały oznaczać coś poważnego, ale w takich chwilach nieruchomiała i siłą woli uspokajała swoje łono.

Runowie, których prawie nic na tym świecie nie dziwiło, byli jednak zaintrygowani ciężą Sofii, a zwłaszcza jej długim trwaniem i bardzo wzdętym brzuchem. Uwagi na temat pękających strąków *dainsy* padały zbyt często, więc kiedy do rozwiązania pozostały jeszcze cztery tygodnie, Sofia, rozdrażniona bólem w krzyżu i parnym upałem, nie wytrzymała i zrobiła im awanturę, wrzeszcząc, że nie chce już więcej słyszeć ani słowa o kimś lub o czymś, co pęka. Zaledwie to wykrzyzczała, na osadę runęła straszliwa wichura, przyginając pnie drzew aż do ziemi.

Potem rozszalała się taka ulewa, że Sofia się obawiała, iż będzie musiała nadać swojemu dziecku imię biblijnego Noego. Była całkowicie przemoczona, jakby wpadła do oceanu. Podczas burzy musiały jej odejść wody; parę godzin później zaczęły się bez ostrzeżenia silne skurcze.

– Za wcześnie! – krzyknęła do Kanchaya, Tinbara, Sichu-Lana i kilku innych, którzy ją otoczyli, kiedy leżała zwinięta w kłębek, czekając na następną falę skurczów.

– Może znowu się zatrzyma – uspokajał ją Kanchay, kiedy nadszedł kolejny skurcz. Ale dzieci mają własny rytm, a to dziecko już postanowiło wyjść na świat.

Przeżyła już wiele i nigdy nie poddawała się bólowi, teraz jednak była bardzo drobna i wychudzona, a przy tym jeszcze w pełni nie wydobrzała po ciężkim wypadku, któremu uległa przed dwoma miesiącami. Starła się chodzić, bo przynosiło jej to ulgę, ale i wyczerpywało; o świcie następnego dnia czuła się już bardzo, bardzo zmęczona i przestała myśleć o dziecku.

Chciała mieć to wszystko za sobą.

Wszyscy ojcowie mieli na ten temat własne opinie i nie szczędzili jej rad i komentarzy.

Warczała na nich, żeby się zamknęli i zostawili ją w spokoju, ale na próżno; ostatecznie byli Runami i nie widzieli powodu, by w takiej chwili zostawić ją samą. Nadal dotrzymywali jej towarzystwa, gawędząc nieustannie i łatając dziury, jakie powstały w dachu z plecionych liści i traw na skutek wichury.

Około południa, wyczerpana, straciła kontrolę nad tym, co się dzieje, i zamilkła. Nie protestowała, kiedy Kanchay zaniósł ją do niewielkiego wodospadu w pobliżu obozowiska.

Siedziała tam razem z nim pod strumieniem chłodnej wody, chłuszczącym jej ramiona i zagłuszającym irytujące głosy innych. Ku swojemu zaskoczeniu, poczuła się rozluźniona i chyba to spowodowało rozwarcie się łona.

– *Sipaj*, Fia – powiedział po jakimś czasie Kanchay, obserwując ją spokojnymi oczami o barwie błękitu z Chartres – połóż tutaj rękę.

Naprowadził jej palce na główkę tkwiącą między jej udami i uśmiechnął się, kiedy natrafiła na mokre i poskręcane włosy dziecka. Nadeszły jeszcze trzy miażdżące skurcze i wyłoniło się całe dziecko. Przypomniała sobie o nocnym koszmarze i krzyknęła, zanim się dowiedziała, czy ma córkę, czy syna:

– *Sipaj*, Kanchay! Oczy ma w porządku? Nie krwawią?

– Są małe – powiedział szczerze Kanchay. – Ale to normalne dla twojego gatunku – dodał, żeby ją pocieszyć.

– Ma dwoje oczu – doniósł jego kuzyn Tinbar, myśląc, że może o to się niepokoiła.

– Są niebieskie! – dodał jego przyjaciel Sichu-Lan z ulgą, bo dziwne, brązowe oczy Sofii zawsze go trochę niepokoiły.

Było cicho, kiedy poczuła, jak wychodzą z niej nóżki niemowlęcia, i z początku pomyślała, że urodziło się martwe. Nie, uspokajała się, to przez ten hałas, przez szum wody i to ich nieustanne gadanie. A potem w końcu usłyszała wrzask noworodka, pobudzonego do odetchnięcia przez chłodną wodę, która była taką ulgą dla jego matki pod koniec tego długiego, upalnego dnia.

Kanchay przyniósł naręczce liści, a Sichu-Lan chichotał, wskazując na genitalia niemowlęcia, bo były na wierzchu.

– Patrzcie! – zawołał. – Ktoś myśli, że to dziecko spieszy się do rozmnażania!

A więc to syn, pomyślała i wyszeptwała:

– Jimmy, mamy chłopczyka!

Wybuchnęła płaczem – nie z żalu lub strachu, ale z ulgi i wdzięczności – kiedy silne ręce wyjęły ją z wody, a gorący wiatr suszył ją i dziecko. Doznała wstrząsu, gdy znowu poczuła dotyk ludzkiej skóry, i zasnęła. Później wargi jej syna zacisnęły się po raz pierwszy na jej sutku: ssał go łagodnie, prawie leniwie, tak rozkosznie jak Jimmy. Jest taki cudowny, pomyślała, ale słaby. Coś jest z nim nie tak... No, ale przecież dopiero co się urodził i trochę za wcześnie.

Nabierze sił.

Postanowiła, że nada mu imię Izaak. Jego ojciec opuścił dom, by powędrować do dalekiego kraju jak Abraham, jego matka urodziła dziecko wbrew wszelkim oczekiwaniom i radowała się z tego jak Sara.

Przytuliła niemowlę do piersi i spojrzała w dół na mądre, sowe oczy w maleńkiej twarzyczce elfa, pod ciemnorudymi włosami. W tym momencie czuła do swojego syna więcej szacunku niż miłości. Dokonałeś tego, pomyślała. *Djanada* chcieli nas zabić, urodziłeś się za wcześnie, miałeś zły początek, ale żyjesz, na przekór wszystkiemu żyjesz.

Mogło być gorzej, myślała, tuląc do siebie dziecko i znowu zapadając w sen. Gorące powietrze Rakhatu otulało ich jak inkubator, kiedy spoczywali we dwoje, otoczeni pierścieniem rąk, nóg i ogonów szepczących Runów. Jestem Mendes i mój syn żyje, pomyślała. A mogło być gorzej.

MIASTO INBROKAR, RAKHAT

2046 czasu ziemskiego

– Dziecko jest ułomne.

Ljaat-sa Kitheri, czterdziesty siódmy Najdonioślejszy Najszlachetniejszego Dziedzictwa Inbrokaru, przekazał tę złą wiadomość ojcu noworodka bez żadnego wstępu. Wezwany przez ruńskiego służącego do prywatnych komnat Najdonioślejszego tuż po wejściu drugiego, najbardziej złotego słońca Rakhatu, Supaari VaGayjur przyjął to oświadczenie w milczeniu; nawet nie mrugnął.

Wstrząs czy opanowanie, zastanawiał się Kitheri, kiedy ten żalony małżonek jego córki podszedł do okna. Kupiec patrzył przez chwilę na stłoczone, pochyłe dachy Inbrokaru, a potem odwrócił się i kornie pochylił.

– Czy ktoś mógłby się dowiedzieć, wasza Wspaniałość, na czym polega ułomność?

– Wykręcona stopa. – Kitheri spojrział na drzwi. – To wszystko.

– Proszę o wybaczenie, wasza Wspaniałość – nalegał kupiec. – Czy to nie może być... zniekształcenie? Może jakieś drobne niedopatrzenie w okresie ciąży?

Cóż za oburzająca uwaga, zachnął się Najdonioślejszy, ale zignorował to, biorąc pod uwagę, kto ją wypowiedział.

– Żadna córka z mojej linii lub linii mojej żony nie popełniła ostatnio błędu – odpowiedział sucho, widząc z satysfakcją, że kupiec położył po sobie uszy. „Ostatnio”, w tym kontekście i w ustach Kitheriego, oznaczało, że jego ród jest starszy od wszystkich pozostałych rodów na Rakhacie.

Początkowo Ljaat-sa Kitheri był przerażony perspektywą małżeństwa swojej córki z tym nieudacznikiem, ale później pogodził się z tym, dochodząc do wniosku, że trzecia linia potomków stwarza sporo niezwykłych możliwości politycznych. Teraz jednak okazało się, że cała ta sprawa jest zwykłą farszą. Czego można się było spodziewać, pomyślał Najdonioślejszy, skoro maczał w tym ręce Hlavina.

To typowe dla Hlavina, który sam był hańbą dla rodu: przyznać prawo do spłodzenia dziecka komuś takiemu jak ten Supaari, po to tylko, by wprawić w zakłopotanie całą rodzinę. Od niepamiętnych czasów prawo do utworzenia nowej linii rodu powierzone było resztarowi, ponieważ statutowa bezpłodność stanowiła najdonioślejszy aspekt jego życia. Normalnie można było polegać na tych nieszczęsnych trzeciakach, że będą oszczędnie i rozsądnie szafować przywilejem, którego sami byli pozbawieni. Tyle że jeśli chodzi o Hlavina, nic nigdy nie było normalne, pomyślał Najdonioślejszy z irytacją i niesmakiem.

– Czy to był syn? – zapytał kupiec, przerywając tok myśli Najdonioślejszego.

Pytam tylko z ciekawości, mówił jego ton. I już użył czasu przeszłego. Godne podziwu, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Nie. To był osobnik rodzaju żeńskiego.

To była prawdziwa niespodzianka – ten wynik rozplodu. Kiedy kupiec przybył do Inbrokaru, by pokryć Jholąg, Najdonioślejszy poczuł ulgę, widząc, że to całkiem przyzwoity osobnik o znakomitym fenotypie. Uszy dobrze osadzone na szerokiej czaszce, zakończonej kształnym, mocnym pyskiem. Inteligentne oczy. Dobra szerokość w barach. Wysoki. Mocne pośladki. Może wzbogacić ród Kitherich, uznał w duchu Najdonioślejszy. Oczywiście trudno przewidzieć, co przyniesie taka krzyżówka.

Najdonioślejszy odchylił się do tyłu na umięśnionym, twardym ogonie, skrzyżował ramiona na masywnej klatce piersiowej, zaczepiwszy zakrzywione pazury wokół łokci, i przeszedł do sedna sprawy.

– Chyba rozumiesz, że w takich przypadkach ojciec ma pewien obowiązek. – Supaari uniósł podbródek; jego podłużna, przystojna i zaskakująco szlachetna twarz nie wyrażała niczego.

– Mogą być inne – pocieszył go Najdonioślejszy, ale obaj dobrze wiedzieli, że Jholaa jest teraz właściwie niedostępna.

Kupiec milczał.

Trochę niepokojące to milczenie. Najdonioślejszy opadł na poduszkę, żałując, że nie wysłał do kupca jakiegoś urzędnika z tą wiadomością.

– A więc ceremonia odbędzie się jutro rano, czy tak, Najdonioślejszy? – zapytał w końcu Supaari.

Moi przodkowie musieli to robić, pomyślał Najdonioślejszy, mimowolnie wzruszony.

Musieli poświęcać własne dzieci, aby oczyścić ród z nawracającej choroby, złych cech, odstępstwa od fenotypu.

– To niezbędne – powiedział na głos z przekonaniem. – Zabij jedno mało ważne dziecko dzisiaj, a uchronisz przyszłe pokolenia od cierpień. Musimy mieć na względzie większe dobro.

– Naturalnie temu domokrażcy brakuje i pochodzenia, i dyscypliny, które ukształtowały przeznaczonych od urodzenia do panowania. – Może – zasugerował z niezwykłą, jak na niego, delikatnością – może wolałbyś, żebym ja... Kupiec wstrzymał oddech i podniósł się.

– Nie. Dziękuję, Najdonioślejszy – powiedział z lekką nutą nieodwołalności i powoli skierował na niego spojrzenie.

Znakomicie skalkulowana groźba, uznał w duchu Najdonioślejszy z pewnym zaskoczeniem, znacząca, że tego osobnika nie można obrazić bezkarnie, ale zręcznie złagodzona pełnym uległości tonem, gdy Supaari po chwili dodał:

– Jest to, być może, cena, jaką ktoś płaci za próbę osiągnięcia czegoś nowego.

– Tak – zgodził się Ljaat-sa Kitheri. – Dokładnie moja myśl, choć ta kupiecka frazeologia nie jest zbyt szczęśliwa. A więc jutro.

Kupiec przyjął napomnienie z wdziękiem, ale opuścił komnatę Najdonioślejszego bez obowiązującego ukłonu pożegnalnego. To było jego jedyne potknięcie. I być może świadome, pomyślał Najdonioślejszy z odrobiną szacunku.

Mogę za to podziękować Sandozowi, myślał z goryczą Supaari, zmierzając krętymi korytarzami do swojej kwatery w zachodnim pawilonie pałacu Kitherich. Ze ściśniętym gardłem, powstrzymując się od wycia, padł na gniazdo do spania i leżał tam, pogrążony w rozpacz. Jak mogło do tego dojść? Wszystko, co posiadał – bogactwo, dom, interesy, przyjaciele – wszystko za jedno niemowlę z wykręconą stopą. Wszystko przez tego Sandoza, który nic nie stracił, pomyślał ze złością. To był zły interes od samego początku.

A przecież, dopóki Najdonioślejszy nie oznajmił mu tej katastrofalnej wieści, Supaari był przekonany, że nie popełnił ani jednego błędu. Był ostrożny i rozsądny; decyzje, które podejmował przez ostatnie trzy lata, uważał za najlepsze. Runowie z wioski Kashan byli jego klientami: miał obowiązek pośredniczyć w ich handlu, nawet jeśli wymagało to robienia interesów z tymi pozbawionymi ogonów cudzoziemcami z H'earth. A kto był oczywistym odbiorcą ich egzotycznych towarów? Resztar Galatny, Hlavin Kitheri, dobrze znany ze swojej zachłanności na wszystko, co egzotyczne i niepowtarzalne. Może powinienem pozostać z tymi cudzoziemcami w Kashanie, zapytywał sam siebie. Nie, to niemożliwe! Prowadził rozległe interesy, miał zobowiązania wobec innych wiejskich korporacji.

Nawet wówczas, kiedy cudzoziemcy nauczyli Runów hodować żywność, kiedy władze wykryły nielegalne rozmnażanie się na południu i kiedy wybuchły zamieszki – nawet wtedy Supaari miał jeszcze swobodę wyboru, zanim wszystko pogrążyło się w chaosie. Cudzoziemcy byli tu całkowicie obcy, nie wiedzieli, że to, co robią, jest złe. Zamiast pozwolić, by tych dwóch, którzy ocaleli, osądzono za wywołanie buntu, Supaari zaproponował im zrobienie *hasta'akali*.

W dodatku jeden z nich prawie natychmiast po tym umarł, co było złym znakiem. Może powinienem najpierw poznać ich nieco lepiej, pomyślał teraz z goryczą. No tak, ale przecież chciał zapewnić im jakiś legalny status, zanim znajdą się w rękach władz i zostaną uśmierceni.

Skąd mógł wiedzieć, że będą tak bardzo krwawić?

Kiedy Sandoz wyzdrowiał, Supaari zrobił wszystko, co w jego mocy, by wciągnąć tego małego tłumacza w życie swojego handlowego przedsiębiorstwa. Namawiał go, by przebywał w magazynach i biurach, zachęcał do zainteresowania się codziennymi sprawami handlowymi.

Sandoz był jednak wciąż przygnębiony. W końcu, zrobiwszy wszystko, co mógł zrobić, nie łamiąc zasad uprzejmości, Supaari zdobył się na grubiaństwo, zapytując Sandoza wprost, o co mu chodzi.

– Panie, twój niegodny gość jest samotny – odpowiedział Sandoz, wzruszając ramionami w sposób, który zdawał się oznaczać rezygnację.

A może akceptację? Obojętność? Trudno było się zorientować, co oznaczają takie gesty.

Lecz już w chwilę później cudzoziemiec dodał uległym tonem, jakby chciał zatrzeć wrażenie skargi:

– O panie, jesteś dla mnie bardziej niż łaskawy, a twoja gościnność bez zarzutu. Ten ktoś bezużyteczny jest ci nieskończenie wdzięczny.

Tęskni za innymi ze swojego gatunku, pojawił wreszcie Supaari i zaczął się zastanawiać, kogo ci cudzoziemcy bardziej przypominają, Runów czy Jana’atów. Serdeczność Runów była szczerą, ale elastyczna; obejmowała każdego, kto był blisko, ale wygasła niepostrzeżenie, kiedy ktoś się oddalał. A jednak czuli się szczęśliwi tylko w stadzie. Och, tak, samice jakoś znosiły samotność i pracowały wśród obcych, ale samce musiały mieć rodzinę, dzieci. Bez krewniaków i przyjaciół po prostu przestawały jeść i zdychały. Rzadko do tego dochodziło, ale się zdarzało.

– Sandoz, czy wdychasz za żoną? – zapytał Supaari, decydując się na taką otwartość ze strachu, że i ten cudzoziemiec może umrzeć w jego domu.

– Panie, twój wdzięczny gość żyje w „celibacie” – odpowiedział Sandoz, używając cudzoziemskiego słowa i patrząc w bok, a po chwili wyjaśnił: – Tacy ludzie jak ten ktoś niegodny nie mogą mieć żon.

– Ach tak! Więc twój gatunek jest podobny do Jana’atów, u których tylko pierwsze i drugie dziecko może mieć żonę i potomstwo – powiedział Supaari z ulgą. – Ja też jestem... w celibacie. Jesteś trzeciakiem, tak jak ja?

– Nie, panie. Jestem drugim dzieckiem. Wśród takich, jak twój gość, każdy może się parzyć i mieć potomstwo, nawet piąte czy szóste dziecko.

Piąte? Szóste? Supaariego ogarnęło zdumienie. Jak mogą pozwolić sobie na tyle potomstwa?

Czasami czuł, że rozumie zaledwie jedną dwunastą z tego, czego dowiadywał się o tych cudzoziemcach.

– Skoro jesteś drugi, to dlaczego nie bierzesz sobie żony?

– Ten ktoś niegodny postanowił nie brać sobie żony, panie. To u nas niezwykle wybór, podobnie jak wśród was. Tacy jak twój gość opuszczają rodzinę, w której się urodzili, nie wiążą się z żadną inną osobą i nie mają dzieci. W ten sposób możemy kochać wszystkich bez wyjątku i im służyć.

Supaari był wstrząśnięty, dowiadując się czegoś takiego o tym małym cudzoziemcu, którym się zaopiekował.

– Więc jesteś sługą wszystkich?

– Tak, panie, byłem nim, kiedy przebywałem wśród swoich.

Ale teraz nie ma już twoich, którym mógłbyś służyć, pomyślał Supaari. Opadł na poduszki, pozwalając, by stygły resztki dania, które spożywał, i pomyślał tęsknie o dniach, w których jego najbardziej kłopotliwym problemem było przewidywanie, jaki będzie kirt w nadchodzącej porze roku.

– Sandoz, jaki jest twój cel? – zapytał, usiłując zyskać pewność. – Po co tutaj przybyłeś?

– Panie, przybyłem tu, aby poznać język. Żeby nauczyć się pieśni twojego ludu.

– Ha’an mi to mówiła! – zawołał Supaari, zrozumiałwszy wreszcie, co oznaczały słowa Anne Edwards. – Przybyłeś tu, bo usłyszałeś pieśni naszych poetów i pokochałeś je.

Wpatrywał się w Sandoza: to wcale nie jest tłumacz, wyhodowany, by pomagać w handlu, ale urodzony drugi w kolejności, który postanowił nie mieć potomstwa i zostać poetą, który służy wszystkim! Nic dziwnego, że nie okazuje najmniejszego zainteresowania handlem! Teraz to rozumiem, wszystko układa się w logiczną całość. W wyjątkowo pomyślną całość.

– Sandoz, czy chciałbyś służyć poetom, których pieśni przywiodły cię tutaj?

Cudzoziemiec rozpromienił się – po raz pierwszy od czasu, gdy znalazł się w jego domu.

– Tak, panie. To byłby zaszczyt dla twojego niegodnego gościa. Prawdziwy zaszczyt.

Więc Supaari zajął się urzeczywistnieniem marzenia cudzoziemca. Negocjacje były delikatne, zawile, rozkoszne. W końcu doprowadził do cudownie wyważonej transakcji – było to prawdziwe ukoronowanie jego świetnej kariery kupca. Cudzoziemiec Sandoz otrzyma to, czego tak bardzo pragnął: będzie służył Hlavinowi Kitheriemu, resztarowi Galatny, którego mierny talent poetycki może zostać ponownie pobudzony przez inspirujący kontakt z cudzoziemcem.

Młodsza siostra resztara, Jholaa, zostanie uwolniona od przymusowej jałowości swojej egzystencji, podobnie jak sam Supaari, przez ich małżeństwo i ustanowienie nowej linii darjańskiej z pełnymi prawami rozplodu. Ponieważ majątek Supaariego przejdzie na własność tej linii, Najszlachetniejsze Dziedzictwo Inbrokaru zyska trzeci klan, niczego przez to nie tracąc: idealne pomnożenie linii rodowych bez konieczności podziału majątku.

Po osiągnięciu zgody i oficjalnym zawarciu transakcji nastąpiło przekazanie opieki. Sandoz został przeniesiony do domostwa resztara po dłuższym pobycie w Pałacu Galatny. Supaari osobiście dopilnował prezentacji cudzoziemca resztarowi; prawdę mówiąc, trochę go zaniepokoiła namiętna, rozdygotana gorliwość, z jaką Sandoz wzbudził pożądanie w Kitherim.

Kupiec opuścił jednak Pałac Galatny wielce rad ze szczęścia, jakie go spotkało, przekonany, że spełnił również pragnienie Sandoza.

Już wkrótce Supaari zaczął się zastanawiać, czy nie doszło do jakiegoś nieporozumienia.

– Jak się sprawuje cudzoziemiec? – zapytał kilka dni później, mając nadzieję, że Sandoz ma się wspaniale.

– Dobrze – odpowiedział sekretarz resztara. – Za każdym razem opiera się jak dziewczyna.

Resztar był zadowolony i stworzył już cykl wspaniałych pieśni. Wszyscy mówili, że najlepszy od wielu lat. Dziwne jednak było to, że cudzoziemiec reagował na seks gwałtownymi wymiotami. To trochę niepokojące, pomyślał Supaari, ale najwyraźniej tak zwykle reagują członkowie jego gatunku. Sofia, inny członek cudzoziemskiej delegacji, wyszła za mąż na krótko przed tym, zanim, jak sądził, została zabita podczas buntu w Kashanie; ona też miała często mdłości.

W każdym razie transakcja została sfinalizowana i nie pora już na wątpliwości. Poematy resztara były naprawdę zachwycające, podobnie jak nowy dom Supaariego w mieście Inbrokar, podobnie jak jego nowa żona, szlachetna Jholaa.

Z czasem twórczość Hlavina Kitheriego nabrała bardzo dziwacznych cech i znakomity poeta został zmuszony do milczenia. Wkrótce Supaari odkrył, że Inbrokar jest przeraźliwie nudny w porównaniu z tętniącym życiem Gayjurem. Co prawda, Jholaa nie była nudna, ale wszystko wskazywało na to, że jest szalona. A Sandoza już nie było, został odesłany tam, skąd przybył, przez drugą delegację z H'earth. Sama delegacja gdzieś znikła. Najprawdopodobniej też powróciła na H'earth.

Biorąc pod uwagę ostateczny rezultat tej transakcji, Supaari wolałby nigdy nie spotkać ani Sandoza, ani resztara, ani Jholai. Byłem naiwnym głupcem, powiedział sobie w duchu. Mogłem przewidzieć, co przyniesie zmiana. Porusz kamień, a potoczy się lawina.

Właśnie wtedy z ponurą pewnością zdał sobie sprawę, że gdyby miał spłodzić nowe dziecko, jego drugie spotkanie z Jholaa napawałoby go jeszcze większym wstrętem niż pierwsze. W tej warstwie społecznej płodzenie potomstwa było zazdrośnie strzeżone; Jholaa na pewno nigdy nawet nie widziała parzenia się Runów, co dla ostatnich Jana'atów było zwykle pierwszą lekcją seksualnych zachowań. Supaari zbliżył się do niej, spodziewając się jakiejś obezwładniającej erotycznej rozkoszy, opisywanej i obiecywanej w poematach resztara, ale szybko się okazało, że Jholaa nawet nie czytała ostatnich utworów swojego brata. O mało nie stracił oka podczas płodzenia dziecka, które jutro rano miał zabić; prawdę mówiąc, zrezygnowałby w ogóle z pokrycia tej rozwścieczonej damy, gdyby nie jej feromony i zniewalający zapach krwi.

Kiedy już było po wszystkim, Supaari czmychnął z ulgą, przeżywając gorycz rozczarowania.

W końcu zrozumiał, dlaczego tak wielu jana'atańskich arystokratów brało sobie ruńskie konkubiny – specjalnie do tego wyhodowane i wyćwiczone w sprawianiu rozkoszy – gdy tylko spełniło swój dynastyczny obowiązek.

Jholaa Kitheri u Darjan, teraz wyczerpana ciężkim porodem i pogrążona we śnie, zawsze była bardziej dynastyczną ideą niż żywą osobą.

Jak większość żeńskich członków jej kasty, utrzymywana była w stanie katastrofalnej niewiedzy, nie była jednak głupia. Nie pozwalano jej oglądać niczego ważnego, była jednak bystrym obserwatorem emocjonalnych niuansów – na tyle wnikliwym, by zastanawiać się, jeszcze jako dziewczynka, czy ojciec był niegodziwy, czy bezmyślnie okrutny, kiedy od czasu do czasu pozwalał jej opuścić komnatę i spocząć na poduszkach w ciemnym kącie dziedzińca, podczas jakichś mniej ważnych zgromadzeń państwowych. Lecz także wtedy nikt nigdy nawet nie spojrział w jej stronę.

– Równie dobrze mogłabym być ze szkła, wiatru lub czasu! – zawołała, skarżąc się na tę obojętność, kiedy miała dziesięć lat. – Srokan, ja istnieję! Dlaczego nikt mnie nie dostrzega?

– Nie widzą mojej najpiękniejszej pani, bo ma ona w sobie chwałę księżyców! – odpowiedziała ruńska niańka z nadzieją, że odwróci uwagę dziecka od istotnego problemu.

– Wasz lud nie może patrzeć na księżyce, które żyją w najprawdziwszej nocy. Tylko Runowie, jak twoja biedna Srokan, mogą oglądać takie rzeczy i cieszyć się nimi.

– A właśnie że ja zobaczę to, czego inni nie mogą zobaczyć – oświadczyła wówczas Jholaa, wyzwalając się z objęć Srokan.

Tego samego dnia postanowiła nie zasnąć nie tylko po drugim zachodzie, ale i po zachodzie trzeciego, najmniejszego słońca, aby na własne oczy zobaczyć owe pełne chwały księżyce. Nikt nie mógł jej tego zabronić; przeszkodą mogła być tylko porażająca senność dziecka jej gatunku. Dla Jana'aty nie było nic bardziej przerażającego od nocy, ale towarzyszyła jej Srokan, opowiadając bajki i dzieląc się plotkami, gładząc ją delikatnie i uspokajając, kiedy dziewczynka przestała widzieć najpierw błękit wieczoru, a potem żółtość zachodu, kiedy kontrasty przybrały barwę ciemnej szarości, aż wreszcie nadeszła ciemność tak gęsta i tak przytłaczająca, że można ją było przyrównać jedynie do życia jana'atańskiej arystokratki. Od ślepej paniki powstrzymywał ją tylko łagodny głos Srokan, znajomy zapach pościeli i kadzidła, i aromat pieczonego mięsa utrzymujący się jeszcze w powietrzu. Nagle Srokan ścisnęła mocno jej ramiona i podniosła ją na nogi.

– Są! Chmury się rozstały i już są! – wyszeptwała z przejęciem, kierując głowę Jholai w odpowiednią stronę, żeby zobaczyła owe jaśniejące tarcze, przypominające małe, zimne słońca w atramentowej ciemności, piękne i odległe jak śnieg na szczytach gór.

– Na nocnym niebie są też inne rzeczy – powiedziała Srokan. – Córki księżyców! Małeńkie, roziskrzone dzieciątka!

Jana'atańskie oczy nie pozwalały Jholai widzieć takich rzeczy i musiała uwierzyć niani na słowo, że to prawda, a nie jeszcze jedna głupia bajka Runów.

Było to jedyne godne zapamiętania wydarzenie z całego jej dzieciństwa.

Przez pewien czas Jholaa dzieliła osamotnienie z resztarem Kitherim, młodszym bratem Hlavinem. Jego tytuł znaczył „zapasowy” i podobnie jak Jholaa miał tylko jeden cel wżyciu: istniał, gotów przejąć dziedzictwo, gdyby obaj starsi bracia przestali istnieć. Hlavin był poza Srokan jedyną osobą, która zauważała Jholagę. Opowiadał jej bajki i śpiewał tajemne pieśni, choć był bity, jeśli przyłapał go na tym jego wychowawca. Tylko on potrafił ją rozśmieszyć, kiedy żony Dheraiego i Bhansaara zapełniły komnaty dziecięce maluchami, które pozbawiły jego i Jholagę prawa dziedziczenia w rodzie Kitherich. Tylko Hlavin potrafił zapłakać, kiedy opowiedziała mu o księżycach i wyznała, że z każdym nowo narodzonym bratankiem i siostrzeńcem czuła się coraz bardziej jak dziecko księżycy: niewidzialna dla własnego ludu, jaśniejąca w ciemności.

Dheraiemu urodził się własny reszta, a potem Bhansaarowi; prawo sukcesji rodowej zostało raz na zawsze ustalone i Hlavina wygnano do portu Gayjur, aby zabezpieczyć bratanków przed zawiedzionymi ambicjami wuja. Hlavin znalazł sposób, by jej śpiewać nawet na wygnaniu, przesyłając odbiornik radiowy, tak że mogła wysłuchać własnych słów o córkach księżycy, dosiadając fal równie niewidzialnych jak gwiazdy, pochłonięta transcendentną kantatą, którą śpiewał podczas swojej pierwszej audycji radiowej z Pałacu Galatny. Zezwolono mu na to, ponieważ nie śpiewał tradycyjnych pieśni – do czego mieli prawo jedynie urodzeni pierwsi i drudzy w kolejności – lecz coś nowego i zupełnie innego.

Koncert rozżłościł Jholagę; poczuła się tak, jakby jej coś skradziono, a nie podarowano.

Kiedy muzyka ucichła, zrzuciła radio z piedestału, jakby to ono było winne.

– Gdzie jest Galatna? – zapytała, kiedy Srokan pochyliła się, aby zebrać szczątki odbiornika.

– Jest osadzona jak klejnot na górze ponad miastem Gayjur, które leży nad oceanem – powiedziała jej Srokan, a potem podniosła głowę i spojrzała na nią szeroko otwartymi niebieskimi oczami. – Tyle wody, że można stanąć na skraju i patrzeć, patrzeć tak daleko, jak sięga wzrok, ale końca tej wody nie widać!

– Kłamiesz. Nie ma czegoś takiego. Wszyscy Runowie kłamią. Gdybyście mogli, to byście nas pozabijali – powiedziała Jholaa potępiającym tonem; była już dość duża, by znać strach pana.

– Ależ to bzdury, maleńka! – zawołała Srokan z dobrodusznym zdumieniem. – Przecież Jana’atowie śpią w porze czerwonego słońca i przez całą prawdziwą noc, a nikt nie robi im krzywdy! Ta oddana służka nie kłamie swojej pani. Księżyce są prawdziwe. Ocean też jest prawdziwy! Jego woda smakuje jak sól, a jego powietrze ma woń, jakiej nie zna nikt, kto żyje w głębi lądu!

Złość była wówczas jedynym silniejszym uczuciem, które było w stanie wyrwać Jholę z otępienia, w jakim bywała pogrążona przez całe dnie. Nienawidziła tych nieszczęsnych Runów, którzy byli jej jedynymi towarzyszami, nie znosiła tych bezwstydných flejtuchów za to, że mogą swobodnie opuszczać pałac, bez woalu i bez straży, oglądać oceany i wdychać zapachy, których ona nigdy nie pozna. Schwyciwszy Srokan za ucho wykwintnym pazurem, zaczęła je szarpać, aż naderwała krawędź, a Runka wyznała, że sama nigdy nie widziała ani nie smakowała oceanu, tylko słyszała o nim od pomocy kuchennej pochodzącej z południa. Hlavin mógłby jej powiedzieć prawdę o oceanie, ale go utraciła więc pozwoliła, by niańka zaczęła ją głaskać drżącymi rękami, aby ukoić jej złość. I czuła słony zapach krwi, nie oceanu.

Tej nocy, kiedy Jholaa leżała oślepią w ciemnym, bezużytecznym świetle małego, czerwonego słońca Rakhatu, postanowiła uśmiercić Srokan za to, że rozmyślała o zamordowaniu Jana'atów we śnie. Każę też zabić jej dzieci, żeby wygasł cały ród.

Srokan była dość stara. Trzeba będzie udusić mięso, pomyślała Jholaa i zasnęła.

Właśnie dlatego nie było nikogo, kto by ostrzegł Jholą i przygotował do tego, co stanie się po ślubie: służące bały się jej i żadna nie miała odwagi, by jej wyjaśnić, dlaczego stroją ją jak przed jakąś ceremonią państwową. Jholaa przywykła już do tego i nie była zaskoczona, kiedy zaprowadzono ją do sali pełnej olśniewająco wystrojonych urzędników i wszystkich jej krewnych, którzy nadal śpiewali, jakby jej tam nie było.

Stała spokojnie przez cały czas trwania ceremonialnych deklamacji; takie uroczystości ciągnęły się zwykle w nieskończoność i wkrótce przestało do niej docierać, o czym śpiewają.

Zwróciła na to uwagę dopiero wtedy, kiedy usłyszała swoje imię, a potem rozpoznała melodię przypieczętowującą małżeństwo i zrozumiała, że właśnie została oficjalnie związana z kimś, kogo rodowego imienia nigdy przedtem nie słyszała. Z rozszerzonymi oczami, ukrytymi za inkrustowanym klejnotami złotym woalem, zaczęła się rozglądać za kimś – kimkolwiek – kogo mogłaby zapytać, czy wysyłają ją do jakiegoś innego kraju, ale zanim zdołała to uczynić, zbliżyli się do niej jej ojciec i bracia i poprowadzili na środek komnaty.

Pojawiły się jej ruńskie służebnice, a kiedy zaczęły ją rozbierać, Jholaa zapytała, co się dzieje, lecz mężczyźni tylko wybuchnęli śmiechem. Rozwścieczona i przerażona, próbowała się czymś zakryć, ale wówczas ów mężczyzna, którego imienia nawet nie zapamiętała, podszedł tak blisko, że poczuła jego zapach, zrzucił z siebie szatę i... Nawet na nią nie spojrział, tylko stanął za nią, chwycił ją szponami za kostki u nóg i...

Opierała się jak mogła, ale jej wrzaski utonęły w okrzykach rozbawienia i zachęty. Później usłyszała, jak jej ojciec mówi z dumą do gości:

– Dziewica! Nikt nie może temu zaprzeczyć!

A jej starszy brat dorzucił:

– Walczyła jak ten dziwaczny cudzoziemiec, którego dosiadał Hlavin i jego znajomi...

Kiedy było po wszystkim, zaprowadzono ją przez odświętne udekorowany dziedziniec do małego okratowanego pomieszczenia, gdzie siedziała oszołomiona, brocząc krwią, wysłuchując uroczystych pieśni na cześć Jholai Kitheri u Darjan, wbrew wszelkim przeciwnościom poślubionej – urodzonemu trzeciemu dziecku – kupcowi, który nigdy by nie spłodził potomka, gdyby nie cudzoziemski sługa Sandoz. A kiedy Jholaa w końcu urodziła to dziecko, jego rodowód był niepodważalny. I zrozumiała, że to jest właśnie jedyny powód, dla którego istnieje.

Wiedziała, że podobny los czeka jej córkę. Tuż po porodzie nawet nie spojrzała na noworodka, ale wyrwała rękę z uścisku położnej i zamachnęła się pazurem, pragnąc rozerwać mu gardło. Później, kiedy pojawił się jej brat Dherai, aby oznajmić, że niemowlę jest ułomne, przyjęła to obojętnie.

– Więc je zabijcie – powiedziała, pragnąc, by ktoś zabił i ją.

6

NEAPOL wrzesień 2060

Emilio Sandoz zdołał się uspokoić po wizycie papieża dopiero po paru godzinach. Zaledwie usnął, poderwał się na łóżku, słysząc pukanie.

– Boże! Co znowu? – krzyknął, opadając z powrotem na poduszkę. Wyczerpany, zamknął oczy i zawołał: – Odejdź!

– Mam nadzieję, że rozmawiasz z Bogiem – odezwał się znajomy głos – ponieważ nie zamierzam wracać do Chicago.

– John? – Sandoz wyskoczył z łóżka i otworzył łokciami wysokie, drewniane żaluzje.

– Candotti! – krzyknął, zdumiony, wychylając się przez okno mansardy. – Myślałem, że po zakończeniu przesłuchań odesłano cię do domu!

– Odesłano, ale ściągnięto z powrotem.

John Candotti stał na podjeździe, szczerząc do niego zęby. W długich kościstych rękach trzymał jakieś tekturowe pudło. W świetle późnego popołudnia jego wystający spod na pół łysej czaszki rzymski nos rzucał ostry cień niby zegar słoneczny.

– Co z tobą? Czy muszę zostać papieżem, żebyś mnie zaprosił do środka?

Sandoz oparł łokcie na parapecie; jego pozbawione nerwów, długie palce zwisały z okna jak pędy bluszczu *sta'aka*.

– Właź na górę – westchnął z teatralną rezygnacją. – Drzwi są otwarte.

– Wielki El Kahuna mówi mi, że szukasz asystenta i dopiero co przeprowadziłeś rozmowę kwalifikacyjną z Ojcem Świętym! – zawołał John, wspinając się po schodach i garbiąc w drzwiach, które Emilio, niższy od niego o głowę i ramiona, uważał dotąd za wysokie. – Miłe mieszkanko, Sandoz. I takie schludne.

– Dzięki, że zwróciłeś na to uwagę – rzekł Emilio, a jego angielski nagle zabrzmiał bardziej jak w ustach mieszkańca Long Island niż Puerto Rico. Pochylił się nad stolikiem, zakładając protezy. – A teraz pewnie chłasniesz mnie brzytwą i wlejesz do rany trochę soku cytrynowego?

– Billy Crystal. *Princess Bride* – zgadł natychmiast John, kładąc pudło w kącie pokoju. – Człowieku, brakuje ci nowego materiału. Czy obejrzałeś którąś z tych komedii, które ci polecałem?

– Tak. Podobała mi się ta holenderska, *East of Edam*. Najlepsza. *No Sign of Life* też była dobra. W tych nowszych nie łapię dowcipu. W każdym razie – zawołał z oburzeniem – niby skąd mogłem wiedzieć, że to papież?! Jakies wapniaki zjawiają się pod moim domem...

– Gdybyś posłuchał moich rad – powiedział John tonem rozdrażnionego ojca duchownego kleryków – połapałbyś się w tych żartach i rozpoznałbyś tego pieprzonego papieża! – Sandoz zignorował go, podobnie jak ignorował czterdziestoletnią dziurę w swojej znajomości historii współczesnej. Z początku był zbyt słaby i chory, a teraz po prostu miał to wszystko w nosie. – Czy do ciebie w ogóle dociera, jak ważny jest sam fakt, że Gelazy nas odwiedził? Mówiłem ci, że już czas, byś się trochę zainteresował tym, co dzieje się naokoło! Ale czy ty mnie kiedykolwiek posłuchałeś? Nigdy!

I nawet teraz mnie nie słuchasz, zdał sobie sprawę John, obserwując go. W ciągu ostatnich dwu miesięcy Emilio zrobił znaczne postępy w samodzielnym zakładaniu protez, ale ta czynność wciąż wymagała od niego sporej koncentracji.

– ...a Giuliani po prostu sobie stoi i patrzy, jak ja ładuję się w gówno! – mruczał pod nosem Sandoz, wpychając po kolei ręce w otwarte protezy, a później kołysząc wychudzonymi przedramionami, żeby dźwignie zaskoczyły. Rozległo się ciche furkotanie, kiedy płaskie uchwyty i elektroniczne czujniki zacisnęły się na jego palcach, przegubach i przedramionach.

Wyprostował się. – Marzę o tym, żeby pewnego dnia przyłoić temu skurczybykowi.

– Powodzenia – powiedział John. – Osobiście uważam, że Kubańcy mają większą szansę na zwycięstwo w mistrzostwach świata.

Usiedli przy stole – Sandoz na krześle tuż przy kuchni, a John naprzeciwko, tam, gdzie siedział papież – i zaczęli się przerzucać kawałkami dialogów z *East of Edain*, *Back Streets* i filmów ze starą Mimi Jensen. John rozglądał się po pokoju – rozgrzebane łóżko, skarpetki na podłodze, brudne naczynia w zlewie – a potem przyjrzał się podejrzliwie rozczochranemu i nie ogolonemu Sandozowi. Emilio zwykle dbał o swój wygląd; czarnosrebrne włosy miał wyszczotkowane, brodę konkwistadora krótko przystrzyżoną, ubranie bez najmniejszej plamki.

John spodziewał się, że jego nowe mieszkanie będzie idealnie wysprzątane.

– Każde duchowe oświecenie zaczyna się od schludnie posłanego łóżka – wyrecytował Candotti, rozkładając ramiona, aby wskazać na bałagan w całym pokoju. Zmarszczył brwi. – Wyglądasz okropnie. Kiedy ostatnio spałeś?

– Z piętnaście minut temu. Potem przyszedł jakiś upierdliwy kumpel i wyrwał mnie ze snu.

– Chcesz kawy czy czegoś innego?

Wstał i poszedł do kuchni, otworzył kredens i wyjął puszkę z kawą, stojąc plecami do Johna i udając, że jest bardzo zajęty.

– Nie. Usiądź. Nie zmieniaj tematu. Kiedy naprawdę spałeś, zanim przyszedłem?

– Pamięć jest zawodna. – Sandoz odłożył puszkę z kawą, trzasnął drzwiczkami kredensu i wrócił, by ponownie opaść na krzesło. – Nie matkuj mi, John. Nie znoszę tego.

– Giuliani mówił, że te ręce wciąż cię piekielnie bolą – powiedział John, nie zrażony uwagą Emilia. – Nie rozumiem. Przecież są już wyleczone! – zawołał, wskazując na nie oskarżycielskim gestem. – Dlaczego wciąż bolą?

– Z tego, co mi mówili, wynika, że martwe nerwy wyprowadzają mój system nerwowy z równowagi – odpowiedział Sandoz z jadowitymżywieniem. – Mój mózg jest trochę wkurwiony, bo od dawna nie miał wiadomości od moich rąk. Myśli, że mogą mieć jakieś kłopoty, więc zwraca mi uwagę na tę sytuację, a robi to zupełnie tak samo jak upierdliwy kumpel! – Popatrzył przez chwilę przez okno, aby się uspokoić, a potem zerknął na Johna, który był przyzwyczajony do takich wybuchów i nie robiły na nim wrażenia. – Wybacz mi, stary. Ten ból mnie wykańcza, rozumiesz? Przychodzi i mija, ale czasami...

John odczekał chwilę, a potem skończył za niego zdanie:

– Czasami boisz się, że już nigdy nie minie.

Emilio nie przytaknął, ale i nie zaprzeczył.

– Zbawcza moc cierpienia jest, przynajmniej z mojego doświadczenia, bardzo przesadzona.

– Tak, dla mnie to też zbyt franciszkańskie – zgodził się John. Emilio roześmiał się, a John wiedział, że jeśli rozśmieszy Sandoza, ma już połowę roboty za sobą. – Jak długo tym razem? – zapytał.

Sandoz zbył to pytanie wzruszeniem ramion i odwrócił wzrok.

– Jak pracuję, jest lepiej. Skoncentrowanie się na czymś zwykle pomaga. – Zerknął na Johna. – Teraz jest okay.

– Tyle że masz wszystkiego dość. Dobra. Pozwolę ci trochę odpocząć. – Trzasnął rękami o uda i wstał, ale zamiast wyjść, podszedł do analizatora dźwięku ustawionego pod szczytową ścianą, naprzeciw schodów. Zaciekawiony, obejrzał go uważnie, a potem rzucił zdawkowo: – Po prostu chciałem spotkać się z moim nowym szefem... chyba że już zatrudniłeś papieża?

Sandoz zamknął oczy i obrócił się na krzesło, żeby spojrzeć na Johna przez ramię.

– Że niby co?

John odwrócił się, szczerząc zęby, ale uśmiech zamarł, kiedy zobaczył twarz Emilia.

– Powiedziałaś, że chcesz kogoś, kto mówi po węgiersku. I po angielsku albo po łacinie.

– Albo po hiszpańsku. Moja łacina jest całkiem kiepska – dodał, tracąc odwagę. – Ale jestem równy gość. No i cały należę do ciebie. Jeśli mnie chcesz.

– Żartujesz – powiedział Emilio bezbarwnym tonem. – John, nie ładuj mi kitu.

– Masz do wyboru szesnaście języków, a używasz slangu?

– Słuchaj, Emilio, nie jestem lingwistą, ale radzę sobie nieźle z systemami i szybko się uczę. Rodzice mojej mamy pochodzili z Budapesztu. Babcia Toth opiekowała się mną po szkole. Po węgiersku mówię lepiej niż po angielsku. W ojczyźnie babcia była poetką i...

Sandoz kręcił głową, nie wiedząc, czy się śmiać, czy płakać.

– John, John. Nie musisz mnie przekonywać. Tylko... – Tylko że tak mu Candottiego brakowało. Tylko że tak potrzebował pomocy, a nie mógł się przemóc, by o nią poprosić, tak mu było potrzebne towarzystwo kogoś bliskiego, a bał się nowych przyjacieli. Ojciec John Candotti, kapłan, który potrafił wybaczać, usłyszał wszystko, a jednak ani nim nie pogardzał, ani się nad nim nie litował. Głos Emilia był miłosiernie spokojny, kiedy w końcu znalazł właściwe słowo.

– Byłem pewny, że to jakaś pułapka. Widzisz, ja zapomniałem, jak to jest, kiedy się otrzymuje dobrą wiadomość.

– Nie ma żadnej pułapki – oświadczył John z żarliwym przekonaniem, bo życie nie nauczyło go przygotowywać się na niespodziewany cios. Ruszył ku schodom. – Kiedy mogę zacząć?

– Natychmiast, jeśli o mnie chodzi. Ale używaj systemu bibliotecznego, dobra? Idę do łóżka – odpowiedział Sandoz, ziewając potężnie. – Jeśli w październiku wciąż będę spał, na co mam wielką nadzieję, pozwalam ci się obudzić. A tymczasem możesz zacząć od instruktażowego programu nauki języka *ruanja*. Giuliani ma hasła dostępu. Z *K'sarem* poczekaj na mnie. To kurewski język, John.

Położył lewą rękę na stole, kołyszając ramieniem, aby rozewrzeć uchwyty protez, lecz po chwili znieruchomiał, uderzony jakąś myślą.

– Jezu... Giuliani wysyła cię z następną grupą?

Zapanowało długie milczenie.

– Tak – odpowiedział w końcu John. – Na to wygląda.

– I chcesz tam lecieć?

John pokiwał głową, oczy miał poważne.

– Tak, chcę.

Otrząsnąwszy się z oszołomienia, Emilio opadł na oparcie krzesła i z przesadną afektacją zacytował świętego Ignacego:

– „Gotów natychmiast wyruszyć, gdy usłyszysz polecenie, w pancerzu dobrze zapiętym...”

– Gdybym umarł na Rakhacie – powiedział uroczystym tonem John – proszę tylko, by moje ciało powróciło na Ziemię i zostało pogrzebane w Chicago, gdzie będę mógł nadal uczestniczyć...

– ...w polityce Partii Demokratów! – skończył za niego Emilio. Zarechotał i pokręcił głową.

– Przynajmniej już wiesz, że nie wolno jeść mięsa. No i kawał chłopa z ciebie. Możesz mieć szanse w walce, jeśli spodobasz się jakiemuś nędznemu Jana’acie.

– Myślę, że Giuliani też jest tego zdania. Jakbym się trochę nadał, to moglibyśmy razem stworzyć niezłą pierwszoligową drużynę. Inni to też nie ułomki.

– A więc już ich poznałeś?

– Tylko naszych, cywilów nie – odpowiedział John, siadając z powrotem przy stole. – Ojcem przełożonym jest facet, który się nazywa Danny Żelazny Koń...

– Lakota? – zapytał Sandoz.

– Częściowo... bo, jak mówi, płynie w nim również krew francuska i szwedzka. Jest na to trochę uczulony. Prawdę mówiąc, indiańska krew przestała zasilać jego rodzinę przed czterema pokoleniami i facet ma serdecznie dość ludzi, którzy się spodziewają, że będzie nosił pióropusz i mówił ściągając wyrazy.

– Wiele księżyców iść Choktaw... – zaintonował Emilio.

– W każdym razie wychował się na przedmieściach Winnipeg, a wielki wzrost odziedziczył po Szwedach. Ale wygląda, jakby dopiero co zszedł z Czarnych Wzgórz, więc bez przerwy mu dopieprzają. – John skrzywił się. – Ja sam prawie natychmiast dałem plamę, opowiadając mu o facecie, którego poznałem w Pine Ridge. Od razu mi przyłożył... „Posłuchaj, mistrzu, nie noszę warkoczyków i nie maluję sobie twarzy. Nie jestem pijakiem i nigdy nie nocowałem w przytułku”.

Sandoz zagwizdał i wytrzeszczył oczy.

– No, no... rzeczywiście jest uczulony. A więc kim jest?

– Z tego, co słyszałem, jest jednym z najbystrzej szych uczonych-polityków w Towarzystwie, a jak wiesz, tych nam nie brakuje. Krążyły pogłoski, że szykuje się na generała, ale kiedy Giuliani zaproponował mu wycieczkę na Rakhat, Danny bez mrugnięcia okiem zrezygnował z pełnej profesury na Gregorianum. Pali się do tego.

– A inni?

– Jest chemik z Belfastu... ma sprawdzić te nanoprogramowe syntezy, których dokonują na Rakhacie. Widziałem się z nim w zeszłym tygodniu, choć trudno dorwać tych facetów, bo Giuliani zafundował im ostre przeszkolenie. W każdym razie... uważaj, nazywa się... Sean Fein.

– Sandoz spojrział na niego pytająco.

– Zastanów się – zachęcił go John.

– Żartujesz – powiedział po chwili Sandoz.

– On nie, ale jego rodzice. Tatuś był...

– Żydem – dokończył Sandoz.

– Bingo. A jego matka była w...

– Sean Fein, Sinn Fein – zgadł natychmiast Emilio. – Może to i dowcip, ale trochę kulawy.

– Taak. Zapytałem Seana, czy coś pomoże, jak mu powiem, że w liceum miałem kumpla, który się nazywał Jack Goff. Odpowiedział tylko: „To nie przypadek”. Najbardziej ponury Irlandczyk, jakiego poznałem w życiu... Młodszy ode mnie, ale zachowuje się, jakby miał setkę na karku.

– To mi wygląda na dość zabawną drużynę – zauważył sucho Emilio. – Giuliani mówił, że wysyła czterech. Kim jest ten czwarty?

– Och, będziesz zachwycony... Chciałeś kogoś, kto mówi po baskijsku, prawda?

– Ten język nazywa się euskara – poprawił go Sandoz. – Chciałem po prostu mieć ludzi obeznanych z naprawdę różnymi strukturami gramatycznymi...

– Jak zwał, tak zwał. – John wzruszył ramionami. – No więc ten facet wchodzi... olbrzymi gość, z najgrubszymi włosami, jakie widziałem w życiu... a ja sobie myślę: no, to jest dopiero zawodnik! A on mówi coś kompletnie niezrozumiałego, z tyloma spółgłoskami, że mnie zatkało. Nie wiedziałem, czy mu powiedzieć „Cześć!”, czy mu przyłożyć! O, masz, napisał to. – John wyciągnął z kieszeni kawałek papieru. – Jak to się, do cholery, czyta?

Emilio ujął kartkę prawą ręką, wciąż uzbrojoną w protezę, i zaczął ją przybliżać i oddalać na długość ramienia.

– To jak gra na puzonie! Już nie widzę takich małych liter – stwierdził pogodnie, ale później złapał odpowiednią odległość.

– Joseba Gastainazatorre Urizarbarrena.

– Duża rzecz – mruknął John.

– Mówią, że kiedyś diabeł próbował nauczyć się języka Basków – powiedział Sandoz. – Dał sobie z tym spokój po trzech miesiącach, nauczywszy się tylko dwóch słów. Oba były przekleństwami, i to hiszpańskimi.

– Więc jak my, zwykli śmiertelnicy, będziemy go nazywać?

– Joe Alfabet? – zaproponował Emilio, ziewając i odpinając drugą protezę. – Pierwsze imię to coś takiego jak Jos. To łatwe: Ho-se-ba.

John powtórzył to parę razy i w końcu uznał, że da sobie z tym radę, jeśli nikt nie będzie od niego żądał wymówienia całego nazwiska.

– W każdym razie jest ekologiem. Wygląda na równego gościa. Dzięki Ci, Panie, za Twe drobne łaski... Jeezu... wybac mi, stary! Zupełnie zapomniałem, że jesteś cholernie zmęczony! – zawołał, kiedy Emilio ziewnął po raz trzeci w ciągu trzech minut. – Okay, już idę!

– Odpocznij sobie. Zobaczymy się jutro – powiedział, idąc w kierunku łóżka. – I... John... bardzo się cieszę, że tu jesteś.

Candotti kiwnął głową, uradowany, i wstał, żeby odejść, ale zatrzymał się na szczycie schodów i obejrzał przez ramię. Emilio, zbyt zmęczony, by się rozebrać, zwałił się jak kłoda na łóżko.

– Hej, nie zamierzasz mnie zapytać, co jest w tym pudle?

Emilio nie otworzył oczu.

– John, powiedz mi, co jest w tym pudle? – zapytał posłusznie, a potem mruknął: – Chociaż gównu mnie to obchodzi.

– Listy. I tylko te na papierze. Dlaczego nigdy nie sprawdzasz swojego e-maila?

– Bo wszyscy, których znałem, są martwi. – Otworzył oczy. – Więc kto, do cholery, ma do mnie pisać? – zapytał, a w jego głosie zabrzmiało prawdziwe zdumienie. – Och, John, to pewnie same miłosne listy z męskich klasztorów!

Candotti prychnął, wyraźnie zaszokowany tym pomysłem, ale Sandoz dźwignął się na łokciach, pobudzony jego absurdalnością; przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby go opuściło całe zmęczenie.

– Mój kochany Emilio...

Opadł z powrotem na poduszkę i zaczął płynnie improwizować w stylu więziennych listów, nie unikając obscenicznych zwrotów, które zaparły Johnowi dech w piersiach. W końcu, kiedy Emilio wyczerpał siły i temat, Candotti otarł oczy rękawem i ponownie złapał oddech, po czym zawołał:

– Co za cynizm! Masz wielu przyjaciół, Emilio!

– Wybacz mi, John. Cynizm i plugawy język to moje jedyne występne rozrywki. Wszystko inne wymaga energii lub pieniędzy.

Candotti znowu się roześmiał i poradził mu, żeby odmówił dwie części różańca, prosząc o szczególnie malownicze nieczyste myśli. Potem pomachał mu i zaczął schodzić po schodach.

Był już prawie za drzwiami, kiedy usłyszał swoje imię. Trzymając rękę na klamce i wciąż szczerząc zęby w uśmiechu, odwrócił się, by spojrzeć w kierunku mansardy Sandoza.

– Tak?

– John... zrób mi przysługę.

– No jasne. Wszystko, co zechcesz.

– Ja... Będę miał do podpisania parę dokumentów. Ja odchodzę, John. Porzucam Towarzystwo.

A to skurczybyk, rąbnął mnie z zaskoczenia, pomyślał Candotti i wyróżnął głową we framugę drzwi. W chwilę później znowu usłyszał głos Sandoza, cichy i niepewny:

– Mógłbyś mi dopasować jakieś pióro, żebym mógł je trzymać? Tak jak zrobiłeś mi tę brzytwę, pamiętasz?

John wspiął się już na kilka stopni, ale zatrzymał się, podobnie jak Sandoz nie chcąc prowadzić tej rozmowy twarzą w twarz.

– Emilio. Posłuchaj... W porządku, rozumiem, chyba nikt inny tego nie rozumie. Ale... czy jesteś pewny? To znaczy...

– Jestem pewny. Właśnie postanowiłem. – Candotti czekał. – Dźwigam już dość gówna, John. Nie chcę do tego dodawać oszustwa. Nikt nie może nienawidzić tak, jak ja nienawidzę, i twierdzić, że jest księdzem. To nieuczciwe. – John usiadł na schodach i zaczął trzeć twarz rękami. – Myślę... może coś w rodzaju wspornika, który by utrzymywał pióro pod właściwym kątem. Te nowe protezy są całkiem niezłe, ale wciąż brakuje mi precyzji, kiedy coś trzymam.

– Dobra. Nie ma problemu. Coś wymyślę.

John wstał i jeszcze raz zszedł na sam dół, czując się o dziesięć lat starszy niż przed pięcioma minutami. Kiedy już włókł się do głównego budynku, usłyszał głos Emilia, dobiegający z okna mansardy:

– Dzięki, John.

Pomachał ręką, nawet się nie odwracając, bo wiedział, że Emilio i tak go nie widzi.

– Jasne. To twoja gra – szepnęła i poczuł niemiłe łaskotanie na twarzy, kiedy wiatr znad Zatoki Neapolitańskiej osuszył mu łzy.

MIASTO INBROKAR

2046 czasu ziemskiego

Błąd – jeśli to był błąd – polegał na zobaczeniu dziecka. Kto wie, co by się stało, gdyby Supaari VaGayjur po prostu poczekał do rana i, niczego nie podejrzewając, uwolnił ducha dziecka, by mógł cieszyć się lepszym losem?

Lecz przyszła do niego położna, ruńska mamka, pewna, że będzie chciał dziecko zobaczyć, a on rzadko potrafił się oprzeć owej przyjacielskiej prostoduszności, z jaką zawsze zwracali się do niego Runowie. Poszedł więc za nią do dziecińca, szeleszcząc sztywną od klejnotów i haftów szatą, niespiesznie i lekko stawiając stopy, wpatrzony obojętnie w przestrzeń, z uszami wychylonymi do przodu. Nie zwracał uwagi na trajkotanie mamki i nie raczył odpowiadać na jej żarty – świadomie zachowywał się jak jana'atański arystokrata, pełen nieskazitelných cnót obywatelskich i posągowej powściągliwości.

A kim ja jestem, żeby szydzić z innych?, zapytywał samego siebie. Dorobkiewiczem, który w rozmowie z lepszymi od siebie używa nieszczęśliwych kupieckich zwrotów. Trzeciakiem z prowincjonalnego miasteczka w głębi kraju, który zrobił fortunę, pośrednicząc w handlu z Runami. Samotnikiem wśród wyrzutków społecznych, który dosłownie wpadł na grupkę niezwykle cudzoziemców, pochodzących gdzieś spoza trzech słońc Rakhatu, i wynegocjował zamianę owego przeżycia na wymuszone świadectwo godności, w którą nikt prócz Runów nie wierzył.

Od chwili, w której reszta zgodził się na jego propozycję, wiedział, że zawsze pozostanie tym, kim był. Nie dbał o to. Osamotnienie było dla niego czymś normalnym. Zawsze żył pomiędzy dwoma światami i do żadnego z nich nie należał; nie uskarżał się na to, wolał obserwację od uczestnictwa. Przez pierwszy rok, jaki spędził pośród wybitnych członków własnego gatunku, przyglądał się bacznie ich obyczajom, jak myśliwy poznający swą zwierzynę.

Nauczył się cieszyć z tego, że coraz dokładniej przewidywał afronty i niemiłe odprawy. Potrafił z góry przewidzieć, kto od razu odmówi wzięcia udziału w przyjęciu, jeśli on tam będzie, i kto przyjdzie tylko dlatego, by zrobić z niego pośmiewisko; kto w ogóle się z nim nie przywita, a kto to uczyni, ale z gestem dającym wyraźnie do zrozumienia, że wita się z kimś podlejszym.

Pierwsi woleli bezpośrednią zniewagę, drudzy byli bardziej subtelni. Jego najstarszy szwagier, Dherai, potrafił przejść przez drzwi, potrącając wchodzącego akurat Supaariego, natomiast młodszy, Bhansaar, po prostu stał, jakby Supaari był niewidzialny, i wchodził do komnaty w chwilę po nim, jakby właśnie wtedy postanowił wejść.

Sfery towarzyskie Inbrokaru, biorąc przykład z Kitherich, ignorowały Supaariego albo traktowały go z politowaniem i pogardą. Czasami w rozmowach padało słowo „domokrążca” i natychmiast ginęło w łagodnej fali wykwintnego rozbawienia. Supaari znosił to wszystko z wystudiowaną obojętnością i prawdziwą cierpliwością: dla dobra swojego syna i jego przyszłości.

Dzieciniec znajdował się dość daleko, w głębi zabudowań. Supaari nie miał pojęcia, gdzie jest teraz Jholaa. Ruńska położna, Paquarin, zapewniła go, że jego żona czuje się dobrze, ale dodała:

– Biedaczka, strasznie się namęczyła. U nas jest inaczej. U nas dzieci wychodzą równie łatwo, jak tam wchodzą... To prawdziwa łaska nie być Jana’atą. A kobiety Kitherich są takie wąskie w biodrach! Dla biednej położnej to bardzo ciężkie zadanie.

Paquarin przyznała, że Jholaa jest bardzo przygnębiona po porodzie, kiedy się o to wprost zapytał. Oczywiście. Jeszcze jeden powód, aby go nienawidzić: to on jest za wszystko odpowiedzialny.

Supaari był tak pochłonięty swoimi myślami, że dopiero kiedy usłyszał ciche śmiechy Runów i wesoły gwar, dochodzący z kuchni razem z zapachem przypraw korzennych i smażonych warzyw, zorientował się, że Paquarin wprowadziła go już do dziecińca.

Przeszedłszy przez jeszcze jedne drzwi, znalazł się na niewielkim pustym dziedzińcu i dostrzegł w kącie małą drewnianą skrzynkę.

Zatrzymał się w pół kroku. A więc po to go tutaj przyprowadzono. Żadnych haftowanych koronek nad kołyską, żadnych wstążek powiewających na wietrze, aby przyciągnąć wzrok dziecka i wyćwiczyć w nim zdolność śledzenia ruchu. Zwykła szmata kuchenna, udrapowana nad skrzynką, aby zapewnić dziecku cień i aby ukryć jego – i Supaariego – hańbę. Skrzynka nie była nowa. Ruńska kołyska, pomyślał z goryczą. Musiała służyć dzieciom kucharek.

Ktoś inny mógłby mieć pretensje do położnej, ale nie Supaari VaGayjur. Ach, Bhansaarze, pomyślał, to twoja sprawka. Oby twoje dzieci zamiatały ulice. Obyś dożył chwili, gdy będą pożerać ścierwo.

Nie spodziewał się tego nawet po roku zniewag i afrontów. Pogodził się z tym, że jego córka jest skazana na śmierć. I tak nikt by nie poślubił kaleki. Była gorsza od trzeciaka – pierworodna, ale nieodwracalnie skalana. Ze wszystkiego, czego się dowiedział o obyczajach tych cudzoziemców, najbardziej niezrozumiałe, najbardziej niemoralne było to, że u nich każdy mógł płodzić dzieci, nawet ci, o których było wiadomo, że mają cechy, które mogą spowodować trwałe uszkodzenie płodu. Cóż to za gatunek, który świadomie godzi się na przekazanie choroby swojemu potomstwu! W każdym razie nie my! Nie Jana'atowie!

Mimo wszystko Dherai mógł poskromić małoduszność Bhansaara i postarać się, by dziecko miało przyzwoitą kołyskę w dziecińcu przez tę jedyną noc w swoim życiu. Oby twoje córki służyły wędrowcom, pomyślał mściwie Supaari. Oby twoi synowie byli tchórzami.

Podszedł powoli do skrzynki i zerwał szmatę zakrzywionym pazurem.

– Panie, to dziecko jest niewinne – powiedziała pospiesznie mamka, przerażona cierpką wonią gniewu. – Nie zrobiła nic złego, biedactwo.

A kto jest winny? Kto włożył ją do tej odrażającej, małej... Kto sprawił, że znalazła się w tej żalosej...

Ja to sprawilem, pomyślał ponuro, spoglądając w dół.

Wykąpana, nakarmiona i śpiąca, jego córka pachniała jak deszcz w pierwszych chwilach burzy. Oszołomiło go to tak, że zachwiał się i ukląkł. Przyglądając się uważnie małej, doskonałej twarzyczce, uniósł ręce do ust i ugryzł je mocno sześć razy, pozbawiając długie pazury końców, owładnięty przemożnym pragnieniem, by przytulić niemowlę i nie zrobić mu krzywdy. Gdy tylko to uczynił, zdał sobie sprawę, że właśnie popełnił nieodwracalny błąd.

Pozbawiony ostrych pazurów, będzie musiał jednak pozwolić na to, by obowiązek ojca spełnił Ljaat-sa Kitheri. Poczul zamęt w głowie. Wyjął dziecko ze skrzynki i przytulił niezdarnie do piersi.

– Te oczy Kitherich! Jest piękna jak jej matka – paplała ruńska mamka, ucieszona, że Jana’ata przestał wydzielać odór gniewu. – Ale ma twój nos, panie.

Roześmiał się mimowolnie i nie dbając o swą szatę, przysiadł na wilgotnych glinianych płytkach, wciąż lśniących od porannej rosy, aby dziecko mogło wygodnie spocząć na jego podołku. Drżąc, dotknął aksamitnej gładkości policzka grubymi, pozbawionymi pazurów palcami – teraz równie bezbronnymi jak jego córka. Nie powinienem spłodzić dziecka, pomyślał. To nie było moim przeznaczeniem. Jej wykręcona nóżka jest znakiem. Zrobiłem źle.

Wszystko poszło źle.

Zebrał w sobie całą odwagę i ze ściśniętym gardłem rozchylił pieluszki, aby spojrzeć na to, co skazało jego dziecko na śmierć, pogrążając wszystkie jego nadzieje w wiecznym mroku. To, co zobaczył, zaparło mu dech.

– Paquarin – powiedział, cedząc wyrazy, aby jej nie przestraszyć tonem swego głosu. – Paquarin, kto widział to dziecko prócz ciebie i mnie?

– Szlachetni wujowie, panie. Potem powiedzieli Najdonioślejszemu, ale on sam nie przyszedł, żeby ją obejrzeć. Jaka szkoda! Pani próbowała od razu zabić maleństwo.

Słyszając własne słowa, Paquarin zdała sobie sprawę, że Jana’ata może ją źle zrozumieć.

Przecież Jholaa pragnęła śmierci tego dziecka, jeszcze zanim się dowiedziała o jego ułomności.

Zakłopotana, zaczęła się kołysać na boki, lecz nagle znieruchomiała.

– Pani Jholaa mówi: Lepiej umrzeć przy narodzinach, niż być skazaną na wieczne panieństwo – oświadczyła z przekonaniem. Jholaa rzeczywiście tak powiedziała, tyle że kilka lat temu. Zadowolona ze swojego sprytu, mamka trajkotała dalej: – Więc trzeba to zrobić. Nikt nie chce kaleki. Ale to nie matka ma zrobić. To obowiązek ojca. Ktoś pomocny uratował to dziecko dla ciebie, panie. Dla twojego dobrego imienia.

Supaari wciąż był tak oszołomiony, że jej słowa prawie do niego nie docierały. Patrzył na nią długo w milczeniu, aż w końcu, zmusiwszy się do łagodnego uśmiechu i spokojnego, nawet nieco niefrasobliwego tonu, zapytał:

– Paquarin, powiedz mi, proszę... która nóżka jest zniekształcona? Prawa? A może lewa?

Zakłopotana, stuliła uszy i znowu zaczęła się kołysać, tym razem szybciej, a potem wyjąkała w swoim ojczystym języku:

– Ktoś nie jest pewien. Ktoś błaga o wybaczenie. Runowie nie wiedzą takich rzeczy. O tym decydują panowie.

– Dziękuję ci, Paquarin. Dobrze zrobiłaś, zachowując to dziecko dla mnie. – Oddał niemowlę mamce, starając się panować nad każdym ruchem, tak jak będzie musiał panować nad swoimi ruchami jutro rano, spełniając wymagany prawem obrządek. – Najlepiej będzie nie mówić nikomu, że tu przyszedłem, aby obejrzeć dziecko. – Chcąc się upewnić, że zrozumiała jego słowa, dodał w języku *ruanja*: – *Sipaj*, Paquarin: ktoś pragnie, abyś milczała.

Paquarin zamknęła oczy, stuliła uszy i nadstawiła gardło, pewna, że Jana'ata chce ją zabić, ale on uśmiechnął się, pogłaskał ją po głowie jak ojciec i jeszcze raz zapewnił, że jest dobra.

– Zostaniesz przy niej przez tę noc, Paquarin?

Nie zaproponował jej pieniędzy, wiedząc, że naturalna skłonność i tak zatrzymają przy dziecku przez całą noc: była wychodowana do wierności i posłuszeństwa.

– Tak, panie. Ktoś ci dziękuje. Ta biedna kruszynka nie powinna być samotna przez jedyną noc swojego życia. Czyjeś serce lituje się nad nią.

– Jesteś dobra, Paquarin – powtórzył. – Będzie miała krótkie, ale godne życie, prawda?

– Tak, panie.

Skłoniła się nisko, a on odszedł, zostawiając ją z niemowlęciem w ramionach. Idąc spieszenie przez dzieciniec, słyszał śmiechy i odgłosy tarmoszenia się wnuków Ljaat-sa Kitheriego; była to jedyna oznaka prawdziwego życia w tym zamarym, dusznym miejscu. Życzył im, by wcześniej pozabijali swoich ojców. Szedł wąskimi korytarzami, przemierzał wielkie, puste sale, chwycił strzępy rozmów dobiegające spoza zamkniętych lub zasłoniętych kotarami drzwi. Mijał spokojnych ruńskich odźwiernych, stojących przy każdym przejściu, przywykłych do swojej służby, zbyt flegmatycznych, by odczuwać nudę. Otwierali przed nim wewnętrzne wrota i zewnętrzne kraty, a on odpowiadał skinieniem głowy na ich saluty. W końcu wydostał się na cichą ulicę.

Lecz nawet tu, poza pałacem, nie miał wrażenia uwolnienia. Nie westchnął z ulgą na widok rozległego nieba, nie poczuł powiewu wiatru. Zerknął w górę, na drewniane balkony i szerokie okapy, najwyraźniej pomyślane tak, by deszcz nigdy nie mógł splukać brudu z ulic. Dlaczego nikt tutaj nie zamiata? Brnął przez zwały śmieci, czując głęboką odrazę do tego ciasnego, zatęchłego i przytłaczającego miasta. Inbrokar ugrzązł w swojej pogmatwanej, kazirodczej historii, spętany próżnością i niemocą mieszkańców. Miasto arystokratów i doradców, agentów i analityków, owych nieustannie porównujących się i wyklócających o pierwszeństwo próżniaków, trawionych gorączką wynoszenia się ponad innych i drapieżnego, bezwzględного współzawodnictwa. To szaleństwo wierzyć, że mógłby rozpocząć tu nowe życie, że w ogóle można tu coś rozpocząć, coś stworzyć. To głupota buntować się przeciw ciemności, w której to miasto ustawicznie samo się pogrążało, przeciw egoizmowi i pysze, przerastającymi to zbutwiałe miasto jak pleśń.

Idąc ulicami miasta, które kiedyś uważał za tak piękne, raz po raz spotykał różnych znajomych Kitheriego, którzy pozdrawiali go z udawanym szacunkiem. Intryganci i pieczeniarze, myślał z odrazą. Trochę za wcześnie na kondolencje, skoro dziecko przyszło na świat dopiero dziś i nie rozgłaszano oficjalnie jego narodzin. Ich miny świadczyły jednak, że wiedzą o wszystkim. Jak dawno to wszystko zaplanowano? Ile osób wiedziało, rozkoszując się tym wymyślnym i okrutnym żartem, wyczekując na ciężę jego żony równie niecierpliwie jak on sam, choć z zupełnie innego powodu?

Przyszło mu do głowy, że misterność tej intrygi jest zbyt wielka, by nie wymyślił jej sam resztar. Tak, to jego subtelna wrażliwość... A właściwie kto pierwszy wpadł na pomysł, by wymienić Sandoza na Jholae? Ta myśl lekko nim wstrząsnęła. Czyżby Hlavin Kitheri sterował nim od samego początku, prowadząc do owej nieszczęsnej umowy? Supaari zachwiał się i oparł o mur, próbując odtworzyć negocjacje, prowadzone w języku równie ozdobnym i wykwintnym co pałac resztara, w obecności poetów i śpiewaków, którzy towarzyszyli Hlavinowi na jego lubieżnym wygnaniu i którzy tak znakomicie udawali najszczerzą radość z tego, że kupiec zostanie wywyższony. Kto zyskał?, zapytał się w duchu i zatrzymał pośrodku ulicy, nie zwracając uwagi na przechodniów. Kto na tym zyskał? Hlavin. Jego bracia. Ich znajomi. Hlavin musiał wiedzieć, że Jholaa jest za stara. To on przekonał Dheraiego i Bhansaara, jakie to będzie zabawne, jeśli darjańska linia zostanie unicestwiona już w niemowlęctwie przez samego jej założyciela...

Zgnębiony poczuciem głębokiego poniżenia, Supaari powstrzymał zbierające w nim mdłości i nagle, przełykając gorzycz utraconych iluzji, uświadomił sobie z dziwną pewnością, że mdłości wcale nie były czymś normalnym dla gatunku Sandoza. Tak, pomyślał, zawsze starałem się być uprzejmy, zawsze chciałem zadowolić innych. Ja sam ściągnąłem na siebie pogardę Hlavina Kitheriego, a uczyniłem to równie nieświadomie, jak Sandoz ściągnął na siebie...

Kto za to zapłaci?, zapytał się w duchu. Poczul, jak wzbiera w nim wściekłość, wypierając wstyd, i pomyślał z gorzką ironią, że właśnie użył niezbyt szczęśliwego wyrażenia kupieckiego.

Kipiąc ze złości, zawrócił do legowiska Kitherich, z głową pełną mrocznych planów krwawej zemsty, wyzwania, pojedynków *ha'aran*. Lecz wiedział, że dla takich jak on nie ma ratunku. Cóż z tego, że poczeka do rana i wobec świadków obnaży dwulicowość Kitheriego?

Ohydna intryga stanie się po prostu publicznym dowcipem, z którego wszyscy będą się śmiać już otwarcie. Cóż z tego, że ocali dziecku życie? Narazi je na ośmieszenie później, kiedy kontrakt małżeński zostanie zawarty tylko po to, aby go zerwać. Jego żywa, cudowna i czarująca córka skończy tak jak jej matka: jako rekwizyt w wymyślnej komedii, wykorzystany do poniżenia jej ojca ku uciesze szlachetnie urodzonych panów.

To nie jest sprawa osobista, pomyślał, zwalniając kroku na widok zabudowań pałacu Kitheriego. Tu nie chodzi o mnie. Tu chodzi o kategorię, do której należę i która ma robić to, co do niej należy. Potrzebują nas tam, gdzie jesteśmy. Trzeciacy, kupcy. Runowie. Żywimy ich, ubieramy i chronimy. Zaspokajamy ich potrzeby, ich żądze, ich zachcianki. Jesteśmy fundamentem ich pałacu i nie chcą pozwolić na to, by ruszyć z niego choć jeden kamień, w obawie że cała budowla runie im na głowy.

Oparł się o mur, patrząc na otoczony palisadą pałac rodziny, która panowała nad Inbrokarem od wielu pokoleń, i w końcu sięgnął do owego chłodnego, znajomego miejsca w swoim sercu, gdzie zwykle podejmował decyzje – bez złości i bez złudzeń.

Wiedział dobrze, kiedy z Inbrokaru wypływają barki, udające się w górę rzeki Pon.

Rozważył umowę, którą zawarł, i uznał, że nie splamił swojego kupieckiego honoru. Dotrzymał zobowiązań. Nic nie jest im winny. Zabiorę to, co moje, i odejdę, pomyślał.

– Mówiąc szczerze, Hlavinie, więcej się po nim spodziewałem – powiedział Ira'il Vro do resztara Galatny.

Powiadomieni przez donosicieli, obserwowali powrót Supaariego z miasta, a potem przenieśli się do narożnej wieży, by patrzeć, jak kupiec rozmawia z ruńską mamką na małym dziedzińcu i odchodzi razem z nią i dzieckiem. Ira'il zerknął na Hlavina Kitheriego, ale spojrzenie resztara było spokojne.

– Musisz być bardzo rozczarowany... – dodał niepewnym tonem.

Pociągnął ostrożnie nosem, aby odetchnąć zapachem Kitheriego. Nie wyczuł gniewu, ale odwrócił się do okna wieży, chcąc ukryć zmieszanie. Wystarczyło podnieść nieco oczy, aby zobaczyć skarbiec i prowincjonalny urząd podatkowy, państwowe archiwa i biblioteki, arenę usytuowaną tuż obok sądu, łącznie, ambasady, strzeliste kamienne słupy inkrustowane srebrzystymi urządzeniami nadawczymi, wyrastające z zabudowań komendy głównej. Znał już dobrze wszystkie punkty orientacyjne i podziwiał panoramę miasta: ów ponadczasowy festiwal stabilności i niezmiennej równowagi...

Równowagi! Tego właśnie mu brakowało w stosunkach z resztarem Kitherim. Hlavin był trzeciakiem, a Ira'il pierworodnym, ale rodzina Kitherich przewyższała rangą wszystkie inne rodziny w księstwie Inbrokaru, więc zwrócenie się do resztara po imieniu czy zadecydowanie, kto ma prawo do użycia zaimka osobowego, było zawsze sprawą delikatną i niezbyt bezpieczną.

Nie mając przy boku ruńskiego specjalisty od protokołu, Ira'il wciąż się obawiał, że popełni jakiś niewybaczalny błąd.

Co gorsza, Ira'il nie miał pojęcia, dlaczego resztar wybrał właśnie jego, by mu towarzyszył w podróży z Gayjuru do Inbrokaru, kiedy z powodu narodzin dziecka jego córki zezwolono mu opuścić miejsce zwyczajowego wygnania. Ira'il był tak wielkim miłośnikiem niezwyklej poezji resztara, że wyrzekł się własnej rodziny i przekazał ojcowiznę Vry w ręce młodszego brata, by przyłączyć się do błyskotliwej społeczności Pałacu Galatny. Lecz nie on jeden tak postąpił, a był miernym śpiewakiem, który znał się na poezji w takim stopniu, by wiedzieć, że jego własna twórczość nigdy nie wzniesie się ponad poziom wyświechtanego naśladownictwa. Hlavin Kitheri przypominał sobie o jego istnieniu tylko wtedy, gdy Ira'il wyjąkał jakąś żałośnie oczywistą pochwałę użytej przez resztara metafory albo sfalszował w chórze. Ira'il zadawała się więc prawem zasiadania gdzieś na skraju świty resztara, czując się uhonorowany samym faktem przebywania w towarzystwie tak znakomitych artystów. W końcu ktoś musi być słuchaczem.

Aż nagle, całkiem niespodziewanie, Hlavin Kitheri wydobył Ira'ila Wrę z cienia mierności i zaprosił go, by mu towarzyszył podczas ceremonii inauguracyjnych nową, darjańską linię rodową, na której zaistnienie resztar łaskawie się zgodził.

– Och, musisz tam być – nalegał resztar, kiedy Ira'il wyjąkał, że nie jest tego godny – aby wraz ze mną radować się pointą dowcipu! Obiecuję ci, że będziesz jedyną osobą prócz mnie, która zrozumie, na czym to wszystko polega.

Ira'il mógł się tylko łudzić, że resztarowi miłe jest jego towarzystwo, co wydawało mu się dziwne, ale i niezwykle pochlebne.

Zresztą w tym niespodziewanym wyjeździe wszystko było dziwne. Przybywając po raz pierwszy do Inbrokaru, Ira'il zdumiał się na widok pałacu Kitheriego – tu, w samym środku stolicy. Jego architektura robiła wrażenie, ale w środku panował dziwny spokój, a przestronne komnaty, cieniste kolumnady i dziedzińce były prawie puste; mieszkała tu tylko rodzina Kitherich i służba domowa. Ira'il spodziewał się czegoś bardziej wyniosłego, czegoś bardziej żywego i barwnego. W końcu było to serce jego kultury... Odwrócił się od miasta i spojrzał w dół, na kuchenny dziedziniec i bramę dla Runów, przez którą właśnie wyszedł Supaari.

– Ktoś mógłby oczekiwać wspaniałego pojedynku – powiedział, mając nadzieję, że reszta wybaczy mu uprzednią bezpośrednią formę. – Ten domokrążca mógł wyzwąć Dheraiego. Byłbyś sekundantem.

– Myślę, że to zrobił – rzekł pogodnie reszta.

– Proszę o wybaczenie – wyjąkał Ira'il Vro, zrozumiawszy, że popełnił kolejną gafę. – Nie jestem pewny, czy rozumiem... Proszę o wybaczenie! Ktoś nie rozumie...

Oczywiście, ty tępaku, pomyślał Hlavin Kitheri, patrząc na niego prawie z rozczuleniem, bo naprawdę bardzo go bawiło towarzystwo Ira'ila, a zwłaszcza jego gafy i jeszcze bardziej niezręczne próby ich naprawienia. W całym tym przedstawieniu nie brakowało cudownie komicznych elementów i można było rozkoszować się do woli świadomością, że się do tego doprowadziło. Supaari zamierza opuścić miasto, zdał sobie sprawę reszta, kiedy jego niedorzeczny szwagier porwał swą zdobycz jak skradający się w ciemnościach nocy śmieciarz.

To było wspaniałe uczucie graniczące z uniesieniem towarzyszącym udanej improwizacji poetyckiej. Trudno było zaplanować to bardziej po mistrzowsku, pomyślał.

– Myślę, że ten kupczyk zabił mojego czcigodnego brata Dheraiego – powiedział swoim melodyjnym, czystym głosem, a jego kryształowe, lawendowe oczy rozbłysły niebiańskim blaskiem. – I Bhansaara! I ich potomstwo! A potem, w paroksyzmie morderczego szału, pijany krwią i gorącym odorem zemsty, zabił również Jholaę i mojego ojca.

Ira'il otworzył usta w niemym proteście: nie, on po prostu odszedł.

– Myślę, że tak właśnie się stało – rzekł resztar, kładąc rękę na ramieniu Ira'ila i otaczając jego ogon własnym. – A ty nie?

8

INBROKAR

za panowania Ljaatsa Kitheriego

Są takie pytania, których nie można było zadać, a najważniejsze z nich brzmiało:

„Dlaczego?”

Oczywiście „Co?” i „Kiedy?” były pytaniami niezbędnymi.

„Gdzie?” natomiast dość bezpiecznym. „W jaki sposób?” było dopuszczalne, choć często sprowadzało kłopoty. Natomiast „Dlaczego?” było pytaniem tak ryzykownym, że Selikat zbiła go, kiedy użył tego słowa. Hlavin był jeszcze dzieckiem, ale zrozumiał, że spełniła tylko swój obowiązek. Zbiła go dla jego własnego dobra: bała się o niego i nie chciała, żeby jej najlepszy uczeń został ukarany dla przykładu. Lepszy jest bat wychowawcy niż powolne i publiczne wyciąganie konsekwencji, by przestrzec wszystkich młodszych braci przed ewentualnymi mrzonkami o spisku.

– To co, jestem tylko manekinem? – zapytał, kiedy miał dwanaście lat, wciąż nieustraszony i nie przebijający w słowach. – Jeśli umrze Bhansaar, zarzucą na mnie płaszcz urzędnika i trzask-prask!, jestem już sędzią? Tak to działa, Selikat?

Wychowawczynie zawahała się. Taki już był los resztara: musiał przyglądać się bezsilnie, jak jego starsi bracia obejmują najwyższe urzędy, wiedząc jednak przez cały czas, że gdyby któryś z nich okazał się bezpłodny albo umarł przed spłodzeniem potomstwa, to on zająłby jego miejsce i został uznany za godnego wakującego urzędu. Niezbyt wysoki, ale zgrabny i zwinny, Hlavin był już fizycznie tak samo rozwinięty jak Dherai, który miał zostać militarnym przywódcą narodu. A nawet Jholaa była inteligentniejsza od Bhansaara, który potrafił zapamiętać wszystko, czego go nauczono, i nawet zastosować to w życiu, ale rzadko miał własne zdanie, choć to on właśnie miał pewnego dnia objąć przewodnictwo w najwyższym sądzie Inbrokaru.

– Wyjaśniają to najstarsze pieśni – powiedziała mu Runka, przymykając powieki i przechodząc do rytmicznej, melodyjnej intonacji. – Ingwy, który umiłował ład, przemówił do pierwszych braci, Ch’horila i Srimata: „Kiedy gromadzą się kobiety, tańczą Chaos. Dlatego rozłączcie Pa’au i Ti-ha’ai, niepoohamowane siostry, które poślubiliście, i trzymajcie je oddzielnie pod strażą”. Posługując się podstępem i sprytnymi sztuczkami, Ch’horil i Srimat sprzymierzyli się potajemnie z innymi mężczyznami i podporządkowali sobie wszystkie żony i córki. Lecz kiedy oni sami dokonywali uboju i rzezi, inni mężczyźni również zaczęli ze sobą walczyć, pijani krwią. „Nie możemy się powstrzymać”, powiedzieli. Więc Ingwy rozkazał:

„Niech ci, którzy są mądrzy, postanowią, kto wśród was jest zbyt gwałtowny, by żyć, a ci, którzy są silni, niech zabiją tych, których mądrzy potępiają”. A ponieważ Ch’horil Starszy był silny, a Srimat Młodszy był mądry, od tego czasu pierworodni z każdego miotu mają walczyć i dokonywać rytualnych zabójstw, a drudzy w kolejności mają sądzić i podejmować decyzje.

– A ty w to wierzysz? – zapytał bez ogródek Hlavin.

Otworzyła szeroko oczy.

– Wszystko to wydarzyło się, zanim udomowiono Runów – odpowiedziała, opuszczając ogon z cichym i chyba wyrażającym ironię odgłosem. – Zresztą, cóż za znaczenie ma wiara zwykłego wychowawcy, panie?

– Nie jesteś zwykłym wychowawcą. Jesteś wychowawcą resztara Kitheriego. Powiedz mi, co myślisz – rozkazało dziecko władcym tonem, choć wówczas wydawało się, że nie czeka go nic poza wygnaniem, aby nie żywił jałowej zawiści i nie zadawał niebezpiecznych pytań.

Selikat wyprostowała się, zbierając w sobie całą swą godność.

– Za stabilność i ład zawsze płaci się zniewoleniem i krwią – powiedziała, patrząc na niego spokojnie. – Pieśni opowiadają też o Epoke Niezmienności, kiedy wszystko było takie, jakie być powinno, a każdy znał swoje miejsce i miejsce swojej rodziny. Tych, którzy byli wyżej, darzono szacunkiem, a tych, którzy byli niżej, traktowano uprzejmie. Wszystkie elementy były w równowadze: Zarządzanie triumfowało, powstrzymano Chaos...

– Tak, tak a gwałtowność była pod kontrolą jak kobieta w swojej komnacie”. Albo reszta na wygnaniu – dodał chłopiec. Biła go regularnie, ale on wciąż był porywczy i niebezpiecznie cyniczny. – Czy naprawdę było tak cudownie, Selikat? Nawet jeśli wszyscy wiedzą, gdzie jest ich miejsce, ziemia może się rozstąpić i pochłonąć miasta. Co wtedy z twoją sławetną równowagą? Potop może wyniszczyć połowę mieszkańców jakiejś nizinnej prowincji. Miasto mogą strawić płomienie szybciej, niż trawi się posiłek!

– To prawda – przyznała Selikat. – Co gorsza, są tacy, którzy potajemnie podsycają w sobie wątpliwości, wyzwalając łańcuch odwetów, kiedy tylko nadarzy się okazja. Jest zazdrość, egoizm, rywalizacja dla samej rywalizacji. I agresja, i gniew, i ślepa, głucha wściekłość, pokusa załatwienia sprawy raz na zawsze.

Zamilkła, pełna szacunku – doskonały produkt całych pokoleń selektywnej hodowli, absolutna mistrzyni swojego zakresu wiedzy. Od urodzenia żyła pośród gatunku obdarzonego przez naturę odruchami i instynktami drapieżców: chwytne stopy, ostre pazury, potężne członki; cierpliwość, niezbędna przy podkradaniu się do ofiary, inteligencja, konieczna do organizowania zasadzek, szybkość, potrzebna, by zabić. Selikat widziała, jaki los spotkał wolnomyślicieli, i nie chciała, by taki los spotkał Hlavina.

– Przeciwwagą tych wszystkich przejawów gwałtowności – podjęła na nowo swą myśl – zawsze byli i są wielcy juryści, znakomici dyplomaci, ci, których głos może przywrócić spokój i przywołać innych do porządku. Ty, mój panie, nosisz imię po największym spośród nich: po Hlavinie Mrze, którego mądrość została uwieczniona w fundamentalnym prawie Inbrokaru, którego oratorium „Czy staniemy się jak kobiety?” śpiewane jest przez każdego płodnego Jana’atę, kiedy dojrzeje i zajmie swoje miejsce w społeczeństwie.

– A co by było, gdyby Hlavin Mra narodził się jako trzeciak? – zapytał jego imiennik. – Albo nawet jako pierwotny?

Selikat milczała przez jakiś czas, a potem go zbiła. Pytanie „Co by było?” uznała za jeszcze bardziej niebezpieczne niż „Dlaczego?”

Gdyby nie wpływ Selikat, mógłby skończyć tak, jak wielu innych resztarów z jego kasty: uwiedziony wybujałymi rozkoszami leniwego, łatwego życia trzeciaka z arystokratycznego rodu, zmarłby z przejedzenia i nudy w średnim wieku. Istniały ku temu prawie nieograniczone możliwości, bo Dherai i Bhansaar, w obawie przed skrytobójstwem i intrygami, zapewniali mu wszystko, czego zażądał, byle tylko nie zażądał tego, co należało wyłącznie do nich.

Pozbawiony prawa płodzenia potomstwa, uwięziony w Pałacu Galatna z haremem ruńskich konkubin i wysterylizowanych jana'atańskich trzeciaków, Hlavin miał za towarzyszy dalszych w kolejności narodzin synów mniej nobliwych rodów, którym pozostawiono pewną swobodę poruszania się po kraju. Razem spędzali jałowe dni na brutalnych grach, często kończących się połamaniem kości, albo na monstualnych bankietach i coraz bardziej poniżającym seksie.

– Bo kiedy wyła, wiedziałem przynajmniej, że ktoś zwraca na mnie uwagę! – zawołał Hlavin, pijany i rozkojarzony, kiedy Selikat zbeształa go za tak okrutne zmalretowanie jakiejś konkubiny, że trzeba ją było dobić. – Jestem niewidzialny! Równie dobrze mógłbym być Jholaą!

Tutaj nic nie jest prawdziwe. Wszystko, co ma jakieś znaczenie, znajduje się gdzie indziej.

Niektórzy resztarowie godzili się ze swoją społeczną banicją i zatracali się w autohipnozie rytuału Sti. Hlavin nie chciał jednak się zatracić, przeciwnie, pragnął całym sobą czuć, że żyje.

Innych w ogóle nie pociągało wojsko czy prawo i woleli poświęcić się nauce, a byli dość zamożni, by ją kontynuować; z nich wywodzili się znakomici architekci, chemicy, inżynierowie, historycy, matematycy, genetycy czy hydrologi. Hlavin nie był typem uczonego.

Selikat była dobrze wyszkoloną wychowawczynią i szybko dostrzegła oznaki nadchodzącego kryzysu. Zrozumiała, że jeśli nie znajdzie jakiegoś wyjścia z tej pułapki, Hlavin zniszczy sam siebie. Była pewna szansa... Opierała się jej długo, mając nadzieję, że znajdzie jakiś inny sposób.

Selikat podjęła decyzję tego wieczoru, kiedy obserwowwała z daleka Hlavina zaszuchanego w napływające z miasta śpiewy, nasycające powietrze jak drugi zachód słońca. O tej porze dnia było to równie nieuchronne jak nadejście ciemności; wystarczyło, by dwóch Jana'atów znalazło się o pół *cha'ara* od siebie, a zaczęli razem śpiewać. W tych monottonnych zawodzeniach nie było miejsca dla trzeciego: wszystkie harmonie opierały się na dwóch głosach. Selikat nigdy nie zdołała wybić Hlavinowi z głowy muzyki. Nie miał prawa śpiewać, ale tylko wówczas zdawał się naprawdę zadowolony i często słyszała jego głos, jeśli tylko wieczorny wiatr wiał z odpowiedniej strony. Podejmował wyróżniającą się spośród innych melodię lub jej kontrapunkt, przyozdabiając oryginalne tony chromatycznymi elementami, które rozwijały linię basową lub jej się przeciwstawiały. Kiedy ostatnie tony zamilkły wraz z umierającym słońcem, podeszła do niego i powiedziała, nie dbając, że ktoś to usłyszy:

– Pamiętasz, panie, jak kiedyś zapytałeś: „A co by było, gdyby Hlavin Mra urodził się jako trzeciak?”

Hlavin podniósł głowę i wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Śpiewałby nawet wówczas – oświadczyła z przekonaniem. – Nawet wówczas.

Dlaczego to zrobiła?, zapytywał później siebie. To takie ruńskie: poświęcić się dla swoich panów. Zresztą i tak niewiele czasu jej pozostało, bo miała już prawie pięćdziesiąt lat, więc była stara nawet według standardów ruńskich dworzan. Może po prostu nie znosiła marnotrawstwa, a wiedziała, jak skończy Hlavin, jeśli nie zaspokoi tego, co domagało się w nim ujścia. Może nawet pragnęła jego szczęścia, a wiedziała, że bez muzyki go nie zazna... Jakakolwiek była przyczyna, dla której go wychowała, postanowiła ofiarować mu swój ostatni dar.

Hlavin milczał, oszołomiony jej słowami. Oboje milczeli, wsłuchując się ostrożnie w swoje oddechy. Usłyszeli kroki i oboje wiedzieli, co się teraz stanie.

– Stworzyłby pieśń swojego życia! – zawołała Selikat, kiedy go pospiesznie odprowadzano.

– Nie dbając o życie!

To były jej ostatnie słowa, a Hlavin Kitheri zrobił wszystko, by je godnie uczcić.

Rzykował prawie od samego początku.

Ze skupioną gwałtownością swoich przodków odprawił młodych głupców, którymi otoczyli go bracia, aby i jego ogłupić, a na ich miejsce sprowadził fizyków, matematyków, muzyków, bardów. Nie dbał o ich pochodzenie czy wiek, zapraszał każdego, kto był skłonny czegoś go nauczyć. Najpierw rzucił się na podstawy rytmu, harmonii i muzycznej wyobraźni. Później, kiedy zaspokoił pierwszy dojmujący głód, zaczął się rozkoszować delikatnymi smakami solfeżu: rytmem, metrum, konturem, głębią, skalą, mikrotonami, długością samogłosek i akcentem, współgraniem słów i struktur muzycznych.

Zadowoleni ze znalezienia tak żarliwego i pojętnego ucznia, jego nauczyciele uznali, że chce być jednym z nich – teoretykiem wyjaśniającym tradycyjne pieśni. Szokowało ich, oczywiście, kiedy sam śpiewał, aby sprawdzić, czy dobrze zrozumiał frazowanie jakiejś pieśni, i skwapliwie donosili o tym najdonioślejszym, ale na swój sposób to im odpowiadało. Spostrzegli też, że reszta ma nadzwyczajny głos: giętki, prawdziwy, o niezwykłej skali. Jaka szkoda, że nie może go słuchać szersze grono...

Wkrótce Hlavin pozbył się również akademików i zaczął tworzyć pieśni klasyczne w formie, ale niezwykle w treści – poematy pozbawione narracji, ale przesycone liryzmem tak potężnym i zniewalającym, że nikt, kto ich choć raz wysłuchał, nie mógł już wyzwolić się z czaru i piękna owego niezwykłego świata. Pierworodni i drudzy w kolejności narodzin VaGayjurowie gromadzili się u wrót jego samotni, by posłuchać tych pieśni. Pozwalał im na to, wiedząc, że mogą zanieść je do Piya’aru, do Agardi, do Kirabai i Wysp Zewnętrznych, do Mo’arlu i do samej stolicy. Chciał, by go słuchano, pragnął osiągnąć świata poza murami Galatny i nie przerwał swoich koncertów nawet wtedy, kiedy go ostrzeżono, że Bhansaarowi Kitheriemu polecono przeprowadzenie śledztwa w sprawie tej innowacji.

Kiedy przybył Bhansaar, Hlavin powitał go bez lęku, jakby chodziło jedynie o grzecznościową wizytę. Selikat nauczyła go dwulicowości, więc reszta Galatny zapoznał swego brata z kilkoma godnymi uwagi nowymi zwyczajami, a później poczęstował go likierami i wykwintnymi przystawkami, jakich Bhansaar nigdy w życiu nie próbował. „Nieszkodliwe nowinki, a przy tym naprawdę czarujące”, uznał Bhansaar. Mile polechtany udziałem w pełnych wdzięku i błyskotliwych aforyzmów sympozjach, a już szczególnie zachwycony poezją, która sławiła jego własną mądrość i bystrość, nie znalazł żadnego prawnego powodu, by młodemu Hlavinowi nakazać milczenie. Zanim opuścił Gayjur, zaproponował nawet – mniej lub bardziej z własnej inicjatywy – by koncerty Hlavina były nadawane przez radio, podobnie jak oficjalne oratoria państwowe.

„Albowiem to, co nie jest zabronione – pisał Bhansaar w swoim oficjalnym raporcie – musi być dozwolone, bo gdyby było inaczej, można by mniemać, że tym, którzy prawo stanowili, zabrakło dalekowzroczności”.

A nie ulega najmniejszej wątpliwości, że taki wniosek byłby o wiele bardziej wywrotowy niż pozwolenie resztarowi Galatny na śpiewanie własnych pieśni! Ostatecznie na cóż bardziej nieszkodliwego od poezji można pozwolić resztarowi?

„Śpiewa tylko o tym, co jest dostępne w Galatnie: o woniach, o burzach, o seksie”, donosił Bhansaar swemu ojcu i bratu, kiedy powrócił do Inbrokaru. A kiedy zdumiewali się, dodał: „To naprawdę wspaniała poezja. No i trzyma go z dala od kłopotów”.

Tak więc Hlavinowi Kitheriemu pozwolono śpiewać, a czyniąc to, zwabił wolność do swego więzienia. Słuchając jego koncertów, poddając się zniewalającemu czarowi jego pieśni, nawet pierworodni i narodzeni drudzy w kolejności wyzwalali się spod tyranii genealogii i z ochotą dzielili jego wyrafinowane i skandalizujące wygnanie, a Pałac Galatna stał się miejscem zgromadzeń tych, którzy normalnie nigdy by się ze sobą nie spotkali. Swoją poezją resztar Galatny na nowo zdefiniował legalną bezpłodność jako czystość umysłu; oczyszczając swoje życie ze skażonej przeszłości i zakazanej przyszłości, uczynił je godnym pozazdroszczenia. Inni chcieli żyć tak, jak on – na samym szczycie przeżycia, istniejąc naprawdę jedynie w owej krótkiej chwili, która następuje po ulotnym momencie wyszukanego arcyzmu seksualnego nie zakłóconego dynastycznymi względami. A byli wśród nich i tacy, którzy nie tylko doceniali poezję Kitheriego, ale sami komponowali pieśni uderzające swym pięknem. Były to dzieci jego duszy.

Nie sięgał dalej. Wystarczało mu samozadowolenie, pograżenie się w wiecznym „teraz”, prawdziwy triumf nad czasem: wszystkie elementy w równowadze, wszystko stabilne, chaos poskromiony i opanowany jak kobieta w swojej komnacie.

A jednak, kiedy w końcu osiągnął to wszystko, kiedy zaspokoił ostatnie pragnienie, muzyka zaczęła w nim obumierać. Dlaczego?, zapytywał, ale nikt nie potrafił mu na to odpowiedzieć.

Z początku próbował wypełnić pustkę obiektami. Zawsze cenił to, co rzadkie, co jedyne w swoim rodzaju. Teraz wyszukiwał i gromadził to, co najlepsze i najstarsze, to, co najkosztowniejsze i najbardziej zdobne, to, co najbardziej zagmatwane i skomplikowane. Każdy nowy skarb dawał mu wytchnienie od pustki, kiedy studiował jego zawilgości i zagłębiał się w jego niuanse, próbując odnaleźć ślad owego światła, owej porażającej przejrzystości... Lecz kiedy odkładał przedmiot, urok pryskał, zapach się ulatniał, powracała milcząca pustka. Spędzał dni, spacerując i wyczekując, ale nic nie nadchodziło, nic nie wzniecało nawet iskry pieśni. Jego życie nie było już poematem, lecz niezborną kolekcją słów, równie przypadkowych i pozbawionych znaczenia jak trajkotanie domowych Runów.

To, co czuł, wykraczało poza zwykłe znudzenie. To było powolne umieranie duszy. To było przekonanie, że nie istnieje na świecie nic, co pozwoliłoby mu ponownie odetchnąć pełnią życia.

W tę noc, jak poświata pierwszego brzasku, wkroczył kryształowy flakon o uderzającej prostocie, zawierający siedem małych, brązowych ziaren o zupełnie niezwykłym zapachu: kamfory, cukru i korzeni, aldehydów i estrów, i jeszcze jakichś pyrazyn, uwolnionych w nagłym paroksyzmie wonności – zapachu, który wstrząsnął nim tak, jak erupcja wulkanu wstrząsa skamieniałą ziemią, który wciągnął w płuca, najpierw niemal tracąc oddech, a później krzycząc jak nowo narodzone niemowlę. A wraz z tą wonią, wypełniającą mu głowę i piersi, nadeszła świadomość, że świat zawiera w sobie coś nowego. Coś cudownego. Coś, co przywracało mu życie.

Później pojawiło się tego więcej: *syn'amon*, jak ów kupiec, Supaari VaGayjur, nazwał kolejną dostawę. *Klohv. Vanil'a. Yeest. Saydj. Ta'im. Koomen. Sohph*. A każdej zdumiewającej substancji towarzyszyła obietnica czegoś niewyobrażalnego: pot, tłuszcz, nieskończenie małe fragmenty skóry. Nie Jana'aty. Nie Runao. Kogoś innego. Czegoś innego. Czegoś, co można było nabyć tylko za całkowicie równoważną cenę: życie za życie.

I wreszcie dane mu było doświadczyć owego zawilego tańca zupełnie nowych woni, dźwięków i odczuć, nie zrównanej chwili bolesnego napięcia seksualnego, zdumienia towarzyszącego niezwykłemu spełnieniu. Przez całe życie szukał inspiracji w tym, co pogardzane, tym, co pomijane, tym, co jedyne w swoim rodzaju, w tym, co ulotne; przez całe życie wierzył, że każde doświadczenie, każdy obiekt, każdy wiersz może być samowystarczalny, doskonały i całkowity. A jednak, zanim jeszcze otworzył oczy zamknięte w chwili orgazmu, kiedy po raz pierwszy posiadał tego cudzoziemca, zdał sobie sprawę, że porównanie jest źródłem wszelkiego znaczenia.

Jak mógł być na to głuchy tak długo?

Rozważmy rozkosz, pomyślał, kiedy już odprowadzono cudzoziemca. Posiadaniu ruńskiej konkubiny lub jana'atańskiej branki towarzyszyło zawsze poczucie jakiejś nierówności, która z pewnością mogła stać się podstawą porównania, ale była skażona elementem spełnionego obowiązku. Rozważmy siłę! Aby zrozumieć siłę, trzeba zgłębić bezsilność. Posiadanie tego cudzoziemca było najbardziej pouczające, nawet wówczas, kiedy upajająca woń strachu i krwi zaczęła już zanikać. Bez pazurów, bez ogona, z tym śmiesznym uzębieniem, mały, uwięziony.

Bezbronny. Najbardziej niegodna i zasługująca na pogardę ze wszystkich zdobyczy...

...wcielenie Zera, fizyczna manifestacja samej genezy przeżycia...

Tej nocy Hlavin Kitheri wciąż leżał na poduszkach, medytując nad brakiem wielkości i znaczenia, nad cyfrą oddzielającą pozytywne od negatywnego, nad niczym, nad Nicością.

Dokonanie takich porównań sprawiało, że orgazm nabierał nieskończonego piękna matematyki, a jego gradacje, jego nierówności, rozwijały się przed doświadczonym estetą jak wachlarz; trzeba je było tylko rozpoznać i docenić.

Sztuka nie może istnieć bez nierówności, a jej niezbywalnym elementem jest porównanie.

O pierwszym brzasku kazał ponownie sprowadzić cudzoziemca. Tym razem było inaczej. Za trzecim razem również inaczej. Wezwał najlepszych poetów – najbardziej utalentowanych, najbardziej chłonnych – i wykorzystując cudzoziemca, by ich nauczyć tego, czego sam się nauczył, odkrył, że każdy z nich miał inne doznania. Teraz słuchał ich zupełnie inaczej, teraz zachwycał się różnorodnością i potęgą ich pieśni. Mylił się co do możliwości czystego doznania – teraz już o tym wiedział! Jednostka jest soczewką, przez którą w pewnym momencie przenika przeszłość, aby przemienić przyszłość. Nawet sam cudzoziemiec zmieniał się po każdym epizodzie, i to w zdumiewający sposób; czegoś takiego nie można było zaobserwować u żadnej ruńskiej konkubiny czy jana'atańskiej branki.

W upajających dniach, które nastąpiły po tym pierwszym spotkaniu, Hlavina Kitheri stworzył filozofię piękną, naukę o sztuce i jej twórczych źródłach, jej formach i skutkach. Całe życie może być poematem epickim, a znaczenie każdej chwili może być ujawnione jak kontury płaskorzeźby przez ukośne promienie przeszłości i przyszłości, przez światło zmierzchu i brzasku. Precz z wszelką izolacją, z przypadkowymi przeżyciami, z wszelką jedynością! Aby wznieść życie do poziomu Sztuki, trzeba klasyfikować, porównywać, szeregować, doceniać wszelkie nierówności, tak aby to, co najlepsze, to, co zwykłe, i to, co podniejsze, mogło być rozpoznane poprzez kontrast.

Po wielu latach milczenia znowu rozbrzmiała transcendentna muzyka Hlavina Kitheriego, przesycona tak zniewalającą mocą artystyczną, że pociągnęła jego społeczność jak fala odpływu.

Nawet ci, którzy poprzednio go ignorowali, i ci, których irytowały jego skandaliczne zainteresowania i niezwykle poglądy, teraz byli urzeczeni genialnością, z jaką zdawał się wydobywać z mroku niezmiennie prawdy.

„Jakie to piękne!”, wołali. „Jakie prawdziwe! Całe nasze społeczeństwo, całą naszą historię można pojmować jako nieskazitelny poemat wyśpiewywany z pokolenia na pokolenie, jako nieśmiertelną pieśń, w której nic nie ulega zatracie i do której niczego się nie dodaje!”

Pośród tego estetycznego fermentu i uniesienia, u wrót Pałacu Galatna pojawili się inni cudzoziemcy z młodą ruńską tłumaczką o imieniu Askama, która powiedziała, że członkowie rodziny cudzoziemca przybyli, aby zabrać go do domu.

W tym czasie Hlavin Kitheri prawie już zapomniał o tym maleńkim ziarenku nie kończącej się fluorescencji, ale kiedy zbliżył się jego sekretarz, pomyślał: Niech nikt nie będzie uwięziony.

Niech nikt nie będzie ograniczony czyimś życzeniem lub potrzebą.

– Jedynym więzieniem są nasze własne ograniczenia! – zaintonował ze śmiechem.

Obawiając się nieporozumienia, sekretarz zaczął się kołysać lękliwie z boku na bok i zapytał:

– Panie, pozwalasz odejść cudzoziemcowi Sandozowi?

– Tak! Tak... niech otworzą komnatę! – zawołał Kitheri. – Niech zatańczy Chaos!

Było to więc ostatnie posługiwanie cudzoziemca. Hlavin Kitheri pochodził bowiem ze społeczeństwa, które uwięziło ducha wszystkich swoich obywateli. Ta odwieczna tępota, głupota i lenistwo panujących, ta wymuszona uległość rządzących! Hlavin zrozumiał teraz, że cała struktura jana'atańskiego społeczeństwa oparta była na hierarchii warstw społecznych, lecz był to całkowicie sztuczny podział, promujący najgorszych, a spychający na dno najlepszych.

– Wyobraźcie sobie – zachęcał swoich zwolenników – to spektrum różnorodności, które mogłoby się ujawnić w naturalny sposób, gdyby wszyscy zaczęli walczyć o swoje miejsce w prawdziwej hierarchii!

– Postradał rozum – mówiono.

Może tak było. Wyzwoliwszy się ze wszystkich konwencji i ograniczeń, odciąwszy się od ustalonego porządku rzeczy, Hlavin Kitheri wymyślił świat, w którym miejsce jednostki w społeczeństwie nie zależało od jej rodowodu, pochodzenia, obyczajów, lecz wyłącznie od jej zdolności, zweryfikowanych i uznanych przez innych. I zaczął o tym świecie śpiewać z porażającą mocą swej wyobraźni, póki jego ojciec i bracia nie zrozumieli wreszcie, o czym on śpiewa, i póki mu nie zabronili koncertów.

Kto nie doznałby zachwiania umysłu? Marzyć o takiej wolności, wyobrażać sobie świat bez murów – a potem znaleźć się z powrotem w więzieniu...

Hlavin Kitheri miał wiernych przyjaciół, prawdziwych wielbicieli wśród poetów i niektórzy z nich zostali przy nim na tym nowym i o wiele straszniejszym wygnaniu. Mieli nadzieję, że ich mistrz znajdzie jakiś sposób na to, by znowu cieszyć się życiem w tej niewielkiej, cudownej enklawie, jaką był Pałac Galatna. Lecz kiedy zaczął mordować członków swojego haremu, aby później siedzieć i obserwować, jak gniją ich ciała, opuścili go najwierniejsi druhowie, nie chcąc być świadkiem jego szaleństwa i ostatecznego upadku.

A potem rozbłysło światło w ciemności: nadeszła wiadomość, że Jholaa została szczęśliwie zapłodniona i ma urodzić potomka, więc reszta Galatny zostanie na krótko uwolniona z wygnania, aby przybyć do miasta Inbrokaru i wziąć udział w ceremoniach uświetniających inaugurację darjańskiej linii rodowej, nadanie imienia pierwszemu dziecku jego siostry i pełnego szlachectwa temu kupcowi z Gayjuru, który sprzedał mu Sandoza.

Hlavin Kitheri ocenił, porównał i osądził charakter tych, którzy sprawowali władzę, i wiedział już, że nie byli w stanie ani mu dorównać, ani go przejrzeć. Uzyskał już odpowiedź na pytanie: „Dlaczego?” Pozostawało tylko „Kiedy?” i „Jak?”, a wiedząc o tym, reszta Galatny uśmiechał się w milczeniu, wyczekując dogodnego momentu, by odzyskać wolność. A moment ów nadszedł, kiedy jego zwariowany szwagier Supaari VaGayjur opuścił Inbrokar z bezimiennym niemowlęciem. Tego popołudnia – z szybkością i pewnością wygłodzonego drapieźnika – Hlavin Kitheri powalił wszystkich, którzy stali na drodze wiodącej do władzy.

Swoje ostatnie dni jako reszta spędził na ceremoniach pogrzebowych pomordowanych członków swojej rodziny: ojca i braci, bratanków i siostrzeńców, bezbronnej siostry i wytwornego, ale całkowicie pozbawionego szczęścia rezydenta Ira'ila Vry – wszyscy „zostali pewnej nocy nikczemnie napadnięci przez ruńską służbę podburzoną przez renegata Supaariego VaGayjura”. Cała ta służba, co do jednego, została uznana winną zbrodni i natychmiast wymordowana. Sam Supaari otrzymał oficjalnie status VaHaptay, co oznaczało, że od tej chwili każdy, kto go spotka, może legalnie zabić jego samego, dziecko i wszystkich, którzy pomogli mu w ucieczce.

Odrzuciwszy na bok jak zżęte kwiaty wszelkie przeszkody, Hlavin Kitheri, czterdziesty ósmy Najdonioślejszy Dziedzictwa Inbrokaru, rozpoczął wymyślne obrządki swojej inwestytury, przygotowując się do uwolnienia swojego ludu.

Październik był suchy i ciepły i już samo to wystarczyło, aby Emilio Sandoz poczuł się lepiej. Po ciężkiej nocy leczyło go światło słońca wlewające się przez okna.

Używając rąk ostrożnie, bo trudno było przewidzieć, co może wywołać ból, wczesne godziny dnia przeznaczał na porządkowanie swojego pokoju; postanowił robić wszystko, na co go będzie stać, bez niczyjej pomocy lub pozwolenia. Po tak długim okresie inwalidztwa ślanie łóżka, zamiatanie podłogi i zmywanie naczyń sprawiało mu prawdziwą rozkosz. Zwykle o dziewiątej, jeśli tylko nocne koszmary nie były zbyt męczące, był już ogolony, wykąpany i ubrany, gotowy do przejścia na doskonalszy i bezpieczniejszy grunt – samotnych badań naukowych.

W pracy czerpał garściami z technicznych dobrodziejstw, jakimi obdarowało świat wymierające już pokolenie amerykańskiego wyżu demograficznego, które starzejąc się, stworzyło olbrzymi rynek wyposażenia pomagającego słabym i ułomnym. Wystarczył tydzień, by nauczyć system rozpoznawania jego mowy w czterech językach, których najczęściej używał przy pracy, a potem jeszcze jeden tydzień, by nauczyć się wokalizacji dźwięków przez mikrofon umieszczony na szyi. Wolał to, do czego był przyzwyczajony, zamówił więc wirtualną klawiaturę i trzynastego października zaczął już nabierać wprawy w posługiwaniu się specjalnymi nakładkami na protezy, wyzwalając sygnały prawie niedostrzegalnymi ruchami palców.

Robolingwista, pomyślał tego ranka, sadowiąc się przed komputerem z hełmofonem na głowie i protezami na rękach. Pochłonięty wyszukiwaniem hiponimów i kolokacji w danych przekazanych z Rakhatu, nie zwrócił uwagi na pukanie poza słuchawkami, więc całkowicie zaskoczył go kobiecy głos, wołający:

– Don Emilio!

Zdjął hełmofon i wirtualną klawiaturę i czekał, nie bardzo wiedząc, co zrobić albo powiedzieć, póki nie usłyszał:

– Nie ma go w domu, Celestino, ale to był uroczy pomysł. Wróćmy tu innym razem.

Wcześniej lub później i tak trzeba będzie przez to przejść, pomyślał.

Dotarł do drzwi w chwili, gdy dziecko zaczęło głośno okazywać swe niezadowolenie, a kiedy je otworzył, ujrzał trzydziestoletnią kobietę, wyglądającą na znękaną i zmęczoną, ale o anielskiej twarzy Celestiny: orzechowe oczy w owalu z kości słoniowej otoczonym jasnobrązowymi kędziorami.

– Przyniosłam ci świnkę morską – oznajmiła Celestina.

Sandoz spojrział na jej matkę, czekając na wyjaśnienie.

– Bardzo przepraszam, don Emilio, ale Celestina doszła do wniosku, że musi ksiądz mieć jakieś zwierzątko – powiedziała kobieta z wyrazem takiej rezygnacji na twarzy, że nietrudno było się domyślić, iż musiała znosić nalegania córeczki od samych chrzcin. – Moja córka jest dość uparta, kiedy już coś sobie postanowi.

– Nie jest mi obce to zjawisko, *signora* Giuliani – odpowiedział z cierpką uprzejmością, przypominając sobie Askamę; po raz pierwszy ciepło, a nie z ukłuciem bólu.

– Jestem Gina – powiedziała matka Celestiny, ukrywając zakłopotanie pod zdawkowym uśmiechem. – Jeśli już mam być twoją teściową, powinniśmy mówić sobie po imieniu. Zgoda?

– Że niby co? – zapytał, otwierając szeroko oczy.

– Celestina jeszcze ci nie powiedziała? – Gina odgarnęła z warg kosmyk włosów, zdmuchnięty tam wiatrem, i automatycznie zrobiła to samo Celestinie, starając się, aby jej rozbrykane i uparte dziecko wyglądało przyzwoicie. – Moja córka zamierza cię poślubić, don Emilio.

– Nałożę swoją białą suknię z imionami – oznajmiła Celestina. – I już nigdy nikomu jej nie oddam. Ciebie też – dodała po krótkim zastanowieniu. – Nigdy.

Matka wzniosła oczy ku niebu i zagryzła wargi, ale Sandoz usiadł na najniższym stopniu, aby mieć przed sobą twarz Celestiny w otocze włosów rozświetlonych słońcem.

– Donno Celestino, to dla mnie naprawdę wielki zaszczyt. Muszę jednak zaznaczyć, że jestem już staruszkciem. Chyba nie bardzo pasuję do tak młodej i pięknej damy.

Dziecko spojrzało na niego podejrzliwie.

– Co to znaczy?

– To znaczy, *carissima*, że dostałaś kosza – odpowiedziała Gina znużonym tonem, bo wyjaśniała to już córce ze sto razy tylko tego ranka.

– Jestem dla ciebie za stary, *cara* – potwierdził Sandoz z żalem.

– Ile masz lat?

– Wkrótce będę miał osiemdziesiąt – odpowiedział. Gina zaśmiała się głośno, a on spojrział na nią z powagą na twarzy, choć oczy płonęły mu radością.

– Ile to będzie palców? – zapytała Celestina. Podniosła cztery palce i oznajmiła: – Ja mam tyle.

Sandoz ujął jej obie rączki, powoli otworzył i zamknął je osiem razy, licząc na głos dziesiątkami. Mechanizm protez cicho zafurkotał.

– To dużo palców – powiedziała Celestina z przejęciem.

– Tak, dużo, *cara*. Bardzo dużo. Za dużo.

Celestina zaczęła się nad tym zastanawiać, skręcając delikatnymi paluszkami gruby kosmyk włosów. Emilio z rozczuleniem patrzył na wałeczki wokół jej nadgarstków – ostatni ślad dziecięcego tłuszczu.

– Ale świnkę morską mogę ci dać – oświadczyła w końcu. Roześmiał się szczerze, ale później spojrział na Ginę Giuliani i lekko pokręcił głową.

– Och, don Emilio, sprawiłbyś mi prawdziwą przyjemność! – zawołała Gina, zakłopotana, ale stanowcza, bo to ojciec generał zachęcił Celestinę, by dała Sandozowi świnkę morską, uważając, że opiekowanie się zwierzątkiem będzie czymś w rodzaju fizycznej i emocjonalnej terapii. Zresztą... – Mamy w domu jeszcze trzy. Kiedy moja szwagierka Carmella przyniosła ze sklepu zoologicznego pierwszą, nie wiedziała, że świnka jest w ciąży.

– Naprawdę, *signora*, nie jestem zupełnie przygotowany, aby mieć i karmić zwierzątko... – Urwał. Klasyczny błąd! Przypomniał sobie radę, jaką George Edwards dał Jimmy’emu Quinnowi podczas jego ślubu: nigdy nie podawaj kobiecie powodu, dla którego nie chcesz czegoś zrobić, bo zacznie się z tobą sprzeczać. Mów „nie” albo przygotuj się na przegraną.

– Przyniosłyśmy klatkę – powiedziała Celestina, która potrafiła wszystko przewidzieć, choć miała dopiero cztery lata. – I jedzenie. I butelkę z wodą.

– To bardzo miłe zwierzątko – zapewniła go Gina, kładąc ręce na ramionach Celestiny i tuląc ją do siebie. – Nie sprawiają żadnego kłopotu, dopóki nie zaczną się rozmnażać jak zwariowane. Ta jest jeszcze młoda i niewinna, ale długo taka nie będzie. – Widząc, że opór Sandoza słabnie, przypuściła bezlitosny atak, wołając dramatycznym tonem: – Don Emilio, jeśli jej nie weźmiesz, padnie ofiarą... swoich własnych braci!

Zapanowało milczenie, które można by nazwać wymownym.

– Gino, jesteś naprawdę bezlitosna – powiedział w końcu Sandoz, mrużąc oczy. – Poczynam się tylko, że będziesz moją teściową.

Roześmiana i triumfująca, Gina poprowadziła Sandoza do swego samochodu; Celestina biegła za nimi w podskokach. Otworzywszy tylne drzwi, Gina wyjęła i podała kapłanowi torbę z karmą, nie zważając na jego ręce. Postanowiła nie zwracać na nie uwagi. Przez chwilę zonglował niepewnie torbą, ale udało mu się ją mocno schwycić. Celestina szczebiotała przez cały czas, pouczając go, jak opiekować się świnką, a na koniec oznajmiła, że jej matka nazywa się Kleopatra.

– Na cześć egipskiego obyczaju królewskiego kazirodztwa – zauważyła Gina na tyle cicho, by Celestina nie usłyszała i nie zażądała wyjaśnień. Wyjęła klatkę z tylnego siedzenia samochodu.

– Ach... – powiedział Sandoz równie cicho z tej samej przyczyny, kiedy ruszyli z powrotem do jego pustelni. – A więc tę nazwę Elizabeth, w nadziei, że pójdzie śladami Królowej Dziewicy. – Gina zaśmiała się, ale Emilio ostrzegł ją: – Jeśli jest kotna, *signora*, nie zawaham się złożyć całej dynastii na twoim progu.

Weszli na górę i zainstalowali Elizabeth w jej nowym domu. Klatka zrobiona była z listewek i plastikowej siatki; wewnątrz leżał przewrócony koszyczek z wikliny, żeby zwierzątko miało się gdzie schować. U góry był otwór.

– Nie wyjdzie górą? – zapytał Sandoz, siadając i zerkając na świnkę: podłużny kłębek złotego futra, z białą kryzą i gwiazdką na zadku, wielkością i kształtem przypominający otoczek.

Przód można było odróżnić od tyłu jedynie po parze czujnych oczu, błyszczących jak paciorki jadeitu.

– Zaraz się przekonasz, że świnki morskie nie potrafią się wspinać – powiedziała Gina, która uklękła, żeby przymocować w klatce butelkę z wodą. Uniosła na chwilę zwierzątko, aby mógł zobaczyć śmiesznie małe nóżki wspierające dość gruby tułów, a potem wstała i poszła do kuchni po ścierkę do naczyń. – Przekonasz się również, że ręcznik na kolanach jest rozsądnym środkiem ostrożności – dodała, wręczając mu ścierkę.

– Może zrobić na ciebie siusiu – powiedziała Celestina, kiedy wziął zwierzątko od Giny. – I może...

– Dziękuję ci, *cara*. Jestem pewna, że don Emilio potrafi domyślić się reszty – przerwała jej matka, siadając na drugim krześle.

– To wygląda jak rodzinie. – Celestina nie rezygnowała.

– I jest bardzo łagodna, w przeciwieństwie do mojej córki. Świniki morskie lubią, jak się je pieści, ale ta jest jeszcze trochę onieśmielona, kiedy się ją weźmie na ręce. Od czasu do czasu potrzymaj ją na kolanach przez pięć czy dziesięć minut. Celestina ma rację, choć nie zawsze zachowuje się poprawnie. Nie wierz w dobre maniery świnek morskich. Jeśli potrzymasz królową Elizabeth na kolanach dłużej niż dziesięć minut, może cię uznać za anglikańskiego konwertytę i ochrzcić.

Spojrzał na zwierzątko, które instynktownie znieruchomiało, starając się wyglądać jak kamień, na wypadek gdyby z góry wypatrzył je jastrząb. Na czole, pomiędzy beznadziejnie zwisającymi uszami w kształcie muszelek, miało czarne linie w kształcie litery V.

– Nigdy nie miałem swojego zwierzątka – powiedział cicho. Odzyskał już czucie w zewnętrznych krawędziach dłoni, gdzie nerwy nie były uszkodzone, i teraz użył nie osłoniętej protezą części małego palca, by pogłaskać świnkę po grzbiecie od tępego pyszczka po pozbawiony ogona zadek.

– No dobrze. Przyjmę twój podarek, Celestino, ale pod jednym warunkiem – oświadczył z powagą, spoglądając na jej matkę. – *Signora*, myślę, że potrzebny mi jest pośrednik.

– Rozumiem – powiedziała pospiesznie Gina. – Co tydzień przyniosę świeżą karmę i zmienię podściółkę w klatce. Na mój koszt, rzecz jasna. Jestem ci bardzo wdzięczna, że ją weźmiesz, don Emilio.

– No... tak, to też. Ale na tym nie koniec. Jeśli nie sprawi ci to kłopotu, chciałbym cię prosić o kupienie mi czegoś z odzieży. Nie załatwiłem sobie karty kredytowej, a poza tym są pewne... codzienne sprawy, z którymi jeszcze nie potrafię sobie poradzić. – Ostrożnie uniósł świnkę i włożył ją z powrotem do stojącej na podłodze klatki. Zwierzątko natychmiast czmychnęło pod koszyk i zamarło. – Nie chcę, abyś za cokolwiek płaciła – powiedział, prostując się. – Mam niewielką rentę.

Spojrziała na niego, zaskoczona.

– Rentę inwalidzką? Przecież wciąż pracujesz! – Wskazała na analizator dźwięków.

– Nie rentę, tylko emeryturę, *signora*. Osobiście uważam, że legalny aspekt tej sytuacji jest nieco mylący, ale w zeszłym tygodniu poinformowano mnie, że w pewnych regionach Loyola's Company działa obecnie jako międzynarodowa korporacja, zapewniając swoim ludziom bezpłatną opiekę zdrowotną i emeryturę.

– I ma oddziały regionalne, a nie prowincje! – Gina wytrzeszczyła oczy, wciąż zdumiona, że rozmowa zesłała na ten temat. – Wiem, to się ciągnęło przez blisko sto lat, ale... to okropne, ile szkody mogą narobić dwaj uparci, nie uznający kompromisu starcy. Obaj już nie żyją, ale osobiście uważam, że nie ma czego żałować.

Sandoz skrzywił się.

– No cóż, nie po raz pierwszy jezuita trochę za bardzo wyprzedził Watykan. I nie po raz pierwszy Towarzystwo zostało rozwiązane.

– Ale tym razem było o wiele więcej kłopotów – zauważyła Gina. – Prawie jedna trzecia biskupów odmówiła odczytania Bulli Kasacyjnej i wciąż trwają setki procesów cywilnych o zwrot własności. Chyba nikt do końca nie rozumie, jaki jest właściwie legalny status Towarzystwa Jezusowego!

Emilio potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

– No cóż, John Candotti mówi, że negocjacje zostały podjęte na nowo. Uważa, że obie strony są gotowe do kompromisu i wkrótce może dojść do jakiejś ugody...

Gina uśmiechnęła się.

– Don Emilio, każdy w Neapolu wie, że niewiele jest politycznych łamigłówek, których by nie potrafił rozwiązać Giuliani, albo za pomocą chytrych sztuczek, albo za pomocą maczugi. Ten nowy papież to wspaniały człowiek, a do tego równie przebiegły jak Giuliani. Możesz być pewny: oni dwaj dadzą sobie radę nawet z czymś takim.

– Mam nadzieję – powiedział Emilio i powrócił do problemu, który dotyczył bezpośrednio jego. – W każdym razie nie przewidziano sytuacji, w której dochodzi do zmiany czasu, kiedy ktoś podróżuje z szybkością zbliżoną do prędkości światła. Zgodnie z ziemskim kalendarzem mam prawie osiemdziesiąt lat, więc uważam, że należy mi się emerytura od prawnego sukcesora tego, co nazywało się prowincją Antylów.

Ojciec generał był wściekły, kiedy Johannes Voelker, jego prywatny sekretarz, zwrócił na to wszystkim uwagę. Voelker był jednak człowiekiem z niezłomnymi zasadami i uparł się, że Sandoz ma prawo do emerytury.

– No więc. Czy nadal robią lewisy?

– Oczywiście – odpowiedziała, trochę rozkojarzona, bo Celestina odeszła od klatki i zaczęła się zbliżać do aparatury fotonicznej. – Nie dotykaj tego, *cara! Scuzi*, don Emilio. O co chodziło? O lewisy?

– Tak. Dwie pary, jeśli łaska. I ze trzy koszule. To bardzo skromna emerytura. – Odchrząknął. – Nie mam pojęcia, co się teraz nosi i jakie są ceny, więc zdaję się na ciebie, ale wolałbym, żebyś nie wybrała czegoś okropnie...

– Rozumiem. Nic ekstrawaganckiego.

Była wzruszona, że ją o to poprosił, ale nie dała tego po sobie poznać, tylko zmierzyła go spojrzeniem z wprawą krawcowej, jakby przez całe życie kupowała ubrania księżom.

– Myślę, że przydałby mi się sweter...

– Nic z tego – powiedziała, potrząsając głową. – Protezy pozaczepiają się o oczka wełny. Ale znam kogoś, kto robi bardzo ładne kurtki zamszowe... – Tym razem to on spojrzał na nią powątpiewająco, a ona natychmiast zrozumiała jego obiekcje. – Klasyczny wzór i trwałe materiały to nie żadna ekstrawagancja – oświadczyła stanowczo. – No i można to kupić za godziwą cenę. Coś jeszcze? Jestem mężatką, don Emilio. Już kupowałam męską bieliznę.

Zakaszła i zarumieniła się, uciekając spojrzeniem w bok.

– Dziękuję, tym razem nie.

– Trochę się dziwię – powiedziała. – Emerytura emeryturą, ale czy jezuici nie dostarczają...

– Tu nie chodzi o samą emeryturę, *signora*. Porzucam kapłaństwo. – Chwila niezręcznego milczenia. – Nie ustalono wszystkich szczegółów. Zostaję tutaj, prawdopodobnie na kontrakcie. Z zawodu jestem lingwistą i mam tu coś do zrobienia.

Była trochę wtajemniczona w to, przez co przeszedł; ojciec generał przygotował rodzinę, zanim przywiózł Sandoza na chrzciny. Wciąż jednak nie mogła się pogodzić z tym, że można odrzucić śluby kapłańskie, bez względu na powody.

– Przykro mi – powiedziała. – Wiem, jak trudna musiała być taka decyzja. Celestino! – zawołała, podnosząc się i przyciągając dziewczynkę do siebie. – Nie będziemy już dłużej przeszkadzać – dodała z uśmiechem. – Już i tak zabrałyśmy ci sporo czasu.

Celestina popatrzyła na dwoje dorosłych i pomyślała o malowidłach w kościele. Tak ładnie razem wyglądali!

– Don Emilio nie jest dla ciebie za stary, *mamma* – stwierdziła z powagą. – Dlaczego za niego nie wyjdiesz?

– Sza, *cara*. Co za pomysł! Proszę jej wybaczyć, don Emilio. Ach, te dzieciaki! – zawołała przerażona Gina. – Carlo... mój mąż... już z nami nie mieszka. Celestina, jak chyba sam zauważyłeś, jest bardzo żywym dzieckiem i...

Podniósł uzbrojoną w protezę rękę.

– Nie musisz niczego wyjaśniać, Gino – zapewnił ją i z kamienną twarzą pomógł jej sprowadzić dziewczynkę na dół.

Poszli razem do samochodu. Celestina trajkotała przez cały czas, wypełniając milczenie dorosłych. Wymieniono *ciao* i *grazie*, a Sandoz otworzył paniom drzwi samochodu z rozmyślną i pełną godności zręcznością, na jaką pozwalały mu protezy. Kiedy samochód ruszył, zawołał:

– Tylko żadnej czerni! Nie kupuj mi nic czarnego!

Gina roześmiała się i pomachała ręką przez okno, nie odwracając się, by na niego spojrzeć.

– O pani, poślubiłaś głupca – powiedział cicho i odwrócił się, by wrócić do garażu, gdzie czekała na niego praca.

Kiedy nastąpiła łagodna neapolitańska jesień i deszcz padał coraz częściej, Emilio zdążył już wpaść w ustalony rytm codziennego życia. Elizabeth stała się jego mało wymagającym towarzyszem, który szybko nabrał rozmiarów i proporcji owłosionej cegły i witał go co rano wesołym pogwizdywaniem. Nigdy nie był przyjaźnie usposobiony o świecie, więc wołał z łóżka:

– Jesteś podłym szkodnikiem! Twoi rodzice to szkodniki! Jeśli będziesz miała dzieci, też będą szkodnikami!

Wyciągał ją jednak z klatki i pozwalał zjeść marchewkę na swoich kolanach, podczas gdy sam pił kawę, a po jakimś czasie w ogóle nie czuł się głupio, że rozmawia ze zwierzęciem.

Odkrył, że świnki morskie są spokojne w nocy i podczas dnia, a ożywione o świecie i zmierzchu. To mu odpowiadało. Często pracował non stop od ósmej rano do piątej czy szóstej po południu i dopiero pogwizdywanie świnki sygnalizowało mu, że zaczyna się wieczór.

Wiedział, że może nadejść taka chwila, kiedy da o sobie znać wycieńczenie organizmu, jakiego doznał na Rakhacie i podczas długich miesięcy samotnej podróży na Ziemię. Koncentrował się więc na pracy tak długo, jak zdołał, a potem robił sobie kolację z czerwonej fasoli i ryżu, jedząc ją pod czujnym spojrzeniem czarnych oczek Elizabeth. Później wyjmował ją z klatki i brał na kolana, gładząc jedwabiste futerko pozbawionymi czucia palcami, aż zasypiała czujnym snem zwierzyny, na którą polują drapieżniki.

Po jakimś czasie wracał do pracy, często siedząc przy komputerze do późnej nocy. Poznał już dość dobrze ogólną strukturę *K'sanu* – języka Jana'atów – i coraz bardziej podziwiał jego piękno. Nareszcie przestał być dla niego wyłącznie nośnikiem strachu i upodlenia. Poddawał się rytmowi poszukiwań i porównań, pogłębiał swoją wiedzę, cieszył z wypełniania się wzorów gramatycznych i semantycznych, ulegał fascynacji na tyle silnej, by chroniła go zarówno przed wspomnieniami, jak i przed wybieganiem w przyszłość.

Pod koniec października John taktownie uprzedził go o spodziewanym przyjeździe innych księży, którzy mieli być przeszkoleni przed drugą jezuicką wyprawą na Rakhat. Wszyscy przeczytali już raporty i doniesienia naukowe z pierwszej wyprawy, przerobili wstępny kurs językowy zaprogramowany przez Sofię Mendes w systemie AI i sami zaczęli się uczyć języka *ruanja*. Ojciec generał i John zapoznali ich pokrótce z przeżyciami Sandoza na Rakhacie. John nie wyraził tego dokładnie, ale dał mu do zrozumienia, że tych nowych ludzi ostrzeżono: nie dotykać go, nie matkować mu, nie bawić się w terapeutów – po prostu pracować pod jego kierownictwem.

Emilio nie starał się poznać nowych ludzi, wolał buszować po cyberprzestrzeni albo po internetowych bibliotekach; tu oddzielał go od ludzi bufor elektroniki, a poza tym mógł się zawsze wylogować, kiedy zechciał. Narzuconą sobie samotność przerywał jednak od czasu do czasu, wyprawiając się do kuchni, aby zdobyć od brata Cosima trochę warzyw dla Elizabeth.

W piątki pojawiała się Gina, zawsze z Celestiną, żeby podrzucić coś dla świnki, a czasem jakieś drobne sprawunki, o które śmiał ją poprosić. Ona i John Candotti potrafili mu pomagać w taki sposób, że nie czuł się kaleką, i był im za to bezgranicznie wdzięczny. Pewnego popołudnia zjedli z nim późny obiad i dyskretnie przyjrzeni się jego mieszkaniu i codziennym czynnościom.

Kiedy Gina nie potrafiła znaleźć gotowych urządzeń, które pasowałyby do jego kalectwa, John zabierał się do ich skonstruowania: przeciwwagi do przedmiotów, które trzeba było podnosić, narzędzi i sprzętów kuchennych z szerokimi rączkami, zamków i klamek prostszych w użyciu, ubrań łatwiejszych do wkładania i zdejmowania.

Piątego listopada 2060 roku, a więc w dzień swoich siedemdziesiątych siódmych urodzin – w każdym razie zgodnie z ziemskim kalendarzem – po zwykłej kolacji składającej się z fasoli i ryżu Emilio Sandoz nalał sobie szklanę Ronrico.

– Elizabeth – oznajmił, wznosząc szklanę – jestem absolutnym władcą mojego królestwa, które rozciąga się od klatki schodowej do tego biurka.

Wrócił do pracy, pochłonięty pewnym zakresem semantyki języka *K'san*, który miał coś wspólnego z systemami rzecznyymi, o których opowiadał mu pewien baskijski ekolog: te same terminy mogą odpowiadać rodzajom aliansów politycznych. Jak seria dopływów, pomyślał Emilio, i poczuł w trzewiach ów znajomy skurcz, który czuł zawsze, kiedy zabierał się do obalenia hipotezy uważanej przez siebie za mocną.

RZEKA PON, PROWINCJA ŚRODKOWA,
INBROKAR

2046 czasu ziemskiego

Trzeciego dnia podróży na południe nieznośny upał przerwała burza, która przemoczyła pasażerów rzecznej barki i zalała przybrzeżne równiny na głębokość dłoni. Supaari VaGayjur, obeznany ze zwyczajami wioskowych Runów, ściągnął wilgotne szaty i chodził prawie tak nagi, jak jego towarzysze podróży. Wraz z odzieniem, które nosił w mieście, pozbył się odoru Inbrokaru i znowu poczuł się sobą.

Skończyło się, pomyślał Supaari, i nie odnalazł w sobie żalu.

Był już dostatecznie blisko spełnienia swoich życiowych ambicji, by wiedzieć, co kupuje, i ocenić straty, kiedy wyrzekł się tego, omotany splątanymi sieciami arystokratycznych koligacji, nienawiści i uraz. Z kupiecką stanowczością pogodził się ze stratami, wyslizgując się z matni z jednym słowem na ustach: „Odchodzę”. Tak więc opuścił pałac Kitheriego, nie mówiąc nikomu, że odchodzi. Zabrał to, co było cenne tylko dla niego – dziecko, które w tym momencie Paquarin trzymała za burtą, aby mogło się wysuszać.

Paquarin zgodziła się towarzyszyć mu aż do Kirabai. Teraz śmiała się, zanurzając dziecko w bystrym prądzie, aby je obmyć. Zaraz zaśnie, pomyślał i uśmiechnął się, widząc, jak wyraz przerażenia na małej buzi ustępuje sennemu zadowoleniu, kiedy wylądowało na podołku ruńskiej mamki, poddając się pieszczocie jej zwinnych rąk.

Oparty o kosz owoców, sam senny, obserwował przesuujące się brzegi rzeki i zastanawiał się leniwie, dlaczego Jana'atowie upierają się przy noszeniu ubrań, choć ich ciało pokrywa gęste futro. Anne Edwards zapytała go kiedyś o to i nie bardzo wiedział, co jej odpowiedzieć, poza ogólnikiem, że Jana'atowie zawsze przedkładają to, co wyszukane, nad to, co proste. Ciepły wiatr osuszył mu futro i prawie już drzemał, kiedy przyszło mu na myśl, że strój nie jest ani ochroną, ani ozdobą, ale oznaką przynależności do określonej kasty – pozwala odróżnić pierworodnych wojskowych od drugich w kolejności narodzin urzędników, a obie te kasty od naukowców i kupców, czyli trzeciaków. W ten sposób każdy zajmuje sobie właściwą pozycję i łatwo ocenić, kogo i jak pozdrowić, a kogo potraktować z odpowiednią obojętnością.

I zachować odpowiedni dystans między rządzącymi i rządzonymi, pomyślał, tak aby żaden Jana'ata nie został pomyłony z ruńskim służącym! Uśmiechnął się do siebie, nie otwierając oczu, rad, że w końcu może odpowiedzieć na pytanie Ha'an.

Dopóki nie zwrócili mu na to uwagi ci niezwykle poliformiczni cudzoziemcy, Supaari nigdy nie zastanawiał się nad zagadkowym podobieństwem Jana'atów do Runów. Nigdy tego nawet nie zauważał – równie dobrze można było zapytać, dlaczego deszcz ma taki sam kolor jak woda – natomiast cudzoziemcy byli tym naprawdę zafascynowani. Kiedyś, przebywając już w domu Supaariego w Gayjurze, Sandoz wyraził przypuszczenie, że w dawnych czasach podobieństwo dwóch gatunków było mniejsze, ale Runowie w jakiś sposób spowodowali, że Jana'atowie upodobnili się do nich. Nazwał to mimikrą drapieżników. Supaari poczuł się bardzo urażony przypuszczeniem, że najbardziej skuteczni łowcy jana'atańscy, polujący na Runów, mogli być tymi, którzy najbardziej się do nich upodobnili wyglądem i zapachem – po to, by móc niepostrzeżenie zbliżyć się do stada.

– Tacy łowcy byli zdrowsi i łatwiej im było znaleźć towarzyszek – powiedział Sandoz. – Ich dzieci były lepiej karmione i same miały liczniejsze potomstwo. Po jakimś czasie podobieństwo Jana'atów do Runów stało się bardziej dostrzegalne.

– Ależ to nonsens! – odpowiedział mu Supaari. – To my ich hodujemy, a nie oni nas!

– Łatwiej uwierzyć, że nasi przodkowie zjadali brzydkich Runów, a pozostawiali pięknych, a więc tych, którzy byli bardziej podobni do Jana'atów!

Teraz Supaari przyznał, że Sandoz mógł mieć rację. „To my oswoiliśmy Jana'atów”, powiedziała mu kiedyś jego ruńska sekretarka, Awijan. Wówczas Supaari zbył tę uwagę złośliwym żartem, że przecież niemowlęta Jana'atów były wychowywane przez rufiskie mamki, a to jest coś w rodzaju oswajania...

Zapadł w sen i przyśniło mu się, że stoi przed wejściem do ciemnej jaskini. W jakiś sposób, jak to bywa we śnie, wiedział, że to wejście prowadzi do licznych jaskiń. Wszedł do środka, ale natychmiast stracił orientację, zaczął błądzić, czując się coraz bardziej i bardziej zagubiony – i nagle przebudziły go godowe wrzaski *cranila* o białym grzbiecie, który brodził przy brzegu.

Dźwignął się na nogi i próbował otrząsnąć z niemiłego wrażenia niepokoju, spacerując wokół nadbudówki pilota i obserwując tytaniczne zmagania parzących się zwierząt. Niech im się poszczęści, pomyślał, bez względu na to, co jest szczęściem dla *cranilów*. Kiedy spojrział ponownie na swoją córkę, zwiniętą w kłębek przy Paquarin, pomyślał: Wszedłem do jaskini i wyniosłem z niej dziecko.

Nie „dziecko”. Moje dziecko. Moją córkę.

Nie miał z kim ustalić jej imienia. Zgodnie ze zwyczajem, pierwsza córka powinna przyjąć nie używane imię którejś ze swoich babek lub prababek. Supaari nie miał ochoty czcić w ten sposób pamięci kogokolwiek z rodziny Jholai, więc próbował przypomnieć sobie imiona przodków swojej matki, ale ku swemu rozczarowaniu stwierdził, że nie zna żadnego. Był trzeciakiem, zakładano, że nigdy nie będzie miał potomstwa, więc pewnie nikt mu nie wyliczał przodków, a jeśli nawet kiedyś poznał swój rodowód, nie zapamiętał żadnego imienia. Nie bardzo wiedząc, co dalej robić, Supaari postanowił wrócić do swojego rodzinnego domu w Kirabai. Poprosi matkę o wybranie imienia jego córce; miał nadzieję, że taka prośba sprawi jej radość.

Odetchnął głęboko powietrzem, w którym nie było śladu miejskich odorów, i pomyślał: Wszystko się zmieniło.

A jednak rozpoznał znajome wonie. Horyzont przyćmiła czerwona mgiełka, dobrze widoczna w ukośnych promieniach zachodzącego drugiego słońca – opary wonności unoszące się znad zarośli. Rzeka była coraz szersza, prąd coraz bardziej leniwy, a brzegi coraz częściej otwierały się na płaskie równiny. Lekki wiatr przynosił znajomy zapach przetrawionej trawy: dziwnie czystą woń odchodów *piyanota*. Rozpoznał też ostry zapach prawie dojrzałego zielonego *melfruita* i cierpki, dymny zapach przejrzałej *datinsy*. Wszystko to witało jego i jego córkę jak dawno nie widziani domownicy. Tej nocy spał na pokładzie, nie dręczony żadnymi snami i szczęśliwy.

Czwartego dnia podróży obudziło go poruszenie wśród pasażerów: barka zbliżała się do mostu Kirabai i wielu z nich miało zamiar zatrzymać się tutaj, aby pohandlować. Supaari wstał i polecił Paquarin, by zebrała ich bagaże, a sam zaczął sobie niezdarnie szcztokować futro. Jakiś ruński kupiec, nie proszony, pomógł Paquarin wyjąć najlepsze szaty Supaariego, a potem pozawiazywać wszystkie wstążki i pozapinać sprzączki. Supaari, zadowolony z tej zniewalającej inbrokarskiej służalczości, podziękował im obojgu.

Czuł, jak narasta w nim silne podniecenie – optymizm, energia, ledwo powstrzymywana radość z powrotu do domu. Odwrócił się do Paquarin i wyciągnął ręce po dziecko, nie dbając o kosztowny strój.

– Spójrz, maleńka – powiedział, kiedy barka wpływała pod łuk ze zwykłego piaskowca. – Na zworniku jest godło twojego przodka sprzed dziewięciu pokoleń, który wielce się zasłużył w drugiej pońskiej kampanii hołdowniczej. Od tego czasu Kirabai należy do jego potomków na mocy prawa dziedziczenia.

Rozszerzyła oczy, ale tylko dlatego, że barka zanurzyła się w cieniu pod mostem. Supaari posadził ją sobie na ramieniu i wciągnął w nozdrza nieco stęchły, ale słodki zapach niemowlęcia.

– Wierz mi, maleńka, musieliśmy wrócić aż tu, żeby znaleźć kogoś, kto będzie z ciebie dumny – wyszeptał z goryczą. – Jesteśmy właścicielami zajazdu, zapewniającymi godziwy nocleg podróżnym: cztery noce na południe od Inbrokaru i trzy noce na północ od brzegu morza. Otrzymujemy za to zasiłek od rządu i pobieramy jedną dwunastą wartości towaru wywożonego stąd przez wszystkich Runów VaKirabai. Niestety, rodzina twojego ojca nie należy do znamienitych. Ale nie mordujemy podstępnie niemowląt, pomyślał, kiedy barka ponownie wypłynęła z cienia.

– Zatrzymamy się tu tylko do jutrzejszego drugiego zachodu, panie – zawołał do niego właściciel barki z nadbudówki pilota. – Popłyniesz z nami dalej, w dół rzeki?

– Nie – odrzekł Supaari, podniecony widokiem, zapachami i odgłosami Kirabai. – Jesteśmy w domu.

Rozpromieniony, oddał dziecko Paquarin. Barka już przybiła do nadbrzeża; rzucono grube, plecione cumy. Rozglądał się i wdychał zapachy, wypatrując na nadbrzeżu kogoś, kogo znał jako chłopiec, ale nie rozpoznał żadnej znajomej twarzy. Przecisnął się więc przez tłum Runów, tłoczących się, by zadeklarować towar i uiścić opłatę portową, i na chybił trafił wynajął jakiegoś ruńskiego tragarza, choć bagażu miał niewiele, a i pieniędzy do wydania nie za dużo. Kirabai opuścił prawie z niczym, a jednak udało mu się zbudować przedsiębiorstwo handlowe, które wytwarzało pieniądze tak, jak równiny rodzą trawę; poznał, co to bogactwo, i czasami w nocy, kiedy sen nie nadchodził, wyobrażał sobie, jak wraca do domu, z poczuciem triumfu i z nagromadzonym przez te lata majątkiem. Kiedy otrzymał godność Założyciela, musiał przekazać swoje wszystkie aktywa do państwowego skarbcza. Teraz wracał na frachtowej barce, mając niewiele więcej niż wówczas, gdy dom opuszczał: bezimienne dziecko i sześćset *bahli* – wszystko, co mu pozostało po sprzedaniu osobistych klejnotów w porcie Inbrokaru, opłaceniu Paauarin i zapłaceniu za jej przejazd barką. Ubrał się w najlepszy strój i wynajął tragarza, żeby zrobić dobre wrażenie. Żałował tylko, że nie ma dłuższych pazurów.

Dziecko warte jest tej ceny, pomyślał z trzeźwością kupca. Pieniądze zawsze można zarobić.

Z portu widać było zajazd położony na grzbiecie podłużnego wzgórza, które wyrastało ponad znak wskazujący przybór wody w rzece. Wczorajsza burza była tutaj silniejsza niż w górze rzeki i kiedy Supaari prowadził swoją małą świtę przez główne wrota, a później przez centralny plac i labirynt wąskich alejek między kamiennymi domkami Runów VaKirabai, widział na ziemi mnóstwo dachówek i połamanych gałęzi *hlari*. Zniszczona była też wieża radiowa, a w gaju przy moście wichura zwała do rzeki kilka potężnych *marhlarów*. Pomijając jednak te świeże zniszczenia, wydawało się, że Kirabai w ogóle się nie zmieniło przez lata jego nieobecności...

Supaari był przyzwyczajony do wielkomiejskiego tętna życia Gayjuru i do kipiącego intrygami Inbrokaru, więc Kirabai musiało mu się wydać miasteczkiem dość sennym. Był to jednak przyczółek wschodnich pól *rakaru*, dość ważny ośrodek handlu dla zbieraczy z wnętrza kraju. Nie brakowało tam również spółdzielni tkackich i przetwórci *khaliatu*. Można tu wiele zrobić, pomyślał, przezwyciężając poczucie niemocy i zniechęcenia.

W bramie zajazdu powitał go nowy odźwierny, ale sama brama była stara i Supaari zauważył z pewnym zakłopotaniem, że górny zawias wciąż domaga się naprawy.

– Odszukaj swojego pana! – zawołał do odźwiernego, uśmiechając się na myśl o zaskoczeniu swoich rodziców. – Powiedz mu, że ma gości z Inbrokaru!

Runao odszedł bez słowa, pozostawiając ich samych na dziedzińcu. Zapadła długa cisza, a kiedy Paquarin spojrzała pytająco na Supaariego, machnął lekceważąco ogonem. Po pewnym czasie wykrzyknął pozdrowienie i nasłuchiwał z nadzieją, że usłyszy czyjś znajomy głos. Ale nikt nie odpowiadał. Zaskoczony, zaczął się rozglądać. Dziedziniec, zwykle zajęty przez ekwipunek podróżnych, był pusty. Najwyraźniej w zajeździe nie było gości. No tak, ale to normalne w tej porze roku, pomyślał. Większość Jana'atów podróżowała we wczesnym Fra'anie, przed nadejściem upałów...

– Jeśli myślisz, że będę trzymała bękarta w moim domu, to możesz od razu odejść.

Odwrócił się, zbyt zaskoczony głosem matki, by poczuć przykrość po jej słowach.

– Ślą o nas anonimowe listy do Inbrokaru, ale na moich synów nie ma co liczyć – gderała, zerkając na dziecko, wtulone w piersi Paquarin, które właśnie się obudziło i zaczęło popiskiwać.

– Powiedziała im, poskarżcie się prefektowi! Ale ród Gran'jori zatrul tę przynętę. To tak, jakby się wyło na wiatr. Nigdy nie ma pieniędzy na remonty. Skoro Gran'jori chcą mieć Kirabai, to niech je sobie wezmą... Zostały same kości. Nie urodziłam się w norze biedaka, zasłużyłam na lepszy los. Prefekt tylko udaje, że coś robi, a naprawdę cieszy się z tego, że skaczymy sobie do gardła. Nie stój tak, idiotko! Nakarm tego bachora, bo urwę ci ucho! – warknęła do Paquarin, kiedy dziecko zaczęło kwilić. – Prefekt niby prowadzi dochodzenie, ale wierzy we wszystko, co mówią ci śmieciarze z południa, więc po co próbować? Same kości... Mój brat mógłby coś zrobić z tą dziurą! Pochodzę z dobrego rodu, nie zasłużyłam na taki los. Gdyby twój ojciec był uczciwy, zostawiłby mnie w moim rodzinnym domu, ale on...

Supaari, milcząc, ruszył za matką ku ocienionej galerii wzdłuż muru oddzielającego zajazd od rzeki, gdzie wietrzyk dawał najwięcej wytchnienia. zaproponował jej, żeby usiadła, ale nie usłuchała, miotając się po kolumnadzie z przekrzywionym woalem, zbierając spódnicami pył, liście i opadłe kwiaty *hlari*. Paquarin przysiadła z dzieckiem w kącie, wyjęła resztki zapasów i zaczęła je karmić, metodycznie zanurzając palec w paście mięsnej i przykładając go do warg dziecka. Supaari usadowił się na poduszkach przy chłodnym murze i obserwował matkę, posiwiął i przygarbioną, jak krąży tam i z powrotem, wygłaszając swoje tyrady.

W końcu spoza pompowni wyszedł ojciec ze swoim przybocznym Runą, którego odprawił mruknięciem.

– Nikt nie pisze o nas listów, żono. A prefekt ma ważniejsze sprawy na głowie niż prześladowanie właścicieli zajazdów. – Enrai westchnął, prawie nie zauważając Supaariego i całkowicie ignorując dziecko. – Zabieraj się stąd, wracaj do domu, gdzie twoje miejsce, ty bezwstydna stara suko. I przyślij tu jakąś dziewczynę z mięsem. Jestem głodny.

Opadł na poduszkę opodal Supaariego i wpatrzył się w rzekę, połyskującą jak złota folia w mosiężnym blasku trzech słońc. Teraz, kiedy staruszka weszła do domu, zapadła błoga cisza.

– Twoi bracia są na uboju – powiedział Enrai po dłuższym milczeniu. – Ci nowi Runowie są do niczego. Prefekt sobie wyobraża, że można w parę dni przyuczyć ich do pracy. Ciekawe jak. VaInbrokari rządzą, ale oni są jak twoja matka, tylko im spiski i knowania w głowie. Pewno się im śnią bezogonowe potwory z wąskimi oczami. – Odwrócił się w stronę kuchni i ponownie zawołał, by przyniesiono mu mięsa. – Kiedyś była taka rozkoszna. To wy doprowadziliście ją do ruiny.

Czekając na posiłek, Enrai zachowywał się jak jego żona: gderał i utyskiwał, mieszając żywych z umarłymi, to, co bliskie i odległe, to, co znane i nieznanne. Kiedy nadeszli starsi bracia Supaariego, natychmiast przyłączyli się do tych utyskiwań, rozprawiając o waśniach i rywalizacjach rodowych z przejęciem typowym dla osób pośledniejszego urodzenia. W trakcie tej bezładnej gadaniny pojawiła się młoda Runka z półmiskiem mięsa, który trzymała na długość wyciągniętych rąk, odwróciwszy głowę na bok, aby nie skazić jedzenia swym oddechem.

Tylko Supaari na nią spojrział. Wieśniaczka VaKashani, pomyślał, ale nie mógł sobie przypomnieć jej rodziny. Wstał i wziął półmisek z rąk dziewczyny, witając ją w języku *ruanja*.

Już miała mu odpowiedzieć, kiedy Enrai warknął:

– Jeśli tego nauczyłeś się w mieście, Supaari, u nas możesz sobie to darować. W Kirabai nie rozpieszczamy Runów.

Dziewczyna wykonała głęboki ukłon, niezbyt zgrabnie, bo jeszcze się tego dobrze nie nauczyła, i pospiesznie wróciła do kuchni.

Bracia roześmiali się. Supaari stał nieruchomo przez chwilę, a potem postawił półmisek na niskim stoliku i usiadł ponownie na poduszkach. Sporo czasu minęło, zanim najstarszy brat, Laaraj, spostrzegł, że Supaari nie je.

– Możesz trochę zjeść – powiedział, skinąwszy ręką w stronę półmiska. Zaraz jednak dodał:

– Nie mamy tu niczego w nadmiarze. Rozejrzyj się.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytał drugi brat, Vijar, przeżuując mięso.

– Jutro o drugim świcie – odrzekł Supaari i poszedł zobaczyć, jak sobie radzi w kuchni Paquarin.

Czas między zachodami pierwszego i drugiego słońca spędził ze swoimi braćmi i kilkoma sąsiadami wezwanymi przez posłańców. Nikogo nie interesowało, co dzieje się w Gayjurze czy Inbrokarze, nikt też nie zapytał, dlaczego Supaari znalazł się w Kirabai albo dlaczego podróżuje z niemowlęciem. Co jakiś czas wrzeszczeli na przerażoną, jeszcze nie przyuczoną Runkę, aby przyniosła im coś do zjedzenia. Rozmowa polegała głównie na drobiazgowym roztrząsaniu rodowych i politycznych skutków legalnych morderstw, jakie miały miejsce w dorzeczu rzeki Pon. Rozprawiali o tym z goryczą i zniechęceniem ludzi upośledzonych przez urodzenie i historię, dobrze wiedząc, że tu, w Kirabai, na nic nie mają wpływu.

– Potrójne Przymierze było błędem od samego początku – warknął któryś z sąsiadów, zwiesiwszy głowę na piersi. – Potrzebujemy wojny tak, jak Runowie potrzebują dobrej paszy. Wszyscy się tu zdegenerowaliśmy, wyczekując nie wiadomo na co. Gnuśność i rozkład...

To wyjedźcie stąd, chciał zawołać Supaari. Znajdźcie inny trop.

Lecz oni nie byli w stanie opuścić Kirabai, podobnie jak Runowie nie byli w stanie śpiewać.

Nie potrafili sobie tego nawet wyobrazić, zniewoleni przez własną przeszłość i obyczaje. Liczyło się tylko pochodzenie i dziedzictwo, nawet jeśli po swoich przodkach odziedziczyli tylko listę tych, których nienawidzili i oskarżali o wszystkie nieszczęścia przez ostatnie dwanaście pokoleń.

Słuchając ich, można było sądzić, że nigdy nie popełnili błędu. Nikt z nas nie jest tępy, pomyślał Supaari z goryczą, nikt nie jest głupi i leniwy. Wszyscy jesteśmy wielcy i potężni. Wszyscy – prócz tych, którzy są nad nami.

Kiedy wypaliło się światło drugiego zachodu, rozpoczęły się śpiewy. Goście rozeszli się już do domów, bracia przygotowywali się do snu, a ponad miasteczkiem popłynęły głosy zespolone w prastarych harmoniach. Te pieśni o zachodzie słońca należały do najdawniejszych wspomnień Supaariego. Wspomnił tę cudowną chwilę, gdy jako założyciel nowej linii mógł wreszcie o zachodzie słońca włączyć się do inbrokarskich chorałów; przepęłniała go radość chyba jeszcze większa od tej, którą poczuł, kiedy ogłoszono, że Jholaa jest w ciąży.

Miał teraz prawo przyłączyć się do chóru Najstarszych, ale tego wieczoru milczał jak ukrywający się w kuchni Runowie. Jeszcze kiedyś zaśpiewam, przyrzekł sobie w duchu. Nie tutaj, nie pośród tych nieokrzesanych, żalonych głupców. Kiedyś, w innym miejscu, znowu zaśpiewam.

Następnego ranka wsiadł na pokład barki jak ktoś, kto ukradkiem ucieka z miasta na wieść o zarazie: szczęśliwy, że je porzuca, pełen pogardliwego współczucia dla tych, którzy w nim pozostają. Paauarin, znękana otaczającą ją wrogością, uprosiła go, aby nie zmuszał jej do dalszej podróży, zaopatrzył ją więc w pozwolenie podróżowania i dość pieniędzy, by mogła poczekać w Kirabai na następną barkę płynącą na północ. Za ostatnie trzysta *bahli* kupił od Enraiego dziewczynę VaKashani, obiecując, że pozwoli jej wrócić do Kashanu, kiedy znajdzie stałą opiekunkę dla dziecka.

– Ta jedna nazywa się Kinsa, panie – przypomniała mu po kilku spokojnych godzinach spędzonych na barce, przykładając obie ręce do czoła. – Czy raczysz, panie, powiedzieć tej bezużytecznej, jak brzmi imię dziecka?

Dlaczego jestem inny?, zapytywał sam siebie, kiedy złożył dłonie ze stępienymi pazurami na wysokiej burcie i spoglądał na rzekę. Cały świat myśli tak, a ja myślę inaczej. Kim jestem, żeby ich osądzać? Na słowa dziewczyny odwrócił się do niej.

– Kinsa... Oczywiście! Córka Hartat. – Jej zapach zmienił się od czasu, gdy widział ją ostatnio. – *Sipaj*, Kinsa. Wyrosłaś.

Rozpromieniła się na dźwięk własnego języka. Ostatecznie знаła Supaariego VaGayjura od urodzenia; handlował z jej wioską przez lata, ufała mu. To dziecko ma szczęście, pomyślał.

I twoi bliscy będą szczęśliwi, mogąc znowu cię dotknąć.

– *Sipaj*, Supaari. Jak będziemy nazywać tę maleńką? – zapytała znowu Kinsa.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, wyciągnął ręce, a Kinsa podała mu dziecko. Uśmiechnął się.

Kinsa krótko przebywała wśród Jana’atów i wydawało się jej normalne, że ojciec chce potrzymać własne niemowlę. Tuląc bezwstydnie dziecko do piersi jak samiec Runao, Supaari zaczął spacerować po pokładzie.

Już sam nie wiem, co robię, powiedział w duchu swojej córce. Nie wiem, jakie życie nam gotuję. Nie wiem, gdzie będziemy mieszkać, nie wiem, kogo poślubisz. Nie wiem nawet, jak cię nazwać.

Oparłszy się ponownie o burtę, usadowił dziecko w zagięciu ramienia. Przez chwilę przestał się wpatrywać w twarz córki i spojrział na południe, gdzie nadrzeczna mgiełka złączyła się z deszczem, gdzie nie było wyraźnej różnicy między niebem i wodą, i znowu poczuł się, jakby wędrował we śnie. Jestem cudzoziemcem we własnym kraju, pomyślał, podobnie jak moja córka.

Jak Ha'an! Anne Edwards zapamiętał najlepiej ze wszystkich cudzoziemców. W języku *K'san* brzmiało to zupełnie niezłe: Ha'anala.

– Będzie miała na imię Ha'anala – powiedział na głos. I pobłogosławił ją: – Bądź jak Ha'an, która była cudzoziemką, ale nie znała strachu.

Podobało mu się to imię, rad był, że już to ustalili. Patrzył na przesuające się brzegi rzeki i myślał, że świat jest pełen możliwości. Miał znajomości, miał wiedzę. Nie sprzedam już nic resztarowi, pomyślał, bo nie chciał już mieć do czynienia z Hlavinem Kitherim, bez względu na to, ile by mi zapłacił. Przypomniawszy sobie, że kiedyś myślał o otwarciu nowego biura w Agardi.

Tak, pomyślał. Spróbuję w Agardi. Zresztą są i inne miasta. Mogą być inne nazwy i imiona.

Tego dnia – bardzo cicho, żeby nie przestraszyć Kinsy i innych – zrobił coś, czego nie zrobił przed nim żaden jana'atański ojciec: zaśpiewał wieczorną pieśń swojej córce. Ha'anali.

11

NEAPOL

październik-grudzień 2060

– Nie kłóć się, ojczyźnie generale – powiedział Daniel Żelazny Koń. – Po prostu nie mam pojęcia, jak ojciec go przekona, żeby wrócił. Jego nie zmusi do tego nawet laserowe działo!

– Sandoz to mój problem – odpowiedział Vincenzo Giuliani przełożonemu drugiej misji na Rakhat. – Ty zajmij się resztą.

Resztą problemów czy resztą załogi, zastanawiał się Danny, opuszczając gabinet Giulianiego. Idąc długim korytarzem do biblioteki i słysząc echo własnych kroków, parsknął: To jedno i to samo.

Odkładając na razie na bok sprawę udziału Sandoza, Danny nie był do końca pewny żadnego z ludzi, z którymi miał ryzykować życie. Wszyscy byli bardzo inteligentni i wszyscy byli wielcy – to jedno było pewne. Przez ostatni rok Daniel Beauvais Żelazny Koń, Sean Fein i Joseba Urizarbarrena pracowali razem nad: sprawnościami, od których na Rakhacie mogło zależeć ich życie: nad procedurami komunikacyjnymi, udzielaniem pierwszej pomocy, sztuką przetrwania, określaniem położenia, a nawet nauką pilotażu, tak żeby każdy z nich mógł, w razie nagłej potrzeby, pilotować wahadłowiec. Każdy znał już dokładnie dzienne raporty i prace naukowe z pierwszej wyprawy. Każdy przerobił samodzielnie początki języka *ruanja*, posługując się opracowanym przez Sofię Mendes systemem AI, a teraz miał w Neapolu, pod kierownictwem Sandoza, przejść kurs dla zaawansowanych i poznać podstawy drugiego języka Rakhatu, *K'sanu*.

Joseba odznaczał się wyjątkową rzetelnością i był ekologiem; nietrudno było zrozumieć, dlaczego znalazł się w załodze. Natomiast bez względu na to, ile mogła zarobić Firma na zapoznaniu się z rakhatańską nanotechniką, Sean Fein był przysłowiowym wrzodem na tyłku i Danny potrafił wymienić ze stu innych ludzi, którzy nadawali się lepiej od niego. Za to John Candotti był naprawdę wspaniałym facetem o niesamowitych zdolnościach manualnych, tyle że nie miał żadnego doświadczenia naukowego, a jego wyniki w szkoleniu pozostawiały wiele do życzenia.

Bez wątplenia ojciec generał miał swoje powody – zwykle przynajmniej trzy dla każdego posunięcia. „Mam być laską w rękę starca”, recytował w duchu Danny, kiedy czuł, że niczego nie rozumie, ale oczy miał otwarte, poszukując wskazówek do rozwiązania tych zagadek, w miarę jak on sam i reszta załogi przyzwyczajali się do codziennej rutyny szkolenia.

Przedpołudnia spędzali na nauce języka, natomiast popołudnia i wieczory na dalszym studiowaniu raportów z pierwszej wyprawy. Robili to pod kierownictwem Sandoza i właśnie podczas tych sesji Danny zaczął rozumieć, dlaczego Giuliani upierał się, by i jego zabrać. Danny znał już dobrze raporty, ale raz po raz łapał się na całkowicie mylnej interpretacji poszczególnych wydarzeń, a wówczas pamięć i wiedza Sandoza okazywały się nieocenione.

Zdarzały się jednak dni, w których Sandoz z jakichś powodów był niezdolny do normalnej pracy, a pytania o Jana’atów wyzwały w nim bardzo silne emocje.

– Obrazy z przeszłości, depresje, bóle głowy, nocne koszmary... klasyczne objawy – relacjonował Danny ojcu generałowi pod koniec listopada. – Współczuję mu, ojczu, naprawdę! Nie zmienia, to jednak faktu, że w tym stanie Sandoz nie jest zdolny do podjęcia trudów wyprawy, nawet jeśli byśmy go przekonali, żeby się zgodził.

– Przychodzi do siebie – odpowiedział ostrożnie Giuliani. – W ciągu ostatnich paru miesięcy poczynił duże postępy, zarówno w sferze naukowej, jak i emocjonalnej. W końcu zrozumie. Jest jedyną osobą, która już tam była i ma odpowiednie doświadczenie. Zna języki, zna tamtych, zna się na ich polityce. Jego udział w wyprawie znacznie zwiększy szansę jej powodzenia.

– Ci, których znał, będą już martwi, kiedy tam dotrzemy. Polityka się zmienia. Będziemy znać języki i wszystkie podstawowe dane. Nie jest nam potrzebny...

– Ocali wam życie, Danny – upierał się Giuliani. – No i nie ma innego sposobu, by uporał się z tym, co się stało – dodał. – Musi tam wrócić, choćby tylko dla swojego dobra.

– Nie, nawet gdybyś błagał mnie na klęczkach – powtarzał Emilio Sandoz za każdym razem. – Wyszkołę tych ludzi. Odpowiem na każde ich pytanie. Zrobię wszystko, by im pomóc. Ale nie wrócę tam.

Nie cofnął też swojej decyzji o porzuceniu Towarzystwa Jezusowego, chociaż nie było to dla niego łatwe. Rezygnacja to sprawa jego sumienia, więc procedura administracyjna powinna być uproszczona, ale kiedy podpisał odpowiednie dokumenty – „EJ. Sandoz” – i wysłał je do rzymskiego biura ojca generała, wróciły po kilku tygodniach z adnotacją, że wymagany jest podpis z pełnymi imionami. Tak więc jeszcze raz wziął pióro, które Gina przyniosła mu w pewien piątek, przystosowane dla osób o ograniczonej sprawności, i spędzał wieczory na mozolnym ćwiczeniu. Minął miesiąc, a nowy komplet dokumentów jeszcze nie nadszedł z Rzymu.

Uznał te opóźniające manewry Giulianiego za żałosne, później za irytujące i w końcu wysłał list do Johannesesa Voelkera, w którym prosił go, by powiadomił ojca generała, że dopóki nie przyślą mu dokumentów, będzie zbyt chory, aby dalej pracować. Następnego ranka Vincenzo Giuliani przywiózł mu papiery osobiście.

Spotkanie miało miejsce w neapolitańskim biurze ojca generała i było krótkie, ale pełne napięcia. Później Sandoz poszedł do biblioteki, stał tam nieruchomo, póki nie zwrócił na siebie uwagi wszystkich czterech kolegów i warknął:

– W moim mieszkaniu. Za dziesięć minut.

– Ktoś inny załatwił mi pióro – powiedział Candottiemu Sandoz, ciskając plik papierów na drewniany stół, przy którym John siedział z Danny Żelaznym Koniem. Na dole każdej kartki widniał czytelny, pełny podpis: „Emilio Jose Sandoz”. – Jeśli nie chciałeś maczać w tym ręk, John, mogłeś być na tyle uczciwy, by mi to powiedzieć.

Do tej pory Sean Fein przyglądał się fotonicznemu wyposażeniu pracowni Sandoza, lecz teraz spojrzał na Candottiego, podobnie jak Joseba Urizarbarrena, wsparty o niską ściankę oddzielającą pokój od schodów do garażu. Danny Żelazny Koń również zerknął na Johna, ale nic nie powiedział, obserwując Sandoza krążącego niespokojnie po pokoju.

John wbił spojrzenie w leżące na stole papiery.

– Po prostu nie byłem w stanie...

– Zapomnij o tym – warknął Sandoz. – Panowie, dziś o dziewiątej rano przestałem być jezuitą. Poinformowano mnie, że choć mogę opuścić Towarzystwo... czy Korporację, jakkolwiek to dzisiaj nazywacie, kapłanem jestem na wieki. Poza przypadkami zagrożenia, nie mogę jednak spełniać posług kapłańskich, chyba że zostaną inkardynowany przez biskupa do jakiejś diecezji.

– Nie będę się o to starał – powiedział, omiatając ich spojrzeniem. – Tak więc mój status to *vagus*, ksiądz bez upoważnienia i władzy kapłańskiej.

– Z technicznego punktu widzenia od kasaty wszyscy jesteśmy w podobnej sytuacji – zauważył pogodnie Danny. – Oczywiście definicję pojęcia „zagrożenia” traktujemy niekiedy bardzo elastycznie. Jakie są twoje plany?

Świnka morska, obudzona krokami Emilia, zaczęła chrapliwie pogwizdywać. Poszedł do kuchni i znalazł kawałek marchewki, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi.

– Zostanę tutaj, dopóki nie spłacę wszystkich długów – powiedział, wrzucając marchewkę do klatki.

Żelazny Koń uśmiechnął się kwaśno.

– Niech zgadnę. Czyżby stary miał dokładną listę wszystkich wydatków, na jakie naraziłeś nas od pierwszego dnia formacji? Chyba przesadzasz, mistrzu.

– Za protezy też nie może żądać – dodał Sean. – Firma dba o ubezpieczenia. Masz pokrycie.

Sandoz zatrzymał się i przez chwilę popatrzył na Danny’ego, a potem na Seana.

– Dzięki. Johannes Voelker zapoznał mnie z moimi prawami. – John Candotti wyprostował się nieco na te słowa, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Sandoz mówił już dalej: – Są jednak pewne nadzwyczajne zobowiązania, za które czuję się odpowiedzialny. Zamierzam się z nich wywiązać. Może to zająć trochę czasu, ale mam rentę i wynegocjowałem pensję równą poborom profesora lingwistyki na Fordham, przynajmniej na czas trwania tego projektu.

– A więc zostajesz, przynajmniej przez jakiś czas. To dobrze – zauważył Joseba, wyraźnie zadowolony, ale nie ruszył się z miejsca.

Danny Żelazny Koń też usadowił się wygodniej na drewnianym krześle.

– A co po projekcie *K'san*? – zapytał. – Nie możesz się wiecznie ukrywać, szefie.

– Nie. Nie mogę. – Zapanowało milczenie. – Może po odwaleniu tej roboty przejadę się do Neapolu i zwołam konferencję prasową. Wyznam wszystko. Oświadczę, że jadłem niemowlęta! Może będę miał szczęście i zlinczują mnie.

– Emilio, proszę... – zaczął John, ale Sandoz zignorował go i wyprostował się dumnie; w końcu płynęła w nim hiszpańska krew.

– Panowie – powiedział z emfazą – muszę wam oznajmić, że nie tylko przestaję być aktywnym kapłanem. Jestem apostatą. Jeśli w tych okolicznościach nie chcecie się ze mną wiązać, to...

Danny Żelazny Koń wzruszył ramionami.

– Dla mnie to bez różnicy. Jestem tu, żeby nauczyć się języków.

Spojrzał po wszystkich, którzy przytaknęli milcząco, a potem ponownie utkwiał oczy w Sandozie. Dostrzegł lekkie rozluźnienie, może nawet lekkie westchnienie ulgi. Sandoz stał przez chwilę nieruchomo, a potem usiadł na skraju łóżka, wpatrując się gdzieś wdał.

– Fajne ciuchy – powiedział w końcu Danny.

Sandoz, całkowicie zaskoczony, wybuchnął zduszonym śmiechem i spojrział w dół: niebieskie džinsy, biała koszula w wąskie niebieskie paski. Nic czarnego.

– Wybrała mi to *signora* Giuliani – powiedział z zażenowaniem. – Wszystko jest chyba trochę za duże, ale ona twierdzi, że teraz taka moda.

– Tak, wszystko musi być za duże – odezwał się John, rad ze zmiany tematu. Było oczywiste, że na Sandozie i tak wszystko wisiałoby jak na strachu na wróble. Zawsze był niski i drobny, teraz jednak wyglądał jak widmo: prawie tak źle, jak po wyjściu ze szpitala. Żelazny Koń, najwyraźniej podążając tym samym tokiem myśli, zauważył:

– Ale tak naprawdę mógłbyś trochę przytyć, mistrzu.

– Odwal się – warknął Emilio, wstając. – No dobra. Koniec przerwy. Mam robotę.

Podszedł do ściany urządzeń do analizy dźwięków, dając im do zrozumienia, żeby sobie poszli. Joseba wstał, Sean ruszył ku schodom. John również wstał, ale Danny Żelazny Koń nadal rozpierał się na krześle, z rękami założonymi za głowę.

– Sandoz, załóżę się, że ważę o jedną nogę więcej od ciebie – powiedział, mierząc Emilia od stóp do głów swoimi czarnymi, chytrymi oczkami. – Czy ty w ogóle coś jesz?

John próbował dać mu znać gestami, by przestał okazywać swoje zatroskanie, ale Sandoz okręcił się na pięcie i rzekł dobitnie:

– Tak. Jem. Ojczye Żelazny Koniu, jesteś tutaj, aby studiować *ruanja* i *K'san*. Nie pracujesz jako pielęgniarka.

– Zgadza się, bo nie jestem zainteresowany tą posadą – oświadczył pogodnie Danny. – Ale jeśli jesz i wyglądasz tak, jak wyglądasz, to zastanawiam się, czy wiesz, na co umarł D.W. Yarbrough na Rakhacie. Anne Edwards nigdy nie rozwiązała tej zagadki przed jego i swoją śmiercią, prawda?

– Jezu, Danny! – wybuchnął Sean.

Joseba wytrzeszczył oczy, a John zawołał:

– Na miłość boską, Danny! Co ty próbujesz osiągnąć, do cholery?

– Niczego nie próbuję osiągnąć! Po prostu mówię, że...

– Odbyłem kilkumiesięczną kwarantannę – powiedział Sandoz z pobladłą twarzą. – Nie wypuściliby mnie, gdyby coś znaleźli. To chyba jasne, nie?

– Ależ oczywiście – przyznał skwapliwie John, rzucając mordercze spojrzenie na Danny'ego. – Przeszedłeś przez wszystkie testy, jakie zna nauka, Emilio. Nie wypuściliby cię, gdyby istniała możliwość, że przywlokłeś stamtąd coś niebezpiecznego.

Danny wzruszył ramionami, wstał i machnął ręką.

– Ależ oczywiście, Candotti ma rację. To nie mogło być to samo. Zapomnij o tym.

Lecz było już za późno. Sandoz wciągnął łapczywie powietrze, kiedy to do niego dotarło.

– O Boże, Celestina i... O Boże, John. Jeśli coś stamtąd przywlokłem, jeśli ona zachoruje...

– Och, nie! – jęknął John. – Emilio, nikt nie jest chory!

– Błagam cię, nie rób tego znowu!

Ale zanim zdążył przemierzyć pokój, Sandoz zamknął się już całkowicie w sobie i nikt nie mógł na to nic poradzić. Trzeba to było przeczekać. Joseba i Sean kręcili się niespokojnie, Żelazny Koń tkwił nieruchomo w krześle.

– Ja po prostu... nie chcę... nie chcę, żeby ktokolwiek... znowu umarł przeze mnie – mówił Sandoz, szlochając. – John, jeśli Celestina...

– Przestań wygadywać takie rzeczy – zachnął się John, klękając przy nim i rzucając wściekłe spojrzenia Danny'emu. – Nawet o tym nie myśl. Okay. Wiem. Och, Boże... wiem! Ale przecież nikt nie umiera! Uspokójmy się, dobrze? Posłuchaj. Emilio! Słuchasz? Gdybyś coś miał, Ed Behr albo ja dawno byśmy to złapali, prawda? Albo ktoś ze szpitala, w którym cię trzymali, prawda? Prawda? Emilio, nikt nie choruje!

Sandoz wziął głęboki oddech, próbując odzyskać spokój i zdolność myślenia.

– Miał okropną biegunkę. Mówię o D.W. Naprawdę okropną. Anne powiedziała, że jak przy bengalskiej cholery. Mówił, że wszystko ma metaliczny posmak. Ja nie mam takich objawów.

– Przecież to zupełnie co innego – powiedział John. – Emilio, nie jesteś chory! Jesteś po prostu wychudzony.

Joseba i Sean spojrzeli po sobie, wytrzeszczając oczy, a potem wypuścili powietrze, które trzymali w płucach od dobrych kilkunastu sekund, które wydawały się im minutami.

Odzyskawszy zdolność poruszania się, Joseba znalazł szklanekę i przyniósł trochę wody; Sean zaczął się rozglądać za serwetkami i w końcu wręczył Sandozowi kawał papieru toaletowego.

Emilio wydmuchał niezręcznie nos, odetchnął głęboko i wstał, korzystając z pomocy Johna.

Znękany i wyczerpany, podszedł do stołu, usiadł ciężko naprzeciw Danny'ego i zwiesił głowę.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. John Candotti obmyślał w duchu jadowity list do ojca generała na temat swojego brata w Chrystusie, Daniela Żelaznego Konia, który sprawiał wrażenie, jakby nie był ani zaskoczony, ani przejęty reakcją, jaką wywołał, i który obserwował załamanie się Sandoza z chłodnym zainteresowaniem inżyniera obserwującego zawalenie się mostu.

– Bez urazy, mistrzu – zwrócił się Danny do Emilia – ale jeszcze nigdy nie wiedziałem Indianina, który by tak zbladł. – John przeraził się, ale ku jego zdumieniu Emilio parsknął śmiechem i wyprostował się, kręcąc głową. – Wybacz mi, Sandoz. Naprawdę, wybacz mi – powiedział cicho Danny.

To nawet zabrzmiało całkiem szczerze, zauważył John. Emilio kiwnął głową, najwyraźniej przyjmując przeprosiny. John odetchnął z ulgą i postanowił wykorzystać moment. Poszedł do kuchni i zaczął otwierać drzwiczki szafek.

– Ty po prostu za mało jesz, w tym cały problem. Sam zobacz, co tutaj masz... kawę, ryż i czerwoną fasolę. To wszystko!

Sandoz wyprostował się, utrzymując nadwężoną godność jak płaszcz z gronostajów.

– Lubię fasolę i ryż.

– Zaiste – powiedział Sean – i teraz nie musisz już ich sam zbierać z pola, prawda?

– Wiesz, co ci powiem? – odezwał się Danny. – Gdybyś zmuszał kogoś do żywienia się tylko tym, oskarżono by cię o pogwałcenie praw człowieka.

– Ta świnka morska odżywia się lepiej od ciebie – rzekł Joseba, założywszy ręce na piersi. – Wcale nie jesteś chory. To tylko twoja żałosna kuchnia.

– Byli pewni, że niczego nie przywlokłem – powiedział Sandoz, do siebie i do innych.

– Byli pewni – potwierdził łagodnie Żelazny Koń. – Już ci lepiej? Może chcesz jeszcze trochę wody?

Joseba wziął szklanekę i napełnił ją w milczeniu.

– Tak. Nie. Już mi lepiej. – Emilio wciąż wstrząśnięty, otarł twarz rękawem, odzyskując nad sobą kontrolę. – Jezu. To wszystko dlatego, że...

– Dlatego, że drażni cię myśl o rezygnacji – wpadł mu w słowo Sean, patrząc na Żelaznego Konia twardymi niebieskimi oczami. – A na to pojawia się Danny z pomysłem, że mogłeś zarazić się jakimś gównem. Niepokoileś się o tę dziewczynkę, to wszystko.

Żelazny Koń wzruszył ramionami i dobrodusznie oznajmił, że nazywa się „Wielki Wódz Gówniany Mózg”. John, który obserwował ten występ ze wzrastającą podejrzliwością, skrzyżował ręce na piersi i milczał. Gówniany mózg, pomyślał. Trafił w dziesiątkę.

– Candotti, znasz się na kuchni włoskiej? – zapytał Żelazny Koń z rozbajającym uśmiechem.

John kiwnął głową, nie racząc się uśmiechnąć.

– Tak, potrafię coś niecoś upichcić.

– No więc! Sandoz, jeśli potrafisz ugotować fasolę i ryż, to dasz sobie radę z makaronem.

– Lubisz makaron z serem? To ci da parę kilogramów. Makaron i ser wynaleziono tu, w Neapolu.

– I pizzę. Wiedziałaś o tym? – Emilio potrząsnął głową.

Żelazny Koń wstał i ruszył ku schodom. – Nie wiesz, co to jest dobre żarcie, jeśli nie jadłeś neapolitariskiego makaronu z serem. Prawda, Candotti? Wiecie co? Wy, chłopcy, zacznijcie gotować wodę, ja przyniosę coś z refektarza, a potem nauczymy Sandoza przyrządzać przyzwoite jedzenie.

I z zaskakującą, jak na jego wzrost, szybkością przemknął obok Joseby i zbiegł po schodach.

– Jest rozbity jak butelka whisky uderzająca o bruk przed Hotelem Bella – powiedział wieczorem Daniel Żelazny Koń. – Mówię ci, będzie tam tylko ciężarem. Wyłączy się w złym momencie i ktoś przyplaci to życiem! Wykorzystajmy tego biednego skurczybyka jako źródło informacji, a potem dajmy mu spokój, niech się pasie.

– Danny, już to przerabialiśmy. Nie możemy sobie na to pozwolić. Jego wiedza kosztowała nas miliardy, życie trzech kapłanów i trzech świeckich, nie wspominając o fatalnej opinii, jaką zyskało Towarzystwo.

– I tak już siedzieliśmy po uszy w gównie, kiedy to wybuchło. Problem raczej w tym, ile to kosztowało Sandoza?

– Wszystko – odrzekł Vincenzo Giuliani z chłodną precyzją, ale nie odwrócił się od gotyckiego okna swego gabinetu. Wpatrując się w ciemność albo może w swoje odbicie w szybie, dodał: – Nie musisz mi o tym przypominać, ojciec Żelazny Koniu. – Odszedł od okna i stanął za swoim lśniącym, orzechowym biurkiem, ale nie usiadł. – Bez względu na to, co o tym myślimy, Ojciec Święty nalega, aby Sandoz wrócił na Rakhat – powiedział tonem, który dawał do zrozumienia, że jego własna opinia nie ma tu żadnego znaczenia. – Jego Świątobliwość wskazuje na fakt, że w ciągu ostatnich czterdziestu lat aż sześć statków kosmicznych próbowało dolecieć na Rakhat, a udało się to tylko dwóm, bezpośrednio związanym z osobą Emilia Sandoza. Gelazy III widzi w tym działanie Opatrzności.

Żelazny Koń siedział przed nim, wyciągnąwszy nogi w wysokich butach. W olbrzymiej, ciężkiej dłoni trzymał kryształową szklankę o grubym dnie i obserwował, jak ojciec generał przemierza gabinet, krocząc bezszelestnie po bezcennych orientalnych dywanach, z których każdy miał kilkaset lat.

– Więc co Jego Świątobliwość proponuje? – zapytał. – Mamy sobie postawić Sandoza na pulpicie sterowniczym jak plastikowego Jezusa, żeby strzegł nas przed kolizją z międzygwiazdowymi śmieciami? Może złożymy jego drobne kostki razem z ptasimi piórami w torbie lekarskiej, w nadziei że uchroni to statek od rozpadnięcia się na kawałki?

– Skończyłeś? – zapytał Giuliani, przerywając swój obchód gabinetu. Żelazny Koń kiwnął głową, bynajmniej nie zakłopotany i nie okazując skruchy. – Papież wierzy, że Sandoz musi wrócić na Rakhat, żeby się dowiedzieć, dlaczego właśnie on został tam wysłany za pierwszym razem. Wierzy, że Emilio Sandoz jest szczególnie umiłowany przez Boga.

Danny skrzywił się sceptycznie.

– Jak powiedziała święta Teresa: Jeśli Bóg tak traktuje swoich przyjaciół, trudno się dziwić, że ma ich tak niewielu. – Podniósł szklankę na wysokość oczu i przez chwilę kontemlował jej zawartość, poczym wypił ostatni łyk słodowej whisky, pozostawiając, jak zwykle, trochę alkoholu na dnie, zanim odstawił szklankę na stolik.

– Znakomity trunek. Podziwiam twój smak – zauważył, ale jego następne słowa były twarde, precyzyjne i nie pozostawiające miejsca na kompromis. – Sandoz jest fizycznie osłabiony, emocjonalnie nie zrównoważony i umysłowo nieodpowiedzialny. Nie jest w tej misji potrzebny i nie chce go mieć wśród załogi.

– Danny, to największy twardziel, jakiego znam. Szkoda, że go nie poznałeś rok temu, tylko przed paroma miesiącami. Gdybyś wiedział... – Urwał, zdumiony, że wdał się w taką rozmowę. – Sandoz będzie członkiem tej wyprawy, ojciec Żelazny Koni. *Causa finita*. Sprawa zakończona.

Ruszył ku drzwiom, ale Żelazny Koń nadal tkwił w fotelu, nieruchomy jak jeden z Wielkich Tetonów z zachodniej Dakoty.

– Tak bardzo go nienawidzisz? – zapytał z przesadną ciekawością, kiedy Giuliani dotknął klamki. – A może aż tak się go boisz, że nie chcesz z nim przebywać na jednej planecie?

Ojciec generał otworzył lekko usta, zbyt zdumiony, by wyjść.

– Nie. To nie to. – Żelazny Koń zastanawiał się przez chwilę, po czym jego twarz rozjaśniła się, nabierając pewności. – Wysłanie Sandoza z powrotem na Rakhat to cena za zniesienie Kasaty, tak? Wystarczy, że zadowolimy papieża? Wystarczy, że wsadzimy jakiegoś biednego, kompletnie rozbitego eks-jezuitę na pokład następnego statku kosmicznego i bez względu na to, co z tego wyniknie, synowie marnotrawni powrócą na łono Piotra przy dźwięku watykańskich dzwonów i anielskich chórów wyśpiewujących hosanna! – Zacmokał z podziwu. – Dominikanie się wściekną. To wspaniały układ, ojczyźnie generale. – Uśmiechnął się zjadliwie jak wilk pod koniec ciężkiej zimy. – No, teraz rozumiem, tym razem to ty będziesz tworzył historię.

To był chyba chwilowy kaprys, pomyślał Giuliani, stojąc przy drzwiach, żeby umieszczać domowe urządzenia fotoniczne w stylizowanych na ludowe sosnowych meblach z żelaznymi zawiasami; na zewnątrz ciepło i przytulnie, a w środku szybkie procesory.

– Jesteś skurczybykiem pierwszej klasy, Danny – powiedział łagodnym tonem, wychodząc z gabinetu. – Liczę na to.

Daniel Żelazny Koń siedział w fotelu, słuchając oddalających się kroków. Potem wstał i wziął szklanę z ciężkiej, srebrnej tacy, po raz pierwszy w życiu wypijając ją do dna, podczas gdy zagadkowy śmiech Vincenza Giulianiego odbijał się echem po kamiennym korytarzu.

12

WIOSKA KASHAN

2046 czasu ziemskiego

– Supaari przywiódł kogoś do domu! – zawołała radośnie Kinsa, kiedy barka przycumowała na krótko do kashańskiej przystani.

Położona na stromym zboczu wioska oddalona była od Kirabai o niecały dzień podróży, którą Supaari odbył, drzemiąc na nagrzanym od słodca pokładzie barki, niczego nie planując, o niczym nie myśląc, trzymając w objęciach Ha’analę i gawędząc z Kinsą i innymi Runami.

Wyładowując niewielki bagaż, patrzył, jak Runowie wylęgają ze swoich wykutych w skale domów, a potem pędzą jak górski potok po skalistych ścieżkach ku brzegowi rzeki.

– *Sipaj*, Kinsa: martwili się o ciebie – powiedział dziewczynie, zanim wymienił pożegnalne okrzyki z pilotem, a barka zniknęła za południowym zakolem rzeki.

To wokół niego stłoczyli się VaKashani, kołyszac się na boki i trzymając kwilące dzieci.

– *Sipaj*, Supaari – mówili jeden przez drugiego – nie jesteś tu bezpieczny.

Z trudem udało mu się zapanować nad ich bezładną gadaniną i namówić, by zebrali się w największym pomieszczeniu, gdzie mógłby ich wysłuchać.

– *Sipaj*, VaKashani – zapewniał ich – wszystko będzie dobrze. Nie ma o co robić takiego *fierno*.

Mylił się co do jednego i drugiego.

Obwieszczenie dotarło do Kirabai w kilka godzin po jego odjeździe, kiedy naprawiono uszkodzone przez burzę radio. Rząd inbrokarski ogłosił go renegatem. Hlavin Kitheri, obecnie Najdonioślejszy Dziedzic, wydał wyrok śmierci na Supaariego za wymordowanie całej rodziny Kitherich i jakiegoś Ira'ila Vry, o którym Supaari nigdy nie słyszał. W Kashanie pojawił się już łowca głów.

– *Sipaj*, Supaari – powiedział jeden ze starszych – mamka Paquarin przesłała nam wiadomość. Opłaciła posłańca, korzystając z twoich pieniędzy.

– Więc wiedzieliśmy, po co przybył łowca – powiedziała jakaś kobieta, a potem wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego.

– *Sipaj*, Supaari. Paquarin też już nie żyje. Oczywiście, pomyślał, zamykając oczy.

Wiedziała, że ja tego nie zrobiłem. Zresztą... cóż warte jest świadectwo Runki!

– Dopadł ją łowca – powiedział ktoś. – Ale widział to jej posłaniec i przybiegł do nas. – I znowu wybuchły krzyki i zawodzenia. – Nie jesteś tu bezpieczny!

– *Sipaj*, VaKashani! Ktoś musi pomyśleć! – uciszał ich Supaari, tuląc uszy.

Ha'anała była głodna, ale przerażona Kinsa nie zwracała na to uwagi, kołysząc się apatycznie.

– Kinsa – powiedział, kładąc tępe pazury na jej głowie – wynieś stąd dziecko i nakarm je. W moim bagażu znajdziesz coś do zjedzenia.

Odwrócił się do starszyny wioskowej i zapytał:

– Ten łowca, który tu przybył... gdzie jest teraz?

Zapadło dziwne milczenie, które w końcu przerwała młoda kobieta, Djalao VaKashan.

– Ktoś go zabił.

Gdyby nagle zaśpiewała, nie zdumiałby się bardziej. Popatrzył po ich twarzach, dostrzegł pełne zakłopotania potwierdzenie w ich ciałach i pomyślał: Ten świat oszalał.

– *Djanada* mówią, że musi być równowaga – powiedziała Djalao, prostując uszy. Miała około siedemnastu lat. Wyższa nawet od Supaariego i równie jak on silnie zbudowana. Ale bez pazurów. Jak ona zdołała... – Urodzenie za urodzenie – mówiła. – Życie za życie. Śmierć za śmierć. Ktoś zrównoważył Paquarin.

Osunął się ciężko na ogon jak pijak. Słyszał już o czymś takim: o innych Runach, którzy ośmielili się zabijać Jana'atów nawet po wyróżnieniu większości rebeliantów. Ale tutaj?

W Kashanie?

Pogrążył się w rozmyślaniach. Dobrze wiedzieli, że handluje z Kashanem i Lanjeri. Żadne z południowych miasteczek nie jest bezpiecznym schronieniem. Widziano go na barce, więc porty rzeczne będą strzeżone. Strzepy jego pościeli porosyłąją po wszystkich punktach kontrolnych: jego zapach będzie znany wszędzie.

– *Sipaj*, Supaari – usłyszał czyjś głos. Podniósł głowę i poznał Manuzhaiego, którego nie widział od czasu śmierci jego córki Askamy. – Czy nie możesz zostać *hasta'akalą*!

– *Sipaj*, Manuzhai – odpowiedział spokojnie. – Komuś jest przykro z powodu twojej straty.

Uszy Manuzhaiego opadły obojętnie. Supaari zwrócił się do innych; widział, jak wzdrygają się na myśl o zrobieniu mu *hasta'akali*.

– Nikt nie weźmie tego jednego jako *hasta'akale* – powiedział. – Kiedy kogoś uczyniono Założycielem, oddał wszystko, co miał, aby wyposażyć nową linię rodową. Teraz nie ma już nic, by wynagrodzić poręczyciela.

– Więc my za ciebie poręczymy – zawołał ktoś, a wszyscy podchwycili to z entuzjazmem.

Mieli najlepsze zamiary. Ktoś, kto wpadł w tarapaty, mógł oddać swój majątek i tytuły za nietykalność, jeśli udało mu się znaleźć kogoś, kto by go uznał za zależnego od siebie i umożliwił rezygnację z publicznych zasiłków. W zamian za mieszkanie i jedzenie *hasta'akala* przekazywał wszystko, co posiadał, poręczycielowi, godził się też na obcięcie pazurów, co było gwarancją, że nigdy nie stanie się kłusującym VaHaptaą.

Supaari wstał, żeby wszyscy go widzieli.

– Ktoś wyjaśni. Poręczyciel musi zapewnić swojemu *hasta'akali* codzienne pożywienie. Wy nie jesteście w stanie wyżywić tego jednego – powiedział tak łagodnie, jak potrafił.

Zrozumieli. Runowie nie mieli dostępu do państwowych zapasów mięsa i, oczywiście, nie mieli prawa polować. Rozległo się tępe postukiwanie ogonami w posadzkę, wyrażające rozczarowanie i żal.

– *Sipaj*, Supaari – odezwał się Manuzhai po długim milczeniu – możemy cię wyżywić. Ktoś jest gotów. Czyjaś żona i dziecko nie żyją. Ktoś woli być twój niż jakiegoś obcego.

Inni natychmiast to podchwycili.

– *Sipaj*, Supaari, możemy uczynić cię *hasta'akalą*.

– VaKashani mogą być twoimi poręczycielami.

– Ten ktoś też jest gotów.

– Wyżywimy cię.

Do końca swoich dni Supaari będzie pamiętał to wrażenie drgania gruntu pod jego stopami, jakby wioskę nawiedziło małe trzęsienie ziemi. Przez chwilę było tak realne, że rozejrzał się wokoło, zdumiony, iż Runowie nie wybiegają z kamiennej chaty, aby uciec przed rychłą lawiną.

A później pomyślał: Dlaczego nie? Od niepamiętnych czasów Runowie byli hodowani, by służyć Jana'atom za życia i karmić ich swym ciałem po śmierci. Manuzhai wyraźnie bał się samotności. Jeśli Runao nie chce żyć... Znowu poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Nawet teraz zjadłby zapasy, które przywiózł ze sobą z Kirabai, nie zastanawiając się ani chwili, co zjada! Ale to nie byli... tacy jak oni. Nigdy nie brał mięsa z wiosek, z którymi handlował, ani ze swojego domostwa. Nigdy nie zabił swojej zwierzyny. Był mieszkańcem miasta! Jego mięso pochodziło z uboju i nigdy się nad tym nie zastanawiał... Nie było w tym nic złego; było to całkowicie naturalne. Wszystko umiera. Byłoby marnotrawstwem, gdyby...

Tacy jak oni.

Wyszedł z sali zgromadzeń na taras, gdzie kamienne zbocze opadało stromo ku rzece, spojrzął w dal i zakwiliłby jak dziecko, gdyby był sam. Nie, pomyślał, patrząc za siebie na VaKashanich, jakby widział ich po raz pierwszy w życiu. Lepiej umrzeć z głodu. Wreszcie zrozumiał, dlaczego Sandoz, o którym wiedział, że jest mięsożercą, upierał się, by jeść to samo, co Runowie. No cóż, ja nie mogę jeść tego, co jedzą Runowie, pomyślał ze złością. I nie będę żywił się padliną!

Pozostawało tylko jedno honorowe wyjście dla niego i jego córki. Jaskinia ze snu, pomyślał i ujrzał samego siebie, zagubionego, z dzieckiem w ramionach.

Kiedy przemówił, ton jego głosu był stanowczy.

– *Sipaj*, VaKashani, ten ktoś nie może przyjąć waszej propozycji.

– Dlaczego nie? – rozległy się okrzyki.

Wzruszył ramionami; nauczył się tego od Sandoza, cudzoziemca, który znalazł się w sytuacji bez wyjścia i zupełnie dla niego niezrozumiałej. Runowie byli praktyczni, więc postanowił skupić się na samych faktach.

– Gdyby ten ktoś się zgodził, musiałyby dać sobie zrobić *hasta'akalę*. Ten ktoś nie mógłby... wziąć mięsa, nawet gdyby ofiarowano mu je tak wspaniałomyślnie.

Odpowiedział mu Manuzhai.

– *Sipaj*, Supaari, możemy zrobić ci *hasta'akalę*, a Djalao może brać mięso dla ciebie. Ona wie jak. Inni mogą się nauczyć!

Ponownie wybuchły radosne okrzyki zgody, VaKashani cisnęli się, by poklepać go po plecach, zapewnić o swoim poparciu, uradowani, że znaleźli rozwiązanie jego problemów, szczęśliwi, że mogą pomóc temu jana'atanskiemu kupcowi, który zawsze był wobec nich uprzejmy i uczciwy. Trudno było im się oprzeć. Lecz później jego spojrzenie natrafiło na oczy Djalao, stojącej w oddaleniu od innych.

– Lepiej umrzeć w słusznej sprawie – powiedziała, patrząc na niego jak łowca, ale wydawało się, że oferuje śmierć samemu Supaariemu, a nie Manuzhaiemu.

Inni przyjęli to oświadczenie z entuzjazmem. Żaden VaRakhati – czy to Runa, czy Jana'ata – nigdy by nie powiedział: „Lepiej żyć”.

Supaari odwrócił głowę, nie mogąc znieść spojrzenia Djalao. Zgodził się rozważyć ich propozycję i rano podjąć decyzję.

Noże Runów zrobione były z wulkanicznego szkliwa, ostrzejsze od najtwardszej stali, z krawędzią tnącą tak doskonale obtłuczoną i wygładzoną, że Supaari prawie by jej nie poczuł.

Wystarczy parę szybkich, zgrabnych cięć poprzez fałdy skóry pomiędzy jego krótkimi, umięśnionymi palcami, a opadłyby swobodnie, prawie bez wpływu krwi. Przyzwyczyił się już do pewnego ograniczenia sprawności rąk, od kiedy odgryzł sobie pazury kilka dni temu.

Spodziewał się, że jego ręce będą jeszcze bardziej niezdarne, ale przecież zawsze miał Runów, którzy zajmowali się jego ubraniem, pisali za niego, otwierali przed nim drzwi, pielęgowali mu futro i przygotowywali pokarm.

Którzy byli jego pokarmem.

Sama *hasta'akala* była procedurą trywialną, ale kiedy się pomyślało o jej trwałych skutkach... O nieodwracalnej zmianie statusu społecznego! Dotychczas Supaari zawsze był przekonany, że potrafi pokonać każdą przeciwność i zamienić na swoją korzyść, ale gdyby zgodził się na *hasta'akalę*, musiałby po raz pierwszy w życiu przyznać się do porażki. Byłby na zawsze napiętnowany jako zależny... od Runów? I choć zrozumiał, że zawsze był uzależniony od Runów – teraz trudno mu się było z tym pogodzić.

Prócz Sandoza Supaari nigdy nie znał żadnego *hasta'akali*. Kiedy znajdowali poręczyciela, rząd przestawał się nimi interesować i nic nie przeszkadzało im w wywędrowaniu z kraju, chyba tylko wstyd. Teraz zrozumiał, dlaczego Jana'atowie, którzy poddali się tej procedurze, najczęściej opuszczali społeczeństwo, izolując się jak kobiety, nienawidząc cudzych spojrzeń.

Jeśli chodzi o niego, to z trudem zniósł ten jeden wieczór wśród podnieconych Runów, snujących bezładne plany co do sposobu opiekowania się nim i rozprawiających, w jakiej kolejności Djalao będzie zarzynać starszych...

Tej nocy, w trakcie nie kończących się bolesnych rozmyślań, których nie przerwał dobroczyunny sen, zdał sobie sprawę, że VaKashani mieli najlepsze intencje, ale ich pomysł był po prostu niewykonalny. Gdyby wspólnota wioskowa karmiła jego i Ha'analę, nie mogłaby oddać swojego kontyngentu państwu. Wspólnota Runów jako sponsor *hasta'akali* – tego jeszcze nie było!

Runao zarzynający innego Runao – to mogłoby się okazać sprzeczne z prawem. Nie wiadomo, jak by to potraktował sąd. A nawet gdyby sąd uznał legalność takiej umowy, Hlavin Kitheri z pewnością unieważniłby ją swoim dekretem.

O wschodzie pierwszego słońca postanowił wy wędrować na jakieś pustkowie i umrzeć tam razem z dzieckiem.

– *Sipaj*, VaKashani! – zawołał, kiedy Runowie powstali, a on sam odzyskał już pełnię wzroku. – Nie jesteście bezpieczni, póki ten ktoś jest między wami. Ten ktoś może być tylko zagrożeniem dla Kashanu i dla jego mieszkańców. Ktoś zabierze Ha'analę i odejdzie, aby zapewnić wam bezpieczeństwo.

Nie pozwolili mu tak od razu odejść; byli Runami i wszystko, co robili, wymagało jedności. Dyskusja ciągnęła się w nieskończoność, a Supaari niepokoił się coraz bardziej, teraz już naprawdę przerażony tym, co może się stać, jeśli znajdzie go tutaj łowca.

Wkońcu to Djalao opuściła ogon i powiedziała beznamiętnym tonem:

– Zaprowadźcie go do Trucha Sai.

13

NEAPOL

grudzień 2060-czerwiec 2061

– Dlaczego nie? – zapytała Celestina.

– Ponieważ prosił, żebyśmy nie przychodziły, *cara* – odpowiedziała z naciskiem Gina Giuliani, zaczynając tracić cierpliwość. Sama z trudem znosiła gorycz zawodu, a nieustanne pytania córki wcale jej w tym nie pomagały. Ot, i całe moje życie, pomyślała z goryczą i powstrzymała westchnienie, odcedzając makaron.

– Ale dlaczego? – Celestina nie dawała za wygraną. Oparła łokcie na stole kuchennym i kołysała się w tył i w przód. – Co będzie jadła Elizabeth? – zapytała chytrze.

Gina podniosła głowę. Nieźle to wymyśliła, pomyślała z uznaniem. Całkiem nieźle. Ale na głos powiedziała:

– Jestem pewna, że brat Cosimo ma mnóstwo jarzyn dla Elizabeth. – Spojrzała na Celestinę. – A wiesz, ile razy zrobiłam ci w tym roku makaron z serem? Siedemset trzydzieści razy. Ten jest siedemset trzydziesty pierwszy. W tym roku.

– To bardzo dużo paluszków – powiedziała Celestina i zachichotała, kiedy mama wybuchnęła śmiechem. – Możemy pójść jutro?

Gina zamknęła oczy.

– *Cara*. Proszę. Nie! – krzyknęła, posypując makaron serem.

– Ale dlaczego nie?! – wrzasnęła Celestina.

– Powiedziałam ci: nie wiem! – wrzasnęła Gina, ciskając miskę na stół. Wzięła głęboki oddech i powiedziała zwykłym głosem: – Siadaj i jedz, *cara*. Don Emilio miał trochę zachrypły głos...

– Co to znaczy „zachrypły”? – zapytała Celestina, żując makaron.

– Nie mów z pełnymi ustami. Zachrypły to szorstki. Pamiętasz, jak byłaś przeziębiona w zeszłym tygodniu? Twój głos brzmiał bardzo śmiesznie, pamiętasz? Don Emilio na pewno zaraził się od ciebie i nie czuje się dobrze.

– Możemy iść jutro? – zapytała Celestina, pakując sobie do ust następną łyżkę.

Gina westchnęła i usiadła naprzeciw córki.

– Nie masz litości. Jesteś absolutnie bezlitosna. Posłuchaj. Poczekamy do przyszłego tygodnia i zobaczymy, jak się będzie czuł. A może zapytamy mamę Pii, czy Pia będzie mogła przyjść i pobawić się z tobą po obiedzie?

Na szczęście to podziało i Celestina przestała ją męczyć.

Tego rana Emilio Sandoz zatelefonował do Giny po raz pierwszy, ale jej radość została szybko stłumiona tonem jego głosu, kiedy poprosił, by nie przychodziły w ten piątek. Zgodziła się, oczywiście, i zapytała, czy coś się stało. Zanim odpowiedział, zdała sobie sprawę z nienaturalnej szorstkości jego głosu i zapytała, trochę zaniepokojona, czy jest chory. Milczał przez chwilę, a potem usłyszała chłodną odpowiedź:

– Mam nadzieję, że nie.

– Przepraszam – powiedziała, nieco rozdrażniona. – Ależ oczywiście, masz rację. Sama powinnam wiedzieć, że to zły pomysł, by przyprować Celestinę.

– Być może oboje popełniliśmy błąd w ocenie sytuacji, *signora* – odpowiedział lodowatym tonem.

– Nie miałam pojęcia, że jest chora. – Teraz już naprawdę poczuła się urażona. – Zresztą to nic takiego, zwykle przeziębienie. Przeszło jej po paru dniach. Jestem pewna, że przeżyjesz.

Kiedy znowu przemówił, wyczuła w jego głosie coś dziwnego, ale nie potrafiła powiedzieć, co to jest.

– *Mi scuzi, signora*. To nieporozumienie. To nie twoja wina ani twojej córki. – Cholerny hrabia, pomyślała ze złością i pożałowała, że nie włączył wizji, choć i tak z jego twarzy na pewno trudno byłoby coś odczytać. – Proszę mi wybaczyć, ale teraz wasza wizyta byłaby... niewygodna. – Zająknął się, szukając odpowiedniego słowa, co ją zaskoczyło, bo jego włoski był zwykle bezbłędny. – „Niewygodna” to nie najlepsze słowo. *Mi scuzi*. Nie chciałem pani urazić, *signora*.

Zmieszana i zawiedziona, zapewniła go, że nie czuje żadnej urazy, co było kłamstwem, ale bardzo chciała, żeby w to uwierzył. Powiedziała mu więc, że dobrze by mu zrobiła jakaś odmiana, i zaproponowała, by wybrał się w któryś wieczór do Neapolu. Zbliża się Boże Narodzenie, na ulicach jest pełno ludzi robiących zakupy. Wyraziła nadzieję, że do połowy grudnia na pewno pozbędzie się przeziębienia.

– Nikt tak się nie przejmuje Bożym Narodzeniem jak neapolitańczycy. Musisz to zobaczyć i...

– Nie – usłyszała w słuchawce. – To niemożliwe.

Trudno było nie poczuć się obrażoną, ale już go trochę poznała i wiedziała, że ta szorstkość ukrywa strach.

– Nie przejmuj się! Pójdziemy tam wieczorem! Nikt cię nie rozpozna... w rękawiczkach, kapeluszu i ciemnych okularach – dodała ze śmiechem. – Mój teść i tak zawsze posyła za mną ochroniarzy. Będziemy naprawdę bezpieczni!

Kiedy i to go nie przekonało, spróbowała ironii i zapewniła, że nie dybie na jego cnotę, a Celestina będzie ich przyzwoitką. To okazało się kompletnym niewypałem. Usłyszała kilka ceremonialnych zwrotów i rozmowa się skończyła. Kiedy odłożyła słuchawkę, była zdumiona, ale i bliska płaczu.

Tego samego popołudnia posłaniec przyniósł kwiaty.

Tydzień później Gina wyrzuciła je na kupę kompostu, starając się nie poddawać sentymentom. Zatrzymała jednak bilecik. Nie było na nim, rzecz jasna, podpisu, tylko jedno zdanie napisane odręcznie przez dziewczynę z kwiaciarni: „Potrzebuję trochę czasu”.

Wierzyła, że tak jest naprawdę, choć nie do końca rozumiała. Dała mu więc czas do Bożego Narodzenia.

Był to trudny adwent. Gina spędziła go z rodziną i starymi znajomymi, starając się nie myśleć o tym, gdzie i z kim jest Carlo albo co mogą oznaczać kwiaty, które przysłał jej Emilio.

Niestety, nie należała do osób, którym łatwo przychodzi nie myśleć. Grudzień dłużył się jej, podobnie jak Celestynie, która wyczekiwała Trzech Króli, kiedy u Carmelli miało być wielkie przyjęcie. Wtedy wszystkie dzieci dowiedzą się, co dostaną od „La Befana”, czyli niegodziwej Suki, która usiłowała sprowadzić na manowce Trzech Mędrców, wędrujących przez Italię do Betlejem.

Wszyscy starali się umilić Celestynie to wyczekiwanie, rozpieszczając ją prezentami, a już szczególnie rozrzutni byli rodzice jej ojca. Lubili Ginę, matkę ich ukochanej wnuczki, i zawsze dbali o to, by Carmella zapraszała ją na swoje przyjęcia. Mimo że don Domenico nie szczędził słów potępienia pod adresem ich syna, Carlo należał do rodziny, a w Neapolu wspólna krew się liczy.

Na przyjęciu u Carmelli tylko ciotka Carla, siedemdziesięcioczeroletnia Rosa, znana ze swoich dosadnych uwag, nie ukrywała, co o tym wszystkim myśli. Ona i Gina, próbując uciec przed tłumem przyjaciół i krewnych, a także przed budzącym zamęt w głowie hałasem, jaki robiły podniecone do granic wytrzymałości dzieci, schroniły się w bibliotece.

– Carlo to gnojek – oświadczyła Rosa beznamiętnym tonem, kiedy obie usiadły w miękkich skórzanych fotelach i położyły nogi na stylowym niskim stoliku. – Przystojny jak cholera, więc rozumiem, dlaczego dałaś mu się omotać. Ale to kawał drania! To syn mojego rodzonego brata, ale powiem ci, moja droga, że wypieprzy wszystko, co mu podejdzie pod tego jego drgającego...

– Rosa!

– Chłopców, psy, kurwy – ciągnęła Rosa, równie bezlitosna jak Celestina. – Myślę, że ja o niczym nie wiem, ale przecież mam uszy. Gdybym była tobą, odstrzeliłabym mu jaja. – Wychyliła się, by złapać Ginę za ramię; w jej nieco przymglonych oczach zapłonęła żądza spiskowania i przemocy. – Chcesz, żebym go zastrzeliła?

Gina roześmiała się, zachwycona tym pomysłem.

– Rozwalę go! – zapewniła ją Rosa, sadowiąc się wygodnie w fotelu. – nic mi nie zrobią. Kto będzie prześladował taką starą babę jak ja? Umrę, zanim dojdzie do apelacji.

– To kusząca oferta, Roso – powiedziała rozczulona Gina – ale wiedziałam, że to podły szczur, kiedy za niego wychodziłam.

Rosa wzruszyła ramionami, zgadzając się niechętnie. Ostatecznie Carlo porzucił dla Giny swoją pierwszą żonę. Co gorsza, Gina Damiano spotkała tego przystojniaka Carla Giulianiego w klinice ginekologicznej; była tam pielęgniarką i opiekowała się jego kochanką, która miała operację po niezbyt udanej aborcji w czwartym czy piątym miesiącu ciąży. Gina wciąż pamiętała zdumienie własną głupotą, kiedy zahipnotyzowana jego spojrzeniem usłyszała samą siebie wyrażającą zgodę na zjedzenie z nim kolacji już pierwszego wieczoru.

Nie powinna być zaskoczona, kiedy przyłapała go z następną kochanką, ale w tym czasie była już w ciąży i popełniła błąd, obrażając się na niego. Kiedy pobił ją po raz pierwszy, doznała wstrząsu. Ledwo mogła uwierzyć, że coś takiego się stało. Później przypomniała sobie siniaki na ciele tej dziewczyny w szpitalu i pokrętne tłumaczenia Carla. To jej wina, że wcześniej nie wzięła pod uwagę tak oczywistych oznak. Wystąpiła o rozwód, potem uwierzyła jego obietnicom, wystąpiła o rozwód ponownie...

– To małżeństwo i tak nie mogło być udane – powiedziała Rosa, przerywając myśli Giny. – Nie chciałam ci mówić przed ślubem, no wiesz... zawsze ma się nadzieję. Ale Carlo posunął się za daleko... stanowczo za daleko. Nawet gdyby nie był takim pieprzonym gnojkiem i tak nigdy go nie ma w domu. – Rosa wychyliła się do przodu i dodała konspiracyjnym tonem: – Uważam, że to przede wszystkim wina mojego brata. Wiesz, Carlo zawsze trzymał stronę swojej matki. Już w pierwszych latach małżeństwa Domenico miał mnóstwo romansów na boku, więc nie potrafił sobie wyobrazić, że jego żona ich nie ma. Nigdy nie uwierzył, że Carlo jest jego synem. Zatrzymał jej życie. No więc moja szwagierka zepsuła do gruntu Carla, żeby się zemścić. Wiesz, dlaczego Carmella wyrosła na taką porządną kobietę?

Gina potrząsnęła głową i uniosła brwi.

– Rodzice ją ignorowali. Najlepsze, co mogło ją spotkać! Byli tak zajęci walką o Carla, że nie mieli czasu na zepsucie córki. No i sama popatrz, co z niej wyrosło! Dobra matka, wspaniała gospodyni, a do tego szelma kuta na cztery nogi! Nic dziwnego, że teraz to ona wszystkim kręci!

Gina roześmiała się.

– To całkiem nowe podejście do rodzicielstwa! Trzeba mieć dwoje dzieci i skupić się na zepsuciu jednego.

– Przynajmniej nie będziesz musiała opiekować się Carlem, kiedy się zestarzeje – zauważyła filozoficznie Rosa. – Myślałam, że Nunzio nigdy nie umrze! – Gina wiedziała, że to blef. Rosa kochała Nunzia i bardzo go jej brakowało, ale w przeciwieństwie do większości neapolitańczyków nie była skłonna do dramatycznych przeskoków od rzeczy wzniosłych do przyziemnych. Ta cecha bardzo zbliżała obie kobiety mimo różnicy wieku. – Mężczyźni to gnojki – oświadczyła Rosa – Mówię ci, jedyny sposób, to znaleźć sobie dwunastolatka i wychować go na męża.

Zanim Gina zdążyła coś odpowiedzieć, do pokoju wpadła Celestina – owa cudowna nagroda za krótkie małżeństwo z podłym gnojkiem. Zanosząc się płaczem, wybuchnęła potokiem oskarżeń przeciw swoim kuzynom, Stefanowi i Robertowi, którzy dopuścili się różnych okropieństw na jej nowej lalce, posługując się modelem rakiety kosmicznej.

– To beznadziejna sprawa – powiedziała ciocia Rosa, podnosząc rękę. – Nawet tacy mali już są gnojkami.

Kręcąc głową, Gina wyszła z biblioteki, aby znaleźć sobie jakąś zdemilitaryzowaną strefę w bawialni.

Tej zimy Gina od czasu do czasu wyjmowała z biurka bilecik z kwaciarni, przyglądała mu się przez chwilę, po czym unosiła rękę i mówiła na głos, naśladując staroświecką sztywność Sandoza: „Żadne wyjaśnienia nie są potrzebne”.

Kiedy tygodnie zamieniły się w miesiące, uznała, że rzeczywiście żadnych wyjaśnień się nie doczeka. W każdy piątek zostawiała u brata Cosima karmę dla świnki morskiej i torbę ze świeżą podściółką. Po pierwszych dwu odwiedzinach postanowiła robić to, kiedy Celestina jest w przedszkolu. I tak miała już spore trudności z wytłumaczeniem dziecku nieobecności Carla, nie chciała więc wikłać się w nowe kłamstwa na temat Emilia Sandoza. Kiedyś, wczesną wiosną, wpadła w furję i zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna pójść załomotać do drzwi Sandoza i powiedzieć mu, że może sobie ignorować ją, ale nie Celestinę, natychmiast jednak uznała to za niewłaściwie skierowany wybuch emocji. Takie rzeczy mogła mówić Carlowi, a nie jakiemuś eksksjędzu, którego ledwie знаła.

Doszła do wniosku, że większa część tego, co czuła wobec Emilia Sandoza i co o nim myślała, składała się w równym stopniu z idiotycznego romantyzmu, zranionej dumy i seksualnej fantazji. Gino, mówiła sobie, Carlo to gnojek, ale ty jesteś po prostu głupia. No tak, ale z drugiej strony, myślała praktycznie, fantazjowanie na temat jakiegoś zagadkowego, ponurego mężczyzny o tragicznej przeszłości jest na pewno bardziej interesujące niż poddawanie się dreszczowi niezdrowego podniecenia na widok jakiegoś nastolatka.

No i Emilio przysłał jej kwiaty. Kwiaty i trzy słowa: „Potrzebuję trochę czasu”. To coś oznacza, prawda? Przecież tego nie wymyśliła. Miała to napisane czarno na białym.

Mogła sobie marzyć o jakimś złotym środku między wybujałą elokwencją Carla i suchym milczeniem Emilia Sandoza. W końcu postanowiła jednak uznać reguły gry narzucone przez Sandoza, nawet jeśli ich nie rozumiała. Zresztą i tak nie miała wyboru. Mogła zapomnieć o nim na zawsze. A tego Gina na pewno nie chciała. Co mógł jej powiedzieć? „*Signora*, mógłbym zarazić panią i pani córkę straszliwą chorobą. Miejmy nadzieję, że się mylę. Miną miesiące, zanim będziemy wiedzieć”. Nie było sensu jej straszyć – i tak już sam bał się o nią i o Celestinę. Tak więc Emilio Sandoz stał się swoim własnym zakładnikiem do czasu, kiedy będzie miał pewność, że nie jest zagrożeniem dla innych. Był to akt woli, który wymagał od niego całkowicie odmiennej strategii w walce z przeszłością.

Życie w samotności pozwoliło mu wycofać się z honorem z pola bitwy, jakim było jego ciało. Niegdyś źródło satysfakcji, od dawna stało się niechcianym ciężarem, karane obojętnością i pogardą za jego słabostki i podatność na zranienie. Żywił je, kiedy głód przeszkadzał mu w pracy, dawał odpocząć, kiedy był dość zmęczony, by spać mimo koszmarów, gardził nim, kiedy go zawodziło – kiedy ból głowy prawie go oślepił, kiedy ręce bolały go tak, że siadał na łóżku i śmiał się, bo intensywność bólu stawała się wprost komiczna.

Nigdy przedtem nie czuł się tak całkowicie rozdarty, tak oddzielony od samego siebie.

Nie był dziewicą ani ascetą. Już w seminarium doszedł do wniosku, że nie będzie w stanie żyć w celibacie, potępiając lub ignorując potrzeby swojego ciała. To moje ciało, powiedział swemu milczącemu Bogu, to część mojego ja. Pozwalał sobie na seksualne zaspokojenie i wiedział, że jest mu potrzebne jak pożywienie i odpoczynek, równie bezgrzeszne jak bieganie, bejsbol, taniec.

A jednak był świadom, że to pragnienie rządzenia własnym ciałem jest przejawem nieokiełznanej pychy i że to właśnie, przynajmniej po części, było przyczyną jego reakcji na gwałty. Kiedy zaczął pojmować, że opór tylko zwiększa jego cierpienia i sprawia jeszcze większą satysfakcję gwałcicielom, próbował poddawać im się biernie, gardzić nimi i lekceważyć, jak tylko potrafił. Przerastało to jednak jego możliwości, było nie do zniesienia.

A kiedy poczuł, że już więcej tego nie zniesie, kiedy postanowił, że zabije się, jeśli ktoś będzie chciał go ponownie wykorzystać, zapłacił za to życiem Askamy. Czy gwałt był karą za jego pychę? Straszliwa to lekcja pokory, ale można byłoby ją znieść, gdyby Askama nie umarła za jego grzechy.

To wszystko było bezsensowne.

Dlaczego Bóg nie pozwolił mu zostać w Puerto Rico? Nigdy mu nie zależało na duchowej wielkości. Przez całe lata był, nie uskarżając się na to, *solo cum Solus* – sam wobec Jedyne, nie słysząc Boga, nie czując Boga, niczego od Niego nie oczekując. Żył w świecie, nie stając się częścią świata, żył w czymś, co niezgłębione, nie stając się tego częścią, wdzięczny za to, że jest tym, kim jest: byłym akademikiem, parafialnym księdzem pracującym w slumsach swojego dzieciństwa.

Lecz później, na Rakhacie, kiedy się otworzył i zrobił w swojej duszy dość miejsca, został – zupełnie nieoczekiwanie – napełniony Bogiem, ba, wręcz zalany Bogiem! Czuł się zalany światłem, ogłuszony przez jego moc. Nie starał się o to! Nigdy się tym nie chlubił, nigdy nie pojmował tego jako rekompensaty za to, co Bogu złożył w ofierze. To, co go napełniło, było nieproporcjonalne, niewymierne, niezasłużone, niewyobrażalne. Była to darmo udzielona łaska Boża. W każdym razie tak uważał.

A może to pycha, a nie ufność wiary, kazała mu uwierzyć, że misja na Rakhacie jest częścią jakiegoś planu? Aż do chwili, w której jana'atariski patrol zaczął mordować dzieci, nie było żadnego ostrzeżenia, żadnej najmniejszej oznaki, że popełniają fatalny błąd. Dlaczego Bóg opuścił ich wszystkich – ludzi i Runów jednakowo? Skąd ta milcząca, okrutna obojętność po tak oczywistej interwencji?

– Uwiodłeś mnie, Panie, a ja pozwoliłem się uwieść – poskarżył się przez łyzy słowami Jeremiasza po wyjściu Kalingemali Loporego. – Ujarzmiłeś mnie i stałem się pośmiewiskiem.

Oburzony, że czyjaś wiara mogła zostać wystawiona na aż tak ciężką próbę, głęboko zawstydzony, że tej próbie nie sprostał, Emilio Sandoz wiedział tylko jedno: że nie potrafi się z tym pogodzić – i za to był Bogu wdzięczny. Wyrzekł się więc swego ciała, przestał dbać o duszę, oddał jej mocy, która go zniewoliła, i starał się żyć tylko swym umysłem, nad którym zachował panowanie. I choć nie odnalazł spokoju, przynajmniej na jakiś czas uzyskał coś w rodzaju zawieszenia broni.

Daniel Żelazny Koń położył temu kres; cokolwiek wydarzyło się na Rakhacie, kogokolwiek można było za to winić, Emilio Sandoz żyje, a jego życie dotyka życia innych ludzi. Trzeba więc stawić temu czoło.

Jadał teraz trzy razy dziennie, jakby pożywienie było lekiem. Zaczął znowu biegać, okrążając rankiem senne ogrody wokół domu rekolekcyjnego, aż doszedł do czterech mil w ciągu pół godziny – dzień w dzień, w słońcu czy w deszczu. Dwa razy dziennie zmuszał się do przerywania pracy i brał hantle, metodycznie ćwicząc mięśnie rąk i ramion, które teraz spełniały podwójną rolę, rządząc jego palcami poprzez mechanizmy protez. W kwietniu zbliżał się już do wagi półciężkiej, a koszule nie wisały już na nim jak na wieszaku.

Bóle głowy nie ustępowały. Nocne koszmary trwały. Odzyskał jednak utracony teren z wytrwałością piechoty i tym razem postanowił zrobić wszystko, by go już więcej nie utracić.

Był niezwykle chłodny poranek na początku maja. Celestina była już w przedszkolu. Gina Giuliani wyjrzała przez okno w kuchni i zobaczyła jakiegoś mężczyznę rozmawiającego ze strażnikiem przy końcu podjazdu. Poznała szarą zamszową kurtkę, którą kupiła, zanim rozpoznała samego Sandoza i przez chwilę rozważała, czy nie musi zrobić czegoś ze swoimi włosami, ale się rozmyśliła. Włożyła sweter i wyszła tylnymi drzwiami, żeby się z nim spotkać.

– Don Emilio! – powitała go z szerokim uśmiechem. – Świetnie wyglądasz.

– I czuję się świetnie – powiedział bez śladu ironii, traktując grzecznościowy zwrot jak prawdziwy opis swojego wyglądu. – Nie byłem tego przedtem pewny, ale teraz już jestem. Przyszedłem, żeby przeprosić, *signora*. Uważałem, że lepiej być szorstkim, niż niepotrzebnie panią niepokoić.

– *Mi scuzi?* – zapytała, marszcząc brwi.

– *Signora*, dwóch członków załogi *Stelli Maris* zachorowało na Rakhacie. Jeden zmarł tej samej nocy, drugi chorował przez wiele miesięcy i był bliski śmierci, kiedy go zabito – powiedział bez śladu emocji. – Nigdy się nie udało wykryć przyczyny tych chorób, ale jedna z nich była wyniszczającą, powodującą znaczny ubytek wagi. Ach, dobrze zrobiłem, że nie powiedziałem o tym wcześniej – dodał, kiedy jej ręka powędrowała do ust. – Może mi więc wybaczysz. W grudniu zwrócono mi uwagę na to, że mogłem przywlec tę chorobę. – Rozłożył lekko ręce, prezentując niezaprzeczalny dowód. – Jak widzisz, chorowałem na tchórzostwo, a nie na jakieś patogenne świństwo z kosmosu.

Przez chwilę nie była w stanie przemówić.

– Więc to była dobrowolna kwarantanna? – zapytała w końcu. – Do czasu, gdy uzyskasz pewność, że jesteś zdrowy?

– Tak.

– Nie widzę w tym żadnego tchórzostwa.

Mewy kwiliły, a on przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami.

– Człowiek, z którym rozmawiałem, idąc tutaj, powiedział mi, że ten kawałek wybrzeża jest zawsze strzeżony. Czy to prawda?

– Tak.

Odgarnęła włosy z twarzy i otuliła się szczelniej swetrem.

– Powiedział, że „mafia” to zły termin. W Neapolu to kamorra.

– Tak. Jesteś zaszokowany?

Wzruszył ramionami i spojrzał w bok.

– Powinienem być sam zdać sobie z tego sprawę. Zauważyłem pewne oznaki. No, ale byłem pochłonięty czym innym. – Wpatrzył się w morze, kontemplując widok, który ona miała z okna swej sypialni. – Bardzo tutaj pięknie.

Przyglądała mu się z boku i zastanawiała, co teraz zrobić.

– Celestina niedługo wróci z przedszkola – powiedziała. – Byłaby niepokojona, gdyby się dowiedziała, że byłeś. Mógłbyś na nią poczekać? Możemy napić się kawy.

– Co ty o mnie wiesz? – zapytał obcesowo, odwracając się do niej.

Wyprostowała się, zbita z tropu tym pytaniem. Wiem, że traktujesz moją córkę jak małą księżniczkę, pomyślała. Wiem, że potrafisz cię rozśmieszyć. Wiem, że... Bezpośredniość jego spojrzenia otrzeźwiła ją.

– Wiem, że oplakujesz swoich przyjaciół... i dziecko, które ukochałeś. Wiem, że czujesz się odpowiedzialny za wiele śmierci. Wiem, że zostałeś zgwałcony.

Nie spuścił wzroku.

– Chciałbym uniknąć nieporozumień. Jeśli mój włoski nie będzie rozumiał, powiedz mi, dobrze? – Kiwnęła głową. – Zaoferowałam mi... przyjaźń. *Signora* Giuliani, nie jestem naiwny. Potrafisz rozpoznać, co się dzieje w innych. Chcę, żeby pani zrozumiała, że...

Poczuła, że robi się jej słabo. Zawstydzona przejrzystością swoich uczuć, zapragnęła, by nagle zatrzęsła się ziemia, żeby jakiś kataklizm zmiotł cały Półwysep Apeniński do Morza Śródziemnego.

– Nie trzeba niczego wyjaśniać, don Emilio. Naprawdę, bardzo mi przykro, że zawracałam ci głowę...

– Nie! Proszę. Pozwól mi... *Signora* Giuliani, bardzo bym chciał, żebyśmy spotkali się wcześniej... może o wiele, wiele wcześniej. Wszystko płaczę. – Spojrzał w niebo, niezadowolony z samego siebie. – W chrześcijaństwie jest... uważa się... że dusza różni się... że jest czymś wyższym od fizycznego ja... że świadomość jest czymś innym od ciała, żyje jakby własnym życiem. Wiele czasu upłynęło, zanim zrozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi. Teraz ciało, umysł, dusza... to dla mnie jedno. – Odwrócił głowę, pozwalając, by wiatr zdmuchnął mu włosy z oczu wpatrzonych w jasną linię horyzontu, gdzie świetlistość morza spotykała się z niebem. – Teraz wierzę, że wybrałem celibat jako ścieżkę do Boga, ponieważ właśnie ona sprawia, że ciało, umysł i dusza stają się jednym.

Zamilkł na chwilę, zbierając myśli.

– Kiedy... Musisz zrozumieć, że to nie był jeden gwałt. Było ich wiele, rozumiesz? – Zerknął na nią, ale potem znowu utkwiał spojrzenie w morzu. – Było ich siedemnastu, a ciągnęło się to miesiącami. I wówczas, i później starałem się oddzielić to, co działo się ze mną fizycznie, od tego... co to dla mnie znaczyło. Wmawiałem sobie: to tylko moje ciało. To nie dotyka mojego prawdziwego ja. Ale nie mogłem w to naprawdę uwierzyć, nie potrafiłem tak myśleć. Wybacz mi, *signora*. Nie mam prawa żądać, aby pani tego wysłuchiwała.

Znowu zamilkł, prawie pokonany.

– Ja słucham – powiedziała.

Ty tchórze, zwymyślał się w duchu. Mów. Powiedz wszystko.

– *Signora*, chcę, żeby między nami nie było żadnych nieporozumień. Bez względu na aspekty prawne, nie jestem księdzem. Moje śluby zostały unieważnione. Gdybyśmy się spotkali kiedy indziej, chciałbym, żeby nas łączyło coś więcej niż przyjaźń. Ale to, co kiedyś dobrowolnie oddałem Bogu, jest teraz stłamszone przez... – Przez mdłości. Strach. Wściekłość.

Spojrzał jej w oczy i zrozumiał, że winien jest jej prawdę: tyle prawdy, ile sam potrafi znieść.

– Przez wstręt – powiedział w końcu. – Jestem wciąż rozbity. Czy możesz zgodzić się, że to, co ci dam za twoją przyjaźń, będzie czymś mniejszym?

Proszę, zrozum to, błagał ją w myślach. Moje ciało zostało uzdrowione, moja dusza wciąż krwawi. A dla mnie to jedno.

Wiatr, który tu, blisko morza, nigdy nie ustawał, szumiał jej w uszach i przynosił zapach wodorostów i ryb. Spojrzała tam, gdzie on patrzył, na zatokę poznaczoną cekinami światła.

– Emilio, oferujesz mi uczciwość – powiedziała z powagą. – A uczciwość, jak sądzę, nie jest wcale czymś mniejszym od przyjaźni.

Przez chwilę panowała cisza, przerywana jedynie kwileniem mew. W oddali, przy podjeździe, zakaszła strażnik i rzucił niedopałek na ziemię, rozgniatając go podeszwą. Czekala, ale było jasne, że Sandoz zrobił już wszystko, na co go było stać.

– No, ale kawy możesz się chyba napić – powiedziała w końcu, przypominawszy sobie o Celestynie i o śwince morskiej.

Rozległ się zduszony śmiech, po którym można było poznać, jak wielkie towarzyszy mu napięcie, a uzbrojone w protezy ręce powędrowały do głowy, jakby chciał przeczesać włosy palcami, po czym wróciły do boków.

– Chyba wolałbym napić się piwa – wyznał szczerze – ale jest dopiero dziesiąta.

– Podróże kształcą. Słyszałeś o chorwackim śniadaniu? – Potrząsnął głową. – Kieliszek śliwownicy, a potem espresso.

– Tego mi chyba trzeba – odpowiedział z lekkim ożywieniem, po czym zamilkł.

Zamierzała odwrócić się, by powędrować w stronę domu, ale napięcie nie pozwoliło jej ruszyć się z miejsca. O wiele później pomyślała: Gdybym się wtedy odwróciła, przegapiłabym moment, w którym się zakochał.

On zapamiętał to inaczej. To, czego doznał, było nie tyle początkiem miłości, ile ustaniem bólu. Było to doznanie równie fizyczne i równie nieoczekiwane jak chwila, w której ręce przestawały go boleć po jakimś straszliwym ataku neuralgii – kiedy ból po prostu mijał, tak nagle i w tak nie wyjaśniony sposób, jak się pojawiał. Zawsze, przez całe życie, uznawał moc milczenia. Nigdy nie potrafił wypowiadać tego, co było w nim naprawdę, no, może czasami, kiedy rozmawiał z Anne. A teraz mógł: do Giny.

– Tęskniłem za tobą – powiedział, odkrywając uczucie, kiedy wyrzekł te słowa.

– To dobrze – odpowiedziała, przytrzymując wzrokiem jego oczy, wiedząc więcej niż on.

Odwróciła się i ruszyła w stronę kuchni.

– Jak tam Elizabeth? – zawołała przez ramię.

– Znakomicie! To kochane zwierzątko. Sprawia mi naprawdę wiele radości – odpowiedział Emilio, podbiegając kilka kroków, aby się z nią zrównać. – John Candotti zrobił jej wspaniałą klatkę, trzy pomieszczenia i tunel. Nazwaliśmy ją Świńskim Królestwem. – Sięgnął zza Giny, by otworzyć drzwi; zamknął palce na klamce, nawet o tym nie myśląc. – Może byś kiedy przyszła na lunch z Celestina? Nauczyłem się gotować – oświadczył z dumą, przytrzymując przed nią drzwi. – Prawdziwe potrawy. Żadne gotowe świństwa.

Zawahala się, zanim przekroczyła próg.

– Przyjdziemy chętnie, ale obawiam się, że Celestina nie zje niczego poza makaronem z serem.

– Kismet! – wykrzyknął z uśmiechem, który ogrzał ich oboje. – Tak się składa, *signora*, że makaron z serem to moja specjalność.

W miarę jak dni się wydłużały, było coraz więcej wspólnych lunchów, krótkich odwiedzin, telefonów i wiadomości przekazywanych trzy albo cztery razy dziennie. Emilio był u niej w domu, kiedy pocztą nadeszły dokumenty finalizujące rozwód, a Gina i tak się rozpłakała.

Wcześniej rozumiała, że Sandoz nie może jeść mięsa; po jakimś czasie był w stanie jej wyjaśnić dlaczego i znowu się popłakała, tym razem z jego powodu. Kiedy wyraził zachwyt nad rysunkami Celestiny, dziewczynka rozpoczęła masową produkcję i wkrótce nagie ściany jego pokoju były obwieszane barwnymi malunkami przedstawiającymi tajemnicze obiekty.

Zadowolona z efektu, Gina pewnego dnia ozdobiła jego okna doniczkami czerwonego geranium, co okazało się dla niego nieoczekiwanym punktem zwrotnym. Już dawno zapomniał, jaką radość sprawiały mu dyżury przy pielęgnacji roślin na *Stelli Maris*, i teraz zaczął sobie przypominać dobre chwile, co pomagało mu w odzyskaniu wewnętrznej równowagi.

Zabierali Celestinę na przechadzki, pocąc się w ostrym blasku *mezzogiorno*: fioletowe morze na zachodzie, lśniące od słońca skały na wschodzie, ciepko słodki zapach pyłu, kwiatów i asfaltu gryzący w gardło. Spacerowali, sprzecając się o głupie drobnostki i ciesząc się sobą, a potem szli do domu na świeży chleb smażony na oliwie z drzewek mających osiemset lat, cukinię z *provolone dolce* i migdały w miodzie. Po kolacji Emilio zostawał, żeby ułożyć Celestinę do łóżka, a Gina słuchała, kręcąc głową, jak tych dwoje tworzyło długie, skomplikowane opowieści z wieloma epizodami, o księżniczce z kędzierzawymi włosami, której nie wolno było jeść niczego pomiędzy przyjęciami i o psie, który się nazywał Franco Grossi i towarzyszył księżniczce w wyprawach do Ameryki, na księżyc, do Mediolanu i do Australii.

W czerwcu Emilio przyznał się do swoich migren i Gina kupiła mu kilka nowych leków do wypróbowania; jeden z nich okazał się o wiele skuteczniejszy od prograiny.

Oboje rozumieli bez słów, że Emilio potrzebuje czasu, ale wkrótce zaczął dochodzić do wniosku, że nie aż tyle, ile mu się wydawało na początku.

Pewnego wieczoru Gina nauczyła go grać w *scopa*; kiedy już rozegrał się w regułach, była zdumiona zaciętością, z jaką grał, choć przygnębiało ją, kiedy widziała, z jaką trudnością utrzymuje karty. Kiedy go o to zapytała, zmienił temat, a ona nie nalegała. Później, pewnego letniego poranka, może po to, aby udowodnić, że ręce ma sprawne, on i Celestina postanowili zawiązać sobie samodzielnie sznurowadła, czego oboje od dawna nie robili.

– Uda się! – przekonywał sam siebie Emilio. – Tym razem na pewno się uda! Nawet jeśli to nam zajmie cały dzień, zwłaszcza że to najdłuższy dzień w roku.

Przez całe przedpołudnie użalali się głośno, jakie to łatwe dla innych ludzi, ale dodawali sobie otuchy i w końcu dopięli swego, rozpromienieni sukcesem. Gina zaproponowała, by uczcili to osiągnięcie piknikiem na plaży, nie omieszkając podkreślić, że da im to sposobność do częstego zdejmowania i wkładania butów. I tak, w błogim ukojeniu i spokoju, minęło im jeszcze jedno długie letnie popołudnie; szli brzegiem morza za Celestina, patrząc, jak ściga mewy i tapła się w wodzie, poszukując kolorowych kamyków i innych skarbów. Kiedy zaczęło się ściemniać, wspięli się po schodkach w skalnym urwisku – Gina z kieszeniami i rękami pełnymi muszli i kamieni, Emilio ze śpiącą Celestina w ramionach – i mruknęli pozdrowienia strażnikom kamorry, którzy uśmiechnęli się porozumiewawczo.

Doszli do domu i Gina przytrzymała mu tylne drzwi, ale nie zapaliła światła; znając dobrze drogę, zaniósł Celestinę przez cichy dom do jej pełnego lalek pokoju i czekał, aż Gina oczyści łóżko z pluszowych zwierzątek. Potrafił już podnieść Celestinę, jeśli tylko był ostrożny, ale nie mógł jej z powrotem położyć, nie narażając się na uszkodzenie mechanizmu protez, więc Gina wzięła dziecko z jego ramion i złożyła w łóżku, a potem stała przez chwilę, wpatrując się w swoją córeczkę.

Celestina... Celestina, która zawsze była w ruchu, która nigdy nie przestawała paplać, która zamęczała ją przed śniadaniem, przy której nawet Matka Boska zaczęłyby się zastanawiać, czy nie wynająć ochroniarza. Celestina, której buzia we śnie wciąż przypomina noworodka, której paluszki wciąż wpijają się w ciało matki, która wciąż jest z nią połączona niewidzialną pępowiną. Która szybko się nauczyła nie wspominać mamie o nowych przyjaciółkach tatusia.

Gina westchnęła, odwróciła się i zobaczyła Emilię opartego o framugę drzwi, obserwującego ją ze spokojną miną oczami, które niczego nie ukrywały. Wyciągnął lekko ręce, jak robił, kiedy chciał uścisnąć Celestinę, a bojąc się, by nie skaleczyć jej protezami. Gina podeszła do niego.

Skraj jej dolnej wargi był doskonały jak krawędź kielicha i ta myśl prawie go powstrzymała, ale po chwili jej usta uniosły się, by napotkać jego usta, a on ich nie cofnął – wcale nie chciał ich cofnąć. Po tych wszystkich latach, po tylu walkach, po lękach, okazało się to bardzo proste.

Uwolniła go od protez i pomogła mu zdjąć ubranie, a potem sama się rozebrała, czując się z nim tak swojsko, jakby zawsze byli razem. Nie wiedziała jednak, czego się spodziewać, więc przygotowała się na załamanie nerwowe, na brutalną natarczywość, na płacz. Zamiast tego był śmiech i ona też stwierdziła, że to bardzo proste. Kiedy nadszedł czas, wzięła go w siebie, a potem uśmiechnęła się nad jego ramieniem, słysząc cichy jęk, który wydał, i sama prawie zaszlochała. Oczywiście stało się to trochę za wcześnie – czego się można było spodziewać? Nie obchodziło ją to, ale parę chwil później usłyszała jego szept:

– Chyba nie zrobiłem tego jak należy.

Roześmiała się i powiedziała w przestrzeń nad nim:

– To wymaga praktyki.

Zamarł, a ona przestraszyła się, że go uraziła, ale uniósł się na łokciach i spojrzał na nią; na jego twarzy malowało się zdumienie, a oczy płonęły radością.

– Praktyki? Uważasz, że możemy to od razu powtórzyć?

Zachichotała, a on opadł na nią ponownie.

– Złaż ze mnie – szepnęła po chwili, wciąż uśmiechnięta, gładząc go po plecach.

– Ani myślę.

– Złaż ze mnie! Ważysz chyba tonę – skłamała, całując go w szyję. – To przez ten makaron z serem!

– Nie. Podoba mi się tutaj – powiedział w poduszkę pod jej głową.

Włożyła mu palec pod pachę. Natychmiast eksplodował i stoczył się z niej, a ona śmiała się i uciskała go, szepcząc:

– Celestina...

– *Soy cosquilloso!* – powiedział zdumiony. – Nie wiem, jak to jest po włosku. Jak mówicie, kiedy jest taka reakcja na dotknięcie?

– Że ktoś ma łaskotki – odpowiedziała i słuchała, rozbawiona, jak Emilio zamienia rzeczownik na przymiotnik, potem na czasownik i szybko odmienia. – Jesteś zaskoczony?

Spojrzał na nią, już uspokojony.

– Nie wiedziałem. Bo niby skąd? Ludzie nie łaskoczą jezuitów! – Popatrzyła na niego sceptycznie. – No, może niektórzy łaskoczą niektórych jezuitów – dodał z oburzeniem – ale zapewniam panią, *madame*, że mnie nikt nie łaskotał.

– Nawet twoi rodzice? Nie zawsze byłeś księdzem.

– Nie – odpowiedział szorstko.

O Boże, westchnęła w duchu, zdając sobie sprawę, że wkroczyła na jakieś nowe pole minowe, ale on uniósł się na łokciu i otoczył ramieniem jej brzuch.

– Nienawidzę makaronu z serem – wyznał. – Nie napotkałem żadnych smoków, które bym mógł zabić dla mojej ukochanej, ale jadłem dla ciebie makaron z serem. Chciałem się czymś zasłużyć.

Uśmiechnęła się do niego, całkowicie zadowolona.

– Poczekaj – szepnęła, kiedy nachylił się, aby ją pocałować. – Wróć do tego o „ukochanej”.

Jego usta opadły jednak ponownie na jej usta i tym razem spisał się lepiej.

Starali się zachować dyskrecję, ze względu na Celestinę, i zanim nadszedł świt, Emilio odszedł. Było to piekielnie trudne: pożegnać ją i odejść. Ale odtąd miało być więcej takich dni, w których Celestina zasypiała wcześniej, zmęczona długim spacerem po plaży, i nocy, w których oni sami zasypiali bardzo późno, a kiedy minęło lato, Gina przywróciła mu utraconą jedność.

Nie było takiego wspomnienia o brutalności i okrucieństwie, którego by nie zdołała wymazać swoim pięknem i łagodnością, nie było takiego powrotu poniżenia, którego by nie zdołała zaćmić swoim ciepłem. A czasami była z nim nawet we śnie: wybawienie w nocy. Zanim skończyło się lato, kiedy dni były wciąż zbyt długie, a noce zbyt krótkie, kiedy woń cytrynowych i pomarańczowych drzew wciąż napływała do jej sypialni, przesycając pościel i jej włosy, zaczął oddawać jej część tego, co od niej otrzymywał.

Czasami miał poczucie zanurzenia się w nieprzemijającym spokoju. Słowa Donne'a zdawały się wyrażać to doskonale:

„Bom wszystkim, co umarło! W którym miłość stworzyła nową alchemię”. Zaatakowany przez nadzieję, nie mógł już dłużej opierać się wierze w zbawienność posiadania przyszłości i czuł, jak słabnie uścisk przeszłości. To już minęło, myślał coraz częściej. To już bezpowrotnie minęło.

TRUCHA SAI

2042-2046 czasu ziemskiego

W Trucha Sai Sofii Mendes nie brakowało towarzystwa. Osadę zamieszkiwało już blisko trzysta pięćdziesiąt osób, a w pobliżu znajdowały się inne wioski, więc odwiedziny były częste i radosne. Jadała i pracowała z wieloma Runami i wkrótce stało się czymś naturalnym spędzanie czasu na tkaniu z liści *diuso* mat, osłon od wiatru, parasoli, koszy na owoce. Brała udział w sezonowych zbiorach, uczyła się wyszukiwania i rozpoznawania pożytecznych roślin, unikania zagrożeń i odnajdywania drogi w puszczy, która z początku wydawała się jej niedostępną dżunglą.

Powoli stawała się jedną z nich – pożytecznym członkiem ruńskiej społeczności – i sprawiało to jej pewną satysfakcję. W ciągu pierwszych miesięcy wygnania najwięcej otuchy czerpała jednak z łączności z wędrującą po orbicie *Stellą Maris*. Nie mogła dostać się na pokład statku fizycznie, ale większość dnia spędzała, łącząc się przez radio z systemem bibliotecznym. Po uporządkowaniu swoich obserwacji na temat życia Runów, przysyłała je do pamięci głównej, nie poprzestając na zapisaniu ich w pamięci laptopa. Przez ten zwyczaj czuła się mniej osamotniona, jakby wysyłała do kogoś raporty, a nie tylko prowadziła dziennik.

Pewnego dnia moje słowa dotrą na Ziemię, powtarzała sobie często i wierzyła, że jest samotnym uczonym, którego badania przysłużą się ludzkości. Wciąż jestem człowiekiem. Wciąż mam rozum.

A potem, kiedy Izaak miał zaledwie piętnaście miesięcy, nadszedł poranek, w którym wywołała sygnał dostępu i ujrzała na ekranie lakoniczną informację o błędzie. Poczowała fizyczny wstrząs, jakby właśnie w tej chwili przerwała się więź łącząca statek kosmiczny z planetą.

Czyżby system pokładowy uległ awarii? A może orbita *Stelli Maris* tak się zmniejszyła, że statek spłonął w atmosferze albo runął do rakhatańskiego oceanu? Możliwości było nieskończenie wiele. Jednej tylko nie wzięła pod uwagę i ta właśnie okazała się prawdziwa: oto druga wyprawa z Ziemi, pod auspicjami Narodów Zjednoczonych, przybyła na Rakhat. Jakieś dwanaście tygodni po wylądowaniu Konsorcjum Kontakt odnalazło Emilia Sandoza. Uznając go za jedyne pozostałego przy życiu członka jezuickiej misji, wysłano go *Stellą Maris* na Ziemię, wykorzystując automatyczny system nawigacyjny zaprogramowany przez Sofię Mendes na podstawie zsyntezowanego przez nią modułu sztucznej inteligencji. W ten sposób Emilio Sandoz wyruszył w powrotną drogę ku własnej niesławie, a Sofia utraciła kontakt z ostatnią częścią Ziemi.

Odkryła, że są różne rodzaje osamotnienia. Była samotność, która rodziła się ze zrozumienia, ale pozostawała niezrozumiała. Była samotność polegająca na braku kogokolwiek, z kim można by się posprzeczać lub pożartować, kto mógłby stanowić dla niej wyzwanie.

Samotność nocą różniła się od samotności w świetle dnia, która niekiedy dopadała ją pośród tłumu Runów. Stała się znawczynią samotności, a najgorszy jej rodzaj odkryła po nocy, w której śniła o śmiejącym się Izaaku.

Małeńkie niemowlę, blade i wychudzone, przez pierwsze tygodnie pogrążone było w ciężkim śnie, który napełniał ją strachem. Wiedziała, że sen jest sposobem, w jakim jego wątły organizm skupia wszystkie swoje zasoby na przetrwaniu, więc zwalczała w sobie pragnienie obudzenia go, wiedząc, że to tylko przejaw jej własnej potrzeby otuchy. Lecz nawet w tych krótkich chwilach, gdy nie spało, nie znosiło jej spojrzenia, a chociaż wraz z upływem czasu ssało coraz silniej, często natychmiast wymiotowało jej mlekiem. Tłumaczyła sobie, że to reakcja nierozwiniętego jeszcze systemu pokarmowego na obce mu substancje, ale i tak odczuwała to jako bolesne odrzucenie.

Po sześciu miesiącach Izaak nadal zachowywał się jak ptak – wiecznie milczący, nie reagujący na słowa i uśmiechy, wpatrzony gdzieś w dal, skupiony na jakiejś nieodgadnionej tajemnicy liści, światła i cienia. Po roku nabrał jakiejś dziwnej nieziemskiej godności: drobny, milczący, wiecznie poważny malec o głęboko osadzonych oczach elfa, który spędzał większość czasu, wpatrując się w kalejdoskop swoich małych palców, oczarowany wzorami, w jakie się układały. Zaczęła mieć nadzieję, że to milczenie jest skutkiem głuchoty, bo nie gaworzył, nie odwracał się do niej, kiedy wołała go po imieniu, zdawał się nie słyszeć ruńskich dzieci, które wokół niego baraszkowały, piszczwały, kwiliły i wybuchały kaskadami śmiechu. I nagle, pewnego dnia, powiedział: „*Sjipaj*” i zaczął to bez końca powtarzać, aż to słowo, oznaczające „Słuchaj mnie!”, stało się dla wszystkich, którzy go słuchali, pozbawione znaczenia, jak mantra. A potem znowu zamilkł.

Kiedy zbliżały się jego drugie urodziny, wpadł w stan nieodgadnionego samozadowolenia; sprawiał wrażenie pozbawionego potrzeb i pragnień mistrza zen. Ssał, kiedy Sofia wsadzała mu sutek do ust; później jadł, kiedy kładła mu pokarm na języku, pił wodę, kiedy mu przytykała naczynie do warg. Pozwalał się podnosić i trzymać, ale nigdy nie wyciągał do nikogo rączek.

Noszony i pieszczony przez ruńskie dzieci jakby był lalką, czekał, nieruchomy i niewzruszony, aż dadzą mu spokój, aby powrócić do swojej naturalnej zadumy i zagłębić się w medytacji, jakby nic się nie wydarzyło.

Wewnątrz jego niewidzialnej twierdzy zdawała się królować doskonałość, od której świat zewnętrzny nie był w stanie go oderwać. Siedział całymi godzinami, nieruchomy i spokojny jak jogin, a od czasu do czasu jego twarz nawiedzał promienny uśmiech, jakby go uradowała jakaś tajemnica, jakaś święta myśl.

Sofia nie musiała pytać, co by się stało, gdyby tak nienormalnie zachowywało się ruńskie dziecko. Podobnie jak Spartanin, porzucający swoje upośledzone niemowlę na zboczu wzgórza nawiedzanego przez wilki, ruński ojciec oddałby takie dziecko Jana'atom – na mięso dla ich arystokratów. Może Runowie nie zdawali sobie sprawy z tego, że z Izaakiem jest coś nie w porządku, a może ich to nie obchodziło; w końcu nie był Runą, więc mógł być inny niż oni i nie podlegał obowiązującym wśród nich regułom. Sofia doszła do wniosku, że po prostu zaakceptowali jego milczenie, jak akceptowali brak ogona czy futra – jak akceptowali wszystko w ich świecie: z pogodą i niewzruszonym spokojem.

Więc i ona starała się go zaakceptować, choć wcale jej nie było łatwo, kiedy widziała, jak mały Izaak godzinami wpatruje się w swoje ręce albo wali nimi miarowo w ziemię, jakby wsłuchiwał się w jakąś wewnętrzną melodię. Piękny i nieziemski jak anioł, Izaak byłby trudnym obiektem miłości dla każdej matki, a życie Sofii Mendes nie dało jej wielu szans, by się miłości nauczyć.

W głębi duszy odczuwała jednak ulgę, że jej syn tak mało od niej pragnął. Przez lata jedyną miarą poczucia utraty rodziców było ślepe przerażenie, które ją ogarniało na samą myśl o tym, że może umrzeć młodo i osierocić własne dziecko. Niezwykłość Izaaka miała swoje dobre strony: jeśli ona umrze, on prawie tego nie zauważy.

Wiele czasu miało upłynąć, zanim zdała sobie sprawę, jak blisko była obłądu. Znalazła się na jego krawędzi, oszołomiona i beztroska, kiedy Izaak miał cztery lata. To wówczas przybył do Trucha Sai Supaari ze swoją małą córeczką, przyprowadzony przez Djalao i kilka innych kobiet VaKashani. Runowie nie okazali zdziwienia z powodu jego nieoczekiwanego pojawienia się w ich leśnej kryjówce, zazdrośnie strzeżonej przed jana'atańskimi panami; częścią ich natury było akceptowanie wszystkiego bez zadawania wielu pytań, a Supaari VaGayjur zawsze różnił się od innych *djanada*. Jeśli jednak Runowie byli spokojni jak zawsze, Sofia Mendes była wstrząśnięta siłą swoich emocji. Supaari był Jana'atą, a jednak, kiedy go zobaczyła, nie pomyślała o buncie i śmierci, o ucisku, wyzysku czy okrucieństwie, tylko o przyjaźni i końcu samotności.

Po raz pierwszy od narodzin Izaaka spotkało ją coś, za co mogła dziękować Bogu.

– Mówili mi, że umarłaś – powiedział Supaari po angielsku, wpatrując się w małą cudzoziemkę. Przerazony, odskoczyli przeszedł parę kroków, zanim znowu do niej wrócił, jak drapieżnik powracający do padliny. Sięgnął ręką do twarzy Sofii, zniekształconej potrójną blizną, i poczuł się jeszcze bardziej zawstydzony, kiedy cofnęła się przed jego dotknięciem.

– Szukałbym cię – rzekł, pragnąc, by go zrozumiała. – VaKashani powiedzieli mi, że zabili was wszystkich!

Ujrzał w jej twarzy nienawiść i oskarżenie, bo tego się spodziewał. Wyczerpany wędrówką i tym wszystkim, co ją poprzedzało, oszołomiony własnymi błędami i pomyłkami w ocenie rzeczywistości, Jana'ata osunął się powoli, przenosząc stopniowo ciężar ze stóp na ogon, na kolana, uda i pośladki, zanim wreszcie upadł ciężko na ziemię, z głową między rękami, które zapadły się w leśną ściółkę. Jej milczący wyrzut – sama jej egzystencja – były dla niego niczym śmiertelny cios i gorączkowo pragnął szybkiej śmierci, kiedy nagle poczuł jej drobne ręce unoszące jego głowę.

– *Sipaj*, Supaari – powiedziała, klękając, aby móc spojrzeć mu w oczy – czyjeś serce bardzo się raduje na twój widok.

Nie rozumie mnie, pomyślał ponuro. Zapomniała własnego języka.

– Ktoś myślał, że umarłaś – wyszeptał. – Ktoś próbowałby cię odnaleźć.

Przetoczył się do pozycji siedzącej, z kolanami spoczywającymi ukośnie na ziemi, i rozejrzał wokoło: legowiska z wdzięcznie pochylonymi trzciniowymi dachami, trzeszczące i chwiejące się na wietrze; utkane z liści osłony od wiatru, ozdobione kwiatami i wstążkami; platformy do siedzenia z pięknymi poduszkami. Runowie, krzątający się wokół swoich spraw, nietknięci przez jana'atarlskie prawa czy zwyczaje. Poza tą okropną blizną mała cudzoziemka wydawała się cała i zdrowa.

– *Sipaj*, Sofia – odezwał się w końcu – ktoś ma wielki talent do pomyłek. Może byłoby lepiej, gdybyś była wolna od jego pomocy.

Nic nie odpowiedziała, więc starał się odczytać wyraz jej twarzy, wywnioskować coś z jej zapachu, z postawy. Strasznie to denerwujące: nie wiedzieć, co to wszystko oznacza. Teraz wiedział już, jak bardzo nie rozumiał Sandoza, i zastanawiał się, czy miał rację, kiedy sądził, że Ha'an go lubi.

– Myślę – powiedział powoli w języku *K'san*, bo w *ruanja* brakowało słów, których potrzebował, a sądził, że Sofia zapomniała *h'inglish* – myślę, że będziesz mnie nienawidzić, kiedy dowiesz się, co zrobiłem. Czy rozumiesz to słowo „nienawidzić”?

– Wybacz. – Krzyżując nogi, usiadła obok niego na niskiej trawie porastającej polankę. – Ktoś zapomniał twojego języka. Ktoś zna go tylko trochę. – Spozregła, jak bardzo jest zmęczony; jego długa, piękna twarz wydała się jej chuda, a jego kości bardziej wystające niż to zapamiętała. – *Sipaj*, Supaari, przeżyłeś taką długą drogę... – zaczęła, wypowiadając się w języku *ruanja* z taką swobodą, jakby mówiła nim przez całe życie. – Na pewno jesteś głodny. Czy...

Przerwał jej, przykładając miękką łapę do jej ust.

– Proszę – powiedział tonem, który Anne Edwards uznałaby za cierpki. – Proszę, nie częstuj mnie niczym. – Podniósł głowę gwałtownym ruchem. – Jak mógłbym jeść? – zapytał niebo w języku *K'san*. – Jak mógłbym jeść?

Z tłumu otaczającego kobiety VaKashani wystąpiła Djalao, usłyszawszy jego krzyk.

Przyniosła mocny kosz, pełen zapasów dla niego i dziecka, i rzuciła go na ziemię.

– Jedz tak jak zawsze – powiedziała cicho, ale z twardym naciskiem, jakiego Sofia nigdy nie słyszała w głosie Runów.

Między Djalao i Supaarim doszło do jakiegoś milczącego porozumienia, ale Sofia nie potrafiła odczytać niczego z języka ich ciał. Dzieci – goniące się po łące, podniecone widokiem przybyszów i jakąś odmianą – stawały się coraz bardziej głośnie i rozbrykane i zanim Sofia zdążyła krzyknąć ostrzegawczo, Puska, córka Kanchaya, skorzystała z tego, że jej ojciec pograżył się w rozmowie z innymi dorosłymi i skoczyła mu na plecy, aby natychmiast odbić się od nich i dać zapierającego dech w piersiach susa – prosto na kosz Supaariego, przewracając go i wysypując zawartość. Kanchay z niewzruszonym spokojem odłączył się od grupy dorosłych i szybko powkładał pakunki do kosza, zanim dzieci zdążyły poczuć zapach, a potem podszedł do nich z szeroko rozłożonymi ramionami, kołyszac się komicznie, i zagarnął je w rozradowaną, piszczącą grupkę.

Sofia uśmiechnęła się i rozejrzała za Izaakiem, sądząc, że odszedł gdzieś, korzystając z tego, że wszyscy są zajęci czym innym. Był jednak blisko, leżąc na plecach i obserwując skrzydlate nasiona *w'ralii* wirujące w powietrzu. Sofia westchnęła i znowu spojrzała na Supaariego siedzącego w oszołomieniu na trawie.

– *Sipaj*, Fia. Wszystko się zmieniło – powiedział. Zerknął na Djalao VaKashan i stulił uszy.

– Ktoś nie rozumiał! – krzyknął. – Ktoś wiedział, ale nie rozumiał. Wszystko się zmieniło.

– *Sipaj*, Supaari – powiedziała Djalao, stając nad nim. – Jedz. Wszystko jest takie, jakie było.

Nie co... kto jest w tym koszyku? pomyślała Sofia, do której dotarło, że Kanchay szybko powsadzał pakunki do środka, żeby dzieci nie zobaczyły, co w nich jest. Wzdrygnęła się, spojrzała na Supaariego i pomyślała: On je Runów. To *djanada*.

Długo trwało milczenie, zanim którekolwiek z nich było w stanie przemówić.

– *Sipaj*, Supaari, jesteśmy, czym jesteśmy – powiedziała w końcu Sofia z prostą ruńską logiką, jedyną rzeczą, którą potrafiła opanować.

Wstała i chwyciła Jana’atę za ramię, jakby go chciała podnieść na nogi. Popatrzył na nią rozkojarzonym wzrokiem.

– Chodź i jedz. Życie biegnie dalej – dodała, szarpiąc go lekko za ramię. – My-i-ty-także pomyślimy o tych sprawach później.

Supaari podniósł się, pragnąc jak najszybciej zabrać kosz i zjeść coś z dala od Runów, w miejscu, skąd wiatr nie będzie przynosił na polanę zapachu mięsa. Zawsze musiał mieć się na baczności; nawet uprzednio nigdy nie jadł mięsa w obecności Runów. Powarkując cicho, zmagął się z koszem, którego uchwyty przystosowane były do rąk Runów i poczuł się jeszcze gorzej, kiedy Kanchay wyrwał się z płataniny dzieci, żeby mu pomóc.

Kinsa – już nie dziecko, a jeszcze nie dorosła – przez cały czas siedziała przy Ha’anali, mrużąc łagodnie i nie bardzo wiedząc, gdzie jest jej miejsce. Kiedy spostrzegła, że Supaari odchodzi, postanowiła mu towarzyszyć, niosąc dziecko na plecach. Sofia, idąc obok niej, dotknęła palcem drobnych, zakrzywionych pazurków.

– Supaari! – krzyknęła. – Twoje? Ale jak? Ktoś myślał...

– To długa, pieśń – odpowiedział, kiedy Sofia wzięła Ha’analę w ramiona, a Kanchay spokojnie rozpakował porcję mięsa. – Kiedy ktoś przybył do Kashanu po buncie... – Urwał, spoglądając na jej pokiereszowaną twarz. – Rozumiesz słowo „bunt”? – Sofia spojrzała na niego znad dziecka spoczywającego najej podołku i potwierdzająco uniosła podbródek. – Va Kashani byli bardzo wzburzeni. Tyłu odeszło, a wśród nich większość Starszych. Nie było nikogo, kto by mi wszystko opowiedział dokładnie, wszędzie było *fierno*, nawet kilka dni po uboju. Wasz „prom” wciąż tam był, ale VaKashani mówili, że wszyscy cudzoziemcy odeszli. Ścierwo zostało zjedzone, tak powiedzieli.

Myślała o tym, jaka to radość mieć dziecko, które nie unika spojrzenia matki, ale słysząc to... Oczywiście, pomyślała. Mięso to mięso. Ale nawet po tym, co się stało z Anne i D.W., nigdy jej nie przyszło do głowy, że inni zostali... Och, Jimmy, pomyślała, czując gwałtowny ucisk w gardle.

Supaari odłożył mięso; usta miał wyschnięte.

– Później, kiedy było prawie ciemno, wystąpiła Askama. Była jeszcze dzieckiem, ale dobrze знаła cudzoziemców, więc ktoś słuchał jej słów. Użyła *h’inglish*, bo *ruanja* nie nadaje się do tego. Powiedziała: Milo nie umarł.

Zamilkł, widząc, że skóra Sofii nagle zmieniła barwę. Zobaczył drgający puls pod jej gardłem i dopiero teraz w pełni pojął, jak straszną tragedią była dla niej jego opowieść.

– Nie wiedziałas?

– Gdzie jest teraz Milo? O Boże. O Boże, jeśli on żyje, to zmieni a wszystko...

– Jego nie ma! – krzyknął Supaari. – Komuś jest przykro!

– Rozumiesz? Ktoś by ciebie szukał, ale VaKashani powiedzieli, że wy wszyscy odeszliście, a „odejść” może znaczyć dwie rzeczy! Askama powiedziała, że tylko Milo nie umarł, że zabrał go patrol Jana’atów. Nie mówiła nic o cudzoziemcu Marcu albo o tobie...

– Marc! – zawołała Sofia. – Marc też żyje?

– Nie! On odszedł! – Supaari zgiął się we dwoje z bezsilnej rozpacz. – Sandoz też odszedł, ale w inny sposób! – Czuł się bardzo zmęczony, ale mimo to wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem. – W *ruanja* nie można tego powiedzieć! Pamiętasz *h’inglish*? – zapytał z nadzieją, okręcając się w miejscu, aby na nią spojrzeć.

– Tak, pamiętam – odpowiedziała.

Dziecko zaczęło kwilić. Kinsa też stawała się coraz bardziej niespokojna z powodu intensywności emocji i chyba była bliska płaczu. Sofia podała dziecko Kanchayowi, wstała i zatrzymała Supaarię, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Tak, pamiętam angielski – powtórzyła. – Supaari, gdzie jest Marc? Gdzie jest teraz Sandoz? Czy są martwi, czy są gdzieś, gdzie możemy ich zobaczyć?

– Marc jest martwy. To moja wina. Nie chciałem go skrzywdzić! – Wyciągnął do niej rękę, ale była zbyt wstrząśnięta, żeby zrozumieć znaczenie tego gestu. – My nie wykrwawiamy się przy *hasta’akali*...

– Supaari, na miłość boską, gdzie jest Sandoz?

– Inni wysłali go do domu...

– Jacy inni? – krzyknęła, teraz już prawie oszalała z emocji. – Co to znaczy „do domu”? Do Kashanu?

– Nie, nie do Kashanu. Byli inni cudzoziemcy, którzy przybyli...

– Inni cudzoziemcy! Supaari, masz na myśli ludzi z innej doliny albo...

– Cudzoziemcy tacy jak ty. Bez ogonów. Z Ziemi.

Zachwiała się, ale zdążył ją schwycić, zanim upadła.

– Nic mi nie jest – wyszeptła, ale widział, że coś się z nią stało.

Usiadła na ziemi i zakryła twarz rękami. Kanchay oddał płaczące dziecko Kinsie, mówiąc jej, żeby wróciła na polanę i została tam z innymi. Podszedł i usiadł za Sofią, obejmując ją opiekuńczo, a ona oparła się o niego, dając mu znać, że docenia ten gest, ale przemówiła do Supaariego, siląc się na taki spokój, na jaki było ją stać.

– Opowiedz mi. Opowiedz mi wszystko.

Zajęło to dużo czasu i wymagało użycia trzech języków. Opowiedział jej, jak wytropił Sandoza i odkrył, że Marc też jeszcze żyje; opowiedział, jak przekupił dowódcę patrolu i o *hasta'akali*, i o tym, że pragnął tylko uchronić Marca i Sandoza przed procesem o podburzenie Runów do buntu.

– Widzisz? – zapytał, znowu wyciągając ręce, żeby jej pokazać cienkie, łykowate błony między palcami. – Dla nas to nic... To tylko osłabia ręce. Ale cudzoziemcy bardzo krwawią i Marc umarł.

Później był pobyt Sandoza w Gayjurze, był lęk Supaariego, że Emilia zniszczy samotność.

To Sofia potrafiła zrozumieć.

– Ale przyszli inni – przypomniała Supaariemu. – Gdzie teraz są ci cudzoziemcy? – A kiedy milczał, wychyliła się, schwyciła go mocno za ramię i krzyknęła: – Supaari, czy oni wszyscy odeszli? Och, mój Boże. Nie mów mi, że odeszli! Czy oni wszyscy wrócili na Ziemię?

– Nie wiem. – Odwrócił się, uszy mu opadły. – Najpierw wysłali Sandoza. Inni przez jakiś czas gościli u mnie w Gayjurze. – Znowu zamilkł.

– Odeszli, prawda? – powiedziała bezbarwnym głosem. – Umarli czy wrócili na Ziemię?

– Nie wiem! – powtórzył, ale wyczuła, że coś przed nią ukrywa. W końcu powiedział, siłąc się na spokój: – Nie wiem, ale myślę... Mogłem stworzyć rynek na... – Znowu zapadła długa cisza. – Sofia, co znaczy słowo „celibat”?

Wytrzeszczyła oczy, zdumiona, że pyta o coś takiego właśnie teraz. Ale Supaari nie zwykł robić uników... Jak mu to wyjaśnić?

– To znaczy powstrzymywać się od seksu.

Supaari popatrzył na nią bezradnie. Nie, angielski nie jest dobry. Spróbowała w *ruanja*.

– Żeby począć dziecko, potrzebna jest czynność... – Uniósł podbródek. – Wśród nas robi się to też dla przyjemności. Rozumiesz? Dla przyjemności. – Podbródek znowu się uniósł, ale tym razem wolniej, a Supaari wpatrywał się w nią z napięciem. – Jak ktoś żyje w celibacie, to nigdy... nigdy tego nie robi... ani po to, żeby począć dziecko, ani dla przyjemności. Rozumiesz?

– Nawet jeśli urodził się pierwszy albo drugi?

– Kolejność narodzin nie ma u nas żadnego znaczenia...

– A więc ten, kto jest w celibacie, to VaHapta, tak? Wyrzutek bez praw?

– Nie! *Sipaj*, Supaari, nawet dla tego kogoś celibat jest trudny do zrozumienia. – Przerwała, nie wiedząc, jak mu to wytłumaczyć, jakiego języka użyć, ile mu powiedzieć. – Tacy ludzie jak Sandoz, Marc, Di odłączają się od innych. Postanawiają powstrzymać się od tej czynności. Nie robią tego ani dla dzieci, ani dla przyjemności. Żyją w celibacie, bo chcą lepiej służyć Bogu.

– Kim są „bóg”?

Znalazła schronienie w gramatyce.

– Kim jest, a nie kim są. Jest tylko jeden Bóg.

Powiedziała to bez zastanowienia, ale zanim spróbowała wyjaśnić mu, co to jest monoteizm, Supaari przerwał jej gwałtownie.

– Sandoz powiedział, że jest w celibacie... powiedział, że nie bierze sobie żony, bo chce służyć wszystkim! – zawołał Jana’ata z oburzeniem, zrywając się na nogi i odchodząc od niej.

Obrócił się w miejscu i spojrzał na nią gniewnie, z uszami postawionymi do przodu, gotów do ataku. – Powiedział, że jest w celibacie. Ci, co są w celibacie, służą bogu. Bóg to wielu.

Q.E.D.2, pomyślała, wzdychając. Gdzie są jezuici, kiedy ich potrzeba?

– Bóg jest jeden. Ma wiele dzieci. Wszyscy jesteście jego dziećmi. Sandoz służył Bogu, służąc jego dzieciom. – Supaari nagle usiadł i zaczął sobie pocierać głowę. – *Sipaj*, Supaari – powiedziała ze współczuciem, wyciągając rękę, by dotknąć jego wydłużonej, wilczej twarzy. – Boli cię głowa?

2 *quod erat demonstrandum* – co było do dowiedzenia: formuła kończąca przeprowadzony dowód.

– Tak. To nie ma sensu! – Umilkł, zastanowił się i zmienił język, wracając do *h'inglish*. – Może to ma sens dla ciebie. Ja nie rozumiem.

Sofia uśmiechnęła się nieznacznie.

– Anne mówiła, że to początek mądrości. – Spojrzał na nią z otwartymi ustami. – Mądrość: naprawdę wiedzieć – wyjaśniła. – Anne mówiła, że mądrość zaczyna się, kiedy odkrywasz różnicę między „To nie ma sensu” a „Nie rozumiem”.

– Więc muszę być bardzo mądrość. Niczego nie rozumiem.

Powiedział to z zamkniętymi oczami. Kiedy je otworzył, wyglądał, jakby mu się zbierało na wymioty, ale zebrał się w garść i zapytał ją w tym okropnym wolapiku, którym musieli się porozumiewać:

– *Sipaj*, Fia. Co w *h'inglish* znaczy „służyć”? Czy służba może oznaczać takie zachowanie... żeby mieć przyjemność?

– Może – odpowiedziała po dłuższej chwili. – Ale nie dla Marca, Di czy Milo. Dla nich służyć oznacza pomagać wszystkim. Dawać jedzenie głodnym, dawać schronienie... Zaraz... służyć wszystkim? O Boże. Stworzyłeś rynek? Supaari, co się stało z Emiliem?

W różowym świetle, które rozlało się po drugim zachodzie słońca, Sofia siedziała i patrzyła na śpiącego Supaariego, zbyt wyczerpana, by czuć coś poza rezygnacją. Potrzebowała kilku godzin, by dowiedzieć się od niego wszystkiego, i pod koniec zdawał się już rozumieć jej pogardę.

– Byłem taki dumny ze swojej przebiegłości! Ogłupiło mnie pragnienie dzieci, ale myślałem: Ten Supaari jest naprawdę wielki, taki mądry, taki sprytny! Powinienem rozumieć! – krzyknął, wyczerpany i rozgorączkowany. – To byli Jana'atowie. Tacy jak ja. Zrobiłem Sandozowi wielką krzywdę. Może inni cudzoziemcy też byli skrzywdzeni w ten sposób. A teraz ty będziesz mnie nienawidzić.

Chcieliśmy dobrze, myślała, patrząc na niebo pokryte kumulami o barwach ametystu i indygo. Nikt z nas nie był rozmyślnie zły. Staraliśmy się jak najlepiej. A mimo to, jakiego narobiliśmy bałaganu...

Siedząc oparta plecami o Kanchaya, wyciągnęła rękę, by pogłaskać kasztanowe kędziory swojego śpiącego synka i pomyślała o D.W. Yarbrough, ojcu przełożonym jezuickiej misji na Rakhat, nie żyjącym już od prawie pięciu lat, pogrzebanym koło Kashanu razem z Anne Edwards, jego towarzyszką w nagłej i niespodziewanej śmierci.

Sofia Mendes i D.W. Yarbrough pracowali razem przez długie miesiące przygotowań do jezuickiej misji na planetę Śpiewaków. Wielu, którzy obserwowali rozwój i pogłębianie się ich partnerstwa, uważało to za potwierdzenie maksymy głoszącej, że przeciwieństwa się przyciągają, bo D.W. Yarbrough, ze swoim rozbieżnym zezem, meandrowatym nosem i dwoma rzędami koślawych zębów był przeraźliwie brzydki, podczas gdy klasyczna uroda Sofii Mendes zapierała dech w piersiach. Tylko niektórzy rozumieli, że przyjaźń, jaką się nawzajem obdarzyli, była czymś w rodzaju sanktuarium dla każdego z nich i tylko oni cieszyli się ze spotkania tych dwóch dusz.

Niewiele było potrzeba czasu, by sefardyjska Żydówka i ksiądz jezuita wypracowali sobie wspólny rytm pracy. Stało się ich zwyczajem, by kończyć każdy długi i ciężki dzień kompilacji, analiz, wnioskowań i decyzji kolacją i paroma szklankami piwa Lone Star w cichym barze niedaleko rezydencji prowincjała w Nowym Orleanie. Czasami rozmawiali do późnej nocy, często na temat religii. Z początku Sofia była nastawiona wojowniczo, wciąż odczuwając uzasadnioną historycznie wrogość do katolicyzmu, ale wprawiało ją w zakłopotanie to, że – jak się okazało – tak mało wiedziała o judaizmie. Yarbrough był świadom, jak raptownie i nieszczęśliwie zakończyło się jej dzieciństwo, a ponieważ od dawna żywił podziw i szacunek dla judaizmu, stał się jej przewodnikiem, prowokując ją do przemyśleń i pomagając w ponownym odkryciu tradycji, w której się urodziła.

– Żydzi mają w sobie jakąś wspaniałą zawziętość, która bardzo mi się podoba – powiedział jej pewnego wieczoru Teksańczyk podczas dyskusji na temat orędownictwa Matki Bożej i świętych obcowania, a także barokowej hierarchii księży, prałatów, biskupów, arcybiskupów, kardynałów i papieża, która dzieli katolików od Boga, co Sofia uważała za niesłuszne. – Ale wierz mi, większość ludzi wcale nie lubi zmierzać prosto do celu, naprawdę. Na wszystko spoglądają z niedowierzaniem, do wszystkiego wolą dochodzić okrężną drogą. Czują się lepiej, jeśli mają do dyspozycji drogę służbową – dodał jako stary dowódca eskadry piechoty morskiej, którego lata spędzone w zakonie jezuitów nie odczyły skłonności do posługiwania się terminologią wojskową. – Masz problem, zwracasz się do sierżanta. Sierżant może z tym iść do kapitana, którego zna. Większość facetów w wojsku potrzebuje sporo czasu, żeby tak się wkurzyć, by zapukać do drzwi gabinetu generała, nawet jeśli jest najprzyjemniejszym gościem na świecie. Katolicyzm umożliwia to zwykłym śmiertelnikom. – Uśmiechnął się, robiąc straszne zęza i szczerząc krzywe zęby; najbrzydszy i najwspanialszy człowiek, jakiego w życiu spotkała. – A dzieci Abrahama? Patrzą Bogu prosto w twarz. Chwalą się. Kłóć! Targują. Uskarżają. Trzeba mieć jaja i głowę na karku, żeby tak się odnosić do Wszechmocnego.

Polubiła go wtedy jeszcze bardziej, czując, że to najwyższa pochwała, jaką mógł wygłosić pod adresem jej i jej ziomków.

W czasie tych wieczornych rozmów doszli do wielu wspólnych wniosków. Uznali, na przykład, że nie ma czegoś takiego, jak eks-żyd, eks-katolik czy eks-komandos.

– A dlaczego tak jest? – zapytał ją pewnego wieczoru, po stwierdzeniu, że eks-Teksańczyk też jest trudny do przyjęcia.

D.W. uważał, że jest bardzo ważne, by dotrzeć do rekruta, kiedy jest jeszcze młody i wrażliwy. Duma z własnej tradycji jest też tego częścią, dopowiedziała Sofia. Ale najważniejsze, odrzekł D.W., jest to, że wszystkie te grupy opierają swoje filozofie na tej samej zasadzie.

– Gadanie nic nie kosztuje. My wierzymy w działanie – mówił. – O sprawiedliwość trzeba walczyć. Głodnych trzeba nakarmić. Plażę trzeba zdobyć. Żaden z nas nie siedzi na tyłku, czekając na jakiś cud.

Choć ciągle kładł nacisk na działanie, D.W. Yarbrough był jednak człowiekiem na tyle wykształconym i uczciwym, żeby dostrzegać niebezpieczeństwo kulturowych i duchowych szkód, jakie mogą wyrządzić misjonarze, i wyłożył jej ścisłe zasady jezuickiego zaangażowania w misję na Rakhat.

– Nie będziemy im wygłaszać kazań. Będziemy ich słuchać. Oni też są dziećmi Boga i tym razem zamierzamy się dowiedzieć, czego mogą nas nauczyć, zanim zabierzemy się do odwzajemniania tej łaski.

Ze wszystkich członków załogi *Stelli Maris* Sofia Mendes najbardziej cieszyła się z takiej wolnej od uprzedzeń pokory i z wyrzeczenia się prozelityzmu. Dlatego uznała za gorzki paradoks, że tego popołudnia właśnie ona, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, ma mówić o Bogu mieszkańcowi planety Rakhat.

– Kim są „bóg”? – zapytał Supaari.

Nie wiem, pomyślała.

Nawet D.W. nie był skłonny do stwierdzeń wyrażających podstawy wiary. Tolerował sceptycyzm i wątpliwości, był oswojony z dwuznacznościami i niejasnościami.

– Może Bóg jest tylko najpotężniejszą poetycką ideą, o jakiej my, ludzie, jesteśmy w stanie pomyśleć – powiedział pewnego wieczoru po kilku drinkach. – Może Bóg nie jest realny poza naszymi umysłami, może istnieje tylko w paradoksie Doskonałego Współczucia i Doskonałej Sprawiedliwości. A może – odchylił się na krześle i obdarzył ją krzywym, diabolicznym uśmiechem – może Bóg jest dokładnie taki, jakiego zachwala Tora. Może, razem ze wszystkimi innymi prawdami i całym swym pięknem, judaizm przechowuje dla każdego nowego pokolenia ludzi realność Boga Abrahama, Izaaka, Jakuba, Mojżesza Boga Jezusa.

Kapryśny, tajemniczy Bóg, jak o Nim mówił D.W.

– Bóg z pokrętnymi, nieodgadzionymi zasadami, Bóg, który tak często ma nas dość i każe nam pójść precz! Ale skory do wybaczenia, Sofio, i tak szczodroblivy! – powiedział D.W. Głos mu zmiękł, a oczy zapłonęły. – Zawsze tak zakochany w ludzkości. Zawsze wyczekujący, żebyśmy odwzajemnili Jego namiętność. Zawsze, z pokolenia na pokolenie. Ach, Sofio, kochanie! W najlepszych dniach wierzę w Niego z całego serca.

– A w najgorszych? – zapytała go tamtego wieczoru.

– Nawet jeśli jest tylko poezją, to jest to poezja, którą można żyć, poezja, za którą można umrzeć – odpowiedział ze spokojnym przekonaniem. Przez chwilę siedział zgarbiony, z opuszczoną głową, rozmyślając. – Może poezja jest jedynym sposobem, żeby zbliżyć się do prawdy Boga... A kiedy zawodzi metafora, myślimy, że to Bóg nas zawiódł! – zawołał, szczerząc zęby. – Tak, to jest pomysł! To nowy teologiczny labirynt!

D.W. Yarbrough często podkreślał, że Sofia jest dziedziczką starożytnej mądrości, a wywodzące się z niej prawo i etyka zostały wielokrotnie przetestowane w setkach kultur i we wszystkich klimatach moralnych. Jest to najmądrzejszy, najbardziej logiczny w dziejach świata kodeks postępowania. Pragnęła opowiedzieć Supaariemu o mądrości Hillela, który na sto lat przed Jezusem nauczał: „Nie czyn innym tego, czego sam nienawidzisz”. Jeśli nie możesz żyć tak, jak muszą żyć Runowie, przestań ich hodować, przestań ich wyszukiwać, przestań ich zjadać!

Znajdź jakiś inny sposób życia. Miłuj miłosierdzie, nauczali prorocy. Czyn sprawiedliwość.

Tyle było do przekazania! A jednak historia jej własnej planety to dzieje nieustannych wojen, a tak często, tak tragicznie często korzenie tych wojen sięgały wierzeń religijnych, uprzedzeń, zapiekłej pewności siebie. Pragnęła zapytać D.W., czy jeśli mamy nauczyć się czegoś od VaRakhati, to nie byłoby słuszne, żeby i oni czegoś się od nas nauczyli?

Nie wiem, co robić, myślała. Nawet prawa fizyki rozmieniają się na prawdopodobieństwa.

Skąd mam wiedzieć, co robić?

„Bóg, który dał temu początek, doprowadzi to do doskonałości”, powtarzał Marc Robichaux.

A Emilio Sandoz powiedział jej kiedyś: „Jesteśmy tu, ponieważ Bóg nas tutaj przywiódł, krok po kroku”. Nic nie dzieje się przypadkowo, nauczali żydowscy mędrzy. Może jestem tutaj, pomyślała, żeby zaszczyć tę mądrość na Rakhacie? Może właśnie dlatego ja jedyna przetrwałam?...

A może postradałam rozum, pomyślała po chwili, przerażona, że mogła coś takiego pomyśleć.

Był to bardzo ciężki dzień. Nie śmiała myśleć o tym, co by się mogło stać, gdyby tylko Supaari zrozumiał, że ona wciąż żyje. Ciesz się z tego, co masz, powiedziała sobie, układając się obok Kanchaya, tak żeby widzieć dziwną twarz swojego śpiącego synka, blisko Supaariego i jego maleńkiej, cudownej Ha'anali, blisko Sichu-Lana, Tinbara i wszystkich innych, którzy ją przygarnęli.

O świcie powróciły do niej słowa Supaariego. „Inni...” Usiadła, oddychając nierówno, i wpatrzyła się w ciemność. Inni. Przybyli inni ludzie.

– *Sipaj*, Fia! Co robisz? – zapytał Kanchay zaspanym głosem. On też usiadł, kiedy Sofia uklękła i zaczęła ręką dotykać skraju chaty. – Czego szukasz?

– Komputera – odpowiedziała i syknęła, bo zacięła się w rękę nożem, który ktoś pozostawił pomiędzy półmiskami.

– Ach, Fia! Przestań! – krzyknął Kanchay ze wstrętem, kiedy zaklęła i zaczęła ssać słoną ranę na swojej dłoni.

Inni też głośno wyrażali swoje obrzydzenie, zbudzeni nagłym uderzeniem zapachu krwi, który wyrwał ich ze snu tak, jak okrzyk może przebudzić ludzi, lecz Sofia nadal przeszukiwała skraj chaty, szperając wśród naczyni, zapasów i narzędzi.

– Emilio został wysłany na Ziemię na *Stelli Maris* – mruknęła do siebie. – To dlatego sygnał zamarł trzy lata temu.

Jej dłoń natrafiła na krawędź laptopa; porwała go i przycisnęła do piersi, a potem przeczołgała się przez zbitą masę ciał i wydostała na zewnątrz, gdzie niebo było już w połowie złote, a w połowie akwamarynowe. Mieli macierzysty pojazd i prom. Supaari nie był pewny, czy tylko sam Sandoz opuścił Rakhat. Ten drugi statek mógł wciąż być na orbicie. Ich prom mógł wciąż być na planecie. Jest paliwo.

– Jeśli jeszcze nie odjechali... – powiedziała na głos. – O Boże, och... błagam...

Sieć satelitarna, ustanowiona osiem lat temu przez załogę *Stelli Maris*, nadal funkcjonowała. Pracując gorączkowo, przeprogramowała radio, aby przeszukiwało systematycznie szerokie pasmo na orbicie Rakhatu, w nadziei natrafienia na jakiś aktywny nośnik informacji. Poszukiwanie nie trwało długo: 9,735 gigaherców.

– Tak! – krzyknęła, płacząc i śmiejąc się, lecz natychmiast umilkła, ignorując Runów, którzy teraz tłoczyli się wokół niej, a ich pytania wydawały się jej tak bezsensowne, nic nie znaczące jak deszcz.

Nie było odpowiedzi na jej sygnał wywoławczy, ale знаła standardowe procedury nawigacyjne, specjalne interfejsy ustanowione przez Agencję Kosmiczną Narodów Zjednoczonych, kiedy wokół Ziemi zaczęło latać tyle statków i stacji, że groziło to katastrofą.

Jak nawigator naziemny przejmujący frachtowiec, przejęła kontrolę nad systemem komputerowym *Magellana* i włamała się do jego rejestrów. Nie było zapisu powrotu załogi na statek. Nie było żadnych transmisji od około trzech lat. Ich prom musi być gdzieś na Rakhacie, może w pobliżu Kashanu.

Zaczęła nadawać powtarzające się wezwanie poprzez łącza *Magellana*, adresując je do wszystkich węzłów umieszczonych na lądzie i prosząc respondentów, by odpowiedzieli poprzez powrotną ścieżkę *Magellana*. Nasłuchiwała z bijącym sercem, oczekując czyjejś odpowiedzi, licząc najakąkolwiek wskazówkę, że ona i Izaak nie są jedynymi ludzkimi istotami na Rakhacie.

Było już dobrze po drugim wschodzie, kiedy oderwała się od komputera, usiadła i zaczęła myśleć. Brak odpowiedzi nie dowodził, że ci inni nie żyją. Mogło ich nie być przy żadnym z węzłów. Supaari uważał, że wciąż mogą żyć, ale znajdują się w niewoli, jak niegdyś Emilio.

Sześć miesięcy, postanowiła, rozpalona intensywnością pracy, jaką wykonała. Tyle jest im winna. Nie porzuci swoich braci bez poważnej próby odnalezienia ich.

Sześć miesięcy.

Tylko sześć miesięcy. Potem, na Boga, o którego poezji już zapomniała, ukradnie ich prom i statek macierzysty. Potem, na Boga, Sofia Mendes wróci ze swoim synem do domu.

15

NEAPOL

lipiec 2061

Nie było formalnych oświadczeń. Siedząc na olbrzymim głazie nad plażą, który stał się jego sanktuarium w okresie, kiedy nie mógł odnaleźć nadziei w kościołach, Emilio obserwował Celestinę bawiącą się na plaży i gawędził z Giną, gdy nagle, po chwili wymownego milczenia, zapytał:

– Masz coś przeciwko ślubowi cywilnemu?

– Byłoby to na pewno miłsze niż obrzucanie się obelgami – odpowiedziała Gina z powagą i dała mu się objąć, co miało oznaczać zgodę. – Kiedy?

– O ile wiem, w końcu sierpnia jedziesz z Celestiną i rodzicami w góry, tak? A więc w pierwszy weekend września.

Gina skinęła głową.

– Może po południu? – zaproponowała po pięciu minutach, uśmiechając się w stronę morza.

– Bo w ten sposób, jeśli małżeństwo okaże się nieudane, nie będziemy marnować całego dnia.

– O dziesiątej. O dziesiątej rano. Trzeciego września, w sobotę po twoim powrocie.

Środki umożliwiające takie rozwiązanie spoczywały od dawna niby skarb w pudle listów zgromadzonych przez Johanna Voelkera w Rzymie i dostarczonych Sandozowi przez Johna Candottiego.

Przesyłki adresowane do Sandoza były rutynowo sprawdzane na obecność bomb lub bakterii, ale listy mogły zawierać słowa raniące bardziej niż bomby. Emilio wiedział, że jest wobec tego bezbronny, i nie zaglądał do poczty, ale Gina go kochała i była przekonana, że wszyscy inni muszą podzielać jej opinię o nim. Pewnego dnia na początku lipca, kiedy Emilio pracował w końcu pokoju, a Celestiną bawiła się w dom z Elizabeth i wypchanym psem Franco Grossim, Gina usiadła na świeżo pozamiatanej podłodze, wysypała zawartość pudła i podzieliła listy na cztery kupki: nienawistne, miłe, śmieszne i interesujące. Kiedy skończyła, zabrała Celestinę i poszła z nią do kuchni, gdzie dopilnowała, by brat Cosimo spalił „nienawistne” listy.

Cosimo należał do tych, którzy pochwalali ich związek, obdarował je teraz trzema lodami orzechowymi i talerzem resztek sałaty dla Elizabeth.

„Miłe” listy pochodziły głównie od dawnych studentów Emilia; najdawniejsi mieli po piętnaście lat, kiedy uczył ich początków łaciny, a teraz byli panami w średnim wieku, czule wspominającymi szkolne lata. Niektórzy – prawnicy, adwokaci – oferowali swoje usługi, proponując wytoczyć proces Konsorcjum Kontakt o oszczerstwo i zniesławienie. Gina podziwiała ich lojalność, ale Emilio wciąż uważał się za winnego pewnych zarzutów, które postawiono mu zaocznie. Odłożyła więc te listy na bok, mając nadzieję, że może kiedyś się przydadzą.

Wśród „śmiesznych” było kilka listów od kobiet, których samokontrola nad popędem reprodukcyjnym była słabsza od znajomości podstaw szantażu; przypisywały one ojcostwo swoich dzieci księdzu, którego nawet nie było na planecie Ziemi w czasie ich poczęcia. Emilio przeczytał jeden z nich, ale nie był tak rozbawiony jego treścią, jak Gina, więc cały stosik został skazany na spalenie.

Pozostały więc „interesujące”.

Większość z nich, jak sądziła, można było od razu odrzucić: prośby o wywiad, umowy o książkę i tak dalej. Był jednak list od firmy prawniczej z Cleveland w stanie Ohio, a koperta zawierała również kopię odręcznej noty z datą 19 lipca 2021 roku, podpisanej przez Anne Edwards – lekarzkę, która wraz ze swoim mężem, inżynierem George’em Edwardsem, była członkiem pierwszej misji jezuickiej na Rakhat. Emilio niechętnie mówił o Anne, więc Gina zastanawiała się, czy rozdrapywać tę ranę. Uznała jednak, że list dotyczy ważnej sprawy prawniczej, wręczyła go zatem Sandozowi, który przeczytał go i pobladał.

– *Caro*, czy to coś złego? O co chodzi?

– Nie wiem, co z tym zrobić – odpowiedział, kręcąc głową i rzucając papiery na biurko.

Wstał i odszedł parę kroków, wyraźnie wyprowadzony z równowagi.

– Nie. Nie chcę tego.

– Czego? Co tam jest? – zapytała Celestina, siedząca na podłodze. Przestraszona, spoglądała to na matkę, to na Emilia, a potem się rozplakała. – Mamo, czy to jeszcze jeden dokument rozwodowy?

– O mój Boże... – jęknął Emilio i podszedł do dziecka, aby przy nim uklęknąć i wziąć w ramiona. – Nie, nie, *cara mia* – To nic takiego, Celestino! Nic złego. – Spojrzał na Ginę, która wzruszyła bezradnie ramionami. – To coś o pieniądzech. Nic ważnego, *cara...* To tylko pieniądze. Może to coś dobrego? Muszę to przemyśleć. Nie jestem przyzwyczajony do tego, że inni ludzie o mnie myślą. Może to coś dobrego.

Testament Anne był krótki; napisała go w pewien słoneczny dzień, w trakcie przygotowań do wyprawy, wspominając o swojej śmiertelności zdawkowo i teoretycznie. „Nie można kupić szczęścia, moi kochani. Zdrowia też nie. Ale trochę forsy nigdy nie zaszkodzi. Bawcie się dobrze”. Ona i George ustanowili fundusze powiernicze dla każdego z członków jezuickiej misji, a jak informowała firma prawnicza, po czterdziestu latach wartość imiennych depozytów znacznie wzrosła. Poza tym Emilio Sandoz, Sofia Mendes i James Quinn dziedziczyli cały majątek osobisty Edwardsów, więc należała mu się jedna trzecia. Warunki szczegółowe testamentu głosiły, że jeśli Sandoz będzie nadal członkiem Towarzystwa Jezusowego, powinien założyć fundację wspomagającą zagraniczne dzieła miłosierdzia w zakresie edukacji i medycyny. Jeśli jednak z jakiegoś powodu porzuci kapłaństwo, może zrobić z pieniędzmi to, co uzna za stosowne.

Przerażony tym spadkiem, nie mając zielonego pojęcia o jego egzekucji, długo nie mógł zasnąć. Rano skontaktował się jednak z bratem Edwardem Behrem, który przed wstąpieniem do zakonu był maklerem giełdowym, i zasięgnął jego porady, stopniowo przyzwyczajając się, że jest teraz dość bogaty. Decyzję podjął po tygodniu od czasu pierwszego przeczytania testamentu Anne. W Internecie znalazł listę antykwariatów w rejonie Rzymu i Neapolu i po zapoznaniu się z ich ofertami zamówił jeden z pokazywanych w katalogu antycznych mebli. Zrobiwszy to, położył się z powrotem do łóżka i zasnął natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki, co wzięł za dobry omen.

Vincenzo Giuliani, odwiedzwszy pewnego dnia swoje neapolitańskie biuro i wszedłszy do gabinetu, zdumiał się na widok wspaniałego siedemnastowiecznego stolika, którego ozdobiony bogatą intarsją blat lśnił w blasku słońca wlewającego się przez wysokie, dzielone kamiennymi kolumnkami okna. Stolik nie był dokładną kopią tego, który Emilio Sandoz roztrzaskał jedenaście miesięcy temu, ale prawie mu dorównywał. Leżała na nim koperta, w której znajdował się dokument potwierdzający przekazanie Towarzystwu Jezusowemu zapierającej dech w piersiach sumy, pochodzącej z prywatnego konta E.J. Sandoza. Wszystko to spowodowało, że ojciec generał pozwolił sobie na długie i wymyślne przekleństwo.

Po spłaceniu długów, dysponując środkami pozwalającymi na dostatnie życie, wynajęcie osobistych ochroniarzy i utrzymanie rodziny, Emilio Sandoz stał się niezależnym, czterdziestosiedmioletnim mężczyzną, który mógł bez niepokoju myśleć o swojej przyszłości.

Widma przeszły w stan spoczynku, poczucie winy coraz bardziej blakło, Bóg został odrzucony.

Jeszcze nie jest za późno, aby żyć, pomyślał. A więc postanowione: ślub cywilny 3 września o dziesiątej rano, w obecności kilku przyjaciół.

Szczegółowe raporty o tym, co Gina Giuliani i Emilio Sandoz mieli prawo uważać za swoją czysto osobistą sprawę, napłynęły latem do trzech wiekowych instytucji, docierając z różną szybkością do generała Towarzystwa Jezusowego, papieża Kościoła rzymskokatolickiego i neapolitańskiego *capo di tutti capi*, wzbudzając w każdym z nich zainteresowanie z różnych, choć zazębiających się przyczyn. W obliczu tych nowych, niezbyt pomyślnych okoliczności, podjęli wspólną decyzję: należy przyspieszyć przygotowania do kolejnej wyprawy na Rakhat.

Pojazd przeznaczony do tej wyprawy był już w pełni przystosowany do podróży międzygwiazdnej. Carlo Giuliani nadał mu nazwę *Giordano Bruno*, na pamiątkę florenckiego księdza spalonego na stosie w 1600 roku za głoszenie poglądu, że gwiazdy są podobne do Słońca, a wokół nich mogą krążyć planety, na których może istnieć życie. *Giordano Bruno* został wysoce zautomatyzowany; jego załoga była mała, ale kompetentna i doświadczona, a szkolenie należących do niej jezuitów dobiegało końca. Na pokład statku, znajdującego się na orbicie Ziemi, przewożono już prowiant, towary wymienne, zaopatrzenie medyczne, urządzenia komunikacyjne i środki niezbędne do przeżycia. Programy nawigacyjne zostały zalogowane; start przewidziano na połowę września 2061 roku.

Nie było potrzeby przynaglania Sandoza. Już i tak szkoleni przez niego jezuiti padali ze zmęczenia, bo założył sobie, że ukończy analizę *K'sanu* do końca sierpnia, i zabrał się do realizacji projektu ze zdumiewającą energią.

Niecałe dwa lata wcześniej, złożony ciężką chorobą i przykuty do łóżka, Emilio Sandoz powitał Johna Candottiego pytaniem: „Angielski?” Teraz był ciągle w ruchu, krążąc tam i z powrotem po bibliotece, wyjaśniając, uzasadniając, dowodząc, wymachując rękami, przerzucając się z łatwością z *K'sanu* do łaciny, z *ruanja* do angielskiego, aby nagle zatrzymać się, zamilknąć i pogrążyć w zamyśleniu. Ciemne włosy opadały mu na oczy; podrzucał je gwałtownym ruchem głowy, zastanawiając się przez chwilę nad jakąś zagadką, a potem znowu zaczynał krążyć po sali, powracając do wykładu.

Gina, paliwo tej energii, przychodziła codziennie o ósmej wieczorem, żeby go stamtąd wyciągnąć, a jego uczniowie cieszyli się z jej przyjścia tak samo jak Emilio, choć z innych powodów. Gdyby nie jej interwencje, Sandoz męczyłby ich parę godzin dłużej, a pod koniec dnia wszyscy byli już tak wygłodniali, że z utęsknieniem nasłuchiwali szczebiotu Celestiny i jej drobnych kroczków na długim korytarzu wiodącym od drzwi frontowych do biblioteki.

– Chryste! Spójrzcie na nich. Gabriel i Lucyfer w towarzystwie małego cherubina – mruknął pewnego wieczoru Sean Fein, patrząc, jak odchodzą. Odwrócił się od okna z kwaśną miną; jego twarz była zbiorem krótkich poziomych linii: wąskie, pozbawione warg usta, głęboko osadzone oczy, zadarty nos. – Lepsze dla księdza kurewstwo niż stan małżeński.

– Myślę, że kiedy święty Tomasz More to pisał, nie miał na względzie sytuacji Emilia – zauważył sucho Vincenzo Giuliani, wchodząc niespodziewanie do biblioteki. – Proszę siadać – dodał, gdy wszyscy poderwali się na nogi. – Stare zakony zachowały śluby czystości, ale księża diecezjalni mogą już się żenić – przypomniał Seanowi. – Czy ojciec potępia decyzję Emilia?

– Księża parafialni mogą się żenić, bo jedyną alternatywą było kapłaństwo kobiet – odrzekł cynicznie Sean. – Nie bardzo mi to wygląda na afirmację miłości rodzinnej.

Giuliani zyskał nieco na czasie, przechodząc przez bibliotekę, biorąc do ręki raporty, uśmiechając się do Johna Candottiego i witając skinieniem głowy Daniela Żelaznego Konia i Josebę Urizarbarrenę. Sam nie był zachwycony tą sytuacją, ale uznał, że już najwyższy czas, aby stawić jej czoło.

– Już za mojej młodości więcej ludzi opuszczało Towarzystwo, niż w nim pozostawało – powiedział beztroskim tonem, siadając tyłem do okna, tak aby dobrze widzieć ich twarze, a samemu pozostawać w cieniu. – To najlepsze rozwiązanie dla wszystkich, jeśli pozostają tylko ci, którzy są naprawdę powołani do takiego życia. Ale kiedyś, dawno temu, traktowaliśmy odejście jak samobójstwo, jak śmierć w rodzinie, i to haniebną, zwłaszcza kiedy facet odchodził, żeby się ożenić. Zrywano trwające od wielu lat przyjaźnie. Często towarzyszyło temu poczucie zdrady i porzucenia i to po obu stronach.

Umilkł i rozejrzał się wokół, widząc, że młodszy mężczyźni poruszyli się nerwowo na krzesłach.

– Zastanawiam się, co wy myślicie, patrząc na Emilia i Ginę? – zapytał, unosząc brwi z umiarkowanym zainteresowaniem.

Ojciec generał patrzył na Daniela Żelaznego Konia, kiedy to mówił, ale to Sean Fein odrzucił głowę do tyłu i przymknął powieki z miną ucznia dobrze przygotowanego do lekcji.

– Zachowanie celibatu wymaga silnego poczucia jego wartości jako środka czyniącego nas nieustannie gotowymi do pełnienia Bożej woli – wyrecytował monotonnym głosem – a także pragnienia podtrzymania starożytnej i godnej czci tradycji i niewzruszonej nadziei na czerpanie siły ze źródła łaski Bożej, która nas czyni zdolnymi do miłowania obecności Boga w innych ludziach, bez żadnego wyjątku. Jeśli tego brakuje, celibat jest bezcelowym zaparciem się samego siebie. – Wypowiedziawszy tę formułę, Sean spojrzął po obecnych z teatralną melancholią. – Niemniej jednak bezcelowe zaparcie się samego siebie dawało połowę radości i dumy z bycia katolikiem i jeśli chodzi o mnie, żał mi, że zostało odrzucone.

Giuliani westchnął. Nadszedł czas, by zdemaskować chemika.

– Panowie, wiem z wiarygodnego źródła, że ojciec Fein jest w stanie opisać związek wodorowy jako, cytuję: „ramiona Chrystusa ukrzyżowanego, rozpostarte szeroko i obejmujące całe życie”. Prowincjał ojca Seana zapewnił mnie, że jeśli się wie o jego poetyckiej duszy, nieco łatwiej znieść bzdury, jakie opowiada. – Czerpiąc estetyczną przyjemność z widoku rumieńca, jaki oblał twarz Seana, kontrastujący wdzięcznie z jego niebieskimi oczami, Giuliani wrócił niezwłocznie do tematu rozmowy. – Wiem, że nie potępiacie Emilia Sandoza i nie zazdrościcie mu jego szczęścia. A jednak ta sytuacja musi stanowić dla was pewne wyzwanie i nie ma w tym nic dziwnego. Kto z nas ma rację? Czy to on odrzucił swą duszę, czy ja odrzuciłem życie? A jeśli to ja się mylę?

To Joseba Urizarbarrena nie zawahał się użyć najmocniejszych słów.

– Jak można – zapytał spokojnie – iść dalej samotnie przez życie, widząc radość tego człowieka?

John Candotti opuścił oczy, a Sean chrząknął i spojrzał w bok, ale ojciec generał nadal wpatrywał się w przełożonego załogi.

– Chodzi o naprawdę wielkie rzeczy: o życie, potomstwo, wieczność – powiedział Giuliani, patrząc na Daniela Żelaznego Konia. – I każdy z was musi znaleźć własne odpowiedzi.

Przez długi czas panowała cisza, której nie zakłócał żaden odgłos z głębi domu. A potem rozległ się natarczywy pisk drewnianych nóg krzesła ślizgających się po kamiennej posadzce.

Danny powstał i przez chwilę patrzył na Vincenza Giulianiego swoimi małymi, czarnymi oczami osadzonymi w szerokiej podziobanej twarzy.

– Muszę zaczerpnąć powietrza – powiedział, odrzucając stylus, i wyszedł.

– Panowie wybaczą – rzekł spokojnie Giuliani i wyszedł za nim z biblioteki.

Danny czekał na niego w ogrodzie: wcielone sumienie, masywna obecność w gęstniejącym mroku.

– Wybacz mi – powiedział ojciec generał łagodnym tonem, kiedy stało się oczywiste, że Żelazny Koń nie przemówi pierwszy. – Pewno mną gardzisz.

– Możemy od tego zacząć.

Giuliani usiadł na jednej z ławek i spojrzał w górę, rozpoznając kilka jasnych konstelacji na ciemniejącym niebie.

– Święty Ignacy powiedział kiedyś, że największą pociechę daje kontemplacja rozgwieżdżonego nieba. Od czasu Galileusza przestrzeń kosmiczna stała się domeną teleskopów i modlitwy... Oczywiście Loyola i Galileusz nie mieli do czynienia ze skażeniem nieba przez światła Neapolu. Na Rakhacie musi być niesamowite niebo. Może ci Jana’atowie mają rację, zakazując sztucznego przedłużania światła dnia.

– Spojrzał na Danny’ego. – Chcesz mnie zapytać, w jaki sposób, uwzględniając radość tego człowieka, możemy nadal planować tę misję tak, jak ją zaplanowaliśmy?

– To nieuczciwe – rzekł Danny dobitnie. – To zarozumiałe. To okrutne.

– Ojciec Święty...

– Nie chowaj się pod cudzą spódniczką – warknął Danny.

– Jesteś pedantem – zauważył Giuliani. – Jest pewne wyjście, ojcze Żelazny Koniu...

– I co, oddać Towarzystwo w ręce takiego jak ty?

– Ach. Takiego jak ja – powiedział ojciec generał, prawie się uśmiechając.

Wieczór był dziwnie cichy. W dzieciństwie Vince Giuliani lubił rechotanie żab wypełniające letni zmierzch chóralną pieśnią bez słów. Tu, w Italii, słyhać było tylko suche ćwierkanie cykad, a wieczór przez to wydawał się mniej radosny.

– Jesteś młody, ojczy Żelazny Koniu, i masz wady młodego człowieka. Pewność siebie. Krótkowzroczność. Pogardę dla pragmatyzmu. – Odchylił się do tyłu, złożywszy ręce na podolku.

– Bardzo bym chciał żyć na tyle długo, żeby zobaczyć, co z ciebie wyrośnie.

– To się da załatwić. Może się zamienimy? Spędź rok w podróży na Rakhat. Kiedy wrócisz, będę miał osiemdziesiąt lat.

– Takie rozwiązywanie ma pewien urok, zapewniam cię. Niestety, nie wchodzi w rachubę. Każdy z nas stoi samotnie przed Bogiem i nie możemy się zamienić życiem. Miałbym wywiesić jedną z tych wszechobecnych włoskich tabliczek? – zapytał, unosząc brwi. – *Chiuso per restauro*: zamknięte z powodu remontu, póki nie wróci Daniel Żelazny Koń.

– Pokładam nadzieję w Chrystusie, że twoje zadanie jest cięższe, niż się wydaje, staruszk – wycedził Daniel Żelazny Koń przez zęby, zanim odwrócił się na pięcie, by odejść. – Bo jeśli nie, nie masz żadnego usprawiedliwienia.

– Tak. Jest ciężkie. Bardzo ciężkie – wyrzucił z siebie Giuliani takim tonem, że Danny zatrzymał się i ponownie odwrócił do niego. – Mogę się wypowiedzieć, ojczy Żelazny Koniu? Ja wątpię. Na stare lata zwątpiłem. – Wstał i zaczął się przechadzać.

– Obawiam się, że byłem głupcem, żyjąc tak, jak żyłem, i wierząc tak, jak wierzyłem przez te wszystkie lata. Obawiam się, że błędnie wszystko pojmowałem. A wiesz dlaczego? Bo Emilio Sandoz nie jest ateistą. Danny, mamy wśród siebie jednego z nas, którego życie zostało dotknięte przez Boga tak, jak nigdy nie zostało dotknięte moje, a który wierzy, że jego dusza została spustoszona przez duchowy gwałt... że jego ofiara została wyszydzona, jego oddanie odrzucone, jego miłość zbezczeszczona.

Zatrzymał się przed młodym księdzem, żeby odpocząć, i powiedział bardzo cicho:

– Zazdrościłem mu kiedyś, Danny. Emilio Sandoz był wszystkim, czym ja chciałem być jako kapłan, a potem... to! Próbowałem sobie wyobrazić, jak ja bym się czuł, gdybym był Sandozem i przeżył to, co on. – Spojrzał w ciemność i rzekł: – Danny, nie wiem, co począć z tym wszystkim, z tym, co jego spotkało... a przecież ja musiałem tylko tego wysłuchać!

I znowu zaczął chodzić tam i z powrotem – zewnętrzna oznaka wewnętrznej walki, która nie pozwalała mu się modlić, która podminowała jego wiarę, która pozbawiła go spokoju ducha.

– W ciemności duszy zastanawiałem się, czy Bóg raduje się, widząc ludzką rozpacz, tak jak podglądaczka cieszy widok cudzego seksu. To by wyjaśniało wiele z historii ludzkości! Moja wiara w znaczenie życia Jezusa i w chrześcijańską doktrynę została wstrząśnięta aż do rdzenia – powiedział, a jego głos zdradził łyzy, które teraz zabłysły w świetle księżycyca. – Danny, jeśli mam zachować wiarę w dobroć i miłość Boga, który nie jest arbitralny, kapryśny i złośliwy, muszę uwierzyć, że to wszystko służy jakiemś wyższemu celowi. I muszę uwierzyć, że wszystko, co mogę zrobić dla Emilia Sandoza, to umożliwić mu odkrycie tego celu.

Giuliani zatrzymał się i w gęstniejącym mroku poszukał wzrokiem twarzy drugiego człowieka, aby znaleźć w niej zrozumienie, i poznał, że został wysłuchany, że jego słowa do niego dotarły.

– To jest rozumowanie *post hoc* – rzekł Danny, odwracając się od niego. – Zjadanie własnego gówna. Sam powziąłeś decyzję i próbujesz usprawiedliwić to, co nie daje się usprawiedliwić.

– A co na pokutę? – zapytał Giuliani z ponurym rozbawieniem, które wyśmiewało ich obu.

– Żyj, stary – odpowiedział Danny. – Żyj z tym, co zrobiłeś.

– Nawet Judasz odegrał jakąś rolę w naszym zbawieniu – rzekł Giuliani prawie do siebie, ale po chwili przemówił z mocą, która należała do jego obowiązków: – Postanowiłem, ojcze Żelazny Koni, że Towarzystwo Jezusowe znowu będzie służyło papieżowi, zgodnie z wolą jego założyciela i Naszego Pana. Dramat odstępstwa dobiega końca. Ponownie zaakceptujemy władzę papieża, który może nas posłać na każdą misję, uznaną przez niego za dobrą dla zbawienia dusz. Ponownie „ze wszystkich sił musimy się starać o nabycie cnoty, którą nazywamy posłuszeństwem, najpierw wobec papieża, a w następnej kolejności wobec przełożonego zakonu”...

– We wszystkim, co nie jest grzechem! – zawołał Danny.

– Tak. Dokładnie: we wszystkim, co nie jest grzechem. Tak więc nie mogę i nie będę wydawać ci polecenia, abyś zrobił coś, co uznasz za niemożliwe do przyjęcia, Danny. Twoja dusza należy do ciebie... ale cudze dusze też ryzykują! Działaj w zgodzie z własnym sumieniem.

Danny już odchodził, Ginac w mroku.

– Ale pamiętaj o stawce i ryzyku! – zawołał za nim ojciec generał.

Parę chwil później Daniel Żelazny Koń stwierdził, że patrzy w jasno oświetlone okna sypialni. Zawahał się, nawet do połowy odwrócił, ale w końcu podszedł do drzwi garażu i zapukał. Na schodach rozległy się lekkie, szybkie kroki, a potem usłyszał metaliczny szczeł haczyka. W otwartych drzwiach pojawił się Sandoz i przez jakiś czas obaj stali w milczeniu, opanowując swoje reakcje; przed chwilą obaj pomyśleli o tym, że po drugiej stronie drzwi może być Gina.

– Ojciec Żelazny Koniu – odezwał się w końcu Sandoz – wygląda ojciec jak człowiek, który pragnie coś wyznać. – Danny zamrugał, uderzony tymi słowami. – Dość długo byłem księdzem, Danny. Rozpoznaję oznaki. Wchodź na górę.

Sandoz kładł się już do łóżka, ale założył z powrotem protezy i sięgnął do kredensu po dwie szklanki i butelkę Ronrico, ostrożnie nalewając sobie i Danny’emu. Jego wspomagana bioinżynierią sprawność ruchowa miała w sobie dziwny wdzięk. Usiadł przy stole naprzeciw Żelaznego Konia i pochylił głowę, gotów do wysłuchania.

– Przyszedłem, żeby cię przeprosić – powiedział Danny – za to świństwo, które ci zrobiłem zeszłej zimy... kiedy powiedziałem, że przywlokłeś to coś, na co umarł Yarbrough. Wiedziałem, że to nie to. Zrobiłem to, żeby zobaczyć, jak zareagujesz. To było nieuczciwe, zarozumiałe i okrutne. Wstydzę się tego.

Sandoz milczał przez chwilę.

– Dziękuję ci – powiedział w końcu. – Przyjmuję twoje przeprosiny. – Zwarł palce wokół szklanki i wstrząsnął zawartością. – Niełatwo ci to było wyznać – zauważył, wypijając łyk. – Ale myślę, że cel uświęca środki. Pomogłeś mi wziąć się w garść. Czuję się o wiele lepiej.

– Wierzysz w to? – zapytał Danny z dziwnym przejęciem.

– Że cel uświęca środki?

– Czasami. Oczywiście to zależy. Jak ważny jest cel? Jak przykre są środki?

Żelazny Koń obracał w dłoniach szklankę z niewypitym trunkiem; jego łokcie prawie sięgały rogów stołu.

– Powiedz mi, Sandoz – zapytał po chwili – czy jest coś, co mogłoby cię przekonać do powrotu z nami na Rakhat?

Emilio chrząknął i uniósł szklankę, upijając spory łyk.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, żebym zdołał tak się upić, by uznać to za dobry pomysł – mruknął – ale możemy spróbować.

– Giuliani i papież wierzą, że Bóg chce, abyś tam wrócił. D.W. Yarbrough powiedział, że zostałeś poślubiony Bogu i...

– Nietzsche byłby zdania, że jestem wdowcem – przerwał mu szorstko Emilio. – Ja uważam, że jestem rozwodnikiem. To nie było przyjacielskie rozstanie.

– Sandoz – powiedział powoli Danny – nawet Jezus myślał, że Bóg Go opuścił.

Emilio opadł na krzesło do tyłu i zmierzył go pogardliwym spojrzeniem boksera stojącego przed nierównym sobie przeciwnikiem. „Nie próbuj ze mną takich sztuczek”, mówiło to spojrzenie, ale Żelazny Koń nie opuścił oczu. Sandoz wzruszył ramionami: ostrzegłem go.

– U Jezusa to trwało tylko trzy godziny – powiedział spokojnie, a Danny zamrugał. – Skończyłem z Bogiem, Danny. Nie chcę mieć z Nim do czynienia. Jeśli piekło to nieobecność Boga, to będę rad znaleźć się w piekle.

– Córka mojego brata Waltera utonęła – rzekł Danny, biorąc szklanę z rumem i wyciągając ją przed siebie na długość ręki. – Miała cztery lata. Jakies sześć miesięcy po pogrzebie Walter wystąpił o rozwód. To nie była wina mojej bratowej, ale Walt musiał to na kogoś zwalić.

Następne dziesięć lat spędził, próbując zapać się na śmierć i w końcu mu się to udało. Pewnej nocy skasował swój samochód. Musisz być bardzo samotny – dodał ze szczerem współczuciem.

– Byłem – powiedział Sandoz. – Ale już nie jestem.

– Zmień zdanie – błagał Danny, wychylony do przodu. – Proszę cię. Leć z nami.

Emilio parsknął zduszonym śmiechem.

– Danny, ja się żenię za dwadzieścia pięć dni! – Spojrzał na zegarek.

– I trzynaście godzin. I jedenaście minut. Może to wreszcie do was dotrze, co? – Uśmiech spelzł z jego twarzy, kiedy patrzył na Żelaznego Konia; widok tego wielkiego, nie poddającego się emocjom mężczyzny, teraz bliskiego płaczu, był dziwnie wzruszający. – Dlaczego tak ci na tym zależy? Boisz się? Danny, ty i reszta macie już tyle za sobą! Wiecie o wiele więcej od nas, kiedy tam wylądowaliśmy. Tak, będziecie popełniać błędy, ale przynajmniej nie te, które my popełniliśmy. – Żelazny Koń spojrział w bok, oczy mu lśniły łzami. – Danny, jeśli jest coś innego...

– Tak. Nie... nie wiem – wydusił wreszcie z siebie Danny. – Ja... potrzebuję trochę czasu, żeby to przemyśleć... Ale... Po prostu nie ufaj żadnemu z Giulianich.

Emilio zmarszczył brwi, zaskoczony. Danny sprawiał wrażenie, jakby zdradzał jakąś tajemnicę, a przecież każdy wiedział, że rodzina ojca generała należy do kamorry. Nie wiedząc, co o tym myśleć, i szukając jakiegoś wyjścia z tej sytuacji, Emilio postanowił po prostu zmienić temat.

– Posłuchaj, John pytał mnie o pewien ruński syntaks... Zrobiłem mu parę notatek, ale wiem, że pracowałem nad czymś takim tuż przed... przed masakrą. Powiedziałem Giulianiemu, żeby mi dał wszystko, co przesłaliśmy do systemu, ale nie mogę znaleźć tego pliku. Czy istnieje możliwość, że jakaś część moich plików jest przechowywana oddzielnie?

Myśli Danny'ego krążyły gdzie indziej, ale zmusił się do zastanowienia nad tym, co Sandoz powiedział.

– To było na końcu wszystkich transmisji?

– Tak. To była ostatnia rzecz, jaką przesłałem na statek.

Danny wzruszył ramionami.

– Może to wciąż czeka w ogonku na wysłanie.

– Co? Nadal jest na statku? Dlaczego?

– Dane były przekazywane w pakietach. System komputerowy na pokładzie był tak zaprogramowany, by przechowywać wasze raporty i wysyłać je w grupach. Gdyby się zdarzyło, że słońca Rakhatu albo nasze Słońce były w złej pozycji, system mógłby zawiesić przekazywanie do czasu, gdy transmisje nie będą zakłócane przez interferencję gwiazdną.

– To dla mnie coś nowego. Zawsze myślałem, że wszystko wychodziło zaraz po naszym zalogowaniu – powiedział Sandoz, zaskoczony. Nie bardzo go obchodziły te wszystkie szczegóły techniczne. – Więc jest możliwe, że to siedziało w pamięci przez rok, aż do czasu, gdy załoga *Magellana* odesłała mnie na Ziemię? Czy mogła być taka rozpiętość czasowa między pakietami?

– To możliwe. Sam nie wiem zbyt wiele o mechanice międzygwiazdnej. Były cztery gwiazdy, które system musiał brać pod uwagę. Zaraz... ludzie z *Magellana* weszli na pokład *Stelli Maris*, prawda? Może kiedy dobrali się do pamięci systemu pokładowego, wyłączyli kod dostępu. – Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym bardziej wydawało mu się to możliwe. – Ostatni pakiet prawdopodobnie wciąż jest w pamięci systemu. Mogę go ściągnąć, jeśli chcesz.

– Mogę poczekać do rana.

– Nie. To rzeczywiście ciekawe. – odpowiedział Danny, ucieszony, że może zrobić coś konkretnego. – Zajmie mi zaledwie parę minut. Nie wiem, dlaczego ktoś wcześniej tego nie sprawdził.

Podeszli razem do ściany urządzeń fotonicznych i Żelazny Koń zalogował się do zasobów pamięci *Stelli Maris*.

– Zobacz. Jest. Wciąż zakodowany i skompresowany.

Zresetował system, żeby zdekompresować dane. Czekali.

– Uauu. Dużo tego – zauważył Sandoz, wpatrując się w ekran. – Jest tu trochę nowych raportów Marca. Joseba będzie zachwycony. Tak! Jest i mój. Wiedziałem, że już to zrobiłem. – Stał przez chwilę w milczeniu, patrząc na ekran ponad ramieniem Danny’ego. – A to coś dla ciebie – powiedział, kiedy pojawił się nowy plik. – Sofia pracowała nad sieciami handlowymi... Zaraz. Poczekaj, poczekaj, poczekaj. Wróć! Możesz to zatrzymać?

– Nie. Najpierw musi się wszystko zdekompresować... No, już.

Sandoz odwrócił się, oddychał ciężko.

– Nie dla Towarzystwa. Nie dla Kościoła – wyszeptał. – Nie. Nie. Nie. Widziałem ją martwą.

Danny obrócił się razem z fotelem.

– O czym ty właściwie mówisz, mistrzu?

– Zjeżdżaj – warknął nagle Sandoz.

Danny wstał z fotela, a Sandoz zasiadł przed ekranem. Usadowił się wygodnie i odetchnął głęboko, jakby się spodziewał ciosu, a potem wyraźnie podał hasło identyfikacyjne, ściągając ostatnią grupę plików czekających w kolejce. Zapytał o datę. Były zalogowane wiele miesięcy po jego ostatniej transmisji. Teraz od ich zalogowania minęło na Rakhacie jakieś osiemnaście lat.

– Sandoz, co jest? Co zobaczyłeś? Nie rozumiem... – Przerażony błądzącością Emilia, Danny zawisł nad jego ramieniem i spojrzął na wyświetlany plik. – Och, Boże... – wyszeptał.

W ciągu ostatnich miesięcy, studiując raporty i naukowe doniesienia wysłane na Ziemię przez członków załogi *Magellana*, Daniel Żelazny Koń miał czasami dziwne poczucie nieokreślonej winy, kiedy otwierał pliki zawierające portrety analityka AI Sofii Mendes: zdigitalizowane i przekazane przez radio akwarele malowane przez ojca Marca Robichaux, przyrodnika pierwszej wyprawy. Pierwsza zrobiona była podczas ślubu Sofii z astronomem Jimmym Quinnem; inne zostały namalowane później, kiedy ciąża zmiękczyła klasyczne linie jej twarzy. Kiedy Danny ujrzał te portrety po raz pierwszy, pomyślał, że Robichaux musiał ją idealizować, bo na ostatniej akwareli Sofia Mendes była piękna jak Madonna z bizantyjskiego Zwiastowania. Musiał to namalować na kilka dni przed jej śmiercią podczas masakry koło Kashanu. Kiedy jednak dla porównania wyświetlił parę zarchiwizowanych zdjęć Sofii, pozostało mu tylko podziwiać naukową dokładność Robichaux. Niezwykła kobieta... Pod każdym względem.

– Och, mój Boże – powtórzył Daniel Żelazny Koń, wciąż wpatrując się w ekran.

– Nie wrócę tam nawet dla niej – wyszeptał Sandoz, dygocąc.

16

TRUCHA SAI

2047 czasu ziemskiego

– Supaari, czy ty rozumiesz, o co prosisz? – zapytała Sofia. – Nie mogę ci obiecać, że kiedykolwiek wrócisz do domu...

– Do domu – powtórzył Izaak.

– Nie będę chciał wracać! Nie ma powodu, bym wracał!

– Jestem tu niczym. Jestem mniej niż niczym...

– Niż niczym – powtórzył Izaak.

– A więc pomyśl o Ha’anali! – zawołała Sofia. Dziecko, o którym wspomniała, spało w jej ramionach: futrzana kulka pełna uspiętej energii. – Jaką może mieć przyszłość wśród mojego ludu?

– Ród mojego ludu – powtórzył Izaak.

Sofia spojrzała w dół; rzadki błąd w wymowie zwrócił jej uwagę na syna. Był czas, kiedy dźwięk głosu Izaaka napełniał ją radością i poczuciem ulgi; teraz wiedziała już, że to tylko echolalia, bezwolne, monotonne papugowanie – pozbawione sensu i bardzo denerwujące.

– Ja myślę o Ha’anali! – krzyknął Supaari. – Tylko o niej myślę!

– Niej myślę.

Supaari podniósł się gwałtownie z liściastego posłania i odszedł, aby zaraz powrócić i ponownie stanąć przed Sofią. Jego ciężki ogon zataczał szerokie kręgi, zmiatając śmieci na ziemi. Zdawał się robić to całkowicie nieświadomie, ale Sofia widziała to już dość często w ciągu ostatnich paru miesięcy, by mieć pewność, że ów gest jest symbolem oznaczania swojego terytorium. W tym sporze zamierzał trwać przy swoim.

– Nikt nie poślubi dziecka, którego ojcem jest VaHapta, Sofio. A jeśli zostaniemy tutaj, wśród Runów, Ha’anała będzie jak martwa. Ja już jestem jak martwy... gorzej niż martwy! Wszyscy czworo jesteśmy uwięzieni wśród tych, którzy nie są naszym ludem...

Urwał i wciągnął nosem powietrze, aby rozpoznać zapach.

– Naszym ludem – powtórzył Izaak.

Sofia wpatrywała się w Supaariego, który węszył w skupieniu. Nasłuchiwali, spodziewając się głosów Runów budzących się z południowej sjesty, ale poza normalnymi odgłosami lasu nic nie zakłócało ciszy. Umajoną chatę, w której Sofia chroniła się na kilka dni w miesiącu, kiedy jej zapach stawał się przykry dla Runów, otaczała intensywna woń płodności. Czasami ona i Supaari przychodzili tu, aby po prostu wyrwać się z tłumu Runów; lecz nawet tu rozmawiali ze sobą po angielsku, podobnie jak jej rodzice używali w domu hebrajskiego, kiedy była dzieckiem i mieszkali w Stambule.

Dzisiaj towarzyszył im tylko Izaak. Po raz pierwszy posunął się aż tak daleko w wyrażaniu pragnienia bycia blisko innych – owej skwapliwości, z jaką kroczył za matką i jej przyjacielem, nigdy na nich nie patrząc, ale reagując automatycznie na zmianę kierunku lub prędkości, zatrzymując się, kiedy oni przystawali, siedząc spokojnie i czekając, aż pójdą dalej. Sprawiał wrażenie, jakby nie był świadom ich istnienia, ale Sofia była coraz bardziej przekonana, że Izaak o wiele więcej chłonie z otaczającego go świata, niż im przekazuje. Bardzo ją to denerwowało.

Jakby po prostu nie chciał mówić, jakby nie chciał sprawić jej tej satysfakcji – tylko dlatego, że tak bardzo tego pragnęła...

– Sandoz mówił mi, że macie jakieś głupie mięso na Ziemi – powiedział Supaari, przerywając jej myśli. – Mięso nie-ludzi...

(– Nie-ludzi.)

– Supaari, tu jest bardzo dużo mięsa! Możesz jeść *piyanoty*. Albo *cranile*...

(– *Cranile*.)

– A jak je złapie? – zapytał Supaari chłodnym tonem. – *Piyanoty* są za szybkie, a *cranile* za duże... przewrócą i zmiażdżą łowcę, który spróbuje na nie zapolować! Zawsze jedliśmy tylko Runów, których można złapać... – Jego chwytna stopa błyskawicznie zamknęła się na kostce nogi Izaaka. – Widzisz? – warknął gniewnie. – Jesteśmy stworzeni do chwytania tylko tak powolnej zdobyczy jak to dziecko! Gdyby Runowie nie przychodzili do nas, żeby dać się zarznąć, mieszkańcy miast wymarliby z głodu w ciągu jednej pory roku. Dlatego musimy ich hodować. Potrzebujemy ich...

– Supaari, puść Izaaka.

Dziecko, które zwykle było spokojne, teraz zamarło w bezruchu, ale nie krzyknęło ani nie zapłakało ze strachu. Supaari natychmiast puścił nogę chłopca i zwiesił uszy w geście przeprosin. Izaak nie zareagował, ale Sofia wypuściła powietrze z płuc i spojrzała na stojącego nad nią Jana'atę.

– Wróć tu i usiądź – powiedziała spokojnie, a Supaari zrobił to posłusznie. – Są inne sposoby polowania! Runowie mogą ci wykopać doły i przykryć je gałęziami. Mogą ci zrobić pułapki.

– Pułapki – powtórzył Izaak głosem równie bezbarwnym jak uprzednio.

– Zabierz nas ze sobą na Ziemię, a moja córka i ja będziemy tam jeść bez wstydu – nalegał Supaari. Klęcząc, wpatrywał się w dziecko spoczywające w jej ramionach, lecz po chwili podniósł wzrok. – Sofia, ja już nigdy nie wrócę do swoich. Nigdy nie będę taki, jak byłem. Ale nie myślę, żebym mógł pozostać wśród Runów – rzekł z żalosną rozpaczą. – Oni są dobrzy. Są uczciwi i prawi, ale...

– Ale.

Tym razem oboje zwrócili uwagę na Izaaka, a słowo, które powtórzył, zawisło w powietrzu wraz ze wszystkim, co oznaczało, ale co zostało niewypowiedziane.

Wyciągnęła rękę i pogładziła dłonią wilczy policzek.

– Wiem, Supaari. Rozumiem.

(– Rozumiem.)

– Myślę, że mógłbym żyć wśród twojego ludu. Ha’an. Ty. Twój Dżimi. Dżordż. Byliście moimi przyjaciółmi i myślę, że mógłbym... – Znowu urwał, zbierając w sobie odwagę, odrzucając głowę do tyłu, aby spojrzeć na nią z dumą. – Chciałbym też odnaleźć Sandoza i nadstawić mu swój kark. – Chciała coś powiedzieć, ale on już mówił dalej, tak że nawet Izaak nie zdążył powtórzyć jego ostatniego słowa. – Jeśli mnie nie zabije, to Ha’ana i ja będziemy żyć z wami i uczyć się waszych pieśni.

– Uczyć się waszych pieśni – powiedział Izaak.

I zerknął na dorosłych: krótki przeblysłk bezpośredniej uwagi, tak ulotny, że tego nie zauważyli.

– Dokąd ty pójdziesz, tam i ja pójde, a twoje ścieżki będą moimi ścieżkami – zamruczała Sofia po hebrajsku.

Mamo, pomyślała, wiem, że on ma ogon, ale myślę, że chce się nawrócić.

Jak mu odmówić? Przez sześć nie kończących się, jałowych miesięcy wyczekiwała, by jej radio złapało odpowiedź nieznanymi istot ludzkich. A tu, tak blisko, że czuła jej ciepło, była istota, którą znała i której los bardzo ją obchodził, istota, którą zaczynała rozumieć. Mniej jej obca niż własny syn, bardziej do niej podobna, niż mogłaby sobie wyobrazić parę lat temu, tak jak ona zawstydzona odkryciem, że jej wdzięczność wobec Runów nie okazała się aż tak wielka i przemożna, by zdławić dręczącą potrzebę pomyślenia czegoś choć raz bez tej nie kończącej się gadaniny, zrobienia choć jednego gestu bez konieczności wysłuchania tasiemcowych komentarzy, pójścia na samotną przechadzkę bez wzbudzenia w Runach łagodnego, ale natarczywego lęku, który towarzyszył każdemu czasowemu wyłączeniu się z grupy.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Jeśli naprawdę uważasz, że to najlepsze dla Ha’anali.

Jeśli tego pragniesz...

(– Tego pragniesz.)

– Tak, pragnę tego.

(– Pragnę tego.)

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, każde pogrążone w swoich myślach.

– Powinniśmy wrócić do wioski – powiedziała Sofia po pewnym czasie. – Wkrótce będzie czerwone światło.

(– Czerwone światło. Supaari śpiewa.)

Prawie jej to umknęło, tak już była uodporniona na bezbarwny głos syna.

Supaari śpiewa.

Musiała to sobie powtórzyć w myśli, żeby się upewnić. O Boże, pomyślała. Izaak powiedział: Supaari śpiewa.

Nie chwyciła syna w objęcia, nie krzyknęła, nie zaszlochała, nawet się nie poruszyła, tylko spojrzała na Supaarię, tak samo zaskoczonego jak ona i tak samo jak ona nieruchomego. Zbyt często widziała, jak Izaak zamyka się w sobie – w jakiś tajemniczy sposób staje się Nie Tutaj, kiedy ktoś go dotknął.

– Tak, Izaaku – powiedziała zwykłym głosem, jakby to było normalne dziecko, które zrobiło jakąś uwagę i czeka na potwierdzenie matki. – Supaari śpiewa o drugim zachodzie słońca. Dla Ha’anali.

– Supaari śpiewa o drugim zachodzie słońca. – Czekali, wstrzymując oddech. – Dla Izaaka.

Supaari zamrugał i otworzył usta, tak ludzki w tej reakcji, że Sofia prawie się roześmiała.

Trzymając jego córkę w ramionach, uniosła podbródek: dla Izaaka, Supaari.

Wstał i zbliżył się do Izaaka, obserwując gładkie, drobne mięśnie, wypatrując ledwo dostrzegalnego drgnięcia poprzedzającego ucieczkę. Jakiś instynkt, który dopiero teraz się w nim obudził, powiedział mu, że nie powinien stawać twarzą w twarz z Izaakiem, więc ukląkł przy jego boku i zaśpiewał, cicho i poza zasięgiem jego wzroku.

Sofia wstrzymała oddech, kiedy popłynęły pierwsze tony wieczornej pieśni, łącząc się z leśnym chórem krzyków i pohukiwań, terkotów i pogwizdywań. Słuchała, jak do basu Supaariego – melodyjnego i płynnego – dołączył się sopran dziecka, w idealnej tonacji, bezbłędnie wymawiając słowa, w cudownej harmonii. Wpatrując się swoim jedynym, krótkowzrocznym i pełnym łez okiem w twarz syna, rozjaśnioną w różowawym świetle, przemienioną, ożywioną – po raz pierwszy naprawdę żywą. I dziękowała Bogu swoich przodków za to, że obdarował ich życiem, że wziął ich w opiekę, że pozwolił im dożyć tej nowej pory roku.

Kiedy śpiew dobiegł końca, odetchnęła głęboko powietrzem, które jakby pachniało muzyką.

Spokojnym głosem, z twarzą wilgotną po jednej stronie, Sofia Mendes zapytała swojego syna:

– Izaaku, chciałbyś się nauczyć innej pieśni?

Nie spojrział na nią, ale stanął niepewnie, chwiejąc się lekko, jak wtedy gdy dopiero uczył się chodzić, a potem podszedł do niej. Odwróciwszy głowę na bok, uniósł rączkę i dotknął jej ust jednym palcem, delikatnie, jakby to było skrzydło ważki. Tak, proszę, mówił w jedyny sposób, w jaki potrafił. Innej pieśni.

– Oto, co nasz lud śpiewa o wschodzie i zachodzie słońca – powiedziała mu i zaintonowała starożytne, modlitewne zawołanie: – *Sz'ma Israel! Adonaj Elohejnu, Adonaj Echad.* Słuchaj Izraelu! Pan, nasz Bóg, jest Panem Jedynym.

Kiedy skończyła, mały paluszek ponownie musnął jej wargi, więc zaśpiewała jeszcze raz i tym razem do jej głosu dołączył głos jej syna: bezbłędnie powtarzający słowa, w idealnej harmonii z jej głosem.

Wydychała nos w garść zmiętych liści i otarła policzek ramieniem okrytym jedną z koszulek Jimmy'ego. Przez chwilę miętosiła palcami miękką, znoszoną tkaninę, wdzięczna za ten kontakt z ojcem Izaaka. Potem wstała.

– Wracamy do domu – powiedziała.

Już dawno zlokalizowała prom, posługując się orbitującym transponderem *Magellana*, aby uaktywnić jego sygnał i skoordynować go z podprogramami ziemskich satelitów, które przekazały jego współrzędne do jej laptopa. Porzucony wahadłowiec znajdował się zaledwie parę kilometrów od Kashanu. Penetrując pokładowy system, stwierdziła, że pojazd jest odpowiednio zamknięty, ma dość paliwa, by wrócić na orbitę, i wydaje się gotów do startu.

Teraz uaktywniła nadajnik *Magellana*, zresetowała jego zegar i datownik, ustawiła transponder na nieustające powtarzanie i nagrała nową wiadomość:

„Tu Sofia Mendes z załogi *Stelli Maris*. Jest 5 marca 2047 czasu ziemskiego. Przez sto sześćdziesiąt pięć dni czasu lokalnego czekałam na odpowiedź na moje poprzednie wywołanie od jakiegokolwiek istoty ludzkiej na Rakhacie. Obecnie zamierzam opuścić tę planetę po upływie piętnastu dni czasu lokalnego, posługując się promem *Magellan*, aby dostać się na statek macierzysty. Jeśli nie zdołacie dotrzeć do promu w tym czasie, zostaniecie uwięzieni na Rakhacie. Przykro mi, ale nie mogę dłużej czekać”.

Nie wiedziała, jak Kanchay i inni zareagują na wiadomość, że zamierza opuścić Rakhat, ale kiedy im o tym powiedziała, z ulgą stwierdziła, że Runowie nie bardzo się zmartwili.

– Ktoś się zastanawiał, kiedy wrócisz do domu – powiedział Kanchay. – Musisz zawieźć towary swoim ludziom, bo pomyślą, że twoja podróż zakończyła się fiaskiem.

W ten sposób upewniła się, że Runowie od początku uważali, że celem jezuickiej misji na Rakhat jest wyłącznie handel. Kiedy dowiedzieli się, że Supaari postanowił jej towarzyszyć, pomyśleli, że to rozsądny pomysł, aby prowadzić interesy w obcym kraju, gdzie nie będzie na nim ciężki wyrok śmierci.

A więc jezuicka misja po to przybyła na Rakhat... Sofia pogodziła się z tym; w końcu była kobietą praktyczną, córką ekonomisty. Handel był chyba najstarszym motywem wszelkich wypraw odkrywczych i teraz uznała, że to motyw całkowicie wystarczający. Jej marzenia o wyższych celach okazały się tym, czym naprawdę były: reakcją na osamotnienie, pragnieniem odegrania jakiejś ważnej roli. Bałamutne to, ale ułatwiające przystosowanie, pomyślała. Sposób na opanowanie strachu przed śmiercią na obcej planecie, w samotności i zapomnieniu.

Praca analityczna i organizacyjna przy wróciła jej dawno utraconą energię. Z zapalem oddała się pieczołowitym przygotowaniom do podróży. W konsultacji z Supaarim przygotowała listę lekkich, nie zabierających wiele miejsca towarów i próbek, które uznała za posiadające największą wartość materialną i naukową na Ziemi: kamienie szlachetne o biologicznym pochodzeniu, podobnie jak ziemskie perły i bursztyn, ale występujące tylko na Rakhacie; małe i zwykłe, ale po mistrzowsku wykonane miseczki i talerze z muszli i drewna; próbki gleb, nasiona, bulwy. Tekstylia o oszałamiająco skomplikowanych splotach i ornamentach; wspaniałą, polichromową ceramikę. Ekstrakt roślinny, który przyspieszał gojenie się ran i powracanie do zdrowia, co wypróbowała na sobie. Ozdoby. Próbki perfum. Próbki tkanin ubraniowych w opakowaniach próżniowych, które wydawały się odporne na każdą pogodę.

Wskazówki i formuły dla chemików, rysunki ilustrujące różne procesy technologiczne, które uznała za unikatowe dla Rakhatu. To wystarczyło, by zapewnić sobie niezależność finansową – oczywiście, jeśli wówczas, gdy powróci, będą jeszcze na Ziemi obowiązywać prawa patentowe i umowy licencyjne.

Ona i Supaari będą również mogli sprzedawać dobra intelektualne – wiedzę o kulturze Runów i Jana'atów, znajomość ich języków, jedyną w swoim rodzaju pomoc w interpretacji niezliczonej liczby gigabitów danych geologicznych, meteorologicznych i ekologicznych, gromadzonych nieustannie i automatycznie przez *Magellana* i przesyłanych na Ziemię. Sofia nie była jednak naiwna i jej własne doświadczenia życiowe strzegły ją przed optymizmem.

Wiedziała, że mogą zostać zabici natychmiast po wylądowaniu, ze strachu przed obcymi chorobami i z ksenofobii. Mogą im skonfiskować wszystko, co przywiozą, a Supaariego umieścić w ogrodzie zoologicznym. Mogą jej odebrać syna, a ją samą odizolować od reszty świata.

Ale może Bóg, który to wszystko rozpoczął, doprowadzi to do doskonałości, myślała, wspominając Marca Robichaux. Może powitają nas jezuici. Może Sandoz...

Kiedy pomyślała, czym może być ponowne zobaczenie Emilia dla niej, a dla Emilia spotkanie z Supaarim, przeżyła wstrząs. Może do tego czasu przebaczy Supaariemu...

Chrześcijanie powinni przebaczać. Przyszło jej na myśl, że kiedy jej raporty w końcu dotrą na Ziemię, Emilio może zechcieć po nią wrócić, gdy tylko uda się przygotować nowy statek kosmiczny. To był typowy dla niego gest Don Kichota. Niepotrzebny, ale typowy. Możemy się minąć, pomyślała, i zadrżała na tę myśl.

Nie, uznała w końcu, Bóg nie może być tak okrutny. I zaczęła myśleć o innych sprawach.

17
NEAPOL
sierpień 2061

– Co cię gnębi? – zapytał Emilio, kiedy Gina wstała, aby pozmywać talerze po obiedzie, który był całkiem dobry, ale dziwnie milczący.

– Nic – odpowiedziała, hałasując naczyniami w zlewie.

– A więc coś cię gnębi. Tyle wie nawet eksksjędz! – zawołał Emilio z uśmiechem, który zgasł, kiedy nic na to nie powiedziała.

Biorąc pod uwagę, jak krótko byli razem, udało im się już doprowadzić do kilku uderzająco zażartych kłótni. Kłócili się o sposób gotowania ryżu, o sposób zaparzania kawy, o jadalność karczochów, które Gina uważała za przejaw łaskawości Bożej, a Emilio za coś gorszego od kory dębowej. Jego ulubionym i wciąż nie rozstrzygniętym sporem była zażarta dyskusja – zakończona nieznośnymi wrzaskami, po których na długo rozdzieliło ich odrażające milczenie – na temat tego, co jest nudniejsze, mistrzostwa świata w piłce nożnej czy mistrzostwa świata w bejsbolu. „A w dodatku stroje bejsbolistów są obrzydliwe”, oświadczyła Gina tydzień później, co spowodowało nową kłótnię. Była również wspaniała kłótnia o krój i kolor garnituru, który miał włożyć na siebie podczas ceremonii ślubnej. Ostatecznie Emilio ustąpił w sprawie klap marynarki, co pozwoliło mu postawić na swoim w sprawie koloru: garnitur będzie z szarego jedwabiu, a nie z czarnego, przy którym upierała się Gina. Do tej ugody doszło jednak dopiero wówczas, kiedy przyznała, że ostatecznie stroje bejsbolistów nie są aż tak okropne.

Bardzo to było zabawne. Oboje byli produktami kultur, w których kłótnie małżeńskie uważano za coś w rodzaju sztuki. Zachęcali Celestinę, by się w nie włączała, dla czystej przyjemności, jaką im sprawiały jej wrzaski na korzyść tego dorosłego, który akurat był jej faworytem. Emilio zauważył, że ów status zależał zwykle od tego, kto z nich sprzeciwił się jej przedostatni. Żadnej jednak z tych kłótni nie traktowali na poważnie, aż do dzisiaj, kiedy wygrał walkowerem podczas lunchu, oferując im swą pomoc w spakowaniu się na górską wycieczkę z rodzicami Giny.

Emilio zmarszczył czoło za plecami Giny, a potem rzucił okiem na zegar kuchenny. Wiele się zmieniło podczas wielu lat jego nieobecności, ale dzieciaki nadal uwielbiały kreskówki.

– Celestino – powiedział niefrasobliwym tonem – już czas na *Bambini*. – Odczekał, aż Celestina pobiegła do swojej sypialni, aby włączyć swój ulubiony film interaktywny. – Spróbujmy od początku – zaproponował spokojnie, kiedy już byli sami. – Co cię gnębi?

Okręciła się na pięcie, uniosła głowę i z oczami pełnymi łez oświadczyła stanowczo:

– Powinieneś wrócić i odnaleźć Sofię!

Emilio zamarł i wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem zamknął oczy i powoli wciągnął powietrze do płuc, opierając się o stół. Kiedy otworzył oczy ponownie, jego spojrzenie było twarde jak obsydian; już nie raz przerażało ono ludzi o wiele bardziej odpornych od niej.

– Kto ci powiedział? – zapytał bardzo spokojnie.

– Nie patrz tak na mnie.

– Kto ci powiedział? – powtórzył jeszcze spokojniej, oddzielając każde słowo.

– Co za różnica, kto mi powiedział? Ona żyje. Ta biedna kobieta... jest tam zupełnie sama! – krzyknęła Gina z płaczem, bo już postanowiła, że tak łatwo nie ustąpi. – Powinieneś wrócić i uratować Sofię. Ona cię potrzebuje. Kochałeś ją.

Milczał długo, nieruchomy jak głaz.

– Po pierwsze – powiedział w końcu. – Muszę wiedzieć, kto ci to powiedział, bo zamierzam go zabić, bez względu na to, kto to jest. Po drugie. Wiemy tylko jedno: że żyła w 2047 roku. Po trzecie. *Giordano Bruno* doleci tam za siedemnaście lat. Prawdopodobieństwo znalezienia jej żywej, biorąc pod uwagę fakt, że musiałaby przetrwać samotnie na Rakhacie do wieku siedemdziesięciu jeden lat, jest prawie zerowe. Po czwarte...

– Nie znoszę, kiedy jesteś taki!

– Po czwarte! – Teraz podniósł głos. – Sofia Mendes była najbardziej samowystarczalną i kompetentną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Zapewniam cię, że szczerze by się uśmieła, gdyby usłyszała, że ja, właśnie ja, jestem jej potrzebny! Po piąte. Tak. Kochałem ją! Kochałem też Anne i D.W., i Askamę. Nie poślubiłem żadnej z tych osób. Gino, spójrz na mnie! – krzyknął, boleśnie dotknięty tym, że mu nie zaufała, rozjuszony, że ktoś spróbował wbić między nich ten klin. – Gdyby Sofia Mendes w jakiś cudowny sposób przekroczyła teraz te drzwi, żywa, zdrowa i w kwiecie wieku, nie zmieniłoby to niczego między nami. Niczego!

Gina rozpląkała się jeszcze bardziej, rzucając mu wyzwanie wilgotnym spojrzeniem. Zirytowany, odwrócił się gwałtownie i podszedł do lady kuchennej, gdzie zaczął grzebać w stosie papierów, aby wreszcie wyciągnąć kawałek.

– Do kogo dzwonisz? – zapytała przez łyzy, widząc, że uaktywnił telefon.

– Do sędziego cywilnego. Chcę, żeby tu przyszedł. Teraz. Bierzymy ślub. A potem zamierzam zadzwonić do krawca i anulować zamówienie na ten cholerny garnitur. A potem zamierzam zamordować Vincenza Giulianiego i być może również Żelaznego Konia...

– Dlaczego mama płacze? – zapytała Celestina.

Stała w drzwiach kuchni z zaciśniętymi piąstkami i patrzyła na niego gniewnie. Gina pospiesznie wytarła oczy.

– To nic takiego, *cara...*

– Nic takiego! To bardzo ważne, a ona ma prawo wiedzieć – warknął Emilio, który niewiele rozumiał ze swojego pogmatwanego dzieciństwa. Anulował wybieranie kodu i wziął się w garść.

– Twoja mama boi się, że mógłbym ją opuścić, Celestino. Myśli, że mógłbym kochać kogoś bardziej niż ją, *cara*.

– Bo to prawda. – Celestina sprawiała wrażenie zapędzonej w kozi róg. – Przecież mnie bardziej kochasz.

Gina roześmiała się lekko i odwróciła do Emilia.

– No, dalej – powiedziała z przekąsem – poradź sobie z tym.

Rzucił jej spojrzenie rekina bilardowego, który obwieszcza, że wbije bilę do narożnej luzy.

– Ty, Celestino – powiedział spokojnie – jesteś moją najukochańszą dziewczynką, a twoja mama jest moją najukochańszą żoną. – Odwrócił się do Giny, unosząc brwi oczekująco, i otrzymał od niej wspaniałomyślną pochwałę w postaci skinienia głową. Zadowolony, wrócił do bałaganu na biurku, mrużąc: – To znaczy będzie moją najukochańszą żoną, gdy tylko ściągnę tutaj sędziego...

Nie – powiedziała Gina, chwytając go za rękę i przytulając głowę do jego ramienia. – Już dobrze. Chyba bardzo chciałam to usłyszeć. Możemy poczekać do września. – Roześmiała się i uniosła głowę, a potem zaczesła sobie palcami włosy i otarła oczy. – I nie waź się anulować zamówienia na garnitur!

Przedślubne fochy, pomyślał, patrząc na nią. Ostatnio bardzo łatwo poddawała się emocjom, a ta historia z Sofią kompletnie ją załamała. Przeklinając swoje protezy, ujął ją za ramiona i przytrzymał na odległość wyciągniętych rąk.

– Nie jestem Carlem, Gino. Nigdy cię nie opuszczę – wyszeptał, przyglądając się czujnie, czy mu wierzy. Przyciągnął ją do siebie i westchnął, myśląc: Każde z nas ma swoją przeszłość.

Potem spojrzął na Celestinę ponad ramieniem jej matki i dodał głośniej, żeby obie go usłyszały:

– Kocham ciebie i kocham Celestinę, i zawsze będę was kochał.

– No dobrze – oznajmiła sześćioletnia Celestiną tonem siedemdziesięcioletniej damy z towarzystwa. – Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy!

Gina i Emilio spojrzeli na siebie, otwierając usta, a dziewczynka wybiegła z kuchni i wróciła do swoich kreskówek.

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam. Ty to powiedziałeś? Skąd ona to wytrzasnęła? – zapytała zdumiona Gina.

Emilio śmiał się serdecznie.

– To było naprawdę ekstra! Nie poznajesz? Waleria Golina, Księżna! – zawołał. – Nie... zaraz... ty spałaś na sofie, a Celestiną i ja oglądaliśmy to w sobotę. – Pokręcił głową, zachwycony tym, że Celestiną przejęła jeden z jego nawyków. – Naśladowała Walerię Golinę. To było naprawdę wspaniałe!

Trudno jest dłużej odgrywać dramat, kiedy w domu są dzieci, zwłaszcza takie, które potrafią całkiem nieźle naśladować księżnę Golinę. Popołudnie spędzili, spierając się z Celestiną o minimalną liczbę pluszowych zwierzątek (cztery) i maksymalną liczbę wizytowych sukienek (jedna), niezbędnych podczas dwutygodniowej wyprawy w góry. Pomoc Emilia polegała głównie na trzymaniu Celestiny z dala od Giny, do czasu, gdy przyszła jej najlepsza koleżanka Pia. Wówczas oświadczył, że zamierza poskładać wszystkie ubrania, które zostały wyłożone na łóżko.

– Nieźle ci to idzie – zauważyła Gina, spoglądając przez ramię, podczas gdy sama grzebała w szafce, poszukując bielizny, która nie będzie szokować jej matki.

– Jestem mistrzem – przyznał z satysfakcją i dodał: – Pracowałem w domowej pralni. Chciałabyś, żebym poszedł z wami w góry?

Wyprostowała się powoli, zdumiona.

– A jeśli cię rozpoznają?

– Mogę nosić ciemne okulary, kapelusz, rękawiczki – odpowiedział, patrząc na nią znad walizki.

– I prochowiec? – dorzuciła kpiąco. – *Caro*, to przecież sierpień.

– No dobra, a co powiesz na woalkę? – zapytał, wracając do składania ubrań. – Nic błyskotliwego... żaden haftowany jedwab ze złotymi monetami. Coś gustownego! No, mogą być srebrne monety. – Zamilkł na chwilę, a potem wyrzucił z siebie chełpliwie:

– Jak mnie rozpoznają, to będę rozpoznany! Poradzę sobie z tym.

Z zewnątrz dobiegał wrzaskliwy śmiech obu dziewczynek. Sam dom wydawał się dziwnie cichy. Gina podeszła do łóżka i usiadła, obserwując jego twarz. W końcu i on usiadł obok niej.

– No dobrze – powiedział, pozbywając się zadziornego tonu. – Może to nie najlepszy pomysł.

– Masz skończyć to opracowanie *K'sanu* dla jezuitów – przypomniała mu. – A góry będą w przyszłym roku, dobrze?

Opuścił głowę, włosy opadły mu na oczy. Przez chwilę badał sam siebie, sprawdzając bolesność dawnych ran.

– W październiku Towarzystwo ma opublikować nasze doniesienia naukowe – powiedział już poważnie. – Tak sobie myślę, że najlepiej byłoby zorganizować konferencję prasową. Całodniową, jeśli będzie trzeba. Mieć to wreszcie z głowy. Odpowiedzieć na wszystkie cholerne pytania, którymi mnie zarzuca...

– A potem wrócić na łono swojej rodziny.

Ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała w czarne oczy, poszukując w nich zwątpienia lub nawrotu strachu.

– Czy ludzie wciąż jeszcze tańczą? – zapytał nagle. – Kiedyś wezmę cię na tańce.

– Tak, *caro* – zapewniła go. – Ludzie wciąż tańczą.

– To dobrze.

Wychylił się ku niej, aby ją pocałować, ale w ostatniej chwili zamknął oczy i zrezygnowany wsparł czoło na jej czole, kiedy drzwi kuchni otworzyły się z hukiem i usłyszeli przeraźliwy hałas.

Celestina zatrzymała się w drzwiach sypialni; włosy miała wilgotne, a twarz zaróżowioną z gorąca.

– Umieramy z głodu! – zawołała dramatycznym tonem i zademonstrowała to, padając wdzięcznie u ich stóp.

– Zauważ, proszę – rzekł Emilio do matki umierającego łabędzia – że upadła na dywan w sypialni, a nie na terakotową podłogę w korytarzu.

Celestina zachichotała, nie otwierając oczu.

– Zrobisz nam makaron z serem? – prosiła Pia Emilia, podskakując i składając ręce w błagalnym geście. – Taki jak ostatnim razem? Proszę, proszę, proszę! Taki miękki! Z mnóstwem mleka!

Gina uśmiechnęła się ukradkiem, kręcąc głową, kiedy obie dziewczynki zaciągnęły Emilia do kuchni.

– Pia, zadzwoń do swojej mamy – usłyszała jego ojcowski głos. – I zapytaj, czy możesz zostać na kolacji. Celestino, nakryj do stołu. Panie mówią: mnóstwo mleka! Dlaczego nigdy nie ma w pobliżu krowy, kiedy się jej potrzebuje...

W końcu nadszedł czas, żeby położyć Celestinę do łóżka, a kiedy Gina zgasiła światło i tuliła dziecko do snu, Emilio przysiadł pośród tłumy lalek i pluszowych zwierzątek. Nagle w jego rękach pojawiło się małe srebrne pudełko, które strażnicy kamorry kupili mu w Neapolu.

– To dla mnie? – zapytała Celestina z jawną nadzieją w głosie.

– A niby dla kogo? – Uśmiechnął się do Giny, uradowany z jej widocznego zaskoczenia. – To zaczarowana szkatułka – dodał z powagą, kiedy Celestina przyglądała się małym kwiatkom zdobiącym pokrywkę. – Można w niej trzymać słowa.

Dziewczynka spojrzała na niego z niedowierzaniem, a on uśmiechnął się w ciemności, odkrywając, jak bardzo jest podobna do matki.

– Otwórz je – powiedział. Wcześniej zamierzał zrobić to sam, ale drobne, precyzyjne ruchy czasami sprawiały mu wiele trudności i bólu. – A teraz uważaj. Przygotuj się, bo musisz natychmiast zamknąć szkatułkę, jak tylko wypowiem słowa. – Celestina, już wciągnięta w zabawę, zacisnęła z przejęcia usta i uniosła pudełko do jego ust. Patrząc na Ginę, wyszeptał:

– *Ti amo, cara* – a potem krzyknął: – Szybko! Zamykaj! – Celestina zapiszczała i zatrzasnęła wieczko. – Uuuaa! To dopiero było zamknięcie. A teraz – powiedział, biorąc od niej szkatułkę – stuknij palcem w wieczko i policz do dziesięciu.

– Dlaczego?

– Dlaczego, dlaczego, dlaczego! Za rzadko bijemy to dziecko – żalił się przed Gina, która uśmiechała się promiennie. – Za moich czasów dzieci robiły to, co im powiedziano, i nie zadawały żadnych pytań.

Na Celestinie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Dlaczego?

– Żeby słowa wiedziały, że muszą pozostać w szkatułce – odpowiedział zniecierpliwionym tonem wyrażającym: nawet głupi powinien to wiedzieć! – Zrób, jak ci powiedziałem. Zastukaj w wieczko i policz do dziesięciu! – powtórzył, wyciągając pudełko na czymś, co pozostało z jego dłoni, i starając się, by nie spadło z taśm podtrzymujących protezy. Zdał sobie sprawę, że nie zwracała już uwagi na jego ręce. Nawet Pia się do nich przyzwyczaiła.

Celestina dała za wygraną, stuknęła w wieczko i policzyła do dziesięciu. Wręczył jej pudełko.

– Teraz je otwórz i przyłóż do ucha.

Drobne paluszki podniosły wieczko, a jej owalna twarz – lustrzane odbicie matki – zamarła w skupieniu, kiedy wcisnęła pudełko w płataninę jasnych włosów koło złotego uszka pokrytego letnimi piegami.

– Nic nie słyszę! – oświadczyła, jednocześnie trochę rozczarowana i dumna z tego, że mu nie uwierzyła. – Robisz ze mnie balona.

Emilio zrobił obrażoną minę.

– Spróbuj jeszcze raz. Ale tym razem słuchaj całym sercem. W zaczarowanej ciszy dziecięcej sypialni wszyscy troje usłyszeli jego słowa: *Ti anto, cara*.

Zanim odeszli, Celestina poprosiła o szklanekę wody, przypomniała matce o nocnej lampce, powiedziała Emiliowi, że zamierza trzymać szkatułkę pod poduszką, oświadczyła, że musi jeszcze iść do toalety, a później próbowała zainicjować dyskusję o zachowaniach potwora-podłóżkiem, co miało opóźnić „dobranoc” o pięć minut, ale nie poskutkowało.

W końcu, po „słodkich snów”, udało im się wyjść. Gina przymknęła drzwi i odetchnęła głęboko, czując się wyssana z energii, ale szczęśliwa.

– Będziesz chyba najlepszym tatą na świecie – powiedziała ze spokojnym przekonaniem, obejmując Emilię.

– To zależy od tego – odpowiedział, ale wyczuła, że coś jest nie tak. Nie zrobił kroku w kierunku ich sypialni i w końcu oświadczył sucho: – Zaoszczędziłabyś mi sporo kłopotu, gdyby cię rozboleła głowa.

Cofnęła się.

– Twoje ręce? – Wzruszył lekko ramionami i odwrócił wzrok. Zaczął się usprawiedliwiać, ale powstrzymała go, kładąc mu palec na wargach. – *Caro*, przed nami całe życie. – Prawdę mówiąc, i tak przez cały dzień miała lekkie mdłości, więc szybko zmieniła temat, kiedy podeszli do kuchennego stołu. – Don Vincenzo mówił mi, że w maju znalazł dla ciebie nowego chirurga, ale z tego nie skorzystałeś. Dlaczego, *caro!*

Emilio usiadł na krześle naprzeciw niej, twarz miał nieruchomą, oddech płytki.

– Przecież czujesz się już dobrze. Robią teraz cuda. Pokrywają ręce sztuczną skórą, przemieszczają ścięgna, żeby wykorzystać nerwy, które nie zostały uszkodzone. Odzyskałbyś sprawność.

– Przyzwyczyłem się do protez. – Wyprostował się wyzywająco. – Posłuchaj. Dostałem już w kość. Nie chcę od nowa uczyć się posługiwania rękami.

To samo powiedział już ojcu generałowi. Czekala, dając mu czas, aby resztę sam jej powiedział. Kiedy wciąż milczał, odpowiedziała na niewypowiedzianą wątpliwość i od razu poznała, że trafiła w dziesiątkę, widząc, jak odwraca wzrok.

– Ta neuralgia wcale się nie pogłębi po zabiegu... może nawet ustąpi.

Milczał przez długi czas.

– Pomyślę o tym – powiedział, mrugając. – W każdym razie nie teraz. Potrzebuję trochę czasu.

– Może po Nowym Roku – podsunęła łagodnie.

– Może. Nie wiem. Może.

Nie było powodu do pośpiechu prócz jej własnego pragnienia, by zobaczyć go w pełni sił, więc nie należała. Kiedy wrócił na Ziemię, miał szkorbut i przez długi czas jego tkanka łączna była po prostu za słaba, by przeprowadzać jakiegokolwiek operacje, a im dłużej z tym zwlekał, tym stawał się zdrowszy, co rokowało szybsze gojenie się ran po operacji. Od uszkodzenia rąk minęły już trzy lata. Pół roku więcej nie robiło różnicy z klinicznego punktu widzenia.

Zanim odszedł do swojego garażu, porozmawiali jeszcze o sprawach finansowych. Porozumiał się z firmą prawniczą z Cleveland i z bankiem w Zurychu, upoważniając Ginę do swobodnego korzystania z jego kont.

– Nie lepiej było poczekać z tym do zawarcia małżeństwa? – zapytała, stojąc w drzwiach.

– A niby dlaczego? Zamierzasz uciec z całą forszą? – Prawie go nie widziała w ciemności. – Nie, po prostu chcę, żebyś od czasu do czasu zaprosiła rodziców na obiad. Do jakiegoś miłego lokalu. I powiesz im, że to mój pomysł! Chcę, żeby mieli do mnie zaufanie. Zięc musi myśleć o takich sprawach.

Roześmiała się i patrzyła, jak odchodzi, póki nie zniknął w bezksiężycowej nocy.

Kiedy Gina wyjechała, kontaktowali się co dzień telefonicznie, mimo że pod koniec drugiego tygodnia Emilio był zavalony pracą, wykańczając programy języka *K'san*, starając się dotrzymać narzuconego sobie samemu nieprzekraczalnego terminu, jakim był koniec miesiąca.

Od czasu, gdy ona i Celestina wróciły do Neapolu, upłynęło parę dni, zanim ze sobą porozmawiali. Zadzwoniła do niego natychmiast po przekroczeniu drzwi domu, ale numer był odłączony. Spróbowała ponownie, gdy tylko przyniosła bagaż z samochodu i zaspokoila pierwsze żądania Celestiny dotyczące toalety i lunchu, powtarzając sobie przez cały czas, że się myli, że to niemożliwe.

Główny budynek domu rekolekcyjnego nie był całkowicie opustoszały, czego się nierozsądnie obawiała, ale nie spotkała nikogo znajomego. Świecki brat, który zajął miejsce Cosima w refektarzu, był Wietnamczykiem i nie zrozumiała ani słowa z jego włoskiego. Drzwi do pracowni Emilia nad garażem były zamknięte, a z okien znikło geranium. Rozpytywała wszystkich, płacząc, krzycząc, oskarżając, ale napotykała na *omerta* – milczenie Południa.

Jej druga córka miała prawie dziesięć lat, kiedy Gina w końcu to wszystko zrozumiała.

GIORDANO BRUNO

2061-2062 czasu ziemskiego

– Naprawdę, Sandoz, myślałem, że takie fochy są poniżej twojej godności – powiedział Garlo Giuliani z chłodnym rozbawieniem, obserwując, jak Nico d’Angeli sprawdza wyniki analizy krwi przed ponownym podłączeniem aparatury. – To twoja wina i dobrze o tym wiesz. Daliśmy ci szansę przyłączenia się do nas na ochotnika, a ty z niej nie skorzystałeś. I co ci to dało? Sińce i zakażenie pęcherza.

Opierając się z wytwornym wdziękiem o dźwiękoszczelną przegrodę, Carlo obserwował nieruchomą, posępną twarz Sandoza. Nie dostrzegł rozluźnienia, charakterystycznego dla śpiączki czy snu.

– Lubisz operę, Sandoz? – zapytał Carlo, kiedy Nico, nucąc pod nosem *Nessun donna*, zaczął obmywać gąbką nieruchome ciało. – Większość neapolitańczyków ubóstwia operę.

– Kochamy namiętności, konflikty, życie całą gębą. – Odczekał chwilę, wpatrując się w zamknięte oczy Sandoza, podczas gdy Nico unosił bezwładne kończyny chorego, wycierając mu z łagodną wprawą pachy i łędźwia. – Gina nie znosiła opery. Mówiła, że to pretensjonalne bzdury.

– Powinieneś być mi wdzięczny, Sandoz. Przecież to zwykła kura domowa! Umarłbyś z nudów przy jej boku. Długo byś nie wytrzymał tej zatęchłej domowej atmosfery, makaronu i tycia. Jesteśmy stworzeni do większych rzeczy, ty i ja.

Skończywszy obmywanie całego ciała, Nico odłożył ręcznik i przykrył Sandoza na kilka minut prześcieradłem, aby przed ponownym umocowaniem elektrod skóra wchłonęła wilgoć.

Carlo czekał spokojnie, a kiedy zobaczył na monitorze serca regularną, zębatą linię, przemówił ponownie.

– Mamy ze sobą wiele wspólnego, Sandoz... i wcale mi nie chodzi o korzystanie z ciała Giny. – Uśmiechnął się z satysfakcją, kiedy wykres na monitorze gwałtownie drgnął, a jego linia straciła swą regularność. – Mnie też ojciec cholernie lekceważył. Wiesz, jak mnie nazywał? Cio-Cio-San! To oczywiście aluzja do *Madame Butterfly*. Tak mi dokuczał, bo byłem trochę roztrzepany, wciąż brałem się za co innego. Gardził mną od dnia urodzenia. Widział we mnie tylko świadectwo niewierności swojej żony. Z tobą było tak samo, prawda? Tyle że między nami jest pewna różnica, bo moją matkę oskarżał niesłusznie. Ale mojemu tacie łatwiej było uwierzyć, że nie jestem jego synem, niż pogodzić się z tym, że nie jestem nim.

Ponieważ Nico, wielbiciel Belliniego, nie potrafił pracować bez śpiewu, przeszedł teraz do *Normy: Meprotegge, me difende...*

– Zawsze byłem we wszystkim dobry – stwierdził Carlo bez fałszywej skromności. – Nauczyciele bili się o mnie! Każdy chciał, żebym został jego ulubieńcem... przyszłym inżynierem, biologiem, pilotem. A ja miałem ich wszystkich w nosie. No więc oskarżali mnie o niestałość i niewierność, ze złości, że nie chciałem zostać ich akolitą. Boja, Sandoz, nie jestem niczym uczniem. Moje życie to moje życie i nikogo nie naśladowuję.

Nico zaczął wymieniać worek z moczem, wciśnięty między łóżko a ścianę przegrody. Był jednak osobą skrupulatną i robiącą wszystko metodycznie, w ustalonej kolejności, więc nauczył się już wykonywać tę czynność tak, by uniknąć zbędnych kłopotów.

– Wiem, co sobie o mnie myślisz, Sandoz – ciągnął Carlo spokojnie. – Złudzenia wielkości. Ludzie tacy jak ty i mój ojciec są dobrzy tylko na jakimś wąskim polu. Od młodości skupiacie się na jednej rzeczy, osiągacie sporo bardzo szybko i gardzicie tymi, którzy nie są na coś ukierunkowani od samego początku. Mój ojciec, na przykład, miał w kieszeni cały Neapol, zanim doszedł do trzydziestki. Imponujące, prawda? Przed czterdziestką miał już pod kontrolą osiemnaście procent krajowej produkcji całych Włoch, z rocznym zyskiem większym od Fiata. W wieku czterdziestu dwóch lat, a więc zaledwie rok więcej niż ja mam obecnie, Domenico Giuliani był władcą imperium, którego macki sięgały do całej Europy, Południowej Afryki, Bliskiego Wschodu, Karaibów i obu Ameryk. Takiego imperium nie miał nawet Aleksander Macedoński. Ojciec przypominał mi o tym prawie codziennie przy śniadaniu.

Zamilkł na chwilę, a potem wyprostował się i wzruszył ramionami.

– Ale prawdziwa wielkość polega na tym, by utrafić w swoją epokę. Wszechstronność, Sandoz, może być prawdziwą zaletą! Jeśli chodzi o mnie, to dobrze bym się czuł w czasach Renesansu. Książę wśród kupców!

Ktoś, kto potrafi ułożyć pieśń, toczyć wojnę, zbudować katapultę i znakomicie tańczyć. Nawet mój ojciec musiał przyznać, że to przedsięwzięcie wymaga talentu w wielu dziedzinach. Polityka, finanse, inżynieria...

Odsławiając kilka partii chóralnych i dwie arie, Nico spojrzał na swego *padrone*.

– Dobra robota – pochwalił go Carlo. – Możesz odejść, Nico. – Począł, aż Nico opuścił przedział medyczny, a wówczas podszedł do łóżka. – Widzisz, Sandoz? Znając twoje słabości i mocne strony, znalazłem ci naprawdę wspaniałą pielęgniarkę. Może nie świadczy aż tak luksusowych usług jak Gina, ale zna się na swojej robocie.

Zerknął na odczyty, ale tym razem imię Giny nie wywołało żadnych zmian w danych przesyłanych przez organizm do monitorów.

– Niezwykła sytuacja, prawda? – powiedział, patrząc na mężczyznę, który niedawno poślubił jego byłą żonę. – Całkiem nieprzewidziana i nieszczęśliwa. Na pewno myślisz, że zrobiłem to w typowym dla neapolitańczyka szale zazdrości, żeby oderwać cię od Giny. Mylisz się, już z nią skończyłem! Rzecz w tym, że mnie potrzebny jesteś bardziej niż jej. – Otworzył drzwi przedziału medycznego i stał w nich przez chwilę, zanim wyszedł. – Nie martw się o Ginę, Sandoz. Znajdzie sobie kogoś innego.

Dopiero kiedy drzwi się za nim zamknęły, wykresy na monitorach zaczęły gwałtownie drgać.

Carlo wysłał po niego trzech ludzi. Wiedzieli, że był księdzem, z czego niewątpliwie byli zadowoleni. Sami zobaczyli, że jest niewysoki i szczupły. Powiedziano im, że był długo chory i że nie może zrobić żadnego użytku ze swoich rąk. Nie wiedzieli jednak, że to, co miało się stać, setki razy przeżywał w nocnych koszmarach. Tym razem nie było żadnego wahania, żadnej głupiej nadziei. Bronił się, i to skutecznie, zanim go obezwładnili. Jeszcze długo po tym wspominał ten błogi opór, kiedy jego pięta wylądowała na szczęce napastnika, i zduszony krzyk drugiego, któremu złamał nos łokciem.

Naznaczył ich. Tym razem dał się im we znaki.

Już nieraz go pobito, więc nie było to dla niego żadną nowością. Skupił wszystkie siły, napiął się, opierał się tak długo, jak zdołał, a potem czerpał dziką satysfakcję z milczenia, które stało się jego główną bronią. Przewieźli go, nieprzytomnego, na brzeg, gdzie czekała łódź, a i później przez długi czas aplikowali mu silne środki odurzające, nawet wówczas, gdy już się znaleźli na pokładzie *Giordana Bruna*.

Sandoz próbował narkotyków, kiedy był jeszcze dzieckiem, więc nie przerażał go stan między snem a jawą. Rozluźniony i bezwładny, kiedy w pobliżu znajdował się któryś z nich, pozwalał im sądzić, że dawka jest wystarczająca, i czekał. Okazja nadarzyła się, kiedy załoga była zajęta ostatnimi przygotowaniem do opuszczenia orbity Ziemi. Wyrwał zębami z ramienia przewód kroplówki i leżał nieruchomo, czekając, aż minie oszołomienie, i patrząc, jak jego krew miesza się z roztworem fizjologicznym, glukozą i lekami rozlewającymi się z pompy tłoczącej po przedziale w bladej, opalizującej mgielce, która pokryła podłogę, kiedy silniki odpaliły i statek zaczął nabierać szybkości. Udało mu się pokonać przeciążenie G-zero, a później wstał, chwiejąc się lekko. Z trudem utrzymując równowagę, podszedł do panelu komputera w przedziale medycznym, połączonego z systemem centralnym. Nie mógł ich powstrzymać, ale mógł dokonać sabotażu. Drobny błąd w nawigacji wystarczał, by sprowadzić ich z kursu o całe lata. Zamierzał zmienić tylko jedną liczbę w nawigacyjnych kalkulacjach.

Przyłapali go na tym i znowu ciężko pobili, tym razem ze strachu przed tym, czego prawie udało mu się dokonać. Przez kilka dni oddawał mocz z krwią i był tak osłabiony, że nie musieli go przywiązywać.

Przyszło mu do głowy, że nie przeżyłby, gdyby go tak potraktowano jeszcze rok temu. Czas, pomyślał z goryczą. Czas robi swoje. Czas jest wszystkim.

Przez następne dni leżał nieruchomo, w milczeniu sycąc się nienawiścią. Czasami, przez chwilę, kiedy drzwi przedziału były otwarte, słyszał ich głosy. Niektóre były znajome, inne słyszał po raz pierwszy. Zwłaszcza jeden przykuwał uwagę: niewyszkolony tenor, nosowy, nieco ochryply w wyższych rejestrach, ale prawdziwy i często bardzo ładny. Nienawidził ich wszystkich, bez zastrzeżeń i bez wyjątku, sycił się tą rozżarzoną, czystą nienawiścią, zastępującą mu pożywienie, którego nie chciał tknąć. I uznał, że woli umrzeć, niż dać się jeszcze raz wykorzystać.

Było, rzecz jasna, wiele sposobów, by namówić go do współpracy. Przez pewien czas Carlo rozważał nawet zabicie Giny i Celestiny, żeby osłabić więzi łączące Sandoza z Ziemią, ale ostatecznie odrzucił ten pomysł. Uznał, że wówczas Sandoz mógłby targnąć się na swoje życie.

Przestudiowawszy wszystkie informacje na jego temat, postanowił użyć kombinacji przymusu bezpośredniego, nowoczesnych środków chemicznych i tradycyjnej groźby.

– Przejdę od razu do rzeczy – powiedział Carlo dziarskim tonem, wkraczając pewnego ranka do przedziału medycznego, po tym, jak mu Nico zameldował, że Sandoz jest ubrany, spokojny i przygotowany do rozsądnego przeanalizowania swojej sytuacji. – Zastanów się, czy nie warto dla mnie pracować.

– Masz tłumaczy.

– Tak – zgodził się skwapliwie Carlo – ale żaden nie ma twojego doświadczenia. Musiałyby upłynąć całe lata, żeby zdobyli taką wiedzę o Rakhacie, jaką ty już dysponujesz, świadomie i nieświadomie. Długo czekałem na to, by stanąć na własnych nogach, Sandoz. Na Ziemi upłynęła dziesiątka lat, zanim wrócimy z tej wyprawy. Nie mam zamiaru tracić czasu.

Sandoz patrzył na niego z lekkim rozbawieniem.

– Rozumiem. Jaki układ mi proponujesz?

Mówił trochę bełkotliwie. Carlo zanotował w pamięci, by zredukować dawkę.

– Jestem rozsądnym człowiekiem, Sandoz. W zamian za samo wyrzeczenie się wrogości wobec nas, pozwolę ci wysłać wiadomość do Giny i mojej córki. Jeśli jednak spróbujesz pokrzyżować mi plany albo zrobić mi jakąś krzywdę, teraz i w przyszłości, obawiam się, że John Candotti umrze.

– Podejrzewam, że to Żelazny Koń zaproponował taką metodę marchewki i kija.

– Nie bezpośrednio – wyznał Carlo. – Ciekawy facet, ten Żelazny Koń. Nie zazdroszczę mu. Znalazł się w trudnej sytuacji. Co to zawsze mówiono o jezuitach? Że są pomiędzy światem i Kościołem, narażeni na ostrzał z obu stron. A mówiąc o trudnej sytuacji, mam na myśli i to, że Candotti znajduje się teraz w hangarze promu. Jeśli w ciągu dziesięciu minut nie wydam moim ludziom innej instrukcji, wypompują stamtąd powietrze.

Nie było żadnej reakcji, ale po chwili Sandoz zapytał:

– A co za aktywną współpracę?

Carlo zastanawiał się przez chwilę, omiatając spojrzeniem wyłożony lustrami przedział medyczny, a Sandoz obserwował jego spokojną twarz: długi nos, wystające kości policzkowe, krótko ostrzyżone, kędzierzawe złote włosy. Prawdziwy Apollo.

– Oczywiście będą pieniądze, ale... – Wzruszył ramionami, uświadamiając sobie wątpliwość takiej motywacji: Sandozowi pieniędzy nie brakowało. – I zaszczytne miejsce w historii! No tak, ale to też już masz. No więc – ciągnął, odwracając się ponownie do Sandoza – za aktywną współpracę gotów jestem dać ci szansę zemsty. Albo sprawiedliwości. Zależy, jak na to patrzysz.

Sandoz milczał, wpatrując się w swoje ręce. Carlo przyglądał się z nie ukrywanym zainteresowaniem, jak siedzący na łóżku mężczyzna prostuje palce, a potem pozwala im opaść.

To opadanie niesamowicie długich palców wprost z przegubów miało nawet jakiś wdzięk.

Faliste blizny zbiegały do barwy kości słoniowej.

– Nerwy mięśni zginających zostały w większości zniszczone, ale, jak widzisz, mięśnie prostujące są nadal dość dobrze unerwione – wyjaśnił Sandoz z kliniczną precyzją. Przed pierwszą wyprawą przeszedł gruntowne przeszkolenie medyczne, a anatomię ręki znał już teraz dość dokładnie. Raz po raz prostował palce i pozwalał im opaść. – Może to znak. Nie mogę niczego chwycić. Mogę tylko pozwolić, by wszystko wypadało mi z rąk.

Jakie to w stylu zen, pomyślał Carlo, ale tego nie wypowiedział. I wcale nie dlatego, by się bał wybuchu Sandoza. Teraz już nic nie mogło go rozwścieczyć, a na wszelki wypadek Carlo kazał Nicowi stać przy drzwiach.

– Współpraca w czym? – zapytał Sandoz, wracając do tematu.

– Mówiąc prostym językiem, moim celem jest nawiązanie kontaktów handlowych z tymi VaRakhati. Towary, które dał wam Supaari VaGayjur, były naprawdę godne uwagi, z różnych względów, a między innymi z powodu ceny, jaką zapłaciły muzea i prywatne kolekcje nawet za najmniej znaczące produkty ruńskich rzemieślników. Wystarczy sobie wyobrazić, ile by można uzyskać, gdyby towary zostały pieczołowicie wybrane z myślą o potrzebach rynku, a nie były po prostu wykładnią upodobań jakiegoś jana’atańskiego kupca. Spodziewam się, że to przedsięwzięcie uczyni mnie prawdziwym bogaczem, całkowicie niezależnym od opinii innych ludzi.

– A co ty wiesz na handel, don Carlo?

Carlo wzruszył ramionami.

– Głównie nieszkodliwe rzeczy, zapewniam cię. Perły, perfumy. Oczywiście kawę. Ziola i rośliny o charakterystycznych zapachach... cynamon, oregano. Belgijskie maszyny do produkcji koronek i wstążek, które mogą same mnożyć kolory, wzory, ściegi. Biorąc pod uwagę upodobanie Runów do wszelkich nowości, można na tym nieźle zarobić.

Carlo uśmiechnął się rozbijając i czekał na oczywiste pytanie: Więc do czego ja ci jestem potrzebny?

Okaleczone ręce znieruchomiały, a bazyliżkowe oczy uniosły się, by napotkać spojrzenie Carla.

– Mówiłeś coś o zemście.

– Wolisz ten termin, nie sprawiedliwość? A więc chyba w końcu dojdziemy do porozumienia! – zawołał Carlo z zadowoleniem. Usiadł na metalowym fotelu i oparł jeden łokieć na kolanach, przyglądając się uważnie Sandozowi. – Widzisz, Sandoz, studiowałem stosunki między drapieżnikami a ich zdobyczą.

To mnie bardzo interesuje. Myślę, że gatunek ludzki stał się samodzielny, kiedy przestał być zwierzyną, kiedy zbuntował się przeciw tym, którzy na niego polowali, i wziął swój los we własne ręce. Na ulicach Moskwy czy Rzymu nie ma wilków. Nie ma pum w Madrycie czy Los Angeles. Nie ma tygrysów w Delhi ani lwów w Jerozolimie. Dlaczego mieliby być Jana’atowie w Gayjurze?

– Zamilkł, jego szare oczy były nie do przeniknięcia. – Wiem, co to znaczy być zwierzyną, Sandoz. Tak jak ty. Powiedz szczerze: Kiedy patrzyłeś, jak Jana’atowie mordują i pożerają ruńskie niemowlęta, nie przypominało ci to niedźwiedzi wyławiających łososie z wody, prawda?

– Nie. Nie przypominało.

– Jeszcze zanim opuściłeś Rakhat, niektórzy Runowie zaczęli się buntować. Konsorcjum Kontakt doniosło, że po tym, jak wy im pokazaliście, że tyranii można się oprzeć, doszło do buntów w całym południowym Inbrokarze. – Zamilkł na chwilę, marszcząc czoło. – Jezuici sprawiają wrażenie, jakby się tego wstydzili! A niby dlaczego? Przecież to wasz Pedro Arrupe powiedział, że niesprawiedliwość to ateizm w działaniu! Żadna ludzka społeczność nie wywalczyła sobie wolności, wyrzekając się przemocy. Ci, którzy mają władzę, rzadko oddają swoje przywileje dobrowolnie. Jak ty to ująłeś podczas przesłuchań?

– „Gdyby Runowie mieli powstać przeciw swoim jana’atańskim panom, ich jedyną bronią byłyby liczebność”. Możemy to zmienić, Sandoz.

– Nowoczesne środki łączności? Broń, przystosowana do potrzeb Runów i wyrabiana na miejscu?

– Takie wsparcie techniczne mogę im dostarczyć w każdej chwili – oświadczył Carlo. – A co ważniejsze, nie zawahałbym się podsunąć im ideologii niezbędnej do wywalczenia wolności, równości i sprawiedliwości.

– Chcesz rządzić.

– Tylko przejściowo. „Bo wszystko błędnie i szybko staje się legendą, a wnet ulega całkowitemu zapomnieniu” – zacytował z emfazą Aureliusza. – Oczywiście jest pewien urok w możliwości zapisania się na zawsze w ruńskiej mitologii... może jako ich Mojżesz! Z tobą jako moim Aaronem przemawiającym do faraona.

– Aha. Więc nie tylko południowe Włochy – zauważył spokojnie Sandoz. – Nie tylko Europa, ta stara dziwka, skorumpowana już dawno temu, ale cała dziewicza planeta. Twój ojciec nigdy się o tym nie dowie, Carlo. Umrze, zanim wrócisz.

– To dopiero radosna nowina – stwierdził Carlo z zadowoleniem. – Prawie warta piekła. Opowiem mu o wszystkim, kiedy tam się zjawię. Wierzysz w piekło, Sandoz, czy jako eksjezuita uważasz się za zbyt przemądrzałego, by doceniać taki melodramat?

– „Nie mów mi o piekle, nie pytaj, czy z niego pochodzę. Czyżbyś mniemał, że ja, który oglądałem oblicze Boga, nie jestem nękanym dziesięcioma tysiącami piekieł?”

– Mefistofeles! – zawołał Carlo, rozbawiony. – Moja rola w tym dramacie, to pewne, chociaż ty też do niej pasujesz. Wiesz, zawsze uważałem za taktyczny błąd ze strony Boga, że kocha nas wszystkich jak leci, podczas gdy Szatan wyłazi ze skóry, żeby uwieść każdego osobno. – Carlo uśmiechnął się; apollińską piękność zmacił niszczycielski grymas małego chłopca. – Inspirujące, co? Będziemy się nawzajem zabawiać? Będziemy zgłębiać swoje dusze? Bo ja nie wątpię, że nawet podczas takiej wyprawy jak ta, największą przygodą jest odkrywanie ludzkiej duszy. Proponuję ci układ: ty możesz zdecydować, czy mamy wyzwolić Runów, czy nie! Moje upodobanie do operowej pompy przeciw twojej sile moralnej. Ciekawe wyzwanie, prawda?

Sandoz odwrócił głowę od ściany i spojrzał na Carla z oddali, wzrokiem zmaconym działaniem narkotyku.

– John musi się niepokoić – powiedział. – Chciałbym mieć trochę czasu na dokładne rozważenie twojej propozycji. Na razie daję ci słowo, że nie będę się wtrącał w twoje interesy. Tylko tyle, ale może to wystarczy jako zadatek na to, co zostało z mojej duszy?

– To miłe z twojej strony – odpowiedział Carlo, uśmiechając się łaskawie. – Naprawdę bardzo miłe.

Poszli razem zakrzywiającym się korytarzem, a później wspięli się po spiralnych schodkach.

Emilio odniósł wrażenie, że pomieszczenia statku zbudowano na planie sześciokąta. Kabiny przylegały do siebie jak komórki luksusowego ula: wyściełane dywanami, ciche, wspaniale wyposażone. Były przynajmniej trzy poziomy, a prócz tego niewątpliwie przedziały magazynowe, których po drodze nie widział.

Przeszli przez ostatnią grodz i znaleźli się w środkowym wspólnym pomieszczeniu. Udało mu się zajrzeć do sterowni: zobaczył całą ścianę urządzeń fonicznych błyskających wykresami i tekstem. Słyszał szum systemu nawiewczego, brzęczenie motorów napędzających filtry, melodyjne bulgotanie towarzyszące napowietrzaniu basenu i chrobot automatów wydobywczych karmiących generatory masy, które zapewniały statkowi przyspieszenie i sztuczną grawitację.

Podobnie jak *Stella Maris*, *Giordano Bruno* był częściowo wyeksploatowanym asteroidem i łatwo było rozpoznać wiele z jego pierwotnego wyposażenia. Częścią systemu napowietrzania a i odprowadzania zużytych substancji była tuba Wolvertona umieszczona w centralnym pomieszczeniu. Szóstka dla Boga, pomyślał Emilio. Rośliny lepiej wytwarzają powietrze niż jakiegokolwiek urządzenie wymyślone przez człowieka.

Dopiero kiedy zorientował się w rozplanowaniu wspólnego pomieszczenia, przyjrzał się sześciu mężczyznom, którzy siedząc lub stojąc, wpatrywali się w niego w milczeniu.

– Wiedziałeś – powiedział do Danny’ego Żelaznego Konia.

Joseba Urizarbarrena odwrócił się do Danny’ego, usta miał otwarte. Sean Fein już się opanował, rysy mu stwardniały.

– Grzech zaniedbania – dodał Sandoz, ale Danny wciąż milczał.

– Twoje protezy są w magazynie – powiedział Carlo. – Chcesz je teraz?

– Dziękuję, najpierw zobaczę się z Johnem. Gdzie jest luk hangaru?

– Nico! – zawołał Carlo. – Pokaż drogę don Emiliowi!

Nico poprowadził Sandoza korytarzem.

– Sandoz, mamy dwa wahadłowce! – zawołał Carlo, uruchamiając pompę wyrównującą ciśnienie między pomieszczeniami załogi i hangarem. – Oba o zasięgu o wiele większym niż ten prom, który was tak zawiódł podczas pierwszej wyprawy. A jeden z nich to pojazd bezzałogowy, którym można sterować z oddali. Jak widzisz, wykorzystałem błędy poprzedników! Załoga *Giordana Bruna* nie utknie na powierzchni Rakhatu!

Rozległ się zduszony, podobny do westchnienia syk, kiedy Nico otworzył luk.

– *Perfavore* – poprosił Sandoz – *un momento solo, si?*

Nico spojrział przez ramię na Carla, a ten wspaniałomyślnie skinął głową. Nico odsunął się nieco, przytrzymując klapę luku.

Emilio wszedł do środka. Ciężkie, stalowe drzwi zamknęły się za nim z metalicznym zgrzytem, który przeraziłby go, gdyby nie był całkowicie otumaniony narkotykiem. Obchodząc promy, zatrzymywał się, by sprawdzić cumy i klapy towarowe. Wszystko było należycie zabezpieczone. Nawet dysze były czyste. Wtedy natknął się na Johna. Siedział, oparty o byle jak uszczelnioną przegrodę, tuż za bezzałogowym promem.

John, szary jak kamienne trzewia asteroidu tworzące *Bruna*, podniósł głowę, gdy Emilio dał nurka pod kadłub promu i stanął przed nim.

– Och, mój Boże – jęknął John. – Właśnie myślałem, że już nie może być gorzej.

– Uwierz człowiekowi, który sporo o tym wie – powiedział Emilio lekko bełkotliwym głosem. – Zawsze może być gorzej.

– Emilio, przysięgam, nie wiedziałem! – zawołał Candotti z płaczem. – Wiedziałem, że Carlo trzyma kogoś w przedziale medycznym, ale nie miałem pojęcia kogo i dlaczego... Powinienem sprawdzić... O Jezu...

– W porządku, John. Nic nie mogłeś na to poradzić. – Nawet otumaniony narkotykiem, Emilio wiedział, co ma zrobić i co powiedzieć. – Tak jest lepiej – dodał, klękając przy Candottim i używając swych przegubów, by przytulić jego głowę do swojej piersi. – Lepiej się wyplakać – powiedział, ale nie czuł nic, zupełnie nic. To dziwne, pomyślał, kiedy John szlochał na jego piersi. Tego właśnie pragnąłem przez te wszystkie miesiące, przed Gina...

– Nie mogłem się modlić – wyszeptał Candotti.

– To normalne, John.

– Siedziałem tu przy drzwiach, żeby nie zapaskudzić promu... – powiedział John, pociągając głośno nosem i starając się wziąć w garść. – Carlo powiedział Nicowi, że jeśli nie wróci w ciągu dziesięciu minut, ma tu zrobić próżnię! Nie potrafiłem się modlić. Wiesz, o czym myślałem? O malinowym dżemie!

– Buum! – Zrobił grymas, który miał być uśmiechem. – Za dużo widziałem filmów o podróżach kosmicznych.

– Wiem. To normalne. Już dobrze.

Czuł ostry ból promieniujący od rąk, ale pozwolił, by John przywarł do niego i zdał sobie sprawę, że ból łatwiej jest znieść, kiedy się nie myśli o tym, że będzie trwał wiecznie.

Pożyteczna lekcja, pomyślał, patrząc ponad głowę Johna na zewnętrzne drzwi hangaru. Były czyste, musieli je niedawno zmienić.

– Chodź – powiedział. – Wejdzimy do środka. Możesz wstać?

– Tak. No jasne.

John wstał o własnych siłach i otarł twarz rękawem, ale zachwiał się i zatoczył na kamienną ścianę hangaru.

– W porządku – powiedział po dłuższej chwili.

Kiedy doszli do kłapy wiodącej do pomieszczeń załogowych, Emilio pokazał Johnowi gestem, by w nią zastukał, nie chcąc narażać własnych rąk.

– Nie pokazuj im niczego, John – powiedział, kiedy czekali, aż im otworzą właz.

John spojrział na niego niepewnie, mrugając oczami, ale potem kiwnął głową i wyprostował się.

– To hasło naszego życia – powiedział cicho Emilio Sandoz, nie patrząc już na Johna. – Nic nie dawać tym skurwysynom.

Kłapę otworzył im nie Nico, ale Sean Fein, posępny jak chmura gradowa, który w milczeniu zaopiekował się Johnem, prowadząc go na górny pokład, gdzie były kabiny. Carla nigdzie nie było widać, zniknął też Żelazny Koń, tylko gdzieś z dołu dochodził natarczywy głos Joseby.

Protezy czekały na stole we wspólnym pomieszczeniu. Siedział przy nim Nico, jedząc lunch, a także jakiś barczysty mężczyzna, którego zwaliste cielsko zaskakująco kontrastowało z impresjonistyczną gamą kolorów: proste włosy barwy dojrzałych żonkili opadające na różową skórę i hiacyntowe oczy.

Sandoz usiadł i przyciągnął do siebie protezy, wtykając w nie po kolei ręce.

– Frans Vanderhelst – przedstawił się grubas. – Pilot.

– Emilio Sandoz. Poborowy. – Złożył ręce na podołku i spojrzał na wielkiego młodzieńca siedzącego obok Fransa. – A ty jesteś Nico, ale formalnie nas nie przedstawiono.

– Emilio Sandoz, Niccolo d’Angeli – powiedział usłużnie Frans z pełnymi ustami. – Za wiele nie mówi, ale... *chizz č un brav’scugnizz’...* Jesteś dzielnym chłopcem, prawda, Nico? *Si un brav’scugnizz’,* co, Nico?

Nico ostrożnie osuszył usta serwetką, uważając, by nie urazić bladego nosa.

– *Bra v scugnizz* – potwierdził posłusznie z powagą w wodnistych, brązowych oczach, osadzonych w czaszce, która wydawała się trochę za mała jak na człowieka o takim wzroście.

– Jak tam twój nos, Nico? – zapytał Sandoz bez cienia złośliwości. – Wciąż boli? – Nico zdawał się uparczywie myśleć o czymś innym, więc Sandoz zwrócił się do Fransa: – Kiedy się widzieliśmy ostatnio, pomagałeś Nicowi wytrząsnąć ze mnie flaki, o ile dobrze pamiętam.

– Bo grzebałeś w programach nawigacyjnych – odrzekł spokojnie Frans, biorąc do ust następną porcję. – Nico i ja robiliśmy tylko to, co do nas należy. Chyba nie czujesz do nas urazy?

– Chyba nie czuję – odpowiedział Sandoz przyjaznym tonem. – Z twojego akcentu wnioskuje, że jesteś z... Johannesburga, tak? – Frans pochylił głowę w niemym podziwieniu. – A sądząc po twoim imieniu, nie jesteś katolikiem.

Vanderhelst przełknął i zrobił obrażoną minę.

– Jestem holenderskim agnostykiem reformowanym... To coś zupełnie innego niż agnostyk katolicki, rozumiesz?

Sandoz pokiwał głową, przyjmując tę uwagę bez komentarza. Wyciągnął się wygodnie w fotelu i rozejrzał wokół.

– Najlepszy pod słońcem – mruknął Frans, śledząc jego spojrzenie.

Wszystkie urządzenia, wszystkie elementy armatury i wyposażenia lśniły czystością, a te, które nie były w użyciu, spoczywały pod pokrowcami. *Giordano Bruno* był dobrze zorganizowanym i zarządzanym pojazdem kosmicznym. I gościnnym – Frans uniósł właśnie pytająco swoje prawie niewidoczne brwi, podnosząc butelkę pinot grigio. Sandoz wzruszył ramionami: Dlaczego nie?

– Szkło jest na drugiej półce nad zlewem – poinformował go Frans, zabierając się ponownie do jedzenia. – Możesz sobie wziąć coś do jedzenia, jeśli jesteś głodny. Wybór jest niezły. Szef dba o dobry stół.

Sandoz wstał i przeszedł do kuchni. Frans z satysfakcją nasłuchiwał brzęku pokrywek i trzasku otwieranych drzwiczek: wybór był rzeczywiście imponujący. Kilka minut później Sandoz wrócił ze szklanką zakleszczoną w protezie jednej ręki i talerzem *cacciatore* z kurczaka w drugiej.

– Całkiem niezłe sobie z tym radzisz – zauważył Frans, wskazując widelcem na protezy.

– Tak. To sprawa praktyki – odpowiedział spokojnie Sandoz. Nalał sobie wina i wypił łyk, zanim zabrał się do gulaszu. – To jest wspaniałe – stwierdził po jakimś czasie.

– Dzieło Nica – wyjaśnił mu Frans. – Nico ma wiele talentów.

Nico rozpromienił się.

– Lubię gotować – przyznał z dumą. – *Bucatani al dente*, *scamorza* z grilla, *pizza Margherita*, jajka sadzone na frytkach...

– Myślałem, że nie jadasz mięsa – powiedział Frans, widząc, jak Sandoz przeżuwa kawałek kurczaka.

Sandoz spojrział na swój talerz.

– Zostanę potępiony – stwierdził spokojnie. – I zdycham z bólu w rękach, ale tym też się nie przejmuję. Co dostaję?

– To coś w rodzaju tłumika emocji – powiedział Żelazny Koń tuż zza jego pleców. Obszedł bezgłośnie stół i stanął za Nikiem, naprzeciw Sandoza. Frans, wyraźnie uradowany, patrzył to na jednego, to na drugiego, jak widział na kortach Wimbledonu. – Zwykle używa się go, by opanować bunt więźniów – wyjaśnił Żelazny Koń. – Nie upośledza władz poznawczych. Tłumi emocje.

– To twój pomysł? – zapytał Sandoz.

– Carla, ale nie próbowałem mu tego wyperswadować.

Danny sprawiał wrażenie, jakby sam zażywał ten lek. Frans poczuł się zawiedziony.

– Interesujące świństwo – zauważył Sandoz. Wziął nóż i obejrzał dokładnie jego ostrze, a potem spojrział na swój talerz. – Od czasu tej masakry zapach mięsa wywoływał we mnie mdłości, ale teraz... – Wzruszył ramionami i przeniósł spojrzenie z noża na Żelaznego Konia. – Chyba mógłbym wyciąć ci serce i zjeść je – powiedział z lekkim zdziwieniem – gdybym wiedział, że w ten sposób zapewnię sobie dziesięć minut ze swoją rodziną.

Na Żelaznym Koniu i to nie zrobiło żadnego wrażenia.

– Ale sobie nie zapewnisz – stwierdził sucho.

Frans znowu się uśmiechnął.

– Nie. Więc równie dobrze mogę pogodzić się z tym, co jest.

– Byłem pewny, że sam do tego dojdiesz – powiedział Żelazny Koń i odwrócił się, aby wyjść.

– Danny! – zawołał Sandoz, kiedy tamten był już przy drzwiach.

Gdyby grodzie nie były wyłożone polimerem, nóż wbiłby się dość głęboko, a tak odbił się tylko od ściany tuż obok głowy Danny'ego i upadł na podłogę.

– To zdumiewające, że dawne umiejętności gdzieś tam w człowieku tkwią i można je wykorzystać, kiedy zajdzie pilna potrzeba – powiedział Sandoz z uśmiechem, ale spojrzenie miał zimne i twarde jak stal. – Chciałbym widzieć, jak dojrzewa jedno konkretne dziecko – dodał tym strasznym, zwykłym głosem. – Jak długo już lecimy, panie Vanderhelst?

Frans zdał sobie sprawę, że wstrzymał oddech i uniósł się na krześle.

– Prawie cztery tygodnie.

– Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego czas zachowuje się w ten sposób. Dzieciaki zmieniają się tak szybko, zwłaszcza kiedy ich tatusiowie podróżują z relatywistycznymi szybkościami. Dlaczego, Danny? Te środki są naprawdę obrzydliwe. Możesz mi powiedzieć, jaki cel je usprawiedliwia?

– Powiedz mu – warknął Sean Fein, wchodząc do wspólnego pomieszczenia po odprowadzeniu Candottiego do kabiny. – Jeden Bóg wie, jaki mamy dzień w tej cholernej rurze, ale w jakimś kalendarzu musi być Jom Kippur. A jakbyś się zapytał jakiegoś rabina, Danny, to by ci powiedział, że nie wystarczy błagać Boga o zmiłowanie. Musisz prosić o przebaczenie człowieka, którego skrzywdziłeś. – A kiedy Danny wciąż milczał, wybuchnął: – Powiedz mu, na miłość Jezusa i dobro twojej własnej żalostnej duszy!

Oparty sztywno o ścianę, Daniel Żelazny Koń wreszcie przemówił, a jego głos był równie beznamiętny jak wywód.

– Anulowanie aktu kasacji Towarzystwa Jezusowego, a także wszystkich procesów sądowych, jakie nam wytoczono. Przywrócenie wpływowej pozycji, która nam umożliwi wprowadzenie w życie programów kontroli narodzin i działań na rzecz biednych w całej sferze władzy Kościoła. Przekazanie przez kamorę do Watykanu dokumentów umożliwiających zidentyfikowanie księży skorumpowanych przez środowiska przestępstw zorganizowanych, tak aby Kościół mógł się oczyścić z elementów, które podkopały moralny autorytet Rzymu. Środki umożliwiające jezuitom powrót na Rakhat i kontynuowanie tam dzieła Bożego. – Zamilkł, lecz po chwili dodał jedyny powód, który naprawdę się liczył. – Zbawienie jednej duszy.

– Mojej? – zapytał Sandoz kąpiącym tonem. – No cóż, podziwiam twoją ambicję, jeśli nawet nie pochwalam twoich metod, ojciec Żelazny Koniu.

– Nie zrobiliby Johnowi krzywdy – powiedział udręczony Danny. – To był blef.

– Naprawdę? – Sandoz wzruszył ramionami i ściągnął w dół wargi, jakby się nad czymś zastanawiał. – Zostałem porwany, a później dwukrotnie pobity do nieprzytomności. Obawiam się, że muszę poważnie traktować groźby Carla.

– Przykro mi, Sandoz – powiedział udręczony Danny.

– Gównu mnie obchodzi, że jest ci przykro – odrzekł cicho Sandoz. – Jeśli chcesz rozgrzeszenia, idź do księdza.

Sean, którego ta wymiana zdań napełniła obrzydzeniem, poszedł do kuchni. Kiedy wrócił ze szklanką i butelką irlandzkiej whisky, Danny nadal tam stał, wpatrując się ponuro w Sandoza.

– A co z Candottim? – warknął Sean.

Danny wziął głęboki oddech i odwrócił się, aby wyjść, ale przedtem podniósł nóż i położył go na stole przed Sandozem.

Musi mieć mocne nerwy, pomyślał Frans. Portorykańczyk był przez całe tygodnie przykuty do łóżka i ledwo trzymał się na nogach, w dodatku miał okaleczone ręce, więc trudno było powiedzieć, czy umyślnie nie trafił w Danny'ego. Frans odnosił jednak dziwne wrażenie, że Sandoz mógłby jego, Fransa, przyszpilić do ściany, gdyby tylko chciał. Dla Carla zabezpieczeniem był Candotti, ale Wódz mógł liczyć tylko na siebie...

– No cóż, czy się komu podoba, czy nie, wszyscy tu jesteśmy – powiedział Sean, nalewając sobie whisky. Potrząsnął nią, patrząc na Sandoza chłodnymi niebieskimi oczami. – To tylko przypuszczenie, ale idę o zakład, że na tym całym Bożym świecie nic nie pogorszyłoby samopoczucia tego faceta tak, jak twoje przebaczenie. Rozżarzone węgle na jego głowę.

– No wiesz – odpowiedział sucho Sandoz, przedrzeźniając jego akcent – warto się nad tym zastanowić.

Frans był wyraźnie rozbawiony.

– Grasz w karty? – zapytał Sandoza.

– Nie chciałbym wykorzystywać przewagi – odrzekł Sandoz, którego cały ten dramat nie wyprowadził z równowagi. Wstał i zaniósł swój talerz do kuchni. – Zawsze słyszałem, że holenderscy protestanci reformowani nie pochwalają gry w karty.

– Nie pochwalamy też picia alkoholu – powiedział Frans, nalewając wszystkim prócz Nica, który nie pił, ponieważ siostry mu zabroniły.

– To prawda – zgodził się Sandoz, wracając do stołu. – Poker?

– To by była odmiana po tej cholernej *scopa* – powiedział Sean.

– A ty, Nico? – zapytał Frans, sięgając po wysłużoną talię, która zawsze leżała na stole.

– Popatrzę sobie – odpowiedział Nico.

– Wiem, Nico – rzekł wyrozumiale Frans. – Chciałem tylko być uprzejmy. W porządku, Nico. Nie musisz grać.

– Chciałbym najpierw przesłać do domu wiadomość, jeśli nie będzie wam to przeszkadzało – powiedział Sandoz.

– Radio jest tam, za drzwiami, na lewo od ciebie – powiedział mu Frans. – W stanie gotowości. Po prostu nagraj wiadomość i kliknij „wyślij”. Zawołaj, jakbyś potrzebował pomocy.

– Już to widzę – mruknął Sean, kiedy Sandoz opuścił pomieszczenie wspólne.

Emilio usiadł przed nadajnikiem i przez chwilę zastanawiał się, co przesłać. „Ponownie wypieprzony”, przyszło mu do głowy, ale uświadomił sobie, że wiadomość dotrze na Ziemię, kiedy Celestina będzie jeszcze bardzo młoda, więc odrzucił ten pomysł jako zbyt wulgarny.

Wystukał siedem słów.

„Wzięli mnie przemocą. Myślę o was. Nasłuchujcie sercem”.

MIASTO INBROKAR

2047 czasu ziemskiego

– Nie zgodzę się – powtarzał gniewnie ambasador Ma Gurah Vaadai, miotając się po wewnętrznym dziedzińcu jak zwierzę po klatce. W końcu zatrzymał się przed swoją żoną, prowokacyjnie postawił uszy i wybuchnął: – Złożę rezygnację!

– Nie oddam swojej córki tej bestii! Jak śmie żądać mojego dziecka!

– Panie mój i małżonku, Hlavin Kitheri nie zażądał od ciebie Sakinji – uspokajała go Suukmel Chirot u Vaadai, unosząc rękę z omdlewającym wdziękiem i poprawiając sobie nakrycie głowy, jakby tym gestem spowijała duszę w welon słodkiego spokoju. – W jego zaproszeniu...

– To tchórz – warknął Ma, znowu od niej odchodząc. – Wymordował całą swoją rodzinę...

– To prawdopodobne – zamruczała Suukmel – ale nie udowodnione.

– ...a potem kłamliwie się tego wyparł! Jakby ktoś mógł uwierzyć w te mgliste bajki o jakimś kupcu... Cały ród Kitherich wymordowany przez zwykłego wiejskiego domokrażcę!

Kto w to uwierzy? A teraz ośmiela się żądać mojej córki! – Odwrócił do żony twarz ściągniętą grymasem obrzydzenia. – Suukmel, on kopuluje ze zwierzętami... i śpiewa o tym!

– Tak mówią. – Wspaniałomyślnie nie zwracała uwagi na wulgarność męża. Jako ambasador musiał przez większą część dnia panować nad emocjami i przemawiać z wystudiowanym taktem, więc z radością przyjmowała te jego wybuchy złości. – Hlavin Kitheri, jak słusznie zauważył mój pan i małżonek, zachowuje się nieraz w sposób dość niezwykły – ciągnęła łagodnie, z nutą poufałości – ale to człowiek o zadziwiająco szerokich horyzontach myślowych, wielki poeta, którego pieśni...

– To same bzdury! – mruknął ambasador, spoglądając w stronę pałacu Kitheriego górującego nad Inbrokarem. – Suukmel, on po prostu oszalał...

Och, wybaczyć swojej nędznej małżonce, mój wspaniałomyślny i łaskawy panie, ale „szaleństwo” to słowo tak nadużywane! Jakże trafniej byłoby powiedzieć „rozgoryczenie”, „rozpacz”, „niezwykłość”... Trzeba współczuć tym, których charakter niezbyt pasuje do roli, jaką wyznaczyło im urodzenie, bo mają naprawdę trudne życie. – Poprawiła fałdy sukni i usiadła w nieco innej pozycji, jeszcze wdzięczniejszej, ale i przydającej jej dostojności. – Racz pamiętać, panie mój i małżonku, że Hlavin Kitheri już objął Dziedzictwo. Bez względu na jego przeszłość, bez względu na okoliczności przejścia Dziedzictwa, bez względu na twoje osobiste zastrzeżenia co do jego charakteru, masz obowiązek, jako ambasador Mala Njeru, traktować czterdziestego ósmego Najdonioślejszego jako prawowitego władcę Inbrokaru.

Jej małżonek warknął na te słowa, ale Suukmel ciągnęła z niezmaconym spokojem:

– Kitheriego nie można lekceważyć, nie można nim gardzić, trzeba go uważnie obserwować. Nawet pomijając jego poezję, nie wydaje się, by zmarnował lata, które spędził na wygnaniu w Pałacu Galatna. Przez cały czas utrzymywał, jeśli można tak powiedzieć, intymne kontakty z całym krajem... – Ma prychnął kpiąco, ale ona mówiła dalej z czarującym uśmiechem: – Tak, panie mój i małżonku, utrzymywał stałe kontakty z ludźmi zdolnymi i ambitnymi, z ludźmi, którzy teraz dostarczają mu informacji i pomysłów. Nowych idei. Dalekosiężnych planów. Już w pierwszym okresie swego panowania stworzył nowe, dotąd nie znane urzędy. A komu je powierzył? Swoim ludziom, nawet trzeciakom, nie napotykając prawie żadnego sprzeciwu ze strony obrońców tradycji.

Ma Gurah Vaadai zatrzymał się i odwrócił, by spojrzeć na swoją małżonkę. Opuściła oczy, jak nakazywały dobre obyczaje, lecz po chwili podniosła je znowu, patrząc na niego śmiało i z wymownym zaciekawieniem.

– Nie sądzisz, że to bardzo interesujące? Jak mu się to udało? Myślę, że mój pan i małżonek mógłby wiele zauważyć, gdyby obserwował jego zachowanie na dworze. Jedno jest pewne: Kitheri już nie poszukuje żony.

– Ależ oczywiście! Na pewno poszukuje nowych bezogoniastych potworów, żeby z nimi kopulować... – Nagle coś go tknęło. – Co słyszałaś?

– On się zaręczył, panie mój i małżonku. Z dzieckiem VaPalkirmi. Najstarszym dzieckiem regenta.

– Elli’nal? To jeszcze niemowlę!

– W istocie. – Ma gapił się na nią zaskoczony, uszy mu opadły. – Mistrzowskie posunięcie, nie sądzisz? Inbroskar leży w samym środku Potrójnego Przymierza, z Mala Njerem na zachodzie i Palkirnem na wschodzie. Umowa małżeńska z Elli’nal zapewnia Kitheriemu spokój ze strony Palkirnu, przynajmniej do czasu dorostnięcia dziecka. Pozwala mu to na czysto pragmatyczny stosunek do Mala Njeru. – Minęła chwila, zanim zrozumiał. – Mala Njer może być protektorem Inbroskaru, może być jego partnerem, ale może też być jego zdobyczą. Może Kitheri pragnie zmienić warunki naszego przymierza...

– Nie poinformowano mnie o tym kontrakcie małżeńskim.

– A jednak...

Zauważył, że spojrzenie żony spoczęło na Taksayu, jej ruńskiej służce, siedzącej w kącie jak posąg milczącego szacunku dla swojej pani. Taksayu, która mogła mieć przyjaciół wśród innych Runów. Która biegle władała *K’sazem*, która mogła wiele słyszeć, wiele zapamiętać i wiele powtórzyć. Która była na tyle inteligentna, by udawać głupią, kiedy było to wygodne.

– No więc o co tu chodzi? – wybuchnął, aby pokryć zmieszanie. – Czego Kitheri chce od mojej córki?

– Niczego, mój umiłowany panie – odpowiedziała słodko Suukmel.

– To nie z twoją córką pragnie się spotkać Hlavin Kitheri, ale z twoją małżonką.

Ma odrzucił głowę do tyłu i zaryczał groźnie.

– Żarty sobie robisz! – zawołał.

– To wcale nie są żarty, czcigodny panie mój i małżonku. Co więcej, ja zamierzam spotkać się z nim.

Trudno powiedzieć, co było dla niego większym wstrząsem: słowo „ja” w ustach kobiety czy oczekiwanie, by mąż wyraził zgodę na jej spotkanie z jakimkolwiek niespokrewnionym samcem, nie wspominając już o budzącym odrazę charakterze Kitheriego.

– To niemożliwe – oświadczył w końcu.

Wszyscy wiedzieli, że potulny Ma Gurah Vaadai przynajmniej połowę swych niepodważalnych sukcesów dyplomatycznych zawdzięcza żonie. Po szesnastu latach ich małżeństwa niewidoczna, ukrywająca się w jego cieniu, ale zawsze posiadająca najświeższe wiadomości i potrafiąca bezbłędnie ocenić ich znaczenie i wartość, szlachetna Suukmel Chirot u Vaadai wciąż zaskakiwała swego męża, przerażała go i prowokowała. Nie pięknnością, co prawda, ale wiedzą, pomysłami, ambicjami. Nie, ona nie jest szalona, pomyślał, choć to, co zaproponowała, z pewnością było...

– Niemożliwe – powtórzył.

A jednak...

Dwa dni później Ma Gurah Vaadai, ambasador Terytorialnego Rządu Mala Njeru w Dziedzictwie Inbrokaru, udał się do pałacu Kitheriego, aby złożyć listy uwierzytelniające czterdziestemu ósmemu Najdonioślejszemu: temu bezwstydnemu poecie, temu jawnemu mordercy, temu zboczonemu księciu, który zapragnął spotkać się z jego małżonką Suukmel.

Spotkanie miało mieć charakter czysto ceremonialny – ot, po prostu jeszcze jeden nudny przejaw inbrokarskiej etykiety dworskiej, równie zawilej i nonsensownej, jak sam pałac Kitherich, z jego źle dopasowanymi wieżami, palisadami i balkonami, pełny stromych schodów, strzelistych łuków i przesadnie zdobionych krużganków. Ród Kitherich mieszkał tu od wielu pokoleń, a każdy nowy najdonioślejszy pragnął uczcić pamięć swojego ojca jakimś wybujałym dachem, niepotrzebnym barbakanem, spiralną wieżyczką, wymyślną płaskorzeźbą, jeszcze jedną kondygnacją krytych galerii. Cały pałac był fizyczną demonstracją bezsensownej gonitwy za nowościami. To typowe dla dynastii Kitherich, myślał Ma Gurah Vaadai, gloryfikowanie niezmienności i wprowadzanie innowacji. Wyhodowany i wyszkolony na żołnierza, Ma nienawidził tego miejsca, tak jak nienawidził hipokryzji i fałszu, choć jego obecne obowiązki polegały głównie na praktykowaniu hipokryzji i fałszu. Tę ogłupiającą grę pozorów znosił tylko dzięki swojej małżonce, którą bawiły dworskie subtelności i intrygi.

Zarówno Najdonioślejszy, jak i ambasador potrafili śpiewać w języku wyższego *K'sanu*, choć inbrokarski obyczaj nakazywał udawać, że się go nie zna, aby przedłużyć i skomplikować rytuał. Tym razem odpowiedź Najdonioślejszego na powitalne oratorium Ma Guraha Vaadaiego zostało odśpiewane bezbłędnie, a trzeba pamiętać, iż obecni przy tym ruńscy tłumacze i znawcy protokołu należeli do najlepszych w kraju. Również kobiety towarzyszące ambasadorowi nie miały powodu, by poprawiać cokolwiek w tym, co w jego imieniu mówiła inbrokarska Runka, wyznaczona do tłumaczenia jego ojczystego *malanja*, nie było też żadnych błędów w tłumaczeniu poezji Najdonioślejszego. I choć Runowie zwykle nie znoszą muzyki, podczas całej ceremonii nie drgnęło ani jedno ucho. Ruńska służba, o wiele lepiej znająca subtelności protokołu niż obaj Jana'atowie, zdawała się zachwycona jej przebiegiem, dyskretnie kierując oficjalną wymianą wyszukanych pozdrowień, wyszukanych podarunków i wyszukanych obietnic.

Ma Gurah Vaadai zastanawiał się właśnie, czy zdoła nie opaść na ogon i nie zasnąć na dobre w dusznej i nagrzaney atmosferze tego królewskiego pieca, kiedy wymiana ostatnich pożegnań wyrwała go z otępienia. Zdążył zaśpiewać, jak wymagał protokół, razem z Najdonioślejszym, zachowując idealną harmonię. Uczyniwszy to, szykował się z ulgą do wyjścia, kiedy Hlavin Kitheri powstał ze swego wymoszczonego poduszkami, wyściełanego, złożonego i lśniącego od klejnotów gniazda dziennego i z rozbawionymi oczami zbliżył się do ambasadora Mala Njeru.

– Okropne, prawda? – powiedział, omiatając spojrzeniem duszne i przytłaczające pomieszczenie i demonstrując przy tym jawnie obrzydzenie, które Vaadai tak starał się ukryć. – Zacząłem już marzyć o pożarze. Czasami najlepszym wyjściem z labiryntu jest zredukowanie go do stosu rozżarzonych węgli i przejście przez zgliszcza. – Uśmiechnął się na widok zaskoczonej miny Ma i mówił dalej: – Tymczasem poleciłem, by w górach założono letnie obozowisko. Ekscelencjo, czy odwiedzisz mnie tam, abyśmy mogli się lepiej poznać?

Oficjalne zaproszenie nadeszło następnego ranka i sześć dni później ambasador Ma Gurah Vaadai popłynął w górę rzeki barką, w towarzystwie swojego oficjalnego tłumacza, osobistego tłumacza, sekretarza, kucharza, przybocznego lokaja, strojczego i Taksayu, służki swojej żony.

Sądził, że Najdonioślejszy, mówiąc o „obozowisku”, pozwolił sobie na zwykłą inbrokarską skromność. Spodziewał się czegoś równie ekstrawaganckiego i okropnego jak pałac Kitherich, a tymczasem, ku swojemu zaskoczeniu, zobaczył kilka letnich pawilonów rozrzuconych w chłodnej górskiej dolinie. Co prawda namioty były ze złotogłowiu, paliki zostały posrebrzone, a wnętrza wyłożono najmiększymi i najwspanialej utkanymi dywanami, po jakich Vaadai kiedykolwiek stąpał, ale samo miejsce było proste i skromne jak żołnierski biwak.

– Śmiem twierdzić, że to bardziej odpowiada upodobaniom żołnierza z Mała Njeru! – zawołał Kitheri, zbliżając się do przystani bez żadnej eskorty. Uśmiechnął się na widok zdumionej twarzy ambasadora i wyciągnął rękę, by pomóc Vaadaiemu, kiedy ten wysiadał z barki. – Jadłeś już?

Nie po raz ostatni Ma Gurah Vaadai został wyprowadzony z równowagi przez tego dziwaczego księcia. Z dala od dworu, w czasie nieformalnej konwersacji, Hlavin Kitheri zachowywał się z godnością i wdziękiem. Inni goście też byli inteligentni i interesujący, a bankiet powitalny okazał się niezwykle smakowitą ucztą.

– To bardzo uprzejme z twojej strony – mruknął Kitheri, gdy Ma wyraził podziw dla potraw.

– Rad jestem, że ci smakowało. To rezultat naszych niedawnych przedsięwzięć, albo raczej odrodzenia dawnych umiejętności. Kazałem tu utworzyć rezerwat myśliwski.

– To dziczyzna – wyjaśnił ambasadorowi jeden z innych gości. – Dobra rozrywka, a później wyborne jedzenie.

– Może ambasador przyłączy się do nas rano? – zaproponował Kitheri. Twarz miał złotą od promieni słonecznych sączących się przez złotą tkaninę, a jego niesamowite ametystowe oczy zamieniły się w dwa topazy. – Mam nadzieję, że nie będziesz wstrząśnięty naszymi zwyczajami...

– Będziemy polować nago, jak Bohaterowie – oznajmił z zachwytem jeden z młodzieńców.

– Mój młody przyjaciel ma poetycką naturę – zauważył Kitheri, wyciągając rękę, by chwycić czule młodzieńca za kostkę u nogi. Znowu spojrział na Vaadaiego, który starał się opanować drzenie. – Nadzy jak nasza zwierzyna, powiedziała by ktoś o bardziej praktycznym usposobieniu.

– Stado oczywiście wie, że na nie polujemy – dodał jeden ze starszych gości – ale mój pan, szlachetny Kitheri, ma nadzieję wyhodować bardziej naturalną odmianę.

– Aby powtórzyć to, co przeżywali nasi praojcowie – wyjaśnił Kitheri. – Pewnego dnia przybędą tu nasi najlepsi synowie, aby na nowo ożywić swoje dziedzictwo i w dawny sposób nabierać tutaj siły utraconej przez ostatnie pokolenia.

Niespodziewanie spojrzął na ruńską służącą, Taksayu, siedzącą przez cały czas w kącie wśród ceremonialnych tłumaczy, którzy musieli być obecni na każdym zgromadzeniu, choć najczęściej nie byli potrzebni.

– Nasz program łowiecki obejmuje na razie tylko zwykłych, użytkowych Runów. Wyhodowaliśmy już jednak odmianę na tyle dojrzałą intelektualnie, by się wkrótce usamodzieliła. Ale może ambasador Mała Njeru nie zgadza się z nami? – zapytał, wracając spojrzeniem do oniemiałego Ma Guraha Vaadaiego.

– Wyłaniają się fascynujące problemy prawne – zauważył jeden z gości, zanim Ma zdołał przemówić, i natychmiast rozgorzała bardzo specjalistyczna dyskusja.

Wieczorny chorał był naprawdę wspaniały. Jak poinformowano Vaadaiego, Kitheri studiował teorię śpiewu podczas swojego wygnania w Pałacu Galatna i doszedł do wniosku, że melodię należy pozbawić nadmiaru ozdobników, aby można było w pełni docenić napędzające linie melodyczne oryginalnej harmonii, które ujawniały czystość i prostotę jak za dawnych dni, kiedy nałowy chodziło się z braćmi i przyjaciółmi tylko po to, by dostarczyć pożywienie żonom i dzieciom.

Tego wieczoru Ma Gurah Vaadai wrócił do swojego namiotu lekko oszołomiony, ale o brzasku wyłonił się z niego głodny i z trzeźwym umysłem. Nagi, bez przepaski oznaczającej pozycję społeczną, cieszył się w duchu z możliwości zademonstrowania swojej siły i sprawności fizycznej, które zdołał zachować mimo tylu lat pokoju. Nagość ujawniała czyjś prawdziwy charakter. Obserwując Najdonioślejszego, Ma był mile zaskoczony, widząc, że to, co uprzednio mogło być jedynie wrażeniem wywołanym znakomicie uszytym strojem, było szczerą prawdą.

Większość resztarów w średnim wieku obrastała sadłem, natomiast Hlavin Kitheri zachował zgrabność i siły młodzieńca.

Polowanie miało ostre tempo od samego początku. Polowano parami i Vaadai kilka razy znalazł się u boku samego Kitheriego, który musiał, co prawda, podchodzić bardzo blisko ofiary, ale za to miał potężny chwyt i zabijał błyskawicznie. Co więcej, w swojej łowieckiej strategii okazywał zachwycającą wspaniałomyślność i pomysłowość, napędzając Vaadaiemu zwierzyne i obmyślając dość wyczerpujące, ale naprawdę skuteczne zasadzki. Kiedy weszły oba słońca, Ma Gurah Vaadai był już cudownie rozgrzany i podniecony polowaniem, a wszelkie wątpliwości zbladły w ich promieniach.

Kitheri ma rację, myślał Ma. Tego właśnie nam potrzeba.

Aby doścignąć i schwytać Runao, trzeba było przekroczyć samego siebie, całkowicie utracić świadomość odrębności, zrównać z samicą krok i uderzenia serca, zjednoczyć się z nią. A potem błyskawicznie sięgnąć spoza niej chwytną nogą, złapać ją za kostkę, powalić i zamknąć głowę w żelaznym uścisku, unieść jej szczękę, obnażyć gardło i rozdrzeć je jednym czystym pociągnięciem pazura. Zrobić to wszystko, a później pożerać mięso, oznaczało przeżyć własną śmierć: umrzeć z ofiarą, a jednak żyć nadal.

Prawie zapomniał, jakie to uczucie.

To był cudowny dzień. Vaadaiemu brakowało tylko jednego: żeby w namiocie czekała na niego Suukmel, której by mógł cisnąć do stóp upolowane zwierzę i zaśpiewać pieśń triumfu.

Kitheri wyznał, że niektórzy Runowie odbierali mu radość polowania, poddając się bez gonitwy i oporu. Jego hodowcy znaczyli każdy miot kolczykami i w ten sposób można było odróżnić potomstwo takich potulnych samic, aby je przeznaczyć do normalnego uboju. Znaczono też bardziej wojownicze samice, którym udało się zmylić pogoń albo które po krótkiej walce zdołały wyrwać się i uciec. Parzono je później z najbardziej opiekuńczymi samcami z samego środka stada.

Tej nocy, czując rozkoszny ból w mięśniach, mając umysł wolny od przygniatających dworskich intryg i sztywnej dyplomacji międzynarodowej, Ma Gurah Vaadai doszedł do wniosku, że zręczność, siła i spryt Kitheriego znakomicie pasują do tego, co zrobił z całą swoją rodziną. Suukmel miała rację, pomyślał Ma, leżąc z otwartymi oczami w ciemności. To nie szaleństwo, ale ambicja.

Postanowił zachować czujność, by nie dać się zwieść pozorom. A jednak następnego ranka, kiedy świetnie wyszkolona i pięknie wystrojona służba zebrała wyposażenie, zwinęła namioty i zorganizowała powrót do Inbrokaru, ambasador zaprosił Najdonioślejszego na swoją barkę jako honorowego gościa Terytorium Mala Njeru. Dzień spędzony na barce minął przyjemnie i kiedy zbliżali się do stołecznego portu, Ma uznał za rozsądne i miłe, by zaprosić Najdonioślejszego do ambasady na nadchodzące Święto Słońc.

Tak, odpowiedział ambasador na zdawkowe pytanie Najdonioślejszego, czy szlachetna Suukmel będzie obecna w rezydencji.

Jak łowca, obnażony przed polowaniem, przybył Hlavin Kitheri do ambasady Terytorium Mala Njeru, mając na sobie skromną, odsłaniającą jedno ramię szatę uczonego i klejnoty oszałamiające blaskiem, ale osadzone w prostej oprawie. Już uprzednio wyznał ambasadorowi, że uwielbia prostotę i bezpośredniość obyczajów Mala Njeru, więc powitalny chorał na jego cześć był krótki, a i później czterdziesty ósmy Najdonioślejszy Inbrokaru nie był dręczony protokołem. Mógł zatem swobodnie przechadzać się między gośćmi, witając się z wdziękiem z dygnitarzami i znajomymi, rozprawiając o długiej historii Święta Słońc, pozwalając wciągnąć się w dyskusję na temat harmoniki pieśni Mala Njeru.

Z bezbłędnym instynktem łowcy rozpoznawał swoich wrogów – tych, dla których niezłomne przywiązanie do stabilności i prawa było sprawą honoru. Wykorzystując właściwe momenty, zagadywał ich – całkowicie nieoficjalnie – o różne sprawy, wysłuchiwał z powagą ich opinii, powściągliwy w wyrażaniu własnych. Od czasu do czasu rzucał uwagi, które mogli spożytkować z korzyścią dla swoich rodzin. I w miarę upływu dnia widział, jak ostrożność i podejrzliwość ustępują miejsca gotowości do zawieszenia krytycznych o nim sądów.

Jeszcze nie wiedział, jak wprowadzić zmiany, o których marzył. Sam język, w którym myślał, nie sprzyjał rozważeniu tego problemu: w *K'sanie* brakowało słowa na określenie owej oczyszczającej rewolucji, jaka chodziła Ki theriemu po głowie. Walka, wojna, bitwa – tak; wojownik, bohater, przeciwnik, wróg – leksykon *K'sanu* obfitował w takie słowa i pojęcia. Były słowa na oznaczenie rebelii i rewolty, ale implikowały gwałt i łamanie prawa, a nie przewrót polityczny.

Sohraa, pomyślał Hlavin Kitheri. *Sohraa*.

W uszach poety *sohraa* brzmiała cudownie – jak tchnienie wiatru w upalnym, dusznym dniu, szepczące o nadchodzącym deszczu. Prawie wszystkie słowa oparte na tym rdzeniu kojarzyły się jednak z katastrofą, degradacją i degeneracją. Był to rdzeń wszelkich pojęć związanych ze zmianą i ostatnio Kitheri słyszał go często – z ust oficerów powracających z inspekcji prowincji zewnętrznych, biurokratów przypochlebiających się nowej władzy, lennei szlachty składającej mu hołd wierności, personelu obcych ambasad wyczulonego na to nowe wcielenie inbrokarskiej potęgi. Pogłoski o zmianie napawały członków kast panujących na Rakhacie niejasnym lękiem, ale nikt nie miał na tyle odwagi, by otwarcie głosić, że to poezja Kitheriego całkowicie zdestabilizowała rakhatańskie społeczeństwo. Bezpieczniej było obwiniać cudzoziemców, którzy wywarli zgubny wpływ na prostodusznych Runów z wybrzeża Masna'a Tafa'i. Kampania wojskowa mająca na celu oczyszczenie zbuntowanych wiosek była podobna wszystkim poczynaniom południowej biurokracji – skażona korupcją, nieskutecznością i grzechem zaniechania. Niepokój drążył jana'atańskie społeczeństwo jak podziemny strumień zwietrzałą skałę, pomrukując *sohraa, sohraa, sohraa*.

Kitheri nie spieszył się, bo wiedział, że zbyt gwałtowny pościg może sprzyjać ucieczce zwierzyny. Kiedy uwaga gości przeniosła się na stół bankietowy, ruszył niepostrzeżenie w kierunku środkowej wieży nawiewczej: wydrążonego nieproporcjonalnego filaru, którego szczeliny wentylacyjne przysłonięto ozdobnymi kratkami; zmniejszyło to w wyczuwalnym stopniu sprawność całego urzędzenia, które miało pompować świeże powietrze na główny dziedziniec wewnętrzny.

Napięcie, jakie odczuwał, nie było dla niego niespodzianką: przyszłość jawiła się jako wynik ryzykownej gry. „Śpiewa do ścian!”, powiedziała by ktoś, gdyby go teraz zobaczył; ryzykował wszystko, co udało mu się osiągnąć w minionej porze roku, gdyby znowu rozeszły się pogłoski o jego szaleństwie. A jednak... A jednak zaśpiewał, cichym, ale dźwięcznym i czystym głosem, o zrodzonej nocą poczwarcie, najpierw zimnej i nieruchomej, później ogrzanej promieniami obu słońc; o Chaosie wyłaniającym się z ciemności, by tańczyć bezwstydnie w jasności dnia; o cienistych woalach, rozdartych przez gorący wiatr dnia; o Chwale gorejącej w słonecznym blasku.

Nie uciął zgiełk dochodzący z głównej sali bankietowej. Opierając obnażone ramię o chłodną i gładką ścianę filara, tak blisko zdobnego okna jej sypialni, zapytał:

– I co słyszysz moja pani Suukmel, kiedy nasłuchuje?

– *Sohraa* – napłynęła odpowiedź, łagodna jak lekki wiatr zapowiadający deszcz. – *Sohraa, sohraa, sohraa...*

Najpierw posłał jej klejnoty o niezrównanym blasku i czystości, sztukę tkaniny ciężkiej od złotego splotu, bransolety i pierścienie na stopy, drobne, cyzelowane ozdoby na pazury. Spiżowe dzwony rurowe niezwyklej długości, wydające tony tak niskie i głębokie, by rezonowały w samym jej sercu, a także słodko brzmiące dzwoneczki do zawieszenia na wstążkach opadających z głowy. Jedwabne zasłony, ozdobione bogatym haftem i drogimi kamieniami, misternie wykute beczułki pokryte barwną emalią. Perfumy, które do jej komnaty sprowadzały góry, równiny i ocean.

Wszystko to zostało zwrócone – odrzucone, nietknięte.

Więc posłał jej ruńskich tkaczy, których mistrzostwo nie miało sobie równych na żadnym z kontynentów. Wspaniałego kucharza, który robił najdelikatniejsze pasztety i rolady o niezrównanym smaku. Masażystę, bajarza, akrobatów. Wszyscy zostali przyjęci w komnacie szlacheckiej pani, do wszystkich przemówiła uprzejmie i z zainteresowaniem, ale wszystkich odesłała z wyrazami ubolewania. I każdego z nich Hlavin Kitheri przesłuchał osobiście, kiedy powrócili do jego pałacu.

Najdonioślejszy posłał jej więc jedno kruche jajko górskiej *ilny*, umieszczone w gniazdku z wonnego mchu. Później meteoryt, który płonął, spadł z którejś słonecznej sfery, i prosty kryształowy flakon zawierający umbrowy proszek *syn'amonu* spoza tych sfer. Doskonale ukształtowany kwiat *k'na*. Parkę maleńkich *Mori'ai*, których nieco chrapliwe trele dostarczyły niegdyś melodii do najstarszych hymnów, śpiewanych w Mala Njeru o zachodzie słońca.

Wszystko to również zostało odesłane, prócz *hlori'ai*, które Suukmel zatrzymała na jedną noc, oczarowana ich pięknnością, a rano po prostu wypuściła, otwierając klatkę.

Następnego dnia przed główną bramą pałacu Kitheriego pojawiła się Taksayu i oznajmiła odźwiernemu, że chce stanąć przed obliczem Najdonioślejszego. Ku zdumieniu przerażonej służby Hlavin Kitheri wydał polecenie, by wpuścić Runkę do środka i uprzejmie zaprowadzić do jego komnaty.

– Moja pani Suukmel życzy sobie, by ta najpokorniejsza przemówiła w jej imieniu do najszlacheckiego Najdonioślejszego – powiedziała Taksayu, ale ta najpokorniejsza stała przed władcą w zastępstwie swojej pani, więc była spokojna i pełna godności. – Moja pani Suukmel pyta Najdonioślejszego: Czy jestem dzieckiem, które można zjednać podarunkami?

Na te słowa niebiańskie fiołkowe oczy zabłysły groźnie, ale uszy Taksayu nawet nie drgnęły. „Nie zabije cię”, zapewniła ją Suukmel. „Chce czegoś, czego nie może sobie wziąć sam, czegoś, co może być jego tylko dobrowolnie”. Gdyby bowiem Hlavin Kitheri pragnął tylko mieć z nią potomstwo, mógłby dość łatwo zaaranżować śmierć jej małżonka. Mógł ją porwać siłą i w taki sam sposób ją zapłodnić, nawet jeśli oznaczałoby to wojnę z Mała Njerem. Tak więc, zakończyła swój wywód pani Suukmel, tym, czego pragnie Najdonioślejszy, nie jest potomstwo zrodzone z Suukmel Chirot u Vaadai, lecz ona sama.

Rada z zachowania życia, Taksayu ciągnęła dalej:

– Moja pani pyta: Co może osiągnąć ktoś, kto ma sprzymierzeńców związanych z nim potęgą miłości i wierności? Moja pani jest przekonana, że o wiele więcej niż ci, którzy są na świecie samotni, dla których ojcowie są przeszkodą, a bracia rywalami, których synowie wzdychają do ich śmierci, których siostry i córki są wykorzystywane do zapewnienia potulności poddanych, kupowania urzędów lub uspokajania wrogów. – Zamilkła, a po chwili dodała: –

Moja pani pyta: Czy mogę mówić dalej?

Najdonioślejszy wciągnął bezgłośnie powietrze i uniośł podbródek.

– Tak więc moja pani Suukmel radzi Najdonioślejszemu: Po pierwsze, niech zawsze czerpie mądrość od tych, którzy są obdarzeni inteligencją i talentem, ale szczególnie od tych, którzy niezbyt dobrze pasują do godności i stanowisk swoich przodków, bo to oni są niezastąpionym wzorem takiej wierności, jaką moja pani Suukmel obdarza dobrowolnie swojego dobrego małżonka, który z kolei obdarza ją taką swobodą, jakiej oczekuje kobieta honoru. Po drugie, moja pani radzi: Niech Najdonioślejszy przywróci zwyczaj dawnych Najdonioślejszych Inbrokaru, równie stary jak najstarsze pieśni, i weźmie sobie do haremu urodzone trzecie w kolejności kobiety, aby urodziły mu dzieci, które będą bezpłodne i pozbawione dziedzictwa.

Ich status prawny nie zagrozi przyszłym dzieciom zrodzonym z jego przyszłej, a obecnie jeszcze niepełnoletniej małżonki VaPalkirn, co umożliwi zachowanie wszystkich korzyści, jakie daje sojusz ze wschodem. Moja pani pyta: Czy mogę mówić dalej?

Już na nią nie patrzył, ale odpowiedział:

– Mów.

– Skoro Najdonioślejszy wyraża zgodę, moja pani Suukmel mówi: Wolno urodzone dzieci z haremu mogą pewnego dnia zatańczyć w świetle dnia i w chwale słońc, sprzyjając żywionemu przez ich ojca pragnieniu zmiany bardziej, niż może sobie teraz wyobrazić. Moja pani mówi:

Niech Najdonioślejszy rozważy, które z jego dzieci warto nauczyć śpiewać nowe pieśni. Niech odda to dziecko pani Suukmel na wychowanie, bo w tym będzie ona jego współnikiem, a takie dziecko może być mostem między tym, co jest, a tym, co może być. Moja pani pyta: Czy mogę mówić dalej?

– Tak – powiedział Najdonioślejszy, ale niewiele do niego docierało z tego, co Runka po tym mówiła.

Hlavin Kitheri poczuł bowiem w duchu gorący podmuch wypełniający jakiś dziedziniec, ujrzał w wyobraźni, jak łagodny wietrzyk łechce skraj jedwabnego namiotu i lekko unosi przejrzystą tkaninę, na szerokość dłoni ponad kamienie, ukazując stopy delikatne jak powiew wczesnego poranku. Na krótko wyłoniły się kostki – silne, cudownie ukształtowane, ozdobione bransoletami i klejnotami. Ach, a potem wziąć to, czego tak pragnie, a nie tylko to, co mu teraz ofiarowuje...

Szczerłość. Przymierze. Rozum równy jego rozumowi. Nie wszystko, czego pragnął, ale – jak pojął – wszystko, co mu chciała dać.

– Powiedz swojej pani, że jest tym wszystkim, o czym krążą pogłoski – rzekł Hlavin Kitheri, kiedy Runka umilkła. – Powiedz jej, że... – Wstał i utkwiał w niej wzrok. – Powiedz... że jestem wdzięczny za jej rady.

GIORDANO BRUNO

2063 czasu ziemskiego

– Kiedy byłem małym chłopcem, chciałem zostać terrorystą – wyznał Joseba Urizarbarrena.

– To tradycja rodzinna... moje obie babki należały do ETA. Nazywaliśmy się bojownikami wolności, rzecz jasna. Lepiej?

– Tak – wydyszał Sandoz.

– Dobrze. Teraz spróbujemy z drugą. – Sandoz wyciągnął drugą rękę i pozwolił, by Bask oparł jego przedramię na swoim uniesionym kolanie.

– To nie zawsze działa – ostrzegł Joseba, uciskając kciukami przestrzeń między kośćmi długimi, póki nie odnalazł miejsca, w którym mięsień przechodził w ścięgno. – Kiedy miałem osiem lat, mój wuj stracił prawie całą prawą rękę. Wiesz, jak nazywają zbyt wczesny wybuch bomby? Przedwczesne zdemontowanie.

Sandoz parsknął śmiechem, co ucieszyło Josebę. Mimo że był otumaniony lekiem, dostrzegał zabawność gry słów, choć na inne przejawy dowcipu zupełnie nie reagował.

– Moja ciotka uważała, że wuj udaje ból, żeby wymusić współczucie – rzekł Joseba, naciskając teraz mocno. – Często powtarzała: Zdechłe psy nie gryzą. Przecież ręki już nie ma.

Jak może boleć coś, czego nie ma? Wuj odpowiadał: Ból jest jak Bóg. Niewidzialny, niepojęty, wszechmocny...

– I trudno z Nim wytrzymać – wyszeptał Sandoz drżącym głosem. – Jak z twoją ciotką.

– Masz całkowitą rację – odpowiedział z przekonaniem Joseba, pochylony nad jego ręką.

Przesunął nieco kciuki i wzmocnił ucisk, wciąż nieco zdziwiony, że znalazł się w takiej sytuacji. Obudził się o drugiej w nocy z pełnym pęcherzem i znalazł Sandoza miotającego się po wspólnym pomieszczeniu jak zwierzę po klatce. „Co ci jest?”, zapytał, ale reakcją na jego zatroskanie było gniewne warknięcie. Sandoz należał do ludzi, którym niełatwo pomóc, a Joseba wiedział z doświadczenia, że tacy najbardziej pomocy potrzebują.

Obawiając się, że pozostawi mu siniaka i czując straszliwe parcie na pęcherz, Joseba zamierzał już przerwać masaż, kiedy usłyszał krótki, głośny szloch.

– Tak? – zapytał, chcąc się upewnić.

Sandoz zamarł w bezruchu. Oczy miał zamknięte, twarz ściągniętą, nie oddychał. Joseba siedział spokojnie, dobrze znając tę reakcję; jego wuj potrzebował zwykle kilkunastu sekund, by uwierzyć, że ból naprawdę ustąpił. W końcu Sandoz odetchnął i otworzył oczy. Sprawiał wrażenie oszołomionego, ale wystękał: „Dzięki”. Potem zamrugał oczami, wyprostował się i opadł na oparcie krzesła.

– Nie mam pojęcia, dlaczego to działa – powiedział Joseba.

– Może bezpośredni nacisk na nerwy w górnej części ręki przerywa sygnały promieniowe? – podsunął Sandoz. Głos miał wciąż trochę rozedrgany.

– Może. – Nawet jeśli to tylko siła sugestii, pomyślał Joseba, to działa, bo działa. – Gdybyś mi o tym powiedział wczoraj, mógłbym ci pomóc wcześniej.

– Skąd miałem wiedzieć, że w twojej rodzinie byli niezdarni zamachowcy? – zapytał rozsądnie Sandoz.

– Mój wujek zwykle płakał. Po prostu siedział i płakał. A ty chodzisz.

– Czasami. – Sandoz wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. – Najlepsza jednak jest praca.

– Teraz nie pracujesz – zauważył Joseba.

– Chyba bym nie mógł. Quell zwykle pomaga... w końcu połowa bólu to strach. Ale tym razem było ostro.

Joseba wstał, czując, że dłużej nie wytrzyma.

– Czy wiesz – zapytał, ruszając w kierunku toalety – że jutrznię wymyślili starzy mnisi mający kłopoty z prostatą? Skoro i tak trzeba wstać, to można się pomodlić...

I odszedł, kołysząc się jak niedźwiedź, ale kiedy wrócił, czując błogosławioną ulgę, Sandoz wciąż siedział w ciemnej mesie. Gdyby chciał być sam, poszedłby do swojej kabiny, pomyślał Joseba. Trzeba korzystać z okazji.

– Właśnie czytałem sobie Księgę Hioba. „Czy widziałeś drzwi do ciemności? Czy połączysz gwiazdy Plejad? Rozluźnisz więzy Orion?” – Oparty o przegrodę, machnął ręką ku zagadkowej ciemności, która ich otaczała. – Dzisiaj człowiek mógłby odpowiedzieć: Prawie tak. Dotarliśmy do źródeł morza, doszliśmy do dna otchłani. Zbadaliśmy przestworza Ziemi, wymierziliśmy ją. „Czy wysyłać możesz błyskawice? Czyś w życiu rozkazał rankowi?” A my jesteśmy tuż pośród gwiazd!

Pokręcił głową, ogarnięty szczerym zdumieniem, a po chwili powiedział:

– Wiesz, ta muzyka się zmieniła. Po waszej wyprawie na Rakhat.

– Jeśli chodzi o Hioba, to osobiście wolę przekład Wolfera – stwierdził Sandoz. – Więc dlaczego terroryzm stracił dla ciebie urok?

– Aha. Zmieniamy temat – zauważył spokojnie Joseba. – Nie stracił, w każdym razie nie na długo. Hiszpania i Francja w końcu uznały: Niech szlag trafi tych Basków, komu oni są potrzebni! No więc przez jakiś czas walczyliśmy między sobą. Weszło nam to w krew. – Spojrzał na Sandoza. – Czy wiesz, że głos Hlavina Kitheriego słyszano jeszcze prawie przez rok po twoim wylocie z Rakhatu, a potem zamilkł na dobre?

– Może umarł – odpowiedział Sandoz kpiącym tonem – a przedtem długo się męczył. Czym się zająłeś, kiedy terroryzm przestał być drogą do kariery?

– Polowałem. W tym zakątku świata, z którego pochodzę, wciąż się poluje. Żyłem w górach, otoczony tym, co jeszcze zostało z przyrody. Myśliwy... dobry myśliwy... często identyfikuje się ze zwierzyną. Jedno prowadzi do drugiego. Zacząłem studiować ekologię.

– A jak z uniwersytetu trafiłeś do seminarium? Może zakochałeś się w cudzie Bożego stworzenia?

Cichy, spokojny głos był dziwnie bezbarwny. Nieruchomą twarz ledwo było widać w słabej poświacie żółtych i zielonych wskaźników sączącej się z pulpitu sterowni.

– Nie – przyznał szczerze Joseba. – Ostatnio trudno jest dostrzec cud stworzenia, w każdym razie na Ziemi. W czasie twojej nieobecności bardzo się pogorszyło. Ekologia zamieniła się w naukę o degradacji przyrody. Teraz zajmujemy się głównie tym, co było, próbując zrekonstruować zniszczone systemy i przywrócić zachwianą równowagę. Ale presja przeludnienia jest tak silna, że za każdy krok do przodu płacimy dwoma krokami do tyłu. W tej dyscyplinie trudno o satysfakcję.

Przeszedł przez ciemne pomieszczenie i usiadł w pobliżu Sandoza; plastikowe krzesło zatrzeszczało pod jego ciężarem.

– Kiedy widzisz jakiś uszkodzony system, szukasz przyczyny i cieszysz się, jak ją znajdziesz, bo wtedy wydaje ci się, że łatwo to uszkodzenie usunąć. Jako student przyglądałem się nocnym zdjęciom Ziemi zrobionym przez satelitę. Połączone nitkami dróg i przedmieściami skupienia światła miejskich przypominały mi kolonię streptokoków wyhodowaną w laboratorium. Doszedłem do wniosku, że *Homo sapiens* był chorobą, która zaatakowała Gaję.

Ziemia chętnie by się od nas uwolniła. Miałem dziewiętnaście lat, a w ciągu mojego życia ludność Ziemi powiększyła się dwukrotnie, z siedmiu do czternastu miliardów. Znienawidziłem ten gatunek, który nazwał się rozumnym. Chciałem wyleczyć Gaję z choroby naszego gatunku.

Zacząłem się poważnie zastanawiać, jak dokonać eksterminacji dużej liczby ludzi, oczywiście w taki sposób, żeby mnie nikt nie złapał. Uwierzyłem, że jestem bohaterem altruistą, samotnym obrońcą planety. Zmieniłem specjalizację. Uznałem, że najpożyteczniejszą dyscypliną będzie wirusologia.

Sandoz wpatrywał się w niego, milcząc. Dobry znak, pomyślał Joseba. Jest pod działaniem leku, ale zachował zdolność oceny moralnej.

– Jak już powiedziałem – ciągnął rzeczowym tonem – terroryzm nie stracił dla mnie uroku.

Miałem wtedy dziewczynę. Zerwałem z nią. Chciała mieć dzieci, a mnie dzieci napępiały obrzydzeniem. Nazywałem je wektorami choroby. Patrzyłem na takich ludzi jak Nico i myślałem: Oto skutki nieudanej aborcji. Jeszcze jeden wirus, który potrafi tylko jeść i myśleć o sobie.

Gdzieś w głębi zaskoczył kompresor i jego buczenie zmieszało się z cichym bulgotaniem napowietrzanej wody w zbiorniku i nieustannym szumem wentylatorów. Sandoz się nie poruszał.

– Kiedy się rozstawaliśmy, moja dziewczyna powiedziała mi, że to okrutne i niegodziwe pragnąć śmierci ludzi, których jedynym grzechem było przyjście na świat w okresie, kiedy ludzi jest już za dużo. – Zamilkł na chwilę, próbując sobie przypomnieć jej twarz i zastanawiając się, jak wygląda teraz, dochodząc do pięćdziesiątki. – Otworzyła mi oczy, chociaż później już nigdy z nią nie rozmawiałem. Trochę mi to zajęło czasu, ale w końcu zacząłem poszukiwać powodu, by uwierzyć, że ludzie nie są tylko gatunkiem bakterii. Jeden z moich profesorów był jezuitą.

– A teraz lecisz na planetę, na której rozumne gatunki nie niszczą środowiska. Chcesz zobaczyć, czym za to płacą?

– Chyba po to, żeby odpokutować za swoje grzechy. – Joseba wstał i przeszedł do sterowni, skąd mógł spojrzeć na gwiazdy i niezgłębioną czerń przestrzeni kosmicznej. – Czasami myślę o dziewczynie, której nie poślubiłem. – Popatrzył przez ramię na Sandoza, ale nie dostrzegł żadnej reakcji. – Gdzieś wyczytałem o ciekawym pomysłe. Tymi narodami, które najbardziej kalają planetarne gniazdo, i tymi, które mają najbardziej niszczycielskie arsenały, powinny rządzić wyłącznie kobiety z małymi dziećmi. Takie matki najbardziej myślą o przyszłości, a jednocześnie muszą dzień w dzień stawiać czoło rzeczywistości ludzkiej natury. To sprawia, że mają jakąś szczególną intuicję.

Joseba wyprostował się, przeciągnął i ziewnął, a po chwili zniknął za grodzia.

– Dobranoc! – zawołał z korytarza wiodącego do kabin. Sandoz jeszcze przez długi czas siedział samotnie w mesie, a potem i on wrócił do swojej kabiny.

– Ja się nie kłóczę, jestem tylko zaskoczony – powiedział John Candotti ojcu generałowi parę miesięcy przed startem. – Wszyscy inni są naukowcami. Moją specjalnością są śluby i chrzty. Pogrzeby. Może szkolne przedstawienia? Wyciąganie facetów z aresztu? – Kiedy indziej taki pytający ton mógłby ojca generała sprowokować do wybuchu, ale tym razem Vincenzo Giuliani wpatrywał się w niego spokojnie, a milczenie rozmówcy zawsze pobudzało Johna do tego, by mówić więcej i szybciej. – Redagowanie kościelnych biuletynów? Łagodzenie kłótni między kierownikiem chóru a liturgistą? Nie bardzo widzę, co z tego mogłoby się tam przydać. No, może odprawianie egzekwii. – Odchrząknął. – Zrozum, nie chodzi o to, że nie chcę lecieć, po prostu znam paru facetów, którzy oddaliby nerkę, żeby wziąć udział w tej wyprawie, a nie mam pojęcia, dlaczego wysyłasz właśnie mnie.

Ojciec generał przeniósł wzrok z jego twarzy na drzewa oliwkowe pokrywające kamieniste wzgórza wokół domu rekolekcyjnego. Potem zaczął powoli odchodzić, jakby zapomniał o obecności Candottiego, lecz po chwili przystanął i odwrócił się do niego.

– Będą potrzebować kogoś, kto potrafi przebaczać – powiedział.

Aha, więc nadeszła pora, by przebaczyć Danny'emu Żelaznemu Koniowi, pomyślał teraz John.

W swojej parafii, w Chicago, John był znany z wyrozumiałości w konfesjonale – kiedy spowiadał, penitent nie czuł się jak trzyletnie dziecko, które narobiło w majtki. „Każdemu z nas zdarza się zawieść”, mówił ludziom. Większość z tego, co wyznawali na spowiedzi, miała swoje źródło w bezmyślności, braku współczucia, obojętności. Albo w bałwochwalstwie – kiedy ich bogiem stawały się pieniądze, władza, kariera czy seks. John wiedział z własnego doświadczenia, jak łatwo dać się wciągnąć w coś, czego się wcale nie chce, jak łatwo o przekonanie, że człowiek da sobie radę w jakiejś potencjalnie szkodliwej sytuacji, jak łatwo brnąć dalej, choć już widać, że brnie się po kolana w gównie. Potrafił pomóc ludziom zrozumieć, co i dlaczego zrobili, żeby ze zła mogli uczynić dobro.

Ale Daniel Żelazny Koń nie nawalił. Nie popełnił błędu, nie był nawet ofiarą samooszukiwania się. Dobrowolnie, z pełną świadomością wziął udział w czynie niezgodnym z prawem, etyką i moralnością. To, że mógł w tym również maczać palce Vincenzo Giuliani, a nawet sam Gelazy III, budziło w Johnie jeszcze większe obrzydzenie, ale tych dwóch tu nie było, więc nie można było ich oskarżyć. Tu był tylko Danny Żelazny Koń; był tutaj dzień w dzień, noc w noc, a jego milczenie zdawało się potwierdzać ocenę Johna: to człowiek przeżarty pychą, stoczony rakiem ambicji.

Po raz pierwszy w życiu John nie odczuwał dobroczynnych skutków mszy. Celebrowanie eucharystii było dla niego zawsze chwilą wewnętrznej odnowy, zwłaszcza gdy czuł wokół siebie obecność tych, którzy oddali swoje życie całkowicie do dyspozycji Boga. Teraz, na pokładzie *Giordana Bruna*, msza była tylko codziennym przypomnieniem podziału i wrogości; samo słowo „komunia” wydawało mu się szyderstwem.

John bardzo chciał porozmawiać z Emiliem, ale ten traktował go tak, jak innych członków załogi: z chłodną i sztuczną uprzejmością. „Dałem słowo, że nie będę przeszkadzał Carlowi w jego planach”, tylko tyle od niego usłyszał.

Joseba Urizarbarrena zdawał się stosować politykę niezaangażowania: najczęściej przesiadywał w swojej kabinie, opuszczając ją tylko po to, by przynieść sobie coś do zjedzenia i wynieść brudne talerze. Najwyraźniej unikał wszystkich, jezuitów i świeckich. Którejś nocy John dorwał go wreszcie w sterowni i zapytał, co o tym wszystkim sądzi.

– Trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób można to usprawiedliwić – odrzekł Bask. – Ale... pamiętasz, jak się nazywał ten pirat, który przewiózł Franciszka Ksawerego do Japonii?

– Avan o Ladrao, czyli Avan Złodziej. Może Bóg korzysta z takich narzędzi, które akurat są pod ręką, nawet z tych pokrzywionych lub połamanych.

Kiedy John zaprotestował, Joseba poradził mu krótko:

– Porozmawiaj z Seanem.

Niewiele to dało, bo Irlandczyk, zapytany o to samo przez Johna, odpowiedział z wyraźnym rozdrażnieniem:

– Pilnuj swojego nosa.

John zrozumiał, że ten temat był dla Seana tabu, bo wiązała go tajemnica spowiedzi. Nigdy się jednak nie poddawał, więc w końcu postanowił zaatakować samego Żelaznego Konia.

– Moje grzechy to moja sprawa – usłyszał w odpowiedzi. – Znasz fakty, więc sam wyciągnij wnioski. Czy papież i ojciec generał to oszuści? A może rozumiesz mniej, niż ci się wydaje?

Tak więc nikt nie chciał dostrzec jego problemu, a i potrzeba porozmawiania z kimkolwiek pozostała niezaspokojona. Zaczął się zastanawiać nad innymi. Nie wiedział do końca, czy Nico jest rzeczywiście niedorozwinięty, ale trudno było założyć, że ma jakieś rozeznanie dobra i zła.

Carlo Giuliani lubił cytować Marka Aureliusza, ale Johnowi bardziej przypominał Kaligulę, z tym jego zamiłowaniem do przepychu i samouwielbieniem. W każdym razie wydawał się bardziej niebezpieczny niż reszta.

Pozostawał Fat Frans.

– Mnie pytasz? – zawołał Afrykaner, kiedy pewnego ranka znaleźli się sami we wspólnym pomieszczeniu, nie licząc Nica, którego obecność wszyscy ignorowali. – No cóż, Johnny, mogłeś trafić gorzej. Wykładałem filozofię w Bloemfontein...

– Filozo... A niech cię szlag, to w jaki sposób skończyłeś jako pilot kamorry? – zdumiał się John.

Fat wzruszył ramionami.

– Odkryłem, że obecnie filozofia to raczej rodzaj stosunku do życia, a nie droga do kariery. Rynek pracy trochę się skurczył od czasu Oświecenia. Kamorra oferuje konkurencyjne zarobki, naprawdę niezłą emeryturę i bardzo dobre ubezpieczenie zdrowotne. Jeśli nie zostaniesz świadkiem oskarżenia, zapewniają ci też całkiem przyzwoity pogrzeb.

John prychnął kpiąco i powrócił do obgryzania jednego z paznokci, co stanowiło istotną część jego diety w ostatnich dniach.

– Ale mimo to – dodał Frans przyjaznym tonem i z rozpoznawalnym akcentem rodowitego mieszkańca Johannesburga – twój problem uważam za dość interesujący. Osobiście nie mam wyrobionego zdania na temat Boga, ale muszę ci powiedzieć, że dla mnie cały Kościół katolicki to jedno wielkie oszustwo, razem z jego wszystkimi diabełkami, elfami i czarnymi papieżami jako szczególnymi przypadkami ogólnej oferty światopoglądowej.

– Ja ciebie też pieprzę – powiedział wesoło John i zabrał się do drugiego paznokcia.

– Oto prawdziwy dżentelmen i uczonec – zauważył Frans, wznosząc w toaście filiżankę z kawą. – No cóż, wobec tego może powinniśmy poszukać jakiegoś aksjomatu, na który moglibyśmy się obaj zgodzić? – Przez chwilę wpatrywał się w sufit. – Odczuwasz potrzebę odkrycia jakiegoś ukrytego sensu tego wszystkiego, tak? Czegóż, co uwolni cię od tego żalostnego bałaganu, który masz w sobie.

John odchrząknął, pracując nad palcem wskazującym.

– To wcale nie jest trudne! – pocieszył go Frans. – Jeśli tylko ma się dość szerokie horyzonty myślowe, jeśli ma się zmysł historyczny albo dostatecznie sprawną wyobraźnię, można odnaleźć ukryty sens we wszystkim. Weźmy, na przykład, sny. Słyszałeś o *Libro delia Smorfial* – John pokręcił głową. – Neapolitanczyki, nawet ci po wyższych studiach, zawsze mają przy łóżku sennik. Pierwszą rzeczą, jaką robią rano, nawet przed wysiusianiem się, jest sprawdzenie, co oznacza sen, który mieli w nocy. Długie podróże, nieznanymi osobami, unoszenie się w powietrzu... Wszystko coś oznacza.

– Zabobon – powiedział lekceważąco John. – Herbaciane fusy i karty tarota.

– Nie bądź prostakiem, Johnny. Nazwijmy to psychologią.

– Frans wyszczerzył zęby, obfite fałdy rozlały mu się wokół ust.

Zadaniem uczonego jest odnalezienie wzorów w przyrodzie lub cyklów w historii. Nie jest trudno odnaleźć wizerunki zwierząt i herosów na gwieździstym niebie. Powstaje jednak pytanie: Czy odkryłeś jakąś odwieczną prawdę? albo: Czy nadajesz jakieś arbitralne znaczenie wszystkiemu, co bierzesz pod rozwagę?

– Tak. Może i na jedno, i na drugie – odpowiedział John. – Nie wiem.

Przestał gryźć paznokcie i spostrzegł, że jeden z palców krwawi.

– Aha. Nie wiem. Oto prawda, na której można polegać. – Frans uśmiechnął się dobrodusznie; w nalanej, pastelowej twarzy pojawiły się drobne żółtawe zęby. Uwielbiał takie rozmowy, a w ciągu tych wielu lat, kiedy woził po Układzie Słonecznym bandziorów i twardzieli, rzadko mógł sobie na nie pozwolić. – Sama rozkosz. Odgrywam rolę adwokata diabła w procesie jezuita! A może – pomyślał głośno – może Abraham wynalazł Boga, bo chciał nadać znaczenie chaotycznemu, prymitywnemu światu? A my zachowaliśmy wiarę w tego wynalezionej Boga i twierzimy, że nas kocha, bo boimy się wielkiego i obojętnego wszechświata?

John popatrzył na niego i ocenił w myślach własną odpowiedź, ale zanim zdążył przemówić, zapomniany Nico zaskoczył ich obu uwagą:

– A może właśnie kiedy się boisz, możesz usłyszeć Boga, bo nasłuchujesz uważnie?

Było to ciekawe spostrzeżenie, ale, niestety, nie dla Johna Candottiego, który mógł zostać w każdej chwili wyspany z łuku promu w przestrzeń kosmiczną, co kojarzyło mu się tylko z krwawą plamą.

– Nie wiem – powtórzył po długim milczeniu.

– Kondycja ludzka – westchnął Frans z teatralną przesadą.

– Jakże cierpimy z powodu naszych lęków i naszej niewiedzy! – Rozpromienił się nagle. – I dlatego żarcie i seks sprawiają tyle przyjemności. Jadłeś już? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, wstał i powłókł się w stronę kuchni, pozostawiając Johna wysysającego krew z palca.

Candottiego już nie było, kiedy Frans wrócił do stołu z pełnym talerzem. Uśmiechnął się do Nica siedzącego w kącie i nucącego *Questo o quella z Rigoletto* – jedynej opery, która się Fransowi naprawdę podobała.

– Nico – zaczął Frans, kiedy usiadł za stołem – ostatnie kilka tygodni spędziłem na uważnej obserwacji naszych podróżników i w przeciwieństwie do Candottiego, którego dręczą lęki egzystencjalne, doszedłem do nieuniknionego wniosku. Chciałbyś to usłyszeć? – Nico przestał nucić i spojrzał na niego: nie z oczekiwaniem, ale uprzejmie. Nico zawsze był uprzejmy. – Oto moja konkluzja, Nico. Uwierzę w cuda, jeśli ktokolwiek z nas wróci żywy z tej wyprawy – oświadczył z ustami pełnymi *paglio fieno*. – Nico, wiesz, kto to jest Runao?

– Marka starego samochodu?

Frans wypił łyk *moscato d'Asti* i nabrał kolejną *porcję paglio*.

– Nie, Nico, pomyliło ci się z Renault. Runao to jeden z Runów, ludu, który żyje na Rakhacie, dokąd zmierzamy. – Nico pokiwał głową. – Runao to coś w rodzaju krowy, która ma swoje zdanie. – Przez chwilę żuł w milczeniu, apotem przełknął. – Jego wysokość don Carlo jest megalomanem, którego ambicją jest zapanowanie nad narodem mówiących krów. Aby wypełnić tę szlachetną misję, zebrał do kupy cyrkowego dziwoląga, przygłupa, czterech księży i kalekę, którego trzeba było zbić do nieprzytomności, żeby go wsadzić na pokład tego statku. – Frans pokręcił głową, ale natychmiast przestał, bo jego szczęki i podbródek poruszały się w zupełnie innym rytmie niż głowa. – Księża myślą, że lecą na Rakhat, żeby krzewić dzieło Boże, ale czy wiesz, Nico, dlaczego znaleźliśmy się tutaj my dwaj, ty i ja?

– Bo ja jestem tak cholernie gruby, że i tak nie będę się już w życiu pieprzył, więc wszystko mi jedno. A ty jesteś za głupi, żeby powiedzieć „nie”. Carlo nie zdołał namówić nikogo innego.

– Nieprawda – powiedział Nico z łagodnym przekonaniem. – Don Carlo postanowił lecieć, bo się dowiedział, że szefem ma zostać jego siostra Carmella.

Frans puścił do niego oko.

– Wiedziałeś o tym?

– Wszyscy wiedzieli, nawet japońska jakuza. Don Carlo był bardzo zakłopotany.

– Masz rację – przyznał Frans, zwłaszcza że nie chciał mieć żadnych kłopotów. Carlo był szefem, a Nico zrobiłby dla niego wszystko; kiedyś o mało nie zabił faceta, który złożył Carlowi skórę w bilardzie. – I przepraszam cię, Nico, że nazwałem cię głupcem.

– Powinieneś też cofnąć to, co powiedziałeś o Runach, Frans.

– Cofam to, co powiedziałem o Runach – zgodził się ochotczo Frans.

– Bo Runowie nie są krowami. To dobrzy ludzie – oświadczył Nico.
– Żli są ci Jana.

– Ja tylko żartowałem, Nico.

Choć wieloletnie doświadczenie dowodziło czegoś zupełnie przeciwnego, Frans wciąż miał nadzieję, że Nico nauczy się kiedyś rozpoznawać ironię i sarkazm. Co wyraźnie wskazuje, kto tu naprawdę jest głupi, pomyślał Frans, nawijając na widelec nową porcję makaronu.

– Modlisz się, Nico? – zapytał, żeby zmienić temat.

– Rano i przed snem. *Zdrowaś Mario.*

– Jak cię nauczyły siostry, co?

Nico kiwnął głową.

– Nazywam się Niccolo d’Angelli. „D’Angelli” znaczy „od aniołów”. Stamtąd właśnie przyszedłem, zanim trafiłem do domu. Aniołowie mnie podrzucili. Modłę się rano i przed zaśnięciem. *Zdrowaś Mario.*

– *Brav’scugnizz*, Nico. Jesteś dobrym chłopcem – powiedział Frans, myśląc: W genealogii aniołów, którzy cię podrzucili, musi brakować kilku ostatnich imion, przyjacielu. – A więc wierzysz w Boga, prawda, Nico?

– Tak, wierzę – potwierdził z powagą Nico. – Siostry mi powiedziały.

Frans żuł przez chwilę w milczeniu.

– Mam swoją małą hipotezę na temat Boga, Nico – powiedział, przelżykając makaron. – Chcesz ją poznać?

– Co to jesthi...

– Hi-po-te-za. Myśl. Pomyśl. Przypuszczenie. Rozumiesz, Nico? – Nico kiwnął niepewnie głową. – Oto mój pomysł. Jest taka stara opowieść o pewnym facecie i kocie...

– Lubię koty.

Po co ja to robię, zapytał się w duchu Frans, ale brnął dzielnie dalej.

– Tym facetem był słynny fizyk Schrodinger... Nie przejmuj się, Nico, nie musisz zapamiętywać tego nazwiska. Schrodinger powiedział, że coś nie jest prawdziwe, jeśli nie ma kogoś, kto to zaobserwuje. Powiedział, że to obserwacja sprawia, że coś staje się prawdziwe.

Nico wyglądał żałośnie.

– Nie przejmuj się, Nico. Zaraz ci pomogę to zrozumieć. Schrodinger powiedział, że jeśli się włoży do pudła kota i... no, powiedzmy talerz dobrego żarcia i talerz zatrutego żarcia, a potem zamknie pudło...

– To niegodziwe – powiedział Nico, zadowolony, że mowa jest o konkretnie.

– Niegodziwe jest też wytrząsanie flaków z byłych księży, Nico – wyjaśnił mu Frans, wpychając sobie do ust kolejną porcję makaronu. – Nie przerywaj mi. No więc kot jest w pudle i może zjeść dobre żarcie albo złe żarcie. Może być żywy, ale może być martwy. A wiesz, co powiedział Schrodinger? Że kot nie jest ani żywy, ani martwy, dopóki ktoś nie zajrzy do środka i nie stwierdzi, że kot jest żywy lub martwy.

Nico zastanawiał się długo.

– Można przyłożyć ucho i posłuchać, czy mruczy.

Frans przerwał na chwilę przeżuwanie i wycelował w Nica widelec.

– I dlatego jesteś bandziorem, a nie fizykiem lub filozofem. – Przelknął i mówił dalej: – No i na tym polega mój pomysł co do Boga. Uważam, że jesteśmy podobni do tego kota w pudle, a Bóg do faceta poza tym pudłem. Myślę, że jeśli kot wierzy w faceta, to ten facet tam jest. A jeśli kot jest ateistą, tego faceta tam nie ma.

– Może jest jakaś pani – zaproponował Nico.

Frans zakrzuszył się makaronem i przez chwilę kaszłał.

– Może i tak, Nico. Ale wiesz, co myślę? Myślę, że skoro wierzysz w Boga, to może Go spotkasz, jak wyleziesz z tego pudła. – Nico otworzył usta, potem je zamknął i zrobił taką minę, jakby miał się za chwilę rozpląkać. – Nie przejmuj się, Nico. Jesteś dobrym chłopcem, a jestem pewien, że na dobrych chłopców Bóg będzie czekać.

Wstał i poszedł do kuchni po deser.

– I właśnie dlatego chcę, żebyś się o coś pomodlił – zawołał, grzebiąc w skrzyniach. – Bo dla ciebie Bóg istnieje, a może nie istnieć dla ludzi, którzy nie są pewni, czy w Niego wierzą. – Wrócił do stołu z wielkim kawałem ciasta ze Schwartzwaldu. – Chcę, żebyś się pomodlił o cud. Dobrze, Nico?

– Nie ma sprawy – zgodził się skwapliwie Nico.

– To dobrze. A teraz powiem ci, na czym polega mój problem. Czy wiesz, dlaczego jestem taki gruby, Nico?

– Bo wciąż jesz.

– Jestem Afrykanerem, Nico. Jedzenie jest naszym sportem narodowym. Ale i przedtem wciąż jadłem, pamiętasz? I dwa lata temu wcale nie byłem taki gruby! Czasami, kiedy jesteśmy w przestrzeni kosmicznej, nasze DNA... instrukcje, które sprawiają, że twoje ciało działa, rozumiesz? Więc nasze DNA zostaje zbombardowane przez kilka atomów kosmicznego pyłu. To właśnie przytrafiło się mnie, Nico. Jakaś drobinka kosmicznego gówna, zmierzająca ku krawędzi wszechświata, przypadkowo uderzyła w ważny fragment mojej biologicznej maszyny i narobiła tam niezłego bigosu...

Odtąd, cokolwiek zjadł, zostawało całkowicie przyswojone przez jego organizm; każdy erg energii zostawał wydarty z każdej molekule wodoru, tlenu, węgla czy azotu i magazynowany w tych okropnych, paranoicznych komórkach tłuszczu spodziewających się straszliwego głodu, by wezwać je do heroicznego ratunku ciała, które teraz było powoli i nieubłaganie zatrufane.

– Walczyłem z tym, Nico. Na początku z tym walczyłem. Ćwiczyłem jak maniak. Głodziłem się. Łaziłem od doktora do doktora.

Brał wszystkie leki, jakie mu ktoś przepisał lub sprzedał, ale nic nie pomagało, robił się coraz większy i większy, coraz bardziej sobie obcy, coraz bardziej przerażony perspektywą zawału serca lub marskości wątroby.

Znajdował w tym jakąś poetycką sprawiedliwość, a takie rzeczy traktował z filozoficznym spokojem. Przez lata sam czerpał zysk z wiary innych ludzi w cudowne uzdrowienie. Carlo uprawiał ten proceder prawie przez dziesięć lat, zanim go wytropiły przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe. Jak wilk polował tylko na słabych, wybierając tych najbogatszych i najbardziej chorych, najbardziej zrozpaczonych i podatnych na sugestię, zapewniając swoich półżywych pasażerów, że jeśli będą poruszać się z odpowiednią szybkością, czas dla nich spowolnieje, a kiedy wrócą, medycyna zrobi takie postępy, że poradzi sobie z ich chorobami i wróci do domu zdrowi. Carlo potrafił być bardzo przekonujący i okazywał swym ofiarom współczucie: wyjaśniał im, że teraz nie muszą za nic płacić, wystarczy, jak wymienią w polisie firmę Anioły Miłosierdzia S.A. jako dysponenta ubezpieczenia na życie.

Były to, oczywiście, bzdury. Frans zabierał ich na pokład statku kosmicznego i przez kilka tygodni krążył z nimi po orbicie Ziemi, uruchamiając jedną czwartą mocy silników, z dala od sceptycznej kontroli komisji etyki lekarskiej i inwigilacji policji. Ofiary niczego się nie domyślały. Większość umierała sama, a resztę wysyłali na tamten świat zatrudnieni przez Carla, wiecznie pijani lekarze.

Lecz teraz Carlo dorwał się do czegoś naprawdę wielkiego i Frans Vanderhelst pilotował statek kosmiczny lecący na Rakhat, którego prędkość coraz bardziej zbliżała się do prędkości światła. I tym razem to sam Frans był żalonym, głupim dupkiem, który miał nadzieję, że w ciągu czterdziestu lat jego nieobecności na Ziemi ktoś wpadnie na pomysł, jak sprawić, by jego ciało stało się znowu normalne. Bo pod coraz grubszymi pokładami tłuszczu, za świńskimi oczkami wyzierającymi spomiędzy nadętych, ciastowatych policzków krył się mężczyzna, który miał zaledwie trzydzieści sześć lat, mężczyzna w kwiecie wieku. A Frans Vanderhelst bardzo chciał żyć.

– No więc powiem ci, o jaki cud masz się modlić, Nico, dobrze? – powiedział Frans, odkładając widelec. – Módl się, żebyśmy wrócili na Ziemię żywi i żeby po powrocie znalazł się ktoś, kto mi załatwi, że będę mógł jeść i być normalnym człowiekiem. Rozumiesz, Nico?

Nico kiwnął głową.

– Modlić się, żebyśmy wrócili żywi i żebyś ty był normalny.

– Świetnie, Nico. O to chodzi. Doceniam to – powiedział Frans, kiedy Nico wrócił do swojego Verdiego, rozpoczynając arię księcia Mantui dokładnie w tym miejscu, w którym ją przerwał kilkanaście minut wcześniej.

Frans siedział jakiś czas przy stole, rozmyślając o zakładzie Pascala. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że naprawdę docenia modlitwy Nica. Ostatecznie, pomyślał, agnostyk wie tylko jedno: że nigdy się niczego nie wie.

21

DOLINA N'JARR, PÓŁNOCNY RAKHAT 2078-2085 czasu ziemskiego

Podczas ostatnich dni życia Daniel Żelazny Koń często wpatrywał się w potrójne cienie na ścianach swojego kamiennego domu w dolinie N'Jarr i myślał o przeszłości. Do końca zachował jasność umysłu, ale jego myśli nieustannie powracały do tych strasznych miesięcy spędzonych na pokładzie *Giordana Bruna*. Wydawało mu się, że egzystował wówczas w czymś w rodzaju milczącej otchłani, z utęsknieniem wypatrując końca kary, podczas gdy na Rakhacie lata mijały szybko.

Jego pokuta rozpoczęła się w chwili, kiedy zgodził się na to porwanie. Taką samą pokutę zadał Vincenzowi Giulianiemu – żyć z tym, co zrobił. On sam dostał jednak lżejszy wyrok.

Wciąż miał nadzieję, że będzie żył dostatecznie długo, by poznać odpowiedź na pytanie, które Giuliani zabierze do grobu: A jeśli myślę się we wszystkim?

Danny zadawał sobie to pytanie wciąż i wciąż, w miarę jak mijały tygodnie spędzone w Neapolu w towarzystwie tego człowieka, którego zamierali nieodwracalnie skrzywdzić, prawdopodobnie bez rozsądnego powodu. Żył z tym pytaniem przez całe miesiące podróży na pokładzie *Giordana Bruna*, otoczony ludźmi, którzy z trudem znosili jego widok. Pogodził się z ich oceną. Jego grzechem była pycha – robak toczący go od wewnątrz – potężna siła napędowa, czerpana ze złudnej wiary w to, że Bóg przygotowuje go do dokonania czegoś niezwykłego.

Choć rodzina jego ojca wywodziła się z nędzy i poniżenia indiańskiego rezerwatu i choć sam publicznie odrzucał romantyczne stereotypy dziedzictwa szczepu Lakota, w głębi serca był z niego dumny. Od dzieciństwa wiedział, że jest potomkiem towarzyszy broni Szalonego Konia i Małego Wielkiego Człowieka ze szczepu Oglala, Czarnej Tarczy i Chromego Jelenia ze szczepu Minikondów, Nakrapianego Orła i Czerwonego Niedźwiedzia ze szczepu Sansarków, Czarnego Mokasy na ze szczepu Czejenów czy Siedzącego Byka ze szczepu Hunkpapów – bohaterów wiodących najlepszą w dziejach świata lekką kawalerię na bój w obronie swoich rodzin i swojej ziemi, w obronie własnego stylu życia, w którym ponad wszystko ceniło się takie wartości, jak odwaga, męstwo, szczodroblewość i transcendentne wizje duchowe.

Równie silna tradycja wiązała jego rodzinę z Czarnymi Sukniami, których wiara sprzyjała tym samym wartościom. Jego prapraprababka należała do pierwszych Indian Lakota ochrzczonych przez Pierre'a-Jeana de Smeta, legendarnego jezuitę, który dzięki swej odwadze i dobroci zdobył sławę i zaufanie wśród plemion Wielkiej Równiny. Indianie Lakota wierzyli, że wszystkie ludy, jeśli nie osoby, wierzą w Boga i pragną się z Nim połączyć; chrześcijańskie wezwanie do powszechnego pokoju nie było dla nich niczym nowym, bo głosiła je również słynna szamanka Biała Krowa. Zнали też krwawą ofiarę składaną Wakan Tanka – Wielkiej Tajemnicy. Nawet krucyfiks budził znajome skojarzenia: ciało Jezusa, przebite i zawieszzone na krzyżu, było niczym przebite i zawieszzone ciała Słonecznych Tancerzy, szalonych wizjonerów, którzy wiedzieli, co to znaczy ofiarować Bogu własne ciało i krew w imieniu swojego ludu – z wdzięczności, w celu przebłagania za winy, w radosnym transie. Podczas mszy odprowadzanych przez Czarne Suknie wielu Lakotów oddawało cześć owej świętej i niezmierzonej Mocy, która opiekowała się wszystkim, co istnieje, która wysłuchiwała modlitw tych, którzy składali jej ofiarę, już nie ze swojego ciała i krwi – bo jezuici to zmienili – ale z chleba i wina, konsekrowanych na pamiątkę Najwyższej Ofiary.

Wszystko to było z pewnością przygotowaniem do tego, co miało się stać: jego pochodzenie i dziedzictwo, specyficzny styl edukacji, talent, energia i intuicja, które Daniel Żelazny Koń pielęgnował w sobie, rozwinął i wniósł w wiek dojrzałości. Wszystko to przygotowywało go na ów dzień, kiedy to po raz pierwszy otworzył raporty z misji na Rakhat i zapoznał się z tym, co załoga *Stelli Maris* zobaczyła i poznała. I uwierzył, a ta wiara rosła i umacniała się z każdą nową stroną raportów, że narodził się po to, aby polecieć na Rakhat, że ze wszystkich, którzy mogą tam zostać wysłani, tylko Daniel Żelazny Koń jest w stanie naprawdę zrozumieć kruche piękno kultury Jana'atów.

Bał się o nich.

Życie pierwotnych ludów Wielkiej Równiny też zależało od jednego gatunku zwierzyny łownej; one też były przez obcych uważane za groźne plemiona rozmiłowane w wojnie. Danny wiedział, że to prawda, ale prawda bardzo cząstkowa i wykoślawiona. Uwierzył, że jeśli znajdzie się na Rakhacie, będzie mógł w jakiś sposób zadośćuczynić swoim lakotańskim przodkom, pomagając Jana'atom odnaleźć nowy sposób życia zachowujący najwyższe wartości uznawane przez wojownika, przez łowcę i przez jezuity: odwagę i męstwo, szczodroblivość i wizję.

Czasami, na pokładzie *Giordana Bruna*, kiedy filtry i nawiewnie szumiały cicho, a pracę silników bardziej można było wyczuć, niż usłyszeć, Danny przypominał sobie myśl, która przyszła mu do głowy, gdy czytał raporty z Rakhatu: zrobię wszystko, by tam polecieć. Dla niego była to tylko przenośnia, ale Bóg uznał to za układ Fausta.

– Nam obu bliższa jest tradycja – powiedział mu Gelazy III podczas prywatnej audiencji. – Rozumiemy potrzebę ofiary, aby naszej wierze w Boga nadać konkretny wymiar, aby naszą wiarę pozbawić jakichkolwiek zastrzeżeń, aby bezgranicznie ufać, że jeśli zdamy się na Jego wolę, wszystko będzie dobrze. A teraz my obaj, ty i ja, zostaliśmy wezwani, by złożyć ofiarę, która będzie sprawdzianem naszej wiary, prawie tak jak Abraham. To trudniejsze od złożenia w ofierze własnego ciała. Ty i ja musimy złożyć w ofierze Sandoza, związanego jak Izaak, syn Abrahama. Musimy zrobić coś, co wydaje się okrutne i niezrozumiałe, a czyniąc to, całkowicie zawierzyć Bogu i stać się narzędziem Jego woli. Służymy Ojcu, który nie cofnął się przed ofiarą Abrahama, który dopuścił ukrzyżowanie swego Syna! I który czasami żąda poświęcenia tego, co dla nas najdroższe, aby wypełnić Jego wolę. Ja w to wierzę. A ty wierzysz?

Zdobył się wówczas tylko na kiwnięcie głową. Co sprawiło, że wyraził milczące przyzwolenie na czyn, który uważał za odrażający? Czy naprawdę ambicja? Danny badał swe sumienie z zawziętą skrupulatnością i odpowiadał sobie: Nie, to nie ambicja, choć dobrze wiedział, że inni właśnie o to go oskarżali. A może sprawił to majestat Watykanu, moralny ciężar dwu tysięcy lat władzy duchowej? Niewzruszona pewność samego papieża?

Współczucie i piękno promieniujące z tych przenikliwych, wiedzących oczu?

Tak. Tak, na pewno.

Czy Ojciec Święty miał więcej powodów, by wysłać Sandoza na Rakhat? Niewątpliwie.

Można się było spodziewać wielu pożądaných skutków tej decyzji – politycznych, dyplomatycznych czy praktycznych. Lecz czy te inne motywy przeważały nad niesamowitą pewnością Ojca Świętego, a także nad prawie rozpaczliwą nadzieją ojca generała, że to Bóg zapragnął, by Sandoz powrócił na miejsce swojego duchowego i fizycznego gwałtu?

Daniel Żelazny Koń nie sądził, by tak było.

I nie wiedział już, co sam o tym myśli, nie wiedział, w co wierzy. Był pewny tylko jednego: po prostu nie potrafił patrzeć Gelazemu III w oczy, wysłuchać jego słów, a potem wyrzucić z siebie szydercze: „To parszywa, obłudna gra”. Był jezuitą i nauczono go, jak odnajdywać Boga we wszystkim; nie był w stanie wykręcić się z etycznej pułapki, jaką na niego zastawiono. Skoro Bóg jest najwyższym Panem i jeśli jest nieskończenie dobry, to wszystko, co przydarzyło się Sandozowi, musi być częścią jakiegoś większego planu, a jeśli tak, to trzeba pomóc tej duszy i wypełnić wolę Bożą, wracając z nim na Rakhat.

Tak więc, przyzwoliwszy na zdradę swego sumienia i poświęciwszy swą psychiczną integralność, Daniel Żelazny Koń mógł tylko obserwować rozwój tego, do czego się swoim przyzwoleniem przyczynił – mógł żyć z tym, co uczynił, i starać się odnaleźć w tym Boga.

I podsycać w sobie nadzieję, że pewnego dnia cel uświęci środki.

Na pokładzie *Bruna* czas zdawał się wyrokiem, ale to się zmieniło, gdy Daniel Żelazny Koń zestarzał się na Rakhacie.

„Na początku było Słowo”, pouczało Pismo, i Danny doszedł do wniosku, że dwoma największymi darami, jakich udzielił Bóg umiłowanemu przez siebie gatunkowi, były: czas, który oddziela jedno przeżycie od drugiego, i język, który wiąże przeszłość z przyszłością.

Wszyscy księża, którzy pozostali na Rakhacie, poświęcili w końcu cały swój czas trudowi zrozumienia wydarzeń, jakie miały tu miejsce w okresie między pierwszą i drugą misją. Dla Daniela Żelaznego Konia nie było to jednak samo intelektualne dociekanie, ale i ustawiczna modlitwa.

Jego partnerką w tym zadaniu stała się Suukmel Chirot u Vaadai. Kiedy Danny ją poznał, nie była już żoną, tylko wdową po ambasadorze Mała Njeru na dworze Hlavina Kitheriego – starzejącą się kobietą pozbawioną pozycji społecznej, ale nie szacunku. Danny był nią oczarowany od samego początku, ale Suukmel nie spieszyła się z okazaniem zaufania cudzoziemcowi, którego imię wymawiane było na Rakhacie jako Dani Hi’rnorse.

Czas jednak płynął, włosy Danny’ego przyprószyła siwizna, a twarz Suukmel pobieliała i w końcu nadszedł dzień, kiedy ona i ten dziwny cudzoziemiec zaczęli czerpać przyjemność z obcowania ze sobą. Suukmel wierzyła, że przeszłość nie umarła, że jest wciąż żywa, a jej znaczenie jest tym większe, im bardziej niewidoczny jest jej wpływ. Kiedy odkryła, że Dani Hi’rnorse też w to wierzy, ich przyjaźń rozgorzała silnym, niczym nie zmaconym płomieniem.

Stało się już zwyczajem, że każdego ranka wybierali się razem na otaczające dolinę N’Jarr wzgórza i rozmawiali o tym, co dla Suukmel było zrozumiałe i co chciała uczynić zrozumiałym dla Danny’ego. Danny często rozpoczynał te rozmowy jakąś maksymą, oczekując na jej reakcję.

– Na Ziemi jest takie powiedzenie: przeszłość to obcy kraj – powiedział jej kiedyś, a Suukmel uznała to za pożyteczną maksymę, bo sama czuła się cudzoziemcem w teraźniejszości. Jednak nawet wtedy, kiedy się z nim nie zgadzała, wymiana poglądów była bardzo ciekawa.

– Władza niszczy – oznajmił jej pewnego dnia, kiedy zaczęli wspinać się na wzgórze, by dojść do ścieżki okalającej dolinę. – A władza absolutna niszczy absolutnie.

– Niszczy lęk, a nie władza – odpowiedziała. – Brak władzy poniża. Władzę można wykorzystywać dobrze lub źle, ale słabość nikogo nie czyni lepszym. Temu, kto ma władzę, łatwiej pielęgnować dalekowzroczność. Może być cierpliwy, nawet wspaniałomyślny wobec sprzeciwu, wiedząc, że w końcu go pokona. Nie czuje, że jego życie jest jałowe, bo ma powód, by wierzyć, że jego plany zostaną urzeczywistnione.

– Mówisz o sobie, szlachetna Suukmel – zapytał Danny z uśmiechem – czy o Hlavinie Kitherim?

Przystanęła i przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami.

– Można mówić o pewnej zgodności dusz – przyznała ostrożnie, zanim ponownie ruszyła pod górę. – Zło opanowało Hlavina Kitheriego, kiedy był tylko resztarem. Był gotów na wszystko, więc postępował jak człowiek gotów na wszystko. To się zmieniło, odkąd zdobył władzę.

Ścieżka zrobiła się bardziej stroma, pokryta zdradzieckim piargiem. Przez jakiś czas wspinali się w milczeniu. Tuż przed szczytem nieco zdyszana Suukmel usiadła na gładkim, twardym pniu *tupy* i spojrzała poprzez dolinę N’Jarr na góry, wyrastające z ziemi jak gigantyczne rakiety wystrzeliwane z samego środka Rakhatu.

– Oczywiście władza może się dostać w ręce niewłaściwych ludzi – przyznała, kiedy złapała oddech. – Małoduszne, tępe, ubogie dusze mogły kiedyś odziedziczyć władzę. Dzisiaj tacy ludzie mogą ją sami pochwycić, kupić albo dojść do władzy przypadkiem. – Głos jej stwardniał.

– Władza nie zawsze uszlachetnia. – Powiedziała to, patrząc na południe, i zaraz potem wstała. – Powiedz mi, Dani, dlaczego spędzasz tyle czasu ze starzejącą się kobietą? – zapytała, spoglądając na niego z ukosa, kiedy ruszyli w dalszą drogę.

Wyciągnął swoją dziwną, nagą dłoń, aby pomóc jej obejść wyrwę w ścieżce.

– Kiedy byłem bardzo młody – powiedział – zamieszkała z nami babka mojego ojca. Opowiadała nam dawne opowieści, które sama usłyszała z ust swoich prababek. W ciągu tych kilku pokoleń zmieniło się wszystko. Wszystko.

– Pamiętasz te opowieści? – zapytała Suukmel. – A może uznałeś, że wiedza o przeszłości nie będzie ci potrzebna?

– Pamiętam. – Danny przystanął, a Suukmel obejrzała się i zobaczyła, że na nią patrzy. Z lękiem, pomyślała.

– Ale w moim kraju byłem uczonym. Więc badałem prawdę tych opowieści, które dotarły do mnie poprzez pięć pokoleń, posługując się badaniami innych uczonych.

– I co się okazało?

– Okazało się, że mówiły prawdę. Nie były legendami, były historią. No i dlatego teraz spędzam tyle czasu ze starszymi paniami – zażartował, a ona się uśmiechnęła.

– Zmiana może być dobra – powiedziała Suukmel, kiedy znowu poszli dalej. – Wielu Jana’atów wciąż wierzy, tak jak my wszyscy wierzyliśmy w dawnych wiekach, że zmiana jest niebezpieczna i zła. Uważają, że wszystko, co zrobił mój pan Kitheri, było strasliwym błędem, nienawidzą go za to, że zmienił dawny sposób życia, przekazywany z pokolenia na pokolenie bez najmniejszego uszczerbku. Potrafisz to zrozumieć? Czy u was, na planecie H’earth, znana jest taka doskonałość?

Danny powstrzymał się od uśmiechu.

– Och, tak. Ja sam jestem członkiem „kościół”, który przez wielu jest uważany za nieomylnego depozytariusza ponadczasowej prawdy.

– Mój pan Kitheri i ja rozważaliśmy ten problem bardzo dokładnie. Uznaliśmy, że każda instytucja uważająca się za strażnika prawdy ceni stałość i niezmiennność, bo zmiana z samej swojej natury wprowadza błąd. Takie instytucje mają zawsze potężne mechanizmy utrzymujące niezmiennność i walczące ze zmianami.

– Odwołują się do tradycji i do władzy. I do boskości.

– Tak, do tego wszystkiego – przyznała pogodnie. – A jednak zmiana może być pożądana albo konieczna, albo i pożądana, i konieczna! Więc jak mądry książę wprowadza zmianę, kiedy całe pokolenia uświęciły jakąś praktykę lub zakaz, które teraz krzywdzą lub okaleczają?

Zatrzymała się, żeby spojrzeć na niego wprost; już nie dziwiła jej klarowność wizji z bliskiej odległości.

– Powiedz mi, Dani, czy nie jesteś już zmęczony paplaniem starej kobiety? – zapytała, przekrzywiając głowę. – Bo jeśli nie, opowiem ci o pierwszych dniach panowania Kitheriego. Chcesz?

Nawet teraz, kiedy już wiedziała, co z tego wynikło, jej oczy zapłonęły zachwytem.

– Opowiedz mi – odpowiedział. – Wszystko, co pamiętasz.

Pierwsze dekry Kitheriego nie spotkały się ze sprzeciwem, bo przywracał nimi tylko zapomniane dawne praktyki: pojedynki tancerzy, bitwy wielkich chórów.

– To nie była zmiana. – Suukmel ściszyła konspiracyjnie głos. – Po prostu powrót do dawnych obyczajów, jak mówił, czystszych i bliższych dawnej prawdzie.

Wkrótce Kitheri ustanowił ogólnokrajowe zawody w poezji, architekturze, inżynierii, matematyce, optyce, chemii. Złożywszy podczas inauguracji przysięgę, że będzie strzegł niezmiennego ładu Inbrokaru, nie mógł naruszyć prastarego dziedzictwa, więc nagrody nie były cenne.

– Tylko symbole – powiedziała Suukmel lekceważąco. – Kwiat *traja'anronu*, proporczyk, rymowany trójwiersz skomponowany przez samego Najdonioślejszego.

Nie upłynęło wiele czasu, zanim wojownicy i trzeciacy zyskali legalne możliwości rozwijania swoich zdolności i talentów – wojownik mógł stać się uczniem, a kupiec atletą, co dawniej było nie do pomyslenia. Teraz mogli uzyskać wysoką pozycję z powodu tego, co sobą reprezentowali, a nie z powodu samego urodzenia.

– Równoległe hierarchie, oparte na kompetencji – zauważył Danny.
– Otwarte dla wszystkich, likwidujące niezadowolenie. To był twój pomysł, pani?

Ach, jaką przyjemność czerpała z towarzystwa tego cudzoziemca! Chyba tylko z Hlavinem czuła się tak dobrze.

– Tak – przyznała, opuszczając skromnie oczy. – Ustanowienie takich form współzawodnictwa pozwoliło mojemu panu Kitheriemu wyłowić jednostki obdarzone talentem, inteligencją, wyobraźnią, energią.

Suukmel Chirot u Vaadai potrafiła dobrze wykorzystać własne ograniczenia, jakim podlegała od narodzin. Nauczyła się, że prawie wszystkie wydarzenia lub okoliczności można obrócić na swoją korzyść.

– Najdonioślejszy wykorzystywał każdą sytuację. Silna władza lokalna budziła takie samo rozżalenie wśród niższych kast jak oczywiste oznaki niekompetencji. Mój pan Kitheri był trzeciakiem, więc znał się dobrze nie tylko na wojaczce, ale i na prawie. Niemal zawsze udawało mu się znaleźć precedens prawny, by usunąć jakiegoś zbyt potężnego lub wyjątkowo nieudolnego możnowładcę, jeśli jego młodszy brat był lepszy i bardziej sprzyjał nowemu reżimowi. A kiedy brakowało środków legalnych, dochodziło do różnych wypadków.

Postawiła uszy, czekając na jego komentarz.

– Za cichym przyzwoleniem Najdonioślejszego? – zapytał Danny, a Suukmel nie zaprzeczyła. – A więc ci, którzy się na to godzili, dobrze wiedzieli, komu będą zawdzięczać swoje wyniesienie. Zdawali sobie sprawę, że ich władza i pozycja będzie oparta na równie kruchych podstawach jak władza Hlavina Kitheriego. – Zastanawiał się przez chwilę. – Takie jednostki tworzyły zaufaną kadrę popleczników. Można było na nich polegać, bo ich los związany był z jego losem.

– O to właśnie chodziło. – Była wobec niego coraz bardziej szczerą. Danny był inteligentnym słuchaczem, który doceniał subtelne sformułowania, a jego podziw działał na nią jak niezwykła wonność. – Znaleźliśmy wiele sposobów poszerzania wpływów Najdonioślejszego. Na przykład, kiedy umarł jakiś lokalny władca, głowa rodu, można było przedłużyć interregnum przez opóźnianie ceremonii inwestytury. Najdonioślejszy, którego obecność była konieczna, z jakiegoś powodu po prostu nie mógł w niej uczestniczyć. Często – dodała niewinnym tonem – przez wiele pór roku.

Regentami mianowano bratanków, szwagrów lub wujów-trzeciaków, a jednocześnie konfiskowano księgi rachunkowe i rejestry podatków, oddając je do sprawdzenia kupcom-trzeciakom i ruńskim księgowym z jakiejś odległej prowincji.

– Niekiedy wystarczyło samo rzetelne sprawdzenie ksiąg rachunkowych – mówiła Suukmel. – Dochody regionalne często znacznie wzrastały, a korzystała z tego rodzina, o którą nam chodziło.

– A Najdonioślejszy miał już pełny wgląd we wszystkie źródła bogactwa na danym terytorium – dopowiedział Danny.

– I wówczas znajdował w końcu czas na wzięcie udziału w niezbędnej ceremonii. Kiedy już dochodziło do przekazania ojcowizny, każdy dokładnie wiedział, ile wpływów można i należy oczekiwać z podatków. Dotychczasowi regenci, jeśli uznano ich za jednostki obiecujące, mogli zostać wcieleni do nowej izby skarbowej.

– I, oczywiście, powiększali grono zwolenników Kitheriego?

– Oczywiście.

Danny spojrzął na nią z podziwem.

– A do kogo, jeśli można wiedzieć, napływały doniesienia z tych izb?

– W owym czasie byłam osobą dość wpływową – mruknęła Suukmel i zachowała powagę nawet wówczas, gdy Danny wybuchnął śmiechem i pokręcił głową. – Jeśli wykryto jakieś nieprawidłowości – ciągnęła – otwierały się dwie drogi. Na dzień przed inwestyturą Najdonioślejszy zapraszał nowego władcę na prywatną audiencję i powiadał go o haniebnych czynach, jakich dopuścił się jego przodek. Dawano mu do zrozumienia, że mimo to Najdonioślejszy zechce pozostawić go na urzędzie i oczekiwano wdzięczności.

– I współpracę, rzecz jasna – powiedział Danny. – A jeśli ród był nadal przeciwny zmianom proponowanym przez Najdonioślejszego?

– Jeśli ród im nie sprzyjał, ujawniano publicznie przestępstwa, jakich się dopuścił, jego członków uznawano za VaHaptów, wyrzutków społecznych, a dziedzictwo konfiskowano.

– A w jaki sposób egzekwowano takie wyroki?

– Był niewielki oddział doborowych wojowników, występujących zwykle w turniejach, wyposażony i opłacany za pieniądze wpływające z nowych podatków. – Spojrzała poprzez dolinę. – Była też wojna na południu. Mój pan Kitheri potrafił przekonać bardziej... przywiązanych do tradycji, że bronią terytorium jana'atańskiego i dawnych obyczajów. A kiedy ginęli na wojnie, na północy pozostawały po nich ziemie i tytuły. – Suukmel uniosła potwierdzająco podbródek.

– Dwie pieczenie na jednym ogniu – mruknął Danny po angielsku.

– Trudno ci będzie uwierzyć – ostrzegła go Suukmel innym razem – ale to prawda. Hlavin miał poparcie wśród Runów. Nauczył się cenić ich zdolności i wykorzystywał je do urzeczywistnienia swoich planów. W jednym z pierwszych dekretów postanowił, by odtąd miejscy Runowie mieli swoich delegatów na inbrokarskim dworze. Zasięgano ich opinii we wszystkim, co dotyczyło Runów, mimo sprzeciwu ze strony niższych rangą Jana’atów.

Suukmel doradziła też Kitheriemu, by stworzyć siatkę ruńskich informatorów, a zadanie to powierzono jej zaufanej służebnicy Taksayu. Wkrótce zaczęły napływać doniesienia od kucharzy i lokajów, sekretarzy i masażystów, od poborców podatków i asystentów naukowych, od pomywaczek i nałożnic.

– Nie minęło wiele czasu, a mój pan Kitheri wiedział, o czym się mówi we wszystkich wielkich domach, kto jest niezadowolony i z czego, kto z kim zawiera tajne przymierza i kto komu czego zazdrości...

– A wiedza jest potęgą – przerwał jej Danny.

Suukmel zagruchała gardłowo.

– To bardzo mądre przysłowie – powiedziała z niekłamanym uznaniem.

– A jak wynagradzano Runów za ich pomoc we wprowadzaniu w życie planów Kitheriego?

– Oczywiście informatorzy musieli zostać tam, gdzie byli, ale ich dzieciom pozwalano wyrazić swoje zdanie na temat miejsca i rodzaju pracy, jaką chcą wykonywać, a później pozwalano im też wybrać sobie partnera rozrodu. Tak nam doradziła moja wierna przyjaciółka Taksayu. – Zamilkła na chwilę, by uszanować pamięć zmarłej. – Taksayu była Runao, ale mój pan Kitheri czerpał mądrość ze wszystkich źródeł, w których można ją było znaleźć... Ustanowił nawet renty dla ruńskich informatorów, którzy osiągnęli wiek uboju...

– I którzy karmili go informacjami, co bardziej cenił od ich mięsa – powiedział Danny chłodnym tonem.

Suukmel nie zwróciła uwagi na ten ton, pochłonięta chęcią wyjaśnienia mu wszystkiego.

– To była w istocie radykalna zmiana, ale ci, których służba domowa szła na taką rentę, uważali to jedynie za nieszkodliwy kaprys Najdonioślejszego. Kto by się sprzeciwiał, by jakiś stary Runao żył odtąd na koszt rozrzutnego Kitheriego? Ostatecznie mięsa nie brakowało, można je było zawsze mieć ze wsi... z wieśniaków hodowanych na odźwiernych, służących poruszających wachlarzami, zwykłych Runów użytkowych, przeznaczonych wyłącznie do uboju...

Urwała, widząc jego wzrok.

– Nie znaleźliśmy innego sposobu życia – powiedziała i odetchnęła głęboko, jakby nagle ogarnęło ją zmęczenie. – Dani, zrozum! Nie tylko Runom samo urodzenie wyznaczało los. Wszyscy podlegaliśmy temu prawu! Kolejność narodzin, ranga rodu... to określało każdy szczegół życia... nawet jeśli się miało szczęście być potomkiem męskiego rodzaju! Od tego zależało wszystko... długość pazurów, drzwi, przez które można było przejść. Kogo można było poślubić, czym można się było zajmować. Liczbę kolczyków, które można było nosić, rodzaj perfum, które można było kupić! I... tak, skąd ma pochodzić mięso, jakim można się było żywić. Dani, Hlavin zamierzał to wszystko zmienić!

– Ale każda zmiana wymaga czasu – powiedział Danny. – Jeszcze jedno przysłowie.

Suukmel uniosła lekko ogon i pozwoliła mu opaść: jak sam mówisz.

– Myślę, że czasu wymaga nie tyle sama zmiana, ile opór, jaki napotyka. Ale z pewnością Najdonioślejszy nie utrzymywał tych starszych Runów w nagrodę za ich usługi wyłącznie z dobroci serca – zauważył Danny, teraz, kiedy już ją lepiej poznał, pozwalając sobie na większą agresywność. – Ze skumulowanej wiedzy, napływającej od Runów z całego Inbrokaru, korzystała jego izba skarbowa, tajna policja, sam Kitheri.

– Tak! Oczywiście! Przecież nie zbuduje się muru z jednego kamienia. Sprawdzianem słuszności decyzji jest wielość jej uzasadnień. Jeśli służy więcej niż jednemu celowi, wzrasta prawdopodobieństwo, że jest słuszna...

Ku jej zaskoczeniu Danny zaczął coś mówić, ale nagle zamilkł i odwrócił się od niej.

Zrozumiała, że uraziło go to, co przed chwilą powiedziała, więc postanowiła mu to lepiej wytłumaczyć.

– Dani, kiedy coś zmieniamy, jesteśmy jak bogowie: działamy, a z każdego naszego czynu wypływają całe kaskady konsekwencji; niektórych się spodziewamy i pragniemy, inne nas zaskakują i budzą wstręt. Ale nie jesteśmy jak wasz Bóg, który wie wszystko! Nie znamy przyszłości, potrafimy ją tylko przewidywać, a potem po skutkach oceniać, czy postąpiliśmy słusznie. – Siedział sztywno, odwrócony do niej plecami, oddychał dziwnie. Jeszcze nigdy nie zachowywał się w ten sposób. – Dani, czy cię obraziłam? – zapytała, zdumiona.

Odwrócił się do niej. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

– O pani, ależ nie! – Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. – Jesteś narzędziem mojego sumienia. – Próbował się uśmiechnąć, ale nie wypadło to zbyt przekonująco, nawet dla Suukmel, która wciąż miała trudności z interpretacją wyrazu twarzy cudzoziemców. – Pani, ja też kiedyś wierzyłem, że wielość powodów sprzyja słuszności decyzji. W ten sposób próbuje się usprawiedliwić coś, co nie daje się usprawiedliwić. Dawno temu podjąłem pewną decyzję, bo udało mi się znaleźć wiele powodów, które ją usprawiedliwiały. Ta decyzja przywiodła mnie tutaj, ale nie dowiem się, czy była słuszna, dopóki nie osądzi mnie mój Bóg.

Przyglądała mu się długo, żeby zrozumieć jego twarz w takich chwilach, zapamiętać zapach, nauczyć się tonu jego głosu. Potem odwróciła się ku dolinie N’Jarr, gdzie niskie kamienne mury lśniły jak złoto w ukośnym świetle poranka.

– Spójrz – powiedziała, zataczając ręką wdzięczny łuk, od zachodu do wschodu. – I słuchaj.

– Śpiewały wszystkie dzieci: dzieci Runów i dzieci Jana’atów. – Jak możesz w to wątpić?

Nie odpowiedział, tylko spojrział na nią swoimi małymi, czarnymi, szeroko otwartymi oczami. Tego dnia wracali do domu w milczeniu i nigdy już o tym nie rozmawiali.

– To, co mi opowiedziałś, wyjaśnia osiągnięcie władzy politycznej – powiedział jej Danny któregoś dnia – ale nie wyjaśnia wszystkiego. Udało mu się pozyskać dla swych planów Jana’atów i Runów, ale przecież nie poszli za nim za jeden kwiat *traja’anronu*, za wisiorek czy rymowany trój wiersz. I myślę, że nie za bogactwo, władzę czy nawet prawo do rozrodu.

– Poszli za nim z miłości, z wierności – odpowiedziała pogodnie Suukmel. – W Hlavinie Kitherim zaczęli dostrzegać ucieleśnienie swojej własnej wielkości. Kochali go za to, czym stał się on i czym sami się stali. Zrobiliby dla niego wszystko.

– Więc kiedy Najdonioślejszy dał im do zrozumienia, że pragnie ich mocniej związać ze sobą, zapomnieli... albo raczej wybaczyli mu jego... – Urwał, nie chcąc jej obrazić.

– Jego skłonność do seksualnej... wymyślności, tak? – podpowiedziała, rozbawioną jego delikatnością. – Tak. Chętnie oddawali swoje trzecie siostry i córki do jego haremu.

– Wiedząc, że dzieci z nich zrodzone nie zajmą określonego miejsca w hierarchii?

– Tak, wiedząc, że życie narodzonych w domu Kitheriego nie będzie zależało od kolejności urodzenia i nie będzie nim władała śmierć. A więc niech tak będzie, mówili. Niech przyszłość sama rzeźbi swój bieg, jak wezbrana rzeka. Nie zwątpili nawet wówczas, gdy Hlavin uchylił zakaz rozrodu wobec niektórych kupców-trzeciaków. Czy rozumiesz, jakie to było „rewolucyjne”? – zapytała, używając angielskiego słowa. – Zawsze byliśmy zaprzysiężonymi strażnikami własnego dziedzictwa. Uważaliśmy za sprawę honoru, by przekazać potomkowi dokładnie to, co sami otrzymaliśmy. Przekazać więcej było hańbą: sugerowało kradzież.

Przekazać mniej było hańbą: sugerowało rozrzutność. A Hlavin pokazał nam wszystkim, że można coś stworzyć z niczego! Poezja, bogactwo, muzyka, idee, taniec: coś z niczego! Można było pomnożyć dziedzictwo, nie będąc złodziejem! Wszyscy zaczęli to dostrzegać i wszyscy się dziwili... nawet ja... czego się tak obawialiśmy przez te wszystkie lata?

Jak pradawny łowca rzucający mięso u stóp swojej żony, Hlavin Kitheri złożył wszystko, czego dokonał, u stóp pani Suukmel Chirot u Vaadai. To dla niej zdecydował się na ostatni krok, na otwarcie ostatnich drzwi, uwalniając Chaos i Mądrość.

Z całego Inbrokaru przybywały jego młode małżonki, zawołowane, strzeżone i nieświadome. Dla dobra Suukmel, a może też przez pamięć żałosnego losu swojej siostry Jholai, Hlavin Kitheri sprowadził do swego seraju cuda i dziwy ziemi, mórz i powietrza, zapełnił swój pałac ruńskimi nauczycielami i mówiącymi księgami, jana'atańskimi politykami i uczonymi, bardami i inżynierami. Z początku jego dziewczęta były odgradzone od mężczyzn drewnianymi parawanami, później tylko ciężkimi kotarami. Jeszcze później zaczęto uznawać za normalne i nie budzące sprzeciwu, że panie przysłuchiwały się debatom, najpierw dorzucając tylko swoje uwagi, z czasem biorąc w nich pełny udział, a oddzielała je od mężczyzn tylko symboliczna, muślinowa zasłona, przezroczysta i zwiewna – dalekie wspomnienie dawnych ograniczeń.

Te dziewczęta rodziły Kitheriemu dzieci. Pierwszym był syn, którego nazwał Rukuei; został wytrzebiony jako niemowlę i oddany Suukmel na wychowanie w ambasadzie Mala Njeru.

Później rodziło się coraz więcej dzieci, a jednym z nich była córka, która nie wiedziała, że kobietom nie wolno śpiewać. Kiedy Hlavin Kitheri usłyszał ten wysoki, czysty głos, z zachwytu zamarło w nim serce.

Poza udziałem w wieczornych, rytualnych śpiewach sam Hlavin nie śpiewał już od lat.

Teraz, z ulgą głębszą od tej, która towarzyszy zaspokojeniu jakiegokolwiek żądzы fizycznej, odnalazł na nowo poezję i muzykę. Sprowadził muzyków i chórzystów i pozwolił śpiewać kobietom i dzieciom, ufając, że rozmigotane piękno ich głosów uśmierzy sprzeciw społeczeństwa wobec tak rewolucyjnej zmiany. I znowu zaczęła tworzyć kantaty, chorały i antyfony, tym razem dla swoich małżonek i dzieci.

W dwunastym roku panowania Hlavina Kitheriego Dziedzictwo Inbrokaru było już największą polityczną potęgą w dziejach Rakhatu – bogatszą od Mala Njeru, równie zaludnioną jak Palkirn – a Hlavin Kitheri był niekwestionowanym władcą środkowego królestwa Potrójnego Przymierza. Miał już bliskich sprzymierzeńców w rodach Chirot i Vaadai w Mala Njerze. Teraz, kiedy już rozpoczął rewolucję, dla której wciąż nie znajdował nazwy, za rok czy dwa lata miał wreszcie poślubić swoją narzeczoną z Palkirnu, ustanawiając nową, prawowitą linię dziedzictwa.

– Kiedy po raz pierwszy zdaliście sobie sprawę z tego, co dzieje się na południu? – zapytał Daniel Żelazny Koń wiele lat po śmierci Kitheriego.

– Były pewne oznaki od samego początku – odpowiedziała Suukmel.
– Nie minęła nawet jedna pora roku od sukcesji Hlavina, kiedy pod murami Inbrokaru pojawili się pierwsi uchodźcy.

– Oszołomieni i przerażeni, jak wszyscy uchodźcy, opowiadali o pożarach, zdradach i o śmierci w środku nocy, o Runach ratujących życie tym niewielu Jana’atom, którzy zasłużyli sobie na ich wierność i miłość. – Mój pan Kitheri potrafił dostrzec ironię losu. Sam kiedyś powiedział: „W samym akcie poczęcia nowego świata zawarłem już jego zniszczenie”.

– Nie ma takiej osoby, której wizja rzeczywistości nie podlegałaby ograniczeniom – zauważył Danny. Milczeli przez pewien czas, przysłuchując się południowym śpiewom, przenoszącym się od jednego domostwa do drugiego. – Wydaje mi się, pani, że gdyby sprawy potoczyły się choć trochę inaczej... Może gdyby Supaari VaGyjur został pierwszym i najważniejszym zwolennikiem Kitheriego...

– Może – zgodziła się Suukmal po dłuższej chwili. – W końcu to, co najbardziej czyniło go godnym pogardy w starym reżimie, stawało się najbardziej pożądane i podziwiane za panowania mojego pana Kitheriego. – Znowu umilkła, nad czymś się zastanawiając. – Ten kupiec mógłby, na przykład, zostać idealnym kanclerzem. Mógłby też stanąć na czele Ministerstwa Spraw Runów...

Spojrzała ze smutkiem na Danny'ego, który dorównywał jej w wielu sprawach, nie tylko wzrostem.

– Być może – powiedziała beznamiętnym tonem – było to do uniknięcia, ale wtedy... Wtedy wydawało się, że nie ma innej drogi...

22

PROWINCJA POŁUDNIOWA, INBROKAR

2047 czasu ziemskiego

– Ktoś zgromadził towary, które wybrałaś. Są ukryte w pobliżu promu – poinformowała Sofię i Supaariego Djalao VaKashan, kiedy wreszcie pokazała się w Trucha Sai. – Wszędzie pełno patroli *djanada*.

– Rzeźnicy? – zapytał ostrożnie Supaari. – A może zespoły inspekcyjne spisujące ludność dla nowego Najdonioślejszego?

– Ktoś myśli, że ani jedni, ani drudzy – odpowiedziała Djalao, ignorując innych Runów, którzy tłoczyli się wokół niej, kołyszając się już lekliwie. – W Kirabai mówią, że to *djanada* z północy, z miasta Inbrokaru. Są z nimi obcy Runowie... ktoś sądzi, że z Mala Njeru. W Kirabai starsi musieli wezwać tłumaczy o bardzo starym rodowodzie, żeby ich zrozumieć.

Djalao nie okazywała przerażenia, ale widać było, że jest zatroskana. Wszystkie rady wiejskie rozprawiąły, co to oznacza, co się zmienia.

– Patrole rozpytują o Supaariego – powiedziała spokojnie. – Pytają też o cudzoziemców.

– Czy to bezpieczne ruszać teraz w drogę? – zapytała Sofia, czując ucisk w żołądku. – Może my-ale-nie-wy poczekamy, aż się uspokoi.

– Ktoś myśli: my-i-wy-też możemy podróżować, ale tylko w porze czerwonego światła. I chyba najlepiej wyruszyć natychmiast. – Djalao spojrzała na Supaariego i przeszła na *K'san*. – Panie, czy zezwolisz, by ktoś was poprowadził?

Nastało znaczące milczenie i Sofia zrobiła półobrót, aby spojrzeć na Supaariego. Stał, wyprostowany, wpatrując się w Djalao.

– Czy jestem panem – zapytał w końcu – który może zezwalać lub zakazywać? – A potem opuścił uszy i unióś podbródek, patrząc teraz gdzieś w przestrzeń. – Przepraszam. Ktoś będzie wdzięczny za przewodnictwo.

Runowie byli wyraźnie zakłopotani; rozległo się szuranie stopami. Sofia zrozumiała, ile to musiało kosztować Supaariego; Djalao upokorzyła go w sposób, w jaki nie zrobił tego żaden Runao. Subtelności już do niej nie docierały, podobnie jak szczegóły nie kończącej się dyskusji, która potem rozgorzała, a dotyczącej politycznych i geograficznych aspektów wyprawy do promu *Magellana*. Podczas sześciu miesięcy przygotowań do powrotu zrobiła wszystko, co mogła. Teraz nie było już wyboru, trzeba było zawierzyć, że Supaari i Djalao podejmą właściwe decyzje.

Zmęczona upałem i złudną nadzieją, że jest coraz bliżej Ziemi, Sofia oparła się o pal szalasu, podciągając do piersi jedno kolano, drugą nogę wystawiając poza platformę, i pozwoliła myślom błądzić. Przed szalaseм ruńskie dzieci bawiły się z Ha'analą, która właśnie zaczynała chodzić i chwycić, nieświadoma różnic między nią a jej jedynymi towarzyszami. Izaak, którego ostatnio wołała wciąż mieć przy sobie, nieustannie wyrzucał z siebie monotony strumień zdań ruńskich i angielskich, zawsze z bezbłędną wymową. Większość z tego była czystym naśladownictwem, ale od czasu do czasu zdobywał się na prawdziwą mowę, najczęściej po odśpiewaniu z nią Sz'my albo po wieczornym śpiewie z Supaarim. Zawsze chronili się w puszczy, z dala od ustawicznej paplaniny Runów, w których śpiew budził strach, bo był narzędziem panowania *djanada*. Może to czasowe milczenie pozwoliło Izaakowi wyjść poza powtarzanie cudzych zdań, myślała Sofia. Kiedyś powiedział jej: „Izaak cię słyszy”. A innym razem zauważył: „Ha'anala upadła”.

Miało to jednak swoją cenę. Aby mówić, Izaak musiał przebić jakiś wewnętrzny mur, a przez ów maleńki wyłom do jego świata wcisnął się chaos rzeczywistości. Cienie, które zachwycały go od niemowlęstwa, nagle jakby ożyły: stały się nieprzewidywalne i groźne. Kolor czerwony, który dotąd nie budził w nim żadnych wrażeń, teraz go przerażał, co okazywał przygnębiającym wszystkim wrzaskiem. Normalny hałas towarzyszący zabawom ruńskich dzieci czasami doprowadzał go do wybuchu, w którym krzyczał i obracał się w kółko jak szalony.

Poczucie się lepiej na pokładzie statku, myślała Sofia, ledwo słysząc jego monolog i podniecone głosy Runów. Z początku będzie mu trudno, ale szybko się przystosuje do codziennej rutyny. Bez żadnych niespodzianek – wszystko tak, jak będzie chciał. Nic czerwonego. Czerwone wskaźniki można czymś przykryć. I przez cały dzień będzie muzyka.

Tylko to powinno wystarczyć, by poczuł się lepiej. A to warte jest ryzyka, jakie podejmują.

Uspokojona, opadła na poduszkę i pozwoliła, by ją uspiły codzienne odgłosy wioski. Parę godzin później obudził ją dotyk Supaariego i spokój oznaczający osiągnięcie zgody, kiedy rozważono już wszystko, co trzeba było rozważyć, i kiedy w końcu podjęto decyzję.

– Jutro, o drugim wschodzie – powiedział jej Supaari, streszczając wynik wielogodzinnej dyskusji. – Będziemy jak najdłużej trzymać się lasu... to trochę dłuższa droga, ale bezpieczniejsza niż ta krótsza, przez sawannę. Przez otwarty teren będziemy wędrować nocą.

Sofia usiadła, rozglądając się po wiosce. Przygotowywano ostatni posiłek. Wszyscy sadowili się na platformach w oczekiwaniu na nadejście wieczoru.

– Będzie ci przykro odejść, Fia? – zapytał Supaari, przysiadając obok niej.

Słyszała poszeptywanie ojców, gaworzenie i chichotanie dzieci.

– Byli dla nas tacy uprzejmi... tacy dobrzy – odpowiedziała, już za nimi tęskniąc. Fala wdzięczności zmyła z niej całe rozdrażnienie. – Gdyby tylko był jakiś sposób, aby odwdziżyć się za ich dobroć...

– Tak – zgodził się Supaari. – Ale myślę, że najlepiej będzie odejść stąd jak najszybciej. To nas szukają patrole, Sofio. Teraz jesteśmy dla Runów tylko zagrożeniem.

Początek podróży nie różnił się od setek innych wypraw zbierackich, w których Sofia brała udział. Dziwne było tylko to, że specjalnie uplecione kosze, które niosła, nie były puste, kiedy opuszczali osadę. Prócz Djalao towarzyszyli jej Kanchay, Tinbar i Sichu-Lan, aby pomagać nieść dzieci i prowiant. Runowie cieszyli się na spotkanie w Kashanie z przyjaciółmi i krewnymi, których nie widzieli od lat. Przez pewien czas do Sofii prawie nie docierały ich rozmowy; poddała się rytmowi ich stóp, zadowolona, że Izaak maszeruje u jej boku. Jego drobne, smukłe, mocne ciało było tak piękne... Będzie wysoki jak jego ojciec, pomyślała z dumą.

Trzeciego dnia wzgórze zaczęły się obniżać i w końcu doszli do miejsca, gdzie zrobiło się jaśniej, a puszcza była wysuszona, bo rzadko docierały tu deszcze, zatrzymywane przez góry na zachodzie. Nad głowami wciąż mieli baldachim liści, ale drzewa rozrastały się szerzej, natomiast za krawędzią lasu prześwitywała już sawanna, ciągnąca się aż do Kashanu.

– Poczekamy tutaj – powiedziała Djalao, więc złożyli kosze na ziemi, nakarmili Izaaka i Ha'analę, a potem sami coś zjedli.

Kiedy światło zaczęło się zmieniać i zbliżał się drugi zachód, słońca, Izaak upomniał się o wieczorne śpiewy. Trzej Runowie oddalili się, zakrywając uszy i kołysząc się niespokojnie.

Djalao została w pobliżu, słuchając beznamyślnie śpiewu Supaariego; uszy postawiła wysoko, jakby poddawała się próbie wytrzymałości. Kiedy pieśni się skończyły, pogrzebała w jednym z koszów i wyjęła garnek silnie pachnącej maści, którą Runowie zaczęli sobie wcierać w łędźwie, pod pachami, w ręce i nogi.

– Cuchnie jak *benhunjaran* – warknął Supaari, krzywiąc się ze wstrętu, kiedy Djalao wcierała tłustą maść w jego futro. Patrząc, jak Sofia zanurza swoją drobną rękę w garnku, wyjaśnił: – Nawet jeśli jana’atański patrol zwęszy zapach w porze czerwonego światła, następnego ranka ruszy pod wiatr, żeby jak najszybciej oddalić się od tego odoru. – Przyglądał się przez chwilę Runom z uszami wysuniętymi do przodu. – Ktoś jest ciekaw, jak długo ta sztuczka utrzyma ich z dala od nas?

Kanchay zachichotał gardłowo i spojrzał na Sofię. Odwzajemniła uśmiech, żałując, że nie ma ogona i powiedziała:

– *Djanada* są jak duchy. Można ich oszukać.

Supaari chrząknął, nie dając się sprowokować.

Czekali w milczeniu, słysząc tylko mruczenie Ha’anali i monotony głos Izaaka, aż Supaari oznajmił, że nic nie widzi, co oznaczało, że wszyscy inni Jana’atowie też już oślepli. Wówczas ruszyli w drogę. Jana’ata zataczał się i potykał, wyraźnie zakłopotany, ale dzielnie pozwolił się prowadzić ku skrajowi puszczy, zbierając informacje o terenie węchem i słuchem.

Było to częścią ich planu: mieli wędrować, niewidzialni, w porze czerwonego światła, maskując swoje prawdziwe zapachy cuchnącą maścią Djalao. Zapomnieli o łunie najmniejszego słońca Rakhatu. Kiedy mała grupka wyszła spod swojskiego, zielononiebieskiego baldachimu puszczy, Izaak Mendes Quinn nie ujrzał otwartych niebios, ale walące się na niego sklepienie czerwonego piekła.

Runęły na niego lśniące festony napastliwych szkarłatnych obłoków – cały krajobraz, krwawoczerwony i purpurowy, dygotał, gotów go zmiażdżyć – panorama rozległej równiny była tuż-tuż, poza jego rękami – małymi, niewspółmiernymi tarczami, którymi się osłonił, by złagodzić uderzenie. Krzyknął raz, potem drugi, a potem już tylko krzyczał i krzyczał, kiedy las eksplodował skrzydłami, ochryplymi wrzaskami i trzaskiem gałęzi łamanych przez uciekającą zwierzynę. Szponiaste ramiona próbujące pożreć go żywcem! Zewsząd głosy – wycie Ha’anali, przenikliwe zawrodo Supaariego, wołającego raz po raz: „Co się stało? Co jest?” I wszystko w czerwieni – ziemia, powietrze – choć zacisnął powieki i osłonił je dłońmi.

To głos matki odnalazł go pod tym potwornym niebem. W otaczającym go chaosie usłyszał niskie, ziarniste tony Sz’my: tak łagodne, tak delikatne, nie natarczywe, ale logiczne i konsekwentne. Nie bezsensowny potok słów, ale uporządkowany, przewidywalny, uświęcony azyl muzyki: kroczące ku niemu bezpieczeństwo, droga ucieczki z dzikiego pustkowia.

Przez długi czas nie mógł na nią trafić, ale kiedy już opadł z sił, nieustanny krzyk zamienił się w długie łkania i jęklive westchnienia. W końcu, klęcząc na wilgotnej ziemi, z głową wtuloną w ręce, zaczął się kołysać w rytm głosu matki i odnalazł wreszcie drogę do muzyki: do wybawienia.

A później zapadł w sen, nie wiedząc, że dorośli długo nie zasną, a ich plany legną w gruzach.

– Posłuchaj – powiedziała cicho Sofia, gdy Supaari obudził się o świcie. – Teraz zostawimy tu dzieci. Ty, Sichu-Lan i Tinbar możecie z nimi zostać. Kanchay, Djalao i ja pójdziemy do promu. Sprawdzę poziom paliwa, a potem przylecę tutaj po ciebie, dzieci i towary. Możemy wnieść Izaaka do środka, kiedy będzie spał. Jak się obudzi, będzie już na pokładzie *Magellana*.

Zrozumiałeś?

– Pójdę z tobą.

– Och, Boże, Supaari, kłóciliśmy się o to przez całą noc. Postanowiliśmy...

– Idę z tobą.

Runowie już się kołysali. Sofia spojrzała na Djalao, która była wyraźnie zmęczona, ale równie jak ona zdecydowana, by pozostawić mężczyzn z dziećmi.

– *Sipaj*, Supaari. Jesteś dla nas zagrożeniem – powiedziała stanowczo Sofia. – Będziesz opóźniał marsz...

– Pójdziemy w pełnym świetle dnia. Zaoszczędzimy połowę czasu i nie będziemy musieli smarować się *benhunjaranem*...

– *Sipaj*, Supaari, czyś oszalał? – Odwróciła się do Djalao, milcząco błagając ją o pomoc. – Jeśli patrol nas zobaczy...

– Jest nagroda za mnie i za każdego cudzoziemca – przypomniał jej po angielsku. Zwrócił się do Djalao. – Ktoś myśli, że ci Runowie przekazują władzom wyjętych spod prawa.

– A kiedy taki patrol znajdzie nas-i-ciebie-także? Zaaresztują nas – odpowiedziała Djalao.

Jej nabiegłe krwią oczy były spokojne.

– Wtedy my-i-ty-także zabijemy ich podczas snu.
– Supaari! – krzyknęła Sofia zduszonym głosem.
– Niech tak będzie – powiedziała Djalao, nie czekając na opinię innych. – Będziemy odpoczywać do drugiego wschodu słońca. Potem pójdziemy.

Równina była pusta i przez dwa dni wydawało się, że ich obawy i środki ostrożności były nieuzasadnione. Nie napotkali nikogo, ani wroga, ani przyjaciela, i Supaari powinien poczuć otuchę, ale jej nie czuł. Coś dziwnego dzieje się z niebem, pomyślał, składając kosz na ziemi i siadając, podczas gdy Runowie paśli się w milczeniu. Światło było w dziwny sposób przyćmione. Może to wulkan?

– Supaari!

Odwrócił się i zobaczył Sofię żującą korzeń *betrinu*. Wyglądała tak brązowo! Coś się stało z jej oczami, czy zmieniła barwę?

Nie ufając już własnym zmysłom, Supaari wskazał na niebo.

– Czy to wydaje ci się normalne? – zapytał.

Sofia zmarszczyła czoło.

– Wygląda... jakoś dziwnie. Słońca wzeszły, ale jest jakby trochę ciemno. – Pięć lat w puszczy, pomyślała, przypominając sobie światło słoneczne sączące się przez baldachim liści.

– Chyba już nie pamiętam, jak powinno wyglądać normalne niebo!

– *Sipaj*, Djalao! – zawołał cicho Supaari. Wyprostowała się nad krzaku *melfruta*, który objadała. – Niebo jest dziwne.

Sofia parsknęła.

– Mówisz jak Izaak – powiedziała, ale spoważniała na widok jego twarzy.

– Barwa jest dziwna – zgodziła się Djalao.

Supaari podniósł się i stanął twarzą do wiatru. Oczyścił płuca przez usta, a potem wciągnął powietrze nozdrzami; wiatr był zbyt słaby, by nieść jakąś określoną woń, ale miał nadzieję wyczuć choćby strzęp zapachu. Djalao wpatrywała się w niego uważnie.

– Nie ma siarki – powiedział jej. – To nie wulkan.

– To niedobrze – szepnęła, nie chcąc niepokoić Kanchaya, który chodził w pobliżu z naręczem liści *trijatu*.

– Co się stało? – zapytała Sofia.

– Nic – odrzekła Djalao, wskazując jej spojrzeniem Kanchaya, który i tak ledwo radził sobie z przeżyciami ostatnich kilku dni.

Lecz Supaari powiedział Sofii spokojnie:

– Dowiemy się rano.

We wciąż nieruchomym powietrzu, nasączającym się bladym światłem pierwszego świtu, ujrzeli całun dymu wznoszący się słupami ku niebu i łączący się tam, jak łodygi *hampiy* w koronie drzewa. Tego dnia, kiedy ruszyli w drogę, nawet Sofia wyczuwała woń spalenizny przenikającej poprzez odór maści z *benhunjaranu* wtartej w jej włosy.

– W Kashanie nic się nie stało – powtarzał wciąż Kanchay. – *Djanada* już dawno spalili nasz ogród. – A od tego czasu VaKashani skwapliwie trzymali się przepisów ustanowionych przez Jana’atów.

Był jednak osamotniony w swej nadziei, a kiedy zbliżyli się do promu *Magellana*, już z daleka zobaczyli ciała: niektóre poćwiartowane, inne poszarpane przez drapieżniki, większość poskręcana i poczerniała od ognia.

Sofia pozostawiła ich, wpatrujących się z daleka w trupy, a sama wspięła się do wraku promu spustoszonego przez wandali. Ktoś płacze, pomyślała i zastanawiała się kto, kiedy odgłosy szlochu odbijały się głucho od kadłuba. Nie przejmowała się nimi, prawie ich nie słyszała, naprawdę. Mogło być gorzej, myślała, ocierając twarz i myszując po wraku. Znalazła resztki różnych urządzeń; najcenniejszym znaleziskiem okazał się zapasowy komputer przenośny w nie zauważonej przez nikogo skrzyni. Uważając, by się nie skaleczyć o rozprute drzwi luku towarowego, wyszła z wraku w mglisty blask poranku i wróciła do innych. Usiadłszy po turecku na ziemi, otworzyła laptop i połączyła się z systemem *Magellana*, przede wszystkim poszukując zapisów sytuacji meteorologicznej z ostatniego tygodnia.

– Musieli zniszczyć każdą wioskę, w której kiedykolwiek był ogród – powiedziała Supaariemu bez emocji, rozpoznając dyfuzyjne ścieżki, które Anne Edwards zidentyfikowała wiele lat temu.

– Przecież nie ma już ogrodów – powiedział płaczącym tonem Kanchay, spoglądając na zniszczoną wioskę. – Później nie hodowaliśmy już jedzenia.

– Każde miejsce, w którym kiedykolwiek stanęła nasza stopa – mówiła Sofia, nie zwracając na niego uwagi. – Nie ma nic.

– Wszystkie moje wioski – wyszeptał Supaari. – Kashan, Lanjeri, Railner. I wszyscy mieszkańcy...

– Kto może nosić tyle wstążek? – zapytał Kanchay, oszołomiony. – Dlaczego to zrobili? Kto im dał prawo?

– Legalność władzy nowego Najdonioślejszego jest podawana w wątpliwość – wyjaśniła Djalao pustym głosem. – Wielcy panowie mówią, że nie nadaje się na ten urząd. Dlatego chciał się pokazać jako ten, który przywraca równowagę, oczyszcza swoje terytorium z cudzoziemców i przestępców.

– Ale sam powiedział, że na południu przywrócono już ład! – krzyknął Kanchay. – Wszystkie doniesienia radiowe mówiły... – Odwrócił się i spojrzął na Sofię i Djalao. – Kto im dał prawo? – zapytał, a kiedy nie usłyszał odpowiedzi, zrobił trzy długie kroki w stronę Supaariego i popchnął go z całej siły. – Kto ci dał prawo?

– Kanchay! – zawołała Sofia, odzyskując mowę.

– Kto ci dał prawo? – powtórzył Kanchay, ale zanim Jana’ata zdołał wybełkotać odpowiedź, gniew Runao eksplodował jak lawa. – Kto ci dał prawo? – ryczał wciąż i wciąż, za każdym razem uderzając Supaariego w twarz, aż tryskała krew.

Supaari chwiał się pod ciosami, ale nie próbował się bronić. Sofia, pobladła z przerażenia, zerwała się na nogi i objęła Kanchaya ramionami. Odrzucił ją jak szmacianą lalkę, nie zaprzestając ataku.

– Kanchay! – krzyknęła Sofia i próbowała wcisnąć się między nich, ale Runao znowu odepchnął ją brutalnie. – Djalao! – zawołała z ziemi, z twarzą umazaną krwią. – Zrób coś! On go zabije!

Djalao zamarła, zbyt oszołomiona, by się poruszyć. Dopiero po chwili odciągnęła Kanchay a od krwawiącego Jana’aty.

Wstrząs wprawił wszystkich w otępienie; stali, klęczeli lub leżeli bez ruchu, póki z gardła Kanchaya dobywał się ryk rozpaczony. Dopiero kiedy ucichł, Supaari wstał, splunął krwią i otarł usta spodem dłoni. Obrócił się powoli, rozglądając się uważnie, jakby szukał czegoś, czego już nigdy nie znajdzie, i opadł ciężko na zwiotczały ogon.

A potem, bez słowa, odszedł z ruin Kashanu, z pustką w głowie i pustką w sercu.

Powlekli się za nim. Nie zwracał na nich uwagi. Nie jadł nic, nie był w stanie. Żal przywarł do niego jak woń spalonego mięsa, której nie mógł się pozbyć mimo dwóch ulewnych deszczów w drodze do puszczy. Nawet zapach jego córki nie mógł stłumić odoru śmierci; kiedy spotkali się z resztą na skraju puszczy, nie chciał wziąć Ha'anali w ramiona. Nie chciał splugawić swego dziecka tym, co jej lud... co jego lud...

Tym, co on zrobił.

Kiedy w końcu przybyli do Trucha Sai, był zbyt pogrążony w poczuciu winy, by kogokolwiek wysłuchać. Siedział na skraju polany, nie pozwalając nikomu się dotknąć, nie dając sobie nawet oczyścić futra, choć czuć go było z daleka spalonym mięsem. Kto dał nam prawo?, zadał sobie pytanie, kiedy ciemność nieba zrównała się z mrokiem, jaki ogarnął jego duszę. Kto dał nam prawo?

Nie zasnął tej pierwszej nocy po powrocie do wioski, a kiedy świt rozjaśnił niebo na tyle, by odzyskał wzrok, odszedł, zanim wszyscy się przebudzili. Wierzył, że nikt go nie wytropi, a w puszczy łatwo znajdzie śmierć, jeśli tylko poczeka na nią dostatecznie długo. Przez wiele dni błąkał się bez celu, kiedy było jasno, lub leżał, kiedy powaliło go zmęczenie i głód. Ostatniej nocy, czując nieznośne skurcze w pustym żołądku, usiadł obok niedawno opuszczonego gniazda *tinpera*. Roilo się w nim od maleńkich *khimali*, a kiedy zasnął, dobrały się przez futro do jego skóry, by nasycić się krwią. Obudził się pośrodku nocy, czując piekący ból i krwawiąc z tysiąca maleńkich ran, ale nawet się nie poruszył ani nie próbował uwolnić od pasożytów.

Już blisko, pomyślał z pewną ulgą. Nie zasnął ponownie, po prostu stracił świadomość. Tej nocy padało. Nie słyszał grzmotów.

Był już dzień, kiedy jaskrawożłoty promień środkowego słońca odnalazł jego twarz, wślizgując się do puszczy poprzez szczelinę w baldachimie liści. Obsypany darnią, zwinięty w kłębek na dnie lasu, otworzył oczy, nie podnosząc głowy, i przypatrywał się tępo małym *khimali*, buszującym w części futra, które pokrywało jego nadgarstek.

Nie zabiorą tyle, by zabić swojego żywiciela, pomyślał Supaari, czując żal, że przeżył tę noc, i wstręt na widok rozbieganych, opitych krwią skorupiaków. Wysysają krew i nie dają nic w zamian. Jak to pasożyty. One...

Usiadł, zamrugali...

Był oszołomiony, bliski śmierci z głodu, ale jego świadomość odnalazła ów moment z przeraźliwą jasnością. Było to poczucie, opowiadał później Sofii, nie tyle jakiegoś pogodnego zadowolenia – choć nawet wtedy wiedział, że będzie ono jego nagrodą, kiedy odegra swoją rolę – ile radości. Wydało mu się, że ze wszystkiego, co go otaczało, przejrzała doskonałość, że on sam, puszcza i *khimali* stali się jednym, że są jedną cząstką dziwnej przejrzystości. Słońce oświetliło małą polankę – i to również wydało mu się objawieniem. Oszołomienie i rozpacz rozwiały się jak chmury, co pozwoliło przeniknąć owej... iluminacji. Widział przed sobą wszystko: kroki, które podejmie, drogę, którą pójdzie, jej koniec. Musiał tylko to zrozumieć.

Wszystko stało się nagle jasne.

Radość trwała bardzo krótko, ale już wiedział, że nigdy nie będzie taki jak przedtem. Kiedy minęła, dźwignął się na nogi, nieświadom własnego oszołomienia. Poczł silny odór: coś musiało umrzeć tego ranka, gdzieś w pobliżu, w leśnym podszyciu. Nie zastanawiając się, zgiął się w pół i obrócił powoli, zamiatając ogonem rośliny, z rękami rozłożonymi szeroko, by zachować równowagę, węsząc uważnie, póki nie umiejscowił źródła zapachu: sporego leśnego *wa'ile'a*, który zdechł ze starości. Pożarł go na surowo, rozrywając mu brzuch zębami i pazurami. Lepszy padlinożerca niż pasożyt, pomyślał.

Wiedział, nawet wtedy, że jeszcze będzie jadł mięso Runów. Różnica polegała na tym, że teraz zamierzał przekształcić ich ofiarę. Zwróci im ją: życie za życie.

– *Sipaj*, Supaari! – rozległy się krzyki Runów, kiedy zobaczyli go na skraju osady. – Myśleliśmy, że odszedłeś!

– Nie zbliżajcie się... ktoś musi trzymać się z dala – powiedział i rozwarł ramiona, by pokazać wrzody pod pachami i krwawe plamy na futrze.

Sofia podeszła do niego mimo tych ostrzeżeń.

– Ktoś cię oczyści. Ktoś jest tak...

– Nie zbliżaj się.

Jej troskliwa gotowość bardzo go wzruszyła, ale nie mógł na to pozwolić, jeszcze nie teraz.

Patrząc ponad nią na Runów, przyglądał się wiosce, schludnej i zadbanej, przyglądał się samym Runom, którzy żyli całe lata w Trucha Sai bez wtrącania się Jana'atów w ich życie.

– Co powoduje te wrzody? – zapytał ich głośno. Rozległ się pomruk odpowiedzi i dotarł do niego zapach ich lęku. Zaniepokoił ich i zrobiło mu się przykro. Ale to było konieczne – ten lęk, to oszołomienie, zanim nadejdzie jasność.

– Co je powoduje? – zapytał ponownie.

– *Khimali* – odpowiedziała krótko Djalao, stając obok Sofii. Zrozumiał, że chciała przerwać tę dziwną scenę. Chciała go odciągnąć gdzieś na bok, by przeszukać mu futro, miażdżyć palcami te ruchliwe stworzenia, skończyć z tym raz na zawsze.

– Są niebezpieczne – dodała sucho. – Sprawiają, że jesteś słaby. Proszę, pozwól tej jednej...

Lecz Supaari zawołał:

– A czym są *khimal*?

– Pasożytami! – odpowiedziała Djalao, patrząc na niego ze zdumieniem. – *Sipaj*, Supaari, dlaczego...

– A czym są pasożyty – zapytał, wciąż patrząc na innych Runów. – To stworzenia, które żywią się krwią gospodarza, nie dając mu w zamian nic, które czerpią życie z życia innych.

Większość Runów rozglądała się niepewnie, przestępując z nogi na nogę. Ale Djalao wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy. Ona już wie, pomyślał. Ona zrozumiała.

– A co trzeba zrobić – zapytał ją cicho – żeby pozbyć się pasożytów?

– Trzeba je pozabijać – odpowiedziała równie cicho i z równą pewnością. – Pozabijać je... wszystkie po kolei... aż przestaną nas nękać.

GIORDANO BRUNO
2064 czasu ziemskiego

– Przykro mi, John, ale jakoś nie widzę wielu możliwości – powiedział łagodnie Emilio Sandoz. – Co proponujesz? Bunt na *Giordanie Brunie*?

– Nie traktuj mnie protekcyjnie, Emilio! Mówię poważnie...

– Wcale mi się nie wydaje, że mówisz poważnie – powiedział Emilio, wlewając rozbełtane jajka na patelnię. Quell zdawał się wzmagać w nim apetyt; obudził się o piątej rano czasu lokalnego, czując straszliwy głód. Kiedy poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie coś do zjedzenia, zastał już tam Johna Candottiego, snującego plany, jak opanować statek i wrócić na Ziemię.

– Chcesz trochę? Mogę zrobić więcej jajecznicy.

– Nie. Posłuchaj! Im dłużej zwlekamy, tym dalej jesteśmy od Ziemi i...

– Więc co chcesz zrobić? Poderżnąć Carlowi gardło podczas snu?

– Nie! – wyszeptał John. – Ale możemy go zamknąć w kabinie...

– Och, przestań! – jęknął Emilio, przewracając oczami i mieszając jajecznicę. – Daj mi trochę soku, dobrze?

– Emilio, on jest jeden! Nas jest siedmiu...

– A rozmawiałeś już z innymi na ten temat, panie chrześcijaninie? – zapytał Emilio, naśladując Charlesa Laughtona.

John zarumienił się. Otworzył kredens i wyjął karton z sokiem.

– Rozmawiam najpierw z tobą, ale jestem pewny, że...

– Więc nie bądź taki pewny – powiedział sucho Emilio. Pozbawiony emocji, dostrzegał realia z porażającą jasnością; rozumiał teraz, dlaczego zbuntowani więźniowie poddają się natychmiast, gdy im przez dziurki od klucza wpuszczą gaz nasycony quellem. – Siedmiu na jednego, ale tym jednym jesteś ty sam, John.

Przełożył jajecznicę na talerz, podszedł z nim do stołu i usiadł plecami do kuchni. John poszedł w jego ślady, stawiając na stole pojemnik z sokiem i siadając naprzeciw niego. Emilio jadł w milczeniu, czując na sobie jadowite spojrzenie przyjaciela, lecz po chwili odsunął talerz i podniósł głowę.

– Zrozum, John. Przeanalizuj fakty. Bez względu na to, co myślisz o nim samym czy o jego motywach, Danny Żelazny Koń już zaryzykował swą duszę, prawda? – Wpatrywał się w Johna spokojnie, póki ten nie kiwnął niechętnie głową. – Joseba ma swoje własne powody, by lecieć na Rakhat, niezależne od innych. Sean... jego nie rozumiem, ale on chyba uważa, że cyniczny stosunek do ludzkiej natury jest najlepszą odpowiedzią na grzech. Nie stanie po żadnej stronie.

John nie spuszczał z niego oczu, ale zaczynał się poddawać.

– Jeśli chodzi o Nica – mówił Emilio – to nie radziłbym ci go nie doceniać. Nie jest taki głupi, na jakiego wygląda, a zaszczepiono mu głęboką lojalność wobec *padrone*. Zaatakuj Carla, będziesz miał do czynienia z Nikiem, a ostrzegam cię: jest naprawdę dobry w swoim fachu. – Wzruszył ramionami. – Załóżmy jednak, że Sean zachowa neutralność, że zdołasz nakłonić do współpracy Danny’ego i Josebę i że w jakiś sposób spacyfikujemy Carla i Nica. Nadal będziemy potrzebować kogoś, kto sprowadzi statek z powrotem na Ziemię, a tym kimś jest Gruby Frans...

– Zgoda, ale Frans to typowy najemnik! Można go kupić!

– Wiadomo, że uważa Carla za świra...

– Frans ma prawdziwy talent do koloryzowania wszystkiego. – Emilio oparł łokcie na stole.

– John, Carlo to zimny, pozbawiony skrupułów egoista, ale na pewno nie jest świrem. A nawet gdyby był, nie liczyłbym na współpracę Fransa. – John najeżył się, ale Emilio nie zwracał na to uwagi. – Kamorra ma długie ręce i dobrą pamięć. Sprzeciwienie się Carlowi to dla Fransa zbyt duże ryzyko.

– Wspaniała analiza, Sandoz! – zawołał Carlo, wchodząc do wspólnego pomieszczenia. – Zachwycająco makiaweliczna. Wierz mi, Candotti – powiedział sucho, kiedy John podskoczył na dźwięk jego głosu – tajemność jest pierwszą zasadą konspiracji. Mesa to naprawdę niezbyt odpowiednie miejsce na takie rzeczy. – Przeniósł swoje wesołe szare oczy z poczerwieniałej twarzy Johna na twarz Sandoza, bladą i nieruchomą. – A ty, Sandoz? Nie chcesz wrócić do Giny i mojej córki?

– To, czego ja chcę, nie jest ważne. Ale prawdą jest, że byłem częścią ich życia tylko przez parę miesięcy. – John zachnął się, a Emilio zwrócił się do niego. – Na Ziemi mijają lata, John. Nawet gdybyśmy teraz zawrócili, trudno oczekiwać, że powitają mnie tak, jakbym wracał z krótkiego wyjazdu służbowego.

John zmarkotniał, za to Carlo cały promieniał.

– A więc wolno mi mniemać, że podjąłeś już decyzję...

Później wspominali, że uderzenie zabrzmiało jak karabinowy wystrzał.

Rozległ się głuchy trzask, po nim zapadła kompletna cisza i ciemność, a po chwili cały statek rozbrzmiał krzykami ludzi objających się o sprzęty i ściany, kiedy zgasły silniki i stracili grawitację zapewnianą przez przyspieszenie.

Prawie równocześnie zapaliły się światła awaryjne i zawyła syrena sygnalizująca przerwanie kadłuba, a potem zajęczały zamykające się samoczynnie drzwi między grodziami, izolujące pomieszczenia, w których doszło do gwałtownego spadku ciśnienia. W chwilę później zaczęły latać w powietrzu wszystkie sprzęty i przedmioty, oddalając się od centralnej osi masy. John wyrznął w krawędź stołu z taką siłą, że zaparło mu dech. Emilio, którego uderzenie powaliło na bok, przywarł teraz do grodzi, czując, jak tuleja wlotu powietrza wciska mu się w plecy. Choć w uszach mu dzwoniło od uderzenia głową w ścianę, obserwował, zafascynowany, tubę Wolvertona, w której rośliny i ziemia najpierw zawirowały bezładnie w powietrzu, a potem pochwycił je potężny wir, zamieniając wszystkie uprawy w burą trąbę powietrzną.

– Tam jest teraz oś! W tubie! – wrzasnął Carlo, który z szeroko rozłożonymi ramionami przywarł do ściany naprzeciw Emilia.

Przypomniało mu się przerażające przeżycie z wesołego miasteczka, kiedy był dzieckiem – wielki cylinder obracający się coraz szybciej i szybciej, aż siła odśrodkowa odrywała ludzi od podłogi i przyciskała do ścian. Z trudem łapał powietrze, bo potężna siła zdawała się miażdżyć mu piersi, więc ograniczył się do krótkich zdań, ale zachował spokój.

– Sandoz... tam jest czerwony guzik... na lewo od ciebie... Tak. Bądź tak łaskaw... i naciśnij go... dobrze?

Sandoz starał się przesunąć nogę o cal, a Carlo, obserwując go ze współczuciem, sam spróbował poruszyć nogą, żeby się przekonać, jakie to trudne przy całkowicie zmienionym wektorze grawitacji. Sandoz uznał, że nie zdoła przesunąć stopy siłą samych mięśni łydki, więc wygiął w łuk całe ciało, aż krawędź stopy trafiła na guzik. Syrena umilkła.

– Dobra robota – pochwalił go Carlo, czemu towarzyszyło mimowolne westchnienie ulgi, jakie wydał z siebie Candotti.

Teraz jednak usłyszeli bardziej złowieszcze dźwięki: trzeszczenie skalnej substancji statku, plusk wody wyciekającej z jakiejś pompy, syczący gwizd ulatującego powietrza i jęk zgniatanego metalu przypominający żałosny śpiew wieloryba.

– Interkom: włączyć wszystkie przekaźniki – powiedział Carlo normalnym tonem, aktywizując wewnętrzny system komunikacji.

Wywoływał ich po imieniu: Frans, Nico, Sean, Joseba i Danny zgłaszali się po kolei.

Przyszpileni do ścian i sufitów, tkwili w swoich kabinach, pozamykani w nich przez awaryjny program AI, który każde pomieszczenie zamienił w kapsułę ratunkową.

– Zupełnie jak... podczas ćwiczeń – rozległ się uradowany głos Nica. – Nic... nam nie będzie.

John, z twarzą przyciśniętą do blatu stołu, wytrzeszczył oczy, słysząc to optymistyczne stwierdzenie, a po chwili gdzieś z wnętrza statku dobiegł ich głos Fransa:

– *Brav'scugnizz'*, Nico!

Carlo też zdawał się nie tracić pogody ducha.

– Panowie – zawołał, wiedząc, że wszyscy go słyszą – sędzę... że *Giordano Bruno* musiał uderzyć w mikrometeoryt. Skoro... nie zostaliśmy zredukowani do... pyłu minerałów i mgiełki organicznych... molekuł, można zakładać, że w cokolwiek uderzyliśmy... było bardzo małe. Poruszamy się jednak... z wielką szybkością, która wywołała... taki skutek. – Zaczął odnajdywać własny rytm i teraz oddychał już łatwiej. – Ach! Widzisz to, Sandoz? – zapytał, poruszając oczami w swojej unieruchomionej głowie. – Próżnia wysysa brud z... tuby Wolvertona... przez szczelinę... wyrwaną przez meteoryt. O, już się zaczopowała.

Głośny syk ucichł, a tornado szalejące wewnątrz przezroczystego cylindra ustąpiło miejsca zwartej masie ziemi, która przywarła do ścianki, podobnie jak Sandoz i Carlo do wewnętrznych ścian wspólnego pomieszczenia.

Tocząc dziko oczami, John dostrzegał Carla gdzieś na skraju swojego pola widzenia.

– Więc teraz... dzieli nas od... przestrzeni kosmicznej... tylko brud? – wyrzucił z siebie chrapliwym głosem.

– Brud i... miłość Boga – rozległ się w interkomie napięty głos Seana.

Carlowi udało się roześmiać.

– Może jest wśród pasażerów ktoś... kto ma ochotę... pomodlić się za duszę Jamesa... Lovella, patrona pechowych kosmonautów? On... na pewno obserwuje nas tego ranka, drodzy przyjaciele. Słuchajcie! – krzyknął, gdy system fotoniczny nagle się uruchomił i zresetował. – Przygotujcie się na upadek. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, inercyjny system kierujący... zacznie zaraz odpalać rakiety kierunkowe...

Rozległy się krótkie modlitwy i przekleństwa – i jedno, i drugie składające się wyłącznie z imienia Jezus – a potem okrzyki strachu, zaskoczenia i bólu, kiedy system kierujący zaczął odpalać silniki raketowe i dokonywać korekty kąta nachylenia statku, gwałtownie nim wstrząsając i obracając. W pomieszczeniu wspólnym zawirowały w powietrzu kuleczki soku pomarańczowego, kawałki jajecznicy i pył; widelec Emilia obracał się jak szalony tuż obok latającego talerza. W kabinach wszystko, co nie było przytwierdzone – laptopy, maszynki do golenia, skarpetki, pościel, różańce – tańczyło wokół ciał ludzi zgodnie z chaotycznymi siłami ruchu statku, który zmieniał się co chwila. Po chwili do ogólnego chaosu dołączyły pigułki śliny, wymiocin i łez – na krótko uformowane przez napięcie powierzchniowe – roztrzaskujące się o płaszczyzny, wpadające na siebie albo rozbijane gorączkowymi ruchami ludzkich rąk i nóg szukających punktu oparcia.

W ciągu kilku minut, które wydawały się wiecznością, obrót ustabilizował się i wszystkich pociągnęło ku peryferiom statku, ale już ze znacznie mniejszą siłą.

– Czujesz to, don Gianni? – zawołał Nico, najwyraźniej zaniepokojony lękiem, który usłyszał w głosie Johna Candottiego. – Czujesz? Zaczyna puszczać...

– W porządku – powiedział Carlo, spokojny jak zawsze.

– Kiedy siła odśrodkowa zmaleje, zacznijcie przesuwac się w stronę podłogi.

– Rozumiesz, don Gianni? – zapytał z troską Nico, bez śladu ironii. – Statek zaraz nas puści...

– Kiedy uruchomią się wszystkie silniki – ostrzegł ich Carlo – odzyskamy pełną moc i...

Oznaczało to pełną, normalną grawitację. Podłogi nagle znalazły się tam, gdzie być powinny, a każdy, kto nie potłukł się wcześniej, kiedy system kierowania spowolnił i zatrzymał obrót, mógł teraz skorzystać z szansy zarobienia kilku siniaków.

– No i po wszystkim! – zawołał wesoło Carlo, tryskając werwą i owym prawie magicznym samozadowoleniem, charakterystycznym dla przystojnych Włochów w średnim wieku. – Wszystko poszło tak gładko, jak tylko można było sobie życzyć. Proszę wszystkich o zameldowanie się w mesie.

Okazało się, że mimo wszystko nikt poważnie nie ucierpiał. Kiedy automatyczny pilot pootwierał wszystkie drzwi, wyszli z kabin i zjawiali się jeden po drugim w mesie, nadzy lub w szortach. Frans, dzięki swym obfitym pokładom tłuszczu i wrodzonej flegmatyczności, nie zarobił nawet siniaka, a Nico w ogóle nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia, uważając to, przez co przeszli, za rodzaj dość zabawnego ćwiczenia. Joseba milczał i oddychał ciężko, ale poza tym nic mu się nie stało. Sean był widocznie wstrząśnięty, natomiast Danny Żelazny Koń skupiony i czujny. Sam Carlo wiedział dokładnie, które z Newtonowskich praw podziałało na poszczególne części jego ciała, ale zachował pełną sprawność fizyczną. John też twierdził, że nic mu nie jest i natychmiast zabrał się do pracy: odnalazł w kuchni uszkodzoną pompę wodną, odciał dopływ wody i zabierał się do załatania przecieku razem z Nikiem. Sandoz był spokojny, bo nawet awaria nie była w stanie wzbudzić w nim żadnych emocji. Stwierdził tylko:

– Popsuła mi się jedna proteza, ale chyba da się naprawić. Poza drobnymi rozcięciami i siniakami nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń, może dlatego, że w momencie zderzenia prawie wszyscy byli w łózkach. Nie dając im czasu na poddanie się pourazowej panice, Carlo przydzielił każdemu zadanie, wydając krótkie polecenia suchym, rzeczowym głosem:

– Chcę, żeby wszyscy nałożyli skafandry i chodzili w nich, aż uzyskamy pewność, że statek jest całkowicie ustabilizowany. Nico, jak się ubierzesz, zabierz się do sprzątania. Zaczynj od kuchni. Zrób don Gianniemu listę uszkodzeń. Sean, pomóż Sandozowi nałożyć skafander, a potem sam się ubierz...

– W skafandrze nie będę mógł włączyć rękami – zaproponował Sandoz.
– Nie mogę...

– Tylko do czasu, kiedy się upewnimy, że wszystko jest w porządku.
– Sandoz wruszył ramionami, zrezygnowany lub obojętny. – Frans, jak tylko będziesz gotowy, weź Sandoza i idźcie do sterowni. Sandoz, pomożesz mi w sprawdzeniu wszystkich systemów. Sprawdźcie dokładnie stan statku, system po systemie. Wszystkie komendy można wydawać głosem, a jak tylko minie zagrożenie, pozbędziemy się skafandrów. Candotti, zostaw zmywanie podłogi Nicowi, a sam sprawdź, czy nie ma przecieków na innych poziomach. Mogą być jakieś inne uszkodzenia, a chyba nie chcemy, żeby coś nam wyciekło. Sean! Obudź się! Pomóż Sandozowi założyć skafander.

Kiedy reszta wyszła, Carlo przemówił do Joseby i Danny’ego.

– Kiedy się upewnimy, że statek jest cały i sprawny, najważniejsze będzie reaktywowanie napowietrzania biologicznego i systemów oczyszczających.

Dopiero teraz Joseba i Danny spojrzeli na tubę Wolvertona i zamarli z przerażenia na widok zniszczonych upraw.

– Panowie, to nie koniec świata – uspokajał ich Carlo. – Możemy utrzymać dobrą jakość powietrza, używając filtrów wodnych, mamy też zapasowe generatory tlenu. Nie chciałbym jednak tracić pełni sprawności jakiegokolwiek systemu, więc trzeba uratować tyle roślin, ile się da. To twoje zadanie, Joseba. Jeśli wszystkie są już martwe, możemy odtworzyć plantację w ciągu paru miesięcy, mamy bowiem na pokładzie ziarna. Kiedy Sean będzie wolny, zajmie się zbiornikami rybnymi. Niech sprawdzi, czy nie ma żadnych przecieków i pęknięć. Sądzę, że tilapie przeżyły tę wirówkę, ale trzeba dokładnie sprawdzić zbiorniki i oczyścić wszystkie filtry.

Joseba stał przez chwilę jak oniemiały, ale w końcu drgnął i poszedł do swojej kabiny, aby włożyć skafander i upewnić się, że Sean i Sandoz zrobili to samo.

– Ave, Cezarze! – zawołał Danny Żelazny Koń do Carla, gdy zostali sami. – Ty zimny draniu.

Carlo uniósł jedną rękę dłonią na zewnątrz, drugą złożył na piersiach, przybierając pozę dostojnego Rzymianina.

– Nie jestem zimnym, pozbawionym skrupułów egoistą – oświadczył, unosząc władczo brwi. – Jestem królem-filozofem, wcieleniem stoickiego spokoju ducha.

– Tylko z wyglądu. Wy, członkowie rodu Giulianich, jesteście skurwysynami o kamiennych sercach.

– To samo mówił mi ojciec – powiedział Carlo spokojnie. – Moja matka zaprzeczyła wszystkiemu i zażądała testów DNA. Ubieraj się. Pójdiesz ze mną. Musimy sprawdzić kadłub i zobaczyć, w jakim stanie są nasze promy. Myślę, że będziemy lepiej spać, jak załatamy tę dziurę czymś bardziej godnym zaufania od grudki błota.

– Taśmą izolacyjną? – zapytał Danny, kiedy szli ku spiralnym schodkom wiodącym do ich kabin na dolnym poziomie. Carlo roześmiał się, ale zanim zdążył przejść przez luk, Żelazny Koń wyciągnął swoje potężne ramię, blokując mu drogę.

– Byliście blisko? – zapytał, wpatrując się w niego spokojnie.

– Będę wiedział, jak zbadam kadłub – orzekł Carlo, ale Danny wciąż zagradzał mu przejście, więc cofnął się o krok i stał nieruchomo, założywszy ręce na kark i przekrzywiwszy głowę. Ci, którzy go znali, uważali go za człowieka wybrednego i wyrafinowanego: Carlo Giuliani rzadko używał wulgarnych słów, jeśli sytuacja naprawdę ich nie wymagała.

– Tak kurewsko blisko – powiedział spokojnie, wyraźnie oddzielając słowa – że jedyną przyczyną, dla której jeszcze żyjemy, może być tylko to, o czym mówili papież i Don Vincenzo: Bóg chce mieć Sandoza na Rakhacie.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Danny opuścił rękę, kiwnął głową i zaczął iść w dół.

Kwadrans później, ubrani w skafandry ciśnieniowe, Danny i Carlo spotkali się ponownie na korytarzu pomiędzy swoimi kabinami i zaczęli obchodzić wszystkie pomieszczenia, poszukując uszkodzeń. Polecenie Carla, by wszystko zabezpieczać i trzymać w zamkniętych schowkach, było dość skrupulatnie przestrzegane, co zapewne oszczędziło im poważniejszych obrażeń.

W kabinach panował bałagan, ale nie zwracali na to uwagi, odkładając na bok skłębioną pościel i ubrania, by sprawdzić dokładnie ściany, podłogi i sufity.

Wszystkie grodzie pokryte były odpornym na naprężenia powierzchniowe polimerem, ale skutki gwałtownego wirowania statku dało się zauważyć wszędzie. Ponieważ zderzenie z meteorytem było jedynym możliwym scenariuszem awarii w przestrzeni kosmicznej, Carlo wybrał odpowiedni asteroid i przygotował go do lotu, mając to na względzie. Mogły, rzecz jasna, powstać pęknięcia w powłoce zewnętrznej, ale to mogli sprawdzić tylko sondą dźwiękową.

Ważne było, że umożliwiający życie cylinder wewnętrzny *Bruna* nie został uszkodzony na tyle, by groziło to natychmiastowym rozdarciem kadłuba.

Przechodząc przez mesę w drodze do hangaru promów, Carlo zauważył, że Nico uporał się już z kuchnią. Żywność i sprzęty trzymano w przytwierdzonych do podłogi lub ścian zamkniętych pojemnikach, więc trochę bałaganu narobiła tylko patelnia, na której Sandoz smażył sobie jajecznicę. Carlo, zadowolony z dotychczasowej inspekcji, zatrzymał się w sterowni, gdzie Frans i Sandoz dokonywali już diagnozy systemów.

– Gdzie twój skafander, Frans? – zapytał Carlo. Jego głos, przefiltrowany przez mikrofon i głośnik, brzmiał spokojnie, ale można było w nim wyczuć groźbę.

– Jestem dorastającym chłopcem. Już nic na mnie nie pasuje – odpowiedział Frans.

Wyszczrzył zęby do Danny’ego, który stał obok Carla z obojętną twarzą przezierającą przez osłonę hełmu. – Pomódl się, żebyśmy nie zassali jakiejś cholernej próżni, szefie. Jeśli eksploduję, przez resztę podróży będziecie zbierać tłuszcz ze wszystkich urządzeń.

– Albo spoczywać na łonie Jezusa – powiedział sucho Danny.

– Znaleźliście już coś? – zapytał Carlo.

– Jesteśmy ślepi na jedno oko – poinformował go Frans, odzyskując powagę. – Jak wyjdziecie, przyjrzyjcie się sensorom z prawej burty.

Mamy szczęście, pomyślał Carlo. Wielkie szczęście. Ale na głos powiedział:

– W porządku. Danny, idź i zobacz, co u Seana i Joseby... jak to zniosły nasze rośliny i zwierzątka. Potem obejrzyj promy. Ja wychodzę na zewnątrz, żeby obejrzeć kadłub. Frans, monitoruj mnie.

Głównym źródłem nieszczęść człowieka, napisał stoik Epiktet, jak również jego podłości i tchórzostwa, nie jest śmierć, ale lęk przed śmiercią.

Carlo Giuliani przeczytał te słowa, kiedy miał lat trzynaście, w tydzień po jednym z wielu pogrzebów, w których uczestniczył jako dziecko. Bomba rozerwała na kawałki jakiegoś kuzyna; prawie nie było co włożyć do trumny, jednak za karawanem jechało ze dwieście samochodów.

Carlo nie był świadkiem tego szczególnego wydarzenia, ale bryzgi krwi i kawałki mózgu widział już, jak miał siedem lat – tym razem był to jeden z wujów – więc od wczesnych lat zastanawiał się nad ludzką śmiertelnością. Inny chłopiec na jego miejscu mógłby zostać księdzem, a w ich rodzinie takich precedensów nie brakowało – był nawet w czternastym wieku jakiś stygmatyk o nazwisku Giuliani. Dla Carla w chrześcijańskiej hagiografii było jednak za dużo męczenników.

Przepełniony romantycznym poczuciem wielkości własnej osoby, dojrzewający chłopiec skupił swą uwagę nie na Jezusie Chrystusie, lecz na Marku Aureliuszu. Trzeba było największego z cesarów, pomnikowego wzoru monumentalnego samoopanowania i nieulegliwości, by wzmocnić kruche męstwo chłopca, będącego łatwym celem ataku którejś z rywalizujących z Giulia *nimi familiae*, gdyby pojawiła się konieczność zemsty.

Aureliusz nie był łatwym wzorem do naśladowania. Carla pociągał jego stoicki racjonalizm i męstwo, ale sam tkwił po uszy w neapolitańskim bagnie pogańskich przesądów i rokokowego katolicyzmu. Jako chłopiec był jednocześnie rozpieszczany i obrzucany obelgami, puszczonej samopas i poddawany bezwzględnej presji. Kiedy dorósł, pod wieloma względami pozostał katastrofalnie zepsutym synkiem swojej mamusi, w którym każdy sprzeciw budził wściekłość; był podobnie jak jego ojciec ślepy na potrzeby i oczekiwania innych ludzi, chyba że zagrażały jego własnym. Wiedział jednak, że te cechy są wadami i starał się je w sobie zwalczać.

„Najlepszym sposobem obrony”, napisał Aureliusz, „jest nie odpłacać pięknym za nadobne”.

– Uczę się na błędach moich poprzedników – powiedział Carlo Sandozowi i nie była to czcza przechwałka, ale jego pierwsza zasada życia, a *Giordano Bruno* był dowodem, że stosował tę zasadę konsekwentnie i osiągał to, co chciał. Kapsuła kosmiczna była umieszczona wewnątrz wielkiej, wyjątkowo symetrycznej skały asteroidu, którego struktura nie była uprzednio osłabiona żadnymi pracami wydobywczymi. Przed wydrążeniem cylindra wewnętrznego dokładnie zbadano skład skały i sprawdzono jej spójność sondami dźwiękowymi.

Kabiny załogi umieszczono w samym środku, co dawało dodatkową ochronę przed promieniowaniem kosmicznym. Cała wewnętrzna powłoka cylindra została uszczelniona pod ciśnieniem elastyczną, samoutwardzalną masą plastyczną. Fotonika, układy sterujące i systemy umożliwiające życie były potrójnie zabezpieczone i nieustannie kontrolowane przez wszechstronnie przetestowane sztuczne inteligencje, zaprogramowane tak, by reagowały na każde nieprzewidziane zakłócenie ich funkcji automatycznie zasilanymi procedurami, nawet gdyby załoga nie była zdolna do żadnych czynności.

Kosztowało to fortunę. Carlo przedstawił ojcu rzeczowy bilans przedsięwzięcia, a jego siostra Carmella naturalnie go poparła, bo projekt wyłączał go na długo z rywalizacji o władzę.

Carmella dowodziła, że pieniądze wydane na zwielokrotnienie szans powodzenia wyprawy zwiększą prawdopodobieństwo spodziewanych zysków. Oznaczało to jednocześnie zwiększenie szansy powrotu jej brata na Ziemię, ale uznała to za możliwe do przyjęcia ryzyko, założywszy, że ich ojca, Domenica Giulianiego, nie będzie już wówczas na świecie.

Zgnij w piekle, stary, pomyślał Carlo, wspinając się po centralnej spirali schodków, by stwierdzić dokładnie, jak blisko był spotkania z ojcem zaledwie dwie godziny wcześniej.

Wewnętrzna powierzchnia przedniej części cylindra, tam, gdzie umieszczone były zdalnie sterowane urządzenia sensorowe, pokryta była czarnym pyłem. Wachlarzowata smuga tego pyłu doprowadziła go do miejsca, w którym z podłoża wyrastał miniaturowy Wezuwiusz. Rozgrzebał go nogą, a potem pochylił się, by oczyścić resztę pyłu rękawicą. Znalazł dziurę. Wyprostował się, cofnął, spojrzął na sklepienie, które po odpaleniu silników stawało się dziobem statku, i dostrzegł otwór wlotowy, również zaczipowany mieszanką glebową wessaną tam przez podciśnienie i utrzymującą się dzięki sile tarcia. Nie musiał szukać dziury wylotowej, wiedział, że jest w drugim końcu statku.

Polegając na razie na prawach fizyki, odtworzył w myśli kolizję. Na torze lotu asteroidu musiała znaleźć się cząsteczka materii – prawdopodobnie żelaza – która przebiła powierzchnię i wydrążyła wąską kolumnę od dziobu po rufę...

Cudem uniknęli śmierci. Gdyby cząsteczka trafiła nieco dalej od osi, wprawiłaby asteroid w o wiele gwałtowniejszy ruch obrotowy, rozrywając go na kawałki, a nawet gdyby twarda skała wytrzymała, siła odśrodkowa zamieniłaby członków załogi w miazgę. Gdyby mikrometeoryt był większy, rozłupałby statek jak orzech. Gdyby kolizja wydarzyła się w fazie ich maksymalnej prędkości, siła uderzenia zamieniłaby ich w parę, zanim by się zorientowali, co się stało, a *Giordano Bruno* zostałby wpisany na listę statków kosmicznych, które zaginęły bez wieści w drodze na Rakhat.

Po raz pierwszy poczuł lekkie oszołomienie i prawie zachichotał, słysząc własne myśli...

Kiedy wrócę na Ziemię, odprawię nowennę do Najświętszej Panienki... Nie, ufunduję kościół i zapełnię go skarbami z Rakhatu! Po takim ranku jak dziś można śmiało twierdzić, że racjonalizm przegrywa z religią.

Otrząsnął się i spojrzał na skrzynkę sensora umieszczoną w gnieździe na prawo od fatalnej dziury. Starając się nie poruszyć pyłu zalegającego między nim a celem, wyciągnął skrzynkę i delikatnie strząsnął z niej cząsteczki mieszanki glebowej. Poniżej były dwa zapasowe sensory, więc nie było się czym martwić. Postanowił jednak polecić Candottiemu, by zregenerował ten, i który trzymał teraz w rękach.

Może nam jeszcze być potrzebny, pomyślał Carlo. *Najbezpieczniej jest nie kusić Fortuny*, napisał mądry Seneka. Co prawdopodobnie pozwala nam nie polegać wyłącznie na cudach przynajmniej raz w tygodniu...

Przez całe lata po swoim drugim uwięzieniu na Rakhacie Sofia Mendes śniła o domu.

Nienawidziła tych snów i przestała przysyłać komunikaty na Ziemię, mając nadzieję, że zerwanie tej ostatniej więzi przerwie owe sny, ale się zawiodła.

Najczęściej śniła, że jest na jakimś lotnisku i czeka na ogłoszenie jej lotu albo na dworcu; za każdym razie jechała gdzieś, by spotkać się z Jimmym. Czasami szła jakąś znajomą ulicą w Tokio lub Warszawie, a czasami znajdowała się w jakimś chimerycznym, nieznanym miejscu, ledwo przypominającym Ziemię. Prawie zawsze była sama, ale raz, siedząc w jakiejś kafejce i przysłuchując się toczonym w niej rozmowom, zobaczyła wchodzącego Sandoza – spóźnionego, jak zwykle. „Gdzie byliśmy?“, zapytał, siadając naprzeciw niej. „Byliśmy zakochani“, odpowiedziała i obudziła się, wstrząśnięta własnymi słowami, których nigdy nie wypowiedziała na jawie.

Tamtej nocy leżała z otwartymi oczami, wsłuchana w dochodzące z puszczy szelesty i trzaski, i próbowała odtworzyć elementy rzeczywistości, z których zbudowany był ten sen.

Kafejka musiała być w Cleveland, to oczywiste. Kiedy po raz pierwszy spotkała Sandoza?

I nagle napłynęło natarczywe pytanie: Ile właściwie mam lat? Policzyła i wzdrygnęła się, kiedy otrzymała wynik. Prawie pięćdziesiąt. Siedemnaście lat tutaj. Dłużej niż w Stambule! Tak długo jeszcze nigdzie nie mieszkała.

– *Sipaj*, Fia – zapytała ją kiedyś Ha’ana, córka Supaariego – nie jest ci przykro, że twoi ziomkowie zostawili cię tutaj samą?

– Wszystko, co się dzieje, ma jakiś cel – powiedziała jej Sofia. – Teraz moimi ziomkami są Runowie, no i twój lud.

Powiedziała to z silnym przekonaniem, bo już dawno zepchnęła swoją żalną rozpacz na dno duszy, gdzie spoczęła, przywalona ciężarem czystego, bezinteresownego oburzenia z powodu zniewolenia Runów. Odkryła swój cel życia na Rakhacie. Przybyła tu, by nauczyć VaRakhatów jednego słowa: sprawiedliwość.

Wszędzie, na całym największym kontynencie Rakhatu, Supaari VaGayjur, Djalao VaKashan i ich zwolennicy użyczały swego głosu niewypowiedzianym dotąd żalom i pretensjom. Zwykłą broń, jaką posługują się uciśnieni – pozorną uległość i ciemnotę, drobne kradzieże i nieposłuszeństwa, ociężałość i dobrze udawaną tępotę – wszystko to odłożono na bok, otwarcie sięgając po zdumiewającą i ożywczą siłę. Jak olbrzymy powstające na dźwięk wyzwającego ich z wielowiekowego snu zaklęcia, Runowie otrząsali się z niemocy i bezsilności, odnajdując swą prawdziwą moc, o której uprzednio wiedzieli tylko Jana’atowie, słusznie się jej obawiając.

Po pierwszych gwałtownych rozruchach, po wyzwoleniu Gayjuru i Agardi panika zrobiła swoje. Jana'atański patriarcha budził się rano i z przerażeniem stwierdzał, że cała służba uciekła, a na jego posłaniu, tuż obok gardła, leży nóż. Jeśli miał choć odrobinę rozsądku, zabierał rodzinę i uciekał na północ. Nie obyło się, rzecz jasna, bez aktów oporu. Na samym początku Jana'atowie próbowali tu i ówdzie przejść do kontrataku. Ale wiedza jest potęgą, a z pomocą Sofii Mendes Runowie zdobyli wiedzę.

Sofia dostarczyła im myśli technicznej umożliwiającej stworzenie wysoko rozwiniętego systemu komunikacji i urządzeń do przetwarzania danych, a co ważniejsze, uświadomiła im, że takie systemy i urządzenia można stworzyć; Runom wystarczył pomysł, by nowy produkt powstał szybko i skutecznie. Urządzenia radiowe – dzieło rąk Runów – które uprzednio służyły jana’atańskim władzom, teraz zostały odpowiednio zmodyfikowane, by wykorzystać satelity pozostawione na orbitach przez załogę *Stelli Maris*, co pozwalało na stały kontakt między oddziałami powstańców. Po jakimś czasie wszyscy młodzi oficerowie nauczyli się angielskiego, który dla Jana’atów pozostał niemożliwym do złamania szyfrem, podobnie jak na Ziemi język Nawahów w czasie drugiej wojny światowej. Posługując się komputerowymi systemami *Magellana*, Sofia była w stanie skanować kontynent w paśmie około czterdziestu stopni szerokości geograficznej po każdej stronie równika – jedynie południowy ocean i ląd na północ od gór Garnu pozostawały poza polem obserwacji. Ukryta w Trucha Sai, dostarczała komunikatów meteorologicznych i raportów o transportach rzecznych, śledziła ruchy małych jana’atańskich oddziałów, które można było łatwo osaczyć, kiedy wkroczyły na teren odpowiadający Runom, nieprzewidywalnym w swoich działaniach, brakowało im bowiem tradycji prowadzenia wojny. Kiedy Jana’atowie wycofali się na tereny bardziej sposobne do obrony, Sofia określała położenie wielkich zbiorowisk Runów przeznaczonych na rzeź; napadali na nie w porze czerwonego światła i uwalniali całe stada, spychając wygłodzonych Jana’atów coraz bardziej na północ.

– I nie tęsknisz za swoimi bliskimi? – zapytała Ha’ana.

– Mam ciebie i twojego ojca – odpowiedziała Sofia. – Mam Izaaka i Runów. Mam wszystko, czego mi trzeba.

– Naprawdę, matko?

– Naprawdę! – krzyknęła Sofia. – Jestem wdzięczna za to, co mam, Ha’analo.

Mogła dodać: Pragnienie posiadania czegoś więcej rodzi poczucie zawodu. Lecz Sofia Mendes już dawno pozbyła się takich myśli.

Jej sytuacja miała zresztą swoje dobre strony. Na Ziemi jej syn byłby źródłem rozpaczy i lęku – tutaj, w puszczy, pod czujnym okiem setek ojców, wszystkie dzieci były bezpieczne, bez względu na to, czy urodziły się upośledzone, czy normalne, rozwijające się szybko czy powoli.

Nikogo nie odrzucano, nawet jeśli różnił się od reszty. W Trucha Sai wolno było być niedoskonałym. Runowie nie żądali niczego od Izaaka. Nie osądzali go i nie uważali za istotę upośledzoną, nie troszczyli się o to, kiedy wreszcie nauczy się panować nad swoimi kiszkami i kiedy przestanie chodzić nago.

A jeśli nawet Izaak był głuchy na cudze emocje, w pełni doceniał środowisko, w którym przyszło mu żyć. Były tam liany, na których mógł się kołysać, płużące się korzenie i pnie *w'ralii*, na które można się było wspinać i po których można było chodzić, utrzymując równowagę z owym niesamowitym wdziękiem wzbudzającym zdumienie Runów. Było błoto, w którym mógł się taplać, którym można się było obrzucać, które tak cudownie przeciskało się pomiędzy palcami rąk i nóg. Była woda, w której można się było chlapać i pływać. Olbrzymie, wypolerowane przez wodę głazy, z których można było się ześlizgiwać do rzeki, klaszcząc w ręce z uciechy, gładkie otoczaki, które można było zbierać, a później układać jeden obok drugiego, w prostych rzędach, ku zdumieniu Sofii układających się w sekwencję liczb pierwszych: 1, 3, 5, 7, 11, 13 i tak dalej. Tutaj, w Trucha Sai, drzewa szeptały do Izaaka, potok mu śpiewał, deszcz zmywał z niego brud. Czasami przychodziły do niego zwierzęta, bo tak długo potrafił siedzieć lub stać bez ruchu.

– *Sipaj*, Fia: Kiedy pójdziemy do miasta? – pytała Ha'anala. – Czy tam wszyscy mają po pięć palców, czy może niektórzy tylko trzy?

– W mieście jest dla ciebie zbyt niebezpiecznie – odpowiadała Sofia.

– Inne dziewczynki chodzą do miasta!

– One są żołnierzami. Zrozumiesz to, jak będziesz starsza.

– To samo mówiłaś ostatnim razem. Ktoś jest już starszy!

– Kiedy mi to wytłumaczysz?

– *Sipaj*, Ha'anala, nie rób *fierno*. Słyszałaś, jak zagrzmiało?

– Powiedziałaś, że tak naprawdę ludzie nie mogą zmieniać pogody!

– A co zmienia pogodę? – zapytała Sofia, rada ze zmiany tematu.

Pośrodku wojny Sofia Mendes dowiedziała się o sobie czegoś nowego: że mogłaby zostać nauczycielką, gdyby jej własne dzieciństwo nie zakończyło się w tak niemiły sposób. Jej jasność umysłu i zmysł organizacyjny, jej umiejętność przerywania jakiegoś procesu i wyjaśniania go nowicjuszowi krok po kroku – wszystkie zdolności i umiejętności, które kiedyś zrobiły z niej mistrzowskiego analityka AI, teraz służyły w pracy z tak odmiennymi uczniami.

Ruńskie dzieci świetnie sobie radziły z mnemotechniką, którą stworzyła, by pomóc im zapamiętać nazwy słońc, rzek i miast, pierwiastków chemicznych czy tabliczkę mnożenia.

Uczyła się od nich praktycznej botaniki, którą im wpoili ojcowie, a potem, razem z dziećmi, stworzyła nową systematykę wykorzystania, budowy i miejsca występowania roślin, i z przyjemnością obserwowała, jak same zaczynają klasyfikować zwierzęta, dźwięki, słowa i kamienie, aby stworzyć logiczne powiązania i znaleźć rozwiązanie problemów, które sobie postawiły...

Te dzieci uczyły się wszystkiego o wiele szybciej od dzieci VaKashanów. Z początku przypisywała to swoim zdolnościom nauczycielskim, ale wkrótce zrozumiała, że ich inteligencja wynikała w dużej mierze z odpowiedniego odżywiania. Tu, w Truchta Sai, jana'atańscy hodowcy nie wydzielali im racji żywnościowych, by kontrolować ich zdolności rozrodcze, ich pracę, ich życie...

Zdała sobie sprawę, że *djanada* musieli dobrze wiedzieć, że stępią to również inteligencję Runów. Kiedy to zrozumiała, przypomniała sobie fragment wiersza napisanego podczas powstania w warszawskim getcie: *Mięso zbuntowane, mięso niepokorne, mięso walczące! Mięso, które woła pełnym głosem...* Tym razem, pomyślała, mięso zwycięży. Zerwiemy okowy niesprawiedliwości i połamiemy jarzma! Niech zniewoleni odzyskają wolność! Postępujemy słusznie. My.

I utwierdzona w tym przekonaniu wracała do uczenia ruńskich dzieci, jak mają żyć, kiedy odzyskają wolność, o którą teraz walczyły ich matki.

Odkryła, że nawet Izaaka można było czegoś nauczyć albo raczej, że sam się uczył, jeśli nie próbowała wdzierać się do jego świata. Pozwalała mu się bawić komputerem i przysyłała mu nim wiadomości, przenikając w ten sposób przez tajemne bariery i niewidzialne mury, które oddzielały go od innych; był to najpewniejszy, prócz śpiewu, sposób dotarcia do niego. Lubił równe rzędy klawiszy komputerowych, a kiedy po raz pierwszy pokazała mu, jak z nich korzystać, szalał z radości, widząc, jak litery i symbole maszerują przez ekran w doskonałej, nieskończonej linii prostej. Runowie uskarżali się delikatnie, kiedy Izaak klaskał głośno w dłonie i wrzeszczał z zachwytu na widok parady liter, ale jeśli siadała przy nim i wyjmowała mu komputer z rąk, w chwili gdy zaczynało się *fierno*, szybko się uspokajał. Po paru dniach nauczył się panować nad takimi gwałtownymi reakcjami, które pozbawiały go jego skarbu.

Każdego wieczoru Sofia dodawała jakiś drobny element do wirtualnego świata jej syna: dźwięk, który wywoływał na ekranie nazwę litery, potem całe słowa, pisane i mówione, by wywołać obrazek. Ku jej zdumieniu, nauczył się czytać w ten sposób. Przypominało to bardziej uczenie się chińskich ideogramów niż fonetyczne czytanie, ale jemu to odpowiadało. Pokazała mu plik z pięknymi rysunkami Marca Robichaux, przedstawiającymi rakhatańskie rośliny i zwierzęta, i zaopatrzyła je w ruńskie nazwy. Któregoś dnia rozpląkała się ze wzruszenia, kiedy przyniósł prawdziwy liść odpowiadający temu na ekranie, ale nie uściskała go. Izaaka można było kochać tylko na jego warunkach. Sam, czy też podglądając Sofię, nauczył się wywoływać sygnał biblioteki *Magellana* i szybko odnajdywać pliki, które uprzednio sobie zaznaczył.

Wiedział, gdzie jest przechowywana muzyka, zabierał laptop i siedł z nim do jakiegoś spokojnego kąta, by jej słuchać. Był wówczas tak zasluchany, że przypominał Sofii twarz jej matki, gdy zatracala się, grając jakiś nokturn. Kiedy Izaak słuchał muzyki, wyglądał już nie tylko jak normalne dziecko, ale jak dziecko wniebowzięte.

W ten sposób powoli, krok po kroku, doszła do wniosku, że Izaak odziedziczył część z tego, co ceniła w sobie i podziwiała w jego ojcu: intelekt i umiłowanie muzyki. Zrozumiała, że Izaak jest bardzo inteligentny albo byłby, gdyby...

Nie, on jest inteligentny, pomyślała, ale na swój własny sposób. Oto prawdziwa obca inteligencja.

– Jest jak anioł... – pomyślała na głos Sofia, kiedy Ha’ana miała zaledwie siedem lat.

Przytuliły się do siebie i patrzyły na Izaaka, który stał, nieruchomy i smukły, na skraju rzeki, który nie widział niczego prócz wody. Albo jakiegoś kamienia w wodzie. Albo po prostu nie widzący niczego. – Anioł, czysty i piękny, i tak daleki...

– *Sipaj*, Fia: Co to jest anioł? – zapytała Ha'anala.

Sofia wróciła do rzeczywistości.

– Posłaniec. Posłaniec od Boga.

– A co Izaak nam przynosi?

– Nie potrafi tego wypowiedzieć – odpowiedziała Sofia i odwróciła się, ale oczy miała suche.

W końcu nadszedł czas, w którym najstarsze dziewczęta opuściły wioskę. Sofia prosiła, żeby najinteligentniejsze mogły pozostać w puszczy, aby uczyć w innych osadach podobnych do Trucha Sai – zapelniających się młodymi Runami, w miarę jak front się poszerzał i ojcowie nie byli w stanie wychowywać dzieci z dala od *fierno* wojny. W odpowiedzi słyszała zawsze: „Nie. Chłopcy mogą uczyć. Kobiety umierają za swoje dzieci”.

Sofia rozumiała to i nie szlochała, kiedy dziewczęta uznawano za gotowe do walki i wysyłano z puszczy na pożarcie już nie przez *djanada*, ale przez rewolucję. Zdała sobie sprawę, że kocha Runów jako lud, ale rzadko oplakuje ich jako jednostki.

Jej błąd, jeśli to był błąd, polegał na tym, że kochała Ha'analę.

Ha'anala, nieodrodna córka swojego ojca, bystra, skromna i pełna energii, której intelektualna ciekawość wynagradzała sownicie wszystko, co Sofia Mendes mogła dać dziecku, której nie zadowalała odpowiedź: „*Fierno* sprowadza grzmoty” na pytanie: „Dlaczego mam być dobra?” Ha'anala, która z radością wchłaniała wiedzę ścisłą i piosenki, fakty i bajki, która już jako dziewięcioletnia dziewczynka z łatwością przechodziła od Wielkiego Wybuchu do: „Niech stanie się światłość”.

Robię z niej Żydówkę, pomyślała Sofia pewnego dnia, zaniepokojona. Ale później zadała sobie pytanie: A dlaczego nie?

Ha'anala uwielbiała opowieści Sofii, wymyślone, aby zaspokoić jej głód autorytatywnych odpowiedzi. Sofia sięgnęła więc do starożytnych przypowieści, by nauczyć ją wiecznotrwałych prawd moralnych, lekko tylko je dostosowując do miejscowych warunków. Obie najbardziej lubiły opowieść o Ogrodzie, bo wydawał się tak podobny do puszczy, w której żyły. Idąc za Izaakiem kroczącym samotnie pośród drzew, łatwo było uwierzyć, że każde z nich jest tu samo, obcując tylko z Bogiem i ze sobą.

Ha'anala miała jednak własną osobowość i wyciągała z tych opowieści własne wnioski.

Pewnego dnia zatrzymała się i powiedziała:

– *Sipaj*, Fia: Bóg skłamał.

Sofia, zaskoczona, również przystanąła i popatrzyła na nią, przenosząc nerwowo spojrzenie z Izaaka, który szedł dalej, na Ha'analę, która nie ruszała się z miejsca.

– Żona i mąż nie umarli, a przecież poznali dobro i zło – oświadczyła Ha'anala po angielsku, spoglądając na Sofię z przekrzywioną i odchyloną do tyłu głową, tak podobna teraz do swego ojca. – Bóg skłamał. Ten z długą szyją mówił prawdę.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – odpowiedziała po chwili Sofia. – No cóż, oni w końcu umarli, ale nie tamtego dnia. Więc chyba i Bóg, i ten z długą szyją mówili prawdę. Każdy z innego powodu.

Ruszyły dalej, ale odpowiedź Sofii rozpoczęła długą, cudowną dyskusję o całkowitej szczerości, częściowej prawdzie i rozmyślnym oszustwie z pobudek osobistych.

Sofia donosiła o tym wszystkim Supaariemu w czasie ich codziennych kontaktów radiowych, opowiadając mu o intuicji jego córki, o jej sprycie i zdolności do twórczego myślenia, o jej psotach i dobroci serca. Jego reakcje wiele Sofii mówiły. Jeśli akurat był pośród Runów, miękł, śmiał się i zadawał pytania. Jeśli jednak był w jakimś mieście, wśród Jana’atów, przesycony zapachem Runów, milcząco znosząc bezmyślne upokorzenia, aby poznać ich fortyfikacje i siłę garnizonu, opowieści o zdolnościach i sukcesach jego córki rozpały w nim prawdziwy gniew.

– A oni chcą jej śmierci – mówił z oburzeniem, które Sofia rozumiała i podzielała. – Chcą śmierci takiego dziecka!

A jednak prawie nigdy nie odwiedzał Ha’anali. To Sofia również rozumiała. Nie chciał się osłabiać. Musiał skupić się na czystych i nieskomplikowanych emocjach wojny. Jego towarzyszem na co dzień nie mogło być niezwykle uzdolnione dziecko bez przyszłości, tylko waleczna Runao, której zapał i poświęcenie dla sprawy budowy nowego świata dorównywały jego zapałowi i poświęceniu – Djalao VaKashan.

Wszystko wskazywało na to, że są kochankami. Sofia wiedziała, że między przedstawicielami obu gatunków jest to możliwe i akceptowane. Djalao nie miała męża. „Moimi dziećmi jest mój lud”, mówiła. Sofia rozumiała też, czym Djalao była dla Supaariego: ucieleśnieniem udzielonego mu przez Runów szacunku i uznania w nim tego jedyne*go djanada*, który wart był nazywania go jednym z Nas, jednym z Ludu. Supaari dzielił z nią życie pełne zagrożeń, dzielił z nią marzenia i pracę. Dlaczego nie miałyby dzielić z nią wytchnienia i ulgi?

Sofia nie żałowała im tego. Inna kobieta mogłaby być zazdrosna, ale nie Sofia Mendes. W końcu przetrwała, bo potrafiła zdusić w sobie wszelkie uczucia – i zobojętnieć na uczucia innych.

A miłość była długiem, którego wolała nie zaciągać.

Miasto Gayjur: 2082 czasu ziemskiego

– Kiedy Izaak po raz pierwszy zainteresował się genetyką? – zapytał Daniel Żelazny Koń pod koniec swojego życia.

Sofia była już wówczas prawie całkowicie niewidoma – jedyne oko pokryła katarakta – a długotrwały brak wapna sprawił, że była pokrzywiona i gięta w pół. Staruszka, myślała o sobie. Ruina.

– To było wtedy, kiedy wszyscy troje mieszkaliśmy wciąż w Trucha Sai, Izaak, Ha’anała i ja. Izaak miał chyba dwadzieścia lat. Może dwadzieścia pięć według twojej rachuby... bo tu lata są dłuższe. To było na krótko przed jego odejściem. – Przez chwilę milczała, przypominając sobie te lata. – Myślę, że życie wśród Runów zaczęło go coraz bardziej męczyć. Ta ustawiczna gadanina... Sam wiesz. Ale ty się przyzwyczaiłeś, nauczyłeś się wyłączać. Izaak tego nie potrafił, a ciągły gwar bardzo mu dokuczał. Kiedy był młodszy, zatykał uszy palcami i jęczał... po prostu żeby to zagłuszyć. Ale kiedy dorósł, nie mógł tego znieść. Spędzał coraz więcej czasu samotnie, a pewnego dnia zniknął.

– A Ha’anała poszła za nim?

– Tak.

Księża okazywali jej zawsze tyle cierpliwości, kiedy milkła. Czasami po prostu zapominała, o co ją zapytano i gubiła się we własnych myślach. Ale nie tym razem. Tym razem trudno jej było stawić temu czoło i w końcu uznała, że musi na to spojrzeć z dystansu.

– Ruńskie dzieci pytały się o pogodę, o słońca i księżyce, o rośliny. Skąd się bierze deszcz? Dlaczego księżyce zmieniają kształty? Dokąd idą słońca w nocy? W jaki sposób z małych ziarenek wyrastają olbrzymie drzewa *w’ralii*? Dobre pytania. Musiałam niezłe się namęczyć, żeby na wszystko im odpowiedzieć, żeby mieć z nimi kontakt. Utrzymały mój umysł przy życiu. Ale one nigdy nie pytały o nas, ludzi, o różnice między gatunkami. – Znowu zamilkła, jakby ją coś uderzyło. – Tylko Ha’anała zadawała takie pytania. Dlaczego ty i Izaak nie macie ogonów? Co się stało z twoim futrem? Dlaczego ja mam tylko trzy palce, a nie pięć, tak jak wszyscy?

– Co jej odpowiadałaś?

Taki spokojny człowiek, pomyślała Sofia. Taki delikatny, tak wystrzegający się ocen. Kiedy była młoda, myślała, że wszyscy księża lubią potępić i straszyć karami. Właściwie dlaczego tak myślałam? Przecież nie znałam żadnego księdza. Ach, tu właśnie był korzeń strachu i nienawiści... Bo żadnego nie znałam...

Zaczynasz dryfować, Mendes, skarciła się w duchu.

– No więc najpierw mówiłam jej to, co zawsze powtarzał w takich sytuacjach Marc Robichaux: Bo tak się spodobało Bogu. – Wyciągnęła rękę, by dotknąć twarzy Danny’ego, by zobaczyć, czy się uśmiecha. Miał taką gładką skórę... Trzymaj się tematu, Mendes, skarciła się ponownie. – Ha’anała rozumiała różnicę między Bogiem a nauką, że to różne sposoby... równoległe sposoby... myślenia o świecie. No więc. W bibliotece *Magellana* były bardzo dobre programy AI wprowadzające w podstawy genetyki. Były tam graficzne schematy spiral DNA ludzkiego, a w swoim laptopie miałam pracę Anne Edwards i Marca Robichaux na temat genetyki VaRakhatów. Więc pokazałam jej to wszystko.

– A Izaak? Jemu też pokazałaś struktury DNA tych trzech gatunków?

– Nie bezpośrednio. Kiedy uczyłam Ha’anale, Izaak był zawsze blisko. Czasami miałam wrażenie, że słucha. Chyba rzeczywiście słuchał. Nigdy nie wiedziałam, czy zwraca na coś uwagę. Albo może sam wchodził później w te pliki. Zdarza się, że dzieci autystyczne, obdarzone normalną lub wyższą od przeciętnej inteligencją, pochłania jakiś jeden temat.

Musiało to być dla niego znakomitym ograniczeniem chaosu i hałasu, który go otaczał, pomyślała. Proste, uporządkowane, wyjaśniające. Adenina, cytozyna, guanina, tymina – to wystarczało.

Milczenie się przeciągało. Może Danny też błądzi gdzieś myślami?

– Pani Quinn – odezwał się po jakimś czasie i lekko się uśmiechnął. Jakie to dziwne usłyszeć taki zwrot po tylu latach... – Czy pani coś podejrzewała? Czy było w nim coś, co kazało pani zadać sobie pytanie, czy Izaak może być...

Nikt nie mógł wypowiedzieć tego słowa. Było zbyt przerażające.

– Nie – powiedziała. – Nie, dopóki nie usłyszałam muzyki. Nie miałam pojęcia. Natomiast od początku wiedziałam, że Ha’ana jest kimś wyjątkowym. Kiedyś próbowałam jej wyjaśnić tę wojnę i opowiedziałam jej o Wyjściu. Chciałam, żeby poznała dzieje wyzwolenia hebrajskich niewolników, bo sądziłam, że to jej pomoże zrozumieć, dlaczego Runowie walczą, ale ona zafascynowała się filmami ukazującymi Egipt, a zwłaszcza setkami egipskich bogów. Kilka dni później powiedziała: „Egipcjanie widzieli swoich bogów. Jeśli chcieli rozmawiać z bogiem rzeki, ubierali się pięknie, przygotowywali i szli do niego, a on ich oglądał od najlepszej strony. Boga Izraela nie można zobaczyć, ale On widzi nas... zawsze... kiedy jesteśmy przygotowani i kiedy nie jesteśmy przygotowani, kiedy jesteśmy w dobrym nastroju i kiedy jesteśmy w złym albo kiedy w ogóle o Nim nie myślimy. Przed takim Bogiem nic się nie ukryje. Dlatego budzi lęk”.

– Ciekawe spostrzeżenie – zauważył Daniel Żelazny Koń.

– Tak. To było niezwykle dziecko...

Sofia urwała, uderzona pewną myślą. Może Ha’ana wcale nie była niezwykła. Może była normalnym przedstawicielem swojego gatunku, a Sofia знаła tylko ją. I Supaariego. A teraz...

Tyłu zginęło, pomyślała, zaciskając swoje małe, pokrzywione przez artretyzm ręce. Tyłu zginęło...

Wtedy odezwał się ten drugi ksiądz, Sean Fein.

– A co jej powiedziałaś o Bogu Izraela?

Od jak dawna tego słuchał? John Candotti zawsze mi mówi, że jest w pobliżu, pomyślała poirytowana. Dlaczego ludzie siedzą i nic nie mówią? A potem pomyślała: Może Sean też coś mówił, ale o tym zapomniałam...

– Powiedziałam jej: Właśnie dlatego mój lud boi się Boga, ale również dlatego Go kocha.

Bo nasz Bóg widzi wszystko, co robimy, wie, jacy naprawdę jesteśmy, a mimo to nas kocha.

I jak to się jej często zdarzało w owym czasie, znowu zaczęła błądzić myślami, łącząc się z ludźmi, którzy dawno pomarli, którzy byli dla niej bardziej realni niż ci nowi. „Nawet jeśli to tylko poezja, to warto nią żyć, Sofio... warto dla niej umrzeć”, powiedział jej D.W. Yarbrough...

Kiedy? Pięćdziesiąt lat temu?

Sześćdziesiąt? A ona sama jest taka stara, taka stara. Nie wiedziała, czy jest życie po śmierci, ale zaczęła mieć nadzieję, że jest, nie ze strachu przed zapomnieniem, ale po prostu dlatego, że chciała się dowiedzieć, czy dobrze zrobiła...

Mogła minąć minuta, godzina albo cały dzień, kiedy znowu przemówiła.

– Kiedyś opowiedziałam Ha'anali o Sodomie i Gomorze. – Umilkła, czekając na reakcję.

– Jestem tutaj, Sofio – powiedział John.

– Opowiedziałam jej, jak Abraham targował się z Bogiem o życie dziesięciu sprawiedliwych, którzy mogli tam mieszkać. Powiedziała mi: „Abraham powinien zabrać dzieci z tych miast. Dzieci były niewinne”. – Zwróciła twarz w kierunku, z którego napłynął do niej głos Johna. – Nie zrobiłam źle, opowiadając jej o tym wszystkim. Nie wierzę, że było w tym coś złego.

– Zrobiłaś dobrze – powiedział John Candotti. – Jestem tego pewny.
Wtedy zasnęła. Wiara Johna jej wystarczała.

25

GIORDANO BRUNO 2065 czasu ziemskiego

– Co? Co się dzieje? – zapytał Sandoz, osłaniając oczy ręką.

– Znowu wyłeś – powiedział John.

Emilio usiadł na pryczy, zaskoczony, ale nie przygnębiony. Spojrzał z ukosa na Johna, który stał półnagi w drzwiach kabiny.

– Przepraszam. Nie chciałem cię obudzić.

– Emilio, tak dłużej nie można – burknął John. – Musisz przekonać Carla, żeby przestał ci podawać to świństwo.

– A niby dlaczego? John, to mi robi dobrze na ręce. I to takie przyjemne, niczym się nie przejmować.

John wytrzeszczył oczy.

– Emilio, wrzeszczysz co noc!

– No wiesz... te koszmary męczą mnie od lat. Teraz, kiedy się obudzę, przynajmniej ich nie pamiętam. – Oparł się wygodnie o ścianę i stamtąd przyglądał się Johnowi z irytująco wyrozumiałym rozbawieniem. – Jeśli to cię męczy, mogę się z powrotem przenieść do pomieszczenia dla chorych... tam są dźwiękokoszczelne ściany.

– Jezu, Emilio... tu przecież nie chodzi o mój sen! – krzyknął John.
– Chodzi o to gównno, którym cię faszerują!

– Człowieku, wpadasz w cholerne długi. Jeszcze tego nie czujesz, ale niedługo przedstawią ci rachunek! Posłuchaj swojego oddechu! Serce ci wali, prawda? – Sandoz zmarszczył czoło, kiwnął głową, ale wzruszył ramionami. – Quell stosuje się zwykle tylko przez parę dni. A ciebie nim szpikują prawie od dwóch miesięcy!

– Musisz wrócić do rzeczywistości, a im szybciej, tym lepiej...

– O Jezu, John, wyluzuj się, dobrze? Może sam powinieneś spróbować tego zażyć...

John wpatrywał się w niego z otwartymi ustami. – Nie potrafisz już normalnie myśleć – powiedział sucho, wyłączył światło i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Emilio siedział przez jakiś czas oparty o ścianę, złożony bezwładne ręce na podołku.

Próbował odtworzyć ów sen, który obudził Johna, ale z ulgą stwierdził, że nie potrafi.

Nocna amnezja jest chyba najlepszym efektem tego świństwa, pomyślał.

Zawsze przywiązywał dużą wagę do snów. W seminarium miał zwyczaj rozmyślania o ostatnim śnie, jaki miał w nocy, starając się odnaleźć w nim lęki i ukryte zainteresowania, które nie dochodziły do głosu na jawie. Jednak w ciągu ostatnich trzech lat jego sny rzadko wymagały interpretacji. Przerażające w swoim realizmie, były zwykle odtworzeniem wydarzeń z ostatniego roku jego pobytu na Rakhacie. Nawet teraz, nafaszerowany narkotykiem i pozbawiony emocji, widział to wszystko: rzeź, poetów. Nie musiał śnić, by słyszeć odgłosy towarzyszące masakrze i gwałtom. Nie musiał śnić, by czuć smak niemowlęcego mięsa, żelazny uścisk szponów i gorący oddech na karku. Aby patrzeć z daleka na samego siebie wzywającego Boga i słyszącego w odpowiedzi tylko własne łkanie i jęk rozkoszy wydobywający się z gardła gwałciciela...

Noc po nocy budził się z takich snów, czując mdłości podchodzące mu do gardła. Krzyk to coś nowego. Czyżby koszmary się zmieniły? I odpowiedział sobie: Wspaniale! Wrzask jest o wiele lepszy od wymiotowania.

John miał chyba rację – kiedyś musi wrócić do rzeczywistości. Ale rzeczywistość nie miała mu ostatnio wiele do zaoferowania, a Emilio wolał sztuczny spokój po *quellu* od tego, co mogło być w tych snach, choćby nawet się zmieniły.

Chemiczny zen, pomyślał, wślizgując się pod pościel i poddając kojącemu działaniu narkotyku. Gliny powinny rozdawać to gównu na ulicach jak cukierki.

Zanim zapadł w sen, zastanawiał się przez chwilę: Boże, co to za sen, który sprawia, że wrzeszczę? I, jak Pius IX po porwaniu małego Mortary, *ipse vero dormiebat*: spał po tym dobrze.

Tylko on dobrze spał.

John Candotti wrócił do swojej kabiny, gdzie uaktywnił kody interkomu, by usłyszeli go wszyscy prócz Emilia.

– Mesa. Za pięć minut – powiedział głosem, który nie pozwalał wątpić, że osobiście powyciąga ich z łóżek, jeśli nie przyjdą sami.

Było trochę gniewnego pomrukiwania, ale nikt już nie udawał, że nie został wyrwany ze snu tymi wrzaskami, więc jeden po drugim wchodzili do mesy. John czekał w milczeniu, z rękami założonymi na piersi, aż w końcu wkroczył Carlo, jak zwykle promienny, odświeżony i ubrany ze smakiem, z Nikiem u boku.

– No dobra – zaczął John, patrząc po wszystkich – każdy z was ma swoje powody. Ale on nie przyda się nikomu jako psychotyk, a do tego szybko zmierzamy!

Sean pokiwał głową, rozcierając sobie przedwcześnie obwisłe policzki.

– Candotti ma rację. Nie można komuś wciąż rozpieprzać neurochemii. Będzie gorzej.

– Muszę się zgodzić – oświadczył Joseba, przeczesując palcami swoje splątane włosy i wpatrując się w Żelaznego Konia. Przeciągnął się i ziewnął. – Bez względu na to, jakie były powody, by faszerować go narkotykiem, nadszedł czas, by zastanowić się nad konsekwencjami.

– Mam nadzieję, że przestał się już dąsać – powiedział Carlo, rezygnując ze swojej sztucznej obojętności, bo sam wciąż ostatnio śnił o wpadaniu w ciemne dziury bez dna. Trudno było zachować obojętność wobec koszmarów Sandoza. – Twoja kolej, Żelazny Koniu – dodał lekkim tonem, pragnąc, by Danny go wyręczył.

– To nie jest tylko działanie quellu – ostrzegł John, spoglądając gniewnie na Danny’ego. – Rozwaliliście mu całe życie... po raz drugi. Znowu jest całkowicie rozbity, tym razem przez ludzi, którym miał prawo zaufać.

– Trzeba pozamykać noże – poradził pogodnie Frans Vanderhelst; w mdłym świetle jego wielki brzuch białł jak księżyc w pełni. – Bo inaczej Szef dostanie nożem w plecy.

Nico potrząsnął głową.

– Na pokładzie *Giordana Bruna* nie będzie żadnej bójki – oświadczył stanowczo i rozpromienił się, kiedy don Carlo pokiwał głową.

– A więc porozmawiam z nim, Danny, dobrze? – odezwał się Sean Fein.

Żelazny Koń skinął głową i wyszedł bez słowa.

– Dla ciebie chemia jest świętym ładem i zaczarowaną pięknnością – zauważył Vincenzo Giuliani w dniu, w którym postanowił, że Sean poleci na Rakhat. – Ludzie po prostu muszą wszystko spieprzyć, prawda, ojcze Fein?

Nie było powodu, by zaprzeczać temu spostrzeżeniu.

Sean Fein miał zaledwie dziewięć lat, kiedy otrzymał pierwszą niezapomnianą lekcję głupoty. Ruch, który uczynił z niego sierotę, narodził się na Filipinach w 2024 roku, roku jego narodzin, ale kiedy osiągnął szczyt swojego rozwoju w 2033 roku, Sean był już na tyle dojrzały, by się nim zainteresować. Mogło się wydawać, że to szaleństwo ominie Belfast, którego mieszkańcy wciąż byli skupieni na różnicach między katolikami i protestantami; króć by dostrzegł tu i tam Żyda w tym ceglany m labiryncie nienawiści!

Lecz pod koniec drugiego tysiąclecia od Ukrzyżowania pojawiło „się oczekiwanie na drugie przyjście Chrystusa, a kiedy nie spełniły się owe millenarystyczne nadzieje, rozeszły się pogłoski, że to wina Żydów, bo dotąd się nie nawrócili.

– Nie przejmuj się – powiedział Seanowi ojciec w wieczór przed zamachem bombowym. – To nie ma nic wspólnego z nami.

Rozgoryczenie było w Belfaście cnotą, ale Maura Fein miała filozoficzne podejście do życia i łatwo pogodziła się z wdowieństwem. Sean zapytał ją kiedyś, dlaczego po ślubie nie przeszła na judaizm.

– Tym, co mnie tak pociąga w Jezusie, Sean, jest gotowość Boga do zastąpienia między pogrążonych w ciemności ludzi, których po prostu nie może tak zostawić. Jest w tym jakaś cudowna niefrasobliwość, coś w rodzaju Bożego szaleństwa... ten wspaniały, zbawczy gest boskiej szczodroblewości wobec odwiecznej, upartej głupoty ludzkiej! To właśnie podoba mi się w Bogu.

Sean nie odziedziczył po matce pogody ducha, ale przejął jej wiarę w Boże szaleństwo.

Stanął pod sztandarem Pana, nie dbając o konsekwencje, a później pogodził się z tym, że ta wiara wiedzie go teraz na inną planetę, na której już niejeden, ale dwa rozumne gatunki partaczyły dzieło stworzenia.

Obdarzyłeś ich wolną wolą, myślał nieraz, patrząc na krucyfiks, i sam zobacz, do czego to Cię doprowadziło! Znudziliś się fizyką? Rośliny też były za bardzo przewidywalne? Cóż to za dramat, kiedy duża ryba zjada małą rybkę, tak? I co wymyśliłeś na Ziemi? Albo na tym Rakhacie, jeśli już o tym mówimy...

Sean urodził się w świecie, w którym przekonanie o istnieniu innych rozumnych gatunków było trwałe i powszechne. Miał czternaście lat, kiedy z Rakhatu napłynęły pierwsze raporty misji jezuickiej, a siedemnaście, kiedy w tajemniczy sposób przestały napływać. Dwadzieścia dwa lata, kiedy usłyszał o skandalach i tragediach związanych z postacią Emilia Sandoza. Wcale go to nie zaskoczyło ani nie oburzyło. Tacy ludzie i im podobni to problem Boga, a Wszechmocny kocha ich i wie, co z nimi zrobić.

Lecz jeśli nawet Sean Fein, chemik i kapłan, rzadko znajdował powody, by pochwalać skutki Bożego kaprysu obdarzenia rozumem kilku dziwnych gatunków tu i tam, to zawsze potrafił podziwiać mechanikę zastosowaną w tym wielkim spektaklu. Żelazo i mangan, wymyte deszczem ze skały, kłębiące się wraz z wapniem i magnezem w pradawnych mlecznych morzach. Małe, zwinne molekuly – azotu, tlenu, wody, argonu, dwutlenku węgla – tańczące w atmosferze, wirujące, odbijające się od siebie, które „wątła siła grawitacji gromadziła wokół planety w otoczkę rzadkiej mgły”, jak pisał psalmista chemii Bill Green, „jak jakiś niewidzialny pasterz gromadzący swe niewidzialne stado”. Cjanobakterie – te sprytnie małe cholerstwa – które odkryły, jak przerwać podwójne wiązania utrzymujące tlen w drobinach dwutlenku węgla, które potrafiły wykorzystać węgiel i kilka innych oceanicznych elementów do wyprodukowania peptydów, polipeptydów, wielocukrów, uwalniając i odrzucając tlen jako niepotrzebny produkt uboczny. Sean przyjmował wiernie słowa z Księgi Rodzaju: Niech stanie się światłość, aby napędzać system, a cała biosfera ożyje. Boża chemia, tak to nazywał Green, z jej roztańczonymi, cudzołożącymi jonami, z jej pogmatwanymi, rozpuszczalnymi ligninami roślinnymi i celulozą, z rogożowatymi hemami i porfirydami, ze spiralami protein, zwijającymi się i rozwijającymi.

„Zanurz się w oceanie materii”, wzywał francuski jezuita Teilhard de Chardin. „Skąp się w jej gorejących wodach, bo one są źródłem twojego życia”. To była chwala, którą Sean Fein potrafił doceniać, to był przebłysk Bożej Inteligencji, którą mógł wielbić bez zastrzeżeń.

– Ludzie, których najbardziej ci żal, to głupcy tęskniący za sprawiedliwością i sensem, a nie za przyszłym światem – powiedział mu ojciec generał. – Ale Bóg wszczepił nam szacunek dla miłosierdzia i sprawiedliwości, zatem to bardzo ludzkie tęsknić za nimi, tu i teraz. Może to głupie, ale to robimy. Ta misja ma ciebie czegoś nauczyć, Sean. Współczucia dla głupców? Może nawet szacunku? Naucz się tego i idź dalej.

– Talngwy to chyba najwyższa bogini, tak? – zapytał Sean Sandoza, kiedy inni wyszli z mesy po spokojnym śniadaniu.

Emilio postawił kubek z kawą na stole, serwery protez zamruczały cicho. Wciąż było coś nie tak z jednym z elektroelastycznych siłowników, ale nauczył się, jak sobie z tym radzić.

– Nie sądzę. Odniosłem wrażenie, że jest personifikacją przewidywania lub prorokowania, sądząc po kontekście. Supaari nie był religijny, ale jej imię wciąż powtarzał.

Niezwykłe było działanie tego leku. Czuł się prawie jak produkt AI, odpowiadający na żądania informacji, nawet rozwiązujący czasem problemy. Z drugiej strony wydawało mu się niemożliwe nauczenie się czegokolwiek. Podejrzewał, że to brak chęci dominowania lub osiągnięcia biegiłości.

– Są inne bóstwa – powiedział Seanowi. – Mądrość... albo może Przebiegłość, także żeńskiego rodzaju. Nie bardzo wiedziałem, jak to przetłumaczyć. Wspomniał też raz o bogini Chaosu. To jedna z Klęsk.

– Bóstwa żeńskie – powiedział Sean, marszcząc czoło. – To dziwne, prawda? W społeczeństwie zdominowanym przez samców?

– Prawdopodobnie przez obecną kulturę przeziiera starszy system wierzeń. Religia jest na ogół konserwatywna.

– To prawda. Zwłaszcza dla ciebie. – Sean spojrział w bok i zamilkł na chwilę. – Czy zastanawiałaś się kiedy, dlaczego ortodoksyjni Żydzi uważają, że pochodzenie dziedziczy się po matce? To dziwne, prawda? Cały Stary Testament pełen jest męskich potomków. Dwanaście plemion z dwunastu synów Jakuba. Ale Jakub miał też córkę. Pamiętasz? Dinę. Tę, która została zgwałcona. – Sandoz nie zareagował. – A jednak nie ma plemienia Diny. W całej Torze jest tylko dziedziczenie przez ojca!

– Religia jest konserwatywna. Więc dlaczego? Kiedy oświadczone, że Żydem jest dziecko żydowskiej matki?

– Nigdy nie znosiłem metody sokratejskiej – stwierdził spokojnie Sandoz, ale posłusznie odpowiedział: – W czasach pogromów, aby usankcjonować kozackie bękarty. Tak, aby żadne dziecko nie zostało odrzucone jako pół-Żyd albo jako w ogóle nie-Żyd. Chwała rabinom. – Przez całe dzieciństwo Sean słyszał pytanie: „A więc kim właściwie jesteś?” Cokolwiek odpowiadał, wywoływało śmiech.

– No tak. Żeby usankcjonować dzieci zrodzone z gwałtu, kiedy gwałty były tak częste, że rabini musieli odrzucić dwadzieścia pięć stuleci tradycji, aby sobie z tym poradzić. Dobre dziewczynki i złe dziewczynki. Dziewice i dziwki. Młode i stare. Pobożne, obojętne i niewierzące. Wszystkie zgwałcone. – Spojrzął na Sandoza spokojnymi, niebieskimi oczami. – I żadna z nich nigdy nie doczekała się przeprosin od Boga ani od skurwysyna, który ją przeleciał.

Sandoz nawet nie mrugnął.

– Rozumiem, o co ci chodzi. Nie jestem ani pierwszą, ani ostatnią osobą, którą to spotkało.

– No i co z tego? To ci pomaga?

– Ani trochę – odpowiedział Sandoz głosem Seana. Pobrzmiewała w nim irytacja, ale mogło to być tylko naśladownictwo.

– I nie powinno – stwierdził sucho Sean. – Cierpienie może być banalne i przewidywalne, ale nie jest przez to ani trochę mniejsze. A czerpanie pociechy z tego, że inni też cierpią, to nikczemność. – Teraz przyglądał się Sandozowi badawczo. – Powiedziano mi, że winisz Boga za to, co wydarzyło się na Rakhacie. A dlaczego nie szatana? Wierzysz w diabła, Sandoz?

– To nie ma znaczenia – odpowiedział lekceważąco Sandoz. – Szatan niszczy ludzi, kusząc ich, by wybrali łatwą lub przyjemną ścieżkę.

Wstał, zabrał swój kubek i talerz i ruszył do kuchni.

– Mówisz jak dobry jezuita – zawołał za nim Sean. – A to, co ci się przydarzyło, nie było ani łatwe, ani przyjemne.

Sandoz wyłonił się z kuchni, już bez naczyń.

– Nie. Ani trochę – powiedział łagodnie, ale spojrzenie miał twarde. – „Jak ryby chwytane w sieć zdradliwą i jak ptaki chwytane w sidło, tak złowieni są synowie człowieka w zły czas, kiedy nagle na nich spada... I zniechęciłem życie... złe wydały mi się dzieła czynione pod słońcem”.

– Eklezjastes. *Omnia vanitas*: Wszystko to jest marność i gonienie za wiatrem. Niegodziwi triumfują, a sprawiedliwi gniją w lochu. I to wszystko, czego się nauczyłeś przez ćwierć wieku w Towarzystwie Jezusowym?

– Odpieprz się, Sean – powiedział Sandoz i ruszył w kierunku drzwi prowadzących do kabin.

Nagle Sean zerwał się z krzesła i zagroził mu wyjście.

– Nie masz dokąd uciec, Sandoz. Nie masz się gdzie schować. – Nawet nie drgnął, kiedy Sandoz zmierzył go wściekłym spojrzeniem. – Byłeś księdzem przez parę dziesiątków lat, i to dobrym księdzem. Myśl jak ksiądz! Myśl jak jezuita! Co Jezus dodał do kanonu? Jeśli Żydzi zasłużyli sobie choć na jedno, była to lepsza odpowiedź na cierpienie niż ta, którą otrzymał biedny Hiob. Jeśli ból i niesprawiedliwość, i niezasłużona niedola są częścią życia, a Bóg wie, że tak jest, to życie Chrystusa jest odpowiedzią Boga na lamentsy Eklezjasty! Zbaw cierpienie. Przyjmij je. Spraw, by coś znaczyło.

Choć jedyną odpowiedź stanowiło zimne spojrzenie, drżenie było widoczne.

– Czujesz to teraz, prawda? Carlo kazał przerwać pompowanie quella do twojej kabiny, kiedy śpisz. Teraz będziesz musiał przez to przejść. Widziałeś, jak mordowano tysiące niemowląt, jak zarzynano je jak jagnięta. Widziałeś zakrwawione trupy wszystkich, których kochałeś. Gwałcono cię przez miesiące, a kiedy cię wreszcie uwolniono, wszyscy myśleli, że oddawałeś się dobrowolnie. Cóż, śmierć to śmierć, a gwałt to gwałt, tego nie można cofnąć. To się stało. I już nigdy nie będziesz żył razem ze swoją słodką Gina i jej małą córką. Wiesz o tym. Czujesz to.

Sandoz zamknął oczy, ale głos Seana brzmiał nadal, z tymi wszystkimi twardymi „r”, z tym płaskim, niemelodyjnym, ale tak pięknym akcentem Belfastu.

– Współczuj tym biednym duszyczkom, których życie to rozwodnione mleko, takie letnie i takie przyjemne, i które dożywają spokojnej starości, a potem umierają we śnie. Woda i mleko, Sandoz. Nigdy nie żyły pełnią życia i nie poznały swojej siły. Pokaż Bogu, jakie jest twoje życie. Przestań biadolić i ucałuj krzyż. Uczyni go swoim. Nadaj temu wszystkiemu znaczenie. Odkup to. Odzyskaj.

Sean zauważył, że Daniel Żelazny Koń stoi tuż za przepierzeniem oddzielającym mesę.

Mógł tam stać dość długo. Teraz, być może domyślając się, że został zauważony, wyszedł i stanął przed nimi. Sean nachmurzył się, nie znając intencji Danny'ego, ale po chwili zrozumiał.

– Oto, co możesz zrobić, żeby odkupić dwa najbliższe dni, Sandoz. Możesz pozwolić, żeby ten człowiek był tego świadkiem. Pozwolisz na to?

Sandoz nie spojrział na żadnego z nich i milczał. Ale nie powiedział „nie”, więc Sean wyszedł, a Danny pozostał.

Z początku Sandoz wydawał się oszołomiony, ale wkrótce zaczął odczuwać fizyczne skutki odstawienia leku. Zbyt napięty, by stać nieruchomo, musiał chodzić, by zagłuszyć ból, a Danny ruszył za nim w zimną ciszę hangaru promów, który miał prawie trzydzieści metrów długości, więc zapewniał dość miejsca na przechadzkę, a także samotność.

Przez pierwsze godziny Sandoz nic nie mówił, ale Danny wiedział, że gniew w nim wzbiera i starał się przygotować na jego uderzenie. Wierzył, że Sandoz nie może mu powiedzieć nic, czego on sam już by sobie nie powiedział. Mylił się. Kiedy Sandoz w końcu przemówił, brutalne szyderstwo wkrótce zamieniło się w czysto moralną furię, korzystając obficie z wielu lat jezuickiej formacji. Tego pierwszego ranka Daniel Żelazny Koń odkrył, że łyzy są chłodne, kiedy padają na skórę zaczerwienioną ze wstydu.

A potem znowu zapanowało milczenie.

Pierwszego dnia Danny opuścił go tylko dwukrotnie. Sandoz niestrudzenie przemierzał hangar tam i z powrotem i po jakimś czasie zdjął koszulę, mokrą od potu, który łągował wilgoć z jego ciała nawet tu, w paraliżującym zimnym hangaru. W chwilę później zdjął również protezy, a potem usiadł, jak najdalej od Danny'ego, tuż obok zewnętrznej kłapy luku, opierając się plecami o kamienną ścianę. Głowę oparł na ramionach, którymi oplótł kolana. Od czasu do czasu jego prawie martwe palce dygotały lekko.

Wbrew sobie i swoim intencjom, Danny w końcu zasnął. Raz się obudził i zobaczył Sandoza stojącego przy kłapie zewnętrznej i patrzącego w ciemność przez mały iluminator. Danny znowu zapadł w sen, a gdzieś w nocy usłyszał tylko słowa: „*Aquí estoy*”. Nie wiedział, co to za język, ale zapamiętał słowa, a później zapytał innych księży, czy któryś z nich je rozumie. Joseba i John rozpoznali hiszpański zwrot: „Oto jestem”, ale to Sean stwierdził:

– To odpowiedź dana przez Abrahama, kiedy Bóg zawołał go po imieniu.

Sandoz wypowiedział to jednak z jakąś straszliwą rezygnacją i Danny uważał, że może to być jedynie wyraz rozpaczki z powodu uwięzienia na pokładzie *Bruna*, skąd nie ma ucieczki ani powrotu, można tylko wraz ze statkiem mknąć naprzód, ku celowi podróży.

Mogła to też być rezygnacja Jonasza, kiedy zdał sobie sprawę, że Bóg go odnajdzie i wykorzysta wszędzie, nawet w brzuchu wieloryba.

Nie było świtu, który by rano obudził Danny'ego, ale hałas i gwar z mesy przeniknęły przez luk do hangaru. Usiadł, a potem wstał, odrętwiały i zziębnięty. Sandoz siedział nieruchomo.

Danny wyszedł na kilka minut, ale zaraz wrócił z postanowieniem, że nie tknie jedzenia ani picia, dopóki obywa się bez tego Sandoz. Powoli mijały godziny drugiego dnia, a Sandoz siedział bez ruchu, z oczami utkwionymi gdzieś w dal, wpatrzonymi w coś, czego nikt prócz niego nigdy nie widział. Wizyjna wędrówka, pomyślał Danny, kiedy dusza otwiera się na wszystko, co zechce jej przekazać Wielka Tajemnica, której myśli nie są myślami człowieka, której drogi nie są drogami człowieka...

Nie chciał spać. Chciał być świadkiem tego wszystkiego od samego początku aż do końca.

Ale wreszcie zasnął, a kiedy obudził się rano trzeciego dnia, stwierdził, że patrzy w obsydianowe oczy Emilia Sandoza siedzącego po turecku na pokrywie promu i czekającego na jego przebudzenie.

– To musiało być trudne – powiedział cicho Sandoz po jakimś czasie.

Danny nie był pewny, co to znaczy, ale ostatnio nic nie było łatwe, więc kiwnął głową.

– Jeśli spoglądasz w otchłań – powiedział Sandoz – otchłań spogląda na ciebie.

– Nietzsche – powiedział Danny ledwo dosłyszalnym głosem, rozpoznając cytat.

– Dwie sprawy. – Błady i wyczerpany, Sandoz powoli dźwignął się na nogi i przez chwilę stał, jakby nie wiedział, co z sobą zrobić. – Myślę, że Bóg wykorzystuje nas wszystkich – oznajmił, po czym podszedł do włazu i załomotał łokciem w drzwi.

Natychmiast rozległ się syk urządzeń wyrównujących ciśnienie i szcęk mechanizmów zamykających, odbijając się głuchym echem od kamiennych ścian hangaru. Kiedy drzwi się otworzyły, Danny zdał sobie sprawę, że John Candotti też czuwał przez te trzy dni. Ale w mesie czekała na nich również reszta załogi.

– Zrobił, co musiał – powiedział im Sandoz i przekroczył próg, nie mówiąc już nic więcej.

Po raz pierwszy od śmierci matki, a umarła, kiedy miał szesnaście lat, Daniel Żelazny Koń załamał się i zapłakał. Inni stali i słuchali jego głośnych szlochów, aż John Candotti powiedział:

– Zostawcie go samego.

Rozeszli się bez słowa. Po jakimś czasie John zajrzał do hangaru. Znalazł porzuconą koszulę Sandoza i wręczył ją Danny’emu, żeby sobie wytarł w nią nos. Danny wziął koszulę, zbliżył do twarzy i odrzucił.

– Nieźle pachnie, co? – powiedział John. – Jeśli to jest zapach świętości, to niech Bóg ma nas wszystkich w opiece.

Danny roześmiał się cicho i podciągnął własną koszulę, wycierając w nią nos.

– Moja mama zawsze wściekała się, gdy to robiłem – powiedział John, siadając przy ścianie obok Danny’ego.

Danny otarł oczy i odchrząknął.

– Moja też – odpowiedział prawie niedosłyszalnie.

Przez chwilę obaj wpatrywali się w daleki koniec hangaru.

– No cóż – powiedział w końcu John – jeśli wszystko jest w porządku z Emiliem, to chyba jest i ze mną. *Pax?*

Danny kiwnął głową.

– Nie jestem pewny, czy z nim jest do końca w porządku. Ale dziękuję.

John wstał i podał mu rękę. Danny podniósł na niego zaczerwienione oczy, uścisnął mu rękę i powiedział:

– Chyba jeszcze chwilę tutaj posiedzę. Potrzebuję trochę czasu.

– Oczywiście – odpowiedział John i zostawił go samego.

WIELKA PUSZCZA POŁUDNIOWA

2061 czasu ziemskiego

– ...dojrzały dwie noce temu... – ...rzeką Pon. Ale ktoś myśli... – ...już się nie sprzedaje... – ...taka wojna wymaga zaopatrzenia! jeśli... (Aannhh.) – ...oś jest głodny! Kto ma... – ...pola *rakaru* są na północ od... – *Sipaj*, Panar! Ktoś słyszał... – ...aa wcześniej. Dojrzewajaa... – ...i zamiast tego skupić się na skonsolidowaniu... (Aaaannhh.) – ...zbieracze *nitarlu* w porcie Kran... – Spo, Djalao, pewno jesteś głód... – Znaleźliśmy więcej nad rze... – ...paari wkrótce będzie... (Aaaaaaannhh.) – ...tkacze nie mogą użyć... – ...więc jeśli wyprawimy się po *rakari*... – ...ktoś tę wiązkę *ree*... – ...nala, zrób coś, żeby Izaak przestał... – Podrap tutaj. Nie, niżej! Taa... (Aaaaaaaaaaannhh...)

– *Sipaj*, Izaak! Przestań! – krzyknęła Ha'anala.

Izaak padł na ziemię, oszołomiony, ale zadowolony. Kręcenie się w kółko przemieniało niepojęte w jednolitą zamazaną plamę, a jeśli sam wydał jakiś dźwięk, udawało mu się czasami uciszyć hałas, ale najlepiej było, kiedy jeden głos wzbijał się nad inne i uciszał wszystkich.

– *Sipaj*, Izaak – powiedziała Ha'anala powoli, niskim głosem. – Chodźmy do kryjówki. – Odczekała tyle, ile było trzeba, zanim dodała: – Będziemy słuchać muzyki.

Ha'anala miała klarowność.

Izaak wstał, przyciskając laptop do nagiej, kościstej piersi, czując jego chłodną, płaską, nieskazitelną doskonałość. Wszystko wokół niego było niepewne, nieprzewidywalne, niezrozumiałe. Nie mógł ufać nawet własnemu ciału. Stopy oddalały się coraz bardziej, ramiona sięgały coraz dalej, kiedy oplatał nimi tors. Włosy pojawiały się tam, gdzie ich przedtem nie było. Kamień, raz gładki i bez skazy, za drugim razem, gdy nań spojrział, mógł już być przykryty liściem albo skażony obecnością robaka. Uszy, oczy, usta i członki poruszały się nieustannie.

Ciała siedziały i spały w różnych miejscach. Jak mogli od niego oczekiwać, że zrozumie, co mówią, skoro wciąż starał się pojąć, kim oni są?

Rośliny wyskakiwały z ziemi, rosły i znikwały. Pączki, kwiaty i te suche rzeczy były, a potem ich nie było. Mógł siedzieć i gapić się całymi godzinami – nie, dniami – ale nigdy nie zdołał zauważyć, jak to się dzieje. Zasypiał, a rano tej starej rzeczy już nie było, była nowa i czasami zachowywała się tak jak przedtem, a czasami nie. Żadnej klarowności.

W komputerze był świat, który nie zmieniał się każdego ranka – prócz codziennej wiadomości od matki. Wiedział już, że matka robi w nim małe zmiany, bo pokazała mu, jak to zrobić. Skarżył się na to, więc zebrała wszystkie wiadomości od siebie w oddzielny plik i to było dobre, bo nie zmieniało niczego w innych miejscach. Tylko Izaak mógł zmieniać. Komputer był lepszy od kręcenia się w kółko.

– *Sipaj*, Izaak. Chodź ze mną – powiedziała Ha’ana, wyraźnie oddzielając każde słowo.

Zebrała jego ubranie – prostokąt z niebieskiego jedwabiu, który przykrywał go od głowy do pasa. Jego tańs, mówiła Sofia z ponurą ironią.

– Będziemy słuchać muzyki – powtórzyła Ha’anala, chwytając go stopą za kostkę u nogi.

Izaak wyszarpnął nogę i mruknął:

– Teraz ktoś musi zacząć od początku.

Ha’anala uniosła podbródek i usiadła, czekając. Izaak nie znosił, jak mu przerywano myśl; musiał wtedy zaczynać od początku. Jeśli coś mówił, a ktoś mu przerwał, powtarzał wszystko, słowo po słowie, póki nie wypowiedział dokładnie tego, co chciał powiedzieć. Pewnie dlatego tak mało mówi, pomyślała Ha’anala. Kiedy w pobliżu byli Runowie, w żaden sposób nie mógł dokończyć myśli lub zdania. Nikt nie był w stanie milczeć tak długo, nawet ryzykując *fierno*.

Skończył myśl i wyprostował się: sygnał, że może iść dalej. Ha’anala przetoczyła się na nogi i ruszyła ku skrajowi polany. Izaak szedł za nią trochę z boku, z podniesioną i nieco przekrzywioną głową, żeby nie widzieć jej poruszających się nóg. Ludzie znowu mówili.

– ...adiowa kontrola... – ... *paj* Hatna! Nie rób... – ... teraz już ponad sto *bahli*. – ...nowe osłony przeciwwietrzne dla ty... – jest dobre w połączeniu z *k’ta*... – ...urza nadejdzie za...

Rozmowy cichły, wypierane przez bezładne odgłosy puszczy: skrzeki, buczenie, kapanie. Prawie taki zgiełk jak w wiosce. Ale w puszczy przynajmniej nie było tego okropnego zamętu rozmów i intonacji, tych z trudem chwytyanych znaczeń, burzonych przez kolejne słowa.

*Impasto*³, pomyślał Izaak. Gorsze od czerwonego. Wioska to *impasto* słów. Puszcza to *impasto* dźwięków. Nie ma klarowności!

³ impast, technika malarska polegająca na nakładaniu grubej warstwy farby pędzlem, szpachlą lub dłonią, przez co uzyskuje się szorstką, jakby rzeźbioną fakturę obrazu.

Znalazł słowo *impasto* w jednym z plików Marca Robichaux. Odszukał je w słowniku i zobaczył dłoń z pięcioma palcami, nakładającą kolorowe warstwy jakiejś mazi; każda nowa warstwa prawie przykrywała poprzednią. Przez długi czas jego ulubionym słowem była „klarowność”, ale *impasto* bardzo mu się spodobało. Doceniał precyzję jego znaczenia, dokładność, z jaką pasowało do tego, co widział i odczuwał. Kiedy mógł się skupić na jednym słowie, znaczenie docierało do niego jak wysoki, wzbijający się ponad chór głos i sprawiało mu to radość. Ale w wiosce nie było klarowności i trudno było oderwać się na dostatecznie długo...

Ha’anała zatrzymała się i usiadła tuż przy małym prostokątnym szalasiu. Izaak też się zatrzymał i jeszcze raz przemyślał swoją myśl o *impasto*. Potem wręczył Ha’anali laptop, starając się nie patrzeć jej w oczy, i powiedział:

– Tylko bądź ostrożny.

Mówił to za każdym razem, bo to samo powtarzała mu Sofia, kiedy po raz pierwszy dała mu komputer. Przez chwilę myślał, że „bądź ostrożny” to słowo oznaczające komputer. W końcu odkrył, że niewiele jest takich laptopów na świecie, chociaż ludzie robili inne rzeczy, które niechlujnie nazywali komputerami, mimo że te rzeczy wyraźnie różniły się od jego laptopa i nie można ich było nosić ze sobą, więc ten był bardzo cenny i to nie tylko dla Izaaka.

Poczekał, aż Ha’anała powiedziała: – Ktoś będzie ostrożny – a potem się uśmiechnęła z twarzą uniesioną ku słońcom. Mówiła to za każdym razem. Ha’anała miała klarowność.

– Zasada: bez Runów – powiedział na głos.

– Prócz Imantata – odpowiedziała skwapliwie Ha’ana. Imantat był stosunkowo małomównym Runao, który dbał o to, by nie przeciekał trzcinowy dach. Ha’ana zniknęła z pola widzenia Izaaka, kiedy podszedł do szałasu, by zabrać się do usuwania nawianego przez wiatr tryptonu, opadłego z drzew lub wrosniętego w jego małą twierdzę od czasu ostatniego pobytu. Kiedy wszystko zostało uporządkowane, wysprzątane i wyprostowane, wyciągnął rękę i pojawił się w niej laptop, i tym razem nie było nikogo, kto by cokolwiek powiedział.

Laptop ważył teraz mniej niż dawniej. Kiedyś musiał wyteńczyć wszystkie siły, aby go unieść, a teraz był tak lekki, że z łatwością podnosił go jedną ręką. Ta stopniowa utrata wagi była czymś, co nie uszło uwagi Izaaka; za każdym razem badał krótko komputer, czujny na wszelkie inne zmiany. Zadowolony, umieścił go na płaskim kamieniu, który przyniósł w tym celu z rzeki.

Deszcz nie był zagrożeniem, ale matka zawsze mu powtarzała, żeby nie zabrudził komputera błotem lub piaskiem. Specjalnym patykiem zmierzył odległość od każdej krawędzi laptopa do ścian szałasu, tak żeby urządzenie znajdowało się dokładnie pośrodku.

Wyprostował rękę i tym razem pojawiła się w niej prostokątna niebieska tunika. Naciągnął ją na głowę, usiadł po zachodniej stronie szałasu i okrył tuniką również laptop. Odcięty w ten sposób od ukośnych, trójbarwnych promieni, przesączających się przez poruszany lekkim wiatrem baldachim liści, zaczął się odprężać. A potem: chłód guzika pod kciukiem, cichy trzask mechanizmu, cudowny ruch unoszącej się pokrywy, zataczającej łagodny łuk i zamierającej pod kątem rozwartym – niezmienna geometria wstępnej gry. Jednoczesne pomrukiwanie wprawianego w ruch dysku, rozjaśnienie ekranu, znajoma klawiatura z jej równymi rzędami klawiszów.

– *Sipaj*, Izaak – rozległ się głos Ha’anali. – Czego będziemy słuchać?

Wiedziała, jak długo czekać, żeby zadać to pytanie. Zawsze zadawała je w ten sam sposób, a on zawsze wybierał to samo: głos Supaariego, wieczorny śpiew. Najpierw słuchał w milczeniu.

Potem puszczał nagranie jeszcze raz, chwytając harmonię. Później jeszcze raz, dodając własną harmonię; wtedy dołączała się Ha’anala, dublując partię Supaariego. To samo powtarzało się ze Sz’mą, którą śpiewała Sofia; ponownie włączał nagranie, żeby zharmonizować własny głos, a za trzecim razem partię Sofii dublowała Ha’anala.

Po tym stałym wstępie mógł już przystąpić do wybierania utworów z kolekcji *Magellana*: pieśni, symfonii, kantat i chórów, kwartetów i triów, koncertów i rond, gaelickich dżigów i wiedeńskich walców, soczystych czterogłosowych harmonii brooklyńskich przyśpiewek i jęklwych dysonansów chińskiej opery, modalnych i rytmicznych zawodzeń arabskiego *taqasim*. Muzyka wkraczała do serca Izaaka bezpośrednio i bez najmniej szego wysiłku.

Wślizgiwała się do jego duszy jak liść wpadający do czystej, nieruchomej wody, zapadając się jedwabiście pod lśniąca powierzchnię.

Oczyszczony z hałasu i zamętu wioski i puszczy, umysł Izaaka stawał się tak uporządkowany i precyzyjny jak klawiatura. Mógł teraz ponownie badać zawartość przepastnej biblioteki *Magellana*, odczytując z pozbawionym emocji skupieniem znalezione w katalogu pliki na każdy temat, który wzbudził jego uwagę.

– Klarowność – westchnął i zabrał się do studiowania.

Cała wioska radowała się, kiedy Ha'anala przyprowadzała z powrotem Izaaka; wychwalali ją za troskliwą nad nim opiekę, za jej życzliwość. „Ha'anala to dobry ojciec”, mówili, uśmiechając się lekko. Sofia też była jej wdzięczna. Lecz dla Ha'anali towarzyszenie Izaakowi do jego ustronia nie było żadną ofiarą, bo tak jak jej brat łaknął klarowności, ona tęskniła za samotnością. W gruncie rzeczy to jedno i to samo, myślała.

Przez lata Izaak głównie powtarzał to, co mówili inni, i nawet Sofia uwierzyła, że jej syn nigdy nie nauczy się mówić samodzielnie. A potem pewnego dnia Ha'anala, zmęczona hałasem wioski, rozbita i wyprowadzona z równowagi, zrobiła coś pod wpływem nagłego impulsu. Była młodsza od Izaaka, ale o wiele silniejsza, więc kiedy zaczął się kręcić w kółko i buceć, po prostu złapała go za kostkę u nogi i wyprowadziła z wioski do lasu, do miejsca, gdzie było cicho i spokojnie. Spodziewała się, że Izaak po prostu zamilknie albo w najgorszym razie będzie powtarzał jakąś bezsensowną frazę tak długo, aż w ogóle utraci jakiegokolwiek znaczenie. Dopiero później zrozumiała, że jej własne rozdrażnione milczenie pozwoliło Izaakowi przemyśleć jedną myśl do końca, ja potem wypowiedzieć ją na głos. I to jaką myśl!

– Jak można słyszeć duszę, jeśli każdy coś mówi?

Tego dnia już nic więcej nie powiedział, ale Ha'anala przez kilka godzin zastanawiała się nad jego słowami. W końcu doszła do wniosku, że dusza jest najbardziej realną częścią osoby, a odkrycie, co jest realne, wymaga samotności.

W wiosce każda czynność, każde słowo, każda decyzja lub pragnienie były skrupulatnie badane, komentowane, porównywane, roztrząsane i oceniane. Wszyscy brali w tym udział! Jak mogła odkryć, kim jest, jeśli wszystko, co robiła, podlegało bacznej ocenie rady złożonej ze stu pięćdziesięciu osób? Nawet jeśli zakryła oczy rękami albo stuliła na chwilę uszy, żeby nic nie słyszeć, zaraz podchodził jakiś Runao i pytał: „*Sipaj*, Ha’anala, źle się czujesz?” I zaczynało się: wszyscy roztrząsali, co ostatnio zjadła, jaki miała stolec, jak wygląda jej futro, może bolą ją oczy i dlaczego, może dlatego, że ostatnio było więcej niż zwykle słońca, a mniej deszczu, a to oznacza, że zbiory *dji’llu* będą opóźnione, co może wpłynąć na cenę *k’jipu*, bo to zawsze się łączyło z podażą *dji’llu*...

Więc Ha’anala dziękowała Bogu, że Izaak jeszcze gorzej znosi zgiełk i zamęt wioski od niej.

Nigdy nie powtarzała Sofii, co Izaak mówił, kiedy byli sami. Miała z tego powodu poczucie winy. Czasami czuła się tak, jakby coś ukradła Sofii, która tak bardzo pragnęła, by Izaak do niej mówił.

Raz, kiedy Ha’anala usłyszała, jak Izaak ziewa pod swoją niebieską tuniką, a wiedziała, że już się naczytał i zniesie pytanie, zapytała:

– *Sipaj*, Izaak, dlaczego nie mówisz do swojej matki?

Izaak dwukrotnie wypisał w laptopie wiadomość dla Sofii.

„Zostaw tego kogoś w spokoju”, głosiła pierwsza wiadomość. Matka popłakała się, kiedy to przeczytała: jedyne słowa, które do niej skierował, wyrażały odrzucenie. Ale później, kiedy po obsesyjnym poszukiwaniu znalazł w końcu odpowiedź na jakieś pytanie, opanowało go dotkliwe poczucie zawodu i strachu i zapytał ją: „Czy kiedyś dowiem się wszystkiego?” „Nie”, odpisała mu Sofia. „Nigdy”. To go zadowoliło, ale tylko tego od niej chciał: tego jednego potwierdzenia.

Ha'anala westchnęła, przygnębiona tym wspomnieniem, i oparła się plecami o nagrzaną słońcem głąz, zamykając oczy. Żar południa i nuda połączyły się w jej dojrzałej fizjologii mięsożercy, aby spiskować przeciw świadomości, ale tego dnia jej senność była skutecznie atakowana przez ostatnie szaleństwo Izaaka. Uparł się, by zapamiętać wszystkie połączenia par nukleotydów ludzkiego DNA i przypisał muzyczną nutę każdemu z czterech podstawowych składników: adeninie, cytozynie, guaninie i tyminie. Całymi godzinami wsłuchiwał się w te monotonne czterotonowe sekwencje.

– *Sipaj*, Izaak – zapytała, kiedy to się zaczęło. – Co ty robisz?

– Zapamiętuję – odpowiedział, a Ha'anala pomyślała, że to zupełnie bezsensowne, nawet jak na Izaaka.

Nawet Sofia oddaliła się od niej w ciągu ostatnich paru lat, często robiąc kilka rzeczy na raz: przysłuchiwała się dyskusjom Runów i jednocześnie opracowywała raporty, przygotowywała komunikaty meteorologiczne dla oficerów lub koordynowała dostawy zaopatrzenia dla wysuniętych placówek. Ha'anala wciąż i wciąż próbowała jej pomóc, przygnębiona izolacją Sofii, pragnąc być jej partnerem, nawet jeśli czuła się urażona skrytymi, niewypowiedzianymi pragnieniami matki. „To nie ma nic wspólnego z tobą”, mówiła jej Sofia, wyłączając Ha'analę ze swoich spraw równie skutecznie jak Izaak. Sofia zdawała się ożywiać tylko wtedy, kiedy mówiła o sprawiedliwości, ale w miarę upływu czasu coraz częściej milczała i na ten temat.

Żaden z otaczających ją Runów nie chciał rozmawiać z Ha'analą o wojnie, a na jej pytania odpowiadano uprzejmie, ale wymijająco... Są zakłopotani, pomyślała Ha'anala. Chcieliby, żebym nie; wiedziała, ale przecież wiem. Będę ostatnim przedstawicielem swojego gatunku.

Zaczęli coś, co może się skończyć tylko w jeden sposób. Może Sofia i Izaak mają rację, pomyślała, zapadając w drzemkę. Trzymaj się z daleka, nie otwieraj przed nikim serca, nie pragnij czegoś, czego nie możesz mieć...

Z drzemki obudziło ją głośne, monotonne oświadczenie Izaaka:

– To jest gorsze od czerwonego. Ktoś odchodzi. Dobrze – mruknęła, jeszcze nie w pełni rozbudzona. – Ktoś spotka cię w osadzie.

– *Sipaj*, ludzie! – krzyknęła Sofia kilka godzin później. – Już prawie czerwono! Czy ktoś widział Izaaka i Ha’analę?

Puska Va Trucha-Sai odłączyła się od grupy dziewcząt rozmawiających o swoich przydziałach i rozejrzała się wokół.

– Poszli rano do chaty Izaaka – przypomniała Sofii.

– *Sipaj*, Puska – zawołał jej ojciec, Kanchay – mogłabyś pójść i przyprowadzić ich tutaj?

– Och, możesz mnie zjeść! – mruknęła Puska, wywołując lękliwy śmiech zgorszenia wśród innych dziewcząt.

Puska nie dbała o pozory. Rok w wojsku to dość, by kobieta nauczyła się mocnego języka, a i tak wybrała najłagodniejszy wulgaryzm, jaki jej przyszedł na myśl – te rekrutki wkrótce nauczą się gorszych przekleństw. Puska uśmiechnęła się do dziewcząt.

– Dobry żołnierz musi być odpowiedzialny – powiedziała z przesadną pewnością pokrywającą zwykły cynizm i odeszła, by znaleźć dzieci Fii.

Po przejściu dwudziestu paru kroków znalazła się poza obrębem chat i szop, drugie tyle zaprowadziło ją dostatecznie daleko w głąb lasu, by przestała słyszeć wioskowy gwar.

W pierwszym miesiącu pobytu w mieście Mo'arl Puska śniła o domu prawie co noc; tęskniąc za spokojem i bezpieczeństwem puszczy, szukała schronienia we śnie, bo dzień przynosił tylko wstręt i przygnębienie. Przez jakiś czas zazdrościła Ha'anali, na zawsze uwięzionej w wiosce.

Teraz Trucha Sai wydało się jej małe, ciasne i ograniczone; rozumiała, dlaczego Ha'anala tak często była rozdrażniona i niespokojna.

Pojawił się zarys dachu szałas Izaaka. Imantat nie był jeszcze tak zręcznym strzecharzem jak jego ojciec, ale już dobrze znał się na swojej robocie: szałas wytrzymał ostatnią burzę. Ktoś będzie wkrótce potrzebował męża, pomyślała Puska, i odnotowała w pamięci, że trzeba poruszyć to na radzie, bo dość już się napatrzyła na wojny, by wiedzieć, że nie należy lekceważyć dzieci, a jeśli padnie w bitwie, ktoś będzie musiał ją zastąpić.

– *Sipaj*, Ha'anala! – zawołała Puska, podchodząc do chaty. – Wszyscy na was czekają! Zrobiło się już prawie czerwono!

Nikt nie odpowiedział – szałas był pusty. Zakłęła pod nosem. Ha'anala nie widziała nic w porze czerwonego światła, a Izaak widział aż za dobrze. Trzeba go było chować pod dachem chaty, żeby nie widział czerwieni nieba, bo wpadał w prawdziwy szal.

– Ha'anala! Ktoś będzie musiał cię zanieść do wioski! – zażartowała.
– A Izaak zaraz robi *fierno*!

– Tutaj! – dobiegł do niej z daleka głos Ha'anali.

– Gdzie jest Izaak? – odrzyknęła Puska, z ulgą nadstawiając uszu w kierunku głosu.

Ha'anala szła w stronę szałas z wyciągniętymi przed siebie rękami.

– Nie ma go tu! – krzyknęła, unosząc stopę, by rozetrzeć sobie goleń drugiej nogi, którym chwilę wcześniej uderzyła w jakiś zwalony pień. – Izaak poszedł!

Puska podniosła uszy.

– Poszedł? Nie... ktoś by go zobaczył. Nie ma go w osadzie i nie spotkałam go po drodze...

Ha'anala potknęła się o korzeń.

– *Sipaj*, Puska – wyrzuciła z siebie z rozpaczą – on odszedł! Poszedł w las! Nie czujesz tego? Powiedział, że odchodzi, ale ktoś był zaspany i...

Puska podeszła do Ha'anali i zaczęła ją gładzić po długich policzkach. Przypomniało jej się dzieciństwo, tulenie do snu, wieczorne kołysanki.

– Uspokój swoje serce. *Fierno* nie pomoże. Zła pogoda każdego przestraszy.

A deszcz zmyje zapach Izaaka, uświadomiła sobie Ha'anala, zanim zdążyła pomyśleć o meteorologicznych skutkach przygnębienia i strachu. Wyprostowała się.

– Musimy go znaleźć. Tam, Puska. Jego zapach wciąż jest bardzo wyraźny, ale jak spadnie deszcz, stracimy trop. Izaak odejdzie. Fia będzie...

– Przecież ty nic nie widzisz... – zaczęła protestować Puska.

– Nie widzę oczami – powiedziała ostrożnie Ha’anala. Ślady Izaaka jarzyły się w jej świadomości: odciski stóp rozjaśnione zapachem, liście, których dotknął, oproszone komórkami jego nagiej skóry i owiane jego oddechem. – To jest jak ziarenka ognia... pamiętasz? Jak małe punkciki światła wzdłuż szlaku, którym szedł. *Sipaj*, Puska, ktoś go wytropi, jeśli mu pomożesz. Ale musimy iść zaraz, bo trop wkrótce przestanie świecić.

Puska zaczęła się kołysać z nogi na nogę, rozważając jej słowa. Na lewą nogę: Izaak może zablądzić. Na prawą nogę: powinna wrócić do wioski i poprosić o pozwolenie. Lewa noga: pachnie deszczem. Prawa noga...

– *Sipaj*, Puska – błagała Ha’anala – czyjeś serce przestanie bić, jeśli będzie musiał powiedzieć Fii, że Izaak odszedł! Ktoś myśli, że może go wytropić, a kiedy my dwie go dogonimy, będzie już nas troje i wrócimy do wioski, zanim zrobi się naprawdę ciemno.

To Puskę przekonało. Jedna osoba to zagadka. Dwie – to dyskusja. Trzy – to już plan.

– Pomyślą, że wpadliśmy w ręce *djanada* – powiedziała Puska, pełna niepokoju od chwili, gdy obudziły się w lesie następnego ranka. Spojrzała na Ha’analę, stojącą opodal na jednej nodze i ogonie. – Ktoś powinien wrócić i powiedzieć innym.

Ha’anala nie odpowiedziała, bojąc się spłoszyć swoje śniadanie, które spoczywało dokładnie pod jej uniesioną stopą. Cierpliwości... cierpliwości...

– Mam go! – krzyknęła, chwytając małego, pokrytego łuską *lonata*. – Nie potrzebujemy pomocy – oznajmiła stanowczo, ściskając zwierzątko za kark dwoma palcami stopy. – Jeśli teraz wrócimy, ktoś straci trop.

Puska skrzywiła się, obserwując wijącego się bezradnie *lonata*.

– Naprawdę zamierzasz to zjeść?

– A mam wybór? – odpowiedziała Ha’anala i odrzuciła stopę, chwytając Puskę za kostkę. – Och, Puska! Ktoś żartuje! – krzyknęła, kiedy Puska podskoczyła, żeby wyrwać się z uścisku.

– To nie żartuj. Nigdy więcej tego nie rób! – Puska wzdrygnęła się. – Gdybyś widziała to, co ja widziałam w Mo’arlu...

Ha’anali szczęka opadła i Puska zamilkła, zakłopotana własną szorstkością. Naprawdę, coraz gorzej ze mną, pomyślała.

– Przepraszam – powiedziała i sięgnęła po *lonata*, a potem zaczęła zeszkroby wać łuski z jego nóżek, wstrzymując oddech. – Ktoś myśli, że takie żarty są bardzo niesmaczne.

– Ktoś myśli, że *lonaty* są bardzo niesmaczne – mruknęła Ha’anala, odgryzając kawałek mięsa, gdy Puska oddała jej martwe zwierzątko.

Lonat miał tylko jedną zaletę: łatwo go było złapać. Ha’anala i jej ojciec przywykli już do tych małych, nędznych zdobyczy, którymi od czasu do czasu uzupełniali oferowane im „tradycyjne mięso”, jak je delikatnie nazywano, ale zawsze zjadali je pospiesznie i ukradkiem.

– Jak jest w miastach? – zapytała Ha’anala, starając się odwrócić uwagę Puski od małego, pokrwawionego ścierwa.

– Nie chcesz wiedzieć – odpowiedziała Puska z widoczną odrazą i odeszła, żeby znaleźć sobie jakieś jagody.

I szły dalej, Puska coraz bardziej rozdrażniona, Ha’anala z trudem ukrywając niepokój. Trop Izaaka Ginał wśród leśnych zapachów – potu, oddechów, odchodów, rozkładających się w wilgotnym upale – zwłaszcza gdy niespodziewanie zbaczał ku kępkom owocujących zarośli.

Odnajdywała go ponownie, ale był zmieszany z pyłkami *vraloju* i odorem gnijących roślin, więc łatwo go było zgubić. Czwartego dnia Puska uskarżała się już nieustannie, przerywając wędrówkę, by napaść się ostentacyjnie, podczas gdy Ha'anala grzebała pod zwalonymi pniami w poszukiwaniu larw i pędraków, coraz bardziej wygłodniała, milcząca i wściekła na Izaaka.

– Jeszcze tylko jeden dzień – ostrzegła ją Puska tego wieczoru. – Potem wracamy. Jesteś zbyt głodna...

– Izaak będzie jeszcze bardziej głodny – odpowiedziała Ha'anala, bo jeszcze nigdy nie widziała, by Izaak sam zdobył pożywienie, więc liczyła na to, że osłabnie i w końcu go dościgną.

Jego odchody wcale o tym nie świadczyły. Nikt się o niego nie troszczył, a on radził sobie całkiem nieźle. Jego kiszki trawiły pokarm Runów i prawdopodobnie obserwował, jak zwykle uważnie, choć niezauważalnie, jak się pasą, więc wiedział, co jest jadalne i jak to znaleźć. Więc teraz już sam zdobywa pokarm, pomyślała Ha'anala, wspominając opowieści o tym, jak Izaak pewnego dnia zaczął chodzić, innego śpiewać, jeszcze innego pisać na komputerze.

Najwyraźniej każdą nową umiejętność tak długo ćwiczył w umyśle, póki nie uzyskał pewności, że potrafi to zrobić, a następnie po prostu robił.

Czyżby planował to odejście, zastanawiała się Ha'anala tej nocy, kiedy już zasypiała.

I czego szukał? Natychmiast jednak pomyślała: nie, on niczego nie szuka. On ucieka.

Tej nocy źle spały, a obudziła je burza z grzmotami udaremniająca dalszą wędrówkę. Wciąż nie chcąc uznać porażki, Ha'anala siedziała na skraju lasu i patrzyła posepnie na bezkresną równinę, węsząc rozpaczliwie, by uchwycić strzęp zapachu Izaaka, choć już wiedziała, że grube krople rozmyją go i zmieszają z wonią wyznaczającą szlaki stepowych stad. Nawet Puska była spokojna.

– Odszedł – wyszeptala Ha'anala tego wieczoru, kiedy blakło wilgotne, szare światło. – Ktoś go zgubił.

– Sam się zgubił. Próbowalaś go odnaleźć – powiedziała cicho Puska. Objęła Ha'analę i oparła głowę na jej ramieniu. – Jutro pójdziemy do domu.

– Jak ja to powiem Sofii? – zapytała Ha'anala ciemności. – Izaak odszedł.

27

GIORDANO BRUNO

2066-2069 czasu ziemskiego

– Żartujesz – prychnął John.

Gruby Frans spojrział na niego znad talerza.

– Czy samobójstwo nadal jest uważane za grzech?

– To zależy... Dlaczego pytasz?

– Bo dla dobra twojej teoretycznie nieśmiertelnej duszy chciałbym ci dać pewną radę. Nigdy nie wsiadaj do samolotu pilotowanego przez Emilia Sandoza.

Efektowna przesada, pomyślał John i odsunął swój talerz.

– Nie jest aż tak zły! Mówię ci, Johnny, pierwszy raz widzę kogoś tak tępego – powiedział Frans, trochę poniewczasie przełykając tilapię z ryżem. – Nico, powiedz don Gianniemu, ile czasu potrzebowałeś, żeby nauczyć się latać promem?

– Trzy tygodnie – odpowiedział z kąta Nico. – Don Carlo mówi, że promy właściwie latają same, ale miałem trudności z programami nawigacyjnymi.

John skrzywił się. Emilio uczył się już od miesiąca.

– Jego mózg musi być całkowicie wypełniony obcymi językami. Wydaje mi się – powiedział Frans, dosypując trochę soli do ryżu – że nie ma ani jednej wolnej synapsy. Słuchaj, Johnny, podziwiam wytrwałość jak każdy, ale to nie ma sensu. Nawet D.W. Yarbrough dał mu spokój. Wiesz, co o nim napisał w jednym z raportów? – Przez chwilę żuł w milczeniu, a potem wyrecytował: – „Jako pilot ojciec Sandoz jest cholernie dobrym lingwistą i zupełnie niezłym lekarzem. Wykreślam go z grafika nauki pilotażu i nadaję mu status pasażera, żeby kogoś nie zabił”. – Frans pokręcił głową. – Myślałem, że mnie lepiej z nim pójdzie, bo te nowe promy są prawie całkowicie zautomatyzowane, ale ten facet jest takim mułem, że się poddałem. – Wsadził sobie do ust porcję ryby i z wypchanymi policzkami zerknął na Johna. – Zrób coś, Johnny. Pomów z nim.

John prychnął.

– A skąd ci przyszło do głowy, że w ogóle zwróci uwagę na to, co mu powiem? W ciągu ostatnich ośmiu tygodni nie odezwał się do mnie ani razu... przepraszam, raz mnie ochrzanił za jakiś cholerny błąd w użyciu trybu łącznego w *ruanja*. – Trudno było nie poczuć się dotkniętym.

Nafaszerowany narkotykiem czy trzeźwy, Sandoz nie pozwalał nikomu zbliżyć się do siebie. – Gdzie on jest teraz?

– Ćwiczy w swojej kabinie. Już go nawet nie podglądam na monitorze, to zbyt okropny widok.

– No dobra – powiedział John. – Zobaczę, co da się zrobić.

Nie było odpowiedzi na pierwsze pukanie, więc John załomotał pięścią.

– Co jest, do cholery? – ryknął Emilio, nie otwierając drzwi.

– To ja... John. Wpuść mnie, dobrze? – Chwila ciszy, a potem chrobot przy kłamce.

– Jasna cholera – zaklął ponownie Sandoz. – Otwórz sobie sam.

John otworzył drzwi. Sandoz stał z osłoną VR4 podsuniętą wysoko na czoło jak konkwistador w hełmie.

John załamał się na jego widok. Pełne uzbrojenie! Rękawice VR na protezach, skóra wokół oczu zaczerwieniona od długiego wysiłku.

– Na miłość boską, Emilio – wybuchnął John, zapominając o grzeczności – przecież to głupota...

– Żadna głupota! – warknął Emilio. – Co, Frans cię tutaj przysłał? Mało mnie obchodzi, co on sobie myśli. Muszę się tego nauczyć! Gdybym tylko nie miał tego gówna na rękach...

– Ale masz to gówna na rękach, ja nie jestem w stanie naprawić lewej protezy, a pilotowanie promem jest trochę trudniejsze od symulacji wirtualnej...

– Muszę się tego nauczyć – przerwał mu Emilio cichym, ale jadowym głosem – bo nie chcę, by mój powrót z tej cholery planety zależał od kogokolwiek. Rozumiesz?

John zamrugnął oczami.

– W porządku – powiedział w końcu. – Zrozumiałem.

– Wielkie dzięki – mruknął sarkastycznie Emilio. – Może sobie przypominasz, że jak poprzednio byłem na Rakhacie, kawaleria trochę się spóźniła z ratunkiem.

John pokiwał głową, ale wciąż miał nadzieję go przekonać.

– Wyglądasz okropnie – powiedział, postanawiając walczyć dalej. – Nie przyszło ci do głowy, że jak trochę odpoczniesz, to pójdzie ci lepiej? Kiedy ty w ogóle śpisz?

– Jak nie śpię, to nie mam snów – odpowiedział mu Emilio z przesadną uprzejmością i zamknął drzwi, zostawiając Johna samego w korytarzu, spoglądającego w metalową powierzchnię.

– Odpocznij trochę, do cholery! – ryknął John.

– Idź do diabła! – odkrzyknął mu Emilio.

John westchnął i odszedł, kręcąc głową i mówiąc do samego siebie.

Po odstawieniu quella Sandoz złamał jezuicki monopol na znajomość obu rakhatańskich języków, upierając się, by Carlo, Frans i Nico nauczyli się podstaw *ruanja* i *K'sanu*, choć Frans miał pozostać na statku podczas ich pobytu na planecie. Wkrótce zażądał, by wszyscy zaczęli pracować razem, przechodząc coraz trudniejsze kursy. Dzień po dniu, noc po nocy kazał im tłumaczyć to, co mówił w *ruanja* lub *K'sanie*, zarzucając ich pytaniami i krytykując ich odpowiedzi w różnych warstwach znaczeniowych: gramatycznej, logicznej, psychologicznej, filozoficznej i teologicznej.

– Bądźcie przygotowani na pomyłki – powtarzał im. – Bądźcie pewni, że jeśli napotkacie coś prostego lub oczywistego, prawie na pewno się omylicie. My myliliśmy się najczęściej w sprawach, które uważaliśmy za zrozumiałe, bo wspólne nam i im: dotyczących seksu, jedzenia, muzyki, stosunków rodzinnych.

Robił im ćwiczenia o północy, symulując różne sytuacje w różnych warunkach geograficznych i meteorologicznych, w tym lądowanie i ewakuację zdalnie sterowanym promem z dwu różnych miejsc. Pozwalał im na dwie lub trzy godziny snu, a potem znowu budził ich sygnałami alarmu, bombardując pytaniami w języku *K'san* lub *ruanja*, kim są, po co przyjechali, czego chcą, rozkładając ich odpowiedzi na czynniki pierwsze, ujawniając słabości, martwe punkty, uprzedzenia i zwykłą głupotę. Nie pozostawiał na nich suchej nitki, traktował ich brutalnie i obraźliwie, a kiedy Sean ośmielił się zaprotestować, zmieszał go z błotem i upokorzył, doprowadzając do łez.

Kiedy inni, po jakimś wyczerpującym ćwiczeniu lub przesłuchaniu, padali na kolce i zasypiali kamiennym snem, sam Sandoz robił jeszcze parę kilometrów na mechanicznej bieżni. Bez względu na to, jak wyczerpujący był program ćwiczeń dla całej reszty, musieli przyznać, że sobie wyznaczał jeszcze trudniejsze cele, mimo że był najmniejszy i prawie o dwadzieścia lat starszy od najmłodszego z nich.

Nie siadał nawet wtedy, kiedy jadł. Lecz nocne koszmary nękały go nadal.

– Sandoz! – krzyknął Carlo, potrząsając nim.

Nie było żadnej reakcji, więc potrząsnął nim jeszcze mocniej, aż podsinione oczy otworzyły się, a źrenice skupiły na nim.

– *Jesus!* – krzyknął Sandoz, szarpiąc się gwałtownie do tyłu. – *Dejame...*

Carlo puścił jego ramiona, pozwalając, by osunął się na przegrodę.

– Zapewniam cię, don Emilio, że moje intencje były całkowicie zgodne z nakazami honoru – oświadczył przesadnie uprzejmym tonem, siadając na końcu koi. – Znowu krzyczałeś.

Wciąż ciężko oddychając, Sandoz rozejrzał się nieprzytomnie, próbując zebrać myśli.

– Pieprz się – powiedział po chwili.

– To jest myśl – odrzekł Carlo, przymykając oczy, jakby się zastanawiał. – Jak wiesz, wszechstronność może być zaletą. – Sandoz wytrzeszczył na niego oczy. – To nie musi boleć.

– Jeśli się zbliżysz – ostrzegł go Sandoz znużonym głosem – znajdę sposób, by cię zabić.

– To była tylko luźna sugestia – odpowiedział Carlo spokojnie. Wstał i poszedł do biurka, na którym uprzednio położył dozownik do wstrzykiwania leków. – Skoro rezygnujemy z ciekawszej drogi wiodącej do ulgi i odpoczynku, co sobie zafundujemy tej nocy? Szybkie zapomnienie, mam nadzieję. Może powinienem kazać Nicowi przenieść bieżnię do przedziału dla chorych, żeby reszta nas nie musiała wysłuchiwać tych łomotów przez całą noc. – Wziął dozownik i odwrócił się, unosząc brwi.

– *Notabene*, przestajesz na to reagować. W ciągu ostatnich dwu tygodni podwoiłem dawkę.

Sandoz, który najwidoczniej był przedtem zbyt zmęczony, by się rozebrać przed padnięciem na koję, wyskoczył z niej, założył protezy i wypadł z kabiny, ocierając się w drzwiach o Nica, który zawsze wstawał, gdy robił to don Carlo.

– A więc jednak bieżnia – mruknął Carlo. Westchnął, czekając na bezlitosne dudnienie stóp.

Z jego tempa wywnioskował, że Sandoz zamierza przebiec dziesięć kilometrów w ciągu trzydziestu siedmiu minut. Sandoz mógł mieć nadzieję, że padnie z wyczerpania, ale w ten sposób spędzał sen z powiek reszcie załogi.

Carlo postanowił z tym skończyć. Poszedł do małej salki gimnastycznej i stanął przed bieżnią, zakładając ręce z tyłu i przekrzywiając głowę.

– Sandoz – powiedział po dłuższej chwili milczącego kontemplowania widoku – zdążyłem się zorientować, że przejąłeś dowództwo nad statkiem. Ta sytuacja mi odpowiada, chociaż, szczerze mówiąc, uważam, że twojemu stylowi dowodzenia brakuje finezji. – Napotkał rozbawione spojrzenie czarnych oczu; Sandoz już odzyskał kontrolę nad sobą i łaskawie pozwalał na takie zaczepki. – Z początku myślałem sobie, że to coś w rodzaju zemsty... Facet mówi sobie: Teraz ja wam pokażę. Później pomyślałem: To jest eksjezuita, który przez całe życie wykonywał czyjeś rozkazy. Teraz je wydaje. Upaja się władzą. Teraz jednak...

– Mam ci powiedzieć, dlaczego pozwoliłeś mi przejąć dowodzenie?
– przerwał mu Sandoz.

– Twój ojciec nie mylił się co do ciebie, Cio-Cio-San. Gdybyś cokolwiek zrobił do końca, można by to ocenić i stwierdzić, że nawaliłeś. Szukasz więc pretekstu, żeby się wycofać, okłamując sam siebie wizją renesansowego księcia. Zabierasz się za coś innego, zanim zademonstrujesz swój brak kompetencji. Mój zamach stanu bardzo ci odpowiada, bo teraz masz już kogoś, kogo by można winić za niepowodzenie wyprawy.

– To nie zemsta jest twoim motorem, Sandoz – mówił Carlo, ciągnąc dalej swoją myśl, jakby w ogóle tego nie usłyszał. – To strach. Boisz się, wciąż się boisz. A im bliżej jesteśmy Rakhatu, tym bardziej jesteś przerażony.

Sandoz, teraz już w znakomitej kondycji fizycznej, pocąc się obficie, zwolnił kroku, aż w końcu deptak się zatrzymał. Przez chwilę dyszał ciężko ze zmęczenia, a potem po prostu pozwolił, by maska opadła mu z twarzy.

Carlo zamrugał, wstrząśnięty wyrazem jego twarzy.

– Boisz się – powtórzył cicho Carlo – i masz powód, by się bać.

– Don Emilio – rozległ się głos Nica, który wszedł do pomieszczenia

– co widzisz w swoich snach?

Carlo zadawał to pytanie wiele razy, budząc się w porze, którą nadal nazywali przedświtem, słysząc to straszliwe wycie, to coraz głośniejsze: „Nieeee!”, wyrażające z początku odmowę, później bunt, na koniec rozpacz. Kiedy Carlo lub John wpadali do kabiny Sandoza, siedział już zwykle na koi, oparty plecami o przegrodę, z szeroko rozwartymi oczami, choć nadal spał. „Co widzisz?”, pytał Carlo, kiedy mu się udało wyrwać go z tego snu.

Sandoz zawsze odmawiał odpowiedzi na to pytanie. Tym razem odpowiedział Nicowi:

– Cmentarz. Miasto umarłych.

– Zawsze to samo miasto? – zapytał Nico.

– Tak.

– I widzisz wyraźnie zmarłych?

– Tak.

– Kim oni są?

– To wszyscy, których kochałem – odrzekł Sandoz. – Jest tam Gina – powiedział, patrząc na Carla – ale nie ma Celestiny... jeszcze nie. Są też ci, których nie kocham.

– Kto? – zapytał Carlo.

Sandoz roześmiał się drwiąco.

– Nie ty, Carlo – powiedział z pogardą. – I nie ty, Nico. To VaRakhati. Całe miasta. Ciała się zmieniają. Gniją. Czuję ich odór. Nadchodzi taki moment, kiedy rozkład tak zmienia trupy, że nie mogę rozpoznać, czy to Jana’atowie, czy Runowie. Wszystkie są do siebie podobne. Ale później, kiedy zostają już tylko kości, widzę zęby. Czasami odnajduję tam własne ciało. Czasami nie. Lepiej, jak je znajdę, bo wtedy to się kończy. W takie noce nie krzyczę.

– Czy umiesz się posługiwać bronią osobistą? – zapytał po chwili Carlo.

Sandoz przytaknął na sposób rakhatański – krótkie, energiczne uniesienie podbródka – ale wyciągnął lekko ręce, zapraszając Carla, by to przemyślał.

– Chyba bym potrafił strzelić.

– Ale odrzut uszkodziłby mechanizm protezy – zauważył Carlo – i byłoby jeszcze gorzej niż przedtem. Będziesz, oczywiście, pod moją ochroną. I Nica.

Kpiące spojrzenie było prawie dobronudszne.

– I wierzysz, że ci się uda? Bogu się nie udało, a tobie się uda?

Carlo nie zamierzał się poddać.

– Bóg może być tylko bajką – powiedział, odchylając głowę do tyłu – a ja mam poważną inwestycję, której muszę pilnować. W każdym razie w mojej rodzinie na ogół bardziej polega się na kulkach niż na modlitwie.

– W porządku – rzekł Sandoz, uśmiechając się promiennie. – W porządku. Dlaczego nie? Moje doświadczenia z iluzjami nie były najszcześniejsze, ale kto wie? Może... na krótką metę... twoje pomoże nam obu.

Zadowolony z tego, czego się dowiedział, Carlo skinął na Nica. Odwrócił się, by wyjść, i zobaczył w drzwiach Johna Candottiego.

– Zaniepokojony? – zapytał beztrąsko, ocierając się o niego w przejściu. John łypnął na niego groźnie, a Carlo odskoczył, udając przerażenie, i podniósł obie ręce. – Przysięgam: Nie tknąłem go.

– Pieprzę cię, Carlo.

– Kiedy tylko zechcesz – mruknął Carlo, znikając z Nikiem za zakrętem korytarza.

Emilio wrócił już na bieżnię.

– Dlaczego? – zapytał John, stając przed nim.

– Mówiłem ci, John...

– Nie! Nie to! Nie chodzi mi tylko o pilotowanie promu! Chodzi mi o wszystko. Dlaczego w ogóle zadajesz się z Carlem? Dlaczego mu pomagasz? Dlaczego uczysz ich języków? Dlaczego chcesz wrócić...

– *Nocą i dniem na oścież jest otwarta brama Mrocznego Disa* – wyrecytował Sandoz, ukrywając się za Wergiliuszem, rozbawiony, lecz nie wiadomo przez kogo. – *Lecz zawrócić stamtąd i znów się wymknąć w przestworza pod słońcem, to jest trud, to jest zadanie...*

– Przestań. Nie pozbędziesz się mnie w ten sposób! – John uderzył w dźwignię szybkości bieżni tak nagle, że Sandoz o mało się nie przewrócił. – Do cholery, Emilio, jesteś mi coś winien... przynajmniej jakieś wyjaśnienie! Ja po prostu chcę zrozumieć...

Urwał, zaskoczony reakcją Sandoza. Wrzaśnij na mnie, pomyślał John, ale nie patrz na mnie takim wzrokiem.

W końcu Sandoz opanował drżenie, a kiedy przemówił, spojrzenie miał tak twarde, a głos tak łagodny, że jego słowa wydały się Johnowi jadowitą obrazą.

– Czy twoi rodzice mieli ślub? – zapytał.

– Tak – warknął John.

– Ze sobą? – zapytał Sandoz, tak samo łagodnym tonem.

– Nie muszę wysłuchiwać tych bredni – mruknął John, ale zanim zdążył odejść, Emilio odwrócił się i zamknął drzwi kopnięciem.

– Moi nie mieli – powiedział.

John zamarł, a Emilio przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Pamiętam, jak mąż mojej matki wrzeszczał na mnie za to, że nazwałem go *papi*. To jedno z moich najwcześniejszych wspomnień. Pamiętam, że zastanawiałem się: Może powinienem mówić do niego *papa*? A może *padre*? Chyba właśnie wtedy zostałem językoznawcą: sądziłem, że po prostu użyłem niewłaściwego słowa! Więc próbowałem innych słów, ale on wściekał się coraz bardziej i w końcu rąbnął mnie tak, że przeleciałem przez cały pokój. Kiedy kończył bić mnie, zabierał się do bicia mojej matki... a ja wiedziałem, że to moja wina, że zrobiłem coś nie tak, ale nie miałem pojęcia co! Uważałem na to, co mówię, dokładnie i dobierałem słowa. Nic nie pomagało. – Zamilkł i spojrział gdzieś w bok. – Był jeszcze mój starszy brat. Wciąż się mnie czepiał. Cokolwiek zrobiłem, było źle. I jeszcze coś: jak wchodziłem; z moją matką do sklepu albo jak mijaliśmy ludzi na ulicy, wszyscy milkli. – Znowu spojrział na Johna. – Wiesz, co to jest? *Putà*?

John skinął lekko głową. Kurwa.

– Często słyszałem to słowo, kiedy wychodziłem z matką do miasta. Z ust dzieciaków, rozumiesz? Jak to dzieciaki, które starają się być dowcipne i bezczelne. A ja tego nie kupowałem. Cholera, ile mogłem mieć wtedy? Trzy, cztery lata? Wiedziałem tylko, że coś się dzieje, ale nic nie rozumiałem. Więc wciąż szukałem wyjaśnienia. Byłeś kiedyś w Puerto Rico? – John potrząsnął głową. – Puerto Rico to prawdziwa mieszanka. Hiszpanie, Afrykanie, Holendrzy, Anglicy, Chińczycy, co tylko chcesz. Najróżniejsze kolory skóry. Przez długi czas jakoś mnie nie uderzało to, że moja matka, jej mąż i mój starszy brat mają jasne włosy i jasną skórę, a tylko ja wyglądałem jak mały Indianin. Jak pisklę kukułki w gnieździe pokrzewki. Aż pewnego dnia... miałem wtedy chyba jedenaście lat... zapomniałem się i nazwałem męża mojej matki *papa*. Nie powiedziałem tego wprost do niego... zapytałem, już nie pamiętam kogo, matkę czy brata, kiedy „papa” wrócił do domu. Zawsze był wredny, jak się upił, ale tym razem... Jezu! Myślałem, że połamię mi wszystkie kości. I rzeczywiście. A przez cały czas wrzeszczał: Nie nazywaj mnie tak! Jesteś dla mnie niczym, mały bękartie! Nigdy mnie tak nie nazywaj!

John zamknął oczy, ale po chwili je otworzył i spojrzał na Emilia.

– Więc otrzymałeś wyjaśnienie.

Emilio wzruszył ramionami.

– Nie od razu się zorientowałem. Chryste, byłem kompletnym tępakiem! W każdym razie później, kiedy zakładali mi gips, myślałem sobie: Jak syn może być niczym dla ojca? I wtedy nagle to do mnie dotarło. – Przez jego twarz przebiegł krótki, żaloszny uśmiech. – Pomyślałem: Ty kretynie, wciąż nazywa cię bękartem, a do ciebie w ogóle nie dociera, że naprawdę nim jesteś!

– Emilio, nie chciałem...

– Nie! Powiedziałaś, że chcesz zrozumieć. Próbuję ci wyjaśnić, więc po prostu zamknij się i słuchaj! – Emilio opadł na skraj bieżni. – Usiądź, dobrze? – powiedział znużonym głosem, zwiesiwszy głowę. – Kurwa, każdy z was to kawał chłopca – mruknął, szybko mrugając oczami. – Czuję się jak karzeł. Nienawidzę tego.

John zobaczył małego, chudego chłopca, który kulił się i czekał na koniec bicia; małego mężczyznę w kamiennej celi, który czekał na koniec gwałtu... Jezu, pomyślał John, siadając na podłodze naprzeciw Sandoza.

– Słucham – powiedział.

Emilio wziął głęboki oddech.

– Widzisz, cała rzecz w tym, że kiedy w końcu to do mnie dotarło, wcale nie byłem zły. Nie czułem wstydu. Nie czułem się zraniony. No... byłem zraniony, w końcu przez tego faceta wyładowałem w szpitalu. Ale przysięgam: nie czułem się zraniony. – Obserwował Johna uważnie. – Czułem ulgę. Możesz w to uwierzyć? Czułem cholerną ulgę!

– Bo w końcu wszystko nabrało sensu – powiedział John.

Emilio pochylił głowę.

– Tak. W końcu wszystko nabrało sensu. Nadal mi dopieprzało, ale w końcu nabrało sensu.

– I dlatego chcesz wrócić na Rakhat. Żeby znaleźć odpowiedź na pytanie, czy to wszystko miało sens?

– Ja chcę tam wrócić?! Chcę? – krzyknął Emilio. Gorycz była dojmująca, ale krótkotrwała.

Wkrótce wyparło ją zwykle zmęczenie. Popatrzył w dół, na podłogę sali gimnastycznej, a potem pokręcił głową; grube, proste włosy, bardziej już srebrne niż czarne, opadły mu na przekrwione ze zmęczenia oczy.

– Staram się wciąż myśleć w ten sposób: Jeśli ci każą przejść milę, przejdź dwie. Może to jest ta dodatkowa mila. Może muszę dać temu wszystkiemu jeszcze jedną szansę. Mogę znieść naprawdę wiele, jeśli tylko zrozumieć dlaczego... A jest tylko jedno miejsce, gdzie mogę to zrozumieć.

Zapadło długie milczenie.

– John, kiedy wylądujemy na Rakhacie, będziecie dysponowali jedynie wiedzą i umiejętnościami, które staram się wam przekazać. Problemów, które będziecie musieli rozwiązywać, nie jesteście w stanie sobie wyobrazić. Nie jesteście w stanie ich przewidzieć. Nie rozwiąże ich modlitwa. Nie pomogą pieniądze. Zapomnijcie o blefie. Nie wiercie w siłę waszych pistoletów. Jeśli nie powiem Carlowi i jego ludziom wszystkiego, co wiem, a coś się stanie, to ja będę za to odpowiedzialny. Nie chcę tego.

Wciągnął głęboko powietrze i zatrzymał je w płucach, zanim zapytał:

– Słyszałeś, co powiedział Carlo? Że się boję? – John kiwnął głową.
– To nie jest po prostu strach. John, ja chyba będę tak świrował aż do śmierci! – Roześmiał się, wytrzeszczając oczy, by powstrzymać łzy, które jeszcze nie spadły mu na policzki. – Nawet z Giną... Nie wiem, może by było trochę lepiej, ale nawet jak z nią byłem, miałem te koszmary, nawet z nią. A teraz... Jezu! Teraz są gorsze niż kiedykolwiek! Czasami sobie myślę, że tak jest lepiej. Te wycia przerażałaby Celestinę. Sam pomyśl, co to za dzieciństwo, kiedy ojczym wyje co noc!

– Może tak jest lepiej.

– Może – powiedział John powątpiewającym tonem – ale to niezbyt wielka pociecha, prawda?

– Nie – zgodził się Emilio. – Ale godzę się na wszystko. Jakoś to zniosę.

Zerknął na Johna, nieskończenie wdzięczny za to, że nie prawi mu banałów, że nie próbuje go pocieszać. Otrząsnął się i wziął głęboki oddech.

– John, ja... Słuchaj, byłeś...

– Daj spokój – przerwał mu John.

Właśnie po to tu jestem, pomyślał.

Sandoz podniósł się i wszedł z powrotem na bieżnię. Po pewnym czasie John też wstał i powłókł się do swojej kabiny, gdzie padł bezwładnie na koję i zakrył oczy dłońmi.

Myślał o wszystkich sposobach radzenia sobie z niezaskuszonym bólem. Złożyć go w ofierze.

Wspomnieć na mękę Jezusa na krzyżu. Środek uspokajający: Bóg nigdy nie obarcza nas ciężarem, którego nie jesteśmy w stanie udźwignąć. Wszystko ma jakiś cel. John Candotti wiedział z doświadczenia, że niektórym ludziom pomagają te stare powiedzenia. Jako ksiądz parafialny miał jednak okazję nieraz stwierdzić, że ufność pokładana w Bogu może być dodatkowym ciężarem dla dobrych ludzi powalonych na kolana przez jakąś bezsensowną tragedię. Ateista może też upaść, ale niewierzący często doświadczają czegoś w rodzaju spokojnej akceptacji: gówno istnieje, a w tym szczególnym przypadku właśnie im zdarzyło się w nie wdepnąć. Osobie wierzącej może być trudniej dźwignąć się na nogi właśnie dlatego, że musi pogodzić miłość Boga z bezsensownym, brutalnym faktem, że stało się coś nieodwracalnie strasznego.

– Podobno wiara ma być pociechą, ojcze! – wykrzyczała mu kiedyś w twarz pewna matka nad grobem swojego dziecka. – Jak Bóg mógł na to pozwolić? Te wszystkie modlitwy, cała nadzieja... to tylko wycie do księżyca w wietrzną noc.

Był taki młody. Zaledwie kilka tygodni po święceniach, pełen zapału i optymizmu. To był jego pierwszy pogrzeb, wydawało mu się, że nieźle sobie ze wszystkim poradził, nie zająknął się w modlitwach, był czuły na smutek żałobników, gotów spieszyć im z pociechą.

– Uczniowie i sama Maria musieli czuć to samo, co ty teraz, kiedy stali u stóp krzyża – odpowiedział, zadowolony z łagodności swojego głosu, ze swojego szczerego współczucia.

– Co mi ksiądz pieprzył! – warknęła kobieta, ciskając iskry z oczu. – Mój dzieciak jest martwy i nie zmartwychwstanie po trzech dniach! Gównu mnie obchodzi, czy zmartwychwstaniemy na końcu tego cholernego świata. Chcę, żeby to dziecko żyło teraz! – Szloch ucichł, miejsce żalu natychmiast zajął zimny gniew. – Bóg będzie musiał wytłumaczyć się z wielu rzeczy, ojcie. To wszystko, co mogę ojcę powiedzieć. Bóg będzie się musiał gęsto tłumaczyć.

Ojciec i brat, pomyślał. Czy to tak się zaczęło u Emilia?

Ojciec, na którego mógł liczyć, brat, na którym mógł się wzorować. Jak długo opierał się Duchowi? Jak długo zdołał uchronić się przed lękiem, że Bóg to tylko piękna bajka, że religia to kupa śmieci? Jakiego rodzaju odwagi to wymagało – wzbudzenie w sobie ufności, której żąda wiara? I skąd, do cholery, czerpie teraz Emilio siłę, by znowu mieć nadzieję, że to wszystko może mieć jakiś sens? Że jeśli tylko będzie uważnie słuchać, Bóg mu to wszystko wyjaśni?

A jeśli Bóg rzeczywiście mu to wyjaśni i okaże się, że to, co się wydarzyło, było winą Emilia? Nie te uprawy – na nie zgodził się każdy z załogi *Stelli Maris* i nikt nie mógł przewidzieć, co się stanie. Ale później... Jeśli Emilio powiedział albo zrobił coś, co było zupełnie inaczej zrozumiane na Rakhacie?

Posłuchaj, modlił się John, nie mówię Ci, co masz robić, ale jeśli Emilio w jakiś sposób sam ściągnął na siebie te gwałty, a potem Askama z tego powodu zginęła, to może lepiej nie wyjaśniaj mu niczego, dobrze? To tylko moje zdanie. Sam wiesz, co mogą znieść ludzie, ale myślę, że trochę go przeceniasz. Albo... Pomóż mu zrozumieć, że to miało jakiś sens. Pomóż mu. O to Cię proszę. Po prostu mu pomóż. Jest naprawdę na dnie. Pomóż mu.

Mnie też pomóż, pomyślał.

Sięgnął po różaniec i próbował wyciszyć myśli rytmem znajomej modlitwy. Zamiast tego usłyszał rytmiczne dudnienie: odgłos stóp małego, przerażonego, starzejącego się mężczyzny, przebiegającego dodatkową milę.

28

ŚRODKOWY INBROKAR

2061 czasu ziemskiego

Było już po drugim świcie, kiedy Ha'analę obudziło światło dnia. Odwróciła głowę od blasku i spojrzała na wciąż senną Puskę.

Jak mam to powiedzieć Sofii, napłynęła pierwsza myśl, identyczna z pierwszą myślą wczorajszego i poprzedniego dnia. Usiadła, popatrzyła na siebie i skrzywiła się: jej futro było zmatowiałe i zabłocone, dziąsła napuchnięte, głowa ciężka. Och, Izaaku, pomyślała z rozpaczą, podnosząc się powoli, prostując zeszywniałe członki. W głowie miała pustkę, tak jak pusta była rozciągająca się przed nią równina, pokryta bladą, lawendową mgiełką kwitnących traw i porostów.

– *Sipaj*, Puska, obudź się! – powiedziała półgłosem. Pomacała wokół siebie ogonem i lekko chlasnęła nim Puskę w biodro. Puska machnęła ręką przez sen. – Puska! – zawołała Ha’anala, bardziej natarczywie, nie chcąc poruszyć głową, by nie zgubić zapachu. – On żyje! Czuję jego zapach.

Puska przetoczyła się powoli na nogi i spojrzała w tym kierunku, w którym patrzyła Ha’anala, ale zobaczyła tylko pustą równinę.

– *Sipaj*, Ha’anala – powiedziała zaspianym głosem – nikogo tam nie ma.

– Izaak tam jest – upierała się Ha’anala, pospiesznie strzepując błoto z futra. – To zależy od wiatru, ale ktoś myśli, że on idzie na północ.

Puska pociągnęła nosem i wyczuła tylko owocujący *sintaron* i kępkę słodkich liści obiecującą zupełnie przyzwoite śniadanie.

– *Sipaj*, Ha’anala, czas wracać do domu.

– Możemy go doścignąć...

– Nie.

Ha’anala wzdrygnęła się, spojrzała przez ramię i zobaczyła w twarzy Puski sceptycyzm i żal.

– Nie bój się... – zaczęła.

– Nie boję się – przerwała jej twardo Puska, zbyt zmęczona, by silić się na uprzejmość. – Nie wierzę ci, Ha’analo – dodała i umilkła, zakłopotana. – *Sipaj*, Ha’analo, ktoś myśli, że się mylisz. Jego tu nie ma.

Przez dłuższy czas patrzyły na siebie, jakby były sobie zupełnie obce. Milczenie przerwała Ha’anala.

– Więc dobrze – powiedziała bezbarwnym głosem. – Ktoś pójdzie dalej sam. Powiedz Fii, że ktoś odnajdzie Izaaka, nawet jeśli będzie musiał pójść za nim aż do morza.

Kiedy ucichły kroki oddalającej się Puski, Ha'anała zamknęła oczy i uformowała w myślach wyobrażenie stożka zapachu: był rozrzedzony i szeroki u góry, zwężający się ku podstawie do jakiegoś punktu, którego nie potrafiła dostrzec, ale który mogła odtworzyć na podstawie budowy stożka. Nie dbając o to, że Puska już zrezygnowała, powiedziała na głos: „On gdzieś tutaj jest” i ruszyła za stożkiem tropu.

W ciągu pierwszych paru godzin wiatr igrał z tropem i dwukrotnie musiała zatoczyć łuk, aby go ponownie odnaleźć tuż przy ziemi. Kiedy jednak słońca wspięły się dość wysoko i wiatr ucichł, nabrała już wprawy i wystarczyło przechylić głowę to w jedną, to w drugą stronę, by wymierzyć kąt nachylenia.

Równina nie była tak płaska i pusta, jak się wydawało: żłobiły ją wąskie strumyki po ulewie z poprzedniego dnia. Brzegi wielu z nich porastały krzaki obsypane purpurowymi jagodami, które Izaak jadł, czego była pewna, badając jego odchody. Prawie wciąż dręczył ją głód; wypatrywała więc nad brzegami strumyków, z których od czasu do czasu udawało się jej wyciągnąć jakieś małe zwierzątko, którego nazwy nie знаła. Raz, rozgrzana i brudna, weszła do strumienia i usiadła na jego kamienistym dnie, mając nadzieję, że silny prąd obmyje ją z błota i ochłodzi; kiedy oparła się wygodnie na ogonie, jakieś stworzenie wpłynęło między jej rozpostarte szeroko nogi.

– Manna! – krzyknęła i roześmiała się, unosząc głowę ku słońcom.

Pełno tu było różnych dziwów. Widziała cały świat, od jednego krańca do drugiego, a szóstego dnia wędrówki oglądała najpierw wschód obu słońc, a potem ich zachód i w końcu zrozumiała, dlaczego niebo zmienia barwę. Zdumiewało ją również własne ciało. Przez całe dzieciństwo żyła wśród bujnej roślinności i nigdy przedtem nie zaznała owej szczególnej radości, jaką sprawia miarowy, naturalny krok. Teraz śpiewał jej rytm własnych kroków: radość wytrwałej wędrówki, cichej przestrzeni, celu. Wpadłszy w płynny kłus, z ogonem płasko ułożonym nad ziemią, po raz pierwszy poznała równowagę i szybkość, precyzję i wdzięk, ale nie odczuwała potrzeby pośpiechu. Była coraz bliżej Izaaka, wiedziała, że on żyje i ma się dobrze.

Była pewna, że jest szczęśliwy tak jak ona.

Pozwoliła sobie nawet na dzień odpoczynku nad głębokim korytem strumienia, gdzie odkryła mnóstwo wygrzebanych w mule gniazd pełnych jakichś małych zwierzątek, które głupi rodzice pozostawili bez opieki. Tego wieczoru zasypiała z pełnym brzuchem, uspokojona wiarą w to, że Izaak jest blisko i że wytropi go nawet po deszczu. Następnego ranka obudziła się zesztywniała, ale w radosnym nastroju.

Zobaczyła go około południa. Stał na skraju niskiej skarpy, gdzie równina załamywała się, obniżając na wschód na wysokość dojrzałego drzewa *w'ralii*. Izaak nic nie powiedział, ale kiedy zatrzymała się jakieś sześćdziesiąt kroków od niego, rozłożył szeroko ramiona, jakby obejmował całą pustą przestrzeń wokół siebie – nie kręcąc się w kółko, by zamazać obraz świata, ale obracając się powoli w ekstazie, aby to wszystko zobaczyć i wchłonąć. Kiedy zrobił pełny obrót, ich spojrzenia się spotkały.

– Klarowność! – krzyknął.

– Tak! – zawołała w uniesieniu, przez chwilę wiedząc, co jest ukryte w jego dziwnym, tajemnym sercu. – Klarowność!

Zakołysał się lekko: nagi, wysoki i pozbawiony ogona. Ha’ana też spojrziała na rozległe niebo.

– Czerwone nie szkodzi – oświadczył chełpliwie, nie wiedząc, jak bardzo się myli. Po jakimś czasie zaczął mrugać oczami i drżeć. – Nie chcę wracać.

– Wiem, Izaaku – odpowiedziała Ha’ana, idąc ku niemu. Zapomniała o Sofii i Runach, całe jej życie zbladło i zaginęło. – Rozumiem.

Milczał, co nie było niczym nowym, ale kiedy Ha’ana podeszła bliżej, też oniemiała. Jego skóra miała barwę krwi, cały był pokryty pęcherzami i napuchnięty. Co mu się stało, myślała gorączkowo, stuliwszy uszy. Usiadł nagle przy dwu rzeczach, jakie posiadał, przy laptopie i swojej wystrzępionej niebieskiej chuście, ale nie zarzucił jej na głowę, jak zwykle robił nawet w puszczy, gdzie baldachim liści chronił go przed promieniami słońc.

– To... szys...ko – mruknął bełkotliwie.

Nie wiedząc, co dalej robić, uległa impulsowi, by go zapytać:

– *Sipaj*, Izaak, nie jesteś głodny?

I natychmiast przeklęła się w duchu za te całkowicie zbyteczne słowa.

– Posłuchaj – powiedział, dygocąc; widziała napięcie czające się w jego chudym, prawie nieowłosionym ciele. – Muzyka. – Nie poruszyła się, sparaliżowana widokiem tych otwartych wrzodów, porażona odorem gnicia. – Słuchaj! – powtórzył z naciskiem.

Znieruchomiała i postawiła uszy. Nad sobą słyszała powolny łopot skrzydeł jakiegoś wielkiego stworzenia, wspinającego się ku prądowi cieplnemu, który mógłby je wynieść poza krawędź skarpy. Niżej, u podstawy stromizny, grzmot wody i seria pełnych niepokoju wrzasków, rozpływających się w komicznych kwikach i pochrząki waniach. Nazachód śpiewne pogwizdywanie jakiegoś stada pasącego się na równinie, z głowami tuż przy ziemi. W pobliżu ciche skrobania, świst wiatru w trawie. Ciche trzaski, które przyciągnęły jej spojrzenie: dojrzałe ziarna pękające pod wpływem jakiegoś krytycznego wzrostu temperatury lub wilgotności, który rozsadził ich komórki.

– Muzyka Boga – szepnęła, słysząc głośnie bicie własnego serca.

– Nie – powiedział Izaak. – Posłuchaj. Tu są inni, którzy śpiewają.

Inni! Dopiero teraz usłyszała tony wieczornego śpiewu, słabe i odległe, przynoszone urywkami przez kapryśny wiatr. Inni, którzy śpiewają. *Djanada* – Jana’atowie!

Izaak wyciągnął chude ręce, by zrównoważyć zdradliwy ciężar głowy i ramion, który teraz nagle odczuł, i pochylił się nad krawędzią skarpy. Widząc go w takim uniesieniu, nie dbającego o poranioną skórę, Ha’anala podpełzła do skraju urwiska, wsłuchując się w znajomą melodię, wyśpiewywaną niezbyt pewnie przez dwa głosy. Ich harmonia była obca, ale piękna. Mieszane zbiorowisko, pomyślała, spoglądając na nich z góry. Jana’atowie i Runowie, ale w zadziwiająco różnym wieku i różnej płci. Dzieci Jana’atów niesione na plecach nie przez własnych ojców, ale przez samice Runów, które zbiły się w ciasną grupę, tuląc uszy, by nie słyszeć śpiewu. Kilka zawoalowanych postaci w szatach. Potem wyłowiła z tłumu śpiewaków: mężczyznę w metalowym stroju i trochę od niej młodszego chłopca.

Żal nadszedł jak oberwanie chmury: chciała tu być tylko z Izaakiem, jak dwa samotne kamienie, bok przy boku. Chciała zadawać mu jedno pytanie na dzień i mieć cały obrót świata na rozważenie jego odpowiedzi. Chciała wiedzieć, co słyszał, kiedy wędrował. Czy w jego nogach też było coś w rodzaju poezji? Czy wiatr ryczał bez słów w jego małych uszach?

Jeszcze nie, pomyślała, zaniepokojona. Nie chcę żadnych innych!

Ta sama myśl przeszła właśnie przez głowę Shetriemu Laaksowi, który poczuł zapach samicy i spojrzał w górę dostatecznie szybko, by uchwycić wzrokiem głowę jeszcze jednej uciekinierki patrzącej na niego ze szczytu uskoku dzielącego step.

Już dosyć, pomyślał, zwracając się do jakiegokolwiek bóstwa, które mogło go usłyszeć. Nie chcę żadnych innych!

Jakby w odpowiedzi na jego modlitwę, głowa dziewczyny znikła. Mimo to Shetri Laaks był tak wyprowadzony z równowagi jej nagłym pojawieniem się, że zająknął się w ostatnim wersie wieczornej pieśni, co wywołało jeszcze jeden bezczelny chichot jego siostrzeńca Athaansiego.

Zapragnął mu wykrzyczeć prosto w twarz: Ja tego wszystkiego nie chciałem, ty nadęty młokosie!

Zabierz sobie tę przeklętą zbroję i moją upartą siostrę, i te żalose pienia, idź sam i niech Sti zatańczy na twoich kościach!

Do dzisiejszego wieczoru Shetri Laaks odśpiewał wieczorną pieśń już dziesięć razy.

Nawiasem mówiąc, nie była to dokładna liczba dni, przez które prowadził na północ swoją gromadkę kobiet i dzieci.

Bez względu na to, co sobie myślał jego żaloszny młody siostrzeniec, Shetri Laaks nigdy nie miał wyższych aspiracji. Chciał po prostu wieść spokojne życie aptekarza specjalizującego się w kanonie Sti. Dopóki któryś z czeladników nie poinformował go, że u wrót pojawiła się jego siostra Ta'ana Laaks u Erat, druga w kolejności narodzin, nie obchodziła go rewolta na południu, a już z pewnością nie spodziewał się, że zamieszki wpłyną najego los.

Adepci tacy jak Shetri wiedli proste życie, zaopatrywani regularnie przez swoje rodziny, uzupełniając czasami swoje zapasy ofiarami od tych, którzy mieli nadzieję, że ich dolegliwości zostaną uznane za niedziedziczne albo że ich obrażenia okażą się na tyle niewielkie, iż można je będzie wyleczyć bez łamania prawa. Od czasu do czasu pojawiała się jakaś wdowa, by kupić prawo przygotowania się do pogodnej śmierci poprzez uczestniczenie w wodnym obrzędku. Poza tymi rzadkimi przypadkami adeptów pozostawiano w spokoju, co bardzo odpowiadało Shetriemu.

– Nasz brat Nra'il poległ na wojnie – poinformowała go Ta'ana bez żadnego wstępu, kiedy odwiedził ją w chacie dla gości dziesięć dni temu. – Wszystkich jego domowników wymordowano. Mój mąż też nie żyje.

Shetri wpatrywał się w nią tępo przez jakiś czas, z nadzieją, że siostra i jej świta okażą się niezwykle realistyczną halucynacją. Pomyślał: Po co mi to mówisz? Idź sobie.

– Nie mogę podróżować sama – oświadczyła Ta'ana, choć przywędrowała aż tu i dotąd nie towarzyszył jej żaden dorosły krewny. – Północ jest bezpieczna. Musisz mnie tam zaprowadzić, to twój obowiązek.

– To niemożliwe – mruknął, z trudem wydobywając głos.

Pokazał jej pazury poplamione pigmentem po obrzędku, z powodu którego Ta'ana wyrzuciła go z domu. Całkiem niedawno opanował już cały kanon, a jego organizm jeszcze nie uodpornił się na substancje wdychane podczas obrzędku wodnego.

– Narkotyki będą działały przez wiele dni – powiedział jej, mrugając powiekami.

Zalatywało od niej dymem i miała na sobie brudny woal, opadający aż do stóp, przeszywany srebrną nicią i ozdobiony na dole krzaciastym wzorem, który w oczach Shetrieego zdawał się falować.

– Mam zakłócenia wizji – oznajmił.

– To twój obowiązek – powtórzyła.

– A co z obowiązkiem brata twojego męża?

– Nie żyje – odpowiedziała, nie obarczając go zbędnymi szczegółami, a siebie koniecznością opowiadania o nich: jej spokój był bardzo kruchy. – Jesteś teraz regentem mojego syna. Poza tobą nie ma nikogo. Zbroja należy do ciebie, do czasu, gdy Athaansi zostanie przeszkolony.

– Jestem już duży – prychnął Athaansi z zajadłością piętnastolatka. – To obraza. Pokonam cię, wuju!

Ta'ana okręciła się w miejscu i szturchnęła chłopca, wprawiając tym w oszołomienie wszystkich troje: siebie, syna i wuja. Athaansi zadygotał, westchnął głośno i zaczął szlochać.

– Panuj nad sobą – rozkazała Ta'ana, odzyskując mowę. – Jeśli się uspokoisz, inni dadzą ci spokój. Idź i posiedź ze swoją siostrą.

Potem jeszcze bardziej zgorszyła adeptów, którzy przyglądali się temu wszystkiemu z wymaganej przez uprzejmość odległości, podnosząc woal obiema rękami, by spojrzeć swemu bratu prosto w oczy.

– Skup się! – warknęła. – Czy sądzisz, że opuściłabym moje mury, gdyby pozostał przy życiu ktoś, kto broniłby mojej czci? Jesteś regentem, Shetri – powiedziała tonem, który musiał uznać za stanowczy. – Zbroja jest na wozie.

Musiał więc zdjąć swoją prostą szarą suknię i przypomnieć sobie umiejętności, których się uczył podczas szkolenia wojskowego jako młody resztar niskiej rangi. Może to było działanie narkotyku, a może prawdziwe zapomnienie, ale nie miał pojęcia, jak nałożyć zbroję. Athaansi, upokorzony, z zaczerwienionymi oczami, znalazł pociechę w pogardzie, z jaką pokazał wujowi, gdzie jest góra nagolenników, co wywołało nieme rozbawienie na twarzy ruńskiego służącego, który zapinał sprzączki.

– Musimy iść pieszo. Załóż wysokie buty – powiedziała Ta’ana, kiedy mozolił się z napierśnikiem. Spławne rzeki na południe od Mo’arlu były teraz pod kontrolą ruńskich rebeliantów. – I zabierz maści na oparzenia.

Był zbyt zamroczony, by się z nią sprzeczać, by jej dowodzić, że przywykł do chodzenia boso, wyprawiając się codziennie na zbieranie psychotropowych ziół i minerałów niezbędnych do sporządzania barwników; nawet nie pomyślał, by zapytać, kto jest poparzony.

Przejrzyste, barwne otoczki wciąż pulsowały wokół każdego obiektu, kiedy Shetri Laaks rozpoczęła wędrówkę na północ, formalnie sprawując władzę nad domownikami swojej siostry, a w rzeczywistości słuchając wskazówek ruńskiej służącej, która wiodła mały orszak. To farsa, powtarzał sobie przez cały pierwszy dzień wędrówki. To jest farsa.

Dopiero pod koniec drugiego dnia zobaczył wystarczająco dużo, by uznać lakoniczne męstwo swojej starszej siostry, ponieważ dowiedział się, dlaczego kazała mu zabrać maści.

Ta'ana opuściła swoje płonące domostwo w ostatniej chwili, zbierając służbę i organizując uporządkowany odwrót ze stanowczością zrodzoną z rozpacz. Spalone zostało całe miasto – nawet dzielnice Runów, których sympatię Ta'ana zdobyła i podtrzymywała, przewidując dzień, w którym wojna i ją dopadnie. Ona i jej dzieci przeżyły tylko dlatego, że ruńska służba wywiozła ich potajemnie z płonącego domostwa Laaksów w wozie z podwójnym dnem – już dawno przygotowanym na taką noc – wyładowanym niby łupami, a w rzeczywistości prowiantem i najcenniejszymi dobrami rodzinnymi, w tym pogiętą i poczerniałą zbroją Nra'ila.

Ledwo widoczny szlak, który znała służąca, wiódł w pobliżu kilku innych dymiących miasteczek. Nie zobaczyli ani jednego żywego Jana'aty powyżej szesnastu lat; od czasu do czasu napotykali płaczące dziecko albo oszołomioną kobietę wędrującą przed siebie. Niektórych nie udawało się już uratować; tym Shetri wyprawiał szybki pogrzeb, używając węgielków z obozowego ogniska do rozpalania żałośnie nieskutecznych stosów. Inne leczył z oparzeń, podobnie jak swoją siostrę, a Ta'ana włączała je do swojego wędrownego domostwa, nie dbając o ich rodowód lub kolejność narodzin.

– Nie starczy nam żywności – mówił Shetri za każdym razem.

– Nie umrzemy z głodu – odpowiadała Ta'ana. – Są gorsze rzeczy.

Posuwali się coraz wolniej i żywności zaczynało brakować. W nocy budziły ich krzyki tych, którym przyśniły się płomienie, rano wyczerpanie brało górę nad strachem i określało tempo marszu. Piątego dnia Shetriemu rozjaśniło się w głowie na tyle, by zdał sobie sprawę, że może zarznąć którąś z Runek. Dziewiątego dnia zostawili wóz i odtąd każdy, jednako pan i służący, niósł dziecko, prowiant lub tobolek z niezbędnymi rzeczami.

Teraz, po tylu dniach wędrówki, wciąż jeszcze daleko od bezpiecznej północy, równowaga liczbowa między Jana'atami i Runami uległa niebezpiecznemu zachwianiu. Im więcej uchodźców przyjmowała Ta'ana, tym wolniej szli i tym bliżsi byli konieczności uboju; poprzedniej nocy znowu uciekło dwóch ruńskich służących.

W ten sposób nigdy nie dojdziemy do Inbrokaru, myślał Shetri, spoglądając na skarpe, gdzie ukrywała się nowa dziewczyna. Odwrócił się do siostry z nadzieją, że jej nie zauważyła, ale Ta'ana wpatrywała się już w szczyt urwiska, odrzuciwszy woal i postawiwszy uszy.

– Zabierz ją – rozkazała.

– Zaraz zrobi się ciemno!

– Więc lepiej zrób to od razu.

– Zejdź do nas, dziewczyno! – krzyknął, odwracając się w kierunku skarpy.

Nie było odpowiedzi. Shetri zerknął na siostrę, która patrzyła na niego nieubłaganym wzrokiem.

– No dobrze już, dobrze – mruknął, strzygąc uszami na widok służącego, który podszedł, by zdjąć mu zbroję. Ta'ana zdobyła sobie posłuch; Shetri, nieprzywykły do sprawowania władzy, pozostawił to jej.

Uwolniony od ciężaru zbroi, przeszedł przez kamienne koryto potoku, ostrożnie stawiając stopy i starając się nie zwrócić na siebie uwagi pary *cranilów*, posapujących i popiskujących opodal na płycznach, a potem przystanął i spojrział w górę, tam gdzie pokazała się dziewczyna.

Skarpa nie była gładką ścianą. Bloki kamienia osunęły się ku rzece, tworząc coś w rodzaju schodów; tylko na samej górze ustępowały coraz bardziej pionowemu urwisku. Westchnął i zabrał się do mozolnej wspinaczki. Dwukrotnie był już o włos od absurdalnej śmierci, więc trudno się dziwić, że z pasją przeklinał każde stworzenie żyjące na zachód i wschód od rzeki Pon i wszystkich jej dopływów, wzywając wszystkie bóstwa, by zesłały na nie zarazę, kalectwo, znie wagę, biegunkę i świerzb, kiedy w końcu stanął twarzą w twarz z czymś, co mogło być tylko opóźnionym efektem obrządków ku czci Sti.

– Tylko nie spadnij – powiedziała dziewczyna, kiedy w końcu wychylił głowę ponad krawędź szczytu, rozpaczliwie poszukując stopą oparcia, a płucami powietrza.

Przez długą chwilę wpatrywał się, oniemiały, w młodą kobietę, nie tylko nie zawołowaną, ale całkowicie nagą. Zakłopotany nie do opisania, w końcu odwrócił od niej wzrok, a wówczas dostrzegł jakieś zupełnie fantastyczne, prawie nierealne stworzenie, pozbawione nosa i ogona, siedzące na ziemi obok niej.

– Czyjś brat jest chory – powiedziała dziewczyna. Shetri wytrzeszczył na nią oczy, tuląc uszy, i trochę poniewczasie zdał sobie sprawę, że jego stopa traci oparcie. Rozpaczliwie – i całkowicie bez godności – wymachując nią w powietrzu, odzyskał na chwilę równowagę, natrafiwszy na łądygę jakiegoś karłowatego krzaka, wyrastającego poziomo ze szczeliny w skale, i pospiesznie wciągnął się na szczyt skarpy.

– Pani – ledwo wydyszał, leżąc przed nią na brzuchu. – Twój brat? – Dziewczyna patrzyła na niego, jakby nie rozumiała pytania. – Twój brat? – powtórzył w języku ruńskiej służby.

Uniosła podbródek.

Siedzący ze skrzyżowanymi nogami, z przeraźliwie chudymi ramionami, rozstawionymi szeroko jak przypory, jej „brat” musiał zostać obdarty żywcem ze skóry przez jakiegoś niezdarneho łowcę. Teraz jednak Shetri dostrzegł mały nos, który pokryty był ciekącymi pęcherzami, podobnie jak całe ciało tego potwora.

– Już ma dosyć – wyjąkał Shetri, podnosząc się z wysiłkiem. – Ktoś udzieli mu spokoju.

– Nie! – krzyknęła dziewczyna, kiedy Shetri stanął za biednym stworzeniem i uniósł mu podbródek, by rozerwać gardło. Shetri zamarł bez ruchu. Nie była duża, ale wyglądała na taką, która z łatwością przegryzie kark mężczyźnie, a Shetri od wielu lat nie brał udziału w żadnej bójce lub zapasach.

– Odejdź – rozkazała. – Zostaw nas!

Co się dzieje z tymi wszystkimi kobietami, zadał sobie pytanie Shetri. Przez chwilę nie poruszał się, a potem ostrożnie puścił szyję stworzenia i cofnął się.

– Pani, ktoś może pomyśleć tylko o czymś tak niewymownie stosownym jak posłuszeństwo twojej woli – powiedział, siłąc się na wyszukaną uprzejmość wobec tej nagiej, małej suki – ale czymkolwiek jest to stworzenie, nie ulega wątpliwości, że zdycha. Czy chcesz pozwolić, by twój „brat” cierpiał?

Wciąż wpatrywała się w niego rozwścieczonym wzrokiem. Do Shetriego zaczęło docierać, że dziewczyna nie rozumie, co on mówi. Sięgnąwszy pamięcią do czasów, kiedy był w dziecińcu, odnalazł kilka ruńskich słów i powtórzył pytanie, najlepiej jak potrafił.

– Ktoś nie chce, by on cierpiał. Ktoś chce, by on żył – oświadczyła dziewczyna porywczym tonem, który wydał się Shetriemu zupełnie niepotrzebną groźbą.

No cóż, to twój wybór, chciał jej odpowiedzieć Shetri. Zawsze można wybrać albo jedno, albo drugie. Rozejrzał się badawczo i zauważył z pewnym zadowoleniem, że wokół wszystkiego, co niebieskie, włączając w to dziwaczne małe oczy tego „brata”, wciąż utrzymywała się słaba, pulsująca aura. Było to bardzo pocieszające, nawet jeśli miało trwać krótko. Może „brat” wcale nie jest istotą realną? Może nie jest nią również ta dziewczyna... Ale Ta’ana też ją widziała. Shetri westchnął, wyprostował się i odszedł ostrożnie zza pleców tego biednego, odartego ze skóry stworzenia. Stał na skraju urwiska i wychylił się, by spojrzeć na siostrę.

– Co się tam dzieje? – zawołała Ta’ana.

– Może przyjdiesz tu i sama zobaczysz? – odpowiedział Shetri zachęcającym tonem, wyrzekając się już nawet udawania, że on tu ma władzę.

Ta’ana pojawiła się na szczycie w chwilę później, rozebrana do koszuli. Shetri siedział już opodal dziewczyny i tego czegoś, co nazywała swoim bratem, spokojnie nucąc kilka wersów hymnu do Sti. Ku jego uciechu, mina, jaką zrobiła siostra, musiała bardzo przypominać minę, jaką on sam zrobił nieco wcześniej.

Ta’ana poradziła sobie z tą sytuacją z podziwu godną sprawnością gospodyni średniej rangi domostwa, do którego przybyli nieoczekiwani goście.

– Witajcie, czcigodni goście – powiedziała, powstając i zwracając się do dziwacznej pary tak samo, jak witała każdego z uchodźców, których spotkali w drodze na północ. Dziewczyna wpatrywała się w nią czujnie.

– Jeśli uznacie za stosowne, przyłączcie się do moich domowników i wędrujcie dalej pod opieką mojego pana i brata. – A zwracając się do Shetriego, dodała cicho: – Upewnij się, czy potwór żyje.

Nie było to rozsądne żądanie, ale w zamierającym świetle drugiego słońca Shetri Laaks zrobił, co mógł.

A nie mógł zbyt wiele. Zawołał z góry na służebnicę Ta'any i kazał jej przynieść najczystsze prześcieradło, jakie się uda znaleźć, i koszulę od któregoś z uciekinierów.

– Nie – poprawił się, wciąż zmieszany nagością tej dziewczyny – przynieś dwie koszule. Ale jedną namocz w strumieniu. I staraj się, by wszystko było czyste! I przynieś mi wszystkie maści!

Czekając na służącą, obejrzał dokładnie potwora, nie dotykając jego ciała. Kiedy przyszła Runka, on i Ta'ana niewiele już widzieli, ale miał już obmyślony plan działania.

– Przenieś... tę osobę na prześcieradło, ale uważaj na jej skórę – polecił służącej, nie pozostawiając jej czasu na wpadnięcie w panikę. – Potem zbadaj dokładnie jej ciało, kawałek po kawałku, i oczyść je z brudu. Tylko ostrożnie. – Odczekał chwilę, oczekując krzyku, ale stworzenie nie wydało z siebie żadnego dźwięku. – Czy żyje? – zapytał ciemności, nie chcąc marnować swoich cennych leków na trupa.

– Żyje – poinformował go głos służącej.

– Co robisz? – zapytała nowa dziewczyna. – Powiedz tej jednej, co mu robisz?

Służka milczała, niepewna, kto tu rządzi.

– Powiedz jej, dziecko – polecił cicho Shetri i poczekał, aż szczebiot umilknie. – Dobrze, a teraz ostrożnie odwiń srebrną wypukłą szpachelkę... nie dotykaj końca ręką! Rozsmaruj mu szpachelką maść po całym ciele... cienko, bardzo cienko, rozumiesz? Zaokrągloną powierzchnię skieruj do pacjenta... uważaj, żeby nie urazić skóry krawędziami! Kiedy posmarujesz całe ciało, narzuć na niego koszulę. Przez całą noc będziesz dbała, żeby koszula była lekko wilgotna, rozumiesz?

Zrobiwszy wszystko, co było możliwe w tych warunkach, Shetri Laaks zakończył ten długi dzień i poszedł spać z nadzieją, że kiedy się obudzi, spędzi poranek, śmiejąc się z absurdalności snów, które zesłał mu Sti.

Kiedy Izaak otworzył oczy, poranny śpiew zbliżał się do końca, a powietrze przesycił zapach pieczonego mięsa.

– Zabili jakąś Runao – wyszeptala Ha'anala. – Jedzą ją.

– Każdy je – powiedział Izaak, udzielając pozbawionego emocji rozgrzeszenia. I zamknął ponownie oczy.

– Nie, to jest złe – upierała się. – Są inne rzeczy do jedzenia.

Izaak wsłuchiwał się w śpiew. A potem zasnął.

– Spróbuj – powiedziała Ha'anala, kiedy znowu się obudził.

Siedziała obok niego, poza polem jego widzenia, ale wskazała ręką stojącą w pobliżu miseczkę z zupą.

– Każdy je – przypomniwała mu. – Shetri mówi, że mięso doda ci sił. Ktoś sam to złapał. To nie Runao.

Usiadł. Wszystko się zmieniło. Teraz byli na dole. Pod baldachimem z tkaniny przesytej srebrną nicią. Spodobał mu się ten kolor. Było cicho. Runowie trzymali się z dala i rozmawiali przyciszonymi głosami. Miał na sobie coś wilgotnego. Jego skóra połyskiwała czymś śliskim.

Nikt głośno nie mówił, więc mógł to wszystko rozważyć. To coś śliskiego dawało chłód.

– Laptop? – zapytał Ha’ana.

– Ktoś o nim pamiętał.

Zobaczył jej gest kątem oka. Laptop spoczywał na płaskim kamieniu.

Izaak wypił zupę i znowu się położył.

– Zostaniemy z nimi – oświadczył.

– Dopóki nie odzyskasz sił – powiedziała Ha’ana po chwili milczenia.

– Śpiewają – rzekł Izaak i zasnął.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytał Athaansi Erat, pewny, że przypuszczenie jego matki jest niedorzeczne.

Jesteś za młody, aby to pamiętać... Kiedyś Najdonioślejszy gościł w naszym domostwie podczas podróży inspekcyjnej. To straszny pan! Ale kiedy na mnie spojrział... oczy boga! Ona ma takie same – powiedziała Ta’ana Laaks u Erat, upewniwszy się, że w pobliżu nie ma żadnego Runao lub innych uciekinierów.

– Ta dziewczyna pochodzi z Kitherich.

– I wędruje sama z jakimś potworem? – prychnął drwiąco Shetri. – I rozumie tylko *ruanja*? Naga?

Wolał własne przekonanie, że znowu ma halucynacje.

– Zdrajca miał córkę zrodzoną z Jholai Kitheri. To było szesnaście lat temu – powiedziała Ta’ana z naciskiem. – Nie rozumiesz? Ona była wychowywana na południu, przez Runów. A ten potwór bez ogona to pewnie jeden z tych cudzoziemców. – Athaansi otworzył usta, by znowu zapytać, skąd ona to wie. Ta’ana uprzedziła go, mówiąc:

– Słuchałam koncertów Najdonioślejszego! Wiem o... – Zawahała się, jednocześnie zakłopotana i podniecona wspomnieniem tego szczególnego poetyckiego tematu. – Wiem o takich rzeczach.

Jeśli syn odczuł pokusę, by zrobić matce mały wykład na temat zasad przyzwoitości, to szybko zmienił zamiar, widząc ułożenie jej uszu.

– Skoro tak – powiedział – to powinniśmy ich uśmiercić i zanieść ich gruczoły zapachowe do Inbrokaru. Wydano wyrok śmierci na tego bezimiennego i cały jego ród. I na wszystkich cudzoziemców!

Ku jego zaskoczeniu, matka nie wyraziła natychmiast zgody.

– Nie spiesz się przez chwilę, żebyś nie żałował do śmierci – powiedziała po chwili, spoglądając na syna z namysłem. – Przyszło mi do głowy, że potrzebujesz żony, Athaansi.

Shetri Laaks był pewny, że jego siostra już niczym nie może go zadziwić, ale, jak zauważył z zadowoleniem, Athaansi Erat nadal był zdolny do zdumienia.

– Jej? – zaskrzeczał chłopiec. – Ona jest VaHaptą! Ma wyrok śmierci! Jej dzieci...

– Urodzą się w czasie, o którym nic nie wiemy – skończyła za niego matka. – Ona pochodzi z bocznej linii Hlavina Kitheriego, którego sukcesja jeszcze nie została ustanowiona. Kto wie, jakie kompromisy okażą się konieczne? Kitheri pozmieniał już wszystko, a nie byłaby pierwszą siostrzenicą, od której się rozpocznie nowa linia dziedziczenia. Jest mała, ale całkiem niezłe zbudowana, w odpowiednim wieku...

W tym momencie Athaansi przestał się bocyć, a zaczął głośno protestować. Wuj bawił się znakomicie tym spektaklem, rad, że o nim zapomniano, ale jego radość była dość krótka.

– Wygląda na to, że Athaansi jest zbyt wybredny, by pokryć VaHaptę ze starożytnego rodu – powiedziała nieulekła Ta’ana Laaks u Erat i przeniosła swą uwagę z syna na brata, okazując beznamiętny pragmatyzm. – Może ty byś zechciał dać początek nowej linii Laaksów, teraz, kiedy twój brat i jego rodzina nie żyją?

Postawiła uszy, oczekując odpowiedzi.

Nie doczekała się, bo Shetri Laaks był zbyt zajęty sprawdzaniem swojej zdolności do odczuwania zdumienia.

Ta’ana wstała, spoglądając na dwójkę przybyszów, siedzących pod baldachimem, który kazała zrobić ze swojego przetykanego srebrną nicią woalu.

– Jeśli chodzi o tego cudzoziemskiego potwora – oświadczyła – to może się nam przy dać jako zakładnik, jeśli na południu sprawy nie ułożą się po naszej myśli.

Co skutecznie zakończyło dyskusję.

– Ktoś myśli, że twój brat dobrze śpiewa – zagadnął Shetri dziewczynę, kiedy następnego ranka poszli razem na przechadzkę.

Nie powiedział jej, że ona też ma piękny głos. Był wciąż zbyt zaskoczony tym, że ośmieliła się śpiewać hymny, chociaż Ta’ana oznajmiła, iż obecnie toleruje się to na dworze Kitheriego.

Tyle się zmieniło od czasu, kiedy on sam studiował niezmiennie obrządki.

– Ma miły, czysty głos, a jego harmonie są...

– Z innego świata – dokończyła Ha’anala, uśmiechając się, kiedy Shetri rozważał w myśli ten zwrot, a potem zamrugał, zrozumiawszy jego znaczenie. – Izaak uwielbia muzykę ponad wszystko.

– Co śpiewałaś z nim po hymnach?

– Sz’ma, pieśń ludu naszej matki.

Shetri dał sobie spokój z próbą zrozumienia, co dziewczyna miała na myśli, mówiąc o pokrewieństwie. Muzyka była czymś, co rozumiał i potrafił docenić.

– Jest piękna.

– Jak i twoje pieśni. – Milczała przez chwilę. – Ktoś ci dziękuje, że śpiewałeś dla Izaaka.

Hymny na cześć Sti uspokajają serce. Ktoś chciałby rozumieć słowa, ale wystarczy mu melodia.

Shetri zatrzymał się, chcąc jej zadać pytanie, które odczuwał jako kłopotliwe.

– Jak to możliwe, że Izaak nauczył się całego poematu, słysząc go tylko raz? Ktoś studiował przez lata... – Spojrzał w bok, zakłopotany. – Jest specjalistą od pamięci, czy może to normalne wśród... ludu waszej matki?

– Nasza matka mówi, że umysł Izaaka jest zbudowany zupełnie inaczej. Izaak różniłby się od wszystkich nawet wtedy, gdyby był pośród własnego ludu.

– Wybryk genetyczny? – podsunął Shetri, ale dziewczyna nie zrozumiała.

Znała wieczorne hymny, ale trudno się było z nią porozumieć nowoczesnym *K'sarem*, a on sam nie był w stanie przełożyć tego na *ruanja*. Zamilkł i zaczął się przyglądać niskiej roślinności wokół nich, rozpoznając znajome zioła, a potem pochylił się, by zerwać gałązkę balsamu i odetchnąć mocnym zapachem. Rad był z tego chwilowego odwrócenia uwagi od zagadek, które go przytłaczały, a jeszcze bardziej z tego, że dziewczyna nie okazuje jawnej pogardy mężczyźnie, którego interesują rośliny.

Dopóki Ta'ana nie zaproponowała mu tego, Shetri nie rozważał możliwości wzięcia sobie towarzyski, nawet w myślach, nawet po tym, jak się dowiedział o śmierci Nra'ila i jego dziedziców. Ha'anala była młoda, ale on sam czuł się jak nowo narodzony. Zastanawiał się, czy Ta'ana rozmawiała już z dziewczyną. Nie miał pojęcia, jak się załatwia takie rzeczy; był trzeciakiem i nigdy nie sądził, że będzie mu to potrzebne.

– Ha'anala. To dziwne imię – powiedział.

– Ktoś został nazwany imieniem osoby, którą uwielbiał czyjś ojciec.

Pomyślał, że dziewczyna ani nie ujawnia, ani nie ukrywa swojej tożsamości. Może uważa to za oczywiste... w końcu było oczywiste dla Ta'any. A może mu powiedziała, ale niezbyt dokładnie ją zrozumiał, może nie uchwycił jakiejś subtelności języka Runów. Jej dusza była dla niego jak kolorowe szkło: przepuszczające światło, ale nie przezroczyste.

Zmieszał się, kiedy stwierdził, że znowu na nią patrzy; nie pozwoliła się ubrać, nie mówiąc już o woalu, a jej zapach go oszalał. Spojrzał za siebie, na oddalone obozowisko, naprędce rozbite i błotniste po nocnym deszczu. Wkrótce będzie musiał powiedzieć siostrze, by dokonała wyboru między nagością a głodem. Trzeba będzie ubić tego Runao, który ją ubiera. Pozbyła się już woalu, więc podejrzewał, że bez trudu zniesie brak garderobianego.

– Musimy iść dalej, do Inbrokaru – powiedział Ha'anali, kiedy ruszyli dalej. – Ta'ana boi się, że mogą nas nie wpuścić, jeśli zbyt wielu uchodźców znajdzie tam schronienie. Co zrobicie, kiedy Izaak odzyska zdrowie?

Nie odpowiedziała mu wprost.

– To źle zjadać Runów. – Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy. – *Sipaj*, Shetri, gdyby nie to, zostalibyśmy z wami.

Powtórzył sobie jej słowa w myślach, by się upewnić: zwróciła się do niego bezpośrednio, osobiście, a nie jak do jednego z domowników Ta’any. Zanim spotkał Ha’anale, rzadko rozmawiał z samicami nie należącymi do jego rodziny, ale teraz trudno się było mylić co do zapachu Ha’anali. Jej oczy miały barwę ametystu, a patrzyła na niego pozbawionym lęku spojrzeniem; wyobrażał sobie, że tak patrzą na mężczyzn ruńskie kurtyzany.

– Ktoś jest... – Głos uwiązał mu w gardle. A potem, przypominając sobie, że jest regentem i że musi się zachowywać z godnością, zaczął od nowa: – Czyjś siostrzeniec Athaansi...

– Mnie nie interesuje – skończyła jego zdanie Ha’anala. – Twoja siostra znajdzie mu inną żonę. Może dwie. – Shetri cofnął się, wstrząśnięty. – *Sipaj*, Shetri, wkrótce wszystko się zmieni. Już nie będzie więcej żadnych „rozplodników” do stracenia.

Dobrze to wszystko przemyślała. Prawa noga: miłość i zobowiązanie wobec Sofii, i pragnienie osłabienia nieuniknionego smutku. Lewa: potrzeba schronienia i chęć przeżycia, ale na własnych warunkach. Ha’anala nie mogła zwrócić się przeciwko Runom, których kochała i rozumiała, ale nie mogła też przypatrywać się beczynnemu, jak wyniszczają jej gatunek.

Rozwiązanie tego problemu pojawiło się, kiedy obserwowała, jak Ta’ana i jej ruńska służąca pracują ramię w ramię nad przygotowaniem gromadki uciekinierów do dalszej wędrówki. Ramię w ramię, właściwie równe sobie.

Oni sami będą musieli wybrać niektórych spośród nas, pomyślała Ha'anala. I my, *djanada*, zaczniemy wszystko od nowa, kiedy już zostaniemy wybrani.

Wychowana przez Runów, Ha'anala nie chciała niepokoić samca, ale rozmowa z Ta'aną potwierdziła jej najgorsze obawy co do losów wojny. Nie będzie więcej mowy o Izaaku jako o zakładniku – miał otrzymać pełny status jako szwagier.

– *Sipaj*, Shetri – powiedziała – ktoś przedyskutował tę sprawę z Ta'aną i my-ale-nie-ty doszliśmy do zgody. Izaak pragnie pozostać wśród ludu, który śpiewa, a ktoś pragnie mieć ciebie za męża. Twoja siostra się zgadza. – Patrzyła na Shetriego tak długo, aż opuścił oczy; zaczął drżeć na całym ciele, a nią też owładnęło przemożne pragnienie wypełnienia tej pustki, którą odczuła fizycznie po raz pierwszy w życiu. – Brakuje tylko twojej zgody – dodała głosem już nie tak spokojnym, jak sobie życzyła.

Ułożył w myśli kilka zdań w języku *K'san*, a kiedy już był gotowy, przełożył je na *ruanja*.

– Ktoś nie ma doświadczenia – powiedział cicho w języku, w którym źle się czuł i który nie pasował do tego celu. – Ktoś przez całe życie studiował poematy i hymny na cześć Sti. Jest... był mały majątek, dziesięć dni na południe stąd, ale teraz czyjaś siostra mówi, że nic już nie ma.

Wszystko zniszczone. Ktoś nie może obiecać niczego... nawet jedzenia...

Czekała cierpliwie, aż znajdzie odpowiednie słowa, przyzwyczajona do tego przy Izaaku, który potrzebował milczenia, by zebrać myśli. Po jakimś czasie powiedziała:

– Poświęcanie życia na studiowanie poezji jest godne pozazdroszczenia.

Potem odwróciła się i spojrzała na południe, ku rozległym, płaskim równinom, przez które przeszła, i pomyślała o wszystkim, co się wydarzyło od opuszczenia Trucha Sai. Pomyślała o Runach, o tym, jak bardzo ich kocha, o ich namiętym przywiązaniu i nie kończących się rozmowach, o ich cudownej i strasznej potrzebie dotykania, mówienia, obserwowania, troszczenia się. Zamknęła oczy, zapytując się w duchu, czego właściwie pragnie.

Tego, pomyślała. Chcę żyć pośród ludu, który śpiewa, który jest na tyle spokojny, że pozwala Izaakowi myśleć. Chcę być razem z tym nieśmiałym, bojaźliwym Jana’atą, który jest dobry dla Izaaka i który będzie dobrym ojcem. Chcę należeć do kogoś. Chcę czuć się w środku czegoś, a nie na skraju. Chcę mieć dzieci i wnuki. Nie chcę się zestarzeć i umrzeć, wiedząc, że kiedy umrę, już nigdy nie będzie nikogo podobnego do mnie.

– Nie wrócę – usłyszał Shetri, ale powiedziała to w języku, którego nie znał.

Znowu przemówiła i tym razem zrozumiał.

– Czyjś ojciec kiedyś jej powiedział, że lepiej umrzeć, niż żyć źle. Ja mówię: Lepiej żyć dobrze. – Ponownie okazał zakłopotanie, bo musiała użyć mieszaniny języków, by wyrazić taką myśl. Więc powiedziała: – Ktoś może sam wykarmić siebie i jej brata. I ciebie też, dopóki się uczysz.

Zrozumiał, że tak ma być. Przyniosła dziką zwierzynę; upieczona była twarda i łykowata, ale reszta domowników została, przekonana, że takie mięso można uczynić jadalnym, trzeba tylko trochę czasu, by je przygotować.

– Ktoś prosi o przyrzeczenie: nie będziesz jadł Runów.

Wydało mu się błahostką, prawie uzasadnioną, prawie rozsądną, by odrzucić podstawę jana’atańskiej cywilizacji, tylko dlatego, że prosiła go o to ta niezwykła dziewczyna.

– Jak sobie życzysz – odpowiedział, zastanawiając się, czy ta rozmowa też jest halucynacją, i rozpoznając nagle, że to nie wpływ narkotycznych oparów wdychanych w obrządku Sti, ale jej zapach, jej bliskość...

Nie powinien być zaskoczony. Jeśli Ha’ana jest tym kimś, za kogo uważa ją jego siostra, to wychowała się wśród Runów i parzenie się nie mogło być dla niej tajemnicą. Lecz mimo to, tego ranka, pod rozległym niebem, z trzema słońcami jako świadkami, bez weselnych gości, prócz wiatru i ziół, Shetri Laaks uznał, że po raz kolejny musi przesunąć granicę, poza którą już nic go nie zdziwi.

– *Sipaj*, Shetri: nie jest bezpiecznie iść do miasta Inbrokar – powiedziała później, kiedy uznała, że odzyskał słuch. – My-i-ty-też musimy powędrować poza góry Garnu. Ta’ana się zgodziła. Na dalekiej północy są miejsca, w których będziemy bezpieczni.

Oniemiały, okrążony, wydrążony, powalony: gdyby mu powiedziała, że mają zamieszkać na słońcu, wspiąłby się po chmurach i rzucił w ogień.

– Czy wiesz, kim jesteśmy? – zapytała. – Ta jedna i jej brat?

– Tak.

Kiedy odsunęła się od niego, poczuł nagły chłód.

– Jestem nauczycielem – powiedziała. – A mój brat jest posłańcem.

Niewiele z tego zrozumiał, ale rozpoznał ruńskie słowo: wysłannik.

– A co ten posłaniec ma do przekazania? – zapytał, czując, że ona tego oczekuje.

– Odejść – odpowiedziała. – I żyć.

– Musimy zawiadomić matkę – powiedziała Ha’anala Izaakowi. –

Ktoś potrzebuje laptopa.

Izaak uniósł podbródek: pozwolenie.

Za pośrednictwem *Magellana* mogli podsłuchać każdą radiową transmisję na Rakhacie i czerpać z zasobów centralnego komputera pokładowego, ale sami nie mogli zostać zlokalizowani. Systemy *Magellana* odnotowywały tylko, że sygnały z ich laptopa przeszły przez jeden z satelitarnych przekaźników umieszczonych nad kontynentem. Sofia dowiedziałaby się tylko, że wciąż są na kontynencie.

Ha’anala siedziała, długo zastanawiając się nad słowami, którymi mogłaby powiedzieć Sofii, że istnieją dobrzy i przywoici Jana’atowie, że sprawiedliwość może być zabarwiona żądzą zemsty. Wiedziała jednak, co jej lud sądzi o takich, którzy kolaborują z *djanada*; nie pomogą żadne słowne niuanse – i tak uznają to za zdradę.

Czując dziwny ucisk w gardle, Ha’anala wywołała sygnał *Magellana*. Potworność jej decyzji udaremniała przekazanie wiadomości głosem, wystukała więc jednym pazurem krótką wiadomość: „Sofio, moja ukochana matko, opuściliśmy Ogród”.

GIORDANO BRUNO

2070-2073 czasu ziemskiego

– Nie widzę tu żadnego problemu – powiedział Sean Fein, nakładając sobie na talerz trochę gulaszu z garnka stojącego pośrodku stołu. – Daj to na głośniki. Podkręć głośność. Czy ten biedak nie może sobie wyjść na mały spacer?

– Tu nie chodzi o samo wysłuchanie tych pieśni. Tu jest potrzebna dogłębna analiza – odparł Danny Żelazny Koń. – Połowy słów nie rozumiem, ale to, co rozumiem, jest... Zrozum, zrobiłem z tym wszystko, co potrafię! Sandoz musi pomóc.

– Raz już mu powiedziałem, że muzyka się zmieniła, odkąd on tam był. Nie wyraził żadnego zainteresowania – powiedział Joseba, stawiając talerz na stole. – Nawet na Ziemi nie chciał słuchać tych pieśni.

– Bo to był głos Hlavina Kitheriego – zauważył John, przeżuując z namysłem mięso. – Albo kogoś innego, kogo znał. A tu mamy coś zupełnie innego!

– Ale to na pewno styl Kitheriego – stwierdził Carlo, nalewając sobie trochę czerwonego Ferreghini.

– Tak – zgodził się Danny – i jeśli Kitheri tworzy teraz takie kawałki, to cała struktura tego społeczeństwa...

W drzwiach mesy pojawił się Sandoz z hełmem VR pod pachą. Zapadła cisza, jak zwykle, kiedy wchodził, a jeszcze nie wiedziano, w jakim jest nastroju.

– Panowie, Geryon został oswojony – oznajmił. – Udało mi się pomyślnie odbyć symulowany lot wahadłowcem z *Bruna* na powierzchnię Rakhatu i z powrotem.

– Zostanę przeklęty – mruknął Frans Vanderhelst.

– Prawdopodobnie – odpowiedział Sandoz i skłonił się z przesadną dworskością, kiedy rozległy się okrzyki aplauzu i gwizdy.

– Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego sprawiło ci to tyle kłopotu – powiedział John, podchodząc do Emilia z Nikiem, jak sekundanci po zwycięskiej walce, by zdjąć mu rękawice VR i wziąć od niego hełm. – Czy to było trudniejsze od bejsbola?

– Po prostu nie mogłem zobaczyć tego, co muszę zrobić. Jestem mentalnym ślepcem – wyjaśnił Emilio, siadając przy stole. – Dopiero w college’u dowiedziałem się, że inni ludzie potrafią widzieć różne rzeczy w wyobraźni. – Kiwnął głową do Carla, kiedy rozlano wino, by spełnić uroczysty toast. – I nie potrafię czytać map... Kiedy ktoś udzielał mi wskazówek, jak się gdzieś dostać, musiałem to sobie napisać prozą. – Odchylił się wygodnie na krzesło, sprawiając wrażenie rozluźnionego, choć zmęczonego, i uśmiechnął się do Nica, który przyniósł mu z kuchni talerz. – Ale chyba będzie lepiej, jak mnie umieścicie na samym końcu listy potencjalnych pilotów promu...

– Łagodnie mówiąc – mruknął John, siedzący naprzeciw niego, czując, jak mu serce topnieje na widok uśmiechu Emilia. – No, teraz już chyba dasz wszystkim trochę odpocząć, co?

Rozległy się chrząkania i pomruki popierające taką propozycję i po raz pierwszy od startu na pokładzie *Magellana* zapanowało coś w rodzaju wspólnotowej atmosfery, kiedy tak siedzieli razem, jedząc, popijając i rozmawiając. Wszyscy poczuli – choć było to jeszcze bardzo kruche poczucie – że stanowią jedną drużynę, ale nikt nie ośmielił się tego wyrazić; dopiero pod koniec posiłku Nico oświadczył ni stąd, ni zowąd:

– To mi się bardziej podoba.

Zapanowała krótka cisza, jak zwykle pod koniec wspólnego obiadu, ale przerwał ją Danny Żelazny Koń, mówiąc:

– Słuchaj, Sandoz, jest taka jedna nowa pieśń rakhatańska, nad którą pracuję, i...

– Danny, daj spokój! – zaprotestował John. – Żadnych rozmów o interesach!

Ale Emilio się nie najeżył, więc Danny kontynuował swoją myśl.

– Tylko ten jeden kawałek. Jest naprawdę niezwykły. Szczerze mówiąc, Sandoz, uważam, że z politycznego punktu widzenia jest bardzo ważne, co te wersy oznaczają, ale zrobiłem już wszystko, co w mojej mocy, a...

– Danny... – zaczął znowu John.

– John, jeśli będę potrzebował rzecznika, dam ci znać – powiedział Emilio. John wzruszył ramionami: umyвам ręce. – No dobra, Danny – dodał Emilio. – Posłuchajmy tego.

Sama muzyka była równie łatwo rozpoznawalna jak muzyka Mozarta, równie silnie działająca na uczucia, jak muzyka Beethovena. Z wyjątkiem partii barytonu, głosy nie przypominały niczego, co do tej pory nadchodziło z Rakhatu: były to lekko matowe, bogate alty, roziskrzone, wspaniałe dyszkanty, splecione ze sobą w harmoniach, które sprawiły, że wszyscy zaczęli oddychać szybciej. A potem pojedynczy głos: wznoszący się, wznoszący, porywający ich gdzieś...

– To słowo – powiedział Danny z naciskiem, kiedy sopran opadł w chór jak cofająca się fala w ocean. – To jest klucz. To musi być klucz. Znasz je?

Sandoz pokręcił głową i wyciągnął rękę, wysłuchując całego utworu, zanim przemówił.

– Jeszcze raz – powiedział, kiedy się skończyło. A potem:

– Jeszcze raz – po raz trzeci wysłuchał całego utworu. – Nico, podaj mi laptop – poprosił, kiedy nagranie ucichło. – Danny, kiedy to złapaliście?

– W zeszłym tygodniu.

– Zaraz zobaczymy, czy dobrze rozumiem proces, dzięki któremu otrzymaliśmy tę transmisję – powiedział sucho Sandoz, kiedy Nico wyszedł po komputer. – Kiedy te pieśni po raz pierwszy nadano na Rakhacie, zostały automatycznie zarejestrowane przez system *Magellana*, zakodowane, skompresowane i spakowane w plik, prawda? Zatrzymane w pamięci do czasu, i kiedy gwiazdy znalazły się we właściwym położeniu. Wyłowione przez radioteleskopy po czterech latach od wysłania ich przez *Magellana*. Sprzedane jezuitom przez Konsorcjum Kontakt, na pewno po jakimś okresie negocjacji co do ceny. Zbadane i ponownie spakowane. Przesłane do nas... kiedy? Po jakichś dwu latach? A teraz poruszamy się z maksymalną prędkością, tak? – zapytał, spoglądając na Grubego Fransa. – Z tego by wynikało, że do chwili, gdy pakiet do nas dotarł w zeszłym tygodniu, upłynęło więcej lat z powodu efektu względności czasu. Nie mam pojęcia, co to nam daje, ale to są bardzo stare wiadomości, Danny... Ach, *grazie*, Nico.

Przez pewien czas po prostu obserwowali proces, który tak dobrze znali, kiedy Sandoz przebiegał przez różne pliki, szukając podobnych źródłosłów, by potwierdzić lub odrzucić jakąś hipotezę, która tworzyła się w jego umyśle.

– Myślę, że to ma jakiś związek ze źródłowym słowem oznaczającym wszelką zmianę. – *sohraa* – oznajmił w końcu. – Pierwsza sylaba to, oczywiście, wzmacniacz. Termin jest, jak sędzę, poetyckim neologizmem, ale nie znam tej konstrukcji. Równie dobrze może być archaiczna, a nie nowa. Łączy *sohraa* z rdzeniem implikującym wyłanianie się albo uwolnienie: *hramaut*. Słyszałem go tylko raz, kiedy Supaari pokazał mi małe zwierzątko, które wyłaniało się z czegoś w rodzaju poczwarki. – Podniósł oczy i spojrzał na Danny’ego. – Jeśli mam zgadywać, powiedziałbym, że to słowo oznacza emancypację. Prawdopodobnie tematem całego utworu jest radość z zerwania więzów.

Daniel Żelazny Koń przymknął na krótko powieki, jakby się modlił. Wywiązała się ożywiona rozmowa, ale wkrótce przerwał ją Danny.

– Zgadzasz się, że to jest kompozycja Kitheriego? Jego styl, zarówno w słowach, jak i w formie muzycznej? – Sandoz pokiwał głową: To nie podlega wątpliwości. – A głosy? Kto śpiewa? Nie kto. Który gatunek?

– Basy należą z pewnością do Jana’atów męskiego rodzaju. Inne są w znacznie wyższych rejestrach – stwierdził spokojnie Sandoz.

– *Scuzi* – odezwał się nieśmiało Nico. – Co znaczy emancy... Jakie to było słowo?

– Emancypacja – odpowiedział Emilio. – To znaczy „uwolnienie”. Kiedy wyzwala się legalnie niewolników, nazywamy to emancypacją.

– Runowie mają znacznie wyższe głosy, prawda? – zapytał Nico. – Może śpiewają, bo się cieszą z odzyskania wolności.

Żelazny Koń wpatrywał się wciąż w Emilia.

– Sandoz, a jeśli Kitheri wyzwolił Runów?

Po raz pierwszy ośmielił się wypowiedzieć tę myśl na głos. Wszyscy zaczęli się prostować, mrugać oczami, marszczyć brwi, rozważając to, co usłyszeli.

– O Boże, Emilio – zawołał John – jeśli Runowie śpiewają... jeśli tematem tej pieśni jest emancypacja...

– To by zmieniało wszystko – wyszeptał Sean.

– Spóźniłem się – westchnął Carlo.

– Gratuluję, Johnny! – krzyknął Frans Vanderhelst. – Oto twój ukryty sens!

– Sandoz – powiedział Danny ostrożnym tonem – może właśnie dlatego miałeś wrócić...

Sandoz przerwał narastający gwar spekulacji, spoglądając na Danny'ego.

– Nawet gdybyś miał rację, a wątpię w to z różnych powodów: lingwistycznych, politycznych i teologicznych, nie musiałbym lecieć na Rakhat, żeby się o tym dowiedzieć. – Zerknął na zegar z datownikiem, wskazujący czas ziemski. – Mogłem usłyszeć tę muzykę, kiedy transmisje dotarły do Ziemi. To dobre kilka lat temu, prawda? Może gdzieś w pobliżu ósmej rocznicy małżeństwa z Giną – dodał, rzucając chłodne spojrzenie na Carla. Zapadło milczenie.

– Przykro mi, że sprawiam zawód Nicowi i kilku innym romantykom, ale te głosy nie brzmią mi jak głosy Runów. A słowa są w języku *K'san*, co nie obala hipotezy Danny'ego, ale na pewno jej nie wspiera. Alty wciąż używają zaimka osobowego, którego nigdy nie słyszałem.

Nigdy nie zwracała się do mnie bezpośrednio żadna Jana'atanka, nawet wówczas, kiedy należałem do haremu Kitheriego, więc podejrzewam, że to zaimek żeński, a te głosy są głosami dorosłych Jana'atanek. Te najwyższe mogą być głosami dzieci, ale wydaje mi się, że to są jana'atańskie dzieci, nie ruńskie.

– Ale nawet jeśli wyzwolił jana'atańskie kobiety... – zaczął Danny.

– Ojciec Żelazny Koni, zdaje mi się, że ma ojciec lekką skłonność do pobożnych życzeń – powiedział Sandoz z jadowitą uprzejmością, która wszystkich zmroziła. – Na jakiej podstawie, na przykład, zakładasz, że Kitheri byłby skłonny do czegoś takiego? A może podkładasz własne pragnienie samousprawiedliwienia się pod sytuację i osobę, o których nic nie wiesz? – Danny słusznie przyjął to jak policzek. – Gdyby Hlavin Kitheri – ciągnął Sandoz – był w jakiś sposób odpowiedzialny za zmianę statusu takich członków jego gatunku, a trudno mi to sobie wyobrazić, byłbym bardzo szczęśliwy. Ale niczego mu nie wybaczam.

– Nawet mała zmiana może podminować cały system – zauważył Joseba, wciąż przejęty tym pomysłem. – A jeśli coś, co powiedziałeś albo zrobiłeś, wpłynęło na Kitheriego albo na innych Jana’atów? To by oznaczało, że to, co się wydarzyło, jest... – Urwał, bo Sandoz nagle wstał i przeszedł w drugi koniec pomieszczenia.

– Jakie, Josebo? Możliwe do wybaczenia? – zapytał. – Do zniesienia? Tak? Jakieś lepsze?

– To by odkupiło to, co ci zrobiono – powiedział cicho Sean Fein. Prawie się ugiął pod spojrzeniem tych czarnych, twardych jak stal oczu, ale zmusił się do mówienia dalej. – Sandoz, przecież tego się nigdy nie wie! – krzyknął. – A co by się stało, gdyby ta cholerna austriacka komisja przyjęła młodego pana Hitlera do szkoły artystycznej? Malował zupełnie przyzwoite pejzaże i architekturę. Może gdyby dostał swój niezbędny dyplom, losy świata potoczyłyby się inaczej?

– Parę słów, Emilio! – powiedział John nalegającym tonem. – Akt dobroci, miłości albo odwagi...

Sandoz stał nieruchomo z opuszczoną i odwróconą od nich głową.

– No dobrze – powiedział chłodno, podnosząc głowę. – Na użytek tej dyskusji przyjmijmy, że niezamierzone konsekwencje mogą być zarówno dobre, jak i złe. Kłopot w tym, jeśli już chodzi o mój przypadek, że nigdy nie dano mi możliwości wygłoszenia Hlavinowi Kitheriemu lub jego towarzyszom poruszającego kazania o wolności lub bezcenneści dusz jana’atańskich, ruńskich czy ludzkich. – Zamilkł, czekając z zamkniętymi oczami. Był zmęczony, rzecz jasna. – Nie przypominam sobie, żeby mi pozwolono wypowiedzieć choćby jedno słowo. Wylem, krzychałem, to prawda... ale obawiam się, że w tym wyciu nie było słów, które ktokolwiek by rozumiał. – Znowu zamilkł i zaczerpnął głęboko powietrza, a potem wypuścił je powoli, zanim na nich spojrział. – I walczyłem, żeby nie dać się wziąć tym jebakom, ale nie sądzę, by nawet najbardziej miłosierny obserwator uznał to za pokaz męstwa. Zdumiewający pokaz daremności i bezsilności, o tak, to mogło przyjść komuś do głowy.

Jeszcze raz przerwał, oddychając z wysiłkiem.

– Więc, jak widzicie – powiedział w końcu – nie sądzę, by istniał choć strzęp nadziei, że ktokolwiek wyciągnął jakieś budujące wnioski na temat świętości życia albo politycznej wartości wolności podczas mojego... posługiwania kapłańskiego wśród Jana’atów. I proponuję, panowie, abyśmy już nie poruszali tego tematu aż do końca naszej wspólnej podróży.

Wszyscy patrzyli w milczeniu, jak Sandoz opuszcza mesę, a później rozglądali się po sobie, zbierając myśli. Nikt nie zauważył, że Nico, stojący dotąd w kącie, wyszedł również i udał się do swojej kabiny.

Otworzywszy szafkę w ścianie nad swoim biurkiem, Nico poszperał wśród swoich skarbów i znalazł dwa twarde cylindry nierównej wielkości: jedno całe i drugie zjedzone już do połowy genueńskie salami, które tam zachomikował. Położywszy je na biurku, usiadł i z lubością wdychał woń czosnku, oddając się jednocześnie poważnym rozważaniom nad problemem salami. Zastanawiał się, ile mu jeszcze zostało i ile czasu upłynie, zanim będzie mógł kupić nowe i jak się czuł don Emilio, kiedy go tak bardzo bolała głowa. Byłoby marnotrawstwem dawać salami komuś, kto mógłby je zwymiotować. A jednak, pomyślał Nico, prezent zawsze wprowadza w lepszy humor, a don Emilio mógłby zachować salami na później, kiedy ból głowy ustąpi.

Ludzie często śmiali się z Nica, bo zbyt poważnie wszystko traktował. Mówili coś z powagą, więc traktował to poważnie, a później był zakłopotany, kiedy się okazywało, że tylko żartowali.

Rzadko rozpoznawał różnicę między takim rodzajem żartowania a rozsądną mową.

– Nazywamy to ironią – wyjaśnił mu kiedyś don Emilio. – Ironia często polega na tym, że myślimy coś przeciwnego, niż mówimy. Żeby się połapać, na czym polega żart, trzeba być zaskoczonym, a później rozbawionym różnicą między tym, co ktoś naprawdę myśli, a tym, co akurat mówi.

– Więc to jest ironia, kiedy Frans mówi: Nico, bystry z ciebie chłopak?

– No, może i tak, ale on się również z ciebie wyśmiewa – odpowiedział szczerze Sandoz. – Ironią byłoby, gdybyś ty sam mówił, że jesteś bystrym chłopcem, ponieważ uważasz się za głupiego i większość ludzi to samo o tobie sądzi. Ale ty nie jesteś głupi, Nico. Uczysz się powoli, ale skrupulatnie. Kiedy czegoś się uczysz, robisz to naprawdę dobrze i już tego nie zapominasz.

Don Emilio zawsze mówił poważnie, więc przy nim Nico mógł się rozluźnić i nie musiał odnajdywać ukrytych żartów. Nigdy się z niego nie wyśmiewał i poświęcał sporo czasu, żeby go czegoś nauczyć i ułatwić zapamiętanie obcych słów.

Wszystko to, uznał Nico, jest całkowicie warte połowy salami.

Czyjaś wizyta była ostatnią rzeczą, której Sandoz w tej chwili pragnął, ale kiedy odpowiedział na pukanie do drzwi krótkim: „Odwal się!”, nie usłyszał odgłosu oddalających się kroków i w końcu uznał, że ktokolwiek tam jest, zamierza tkwić długo. Westchnął, otworzył drzwi i nie był specjalnie zaskoczony, widząc Nica d’Angeli czekającego w korytarzu.

– *Buon giorno*, Nico – powitał go cierpliwie. – Mówiąc szczerze, wolałbym teraz побыć trochę sam.

– *Buon giorno*, don Emilio – odpowiedział Nico pogodnym tonem. – Obawiam się, że to bardzo ważne.

Emilio westchnął głęboko i prawie się zakrztusił zapachem czosnku, ale cofnął się, zapraszając Nica do środka. Zgodnie ze swoim zwyczajem poszedł w najdalszy kąt kabiny i usiadł na łóżku, opierając się plecami o przegrodę. Nico przysiadł na skraju krzesła, a potem pochylił się, by położyć połówkę salami u stóp koi.

– Chciałbym ci to dać, don Emilio – powiedział bez zbędnych wyjaśnień.

– Dziękuję ci, Nico – odrzekł z powagą Emilio, starając się nie wdychać powietrza za głęboko. – To bardzo ładnie z twojej strony, ale ja już nie jem mięsa...

– Wiem, don Emilio. Don Gianni powiedział mi, że to z powodu jedzenia ruńskich niemowląt. Ale to salami jest ze świnia.

Emilio musiał jednak parsknąć śmiechem.

– Masz rację, Nico. To tylko świnia. Dziękuję ci.

– Głowa trochę mniej cię boli? – zapytał Nico z niepokojem. – Możesz to zachować na później, jeśli miałbyś teraz zwymiotować.

– Dzięki, Nico. Wziąłem jakieś lekarstwo i ból przeszedł, więc nie zwymiotuję.

Powiedział to z przekonaniem, którego wcale nie miał: zapach czosnku przyprawiał go o zawrót głowy. Zorientował się jednak, że dla Nica ten prezent ma bardzo dużą wartość, więc ześliznął się z łóżka i ujął salami obiema rękami, aby zaznaczyć, że to docenia.

– Może zjemy trochę razem? – zapytał. – Masz nóż?

Nico skinął głową i wyciągnął scyzoryk, a potem uśmiechnął się nieśmiało, a to mu się bardzo rzadko zdarzało. Emilio z namaszczeniem, całkiem nieźle zdjął skórę z salami, bo miał dzisiaj wyjątkowo sprawne ręce. Nico wziął od niego salami i operując ostrożnie kciukiem, odkroił dwa cienkie plasterki z samego końca. Emilio przyjął jeden plaster z godnością, którą kiedyś zachowywał dla hostii. To tylko świnia, pomyślał, i po chwili udało mu się jakoś przełknąć mięso.

Nico przeżuwał swój plaster z lubością, cały rozpromieniony, ale nagle przypomniał sobie coś, co od pewnego czasu zamierzał powiedzieć.

– Don Emilio – zaczął – chciałbym uzyskać rozgrzeszenie...

Sandoz potrząsnął głową.

– Nico, musisz pójść do któregoś z księży. Ja już nie mogę spowiadać.

– Nie – powiedział Nico. – Nie do księdza. Tylko ty możesz mnie rozgrzeszyć. Don Emilio, przepraszam, że cię pobiliśmy.

– Odwalałeś tylko swoją robotę – odrzekł z ulgą Emilio.

– To była zła robota. Żałuję, że to zrobiłem.

Żadnego zasłaniania się poleceniem Carla. Żadnych uników. Żadnych usprawiedliwień.

– Nico – powiedział Emilio ze spokojem, którego wymagała sytuacja – przyjmuję twoje przeprosiny. Wybaczam ci, że mnie pobiliś.

Nicowi to nie wystarczyło.

– W obu przypadkach?

– W obu przypadkach.

Nico sprawiał wrażenie, że naprawdę bardzo mu ulżyło.

– Twoją świnkę morską zaniósłem do sióstr. Dzieci obiecały, że będą się nią opiekować.

– To dobrze, Nico – powiedział Emilio po chwili, zdumiony, jak bardzo to go ucieszyło. – Jestem ci za to wdzięczny i za to, że mi powiedziałeś.

Nabrawszy otuchy, Nico zapytał:

– Don Emilio, czy sądzisz, że odwalimy dobrą robotę na tej planecie?

– Nie jestem pewny, Nico. Za pierwszym razem, kiedy tam byłem, bardzo się staraliśmy być dobrymi ludźmi i postępować słusznie, ale wszystko poszło nie tak. Tym razem powody, dla których tam lecimy, nie są... czyste. Ale kto wie? Może mimo wszystko wyjdzie z tego jakieś dobro.

– To by była ironia – zauważył Nico.

Emilio popatrzył na wielkoluda z prawdziwym wzruszeniem.

– Tak, masz rację. To by była ironia. – Zdał sobie sprawę z tego, że jest rad z odwiedzin Nica. – A ty, Nico? Co ty o tym sądzisz?

– Nie jestem pewny, don Emilio – odpowiedział z powagą Nico, naśladowując ton Sandoza i jego słowa, jak to często robił. – Myślę, że powinniśmy poczekać, aż tam się znajdziemy i zobaczymy, co się tam dzieje. To moja rada.

Emilio pokiwał głową.

– Jesteś bardzo rozsądny, Nico.

Ale Nico miał jeszcze coś do powiedzenia.

– Myślę, że ten, kto cię skrzywdził, ten Kitheri, też może żałować, tak jak ja. Myślę, że jego muzyka jest cudowna... lepsza nawet od Verdiego. Ktoś, kto tworzy taką muzykę, nie może być całkiem zły. Tak myślę.

To już było o wiele trudniejsze do zaakceptowania, ale mogło zawierać ziarnko prawdy...

Emilio wstał, dając znać, że to koniec odwiedzin, i choć Nico również wstał, nie poszedł w kierunku drzwi. Łagodnie podniósł prawą rękę Sandoza i pochylił się, żeby ją ucałować.

Emilio próbował wyrwać rękę, ale łagodny uścisk Nica okazał się nie do pokonania.

– Don Emilio – powiedział Nico – mógłbym dla ciebie zabić lub umrzeć.

Emilio, który rozumiał ten język, spojrział w bok i próbował sobie wyobrazić, jak powinien zareagować na taki przejaw niezасłużonego uwielbienia. Jedna tylko odpowiedź wydawała się możliwa, więc zamknęła oczy, by zastanowić się, czy jest w stanie wypowiedzieć to z taką szczerością, na jaką ten człowiek zasługiwał.

– Dziękuję ci, Nico – powiedział w końcu. – Ja też ciebie kocham.
Prawie nie zauważył, kiedy Nico wyszedł.

Miasto Gayjur: 2080 czasu ziemskiego

Wiele lat później Joseba Urizarbarrena przypomniał sobie ten dziecięcy chór – i słowo w języku *K'san* oznaczające emancypację – podczas rozmowy z córką Kanchaya VaKashan.

Kiedy Joseba spotkał ją po raz pierwszy, Puska VaTrucha-Sai była szanowanym członkiem rady starszych w Gayjurze, a jej punkt widzenia często okazywał się bardzo pomocny w odtwarzaniu przez niego i innych księży historii ruńskiej rewolucji.

– Przez wiele lat dochodziło do sporadycznych walk – mówiła mu Puska – ale na początku Fia była zwolenniczką „biernego oporu”. W kilku miastach doszło do strajku generalnego. Wielu miejskich Runów po prostu odeszło, odmawiając poddania się ubojowi.

– Jak na to zareagował rząd? – zapytał Joseba.

– Niszcząc wioski, które dały schronienie miejskim Runom. Potem zaczęli palić pola *rakaru*, rosnącego dziko w środkowej części kontynentu, żeby nas zmusić głodem do uległości. – Zamilkła na chwilę, wspominając te wydarzenia i oceniając je na nowo z perspektywy czasu.

– Równowaga została zachwiana, kiedy Fia uwierzyła, że zaczynają przeciw nam używać broni biologicznej. Fia jako dziecko widziała choroby używane przeciw ludowi, który nazywano Kurdami. Kiedy zaczęła się szerzyć zaraza, myśleliśmy, że Runowie żyjący poza liniami *djanada* zostali zarażeni, a potem potajemnie powysyłani na południe, żeby zarazić wszystkich, którzy będą się z nimi kontaktowali.

– Ale chorobę mogło też spowodować nagłe wymieszanie się różnych grup Runów podczas rebelii – zauważył Joseba. – Wielu zaczęło żyć w zupełnie nowych środowiskach. Zbieracze z błot zaczęli pracować razem z miejskimi specjalistami... I jedni, i drudzy zetknęli się z ogniskami miejscowych chorób, na które nie byli uodpornieni. Zaczęli je roznosić po całym kontynencie...

– Tak – przyznała Puska po chwili. – Tak mówili niektórzy z naszych uczonych. Ale nie było co do tego zgody... – Wyprostowała się, postawiła uszy. – *Djanada* nie dali nam innej możliwości, musieliśmy uderzyć z całą mocą. Ludzie umierali. Całymi tysiącami. Walczyliśmy o życie. – Spojrzała na północ i zmusiła się do bezstronności. – Oni chyba też.

– *Sipaj*, Puska, ktoś się zastanawia, czy sami Jana'atowie się zmienili, czy też zmienił się pogląd Runów na Jana'atów...

Puska rozważała to przez chwilę, a kiedy przemówiła, zaczęła używać angielskich zaimków, jak robiło to teraz wielu Runów, by podkreślić, że jest to ściśle osobista opinia.

– Moje spojrzenie na *djanada* zmieniło się, kiedy opuściłam Trucha Sai. – Zamilkła na chwilę, patrząc w dal. – Kiedy po raz pierwszy ruszyliśmy na Mo’arl... *Sipaj*, Hozei, co my tam zobaczyliśmy! Płakałam co noc przez całą porę roku. Tam były drogi wybrukowane naszymi kośćmi, pokruszonymi i zmieszanymi z zaprawą wapienną... Groble wzdłuż rzek... trzykrotnie przewyższające wzrost kobiety... z samych kości. Buty ze skór naszych zmarłych... w miastach nosili je nawet Runowie! Były tam sklepy... – Spojrzała na Josebę. – Półmiski z językami, półmiski z sercami. Nogi, ręce, stopy, polędwice, podgardla! Combry, ogony, golonki... wszystko pięknie wyłożone. Przychodzili tam ruńscy służący i wybierali mięso dla swoich panów. Jak mogli to wytrzymać? Jak *djanada* mogli żądać od nich czegoś takiego?

– Ktoś nie jest pewny – odpowiedział szczerze Joseba. – Czasami nie ma wyboru. Czasami wybory są nieprzemyślane. Ludzie potrafią się przyzwyczaić do wszystkiego. – Puska wysunęła podbródek, a potem opuściła ogon, nie będąc w stanie wyobrazić sobie, jak funkcjonował ten dawny świat. – A jednak byli i tacy Runowie, którzy pozostali z Jana’atami...

– *Sipaj*, Hozei: Oni byli zdrajcami – oświadczyła z przekonaniem Puska. – Musisz to zrozumieć. Stali się bardzo bogaci, sprzedając ciała martwych żołnierzy Jana’atom, którzy płacili każdą cenę za kawałek mięsa. Ale ci Runowie i tak dostali to, na co zasłużyli: w końcu *djanada* ich również zjedli.

– *Sipaj*, Puska, ktoś przeprasza, że wciąż wypytuje...

– Nie trzeba przepraszać. Ktoś chętnie odpowiada.

– Nawet po wojnie znaleźli się Runowie, którzy nie opuścili Jana’atów. Nawet teraz są.

Obserwował ją uważnie, ale nie zaczęła się kołysać. – Mówią nam, że kochają Jana’atów.

– Czasami tak jest. Runowie to szlachetny lud. Odpłacamy dobrocią za dobroć.

– Uważasz, że źle robią, żyjąc z Jana’atami? Są zdrajcami, jak ci, którzy bogacą się na czarnym rynku?

– Nie zdrajcami. Naiwniakami. W końcu też zostaną zjedzeni. *Djanada* nic na to nie poradzą. Tacy już są. Wina *djanada* leży w ich genach, w ich stylu życia.

Właśnie wtedy przypomniał sobie ten chorał.

– *Sipaj*, Puska, ktoś chce dobrze to zrozumieć. Jesteś cierpliwa i ktoś jest ci wdzięczny. Na północy mówią, że Hlavin Kitheri rozpoczął emancypację Runów...

Po raz pierwszy w ciągu tej długiej rozmowy Puska zachnęła się, wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem.

– Emancypacja! Emancypacja oznaczała: zjemy cię, jak będziesz starszy! *Djanada* mówili nam, że jesteśmy głupcami!

Oto głupota: Hlavin Kitheri stający samotnie do walki z dwustutysięczną armią! Nie chciał żadnych negocjacji, oto prawdziwa głupota! Proponowaliśmy mu warunki, Hozei! Niech uwolni jeńców, a oddamy mu północ. Hlavin Kitheri wybrał walkę. Był szalony... podobnie jak wszyscy, którzy w niego wierzyli.

Teraz patrzyła mu prosto w oczy.

– *Sipaj*, Hozei: Runowie robili dla *djanada* wszystko. Zrobili z nas niewolników i żywili tylko po to, żebyśmy im dobrze służyli. Zanim przyszlście i pokazaliście nam, że możemy sami się wyżywić, robili z nas tępaków, którzy nie potrafili szybko myśleć, którzy godzili się ze swoim niewolnictwem. Słuchaj, Hozei! Nigdy więcej. Tamte czasy przeminęły na zawsze. Już nigdy nie będziemy niewolnikami. Nigdy.

Nie było łatwo z nią dyskutować: Runao uniesiona słusznym gniewem była groźnym przeciwnikiem.

– *Sipaj*, Puska – powiedział, kiedy się uspokoiła – wychowałaś się z Ha’analą. Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś? Ona też była szalona? – Puska odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

– Ktoś rozmyślał o Ha’anali. Nie była szalona. Ale opuściła swój lud, żeby pójść za szalonymi! Więc czyjeś serce wypełniło zakłopotanie. Supaari był jednym z nas, ale Ha’anala już do nas nie wróciła.

– Wiedziałaś, dokąd poszła, kiedy opuściła Trucha Sai?

– Poszła na północ. – Zapadło niezręczne milczenie, a potem Puska dodała: – Ktoś myśli, że mogła zawędrować do Inbrokaru.

– I była tam podczas oblężenia? – Puska uniosła podbródek na znak potwierdzenia. – Puska, czego oczekiwałaś od Ha’anali?

– Że wróci – odpowiedziała stanowczo.

– A kiedy nie wróciła?

W końcu zaczęła się kołysać, a kiedy przemówiła, nie odpowiedziała jemu, lecz własnemu sumieniu.

– *Djanada* pierwsi wszystko zmienili. Nie dali nam wyboru! I *Djanada* sprawili, że nasze serca wypełniła wściekłość. – Nie patrząc na niego, dodała: – Głód jest straszny. Ktoś miał nadzieję, że Ha’anala szybko umrze.

– A kiedy Inbrokar padł, ilu szybko umarło?

Puska VaTrucha-Sai odwróciła wzrok, ale była dzielną kobietą, która raz jeszcze zrezygnowała z bezpieczeństwa stada.

– Byli dla mnie jak trawa – powiedziała. – Nie liczyłam ich.

30

MIASTO INBROKAR

2072 czasu ziemskiego

– Są teraz za nowymi murami – zameldowała Taksayu, a jej słowa odbiły się głuchym echem po kamiennej gardzieli wieży na dziedzińcu ambasady.

– A mój pan i małżonek? – zawołała z dołu Suukmel Chirost u Vaadai, spoglądając na obute stopy Taksayu. – A Najdonioślejszy? Widzisz ich?

– Tam! – zawołała po chwili Taksayu, wskazując ręką na południe, gdzie połyskiwały zbroje. – Najdonioślejszy ma złoty napierśnik i złotą osłonę ogona. I... tak, srebrne naramienniki i płytki na łędźwiach. Ambasador przy jego lewym boku, cały w srebrze. Są na czele, za nimi szlachetnie urodzeni.

– A tamci? – zapytała Suukmel, patrząc na swoją ruńską... No właśnie, kim ona dla mnie jest, pomyślała. Już nie służącą. Często towarzyszką. Może sprzymierzeńcem? W *K'sanie* nie było odpowiedniego słowa. – Ilu ich jest?

Tak wielu, myślała Taksayu, czując zakazany dreszcz dumy. Jest nas tak wielu! Jak to opisać tej kobiecie, która zawsze kryła się poza zasłonami lektyki lub murami swojej posiadłości? Całe życie pani Suukmel polegało na rozpatrywaniu subtelnych struktur władzy i pokrewieństwa, na lawirowaniu w delikatnej sieci jana'atańskiej polityki, ale to, co Taksayu teraz widziała, nie było abstrakcją. To była rzeczywista potęga.

– Rebelianci są tak liczni jak włosy na ciele – powiedziała. – Jak liście *marhlara*. Pani, trudno ich zliczyć.

– Wchodzę na górę – oświadczyła Suukmel.

Teraz, kiedy zabrakło energii zasilającej system radiowy, miastem rządziły tylko pogłoski i Suukmel łaknęła informacji. Nie zważając na protesty Taksayu, zmusiła się do wspięcia po wewnętrznej spirali schodków, by zobaczyć to na własne oczy, ale kiedy stanęła u boku Runki i uniosła woal, zachwiała się.

– Jesteś chora? – krzyknęła Taksayu, chwytając ją za ramiona w obawie, że jej pani upadnie.

– Nie! Tak! Nie jestem... – Suukmel zarzuciła woal i zamknęła oczy. Barwy wszystkiego, co znajdowało się w odległości nie większej od długości sali bankietowej, zamazywały się w plamy. – Objaśnij mi to – powiedziała, odzyskując spokój. Znowu uniosła woal. – Powiedz mi, co widzę. Wszystko miesza mi się przed oczami.

Taksayu zrobiła, co mogła, wskazując obiekty znane Suukmel ze słyszenia. Budynki wyglądały jak zabawki, a drzewa *a'aja*, podobne do tych, które ocieniały dziedziniec ambasady, wydawały się gałązkami lub sadzonkami albo w ogóle nie można ich było wyłować z tej płątaniny kształtów. Runowie byli plamkami, węzełkami w pozbawionym desenia dywanie. Bezsensowna mieszanina barw i kształtów powodowała u niej mdłości. Po chwili poddała się i wróciła na dół.

To małe kamienne pomieszczenie na parterze wieży było jej ostatnią twierdzą, ostatnim schronieniem, bo cała ambasada pełna była uchodźców. Idąc za przykładem Hlavina Kitheriego, Ma Gurah Vaadai przyjmował ich tyłu, ilu mógł wyżywić, ale to Suukmel musiała żyć na co dzień z konsekwencjami tej wspaniałomyślności. Dokonano uboju wszystkich Runów poza służbą osobistą; ci, którzy pozostali, byli tak obciążeni pracą, iż trudno się było dziwić, że tak wielu uciekło z miasta, by przyłączyć się do rebeliantów. Nawet śmiało reformy Najdonioślejszego nie przygotowały jana'atańskich kobiet do życia pod jednym dachem z obcymi. Nikt już nie wiedział, kto rządzi, kto jest wyższy, a kto niższy rangą. Kłótnie wybuchały raz po raz, zbyt często kończąc się poharatanymi twarzami i krwawiącymi brzuchami...

– To musi być ten cudzoziemiec, Fia! – krzyknęła Taksayu, wyciągając rękę ponad kamiennym obramowaniem wieży.

– Naprawdę? – wydyszała Suukmel, wracając do schodków i spoglądając w górę z naprężonym gardłem. – Jak to wygląda?

– Jest bardzo małe... jak dziecko! Jak to oddycha? Nie ma nosa! I ogona. – Taksayu wzdrygnęła się. – Musi być okaleczone. Włosy ma tylko na części głowy. – Taksayu poczuła obrzydzenie, kiedy pomyślała, że Najdonioślejszy mógł pokryć takie dziwactwo. – To rzeczywiście potwór – powiedziała – jak zawsze powtarzał nasz pan.

– Widzisz tego drugiego? – zawołała Suukmel.

Nikt już nie wymawiał imienia zdrajcy. Istnienie Supaariego VaGayjura zostało wymazane z pamięci, jego cały klan wymordowano dawno temu. Dzisiaj umrze z rąk Hlavina Kitheriego, pomyślała Suukmel. Runowie mówią, że jego córka uciekła, więc zostaje tylko ten potwór, Fia, który nie będzie żył wiecznie. A potem, pomyślała Suukmel, oddamy rebeliantom południe i pozostawimy ich własnemu losowi. Najdonioślejszy zbuduje nowe miasta i zabierze tych wszystkich obcych z naszej posiadłości. Może będziemy biedni i głodni, tak, na pewno, ale jeszcze powróci piękno i cywilizacja, nauka i pieśni...

– Tam! Teraz wystąpił Bezimienny. Jest bez zbroi – dodała Taksayu po chwili, ścisząc głos, żeby nowiny nie rozniosły się wśród tych, którzy nie powinni ich znać. To straszliwa obraza dla Najdonioślejszego, pojawiać się na polu bitwy bez zbroi. To tak, jakby się mówiło: Zbroja nie będzie mi potrzebna.

Zabrzmiał hymn bitewny, grzmiący chór głosów Jana’atów przygotowujących się na śmierć lub zwycięstwo. Zwykle występowali po tym jeden po drugim wojownicy, stosownie do rangi, aby zmierzyć się z wojownikami wystawionymi przez stronę przeciwną. Dzisiaj to przygotowanie było czysto ceremonialne. Był tylko jeden wojownik, który mógł stanąć do boju.

Obie strony uzgodniły, że będzie to pojedynek między dwoma przeciwnikami – między Najdonioślejszym i Bezimiennym – a jego wynik miał być uznany przez wszystkich.

– I będzie po wszystkim – szepnęła Suukmel, opierając się o zimną ścianę wieży.

Starła się nie dostrzegać rozpaczy w tych słowach.

– Suupari, on ma na sobie zbroję – powiedziała Sofia.

– Ale ja nie mam, więc będzie musiał ją zdjąć – odrzekł Suupari; oczy miał twarde jak szaroniebieskie kamyki na dnie spokojnego jeziora.
– Byłoby oznaką tchórzostwa stawać do walki w zbroi, kiedy przeciwnik jej nie ma. Kitheri nie może sobie pozwolić na to, by uznano go za tchórza.

– To bez różnicy – powiedziała z rezygnacją Djalao stojąca obok Sofii. – W zbroi czy bez zbroi, wynik będzie ten sam.

– Nie doszłoby do tego, gdyby pozwolili Runom odejść! – krzyknęła Puska. – Nie mogą zwyciężyć. Dlaczego nie pozwolili Runom odejść?

A potem, posłuszny jakiemuś wewnętrznemu poczuciu czasu, Supaari odwrócił się bez słowa i zaczął zmierzać na pole bitwy.

– Niepotrzebnie się poświęcasz! – zawołała za nim Djalao głosem pełnym gniewu.

Puska zaszlochła głośno, ale Sofia warknęła:

– Nie osłabiaj go!

Patrzyła, jak Supaari schodzi samotnie ze wzgórze, a jego postać zamazywała się coraz bardziej i nie sprawiała tego łyzy, po prostu Sofia była krótkowidzem.

Miał to być pierwszy od czterech pokoleń pojedynek na szczyblu państwowym i trzeba było połączonych wysiłków wszystkich pozostałych jeszcze w Inbrokarze ruńskich specjalistek od ceremoniału, by go godnie zainscenizować. Tym razem dały z siebie wszystko, czując, że to wymarzona sposobność, by godnie zakończyć życie.

Takie kobiety od samego dzieciństwa czerpały radość z widoku swoich panów stosownie ubranych i stosownie przyozdobionych. Misternie splecione warkoczyki musiały spoczywać wdzięcznie na ramionach, klejnoty połyskiwać we właściwych miejscach, osadzone w odpowiedniej oprawie. Największą satysfakcję sprawiało im przeświadczenie, że przygotowały swojego pana na jakieś ważne spotkanie w taki sposób, by nie narazić ani jego, ani osoby, z którą miał się spotkać, na obrazę – chyba że świadomie. Przed wojną każdą z nich wypytywano o radę, czasem całymi godzinami, a kiedy jej udzieliła, przyjmowano ją bez zastrzeżeń. Były żywymi skarbnicami wiedzy o jana'atańskiej genealogii, znając dobrze przeszłe dokonania, obecne zasługi i rangę każdego klanu. Były nieocenione w podpowiadaniu rozwiązań zbędnych konfliktów lub wzniesaniu dyskusji, które ich panowie mogli obrócić na własną korzyść. Często żyły dłużej od innych Runów, bo wyszkolenie ich następczyń wymagało wiele czasu, ale chętnie znosiły udręki i ograniczenia wieku starczego, choć wiedziały, że i tak, kiedy nadejdzie pora, ich twarde, łykowate mięso zostanie zjedzone przez Jana'atów niższej rangi. Ich funkcjonowanie było fundamentem, na którym wspierała się rakhatańska cywilizacja.

Na zatłoczonych ulicach i w zapelnionych uchodźcami posiadłościach ostatnich kilku miast ich wiedza była teraz jeszcze bardziej niezbędna niż kiedykolwiek – tylu było tu obcych, tyle klanów i rodzin stłoczonych razem! Wygłodniali, przerażeni i oszołomieni Jana’atowie łatwo wybuchali gniewem, rozrywając bez ostrzeżenia gardła ruńskim odźwiernym, którzy wzbraniali im wejścia do miasta. Postawiono więc u wrót mistrzynię ceremoniału, by wysłuchiwały opowieści o dawnych przymierzach i koligacjach i decydowały, kto zostanie wpuszczony. Do obrony Inbrokaru wybierały tylko najlepszych Jana’atów, z najstarszych klanów; innych wysyłały dalej na północ, by radzili sobie sami.

Teraz, zerkając przez dolinę na wielotysięczną hordę pobratymców, krzątały się wśród swoich panów, dbając o ich godny wygląd, sprawdzając, czy proporce i insygnia są we właściwych miejscach, ustawiając wojowników zgodnie z ich rangą i przygotowując się, wraz ze swymi panami, do oglądania spektaklu walki. Lecz kiedy ucichł jana’atański hymn bitewny i nadszedł czas, by go odśpiewali przeciwnicy, z ust rebeliantów uleciały pod niebo tylko obelgi, kalając odwieczne harmonie dysonansami powtarzających się, monotonnych krzyków.

Mistrzynię ceremonii zignorowały wrzaskliwe obelgi, rzucane pod ich adresem przez pobratymców zgromadzonych na wzgórzu. Całe życie poświęciły majestatycznemu baletowi rang, godności i szacunku. Ich zawód miał wygasnąć, ale te kobiety pragnęły opuścić królestwo światła i ruchu ze świadomością, że spełniały swój obowiązek do samego końca.

Wewnątrz murów bardziej praktycznie nastawieni do życia Runowie przygotowali się na ten dzień zupełnie inaczej. Robili to już od lat, a i teraz nie zaprzestali przygotowań. Wierność weszła im w krew, a jeśli ich wierność nagradzana była łaskawością, a nawet choćby tylko przyzwoitym traktowaniem, nie widzieli powodu, by porzucić swoje rodziny.

Spoglądali więc na północ i zastanawiali się, czy wysoko w górach śnieg już stopniał, pakowali ukrytą żywność i dzielili się pogłoskami.

- W górach jest bezpiecznie.
- Jest z nimi ten ich cudzoziemiec.
- Nikogo nie wypędzą.

Hlavin Kitheri, trzymając muskularne ramiona z dala od swego napiętego ciała, poczuł błogosławioną lekkość, kiedy zdjęto mu z ramion szatę, ciężką i sztywną od złotych haftów i lśniących klejnotów. Nie był wysoki ani młody, ale często polował i brał udział w zapasach, i teraz oddychał swobodnie, kiedy odpięto mu zbroję i złożono schludnie na ziemi. Nie zwracał uwagi na swoją świtę. Skupił się na kroku, budowie i zapachu przeciwnika idącego ku niemu z południa, uzbrojonego tylko w to, w co ich obu wyposażyła natura: chwytne stopy, maczugowate ręce z ostrymi pazurami, potężne ogony, szczęki zdolne rozerwać przeciwnikowi lub zwierzyńie gardło aż do kręgosłupa.

Nie widzieli się od wielu lat, ale wciąż pamiętał twarz Supaariego. Kitheri zauważył, że jego były szwagier jest wyższy i ma większy zasięg ramion, ale mocno się postarzał. Szczękę pokrywała mu szara sierść, policzki miał zapadnięte – najwidoczniej brakowało mu zębów. I był wychudzony: widać było żebra, a ogon nie prężył się już tak jak dawniej. Prawe kolano nieco sztywne i... niepewność biodra przy każdym ruchu. Mięśnie piersi osłabione długimi bliznami biegnącymi przez lewe ramię.

Zapowiada się nie walka, ale egzekucja, pomyślał Kitheri. Szkoda, bo jesteśmy z tej samej gliny. Obaj próbowaliśmy zmienić świat od gleby po obłoki, a nasze życia od kości do sierści. Ja walczę o przyszłość, o życie dzieci, które dopiero się narodzą. On też walczy o życie dzieci, ale nie o przyszłość, tylko o przeszłość – pragnie się zemścić, odplacić za stare krzywdy, wypłenić ze świata pozostałości dawnej hańby. Żaden z nas nie dożyje skutków tego, czego dokonał, ale element tragedii zawsze sprzyja dobrej poezji... Uśmiechnął się i pomyślał: Kto to wyśpiewa?

Niedługo spadnie deszcz, pomyślał, patrząc na gromadzące się na zachodzie chmury burzowe i wsłuchując w nabrzmiewający mocą hymn bitewny. A potem wiatr powiał od południa, przynosząc szydercze okrzyki Runów. Czy powie coś?, zastanawiał się Kitheri, kiedy Supaari zatrzymał się w niewielkiej odległości od niego. Co ktoś taki może mieć do powiedzenia w takiej chwili?

Prawdopodobnie nic, przecież jest kupcem, nie poetą. I rzeczywiście: Supaari bez słowa ugiął nogi w kolanach, gotów do walki, ale utykanie mówiło wiele o złym stanie jego prawej nogi. Wobec tego Hlavin Kitheri też milczał, zbliżając się do niego giętkim, pełnym świadomego wdzięku krokiem.

W chwili, gdy Najdonioślejszy znalazł się już w jego zasięgu, Supaari przerzucił ciężar całego ciała na lewą nogę i ogon, chwycił Kitheriego za kostkę i błyskawicznie cofnął się, powalając przeciwnika na ziemię. Kitheri zdołał się uwolnić z jego uścisku, a potem jednym, płynnym ruchem przekoziółkował przez głowę i chlasnął ogonem. Supaari zrobił unik, ale cios trafił go poniżej ucha. Siła uderzenia nie była aż tak duża, by go powalić, ale poczuł je boleśnie i cofnął się, by zebrać siły.

Teraz już obaj bardziej ostrożni, krążyli wokół siebie z lekko ugiętymi, rozpostartymi rękami, a ich głośne, chrapliwe oddechy zagłuszały dobiegające z oddali wrzaski i ryki. Supaari bez ostrzeżenia wyrzucił prawą nogę, ale zamiast uderzyć Kitheriego w piersi, wspierając się na ogonie, wykorzystał impet, by ugodzić go poniżej kolana. Był to zręczny atak i w tym momencie mógł rozstrzygnąć walkę na swoją korzyść, gdyby sam zdołał utrzymać równowagę. Stracił przewagę, kiedy obaj runęli na ziemię.

Rad z tego, że walka nie okazała się bezładną wymianą ciosów, jak się obawiał, Najdonioślejszy przetoczył się na grzbiet i błyskawicznie powstał, szczerząc zęby w uśmiechu.

Z niebiańskich, fioletowych oczu promieniował groźny spokój, ciało było całkowicie posłuszne jego woli.

– Jesteś lepszy, niż się spodziewałem – powiedział swemu byłemu szwagrowi bez cienia ironii. – To ci nie pomoże, ale umrzesz z godnością.

Jedyną odpowiedzią był ostry, pouczający zapach wściekłości, a następny atak okazał się już bardziej skuteczny. Wspierając się na ogonie, Supaari wystrzelił obie chwytne stopy, zamykając w stalowym uścisku ręce Kitheriego. Mimo wysiłków Najdonioślejszy nie zdołał ich wyrwać, więc użył całej siły nóg, bioder i lędźwi. Przewrócili się obaj, napinając mięśnie i dysząc ciężko.

Upadek rozerwał uchwyt Supaariego, a Kitheri natychmiast to wykorzystał, obejmując tułów przeciwnika ramionami.

Supaari odrzucił głowę do tyłu, by dotrzeć gardła Kitheriego zębami. Kitheri ujrzał wyraźnie tuż przed sobą delikatne żyłki w jego oczach i krótką sierść pokrywającą szczęki.

Oczarowany, nawet nie próbował uwolnić się od zębów, które wgryzły się w grubą skórę poniżej jego szyi, ale zamknął oczy, pragnąc całym sobą przeżyć tę wspaniałą chwilę. Czuł urywany, gorący oddech Supaariego, poznał, co jego przeciwnik jadł i pił w ostatnim dniu swego życia.

Wsluchując się w dudnienie ogonów, walących o ziemię w poszukiwaniu punktu oparcia, usłyszał – jak gwałciciel – ciche burczenia i kwilenia wewnątrz ciała ofiary poddawanego ostatecznej, krytycznej próbie.

Potem wygiął się w półksiężyc. Wpierając obie stopy w piersi Supaariego, napiął się i wyprostował ciało jak łuk w chwili zwolnienia cięciwy. Prawie nie odczuł bólu, gdy zęby Supaariego cofnęły się gwałtownie, wyrывая mu z gardła kawał mięsa. Dźwigając się na nogi, znalazł w sobie dość wyszukanej wspaniałomyślności, by wydyszeć:

– Przyjmij moją pierwszą krew, przeciwniku!

I znowu krążyli wokół siebie na ugiętych nogach, i jeszcze trzykrotnie zwierali się w walce, czując w piersiach nieznośny ciężar i głośno łapiąc w nie powietrze; żaden nie był już młody, a pojedynek okazał się trudniejszy i dłuższy, niż obaj sądzili.

Brocząc krwią, czując, że siły go opuszczają, Kitheri zaatakował ponownie, łamiąc rytm kolejności, tym razem wykorzystując krótszy zasięg swoich rąk. Zamarkował niski cios z nogi, z półobrotu, a potem nagle zamienił ten ruch na błyskawiczny wypad, uderzając Supaariego ramieniem w piersi, pomiędzy rękami zgiętymi w obronie. Supaari zareagował natychmiast, prawie automatycznie, zaciskając ręce na plecach Najdonioślejszego. Był to fatalny błąd.

Ich oczy spotkały się po raz ostatni w tym śmiertelnym zwarciu; potem Kitheri błyskawicznie szarpnął pazurami w górę i odskoczył do tyłu. Rozłożywszy ramiona w ekstazie, wyśpiewał triumfalnie do hordy zgromadzonej przed nim na wzgórzu:

– Oto sztuka umierania!

Supaari nie upadł natychmiast ani nie spojrział w dół, by zobaczyć, co mu się stało. Odwrócił się i zrobił kilka kroków, a wówczas wnętrzości wylały mu się z brzucha na ziemię. Przez jedną straszliwą chwilę Sofii wydawało się, że Supaari je przekroczy, ale on tylko zachwiał się i powoli osunął na kolana. Wstrzymała oddech, nie chciała już napełnić płuc powietrzem, nie chciała, by jej życie trwało dalej, skoro jego nie będzie.

– On mnie zabije, Fia – powiedział jej tego ranka, głosem tak chłodnym jak wiatr, który przynosił czystą, przejrzystą woń górskiego śniegu i zapowiedź burz. – Kitheri od dzieciństwa ćwiczył się w sztuce walki. Zabije mnie.

Siedział naprzeciw niej, otoczony armią, którą oboje pomogli stworzyć Djalao, teraz powiększoną o inbrokarskich Runów. Sofia nic nie odpowiedziała, skupiając się na nieodczuwaniu niczego. Była to dawna umiejętność; dzięki niej przetrwała wojnę, która zakończyła jej dzieciństwo. Teraz, kiedy życie znowu pogrążyło się w wojnie, ta umiejętność stała się jej drugą naturą. W pewien sposób Supaari i tak już ją opuścił. Rzadko się widywali w ciągu ostatnich lat, walcząc na różnych frontach. O czym mogli ze sobą rozmawiać, odkąd dzieci odeszły? Tylko o wojnie.

Supaariego wypełniała stopniowo jakaś przedziwna, święta pustka, jakby każdy nowy sukces Runów wydierał w jego duszy jakąś nową przestrzeń, jakby ich powodzenia i kompetencje uzmysłowiły mu całkowitą zbędność własnego gatunku.

– Oni nas już nie potrzebują – powiedział jej kiedyś z jakąś ulotną satysfakcją. – Może nigdy nas nie potrzebowali.

Kiedy więc Supaari oznajmił, że umrze, Sofia po prostu podniosła się na kolana i wyciągnęła do niego ramiona. Pochylił się ku niej i oparł czoło na jej piersiach.

– On mnie zabije – powtórzył, tak cicho, że bardziej odczuła ten głos w piersiach, niż dosłyszała – ale nie sprawię mojemu ludowi zawodu, umrę z honorem.

Teraz, wpatrując się z oddali w to rozerwane, wypatroszone ciało, Sofia powiedziała:

– Dobrze walczyłeś.

Unosząc twarz ku skłębionym chmurom, usłyszała pierwsze krople, a poczuła je na skórze dopiero po chwili, kiedy ich spokojną pieśń zagłuszyły wycia i wrzaski ruńskich żołnierzy dających upust swojej rozpaczycy, swojemu poczuciu straszliwego zawodu, swojej bezsilnej wściekłości na tych przeklętych, upartych *djanada*, którzy wciąż ośmielali się odmawiać Runom władzy, potęgi i sprawiedliwości.

Uzbrojona piechota zwała się w dół po zboczach wzgórz, omijając Sofię jak rzeka skałę, wypełniając równinę, a potem wlewając się do miasta przez główną bramę. Mięso zbuntowane, mięso urągające swoim panom, mięso walczące, pomyślała Sofia. Mięso wołające pełnym głosem.

Stała tak długo, patrząc na to wszystko, a później sama zaczęła schodzić po stratowanym zboczach, czując w nozdrzach ostry zapach zmiażdżonych roślin, słysząc sporadyczne eksplozje i krzyki przerażenia i triumfu, zagłuszane rykiem wiatru i płomieni, zbyt potężnych, by je mógł ugasić deszcz.

Ciała Supaarię i Kitheriego leżały obok siebie pośrodku równiny, zmiażdżone stopami hordy: zjednoczone w śmierci.

Była za słaba, by wyprostować Supaariemu członki i nie mogła się przemóc, by wepchnąć wnętrzności do brzucha, więc dała sobie z tym spokój. Usiadła przy jego głowie i zaczęła gładzić aksamitne futro na jego policzkach, wyczuwając, jak ciało stygnie. Spłacała straszliwy dług miłości.

– Chcę umrzeć – powtórzyła Suukmel z tępyim uporem, kiedy Taksayu ciągnęła ją dalej. – Pozwól mi umrzeć.

– Nie – odpowiedziała jej po raz kolejny ruńska przyjaciółka. – Pomyśl o dzieciach.

– Lepiej umrzeć.

Lecz Taksayu i inne Runki nie ustępowały, okrutne w swoim pragnieniu zaprowadzenia garstki uciekinierów w jakieś bezpieczne miejsce. Każda niosła jakieś jana'atańskie niemowlę, wlokła za sobą dziecko lub popychała jakąś kobietę, więc Suukmel szła dalej, tępo stawiając stopę za stopą, krok za krokiem, jak bicie serca, które nie chce przestać bić, aż zaczęło zamierać światło i jej ciało, nieprzywykłe do takich trudów, a wówczas osunęła się na ziemię. Ulga była krótka. W jej pole widzenia wkroczyły miękkie, dziecięce pantofle, postrzępione i zakrwawione po wielu godzinach marszu po kamienistym gruncie. Otępiała ze zmęczenia, Suukmel spojrzała w górę i zobaczyła kamienną twarz swojego pasierba, Rukuei, pierworodnego syna Najdonioślejszego, który zaledwie kilka godzin temu skończył dwanaście lat.

Rukuei, którego twarde, fioletowe oczy widziały, jak horda rozrywa na strzępy ciało czterdziestego ósmego Najdonioślejszego, który na zawsze zachowa w pamięci widok płonącego miasta i równiny pokrytej poczerniałymi od zaschniętej krwi trupami Jana'atów. Nauczyciele, poeci i bajarze, inżynierowie, geografowie i przyrodnicy, wspaniali atleci, których sam krok był dziełem sztuki. Filozofowie i archiwiści, finansisci i znawcy prawa. Dostojnicy państwowi i muzycy, chłopcy, młodzieńcy i starcy.

Wszyscy pozostawieni na tej posępnej równinie, by ich ciała i rozkładały się powoli w deszczu.

– Mój ojciec darzył cię szacunkiem – powiedział swojej macosze Rukuei. – Bądź jego godna, kobieto. Powstań i żyj dalej.

Więc powstała i powlokła się dalej na północ, pozostawiając na kamieniach szkarłatne ślady, tuż obok śladów dwunastoletniego mężczyzny.

Wiele dni później, już po pierwszym śniegu, zobaczyli potwora. Usadowiony na dwóch kościstych nogach, był całkowicie nagi i pozbawiony owłosienia, prócz brody, grzywy i zagadkowych kępek futra w kilku miejscach. Nad głową trzymał parasol z postrzępionej niebieskiej tkaniny. Nawet na widok czegoś tak dziwnego żaden z uciekinierów nie przemówił. Potwór też milczał. Po prostu stał na ich drodze.

Nagle pojawił się jakiś Jana'ata. Wielu Runów odzyskało zdolność ruchu i zasłoniło swoich podopiecznych własnymi ciałami. Kiedy spostrzegli, że Jana'ata jest nieuzbrojony, a na plecach niesie małe dziecko, popatrzyli po sobie zmieszani, nie wiedząc już, kto jest groźny, a komu można zaufać.

– Jestem Shetri Laaks! – zawołał Jana'ata. – Wy wszyscy jesteście tutaj, bo Runowie postanowili uratować Jana'atom życie. Dlatego ja i moja żona Ha'anala oferujemy wam jedzenie i schronienie do czasu, kiedy wzmocnicie się na tyle, by podjąć następną decyzję. To jest mój szwagier, Izaak. Jak widzicie, jest cudzoziemcem, ale z jego strony nic wam nie grozi. Moja żona wyjaśni wam zasady życia w naszej osadzie. Jeśli będziecie ich przestrzegać, możecie z nami zamieszkać tak jak inni. Wszyscy, Runowie i Jana'atowie.

Gdzieś ze środka ciasno zbitej grupki oszołomionych kobiet rozległ się głos:

– Twój szwagier! Więc ożeniłeś się z cudzoziemką?...

Lecz zanim Shetri odpowiedział, wystąpił Rukuei.

– Widzę twarz tchórza, który żyje, podczas gdy wojownicy gniją! – zawołał. – Czuję smród kogoś, kto żywi się łajnem!

– Och, ale zmarli nie mają ochoty na nic, nawet na łajno – odrzekł Shetri, nie chcąc dać się wciągnąć w bójkę z wyczerpanym młodzikiem. Widział już takie agresywne przerażenie u wielu chłopców, którzy nie mogli przeboleć śmierci ojców, wujów, braci i wstydzili się, że sami żyją.

– Obawiam się, panie, że w walce okazałbym zbyt mało zdecydowania, a jeszcze mniej sprawności. Postanowiłem więc, że nie będę żył kosztem czyjegoś życia – powiedział, spoglądając na Taksayu i inne Runki, zanim jego wzrok ponownie spoczął na chłopcu – nawet własnego. Jeśli uznasz, że moje towarzystwo ci nie odpowiada, kiedy już się najesz i odpoczniesz w moim domostwie, będziesz mógł, odchodząc, uwolnić się od niego.

Zbity z tropu łagodnością odpowiedzi, Rukuei oniemiał. Shetri zauważył również, że chłopiec chwije się ze zmęczenia, a stopy ma poranione. Obraziłby go jednak, oferując mu pomoc, więc po prostu powiedział:

– Pozwólcie, że pokażę wam drogę.

Wtedy wystąpiła kobieta w średnim wieku i dotknęła jego ramienia.

– Jakie śliczne dziecko – powiedziała, starając się, by jej głos nie zadrżał, kiedy spojrzała na niemowlę na plecach Shetriego. – Ma takie cudowne oczy.

– Tak – zgodził się Shetri, dobrze wiedząc, że kobieta zastanawia się nad genealogicznymi możliwościami.

Wzięła oddech, dochodząc do nieuniknionego wniosku.

– To cecha rodzinna, odziedziczona zapewne po matce? – zapytała spoza woalu z wybornej tkaniny, teraz podartego i wystrzępionego.

– Tak – powtórzył Shetri, przygotowując się na jej atak. Ale kobieta przemówiła do chłopca, który przed chwilą prowokował Shetriego.

– Rukuei – powiedziała, odnajdując w sobie ukryte resztki oficjalności – wygląda na to, że bogowie przywieźli cię do... rodziny. Myślę, że matka tego dziecka jest twoją bliską kuzynką poprzez linię twojego ojca. – Wyprostowała się i zwróciła ponownie do Shetriego. – Jestem Suukmel Chirot u Vaadai, a to mój pasierb, Rukuei Kitheri. – Widoczne zdumienie Shetriego pozwoliło jej na chwilę odzyskać godność, ale Suukmel była realistką. – Twoje zaproszenie jest przejawem wielkiej łaskawości. Jesteśmy twoimi dłużnikami, ja i mój pasierb... Nie – poprawiła się, wyciągając rękę do Taksayu. – My wszyscy przyjmujemy z wdzięcznością twoją gościnność, bez względu na warunki, jakie postawisz.

– Nie będzie żadnych długów, pani, ani żadnych warunków – odpowiedział Shetri, odrywając spojrzenie od chłopca, w którym dopiero teraz dostrzegł młodą męską wersję swojej żony. – Raczej pewna umowa, jeśli zgodzicie się pozostać wśród nas.

– Czy oni śpiewają? – zapytał Izaak płaskim, bezbarwnym tonem, tak bardzo kłócącym się z jego czystym śpiewem.

Suukmel spojrzała pytająco na Shetriego.

– Mój szwagier uwielbia muzykę – wyjaśnił krótko Shetri, wiedząc, że jest za bardzo zmęczona, by przyjąć więcej wyjaśnień.

Suukmel jednak odpowiedziała Izaakowi.

– Rukuei zna wiele pieśni. Został wykształcony na poetę. I wojownika – dodała, by zaspokoić jego dumę.

Izaak nie patrzył na nikogo.

– Zostanie – powiedział.

DOLINA N'JARR

2072 czasu ziemskiego

Nie tchórzostwo i nie osłabienie odwiodło Rukueiego od zamiaru powrotu na południe, by dalej walczyć. Było to pytanie retoryczne, zadane sobie samemu głosem zmarłego ojca, nasycone ironią: „I kogóż to wywiesz na pojedynek? Jakąś ruńską hordę?”

Gdyby jego matka należała do pierwszego rzędu albo choćby do drugiego, Rukuei byłby teraz Najdonioślejszym Dziedzicem, ale należała do trzeciego. Czy dziecko konkubiny ma tytuł do walki w imieniu swojego ludu? Nie było jednak żadnych braci przyrodnich ani żadnego wuja, który pełniłby rolę regenta. Kto więc jest Najdonioślejszym?, zapytywał się w duchu, nie widząc już wokół siebie ani wyczerpanych kobiet i dzieci, ani obcego z dzieckiem, ani tego dziwnego cudzoziemca. Nie widział nawet poszarpanych wzgórz i wąwozów, którymi powiodł ich Shetri Laaks.

Poczerniałe kamienie, zbielałe kości: Świat traci barwę, pomyślał Rukuei, nieświadom wielobarwnych żył skalnych przecinających strome ściany labiryntu urwisk, mieniących się ochrą, jaszczurkami i kobaltem w późnym świetle drugiego zachodu. Nie ma już tarlca, nie ma piękna, prawa i muzyki. Pozostał dym. I głód.

Jedno tylko było pewne i tego musiał się trzymać. Był teraz najstarszym mężczyzną w swoim klanie, odpowiedzialnym za podejmowanie decyzji. Suukmel i inne kobiety i dzieci nie mogą iść dalej. Musimy tu pozostać, dopóki pani Suukmel nie odzyska sił do dalszej wędrówki, pomyślał, kiedy wlekli się przez ostatni *cha'ar* do osady obcych.

Nie miał pojęcia, dokąd wówczas pójdą, tak jak nie miał pojęcia, dokąd ich teraz prowadzą.

Utraciwszy już zdolność widzenia, pozwolił się zaprowadzić tym silnym, łagodnym rękoma do miejsca pachnącego obcymi ciałami. Zbyt zmęczony, by coś zjeść, zapadł w głęboki sen, w otchłań nieświadomości, z którego obudził się dopiero po wielu godzinach.

Budził się stopniowo, a oczy otworzył na samym końcu. Po kolei uświadamiał sobie rwący ból w stopach, woń maści spod świeżych opatrunków, bezładną mieszaninę języków, blask dnia przesączający się przez brudną tkaninę poszarpanego namiotu.

Leżąc nieruchomo, słuchał rozmów dochodzących spoza namiotu – odrażającej mieszaniny *K'sanu* i *ruanja* z przypadkowymi elementami kupieckiego malanja i strzępkami dworskiego palkirn'alu. Przerażająca gramatyka i niedbała wymowa wprowadziły go w podły nastrój, pogorszony wściekłym głodem młodego samca, który dopiero zaczynał osiągać wzrost i umięśnienie mężczyzny.

Wzdrygnął się, dostrzegając jakiś ruch po swojej lewej stronie i usiadł, gotów walczyć – z kim, nie miał pojęcia, dlaczego, mógł tylko zgadywać. Świat był pełen wrogów, a wszystko, co dobre; przeminęło. Okazało się jednak, że to tylko kobieca dłoń posuwająca w jego stronę prymitywnie wyrzeźbioną miskę. Zajrzał do niej i ogarnęło go obrzydzenie na widok galaretowatej masy, a potem przesunął powoli wzrok z miski na dłoń, z dłoni na ramię, z ramienia na twarz. Wówczas zamrugał oczami, widząc oczy swojego ojca, żywe i rozbawione.

Kobieta była młoda i w ciąży, naga i niezawołowana.

– Jesteś podobny do mojej córki – powiedziała i usiadła wygodnie na ziemi, nie dbając o to, że jest z nim sama w namiocie.

Jeszcze raz popchnęła miskę w jego stronę. Odwrócił głowę, wykrzywiając usta z obrzydzenia, i ponownie usłyszał jej głos:

– Życia, jakie znałeś, już nie będzie. Musisz się nauczyć żyć w nowy sposób. Przedtem wszystko było ustalone. Teraz musisz dokonywać wyborów. – Mówiła w języku *K'san*, skażonym niewyraźnymi ruńskimi samogłoskami, z drażniącym akcentem ruńskiej służby domowej. – Możesz nienawidzić konieczności dokonywania wyborów, a możesz też nauczyć się je cenić. Każdy wybór ma swoje następstwa, więc musisz wybierać mądrze.

Przyglądał się jej wyzywająco, a ona uśmiechnęła się, co go jeszcze bardziej rozwścieczyło.

– Na razie, rzecz jasna, musisz tylko wybrać między zjedzeniem tej okropnie wyglądającej potrawy a okropnym głodem.

Wiedziała, że sięgnie po miszkę, i rzeczywiście uczynił to, siadając prosto. W końcu był normalnym chłopcem, nieustannie głodnym w bardziej sprzyjających okolicznościach, a teraz konającym z głodu. Podniósł miszkę do ust i natychmiast cofnął, kiedy poczuł nieznaną zapach, a potem ponownie przyłożył krawędź do warg i wypił całą zawartość miski zachłannymi, przypominającymi urywany szloch łykami.

– Dobrze – pochwaliła go, szczerze uradowana.

– To nie jest takie złe, jak myślałem – powiedział, ocierając usta spodem dłoni.

– Zastanów się dobrze nad tym, co przed chwilą powiedziałeś. Z mojego doświadczenia wynika, że jest wiele rzeczy, które nie są tak złe, jak myślałam. – Namiot wypełniła ostra woń gniewu, ale nie powstrzymało to jej od używania dominującego zaimka w jego obecności. – Tutaj każdy z nas dokonuje wyborów, więc każdy musi się nauczyć być panem swojej duszy: ja myślę, ja decyduję. To nie obraża ani ciebie, ani nikogo innego. – Wskazała na pustą miszkę. – Jest lepsze z solą – poinformowała go prozaicznie – ale nie mamy już soli.

– Co to było?

– Jesteś pewny, że chcesz wiedzieć? – zapytała, kładąc szeroko uszy i śmiejąc się do niego oczami jego ojca. Zawahał się, ale wysunął podbródek. – Embriony *kha'ani*.

Przerażony, sam stulił uszy i poczuł, jak pokarm powraca mu do gardła, ale spojrzął ponownie w te oczy i głośno przełknął.

– Dobrze – pochwaliła go ponownie. – Już rozumiesz? Wszystko jest wyborem, nawet to, co jesz. Zwłaszcza to, co jesz! – Wstała i popatrzyła na niego z góry. Jej twarz była szczuplejszą wersją jego twarzy; krew Kitherich w widoczny sposób rządziła tym pokoleniem, podobnie jak ostatnim. – Tutaj Jana’atowie nie jedzą Runów. W tej osadzie ceną życia nie jest czyjaś śmierć. Więc wybieraj. Chcesz żyć kosztem innych czy zaczniesz zaspokajać swoje potrzeby życiowe w inny sposób?

Zostawiła go z tym problemem i wyszła z namiotu.

Był młody i krzepki, a jego poranione stopy wyleczyły się szybciej niż stopy kobiet. Po dwóch dniach był już w stanie opuścić namiot i wejść na najbliższe wzgórze, z którego rozpościerał się widok na szczątki cywilizacji. Przez kilka dni, samotny i milczący, obserwował mieszkańców tej zimnej, górskiej doliny. Potem, zawstydzony ich upokorzeniem i upodleniem, odszukał swoją macochę i długo manifestował przed nią swą wściekłość. Nie przerywała mu, a kiedy wreszcie umilkł, wskazała mu gestem miejsce obok siebie.

– Wiesz, czego mi najbardziej brakuje? – zapytała pogodnie. – Dobrych obyczajów przy stole. – Rukuei wyrwał się z jej objęć i wytrzeszczył na nią oczy. Suukmel uśmiechnęła się i ponownie przyciągnęła go do siebie. – Nikt nie wie, jak się powinno jeść to, co tutaj jemy. Już trzy razy ubrudziłam się jajeczkami *kha’ani*. Jak można zachować godność, jeśli ma się futro powalane białkiem? Trudno się dziwić, że Ha’anala chodzi nago!

Suukmel powiedziała to, aby rozbawić Rukueiego, co jej się udało, ale Taksayu była nieprzejednana.

– Ta osoba chodzi nago, ponieważ nie wie, że można się ubrać – prychnęła ze swego gniazda w kącie. – Wychowana w dziczy przez cudzoziemców i zdziczałych Runów!

Rukuei nie wiedział, co myśleć o tym niezwykłym stwierdzeniu, ale nie przeszkodziło mu to w wyrażeniu swojego zdania.

– To niedopuszczalne, by jana’atańska kobieta chodziła całkiem nie ubrana, bez względu na to, kto i jak ją wychował.

– Ona mówi, że my, Jana’atowie, musimy nauczyć się żyć samodzielnie. Może się okazać, że będziemy musieli być całkowicie niezależni od Runów, chociaż ona sama ma nadzieję, że do tego nie dojdzie, i robi wszystko, by temu zapobiec – powiedziała Suukmel. Teraz i Rukuei, i Taksayu wytrzeszczyli na nią oczy. – Próbuje nauczyć się tkać na nożnym krośnie, ale jeszcze tego nie opanowała, więc wciąż chodzi nago...

– Trudno to sobie wyobrazić! – zawołała Taksayu. – Jana’atka przy krośnie!

– Mówi też, że po prostu nie lubi ubrań – ciągnęła Suukmel – ale wie, że to bardzo nas denerwuje, a nie chce *robić fierno*.

– Co to *jest fierno*? – zapytał Rukuei ze złością, bo ruńskie słowo nagle wyprowadziło go z równowagi. Ze wszystkich różnic, jakie go złościły u tych obcych, skundlenie języka było najgorsze. Jak może cokolwiek mieć sens, skoro słowa, których się używa, są niedokładne i postawione w dowolnym miejscu?

– Zapytałam ją o to – odpowiedziała spokojnie Suukmel.

– *Fierno* znaczy dosłownie „chmura burzowa”, ale użyte w takim zwrocie oznacza ściągnięcie burzy. Robienie zamieszania.

– Rukuei odchrząknął. – To ładne skojarzenie – dodała, dobrze znając swojego pasierba. – Podoba mi się ten zwrot. Przypomina mi mojego pana i małżonka, biegnącego przez dziedziniec po jakimś nudnym spotkaniu... wpadającego w *fierno*...

Urwała, czując, jak pierwsze krople deszczu spadają w jej sercu. Namiot wydał się jej nagle mały i ciasny, zbyt zatłoczony, choć byli z nią tylko Taksayu i Rukuei.

– Może przechadzka dobrze mi zrobi – powiedziała po chwili. Uszy Taksayu opadły, a Rukuei spojrzął na nią powątpiewająco. – Tak – powiedziała Suukmel, pewna, że nie wierzą już ani w jej mądrość, ani w jej władzę. – Tak, chciałabym się przejść.

– W jaki sposób ta Ha’anala może być moją kuzynką? – zapytał Rukuei kilka dni później, kiedy rano posilili się dziwnym, choć dość smacznym pasztetem. – Mój ojciec nie miał brata czy siostry. I w jaki sposób ten cudzoziemiec może być szwagrem Shetrieo?

Suukmel zeszywniała na chwilę.

– Izaak jest dziwny, ale śpiewa cudownie, prawda? – Nie dał się nabrać na zmianę tematu.

– Czy to, o co zapytałem, jest takie kłopotliwe?

– Kłopotliwe?

Wiedziała, że ten dzień kiedyś nadejdzie, ale nigdy nie przewidywała, że stanie się to w takich okolicznościach. Niższe rangą dzieci z haremu Hlavina nie chełpiły się swoim pochodzeniem, ale Rukuei wiedział, kim jest jego ojciec, a może i zdawał sobie sprawę, co Hlavin uczynił, aby zdobyć najwyższy urząd. Czyją hańbę ujawnić najpierw, zastanawiała się Suukmel, ojca czy wuja? Tu nie było niewinnych prócz dzieci zmarłych: Ha’anali i Rukueiego.

– Może zabrałbyś mnie dzisiaj do twojego miejsca na wzgórzu? – zapytała niefrasobliwym tonem, wstając z prymitywnej poduszki pachnącej górkim mchem. Podeszła do otworu wyjściowego, oswajając się ze światłem, patrząc na barwne kształty, które wzięła za wspaniałe zdobione mury miejskie, kiedy po raz pierwszy znalazła się w tej dolinie.

Rukuei przyglądał się jej w milczeniu.

– Gorzej niż kłopotliwe?’ – zapytał w końcu, sam wstając z posłania.

– Wierzę, że w końcu nauczę się widzieć rzeczy z oddali, zamiast je sobie wyobrażać – powiedziała, potwierdzając jego podejrzenia. – Shetri mówi, że to nie mury i blanki, ale góry!

– Mówi, że potrzeba sześciu dni, aby wspiąć się na ich szczyty. Jak daleko jest to twoje miejsce?

– Wystarczająco, żeby poczuć się samotnie.

Wyszli z namiotu i zaczęli wchodzić na zbocze, z mozołem gramoląc się po zdradliwym piargu. Suukmel starała się patrzeć tylko pod nogi, żeby skupić wzrok na czymś, co widziała dokładnie. Co jakiś czas zerkała do góry, próbując ocenić rozmiary różnych obiektów, ale raz po raz zdumiewała się, kiedy jakieś „drzewo” okazywało się krzaczkiem, wyrastającym o wiele bliżej niż myślała albo kiedy jakaś barwna plama, którą brała za płaszcz oddalonej postaci, nagle wlatywała w górę i rozpływała się w powietrzu.

– Rzeczy nie zawsze są tym, czym się wydają – powiedziała na głos, kiedy Rukuei pokazał jej, jak usiąść na zwałonym pniu *tupy*. Kiedy odzyskała oddech, spojrziała przez dolinę, próbując uzgodnić to, co mówiły jej oczy, z tym, co wiedziała o osadzie. – Pięknie wyglądają namioty w tym oświetleniu, prawda? Jak klejnoty w słońcu. Tak sobie myślę... co jest prawdziwe? Piękno namiotów z oddali czy...

– Ohyda, którą skrywają – skończył za nią Rukuei i usiadł obok niej.
– O pani, powiedz mi, co jest tak straszne, że może być usłyszane tylko tutaj?

Z początku sprawiało to wrażenie epickiego poematu o bohaterach i potworach, o więzieniach i ucieczkach, o triumfach i tragediach.

Opowiadała o przytłaczającej jednostajności niezmiennej tradycji, o świecie, w którym liczyło się tylko to, co zostało postanowione przed wieloma pokoleniami. Próbowwała mu uzmysłowić poczucie rezygnacji towarzyszące przeświadczeniu, że nic nie może się zmienić, lęk, że coś się jednak zmieni, strach przed nieznanym i tajemne pragnienie nieznanego.

Poruszony do głębi tą opowieścią, Rukuei dopiero po jakimś czasie zrozumiał, że Bezimiennym był Supaari VaGayjur i że ów zdrajca był jego wujem, który spłodził córkę z Jholaą Kitheri; że owa córka dorosła i nosi teraz drugie dziecko spłodzone przez Shetrieggo Laaksa; że Ha’anała ma oczy jego, Rukueiego, ponieważ mają wspólnego przodka. Jeszcze więcej czasu minęło, zanim do niego dotarło, w jaki sposób Hlavin Kitheri został Najdonioślejszym...

– Czy to znaczy, że mój ojciec ich pozabijał? – zawołał. – Wszystkich wymordował? Swoich krewniaków? – Zerwał się i odszedł parę kroków, przeraźliwie wysoki na tych swoich chudych nogach. Taki młody, pomyślała Suukmel. Taki młody... – Nie wierzę ci! – krzyczał, zataczając ogonem obronny łuk. – To niemożliwe. Nigdy by tego...

– Zrobił to. Zrobił, mój ukochany! Spróbuj zrozumieć! – krzyknęła, równie zrozpaczona jak on. – Twój ojciec był jak błyskawica pośród nocy... cudowny, groźny, niespodziewany i szybki.

Zmusili go do tego! To oni chcieli go zabić! Zamknęli go za murami wyższymi od tych gór – powiedziała, machając ręką ku skalnym urwiskom, które nie w pełni rozumiała. – Skazali go na milczenie. On umierał, Rukuei! Pomyśl o muzyce, którą stworzył dla ciebie i innych dzieci! Posłuchaj jej w sercu!

– Pomyśl, że nie byłoby jej, gdyby...

Rukuei rzucił się na ziemię jak dziecko, którym wciąż był. Omiatający dolinę wiatr huczał mu w uszach, przynosząc skrzekliwe śmiechy dzieci goniących się po osadzie, krzyki kobiet, śpiew mężczyzn, zwykły gwar codziennego życia w wiosce. Głuchy na przebijającą z tych odgłosów radość i beztróskę, ujrzał w oddali to, czego nie mogła zobaczyć Suukmel: brak środków do życia, żalną egzystencję na granicy śmierci, nagą nędzę – rodzaj bytowania, na którego określenie nie było jeszcze słów w żadnym z rakhatańskich języków, bo jeszcze nigdy żaden lud nie musiał żyć w tak żalonych warunkach.

– Jak do tego doszło? – zawołał. – Jak mógł upaść tak nisko?

Suukmel podeszła i uklękła przy jego boku. Odepchnął ją, zawstydzony i wściekły, zerwał się na nogi, wciąż napuchnięte i bolesne, i odszedł, nie patrząc na macochę, bo był synem swojego ojca i czuł, jak narasta w nim żądza mordu i teraz szukał tylko kogoś, kogo będzie mógł zaatakować. Zbiegł po kamienistym zboczach, przewracając się raz po raz, nie zważając na ból i poranione stopy, zmierzając w kierunku, z którego dobiegł głos jego kuzynki. Przy wąskim potoku, płynącym przez środek doliny, zebrała się grupka Runów i Jana'atów, budując z kamieni zapórę – nie wiedział po co – a ponad gwar wzbijał się jej głos, który rozpoznawał z daleka po tym dziwnym, żalonym akcencie.

– Nie, nie podnoś ich! Przetaczaj! – krzyczała do swojego męża, Shetriego, który chwiał się niezdarne, trzymając w ramionach niewielki głaz. – Popatrz na Sofi’alę! Tocz je!

Ich pierworodna córka przetaczała właśnie mały kamień, komicznie zgięta w pół, z krótkim ogonem w powietrzu; jej maleńka buzia zeszywniała z wysiłku i skupienia. – Popatrz, jak pracuje moje maleństwo! – zawołała Ha’anala, naga i zdyszana jak tragarz portowy. – Dobra dziewczynka, pomaga innym!

Rukuei podbiegł do Ha’anali od tyłu, złapał ją za kostkę i szarpnął, przewracając na ziemię.

– Jesteś z rodu Kitherich! – krzyknął do niej, do swojego ojca, do siebie. – Jak możesz się tak poniżyć? Jak możesz tak poniżyć swoje dziecko? Jak śmiesz...

Łagodny dotąd żołnierz, Shetri Laaks, już siedział mu na karku i z pewnością rozerwałby mu gardło, gdyby nie powstrzymały go ostrzegawcze krzyki Ha’anali. Chwyliła męża za ramiona i odciągnęła na bok, a potem uklękła, by spojrzeć na Rukueiego pytająco oczami, które nie miały do tego prawa – które powinny być martwe.

– Jesteśmy bliskim krewniakami – warknął Rukuei, ciskając jej wściekle spojrzenia z kamienistej ziemi, na którą upadł pod ciężarem Shetriego. – Twoja matka była siostrą mojego ojca! – Jej twarz rozjaśnił uśmiech szczęścia. Niczego teraz nie pragnął tak, jak zniszczyć to szczęście, zmasać je jednym celnym ciosern. – Mój ojciec zabił twojego – powiedział z okrutną dumą – dwadzieścia cztery dni temu.

Ach, jaką poczuł rozkosz, gdy po jego słowach zapanowała cisza, jak się cieszył, że ktoś inny zadławił się rozpaczą, jak go rozradował ten ból, który zmienił jej twarz!

– ZGinał nie tylko twój ojciec. Równina Inbrokaru zasłana jest trupami, a kiedy po raz ostatni widziałem swojego ojca, leżał obok twojego. Zabity przez takich jak ci! – ryknął, zataczając ręką łuk, oskarżając wszystkich Runów, którzy ich otoczyli. – Mówiłaś mi o wyborach. Więc wybieraj, kobieto! Kto umrze, by przywrócić honor zmarłym?

Odpowiedziało mu milczenie. Słysząc było tylko jego chrapliwy oddech i dalekie, jękliwe beczenie jakiegoś górskiego zwierzęcia, nieświadomego tego, co tu się dzieje, i piskliwy krzyk Izaaka obracającego się w kółko na skraju tłumu.

Ha’anała położyła dłoń na brzuchu i powstała, a wówczas dostrzegł w pełnym świetle dnia, że jest nie tylko w ciąży, ale wychudzona i zmęczona. Rozejrzała się i popatrzyła na Jana’atów, którzy wybrali życie w dolinie N’Jarr.

– Miałam taki sam wybór jak wy – powiedziała. – Przetrawianie lub zemsta. Ja wybrałam życie. – Spojrzała na Rukueiego i wskazała na kamienisty szlak wiodący na wschód, ku przełęczy między dwoma szczytami. – Byli już tacy jak ty, którzy wybrali śmierć. To trzy dni drogi stąd. Zapytaj o siostrzeńca mojego męża, Athaansiego Erata. Tam dobrze karmią. – Podniosła głos, żeby ją wszyscy słyszeli. – Powinam raczej powiedzieć, dają im dużo do zjedzenia. Oni wybrali śmierć. Tylko śmierć. I zemstę. Śmiercią odpłacają za śmierć. Umrą nędźnie, ale z pełnymi brzuchami. Przyjmą cię tam z ochotą, kuzynie. A ja uczczę pamięć zmarłych, żyjąc i nauczając tych, którzy zgodzą się mnie wysłuchać, że taki wybór jest oznaką męstwa.

Zawodzenie Izaaka przeszło w jęk, do którego dołączył się szloch jana’atańskiego chłopca.

Ha'anała usiadła przy nim i oparła czoło o jego czoło, zarzucając mu chude ramię na szyję i przyciągając do siebie.

– Nasi ojcowie są martwi – szepnęła do łkającego chłopca. – My żyjemy. Żyj ze mną, kuzynie. Żyj...

Zafascynowani tym widowiskiem mieszkańcy osady stali, kołysząc się na boki lub wytrzeszczając oczy, póki Shetri nie kazał im się rozejść. Po chwili nad brzegiem strumienia pozostała tylko para kuzynów i Izaak, który obracał się coraz wolniej.

Teraz już starszy i bardziej zrównoważony, mniej bezbronny wobec zamętu, jeśli tylko dawało się nad nim szybko zapanować, Izaak nawet nie zauważył emocji, które targały siostrą i jej kuzynem. Zrobił jednak wszystko, co w jego mocy, by przywrócić klarowność. – Mam coś do powiedzenia – oznajmił mocnym, bezbarwnym głosem. Nie patrzył na Rukueiego i z pewnością nie zbliżyłby się do kogoś tak nieprzewidywalnego, ale powiedział mu:

– Będziesz uczył się pieśni. – Odczekał chwilę i dodał: – I będziesz ich uczył.

Nadal panował spokój, więc Izaak mógł dokończyć swą myśl. – Pewnego dnia nauczę cię jednej pieśni. Jeszcze nie jest gotowa. Możesz teraz odejść, ale wróć.

Giordano Bruno: 2084 czasu ziemskiego

– Zostałem tam z Ha’analą i moją macochą Suukmel do czasu, gdy skończyłem czternaście lat – powiedział Sandozowi Rukuei Kitheri wiele lat później. – Uczyłem się śpiewać z Izaakiem, a czasami mówił mi niezwykle rzeczy. Zacząłem ufać jego... ocenie. Był bardzo dziwny, ale miał rację: urodziłem się, i by uczyć się i nauczać pieśni. Przez prawie pięć lat wędrowałem po górach Garnu... Chciałem usłyszeć i zapamiętać opowieści o losach każdego Jana’aty, który żył w tych ostatecznych czasach, i łaknąłem ich kołysanek i poematów. Chciałem zrozumieć prawo i politykę, i poezję, by uratować choć cząstkę myśli i sztuki świata, który umierał na moich oczach.

– Ale w końcu powróciłeś do doliny? – zapytał Sandoz. – Do Ha’anali i Izaaka?

– Tak.

– I wtedy Izaak był już gotów nauczyć cię pieśni, którą w sobie odnalazł?

– Tak.

Izaak spotkał Rukueiego na przełęczy. Jak zawsze nagi, z postrzępionym parasolem nad głową, nie spojrział na Rukueiego ani go nie powitał. Po prostu stał na jego drodze.

– Wiem, po co tu jesteś – powiedział w końcu. – Wróciłeś, żeby nauczyć się pieśni. – Chwila milczenia. – Znalazłem muzykę. – Jeszcze jedna chwila milczenia. – Nie mam jeszcze słów.

Jego głos pozbawiony był emocji, jak zawsze, ale jakieś głębokie poczucie nieładu kazało mu zacząć obracać się w kółko, co natychmiast uczynił, bucząc cicho i klaszcząc w dłonie.

– Co się stało, Izaaku? – zapytał Rukuei, wtedy już wyczulony na cudzy ból.

Izaak przestał się nagle obracać i zachwiał się, oszołomiony.

– Muzyki nie można zaśpiewać, jeśli nie ma słów – powiedział w końcu. – Pieśni mają słowa.

Rukuei, który zdążył poznać dziwnego brata swojej kuzynki, zanim odszedł z osady, poczuł, że powinien go pocieszyć.

– Znajdę ci słowa, Izaaku – obiecał.

Było to spontaniczne przyrzeczenie młodzieńca, który nie bardzo wiedział, co przyrzeka, ale miał nadejść czas, gdy w nim dojrzało i zostało w pełni zrozumiałe. Rukuei Kitheri nigdy nie żałował chwili, w której je złożył.

GIORDANO BRUNO

październik 2078 czasu ziemskiego

– Zobaczcie, co oni zrobili – wydyszał Joseba Urizarbarrena, najpierw ze zgrozą, potem z głębokim żalem, kiedy na ekranie zaczęły się pojawiać coraz to nowe obrazy. – Zobaczcie, co oni zrobili!

– O Boże – wyszeptał John Candotti – jakie to piękne...

– Piękne! – krzyknął Joseba. – Nie pomyślałeś, ilu musiało umrzeć? – zapytał, wskazując ze złością na ekran. Nagle zamilkł, przerażony, że Sandoz to usłyszał i poczuł się oskarżony, ale Emilio był pochłonięty własną pracą w dalekim końcu sterowni, monitorując transmisje radiowe, które teraz odbierali już bezpośrednio.

– Josebo, co ty wygadujesz? – zdziwił się John. – To jest wspaniałe! To jest... to jest...

– To jest katastrofa! – wyszeptał Joseba z przejęciem, trzęsąc się z bezsilnego gniewu. – Nie widzisz? Całkowicie zrujnowali ekologię. Wszystko się zmieniło! – Wstał i odwrócił się od monitora. – Rolnictwo! – jęknął, zakrywając twarz rękami. – Jeszcze jedną planetę diabli wzięli...

– Uważam, że to ładne – powiedział Nico do Seana Feina, który też oparł się o przegrodę sterowni, obserwując, jak system skanuje coraz to nowe obrazy i wypełnia je barwami.

– Bo jest ładne, Nico – zgodził się Sean. – Jest ładne.

Z początku zamazane, potem wylaniające się spośród atmosferycznej mgiełki i kapryśnych obłoków, coraz ostrzejsze i wypełnione barwami, obrazy powierzchni Rakhatu ujawniały przed ich oczami zupełnie nowy świat: pierwotny raj przemieniony w zaplanowany ogród. Zmiany były największe w środkowych szerokościach geograficznych półkuli północnej, gdzie największe miasta kontynentu – po raz pierwszy zidentyfikowane czterdzieści lat wcześniej przez Jimmy’ego Quinna, George’a Edwardsa i Marca Robicheaux – przylegały do wybrzeża i rzeki. Nakładając dawne obrazy na nowe, można było wciąż rozpoznać zarysy centrów miejskich. Teraz, wszędzie tam, gdzie niegdyś była dzika sawanna, dżungla, moczary lub górskie lasy, rozpościerała się wspaniała, koronkowa tkanina upraw – gigantyczne klomby spletające się w zawile wzory jak celtyckie ozdoby ze srebra i złota: gospodarność, geometria i sztuka na wielką skalę.

– Przyjrzyj się temu uważnie – wyrecytował spokojnie Sean Fein, przypominając sobie dwunastowieczny opis *Księgi z Kells* – a dotrzesz do samego sanktuarium sztuki. Ujrzysz zawile ornamenty, tak delikatne i subtelne, tak pełne zawężeń i połączeń, o barwach tak świeżych i żywych, iż pomyślisz, że to dzieło aniołów, a nie ludzi.

– Musieli użyć obrazów satelitarnych, by to wszystko rozplanować – stwierdził prozaicznie Frans Vanderhelst. – Nie sądzę, by można było dokonać czegoś takiego bez oglądania z góry.

– To możliwe – zgodził się Carlo. – Ale można to zrobić, posługując się linami i palikami. Najprostsze narzędzia pomiarowe... – Spojrzał na ekran ponad ramieniem Fransa i śledził zakrzywiający się zarys jakiejś góry, która posłużyła za podkład pod misternie rozplanowane tarasy ziemne. – Część wzorów dostarczyła im sama geologia. – Odwrócił się do Sandoza, który w swoim dalekim kącie nie widział tych obrazów skupiony na nasłuchu. Carlo pomachał ręką, by zwrócić jego uwagę. – Rzuć okiem na te nowe obrazy. Sandoz. Co o tym myślisz? – zapytał, kiedy Emilio zdjął słuchawki.

Sandoz wstał, przeciągnął się i jęknął, zanim dołączył do Danny'ego, Seana i Nica opartych o ścianę, skąd widzieli cały rząd ekranów.

– Jezu... – wyszeptał, zdumiony. – Jana'atowie musieli w końcu uznać, że uprawianie roślin przez Runów to dobry – pomysł. – Gapił się przez jakiś czas na monitory, obserwując, jak następujące po sobie obrazy uzyskują coraz lepszą rozdzielczość i ukazują coraz drobniejsze szczegóły kompozycji. – Jak to wygląda w podczerwieni?

Joseba stuknął w klawisze. Jeszcze gorzej! Popatrzcie na wskaźniki temperatury i w miastach. – Otworzył plik z danymi zebranymi przez *Stellę Maris*. – O Boże. To musi być, bo ja wiem... jakiś czterdziestopięcioprocentowy wzrost zaludnienia. W ciągu dwóch pokoleń!

– Nie przesadzaj – powiedział Danny, dokonując błyskawicznych obliczeń w głowie. – Z moich badań wynika, że temperatura podniosła się średnio o jakieś dwadzieścia dziewięć – procent. I nie można być pewnym, że wyłącznie na skutek wzrostu zaludnienia. To mogą być zmiany związane z rozwojem przemysłu...

– Ale spójrz tutaj – odezwał się Carlo. – Tu są nowe osiedla wzdłuż rzeki. I o wiele więcej dróg niż przedtem. – Wytyczonych zgodnie z rzeźbą terenu, pomyślał. Nie jak rzymskie drogi, biegnące prosto od punktu A do punktu B, ale jednak drogi. Dobre do transportu przemysłowego, pomyślał. – Coś nowego w radiu? – zapytał Sandoza.

Emilio pokręcił głową.

– Zamówienia, analizy rynku. Komunikaty meteorologiczne, wysokość plonów, terminarze dostaw. Nie kończące się zawiadomienia o spotkaniach! Wszystko w języku *ruanja* – dodał, ziewając potężnie. – Muszę sobie zrobić przerwę. To mnie usypia.

– Nadal żadnej muzyki? – zapytał Danny Żelazny Koń.

– Ani jednej nuty – potwierdził Emilio, wychodząc ze sterowni.

Robił teraz wszystkie tłumaczenia, ale Danny miał trudniejsze zadanie. Były całe dekady transmisji wychwyconych z Rakhatu przez *Magellana* i przekazanych na Ziemię, a próbki tego Ziemia przesyłała na *Bruna*; trzeba to było uzgodnić z tym, co *Bruno* przechwycił z *Magellana* w drodze, i z tym, co odbierali teraz już bezpośrednio z Rakhatu. Emilio gubił się w tej plątaniu czasów, ale Danny dawał sobie z tym nieźle radę. Były duże zmiany w słownictwie; mnóstwo słów, które Emilio słyszał po raz pierwszy i mógł się jedynie domyślać ich znaczenia, a pracowali tylko na strzępach rozmów i próbkach przysłanych z Ziemi. Po jakimś czasie zaczęli jednak otrzymywać próbki zawierające oszałamiającą mieszaninę języków, pieśni i informacji. Nabral przekonania, że na Rakhacie rzeczywiście zaszły jakieś wielkie zmiany, i to na lepsze.

Nie miał pojęcia, co oznacza prawie całkowita nieobecność języka *K'san*, nie wiedział, jakie wnioski wysnuć z bujnego rozwoju rolnictwa, więc zostawił Josebę i Danny'ego, sprzeczących się o znaczenie tak szybkiego rozwoju rakhatańskiej gospodarki, i poszedł do kuchni, żeby napić się kawy. Nalewał ją sobie, kiedy za plecami usłyszał chrząknięcie Johna.

– Dzięki – powiedział Emilio, zerkając na niego przez ramię. – Nie jest już tak źle, jak było, John.

– Zauważyłem. Ale wolę nie zaskakiwać cię, jeśli mogę. – John nie wszedł do ciasnego pomieszczenia, tylko został w drzwiach. – Nadal żadnej reakcji na nasze wywołania?

Powiedziałbyś mi o tym, prawda?

– Oczywiście. – Emilio obrócił się, trzymając kubek w obu dłoniach, a kiedy przemówił ponownie, był to głos Seana. – W oczekiwaniu na coś najlepsze jest to, że kiedy to coś się wydarza, jesteś zadowolony, że miałeś rację.

– Może ona nie prowadzi nasłuchu – powiedział John. – Mam na myśli to, że nie spodziewa się gości, prawda? Może wciąż żyje.

– To możliwe. – Może popsuł się jej komputer. Może go zgubiła albo jej ukradli. A może po prostu przestała go używać.

Pogódź się z tym, powiedział sobie Emilio. Ona nie żyje. – Szanse na to, że wtedy przeżyła, też nie były duże – powiedział na głos, zanosząc kawę do stołu, gdzie opadł na krzesło. John poszedł za nim i usiadł naprzeciwko.

– Miałyby teraz ponad siedemdziesiąt lat.

Emilio pokiwał głową.

– Czyli ze trzydzieści lat mniej ode mnie. Chodzi mi o to, na ile się czuję. – Ziewnął i przetarł oczy ramionami. – Jezu, jestem zmęczony. Tyle czasu wysłuchiwać raportów o zbiorach.

– To dziwne, prawda? Mogliśmy tu w ogóle nie przylecieć, gdybyśmy usłyszeli tę sieczkę, a nie muzykę.

Emilio osunął się, aż jego głowa spoczęła na oparciu krzesła, a podbródek sięgnął piersi.

– Nie, i tak byśmy przylecieli – powiedział, śmiejąc się z mimowolnego użycia przez Johna jezuickiego „my”. – Prawdopodobnie wmówiłbym sobie, że terminarze dostaw to litania do świętych. – Błysnął białkami oczu. – Religia... pobożne życzenie małpy, która mówi! Wiesz, co myślę? – zapytał retorycznie, próbując zapomnieć o jeszcze jednej śmierci. – Zdarzają się różne zaszranne przypadki, a my zamieniamy je w baśnie i nazywamy świętymi księgami...

John siedział nieruchomo, milcząc. Emilio spojrział na niego i zobaczył jego twarz.

– Och, Boże. Wybacz mi – powiedział, podciągając się na krzesło. – Emilio Sandoz, trucizna w ludzkim ciele! Nie słuchaj mnie, John. Jestem po prostu zmęczony i cisną mi się na usta same świństwa...

– Wiem – odrzekł John, biorąc głęboki oddech. – I chętnie przyznam, że zdobyłeś czarny pas w kategorii bólu i cierpienia. W porządku? Ale nie jesteś jedynym, który jest zmęczony, i nie jesteś jedynym, któremu cisną się na usta świństwa, i nie jesteś jedynym, który bardzo pragnął, by Sofia nadal żyła! Staraj się o tym pamiętać.

– Przebacz mi, John! – zawołał Emilio, gdy Candotti opuścił mesę. – Chryste... – szepnął znękany tonem.

Z łokciami na stole, obejmując uzbrojonymi w protezy dłońmi kubek, wpatrywał się w jego wnętrze. Jaki jest rok?, pomyślał. Ile mam teraz lat? Może czterdzieści osiem? Dziewięćdziesiąt osiem? Dwieście? Po chwili zorientował się, że widzi własne odbicie na czarnej, nieruchomej powierzchni kawy: wychudła twarz poślubiona bruzdami, świadectwo złych lat, pełnych bólu.

Dobrze wiedział, że nic nie mogło zachwiać wiary Johna, ale opadł na oparcie krzesła, czując się podłe.

– Miła gra, nie ma co – westchnął.

Nienawidząc siebie, Johna, Sofii i wszystkich, których był w stanie sobie przypomnieć, powrócił myślami do pracy, aby w niej znaleźć ucieczkę. Przyszło mu do głowy, że może powinien dać sobie spokój z bezpośrednim odsłuchiwaniem monitorowanych sygnałów radiowych, a zamiast tego skupić się na przesłuchaniu zanotowanych dawniej emisji z większą szybkością, w poszukiwaniu zmian językowych. Dlaczego przedtem o tym nie pomyślałem? Nie działać z myślą o najwyższej skuteczności...

W chwilę później opadła mu głowa i obudził się, otwierając oczy i widząc przed sobą na stole kubek z kawą. Ramiona ciążyły mu, jakby były z ołowiu – nie był w stanie sięgnąć po kubek. Kofeina i tak już na mnie nie działa, pomyślał, prostując się nieco. Czas na kilka magicznych pigułek Carla.

Nie po raz pierwszy zmuszał się do takiego życia; już dawno odkrył, że może funkcjonować zupełnie nieźle, spijając tylko trzy lub cztery godziny na dobę. Czuł się podle przez cały czas, ale to nie było dla niego nowością. Ignorujesz to, powiedział sobie w duchu. Przyzwyczyłeś się do tego pieczenia w oczach, do nieustającego, tępego bólu głowy. Nie chodzi o to, że zapomniałeś o zmęczeniu, o strachu, o żalu, o gniewie, nie chodzi o to, że coś się polepszyło albo stało łatwiejsze. Możesz po prostu pracować mimo to. Po prostu jesteś wciąż na nogach, nie dajesz się...

A dlaczego? Bo gdybyś na chwilę usiadł, pomyślał, ponownie się budząc, gdybyś pozwolił sobie na odpoczynek... No dobra, ale sobie nie pozwalasz. Wgryzasz się w robotę, bo alternatywą jest wkroczenie do miasta umarłych, do nekropolii wewnątrz twojej głowy. Tyłu zmarłych...

...Próbował je wyprostować, ułożyć ciała. Była noc, ale ze wszystkich stron napływało światło księżyca, a ciała były prawie piękne. Włosy Anne, srebrne w księżycowej poświacie.

Hebanowe członki siostrzyczki tego małego Dodotha... delikatne i kruche... jej doskonały drobny szkielet, tak piękny, choć tak przygnębiający... Ale jej cierpienia już przeminęły, była z Bogiem.

To było najgorsze, wiedział to we śnie. Jeśli Bóg jest wrogiem, to nawet umarli znajdują się w niebezpieczeństwie. Wszyscy, których kochałeś, mogą być z Bogiem, a Jemu nie wolno zaufać, Jego nie wolno pokochać. „Wszystko, co żyje, umiera”, mówił mu Supaari. „Byłoby marnotrawstwem nie zjeść tego”. Ale miasto znowu płonęło, woń spalonego mięsa była wszędzie, a to nie była księżycowa poświata, tylko ogień, ogień i wszędzie byli Jana’atowie, i wszędzie byli umarli, tyłu umarłych...

Ktoś nim potrząsał. Obudził się z głośnym westchnieniem, wciąż czując odór śmierci.

– Co? Co się stało? – Usiadł, zdezorientowany, jeszcze nie uwolniwszy się od trwogi. – Co? Cholera, przecież nic mi się nie śniło! – skłamał, nawet nie wiedząc dlaczego. – Czy jest...

– Emilio! Obudź się! – John Candotti stał nad nim, szczerząc zęby w uśmiechu, z twarzą rozjaśnioną jak dynia w Halloween. – Zapytaj mnie, co nowego?

– Och, Chryste, John – jęknął Emilio, opadając na oparcie krzesła. – Jezu! Przestań się zgrywać...

– Ona żyje – powiedział John. Emilio wytrzeszczył na niego oczy. – Sofia. Dziesięć minut temu Frans dorwał ją przez radio...

Sandoz już wstał, już go odtrącał, by biec do sterowni.

– Poczekaj, poczekaj! – krzyczał John, łapiąc go za ramię. – Uspokój się! Przerwała połączenie. Wszystko jest okay! – Twarz mu płonęła, zapomniał o ich krótkiej kłótni. – Powiedzieliśmy jej, że śpisz. Roześmiała się i powiedziała: „To typowe!” Powiedziała, że skoro czekała na ciebie czterdzieści lat, może poczekać jeszcze kilka godzin, więc nie powinniśmy cię budzić. Ale wiedziałem, że mnie zabijesz, więc cię obudziłem.

– Więc ona żyje i ma się dobrze?

– Najwidoczniej. Jej głos brzmiał świetnie.

Emilio oparł się o przegrodę i zamknął oczy. Potem ruszył w kierunku radioodbiornika, pozostawiając za sobą uśmiechniętego Johna.

Kiedy Emilio wszedł do sterowni, wszyscy tłoczyli się już wokół Fransa, który połączył się po raz drugi.

– W jakim języku mówi? – zapytał Emilio.

– Przeważnie po angielsku – odpowiedział Frans i wstał, przekazując konsolę Sandozowi. – Trochę w *ruanja*.

– Sandoz? – usłyszał, gdy usiadł.

Dźwięk jej głosu przeszył go jak ostrze: był niższy i bardziej chropowaty, ale cudowny.

– Mendes! – krzyknął.

– Sandoz! – powtórzyła i tym razem głos się jej załamał. – Myślałam... nigdy...

Tłumione tak długo emocje przełamały zapory, które do tej chwili oboje uważali za wieczne, ale łkanie wnet zostało przerwane przez śmiech i wzajemne przeprosiny, a potem była już tylko radość i zaczęli się klócić, jakby nigdy się nie rozstawali, kto zaczął płakać pierwszy.

– W każdym razie – powiedział Emilio, uznając, że wygrała – co ty tam robisz żywa, do jasnej cholery? Odmówiłem za ciebie kadisz!

– No cóż, bardzo mi przykro, ale chyba zmarnowałeś modlitwę za zmarłych...

– I tak się nie liczyła – odpowiedział lekceważąco. – Nie było minianu.

– Minian... Chcesz mi powiedzieć, że zdążyłeś się już nauczyć aramejskiego? Ile języków już znasz?

– Chyba siedemnaście. Podłapałem trochę euskary i nauczyłem się, jak skłąć Afrykanera. – Coś go hamowało, coś dławiło, ale na pewno nie na tyle, by nie czuli się, jakby byli po prostu dwojgiem przyjaciół rozmawiających przez telefon. – Ale aramejski... nie. Nauczyłem się kadiszu na pamięć.

– Dowcipniś! – Rozległ się znajomy, zachrypli śmiech, teraz już nie przez łzy. Zamknął oczy i starał się nie dziękować Bogu za to, że ten śmiech się nie zmienił. – No więc, Don i Kichocie, przybywasz, by mnie uwolnić?

– Ależ skąd! – odpowiedział oburzonym tonem, wciąż zdumiony, jak zdrowo brzmi jej głos. Jaki radosny... – Ja tylko I wpadłem na kawę. A co?

Trzeba cię uwolnić?!

– Nie, wszystko, tylko nie to. Ale kawy mogę się napić. Już dawno nie piłam.

– Mamy jej mnóstwo, ale obawiam się, że tylko bezkofeinową. Przykro mi – dodał zasmuconym tonem. – Nikt nie uzgodnił ze mną listy przewozowej. – Teraz rozległy się ciche okrzyki przerażenia. – To była normalna pomyłka urzędników.

Naprawdę, bardzo mi przykro. Dopilnuję, by uśmiercono wszystkich, którzy maczali w tym palce. Nabijemy ich głowy na pale...

Zaczęła się śmiać.

– Och, Sandoz... Chyba zawsze cię kochałam.

– Nie, nie kochałaś mnie – zaprzeczył ze złością. – Znienawidziłaś mnie od pierwszej chwili.

– Tak? Musiałam kompletnie zgłupieć. Z tą kawą bezkofeinową to był żart, prawda?

– Uważasz, że mógłbym żartować na temat kawy?

– Tylko wtedy, gdybyś wiedział, że oddałabym za nią życie. – Zamilkła na chwilę, a kiedy znowu przemówiła, w jej głosie brzmiała owa spokojna godność, którą zawsze w niej podziwiał.

– Cieszę się, że znowu mogę z tobą rozmawiać. Wszystko się zmieniło. Runowie są już wolni. Miałeś rację, Sandoz. Miałeś zawsze rację. Bóg chciał, żebyśmy tu przybyli.

Poza sobą usłyszała reakcje innych na to, co powiedziała i poczuł uścisk dłoni Johna na ramieniu.

– Słyszałeś, gówniarzu? – rozległ się jego szept. – Słyszałeś to?

Zdał sobie sprawę, że wszystko robi się zamazane i że ma trudności z oddychaniem. Zgubił wątek rozmowy i ocknął się dopiero, kiedy znowu usłyszał swoje imię.

– A Izaak? – zapytał.

Teraz milczenie było tak niespodziewane i długie, że wykręcił się na krześle, by spojrzeć na Fransa.

– Połączenie wciąż trwa – uspokoił go Vanderhelst.

– Sofio? – powiedział. – Kiedy usłyszeliśmy cię po raz pierwszy, Izaak był bardzo mały. Nie chcę...

– Już dawno mnie opuścił. Izaak był... Wiele lat temu odszedł, żeby żyć samodzielnie.

Poszła za nim Ha'anala i mieliśmy nadzieję... Ale żadne z nich nie wróciło. Wciąż próbowaliśmy ich odnaleźć, ale wojna trwała tak długo...

– Wojna? – zapytał Danny.

– W porządku – powiedział Sandoz. – W porządku, Sofio. Cokolwiek się stało...

– Nikt się nie spodziewał, że to będzie trwało tak długo!

– Ha'anala była... Och, Sandoz, to zbyt skomplikowane. Kiedy wylądujecie? Wytlumaczę ci wszystko, kiedy znajdziesz się w Galatnie...

Poczuł się tak, jakby dostał silny cios w żołądek.

– W Galatnie? – powtórzył prawie szeptem.

– Sandoz, jesteś tam? O mój Boże... – Nagle zrozumiała. – Ja... ja wiem, co tu cię spotkało. Ale teraz wszystko się zmieniło! Hlavin Kitheri nie żyje. Oni obaj... Kitheri nie żyje od... lat... – Głos jakby się oddalił, ale po chwili zabrzmiał już stanowczo. – W pałacu jest teraz muzeum. Mieszkam tutaj... jako jeszcze jeden zabytek!

Zamilkła, a on próbował zebrać myśli, ale w głowie miał pustkę.

– Sandoz? – usłyszał jej głos. – Nie obawiaj się. Nie ma żadnych *djanada* na południe od gór Garnu. My-i-ty-też jesteśmy tu bezpieczni. Naprawdę. Sandoz, jesteś tam?

– Tak – odpowiedział, biorąc się w garść. – Jestem tutaj.

– Kiedy wylądujecie? Ilu was jest?

Uniósł brwi i odwrócił się do Carla.

– Tydzień? – zapytał. Carlo kiwnął głową. – Za tydzień, Sofio. – Odchrząknął, starając się przemówić bardziej zdecydowanym tonem. – Jest nas ośmiu, ale pilot zostanie na pokładzie. Czterech jezuitów i dwóch... biznesmenów. I ja.

Nie zorientowała się, co to oznacza.

– Będziecie musieli wylądować na południe od Inbrokaru, poza uprawami. Widziałeś je? Nazywamy je robichauksami! Są konkursy na najpiękniejsze i najbardziej produktywne wzory, ale nie ma nagród, więc nikt nie jest *porai*. Wyślę wam eskortę. Jest bezpiecznie, ale trudno znaleźć drogę przez labirynty ogrodów, jeśli się nie jest Runao... Posłuchaj! Za długo już żyję wśród Runów! *Sipaj*, Milo! Czy ktoś zawsze tak szczebioce? – zapytała, znowu wybuchając śmiechem. Wzięła głęboki oddech i powiedziała spokojnie: – Emilio, nie spodziewaj się dawnej Sofii. Jestem bardzo stara. Jestem ruiną...

– Wszyscy jesteście! – przerwał jej, odzyskując panowanie nad sobą.
– A jeśli ty jesteś ruiną – dodał łagodnym tonem – musisz być wspaiałą ruiną... Mendez, załóż się, że jesteś Partenonem! Liczy się tylko to, że żyjesz, jesteś bezpieczna i zdrowa.

Zdał sobie sprawę, że naprawdę tak myśli. W tym momencie tylko to się liczyło.

33

RAKHAT

październik 2078 czasu ziemskiego

Było więcej rozmów. O towarach z melodyjnym włoskim głosem, o współrzędnych i torach lotu z chropowatym głosem pilota. Wstępnie uzgodniono, że wylądują w pobliżu rzeki Pon.

Uzgodniono, że będą kontaktować się codziennie, że będą wymieniać pytania i odpowiedzi, że muszą wszystko rozważyć i dokonać obliczeń. Niezgrabne „do widzenia” Sandozowi, a potem... potem już była z powrotem na Rakhacie, znowu sama, w cichym pokoju, ukryta tam ze swoimi wspomnieniami, z dala od zamętu i rozmów.

W Pałacu Galatna nie było już luster. Gdyby nie wiedziała, co Sandoz zobaczy, mogłaby – choć przez jakiś czas – wierzyć, że ma trzydzieści pięć lat, prostą sylwetkę i potrafi jasno myśleć, ma świetny wzrok i jest pełna nadziei. Tylko nadzieją pozostała... Nie, nadzieja została spełniona. Są wojny, które warto toczyć. Śmierci, które przynoszą owoce. To wszystko miało swój cel... Och, Sandoz, pomyślała. Wróciłeś. Zawsze wiedziałam, że wrócisz...

(Wróciisz.)

Izaak, pomyślała, zamierając. Ha'ana.

Siedziała tak długo, wydobywając z głębin duszy wszystko, co tam ukrywała. Czy to odwaga, czy głupota, wystawiać serce na ten mroźny podmuch i znowu czekać, czekać, czekać na obumarcie nadziei?

– Jakżebym mogła nie spróbować? – zapytała samą siebie.

Więc spróbowała.

– Przeczytaj to – powiedział Izaak.

Czekało na niego jak zawsze, jak inne prośby przez tyle lat. Co rano sprawdzał najpierw plik swojej matki. Sprawdzał, czy przysłała od niej jakaś wiadomość, ale nigdy jej nie odpowiadała.

Nie miał nic do powiedzenia.

Ktoś inny, w podobnych okolicznościach, mógłby oszczędzić siostrze bólu czytania tych błagań, by ukochane dzieci wróciły albo po prostu zapewnić matkę, że oboje żyją. Izaak nie wiedział, co to jest ból serca. Nie rozumiał żalu, tęsknoty czy konfliktu wierności. Nie rozumiał gniewu, zdruzgotanego zaufania, zdrady. Takie rzeczy nie były klarowne. Łączyły się z nimi oczekiwania co do zachowań innych osób, a Izaak nigdy nie miał takich oczekiwań.

Wiadomości od Sofii zawsze były adresowane do nich obojga, mimo to, co wydarzyło się w ciągu tych długich lat, odkąd opuścili puszcę. Ha'anala przeczytała ostatnią wiadomość i ostrożnie zamknęła laptop.

– Izaak, chcesz wrócić?

– Nie. – Nie zapytał: dokąd? To nie miało żadnego znaczenia.

– Nasza matka tego pragnie. – Milczenie. – Ona jest stara, Izaaku.

Któregoś dnia umrze.

To też nie wzbudziło w nim zainteresowania. Przyłożył dłonie do oczu i zaczął tworzyć różne wzory palcami. Ale nawet przez palce widział patrzącą na niego Ha'analę.

– Nie wróć – powiedział, opuszczając ręce. – Oni nie śpiewają.

– Posłuchaj mnie. Nasza matka śpiewa. Twój lud śpiewa. – Zawahała się, a potem dodała: –

Są inni, którzy należą do twojego gatunku, Izaaku. Znowu tu przybyli...

To go zainteresowało.

– Muzyka, którą znalazłem, jest dobra – oświadczył bez cienia triumfu czy zdziwienia. Po prostu to stwierdził: Z chmur spada deszcz, noc następuje po dniu, muzyka jest dobra.

– Mogą tu nie zostać. Nasza matka może wrócić z nimi. – Pauza. – Tam, skąd pochodzi twój gatunek. – Dłuższa pauza, żeby pozwolić mu pomyśleć. – Izaaku, jeśli nasza matka postanowi wrócić na H'earth, nigdy już jej nie zobaczymy.

Zaczął klepać się palcami po policzkach, po tych gładkich miejscach, gdzie nie rosły mu włosy, mruczając monotonicznie.

– Powinieneś przynajmniej ją pożegnać – nalegała Ha'anala.

„Powinieneś” nie miało klarowności. Zbadał to słowo, ale znalazł tylko jakiś bełkot o odpowiedzialności wobec innych, o zobowiązaniach. Jego emocje zapoznały się z jego stanem.

Potrafił odczuwać zawód, ale nie zawód wobec kogoś. Czuł złość, ale nie złość na coś.

Doświadczał rozkoszy, ale nigdy nie rozkoszował się czymś. Tylko śpiewanie łamało tę zasadę.

Rozumiał harmonię: śpiewa się z kimś. Właśnie w ten sposób Ha’anała wytłumaczyła mu swoje małżeństwo z Shetrim: „Jesteśmy w harmonii”.

Izaak odchylił głowę, by spojrzeć na tkaninę namiotu. Promienie słońca rozświetlały każdy maleńki piksel między wątkiem i osnową. Nie chciał mieć nowego, kamiennego domu, bo namiot był czymś znajomym i lubił ten kolor. Poruszał się, ale nie tak jak liście. Spojrzał w dół i zobaczył, że Ha’anała nie odeszła, więc wyciągnął rękę i czekał na ciężar laptopa. Namiot był woalem, którego nikt nie odgarniał. Namiot chronił przed pyłem i liśćmi, chyba że była silna burza. Ale Izaak i tak miał swoje patyki, którymi co jakiś czas sprawdzał prostokąt, żeby się upewnić, czy namiot wciąż ma właściwe proporcje.

Potem: chłód guzika pod kciukiem, cichy trzask mechanizmu, niezmienna geometria pokrowy. Pomruk systemu, rozjaśnienie ekranu, klawiatura z klarownymi przyciskami. Kilka uderzeń w klawisze i kilka słów, i znowu to było, dokładnie tak, jak to zostawił, każdy ton doskonały i czysty. Pomyślał: Urodziłem się, aby to znaleźć.

Był, na swój sposób, zadowolony.

Wdowa Suukmel Chirot u Vaadai nie była już tak pewna jak dawniej, który z bogów kieruje jej życiem.

W młodości skłaniała się ku bardziej tradycyjnym bóstwom: starym, kapryśnym boginiom, które utrzymywały słońca na właściwych orbitach, rzeki w ich korytach, codzienne życie w jego ustalonym rytmie. Po zawarciu małżeństwa polubiła Ingwy'ego, który rządził losem, bo dobrze znała gorycz braku szczęścia i była wdzięczna za to, że trafił się jej mąż, który ją doceniał. Wielu bożków zamieszkało w jej dostatnim domostwie: Bezpieczeństwo, Luksus, Cel, Równowaga.

Było to szczęśliwe życie. Suukmel miała siedem córek; wszystkie poślubiły małżonków spełniających zarówno jej osobiste nadzieje, jak i wymogi ich pozycji rodowej i współczesnej sytuacji politycznej. Ona sama żyła dostatnio i spokojnie, odczuwając prawdziwą satysfakcję.

Potem jej życiem zaczął rządzić Chaos. Chaos roztańczony, Chaos rozśpiewany. Nie bogini, ale mężczyzna, który podarował jej skarb: życie tak intensywne, że aż ją to przerażało, ale od którego nie chciała i nie mogła uciec. Uzyskała władzę. Upajała się tym, co zakazane, tym, co nieprzewidywalne. Chaos nie żądał śmierci Cnoty w jej życiu, żądał narodzin Namiętności.

Radości. Twórczości. Przemiany.

A teraz? Kto teraz mną rządzi, zastanawiała się leniwie Suukmel, patrząc, jak Ha'anala nagle opuściła namiot swojego brata. Lekki wiaterek przyniósł informację potwierdzającą obserwację:

Ha'anala była wściekła. Mijając pospiesznie Suukmel, wyszła poza obręb osady, nie mówiąc nikomu ani słowa. Zatrzymała się tylko raz, by chwycić jednym pazurem rzemień wielkiego kosza i zarzucić go sobie na plecy.

Przez pewien czas Suukmel po prostu przyglądała się, jak Ha'anala wspina się po stromym piargu, i wstrzymała oddech, mając nadzieję, że młodsza od niej kobieta – z trudem utrzymująca równowagę i osłabiona czwartą ciążą – nie przewróci się na zdradliwym ospypisku. Potem westchnęła i wstała, by pójść za nią, zabierając po drodze swój kosz i szorstkie płótno, ciężkie od wosku, brudu i niedawnego deszczu. Ha'anala w takim nastroju nie dbała o to, że *kha'ani* mogą ją zaatakować; Suukmel wolała osłonić się płótnem.

W zboczach gór otaczających dolinę N'Jarr pełno było skalnych rozpadlin, w których lubiło się gnieździć najobfitsze źródło pożywienia mieszkańców osady. Przy końcu Partanu, kiedy deszczów było coraz mniej, *kha'ani* wcześniej i często się rozmnażały, i to w niesamowitych ilościach. Dorosłe, zwinne i szybkie, rzadko dawały się złapać, ale w ciągu suchej pory ich jaja były łatwą zdobyczą – skórzaste, owalne torbiele wypełnione proteinami i tłuszczem. To, czym żywiły się embriony *kha'ani*, mogło też wyżywić Jana'atów; trzeba było tylko zjeść tego wystarczającą ilość. Było to jedzenie monotonne i raczej pozbawione smaku, ale wystarczające i było zawsze, a od czasu do czasu uzupełniano je zwierzyną bardziej godną miana zdobyczy, ale i bardziej niebezpieczną.

– Nie nadaję się na towarzyszkę! – zawołała Ha'anala, czując zapach zbliżającej się Suukmel. – Zostałaś ostrzeżona.

– A czy ja kiedykolwiek żądam od ciebie, żebyś była towarzyska? – zapytała Suukmel, podchodząc bliżej. – A poza tym przyszłam tu, żeby niepokoić *kha'ani*, a nie ciebie.

Chwyliła płótno pazurami i zaczęła nim gwałtownie łopotać, co wypłoszyło jakiegoś dorosłego *kha'ani*, a potem sama się pod nie wsunęła, szybko zgarniając do kosza miękkie worki w żółtawym świetle przefiltrowanym przez tkaninę i pomrukując cicho przy pracy.

– Co mam robić? – zapytała Ha'anala, a jej głos mieszał się z wrzaskami *kha'ani* i dochodził przytłumiony do Suukmel ukrytej pod ochronną tkaniną. – Czego ona się spodziewa? Mam iść do Gayjuru z Izaakiem? Wiesz, co ona powiedziała? Że wszystko zostanie przebaczone. Ona ma przebaczyć mnie! Oni przebaczą! Jak ona śmie...

– Masz rację. Nie jesteś najlepszą towarzyszką – zauważyła Suukmel, zgarniając do kosza zawartość następnego gniazda. – Można wiedzieć, na kogo tak pomstujesz?

– Na moją matkę!

– Ach.

– Trzy razy próbowaliśmy negocjować i za każdym razem nasi emisariusze zostali wymordowani jakieś sześćset *cha'ari* od Gayjuru – wściekała się Ha'anala, wrzucając do swojego kosza kolejną torbiel i zupełnie nie zważając na wrzaski i uszczypnięcia *kha'ani*, które roiły się wokół niej. – Ona mi mówi o zaufaniu!

– Ona mi mówi o przebaczeniu!

– Jeśli włożysz więcej jaj, te na dnie popękają – ostrzegła ją Suukmel, wyłaniając się spod płótna. Jakiś rozwścieczony *khaan* rzucił się na nią z wrzaskiem i Suukmel z trudem go odpędziła, zanim zarzuciła kosz na ramię i odbiegła parę kroków dalej, ku kępie trawy. Maleńkie bestie zażarcie strzegły swojego terytorium, ale nie miały dobrego wzroku. Wszyscy mamy swoje słabe strony, pomyślała Suukmel, wspólcując rodzicom jej zdobyczy.

Usiadła, grzejąc się w rzadkim teraz słońcu, i wyjęła parę woreczków.

– Chodź, zjemy coś, dziecko! – zawołała do Ha’anali. Przez chwilę Ha’anala stała nieruchomo, stając się łatwym celem dla *kha’ani*, ale w końcu wzięła swój kosz i rzuciła go obok Suukmel, która z pogodnym wyrazem twarzy potrząsała torbielą, żeby dobrze wymieszać jej zawartość. Zajęło jej to trochę czasu, ale już dawno wypracowała sobie własny sposób obchodzenia się z tymi jajami. Potrzebna jest zręczność. Trzeba ścisnąć chropowatą, włóknistą skórę jedną ręką, by torbiel się naprężyła, a pazurem drugiej ręki przebić ją z drugiego końca.

Potem trzeba szybko wysysać zawartość, uważając, by nie ścisnąć worka za mocno. Wystarczy ścisnąć za mocno, a białko wytryśnie na twarz.

– Siadaj i jedz! – rozkazała, tym razem bardziej stanowczo, i wręczyła Ha’anali jedną torbiel, zanim sama zaczęła się posilać.

– Suukmel, starałam się ją zrozumieć – powiedziała z naciskiem Ha’anala, jakby jej starsza przyjaciółka kłóciła się z nią. – Próbowałam uwierzyć, że nie wiedziała, co się z nami dzieje...

– Sofia była w Inbrokarze – przypomniała jej Suukmel.

– Więc sama widziała tę rzeź. – Ha’anala wyssała zawartość torbieli, nieświadoma jej smaku. – I teraz już wie... nawet jeśli nie planowała tego od samego początku. Wie, jak niewielu nas pozostało!

– Niewątpliwie – zgodziła się Suukmel.

Ha’anala usiadła wygodniej, czyniąc trójnog z swoich nóg i ogona i wypinając nabrzmiały brzuch.

– A jednak żąda ode mnie, żebym o tym wszystkim zapomniała, żebym opuściła swój lud i przybyła do niej! Wielu z nas przypłaciło życiem każdą próbę porozumienia albo ugody! –

Suukmel wyciągnęła rękę i łagodnie pociągnęła ku sobie Ha'analę, tuląc jej głowę do swojego łona. Ha'anala owinęła się ogonem jak małe dziecko. – Może Athaansi ma rację. Jesteśmy głupcami, mając jeszcze jakąś nadzieję...

– Być może – zgodziła się Suukmel.

– Ale te jego wypadki napędzają im strachu! Za każdym razem, kiedy jego wojownicy przyprowadzą jakiegoś Runao do osady, jedzą do syta przez parę godzin, a Athaansi jest bohaterem...

– I z każdym zabitym Runao przybywa nowa wioska, której mieszkańcy są przekonani, że jedynym wyjściem jest rozpoczęcie wojny od nowa.

– Właśnie! Orbity satelitów są zbyt daleko na południe, by mogli nas obserwować, a Runowie mogliby nas wytropić, ale nie są tacy głupi! Pewnego dnia Athaansi, albo ktoś taki jak on, poprowadzi nas z powrotem w doliny! Jestem tego pewna, Suukmel. Jeśli nas znajdą, wszystkich wykończą! Tyle razy próbowałam wytłumaczyć Athaansiemu, że pomnaża nam wrogów szybciej, niż potrafimy się sami mnożyć...

– Athaansi jest w pułapce własnej polityki, moje dziecko. Nie może rządzić bez frakcji VaPalkirnów, a oni będą bronić tradycji za każdą cenę. – Suukmel zdrętwiała nogi i chwyciła Ha'analę za ramiona, podnosząc ją do pozycji siedzącej. Zauważyła przy tym jej wąskie biodra, cienki ogon i matowe futro. – Trzeba przyznać, że matki z doliny Athaansiego są dobrze karmione – powiedziała łagodnie – i regularnie rodzą zdrowe dzieci.

Ha'anala spojrzała na dolinę N'Jarr, gdzie kobiety rodziły coraz mniej dzieci, bez względu na to, z kim się parzyły.

– Jeśli pragną odejść, mogą to zrobić! – oświadczyła zuchwałym tonem. – Athaansi chętnie je przyjmie.

– Niewątpliwie – powiedziała Suukmel, obserwując, jak buńczuczność Ha’anali powoli słabnie.

W ciągu ostatniego roku w ogóle nie było narodzin, a i przedtem nie było ich wiele. Sofi’ala była zdrowym dzieckiem i wszystko wskazywało na to, że przeżyje dzieciństwo, ale Ha’anala straciła już jedno dziecko, które zmarło na zapalenie płuc, a drugie urodziła martwe.

– Może Athaansi ma rację – powiedziała Ha’anala ledwo słyszalnym szeptem.

– Może. A jednak – w głosie Suukmel zabrzmiało zdziwienie – jesteście wciąż z tobą, a są też z nami Runowie.

– Dlaczego? – krzyknęła Ha’anala. – A jeśli się mylę?

– Jeśli to wszystko jest pomyłką?

– Zjedz to – powiedziała Suukmel, podając jej jeszcze jedną torbiel.

– Ciesz się obfitością i słońcem, kiedy są. – Lecz Ha’anala po prostu opuściła bezwładnie rękę, zbyt rozkojarzona i zbrzydzone, by cieszyć się dniem, kiedy wiatr rozwiął gęste chmury z północy, ukazując blade, srebrne światło nieba. – Kiedyś, dawno temu, mój pan i małżonek zapytał Hlavina Kitheriego, czy nigdy nie czuł lęku, że popełnił błąd. Najdonioślejszy odrzekł: „Być może, ale to był wspaniały błąd”.

Ha’anala wstała i podeszła na sam skraj skalistego urwiska; wiatr mierzwił jej futro.

Suukmel też się podniosła i stanęła u jej i boku.

– Słyszałam pieśni wielu bogów, moje dziecko. Bogów, głupich, bogów potężnych, bogów kapryśnych, bogów posłusznych i bogów tępych. Dawno temu, kiedy po raz pierwszy zaprosiłaś nas do swojego domostwa, nakarmiłaś nas, dałaś nam schronienie i powiedziałaś, że możemy tu zostać, słyszałam, jak i mówiłaś, że jesteśmy wszyscy, Jana’atowie, Runowie i H’umanowie, dziećmi Boga tak wielkiego, że nasze rangi, kasty i różnice są dla Niego niczym.

Suukmel spojrzała na dolinę upstrzoną kamiennymi domkami i wypełnioną różnymi głosami – dom rodzinny dla Runów, Jana’atów i dla tej dziwnej, obcej istoty, którą Ha’anala nazywała I swoim bratem.

– Pomyślałam wówczas, że to tylko pieśń wy śpiewana przez cudzoziemca głupiej dziewczynce, która wierzy w baśnie. Ale Taksayu była mi bliska, a tobie był bliski Izaak. Pragnęłam wysłuchać tej pieśni, ponieważ kiedyś tęskniłam za światem, w którym życiem nie będzie rządziło pochodzenie, żądza i zamierające prawo, ale miłość i wierność. W tej jednej dolinie takie życie jest możliwe. Jeśli błędem jest mieć nadzieję na taki świat, to jest to wspaniały błąd.

Ha’anala osunęła się na kolana i oparła dłońmi o skałę. Z początku szloch był bardzo cichy, ale przecież były same na tym zbocz, daleko od tych, których wiarę mogło zachwiać załamanie nerwowe przywódcy. Najlepsza sposobność, by w końcu ulec zmęczeniu i trosce, głodowi i odpowiedzialności, tęsknocie za utraconymi rodzicami i żalowi za utraconymi dziećmi, za wszystkim, co mogło być, a nie było.

– Rukuei wrócił – powiedziała wreszcie cicho Ha’anala, przyciskając twarz do brzucha Suukmel. – To już coś. Widział wszystko i był wszędzie. Ale wrócił. I został...

– Wracaj na dół, moje serduszko – powiedziała pogodnie Suukmel. – Posłuchaj jeszcze raz muzyki Izaaka. Przypomnij sobie, co pomyślałaś, kiedy usłyszałaś ją po raz pierwszy. Wiedz, że jeśli jesteśmy dziećmi jednego Boga, to możemy kiedyś stać się jedną rodziną.

– A jeśli Bóg jest tylko pieśnią? – zapytała Ha’anała, samotna i przerażona.

Suukmel nie odpowiedziała jej od razu. Dopiero po długiej chwili oświadczyła:

– To i tak mamy to samo zadanie.

– Słyszysz? – szepnęła Tiyat Va’Agardi ze zdumieniem. – Uwierzyłyś, że *djanada* są zdolni prowadzić takie dysputy?

– Jak za dawnych dni – odpowiedziała Kajpin VaMasna – tyle że teraz role się odwróciły.

Przez chwilę słuchała sporu, a potem położyła się na plecach, by patrzeć na obłoki przetaczające się nad doliną. Od dawna przywykła do wyrażania zgody przed podjęciem decyzji – wada charakteru, która już nie budziła w niej zakłopotania. Popatrzyła na Tiyat.

– Damy im czas do drugiego wschodu słońca, a potem idziemy.

Tiyat spojrzała na nią z uwielbieniem. Były żołnierz, mając już dość zabijania, Kajpin VaMasna przyszła tu sama i od samego początku pomagała mieszkańcom doliny N’Jarr, napadając na kupieckie karawany Runów. Tiyat za dawnych czasów była zwykłą służącą. Tu zdobyła zaufanie i nawet pewną pozycję, ale czasami nadal kryła się wewnątrz stada i podziwiała śmiałą Kajpin, która dawała sobie radę ze wszystkimi.

Kiedy wśród członków wspólnoty rozeszła się wieść o nowych cudzoziemcach, to właśnie Kajpin zaproponowała, że ona i Tiyat wyruszą na południe i przyprowadzą jednego z nich do doliny N'Jarr. Większość Runów znudziła się dyskusją i poszła znaleźć coś do zjedzenia, ale Jana'atowie wciąż spierali się zażarcie.

– Ha'analo – mówił Rukuei – przestudiowałem wszystkie zapiski! Jest tam wiele rzeczy, których nie rozumiem. Zbyt wiele słów i pojęć, które nie są dla mnie jasne. Ale wiem, że cudzoziemcy przybyli tu kiedyś z powodu naszej muzyki, a teraz wrócili. Musimy ich poznać...

– A jeśli to całe gadanie o muzyce Boga jest zwykłą bzdurą? – zapytała Ha'anala, starając się ignorować buczenie Izaaka, coraz głośniejsze i coraz bardziej natarczywe. – Jeśli się mylimy...

Tiyat zdecydowała się przemówić po raz pierwszy.

– To nie jest żadna bzdura! Ktoś myśli... – Urwała, onieśmielona i jednocześnie zawstydzona swoją nieśmiałością, zwłaszcza w tej szczególnej sprawie. Tiyat uwielbiała muzykę, którą znalazł Izaak; była to jedyna muzyka, której mogła słuchać i która ją zmieniła. – Uważam, że ci cudzoziemcy powinni posłuchać tej pieśni. Są jej częścią!

– I mogą okazać się pożyteczni w kilku innych sprawach – zauważyła Suukmel. Jej zmysł praktyczny służył już kiedyś dwóm rządóm, i to służył dobrze. – Mogą wrócić na południe i namówić ich do negocjacji z nami...

(Uuuuuunh!)

– A niby dlaczego mieliby się zgodzić przyjść najpierw; tutaj, nie mówiąc już o udzieleniu nam pomocy? – zapytała Ha'anala. – Sofia zatrąła im umysły, podburzyła ich przeciw nam!

Uznają nas za morderców, złodziei i...

– Wcale nie muszą się zgodzić – powiedział Shetri, spoglądając na swoją kolekcję narkotyków.

– Trudno zrobić sprzymierzeńca z kogoś, kogo się uprowadza! – krzyknęła Ha’anala, stawiając uszy.

(Uuuuuunnh)

– Byłem wszędzie, tylko nie na południu – powiedział Rukuei, podnosząc głos, by przekrzyczeć buczenie Izaaka. – Chcę się spotkać z innymi na ich terenie. Jeśli mam zrozumieć, muszę słyszeć, jak mówią swobodnie...

– Poza tym – stwierdził Shetri nieco ostrzejszym tonem – Rukuei zna się na podstępach.

Któż potrafi kłamać bardziej przekonująco od poety, który wywodzi swą pieśń z głodu i śmierci?

Ha’anala spojrzała na niego gniewnie, ale nie chciała dać za wygraną.

– To szaleństwo, Shetri – powiedziała sucho. – To zbędne zagrożenie dla ciebie i Rukueiego.

Niech idą Tiyat i Kajpin... i (Uuuuuuuunnh...)

– Dwie różne głowy łatwiej rozwiążą problem niż jedna – stwierdziła Tiyat, omiatając spojrzeniem zgromadzonych. – A skoro dwie są dobre, trzy są jeszcze lepsze, więc powinniśmy wyprawić się po cudzoziemca. (Uuuuuuuuuunnnnnh...)

– Żółta poświata rozlała się na południowym wschodzie, ale ziab nie zmałał, nawet kiedy wzeszło drugie słońce Rakhatu. Kajpin wstała i ziewnęła, prostując kości i przeciągając się ze znużenia.

– Nie otwierajcie ust, nie zdejmujcie butów i trzymajcie ręce w rękawach – poradziła Shetriemu i Rukueiemu. – Bo jak nie, to Tiyat i ja sprowadzimy wam parę VaHaaptów.

– Kajpin potrafi kłamać jak poeta – stwierdziła Tiyat z powagą, a przyjaciółka nagrodziła ją za to lekkim chlaśnięciem ogonem.

– Każde zło można obrócić na własną korzyść – powiedziała Suukmel.

Spojrzała na ruńskie maleństwo zwinięte w kłębek na jej podołku – syn Tiyat, który tak przypominał swoją matkę: spokojny, ale odważny i uparty, gdy mu się sprzeciwiło. To dziecko nigdy nie zrezygnuje ze swojego prawa do użycia słowa „ja” wobec kogokolwiek. Zawsze będzie czuło się równe każdemu. Tego właśnie pragnęli mieszkańcy doliny N’Jarr: żeby takie były ich wszystkie dzieci.

– Niech idą, Ha’analo. Będzie dobrze. Niech idą.

Ha’anala milczała, tuląc do siebie SofTale. To walka, myślała, walka, w której stoją naprzeciw siebie Ingwy i Adonaj. Los przeciw Opatrzności, w miejscu, w którym Los rządził tak długo...

Potem zdała sobie sprawę, że Izaak przestał buczeć. Był nagi jak zawsze, ale nigdy nie sprawiał wrażenia, że mu zimno. A może było mu zimno, ale nie zwracał na to uwagi. Spojrzał w oczy Rukueiego, trwało to ułamek sekundy.

– Przeprowadź kogoś, kto śpiewa – powiedział.

Dolina N’Jarr: 2085 czasu ziemskiego

– Myślę, że Shetriemu udałooby się zachować anonimowość, ale w moim pasierbie można było z daleka rozpoznać Jana’atę – powiedziała Suukmel Seanowi Feinowi wiele lat później, wspominając opis tej wyprawy, jaki dał Rukuei. – Więc trzymali się historyjki wymyślonej przez Kajpin: że Rukuei jest zwolennikiem Athaansiego Erata, wziętym do niewoli podczas łowieckiej wyprawy na jakąś wioskę, a Shetri łowcą nagród, który oddawał swoje zdolności tropicielskie na usługi policji w zamian za mięso ruńskich przestępców. Prowadzą Rukueiego do Gayjuru, żeby go tam wypytano o rozmieszczenie naszych sił.

Po drodze spotykali Runów, którzy obrzucali swojego bezbronnego wroga kamieniami i obelgami. Inni wymierzali mu kopniaki, przed którymi Tiyat i Kajpin broniły go dość skutecznie, ale bez przesadnej zawziętości, aby się nie zdradzić. Zanim dotarli do najdalej na północ położonego spławnego dopływu rzeki Pon i wynajęli prywatną łódź, Rukuei poznał słony smak własnej krwi po wybitym zębie. Pewien stary Runao szedł jednak za nimi przez długi czas.

W końcu, pewnego ranka postanowili na niego zaczekać.

– Powiedział im, że nigdy się nie spodziewał, że dożyje tak sędziwego wieku – wspominała Suukmel. – Rukuei był tym bardzo wzruszony.

„Czyjeś kości bolą”, powiedział im starzec. „Czyjeś dzieci; odeszły do miast. Niech *djanada* weźmie tego jednego!”, błagał Tiyat. „Ktoś jest zmęczony samotnością i bólem”.

Tiyat popatrzyła na Kajpin, a potem obie spojrzały na Rukueiego, który od wielu lat nie jadł mięsa Runao. Kajpin pchnęła Rukueiego teatralnym gestem, aby szedł dalej. „Słusznie”, powiedziała głośno Tiyat, „niech *djanada* zdycha z głodu”. Ale Rukuei uznał, że nie zdradzi się, jeśli zawoła do starca: „Dziękuję!

Dziękuję ci za twoją ofiarę...” I potknął się, kiedy Shetri wymierzył mu mocnego kuksańca.

– W niektórych miejscach spotkali prawdziwych sprzymierzeńców – mówiła Suukmel Seanowi. – Tu i ówdzie oferowano im nocleg albo ukrywano w szopie i opowiadano Rukueiemu i Shetriemu o jakimś dawno zmarłym Jana’acie, który był dobry. Ale takich było niewiele.

Przeważnie spotykali się z obojętnością. Od czasu do czasu z pewnym zaciekawieniem, ale zwykle z całkowitą obojętnością, jakby ich w ogóle nie zauważano. Na moim pasierbie robiło to duże wrażenie: Runowie żyli tak, jakbyśmy nigdy nie istnieli.

– O pani, błogosławieni z Trzeciego Błogosławieństwa naprawdę posiadli świat i nabrali o sobie bardzo wysokiego mniemania. Wy, Jana’atowie, psuliście im tę iluzję – powiedział jej Sean – więc udawali, że nigdy nie byliście dla nich ważni.

Jana’atowie są samotni, pomyślał wtedy Sean, jak bogowie, których czciciele stali się ateistami. I nagle zrozumiał, z porażającą pewnością, że to nie bunt, zwątpienie lub grzech ranią serce Boga, tylko obojętność.

– Nie oczekujcie wdzięczności – ostrzegł Suukmel. – Nie oczekujcie nawet uznania! Oni już nigdy nie będą was potrzebowali, zresztą nigdy nie byliście im potrzebni. Za sto lat możecie być tylko wspomnieniem. Sama myśl o was nappełni większość nich wstydem i nienawiścią.

– Wtedy naprawdę przestaniemy istnieć – wyszeptła Suukmel.

– Może – powiedział ten twardy mężczyzna. – Może.

– Jeżeli nie widzisz dla nas ratunku, to po co zostałeś? – zapytała. – Żeby patrzeć, jak umieramy?

Może, już chciał jej odpowiedzieć. Ale przypomniał sobie swojego ojca, z oczami jarzącymi się tą niezmaconą wesołością, którą Maura Fein tak kochała i którą podzielała, jak kręcił głową na wiadomość o jakimś haniebnym przykładzie ludzkiej głupoty, ludzkiej zdolności do ściągania na siebie nieszczęść. „Ach, Sean, mój chłopcze”, mówił wtedy David Sean do syna, „tylko irlandzki Żyd potrafi zdać sobie sprawę z tej nieprawdopodobnej buty!”

Sean Fein wpatrywał się przez jakiś czas w blade północne niebo i myślał o miejscu, w którym żyli jego przodkowie. Był jezuitą i bezżennym księdzem, jedynakiem: ostatnim ze swojego rodu. Spojrzał na wydłużoną, szarą twarz Suukmel i odezwało się w nim współczucie dla głupców, którzy spodziewali się znaleźć sprawiedliwość i sens – w tym świecie, nie w przyszłym.

– Mój ojciec był potomkiem starożytnych kapłanów, moja matka córką pradawnych królów – powiedział. – Ich lud mógł już dawno wymrzeć. Tysiące razy byli bliscy unicestwienia samych siebie, bo nie potrafili wyzbyć się skłonności do kłótni politycznych, do moralnego zadufania.

Nie potrafili wyzbyć się śmiertelnej odrzy do kompromisu. Tysiące razy mogli stać się wspomnieniem tylko dla Boga.

– A jednak żyją?

– Przynajmniej żyli, kiedy ostatnio tam byłem. Tylko tego mogę być pewny.

– Więc i my możemy przeżyć – powiedziała Suukmel ze słabym przekonaniem.

– Tak, kurwa, możecie, a jakże – mruknął Sean po angielsku, przypominając sobie kuplet Disraelego: „Jakże dziwnym Bóg jest Bogiem, skoro Żydzi są Jego narodem”. – Moja wielce czcigodna pani Suukmel – powiedział swoim dziwnie akcentowanym *K’sanem*: – Jedno mogę powiedzieć z całkowitą pewnością: nikt nie wie, kogo Bóg polubi.

34

RAKHAT – LĄDOWANIE październik 2078 czasu ziemskiego

Nawet gdyby Sean Fein miał jakieś złudzenie co do tego, że na Rakhacie wszystko odzyska swój sens, utracił je w godzinach poprzedzających lądowanie *Giordana Bruna* na powierzchni planety.

Prawa i mechanizmy chemii były dla niego największym cudem tego świata, ale musiał ulec fizyce lotu, a zawsze się spodziewał, że jego wrodzony pesymizm zostanie nagrodzony straszliwą katastrofą każdego pojazdu powietrznego, na którego pokładzie się znajdzie.

Zachował więc specjalnie na tę okazję butelkę Jamesona i spędził ostatnie godziny na *Brunie*, przygotowując się duchowo na to, że powita swojego Pana i Zbawiciela kajaniem się za nadużycie alkoholu.

Poczucie nieważkości i zimna zdominowało ostatni etap opuszczania próżni przestrzeni kosmicznej. Był jeszcze krótki, błogosławiony okres małej grawitacji i podwyższania się temperatury, ale po nim nastąpiło odczuwalne przyspieszenie. Kiedy znaleźli się w atmosferze, wahadłowiec wpadł w wibrację, a potem zaczął podskakiwać jak skorupka na wzburzonym morzu.

Alkohol zawiódł go. Znękany mdłościami, ze smakiem waty w ustach, Sean spędził lot, na przemian wzywając wstawiennictwa Najświętszej Dziewicy i odmawiając litanie złożoną z najgorszych irlandzkich przekleństw, z zamkniętymi oczami i cuchnącymi rękami. Kiedy już się wydawało, że nie może być gorzej, uderzyli w ścianę złego powietrza pozostawionego przez ostatnią tropikalną burzę, a kiedy temperatura wchodzenia w atmosferę podniosła się do żaru, jego ciało, zlodowaciałe ze strachu i złane potem, rozpaczliwie walczyło z gorączką.

Dlatego pierwszym członkiem załogi *Giordana Bruna*, który postawił nogę na Rakhacie, nie był Daniel Żelazny Koń, przełożony misji, ani Joseba Urizarbarrena, ekolog marzący o ujrzeniu tego nowego świata, ani Emilio Sandoz, który znał ten świat i mógł najszybciej zareagować na jakieś zagrożenie, ani John Candotti, pragnący być u jego boku na wypadek, gdyby choroba ponownie zaatakowała; nie był nim również konkwistador Carlo Giuliani czyjego ochroniarz Niccolo d'Angeli. Był nim ojciec Sean Fein z Towarzystwa Jezusowego, który przepchnął się na przód kolejki i opuścił prom, gdy tylko otworzył się wąż, i po czym przeszedł chwiejnie parę kroków i padł bezwładnie na kolana, wymiotując przez dobre dwie minuty.

Mogli mieć nadzieję na bardziej pomyślny początek ich pobytu na obcej planecie.

W każdym razie to Seanowi zawdzięczali, I że pierwsze słowa wypowiedziane przez członka ich misji na Rakhacie były czymś w rodzaju modlitwy.

– Dobry Boże – wydyszał, kiedy mu trochę ulżyło – to było straszne marnotrawstwo dobrego alkoholu.

Dopiero kiedy Sean przysiadł na piętach, odchrząknął, splunął i złapał oddech, mogli oderwać uwagę od jego niedoli i spojrzeć na rozciągający się na południe od Inbrokaru płaskowyż, który Sofia Mendes poleciła im jako miejsce lądowania.

– Zapomniałem – szepnął Emilio Sandoz, odchodząc z innymi od rozgrzanej powłoki wahadłowca, od smrodu paliwa i wymiotów, i wdychając wonny wiatr. – Zapomniałem.

Zamierzali wylądować wcześniej, tuż po wschodzie pierwszego słońca Rakhatu, przed parnym upałem dnia, ale pogoda była niezwykle kapryśna o tej porze roku i burze dwukrotnie opóźniły lądowanie. W końcu Frans wykrył przerwę w deszczu i Carlo polecił mu zejść z orbity, choć kiedy wylądowali, zbliżał się już drugi zachód słońca.

Tak więc przez przypadek przybyli na Rakhat w najpiękniejszej porze dnia, kiedy przedwieczorny chorał dzikich zwierząt oznajmiał swoje istnienie nieczułemu światu, upojonemu własną wspaniałością. Na wschodzie daleki krajobraz przysłały woale szarego deszczu, ale nad widnokręgiem wisiały jeszcze dwa słońca, tuż ponad białą wapienną krawędzią koryta rzeki Pon, które zalewały okolicę swoim przejrzystym blaskiem, sprawiając, że wszystko iskrzyło się jak skrzynia pełna klejnotów: diamentów kropli deszczu i złota obłoków, ametystów, akwamarynów i szmaragdów bujnej roślinności, rubinów, szafirów i topazów nieokiełznanego kwitnięcia. Samo niebo mieniło się jak opal barwami żółci, różu, jasnego fioletu i błękitu szat Najświętszej Dziewicy.

– Co to za zapach? – zapytał John, stając obok Emilia.

– Jaki? – zawołał Joseba, który na widok zapierającej dech panoramy lawendowej sawanny zapomniał o degradującej funkcji rolnictwa.

Zaledwie kilka kroków od niego rozpościerało się miejsce pracy, której można było poświęcić resztę życia. Gleba ożywiona fauną drobnych kręgowców, powietrze rojące się od latających stworzeń, których przejrzyste skrzydła rozbłyskiwały jasnością, kiedy krążyły w ukośnym świetle słońca. Oszołomiony tym bogactwem, Joseba powstrzymywał się z trudem, by nie wyznaczyć sobie metra kwadratowego i od razu nie zabrać się do badań: chciał to wszystko wchłonąć, posegregować, oswoić, poznać.

– Jak w sklepie z perfumami! – zawołał Nico.

– Ale zwłaszcza ten jeden zapach... – powiedział John, szukając słów. – Jak cynamon... tylko bardziej... kwiatowy.

– Tak, wspaniały – zgodził się Carlo. – Poznaję go... Konsorcjum Kontakt załadowało na pokład *Stelli Maris* wstążki z tym zapachem, kiedy odsyłali Sandoza na Ziemię.

Emilio rozejrzał się i podszedł do kępki karłowatych zarośli. Zerwał trąbkowaty kwiat, o szkarłatnych płatkach maku z jakiejś narkotycznej wizji, i podsunął go Johnowi, który pochylił się, by powąchać.

– Tak, to jest ten zapach. Jak to się nazywa? – zapytał, podając kwiat Seanowi, który cofnął się, wciąż czując się nie najlepiej.

– *Yasapa* – odpowiedział Emilio. – A co znaczy *yasapa*?

John porozdzielał słowo na kawałki.

– *Ya s ap a...* Ty możesz zrobić herbatę z tego! – przetłumaczył triumfalnie.

Zadowolony ze swojego ucznia pokiwał głową, kiedy Carlo sięgnął po kwiat, uniósł go obiema dłońmi do twarzy i odetchnął głęboko.

– Runowie napełniają tymi kwiatami szklany dzban, nalewają wody i stawiają w słońcu... Za słodkie, jak na mój gust – powiedział Emilio – ale oni herbatę też słodzą. Jeśli postoi trochę dłużej, fermentuje. Można to przepędzić i wychodzi coś w rodzaju brandy.

– Tak jak przewidywałem! – ucieszył się Carlo. – Jesteśmy tu niecałe pół godziny, a ty już zapłaciłeś za całą wyprawę – powiedział do Sandoza, przyglądając się kwiatowi. – Cudowny kolor... – Nagle urwał i kichnął potężnie.

– *Crisce sant* – zaintonował Nico.

Carlo kiwnął głową i zaczął od nowa:

– Czy ta brandy jest... – Znowu urwał, zamknął oczy i tym razem kichnął kilka razy pod rząd, a Nico pobłogosławił każdą małą detonację.

– Dzięki, Nico, myślę, że jestem już dostatecznie uświęcony. Czy brandy ma taki sam kolor? – Udało mu się w końcu dobrnąć do końca, po czym znowu kichnął. – Boże! – zawołał – Chyba się nie przeziębilem!

– To ten cholerny kwiat – powiedział Sean, krzywiąc się z powodu zbyt esencjonalnego zapachu.

– Albo gazy spalinowe z wahadłowca – podsunął Danny. Carlo kręcił przez chwilę głową, a potem kontynuował swoją myśl.

– Czy ta brandy też ma taki kolor? Popyt będzie ogromny...

– Tylko nie dopuszczaj do tego jezuitów – ostrzegł go Danny, kiedy Carlo ponownie wystrzelił serią kichnięć. – Tylko raz próbowaliśmy prowadzić wytwórnię win i skończyło się bankructwem. Z drugiej strony, byłoby dobrze stworzyć benedyktynom trochę niezdrowej konkurencji...

Carlo zachwiał się gwałtownie, jakby go coś ugodziło.

– *Possa sa' l'ultima!* – wystękał, przykrywając rękami usta, które mu dziwnie zdrętwiały.

Poczuł pieczenie w oczach, z których popłynęły łzy.

– Rzuć ten kwiat! – usłyszał głos Seana.

– Zabierz go od twarzy! – rozkazał Sandoz.

Carlo zrobił to, ale kichał dalej, a oczy całkiem mu zapuchły...

– Ostatni raz wybrałem się z wami na piknik – szydził John.

– Sean rzyga, Carlo jest uczulony na kwiaty...

– *Padrone*, czy coś ci jest? – zapytał Nico. Nie doczekał się odpowiedzi, więc zwrócił się do Emilia: – Czy coś się stało?

I nagle rozpętało się piekło. Emilio krzyknął:

– Dajcie zestaw przeciwanafilaktyczny! Na Boga, szybko! On pada!

Carlo runął na ziemię, rozpaczliwie chwytając powietrze przez zamykającą się krtkań.

– Przewróć go na plecy! – krzyknął Emilio do Johna. – Masaż serca!

A potem Carlo zsiniał, a Nico zaczął szlochać. Sean próbował go uspokoić, a Emilio odwrócił się, założył ręce na piersiach i spacerował przez kilkanaście sekund, podczas gdy Joseba zmienił Johna przy Carlu, rytmicznie ugniatając mu klatkę piersiową.

– Danny... szybko! – zawył Emilio, kiedy Żelazny Koń ukląkł tuż przy nieruchomym ciele Carla. – Czerwona strzykawka – dodał napiętym głosem, patrząc, jak Danny grzebie w neseserze. – Tak! Ta. Prosto do serca. Ucieka nam...

Jeszcze mówił, kiedy na twarzy Carla pojawił się rumieniec, a urywany oddech powrócił bez pomocy Joseby. Zawieszeni w czasie, wszyscy przypatrywali się w milczeniu, jak zaczyna działać uderzenie efedryny.

– Jezu... – szepnął John. – On był już martwy.

– W porządku – powiedział Emilio, sam wracając do życia.

– Zanieście go do promu i zamknijcie włącz... Tutaj jest wciąż wystawiony na to świństwo.

– Nico – odezwał się Sean bezbarwnym głosem – bądź dobrym chłopcem i zrób na pokładzie trochę miejsca dla don Carla.

Nico, wciąż przerażony i załzawiony, był jednak jak zawsze gotów spełnić każdy bezpośredni rozkaz. Pobiegnął do wahadłowca, by otworzyć włącz luku towarowego, a John, Sean i Joseba zanieśli tam Carla.

– Jeśli się ustabilizuje, może mu to wystarczy – powiedział Emilio Johnowi, gdy szli za tamtymi. – Ale jeśli znowu straci oddech, spróbuj wstrzyknąć mu aminofylinę, dobrze?

Kiedy reaktywowali systemy wahadłowca i filtry zaczęły oczyszczać powietrze we wnętrzu, Carlo przyszedł do siebie.

– Cała atmosfera musi być naładowana pyłkami, łuskami i Bóg wie czym jeszcze – usłyszał głos Joseby.

– Nie, to na pewno *yasapa* – powiedział Emilio. – Anafilaksja wymaga przynajmniej dwóch kontaktów z alergenem, a on rozpoznał ten zapach...

Czując ścisk w gardle i nic nie widząc przez zapuchnięte oczy, Carlo zdołał usiąść; ktoś chwycił go pod pachy, postawił na nogi i pokierował do fotela. Wyczerpany i zdezorientowany szepnął:

– To było naprawdę ekscytujące.

– O, tak, z pewnością – usłyszał głos Sandoza. Nie widział go, ale z łatwością go sobie wyobrażał, jak potrząsa głową, a srebrne włosy opadają mu na oczy. – Gdybym miał wybrać ze wszystkich osób żyjących na dwóch planetach, którym mógłbym uratować życie, ciebie, don Carlo, umieściłbym na samym końcu mojej listy. Jak się czujesz?

– Kiepsko, ale lepiej, dzięki. – Carlo próbował się uśmiechnąć i poczuł, że całą twarz ma opuchniętą. Muszę wyglądać jak Frans, pomyślał, ale już coś widział i oddychał o wiele łatwiej.

A potem sobie przypomniał. – Twój sen, Sandoz! Powiedziałaś, że mnie nie było w mieście umarłych...

– Tak, i obawiam się, że nie będzie cię również w mieście Gayjur – odrzekł sucho Sandoz. – Wysyłam cię z powrotem na *Bruna*. Danny leci z tobą jako medyk, na wypadek, gdybyś znowu miał zapaść. John będzie pilotował...

– Sandoz, nie przebyłem tej całej drogi po to...

– Żeby umrzeć z powodu anafilaksji – skończył za niego Emilio. – A właśnie to niemal zrobiłeś. *Yasapa* kwitnie przez cały rok. Możesz później spróbować jeszcze raz... może John przerobi ci skafander ciśnieniowy. Ale teraz doradzam powrót na statek macierzysty. Oczywiście decyzja należy do ciebie.

– Zgoda – rzekł Carlo, który nigdy nie przeciwstawiał się zbyt długo faktom. – Przekażcie zmianę planów pani Mendes i ściągnijcie Fransa jako pilota zapasowego. Myślisz, że brandy z *yasapy* mogłaby działać na ludzi tak, jak ten kwiat na mnie?

– Będziemy musieli umieścić nalepki ostrzegawcze na butelkach, które pójdą na eksport... Pijesz na swoje ryzyko. Założę się, że popyt wzrośnie! Czynniki zagrożenia...

– Jeszcze się urznieś, mistrzu – przerwał mu Danny. – Zamierzam przenieść cię do kokpitu. Musimy otworzyć luk towarowy, ale tobie nic się nie stanie, bo będziesz bezpiecznie zamknięty z przodu. Jak tylko rozładujemy, wracasz na *Bruna*.

Ukryta w cieniu wapiennej skarpy grupka zamarłych ze strachu wędrowców po raz drugi usłyszała straszliwy ryk, który dobiegał z ciemniejszej równiny. Tym razem ujrzeli klinowaty obiekt mechaniczny, który podnosił się powoli na słupach ognia; jego poczerwiała skorupa chwyciła ostatnie promienie drugiego słońca. Patrzyli, oniemiaли, jak prom osiągnął wysokość pozwalającą mu na uniesienie dzioba, zmienił ustawienie dyszy i wystrzelił prosto w górę, a potem ponownie się przechylił i poszybował w niebo. Wkrótce, pogrążeni w ciemności, słyszeli tylko chlupotanie wody o burtę ich łodzi.

– Tańczące stopy Sti! – zaklął Shetri Laaks, kiedy dosięgła ich fala spalin. – Co za smród! Ci ludzie muszą mieć martwe nosy.

– Dlaczego wracają tak szybko? – zdziwiła się Kajpin. – Myślałam, że mają tutaj czekać na eskortę z Gayjuru.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Tiyat. – Wracamy do...

– Cicho! – szepnęła Rukuei, kierując uszy ku równinie. – Słuchajcie!

Z początku słyszeli tylko zwykły zgiełk prerii, kiedy już ucichł ryk maszyny i kiedy wiatr przegonił dym: piski, skrzeki i skowyty zwierząt zamieszkujących wysokie trawy, znowu radujących się spokojem.

– Tam! Słyszycie? – zapytał Rukuei. – Nie wszyscy wrócili!

– Śpiewają! – wyszeptła Tiyat. – Izaak będzie zachwycony.

– *Sipaj*, Kajpin, odpływamy! – powiedział Shetri nagłym tonem. – Wiatr wieje od nas!

Rukuei, czy orti w ogóle mają węch?

– Nie taki jak my, ale coś czują. Może powinniśmy zatoczyć koło, żeby podejść do nich pod wiatr. – Nic już nie widział. – Albo poczekajmy do rana.

Rozległ się plusk i łodzią zachybotało, kiedy Kajpin skierowała łódź ku wschodniemu brzegowi, nie pytając nikogo o zdanie.

– Jaka ciepła woda! – krzyknęła Tiyat, która wyskoczyła z łodzi, aby pomóc Kajpin przeciągnąć ją do wystającego z brzegu pnia *marhlaru*.

– Wy dwaj nasłuchujcie radia – poleciła Kajpin Shetriemu i Rukueiemu. – My wejdziemy na górę i rozejrzemy się wokół.

Po chwili usłyszeli ciche wołanie Tiyamat:

– Jest ich trzech!

– Złaź do łodzi! – prychnęła kpiąco Kajpin, leżąc na brzuchu tuż obok niej. – Czterech!

Widzisz? Tam, przy szalasi, siedzi dziecko.

– Tłumacz? – zapytał Shetri, wyciągając głowę, żeby je lepiej słyszeć z dołu.

– Nie, oni nie używają dzieci jako tłumaczy – wyjaśnił im Rukuei. – W każdym razie nie robili tego, kiedy byli tu poprzednim razem. Ale niektórzy dorośli są mali. – Skupił uwagę na monitorze radiowym, ale podniósł głowę, gdy usłyszał kilka tonów pieśni. – O, ten będzie dla Izaaka. Widzicie, który z nich śpiewa?

Wywiązała się kolejna dyskusja.

– *Sipaj*, Kajpin, może twoja babka parzyła się z jakimś *djanada*! Przecież ty jesteś ślepa! – szydziła Tiyan. – To ten, co gotuje. Popatrz na usta! Inni tylko gawędzą. Kucharz... widzisz? Jego usta są otwarte dłużej, kiedy wydobywa się śpiew.

Rozległ się chrobot, kiedy obie Runki ześliznęły się na brzeg po skarpie. Rukuei, wsłuchany w radio, gestem nakazał im milczenie.

– Jeden z nich zachorował, więc zabrali go z powrotem – oznajmił, kiedy transmisja się skończyła. – Reszta wciąż czeka na eskortę, żeby wyruszyć do Gayjuru.

– Więc mamy trzech dorosłych i jedno dziecko... albo jakiegoś małego, kimkolwiek on jest – powiedziała Kajpin, strzepując pył z kolan i włączając do łodzi. – Na wschodzie jest czarny deszcz, ale VaGayjuri mogą się pokazać, kiedy tylko się przejaśni. Mówię: Poczekajmy, aż cudzoziemcy zasną, złapmy tego śpiewaka dla Izaaka i wracajmy.

– Inni się obudzą! – sprzeciwiła się Tiyat. – Przecież wiesz, że Izaak widzi w nocy. Oni nie są tacy jak *djanada*.

– Więc schwytajmy wszystkich! Nie wyglądają na takich, co potrafią walczyć...

– Nie – sprzeciwił się stanowczo Rukei. – Ha’anała miała rację... Nie zdobędziemy sprzymierzeńców, podkradając się i porywając ich jak zwierzynę.

– Po prostu zaprośmy ich na śniadanie! – nalegał Shetri. – *Sipaj*, cudzoziemcy, taką mieliście długą podróż! – wyszeptał piskliwym ruńskim falsetem, aż Tiyat musiała zdusić w sobie śmiech. – Przyłączycie się do nas? – Shetri od samego początku upierał się przy takim planie i był przekonany, że będzie skuteczny. „Upieczcie kilka korzeni *betrinu*... Izaak lubi *betrin*”, przekonywał w dolinie. „Wystarczy domieszać parę ziaren *othratu* do przyprawy i będą spać przez całą drogę do N’Jarru!

– Posłuchajcie tej pieśni – szepnął Rukuei. Wiatr wzmógł się, kiedy najmniejsze słońce zniknęło za horyzontem, i przyniósł ku nim dźwięki *L’elsir d’amore*. – *Sipaj*, Tiyat, co o tym sądzisz?

– Masz jakiś pomysł?

– Mówię: Poczekajmy do rana, żebyście i wy ich widzieli. Przy robieniu planów dwie głowy są lepsze od jednej.

Co było stwierdzeniem słusznym, tyle że wszystko potoczyło się inaczej, niż zaplanowali.

– *Signora* – powiedział Carlo trzy dni później – zapewniam cię, że są w miejscu, którego współrzędne nam przekazałaś...

– Ich tam nie ma – powtórzyła Sofia, przerywając mu. Jej głos był wyraźny i mocny, pomimo potężnej burzy elektromagnetycznej nad Gayjurem, która sprawiała, że następowały krótkie przerwy w transmisji. – Eskortadonosi, że zlokalizowali miejsce lądowania. *Signor* Giuliani, moi ludzie mówią, że obóz cuchnie krwią, ale nie ma żadnych ciał.

– O Boże – szepnął Candotti, obejmując się ramionami i krążąc wzdłuż ściany sterowni. – Wiedziałem, że powinniśmy tam wrócić!

– Nie panikuj, stary – uspokajał go Danny, ale i on gorączkowo rozważał fakty. Trzy dni podłej pogody i krótkie meldunki od grupy, która została na Rakhacie: „Wszystko w porządku”.

Żadnych szczegółów.

– *Signora*, każdy z członków załogi ma wszyty mikronadajnik – powiedział Carlo, który zdecydował się na to, by uniknąć losu załogi Konsorcjum Kontakt. Obserwował, jak Frans Vanderhelst wyświetla lokalizacje nadajników na powierzchni planety. – Sprawdzamy lokalizacje, o których mówię, ale nie ma powodu, by sądzić...

– Co, do cholery... – mruknął Frans.

Carlo zaklął krótko.

– *Signora*, mamy trzy mikronadajniki, dokładnie w tym miejscu, którego współrzędne razem ustaliliśmy. Nie ruszyły się stamtąd od sześćdziesięciu ośmiu godzin... To nie ma sensu. Wczoraj wieczorem mieliśmy z nimi kontakt radiowy. Zaraz. Jest czwarty... Jakieś dwieście czterdzieści kilometrów na północny wschód od miejsca lądowania.

– Czyj to jest nadajnik? – zapytała Sofia napiętym głosem.

– Sandoza – odpowiedział Frans.

Rozległ się jęk Johna i coś podobnego do długiego warknięcia w głośniku. Carlo wciąż studiował dane z mikronadajnika.

– Tak – powiedział. – Nie ma wątpliwości. Sandoz ruszył na północ prawie trzy dni temu.

– Wzięli go jako zakładnika. Inni są martwi... albo jeszcze gorzej!

– *Signora!* Proszę! Oni...

– Dlaczego nie porównaliście lokalizacji mikronadajnika ze źródłem transmisji radiowych? – zapytała Sofia. – Już dawno powinniście zdać sobie sprawę, że coś jest nie tak!

– Nie przyszło mi to na myśl – powiedział Frans. Ściągał już transkrypty, żeby zobaczyć, czy czegoś nie przeoczył, chcąc znaleźć jakieś rozwiązanie. – Nie wspominali, że coś się stało!

– *Signora*, proszę! To są pochopne wnioski! – krzyknął Carlo. Sam nie należał do tych, którzy się wahają, ale Mendes wyraźnie wyprzedzała myślami wszystko, co zostało powiedziane. – Mieliśmy z nimi kontakt radiowy wczoraj wieczorem!

– Rozmawialiście ze wszystkimi?

– Tak, choć nie w jednej transmisji.

– A więc na pewno mówili pod przymusem – warknęła Sofia, rozwścieczona powolnością ich myślenia. – Wyrwali im mikronadajniki...

– *Signora*, skąd ktokolwiek... – ...i dlatego nie wskazywały żadnego ruchu przez trzy dni.

Komuś się udało porwać Sandoza, a oni...

– Jeden z moich ludzi wciąż tam jest – przerwał jej Carlo, starając się powstrzymać jej potok myśli. – Nico otrzymał rozkaz strzeżenia szczególnie Sandoza. Gdyby Sandoz był w niebezpieczeństwie, Nico by mi powiedział.

W obozie były ślady krwi – przypomniała mu Sofia. – *Signor* Giuliani, oni są zakładnikami.

Na północy, w górach, są jeszcze renegaci. Nie chcieliśmy ich likwidować, ale teraz... Koniec – powiedziała prawie do siebie, a jej gniew nabrzmiał jak chmury burzowe nad Gayjurem, miotające błyskawice, które powodowały trzaski i przerwy w transmisji. – To już koniec. Koniec napadów, złodziejstwa, kłamstw. Koniec porywania, morderstw... Wezwę nasz lud i, na Boga, położę temu kres. *Signor Giuliani*, wyruszam na północ z wojskiem, żeby ich odbić. Będzie mi potrzebny stały monitoring pozycji mikronadajnika i nasłuch kontaktów radiowych z grupą na Rakhacie. Zrozumiał pan? Będziemy tropić tych jana'atańskich bękartów aż do ich legowiska i skończymy z tym raz na zawsze.

35

DORZECZE RZEKI PON październik 2078 czasu ziemskiego

Emilio Sandoz pierwszy dostrzegł czterech wędrowców zbliżających się do obozu od zachodu. Wszyscy mieli na sobie szaty i wysokie buty ruńskich kupców z miasta, więc nie miał powodu, by wątpić w ich tożsamość.

– Mamy gości – oznajmił i wyszedł im na spotkanie z Nikiem przy boku. Sean i Joseba poszli za nimi.

Sandoz się nie bał. Sofia wciąż go zapewniała, że na południe od gór Garnu nie ma żadnych *djanada*, a Nico był uzbrojony.

Wyciągnął obie ręce dłońmi do góry, jak witali się Runowie, i przygotował na znajome ciepło długich palców, które spoczną w tych dłoniach, a potem przypomniał sobie o protezach i opuścił ręce.

– Czyjeś ręce nie nadają się do dotykania, ale ktoś wita was z dobrymi zamiarami – wyjaśnił.

Zerknął na Nica i szepnął: – Przywitaj się – a potem patrzył z zadowoleniem, jak uroczyste i całkiem poprawne „*Challalla khaeri*” Nica zostało zrozumiane i odwzajemnione przez dwóch Runów, którzy wysunęli się do przodu.

Spojrzał na Seana i Josebę i uśmiechnął się, widząc, że zamarli w miejscu i oniemiaли.

– Ci z przodu to kobiety – powiedział. – Ci z tyłu mogą być rodzaju męskiego. Czasami wołają, żeby to kobiety czyniły wszelkie honory. Powitajcie ich. – Kiedy wymieniono pozdrowienia, zwrócił się do przybyszów, jakby od dawna mieszkał na Rakhacie: – Tak długą mieliście podróż! Byłoby nam miło podzielić się z wami jedzeniem.

Tych dwóch z tyłu spojrzało po sobie, a Sandoz wstrzymał oddech i przyjrzał się mniejszemu. To nie był Runao, ale ktoś, kogo Emilio Sandoz widział w tyłu koszmarach sennych: mężczyzna średniego wzrostu, z fioletowymi oczami niezwykle piękności, które teraz zwróciły się w stronę Emilia i wpatrzyły w jego oczy z taką siłą i przenikliwością, że z trudem się powstrzymał, by ich nie opuścić.

To niemożliwe, pomyślał. To nie może być on.

– Ty jesteś... ty musisz być synem Emilia Sandora – usłyszał jego głos. To nie był ten głos.

Dźwięczny, wibrujący, piękny, ale nie ten. – Widziałem podobną twójego ojca. W zapiskach...

Na dźwięk języka *K'san* i widok kłów Jana'aty, które Rukuei obnażył przy mówieniu, Sean cofnął się. Nico wyciągnął broń, ale Joseba podszedł szybko i powiedział:

– Daj mi to.

Odbezpieczył broń i ze złością baskijskiego myśliwego odwrócił się i strzelił w coś podobnego do świni węszącego w pobliskich krzakach.

Wystrzał i kwik śmiertelnie ranionego zwierzęcia wywołał gwałtowną reakcję w królestwie stepowych zwierząt, a VaRakhani odskoczyli do tyłu z szeroko otwartymi oczami i stulonymi uszami. Joseba oddał broń Nicowi, który wycelował ją w Rukueiego, ale bacznie obserwował wszystkich przybyszów – teraz wyraźnie przerażonych. Joseba podszedł do martwego zwierzęcia, podniósł je za jedną nogę, pozwalając, by krew – jako przykład ich siły – ściekała na ziemię.

– Nie mamy wobec was złych zamiarów – oświadczył stanowczo – ale nie pozwolimy wam zrobić nam czegoś złego.

– Dobrze powiedziane – mruknął Emilio. Oddychał ciężko, ale Carlo miał rację: kule robią swoje. – Nie jestem tego kogoś ojcem – powiedział, patrząc na Rukueiego. – Jestem tym, którego imię wymienię: Emiliem Sandozem. Wystarczy moje jedno słowo, a ten człowiek, Nico, zabije każdego, kto nam zagrozi. Czy to jasne?

Wszyscy VaRakhati wykonali gesty potwierdzenia.

– Mój ojciec ciebie znał... – powiedział wymijająco Rukuei, wciąż oszołomiony.

– Można tak to ująć – odrzekł chłodno Sandoz. – Jak mam się do ciebie zwracać? – zapytał wojowniczym tonem arystokraty wyższej rangi. – Urodziłeś się pierwszy czy drugi?

Uszy Jana’aty lekko opadły do tyłu, a jego towarzysze zaczęły z zakłopotaniem szurać nogami.

– Jestem wolno urodzonym Jana’atą. Moja matka nie pochodziła z liczącego się rodu. Jestem Rukuei Kitheri.

– Boże wszechmogący – jęknął Sean Fein. – Kitheri?

– Jesteś synem Hlavina Kitheriego? – zapytał Sandoz, choć nie miał żadnych wątpliwości.

Cechy ojca za bardzo rzucały się w oczy, a Rukuei potwierdził to, unosząc podbródek.

– Kłamiesz – prychnął Sandoz. – Jesteś bękartem. – Było to świadome wyzwanie obliczone na sprawdzenie reakcji, poznanie punktu krytycznego. Wiedział, że Nico stoi przy jego boku. – Kitheri był resztarem i nie miał prawa do rozrodu.

Zbyt oszołomiony realnością tego spotkania, by zareagować tak, jak zrobiłby to w każdym innym przypadku, Rukuei po prostu opuścił ogon, ale wówczas wystąpiła czwarta osoba i ujawniła się również jako Jana’ata.

– Jestem Shetri Laaks. – Martwy *froyil* w ręku cudzoziemca wciąż ociekał krwią, więc Shetri przemówił łagodnym tonem, użył jednak dominującego zaimka, zapraszając cudzoziemców do dyskusji, na wypadek gdyby skłonni byli raczej do walki. – Rukuei jest kuzynem mojej żony i nie mogę pozwolić, by go obrażano w mojej obecności. Nie skłamał i nie jest bękartem, ale długo by trzeba śpiewać pieśń o jego urodzeniu. Sądzę, że naszym i waszym celem bardziej będzie sprzyjać powstrzymanie się od dalszych zniewag.

Zapanowało krępujące milczenie; obie strony czekały na odpowiedź Sandoza.

– Ja też tak sądzę – powiedział w końcu i napięcie nieco opadło. – Mówiłeś o celach – dodał, zwracając się do Shetriego.

Odpowiedział mu jednak Rukuei.

– Wiem, po co tu przybyliście – rzekł i natychmiast dostrzegł reakcję: przyspieszenie oddechu, skupienie uwagi. – Przybyliście, aby nauczyć się naszych pieśni.

– To prawda – odpowiedział mały cudzoziemiec. – A raczej kiedyś było to prawdą. – Zamilkł i wyprostował się, odrzucając głowę do tyłu, by spojrzeć na nich z oddali swoimi małymi oczami, czarnymi i obcymi, nie takimi, jak oczy Izaaka, które też były małe, ale niebieskie, jak normalne oczy, i które nigdy tak nie spoglądały. – Przybyliśmy tu, bo sądziliśmy, że śpiewacie o prawdzie i o ujawniającym się w prawdzie Rozumie. Chcieliśmy się dowiedzieć, jakie piękno objawił wam ten Prawdziwy Rozum. Okazało się jednak, że nie śpiewacie o żadnym pięknie – powiedział z pogardą. – Śpiewaliście o rozkoszy posiadania bezlitosnej władzy, o zadowoleniu płynącym z miażdżenia wszystkiego, co wam się sprzeciwia, o radości ze stosowania brutalnej siły.

– Od tamtych dni wszystko się zmieniło – powiedziała jedna z Runek. – Ta jedna nazywa się Kajpin – oznajmiła, przykładając obie dłonie do czoła. – Teraz taką władzę posiadają południowi Runowie. My, Va’Njarri, jesteśmy inni.

– Mamy wśród nas jednego, który poznał muzykę, o jaką wam chodzi... – zaczął Rukuei.

– Jeśli chcecie jej posłuchać, będziecie musieli pójść z nami – dodała szybko Tiyat. – Izaak pragnie, żebyście...

Cudzoziemcy żywo zareagowali.

– Izaak – powtórzył Sandoz. – Izaak to obce imię. Czy ten, o którym mówicie, jest jednym z nas?

– Tak – odrzekł Shetri. – On jest z waszego gatunku, ale nie jest taki jak jego matka i siostra...

– Siostra! – krzyknął Sandoz.

– Jego siostra, a moja żona, ma na imię Ha’anala, a jej macochą jest Sofia Mendes u Ku’in – ciągnął Shetri, nie zważając na wrzawę, która wybuchła wśród cudzoziemców.

– Znałeś ojca mojej kuzynki – powiedział Rukuei, mając nadzieję uspokoić Sandoza i jego towarzyszy. – Ha’anala jest córką siostry mojego ojca i Supaariego z Gayjuru...

– To wszystko strasznie śmierdzi – mruknął Sean. – Dlaczego Izaak nie przyszedł tu z wami? – zapytał w języku *K’san*. – Dlaczego nie porozumiał się ze swoją matką? Czy on wciąż żyje, czy wy tylko wspominaliście jego imię?

Nie czekając na odpowiedź, Joseba powiedział po angielsku:

– A jeśli jest ich zakładnikiem? Sandoz, jeśli oni go...

– Zakładnikiem! – krzyknęła Kajpin, zaskakując ich znajomością angielskiego. – To metoda Athaansiego!

– My nie bierzemy zakładników... – zaczął Rukuei.

– Nico – powiedział cicho Sandoz – rzuć go na ziemię.

Zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć, Rukuei Kitheri leżał na ziemi, krztusząc się lufą pistoletu, którą Nico wetknął mu w usta ze sprawnością zawodowca.

– Słuchaj mnie, Kitheri – powiedział Sandoz, klękając, żeby Rukuei słyszał jego szept – jeśli jesteś zmęczony życiem, skłamię mi teraz. Ilu was tutaj jest? Nico, pozwól mu mówić.

– Czwooro – odpowiedział Rukuei, czując w ustach smak stali. – Naprawdę. Tylko ci, których widzisz.

– Jeśli jest was więcej, każę zabić ciebie i ich... ciebie na końcu. Wierzysz mi? – Rukuei podniósł podbródek, rozszerzając ze strachu swoje i tak wielkie oczy. – Ja mówię: Trzymacie cudzoziemca Izaaka wbrew jego woli. Mówię: Wykorzystujecie go tak, jak twój ojciec wykorzystywał mnie.

– Oni są szaleni! – krzyknęła nad nim Tiyat.

Nie spuszczać wzroku z Rukueiego, Sandoz krzyknął:

– Chcę, żeby on mi odpowiedział! Mów, Kitheri: czy cudzoziemiec Izaak żyje?

– Tak! Izaak to osoba otaczana czcią wśród VaN’Jarri – odpowiedział Rukuei, z trudem przełykając ślinę. – Wiele lat temu z własnej woli porzucił południowych Runów. Jest wolny, może odejść lub pozostać. Woli być z nami. Lubi nasze pieśni...

– *Sipaj*, Sandoz, przecież mogliśmy was wziąć jako zakładników, kiedy spaliście! – powiedziała Kajpin, zbyt rozdrażniona tą nieoczekiwaną wrogością, by się kołysać. – To Rukuei nalegał, abyśmy byli wobec was szczyrzy! Eskorta z Gayjuru wkrótce przybędzie...

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Sean, ale Kajpin ciągnęła dalej:

– To my-ale-nie-wy jesteśmy w niebezpieczeństwie! Nie jesteśmy dla was groźni. Potrzebujemy was i w zamian mamy wam coś do zaoferowania, ale jeśli zostaniemy schwytani, zabiją nas!

Ośmielony milczeniem małego cudzoziemca, Shetri ukląkł przy nim i przemówił cichym, nalegającym tonem:

– Już trzykrotnie VaN’Jarri próbowali rozmawiać z rządem w Gayjurze, ale oni zabili naszych delegatów, kiedy tylko ich zobaczyli. Proszę. Wysłuchaj mnie. Pragniemy zgody z południowcami, ale VaGayjuri nie chcą z nami negocjować, ponieważ mój siostrzeniec Athaansi wciąż rabuje ruńskie wioski, a odpowiedzialność za to spada na nas wszystkich! – Zamilkł i uspokoił się. – Posłuchaj mnie, Sandoz. Będę poręczycielem. Jeśli okaże się, że kłamiemy, jeśli uznasz, że w jakikolwiek sposób was oszukaliśmy, wtedy możesz kazać mnie zabić, tak jak kazałeś zabić tego *froyila*. Będę waszym zakładnikiem.

– My też – powiedziała Kajpin, biorąc Tiyat za rękę.

– Ja również oferuję swój kark – powiedział Rukuei Kitheri. – Ale będziecie musieli pójść do Izaaka, bo on do was nie przyjdzie. Możemy was do niego zaprowadzić, ale musicie nam zaufać. Niektórzy z nas wierzą, że Izaak nauczył się muzyki Prawdziwego Rozumu, której poszukujecie, ale on nie przyjdzie do was, żebyście ją poznali.

– Kłamstwa – powiedział w końcu Sandoz. – Mówicie to, co my chcielibyśmy usłyszeć...

– A skąd mielibyśmy wiedzieć, co chcecie usłyszeć? – krzyknęła Tiyat.

Sandoz oddychał ciężko. Wstał i zrobił kilka kroków, odwracając się do nich plecami.

– Pozwól mu wstać, Nico – mruknął, ale się nie odwrócił, bo już dłużej nie był w stanie wytrwać w pozie, którą przybrał. Zrobiło mu się słabo i potrzebował czasu, żeby to wszystko przemyśleć. – Pilnuj ich – rzucił przez ramię i odszedł.

Trudno powiedzieć, która strona odczuła większą ulgę z powodu jego odejścia, ale spowodowało to zauważalny spadek napięcia.

– Wstyd by było zmarnować tyle mięsa – powiedział Shetri do Joseby, kiedy Sandoz odszedł już dość daleko, a Bask, jako stary myśliwy, zgodził się z tą opinią. Rozpalono więc ognisko, wypatroszono royZa i zawieszono na patyku, a Tiyat przyniosła z łodzi inny prowiant. Podczas gdy mięso i jarzyny piekły się nad ogniem, Sean i Joseba, a nawet Nico zadawali wiele pytań i słuchali z uwagą odpowiedzi, a potem rozważali, czy jest to prawdopodobne i spójne. W końcu poszli poszukać Sandoza.

Znaleźli go kilkaset metrów od obozu; siedział na ziemi skulony i żałosny.

– Nico, dlaczego ich nie pilnujesz, jak ci kazałem? – zapytał, kryjąc się za tą surowością tonu, do jakiej zdołał się zmusić.

– Oni wcale nie chcą uciec. Czekają na nas, chcą, żebyśmy z nimi poszli – odpowiedział pogodnie Nico. – Don Emilio, tak sobie myślę, że jeśli się dowiemy, gdzie jest Izaak, *signora* Sofia bardzo się ucieszy. – Wciąż trzymał pistolet inie spuszczał oka z VaRakhanich, tak na wszelki wypadek. – Don Carlo będzie wiedział, gdzie jesteśmy – dodał, zerkając na małe wyrzuszenie na swym przedramieniu, gdzie miał wszyty mikronadajnik. – My mamy broń, oni nie.

– Nigdzie z nimi nie pójdziemy. Będziemy tutaj czekać na eskortę Sofii – oświadczył Sandoz, nie podnosząc się z ziemi.

Joseba spojrział na Seana.

– Nico – powiedział – czy mógłbyś przynieść trochę wody dla don Emilia? – Nico skinął głową i odszedł w stronę obozu, a Joseba usiadł naprzeciw Emilia. – Sandoz, czy orientujesz się, jak duża była populacja Jana’atów, kiedy byliście tu po raz pierwszy?

Sandoz wzruszył ramionami, nie zważając na to, że znowu zaczęło padać.

– Nie. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że stanowili jakieś trzy, może cztery procent populacji Runów. Może sześćset tysięcy? To tylko przypuszczenie. – Spojrzał na Josebę. – Dlaczego pytasz? Sean i Joseba wymienili spojrzenia i Sean też usiadł.

– Posłuchaj, Sandoz, ci sodomici mogą kłamać, ale Rukuei mówi, że zostało najwyżej około tysiąca pięciuset Jana’atów. – Sandoz zmarszczył brwi, a Sean ciągnął dalej. – Runowie ich rozpedzili. Gnieźdzą się po górach i lasach, ale są dwie główne grupy, z których każda liczy kilka setek, i trochę osad uchodźców, zbyt przerażonych, żeby opuścić swoje pustkowia. Ci VaN’Jarri żyją sami w swojej dolinie. Jest tam najwyżej trzystu Jana’atów i około sześciuset Runów.

Joseba wychylił się do przodu.

– Żeby utrzymać genetyczną poprawność, populacja mięsożerców musi zwykle liczyć przynajmniej dwa tysiące osobników, w tym dwieście pięćdziesiąt par zdolnych do rozplodu. Nawet jeśli Rukuei zaniża liczbę, Jana’atowie są bliscy wymarcia – wyszeptał, jakby wypowiedzenie tego przypuszczenia na głos mogło spowodować, że natychmiast się sprawdzi. – A jeśli zawyża, są już skazani na wymarcie. – Milczał przez chwilę, rozważając to, co powiedział. – To się trzyma kupy, Sandoz. Z tego, co sami zobaczyliśmy, i z tego, co mówi Shetri, wynika, że Jana’atowie żyją na absolutnym marginesie swojej niszy ekologicznej. Nawet gdyby ich cywilizacja nie upadła, ten gatunek nie ma żadnej przyszłości.

– Jest coś jeszcze – powiedział Sean, teraz trochę głośniej, bo jego słowa zaczął zagłuszać deszcz. – Coś się tam na północy dzieje. Pytałem dwukrotnie, żeby mieć pewność, ale kiedy była mowa o mięsie tego *froyila*, jeden z nich... ten Shetri... powiedział nam, że Jana’atowie VaN’Jarri Gina z głodu. Oni nie jedzą Runów, Sandoz. – Emilio spojrzał na niego, mrużąc oczy. – A teraz będzie prawdziwa bomba. Wiesz, jakiego użył zwrotu?

– „To mięso nie jest koszerne”! – Sandoz cofnął się gwałtownie, a Sean podniósł rękę. – Przysięgam, że tak powiedział. Najwidoczniej żona tego Shetrieiego, Hanala czy jak jej tam, została wychowana przez Sofię Mendes na południu, wśród Runów.

– Oczywiście musi być jakaś wymiana kulturowa – dodał Joseba. – Shetri mówi, że jego żona jest nauczycielem, ale... Sandoz... on użył przy tym słowa *rabb!* Może oni po prostu kłamią, że nie jedzą Runów, ale wystarczy im się przyjrzeć! Są wychudzeni, futra matowe, brakuje im zębów...

– A towarzyszą im dwie zdrowe, tłuste Runki, które absolutnie nie sprawiają wrażenia, jakby się obawiały, że ktoś zrobi z nich śniadanie. – Sean zawahał się, po czym ciągnął dalej – posłuchaj tego Kitheriego! Bo mnie się wydaje, że ta Hanala może być kimś w rodzaju... no, nie wiem, ale sam siebie zapytuję: A gdyby Mojżesz był Egipcjaninem wychowanym wśród Hebrajczyków?

Sandoz siedział z otwartymi ustami, starając się to zrozumieć.

– Mówisz poważnie? – zapytał, a kiedy Sean kiwnął głową, krzyknął: – Och, na miłość boską!... No właśnie – powiedział Joseba, patrząc, jak Sandoz wstaje, przemoczony do suchej nitki.

– Słyszycie to, co chcecie usłyszeć! – zawołał Sandoz. – Patrzycie na tę kulturę przez pryzmat swojego folkloru!

– Może tak jest – zgodził się Joseba, wciąż siedząc w błocie – ale przybyłem tu nie tylko jako ekolog, ale i jako kapłan. Chcę się tego dowiedzieć. Sandoz, ja zamierzam pójść z nimi na północ. Sean też chce iść. Możesz tu zostać z Nikiem i poczekać na ludzi Sofii. Prosimy cię tylko o jedno: nie wydaj ich. Od tego zależy, czy nam się uda... i Umilkł na widok zbliżającego się Nica. Sandoz też nic nie powiedział, tylko napił się wody z menażki i zjadł coś.

Ale Nicowi, zwykle tak małowównemu, coś chodziło po głowie.

– Don Emilio, jeden z tych Jana miał zły sen, taki jak twoje – powiedział, odgarniając z oczu mokre włosy. Sandoz wytrzeszczył na niego oczy, a Nico ciągnął: – W tym śnie widział; płonące miasto. Powiedział, że to mu się przyśniło, jak był małym chłopcem, ale widział tam ciebie, don Emilio. W mieście. W tym śnie. Myślę, że powinienes go o to zapytać.

I tak, po dodatkowych przesłuchaniach i dyskusjach, ośmiu przedstawicieli trzech różnych gatunków wyruszyło w końcu razem na północ. Pogoda była podła, a oni wyruszyli potajemnie.

Nie powiadomili Carla Giulianiego o swojej decyzji, bo bali się, że radio jest monitorowane przez władze w Gayjurze. Wiedząc teraz, w jakim niebezpieczeństwie są VaN'Jarri, za radą Joseby pozbyli się swoich mikronadajników – drobne rozcięcie skóry, które każdy z nich uznał za błahostkę.

Zamierzali wędrować szybko i nie narażać się na podejrzenia, ale przygotowali się na wypadek, gdyby ktoś ich wypytywał, kim są i co tutaj robią. Cudzoziemcy są przyjaciółmi Fii.

Shetri i Rukuei to najemni VaHaptii, którzy prowadzą Runów i cudzoziemców do ostatniej twierdzy tych drapieżników, którzy polowali na Runów od niepamiętnych czasów. Chcą odnaleźć to miejsce, a wtedy będzie tam mogło przyjść wojsko i wyplenić ostatnich *djanada*.

I więcej już ich nie będzie.

VaN'Jarri sądzili, że to tylko dość przekonujące kłamstwo. W rzeczywistości było to bardzo bliskie prawdy.

Nico d'Angeli nie zrozumiał nic z tego, co Joseba mówił o minimalnej populacji i wymarciu gatunku, niewiele też do niego dotarło z rozmowy o rewolucji i religii. Nico zrozumiał jednak bardzo dobrze to, co mu powiedział Frans przed lądowaniem. A Frans powiedział: „Nico, jeśli wyjmiesz tę kapsułkę spod skóry, nie będę cię mógł odnaleźć. Ludzie z *Magellana* zginęli, nikt nie wie, co się z nimi stało, *capisce?* Nigdy się tego nie pozbywaj, Nico. Jak będziesz to miał, zawsze cię odnajdę”.

Więc kiedy inni załadowywali łądź i gotowali się do drogi, Nico powoli doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeśli don Carlo i Frans będą wiedzieli, gdzie oni są, nawet jeśli reszta była innego zdania. Dlatego wziął jeden z porzuconych mikronadajników i włożył go do kieszeni.

Nie zamierzał nikogo skrzywdzić.

ŚRODKOWY INBROKAR

październik 2078 czasu ziemskiego

Najpierw popłynęli rzeką, Jana'atowie i ludzie stłoczeni pod płachtą przykrywającą ładunek, Runki na wierzchu, pozdrawiając przemoczonych pasażerów i załogi mijanych barek.

Napędzane energią elektryczną silniki łodzi były ciche jak żagiel, a jej pasażerowie zachowywali się prawie tak samo cicho nawet wtedy, gdy w pobliżu nie było nikogo, kto mógł ich usłyszeć.

Co jakiś czas temu lub owemu człowiekowi przychodziła do głowy jakaś wątpliwość, a wówczas wypowiadał ją i słuchał rozwiewających ją wyjaśnień. VaN'Jarri też czasem zadawali pytania, ale najbardziej pragnął dowiedzieć się czegoś o cudzoziemcach Jana'ata, który najwięcej lękał się Sandoza, a ten rzadko się odzywał od czasu, gdy zgodził się towarzyszyć im aż do miasta Inbrokaru. Więc Rukuei na ogół też milczał.

W obawie przed zdradzeniem swojej kryjówki postanowili nie wracać drogą, którą wędrowali na południe i drugiego dnia porzucili rzekę. Przybili do brzegu w pobliżu jakiejś jaskini, kilka *cha'ari* od przyczółka Tolal, skąd Tiyat i Kajpin popłynęły dalej, żeby oddać wypożyczoną łódź właścicielce. Tiyat odbyła z nią długą i burzliwą dyskusję na temat uszkodzeń poszycia, którą przerwała Kajpin, wymachując plikiem pieniędzy i mówiąc wielkopańskim tonem:

– To tylko pieniądze! Zapłać jej, odbijemy sobie na umowie o *rakar*.

Co doprowadziło, rzecz jasna, do ożywionej dyskusji na temat nowych upraw *rakaru*.

W końcu pożegnały się w przyjaznej atmosferze z właścicielką łodzi i w bębniącym deszczu ruszyły w kierunku miasteczka.

– To tylko pieniądze – prychnęła Tiyat ze złością, kiedy zatrzymały się na targowisku w Tolalu i wydały ostatnie *bahli* na sól.

– Nie martw się – powiedziała jej Kajpin, kiedy już szły drogą prowadzącą z miasteczka na północny wschód. – W następnej porze roku napadniemy na jakąś karawanę!

Pewne, że nikt za nimi nie idzie, porzuciły drogę i zatoczyły łuk, biegnąc na południe.

Dotarli do jaskini bez przeszkód i już wszyscy razem ruszyli dalej, pozostawiając za sobą drogi i rzeki, a zagłębiając się w bezkresną równinę. Zatrzymywali się od czasu do czasu, by nasłuchiwać, bacznie obserwować i węszyć, i nabierali coraz większego przekonania, że są bezpieczni. Wokoło rozciągało się dzikie, płaskie pustkowie całkowicie pozbawione śladów działalności jakiegokolwiek rozumnego gatunku. Szli w deszczu ciepłym jak krew, nie spiesząc się, ale i nie odpoczywając, i widzieli tylko kępy karłowatych zarośli o lawendowych liściach, z których wystawały długie łodygi zakończone dzwonkowatymi kwiatami, nie słysząc nic, prócz bębnienia deszczu, chłupotania podmokłego gruntu pod stopami i wesołego podśpiewywania Nica.

– Nie przeszkadza wam? – zapytał Sandoz Runki po jakimś czasie. – Ktoś może mu powiedzieć, żeby przestał śpiewać.

– Mnie nie przeszkadza – odpowiedziała Kajpin.

– Nie jest tak piękne, jak muzyka Izaaka – dodała Tiyat – ale ładne.

Cudzoziemcy nieśli radiostację i odpowiadali lakonicznymi meldunkami na rutynowe wezwania z *Giordana Bruna*.

– Tutaj leje jak w trzecim kręgu piekieł – powiedział im raz Sean. – Jakiej pogody możemy się spodziewać jutro?

– Przejaśnienie – odpowiedział mu Frans.

– Dzięki Bogu – skwitował z ulgą Sean i przerwał połączenie.

O świcie obudził ich nie grom, ale buczek radiowego sygnału wywoławczego, czysty i melodyjny w rześkim, porannym powietrzu. To był Frans Vanderhelst, który prosił o kontakt któregokolwiek z nich. Sean zgłosił się, ziewając, na co Frans zapytał:

– Tam u was wszystko w porządku?

– Tak, a bo co? – odpowiedział Sean zniecierpliwionym tonem. Kiwnął przyzwalająco głową, kiedy Joseba, mrugając zaspanymi oczami, wychylił się, by przełączyć na tryb konferencyjny, tak aby wszyscy słyszeli.

– Brakuje nam śladu trzech z waszych czterech mikronadajników. Co się dzieje?

To ich całkowicie rozbudziło. Spodziewali się, że w końcu zapytają ich o te mikronadajniki, ale nie w ten sposób.

– Trzy z czterech? – Sean rozejrzał się po swoich towarzyszach i zatrzymał wzrok na twarzy Nica, zaróżowionej, choć na niebie nie było chmur. Joseba jęknął i złapał się za głowę.

VaN'Jarri też się obudzili i zaczęli zadawać pytania, ale Sandoz syknął na nich, kiedy Sean podniósł rękę, prosząc o ciszę.

– Mamy trzy sygnały z wyznaczonego miejsca, które nie ruszyły się stamtąd od trzech dni – usłyszeli głos Carla. – I jest jeden w odległości dwustu czterdziestu kilometrów na północny wschód od tego miejsca. Czy wszystko w porządku?

– Tak! Czuliśmy się jeszcze lepiej, gdybyście nas nie budzili o bladym świcie! Nie możecie trochę poczekać? Miałem naprawdę cudowny sen...

– Więc co jest z tymi mikronadajnikami? – przerwał mu John. – Dlaczego eskorta Sofii nie może was znaleźć? Mówią, że miejsce, gdzie obozowaliście, śmierdzi krwią. Przez chwilę myśleliśmy, że was zjedli! Właśnie rozmawialiśmy z Sofią. Jest przekonana, że Emilio został uprowadzony przez jana'atańskich renegatów... Gotowa jest wyruszyć za wami z całą armią! Co jest grane?

Na dźwięk słowa „armia” Kajpin stuliła uszy, a inni VaN’Jarri zaczęli przejawiać oznaki niepokoju. Sean ziewnął teatralnie i rozejrzał się wokoło, wytrzeszczając komicznie oczy.

– Jezu! To ty, Candotti? Może nie tyle pytań naraz, dobra?

– Jeszcze raz mówię: Wszystko jest okay! Ta krew to... – Sandoz, walczący ze swoimi protezami, spojrział na niego ostrzegawczo. – Poczekaj, Sandoz chce z tobą mówić. – Z pewną ulgą wręczył nadajnik Sandozowi.

– John, tu Emilio. Powiedz Sofii, że naoglądała się za dużo westernów – powiedział Sandoz, znakomicie udając rozbawienie. – Nie potrzebujemy tu żadnej amerykańskiej kawalerii pędzącej nam na ratunek! Czekaj... niech Frans mnie z nią połączy, dobrze? Chcę z nią bezpośrednio porozmawiać.

Wszyscy czekali w napięciu, milcząc, kiedy Sandoz odszedł kilka kroków i stanął, odwrócony do nich plecami. Ale i tak usłyszeli wyraźnie przynajmniej to, co on mówił.

– Mendes? Nie, posłuchaj mnie! Wszystko w porządku... Och, Boże. Nie płacz, Sofio! Czuję się świetnie. Naprawdę... Tak. Wszystko jest w porządku... Uspokój się, dobrze? – Spojrział na innych i skrzywił się, kręcąc głową: nigdy nie mów kobiecie, żeby się uspokoiła. – Nie, Sofio, posłuchaj! To był po prostu *froyil*, którego ustrzelił Joseba! Tak... zrobiliśmy sobie barbecue! Postanowiłem przenieść gdzieś obóz, żeby woń krwi nie zmyliła eskorty. Jesteśmy niedaleko.

– Relatywnie do Ziemi – mruknął Joseba.

– Nie wiem, o co chodzi z tym sygnałem na północny wschód od wyznaczonego miejsca – powiedział Sandoz.

– Jak dotąd nie skłamał – szepnął Sean z uznaniem.

– Może nadajniki mają jakąś ukrytą wadę? – zapytał Sandoz, przechadzając się. – Albo oprogramowanie? – Pauza. – No cóż, to i tak nie ma większego znaczenia, bo wszystko jest okay. Posłuchaj, Mendes, wczoraj późno się położyliśmy i wszyscy są zmęczeni, więc chcielibyśmy jeszcze trochę pospać, zanim... Jasne! Tak, niech tam na nas czekają! Doskonale! – krzyknął, zatrzymując się i patrząc z ulgą na resztę. – Ty też. Wracaj do łóżka... Więc zjedz śniadanie! – dodał, uśmiechając się. – Dobrze się czujesz? Na pewno? Nie martw się o nas! Będziemy w kontakcie.

– Chryste – szepnął Sean, kiedy Sandoz do nich wrócił i usiadł na ziemi. – Przypomnij mi, żebym już nigdy nie grał z tobą w pokera, dobrze?

Na pokładzie *Giordana Bruna* Danny wzruszył ramionami.

– D.W. Yarbrough zawsze mówił, że Sofia Mendes mogłaby myśleć trochę wolniej. Dla własnego dobra.

Frans Vanderhelst patrzył na Carla.

– Te mikronadajniki wcale nie są uszkodzone.

– Tak? – zapytał John. – To spójrz na ekran.

Czwarty ślad właśnie zniknął.

– Przepraszam, don Emilio – powtórzył Nico, kiedy Joseba miażdżył mikronadajnik między dwoma kamieniami. – Frans powiedział...

– W porządku, Nico, rozumiem. Chciałeś dobrze – mruknął Emilio – choć nie wyszło najlepiej.

– Wysłali wojsko – powiedziała Kajpin. – Myślą, że wzięliśmy was jako zakładników...

– I wiedzą, gdzie jesteśmy – dodał Joseba.

– Ale Sandoz trochę zyskał na czasie – powiedział Sean.

– Myślą, że jesteśmy bezpieczni i obozujemy w pobliżu wyznaczonego miejsca... – A potem twarz mu się wyciągnęła jeszcze bardziej niż zwykle i spojrział ponuro na szczątki mikronadajnika.

– O kurwa – zaklął cicho.

Joseba, wciąż trzymając dwa kamienie, znieruchomiał i zamknął oczy, bo i do niego nagle dotarło, że sami się zdradzili. Tylko Sandoz wiedział, co ma na myśli, kiedy po chwili przemówił, ale ton jego głosu był oczywisty nawet dla VaN’Jarrich.

– Przepraszam was – powiedział, rumieniąc się ze wstydu. – Działalem w pośpiechu.

– Idźcie dalej bez nas – oświadczył Sean, zwracając się do VaN’Jarrich. – My wrócimy i spotkamy się z eskortą. Im chodzi o nas, nie o was. Jak tylko zobaczą, że z nami wszystko w porządku, uspokoją się. Później pomyślimy, jak dotrzeć do doliny N’Jarr...

– Jak daleko jest stąd do Inbrokaru? – zapytał Sandoz Rukueiego.

– Możemy tam być dziś o drugim wschodzie słońca, jeśli będziemy szli szybko.

– Zmobilizowanie wojska trochę potrwa – powiedział Sandoz. – Jesteśmy o trzy dni drogi od wyznaczonego miejsca, a dla nich potrwa to jeszcze dłużej, bo będą musieli posuwać się cały czas lądem...

– Nie, mogą użyć barek, ale też są powolne – przerwała mu Kajpin.

Tiyat zaczęła się kołysać.

– Nie potrzebują wysłać wojska... postawią na nogi milicję w całym kraju. Jesteśmy w pułapce.

– Przepraszam – powtórzył Nico. – Ale... gdybyśmy tak powiedzieli *signorze* Sofii, że przyprowadzi my jej syna? Powiemy jej: Nie idźcie za nami. Jeśli pójdziecie, nici z naszej umowy. Współpracujcie z nami, to chłopiec wróci cały i zdrowy. – Popatrzył na innych, mając nadzieję, że naprawił swój błąd.

– Może podziela – mruknął Sandoz. Zaczął się śmiać, ale po chwili spowaźniał i unióś podbródek, jakby się nad czymś zastanawiał. Na ich oczach zgarbił się i jakby postarzał, a kiedy przemówił, usłyszeli ochryply głos Marlona Brando, zmartwychwstałego w blasku słońc Rakhatu: – Zaproponujemy jej coś, czego nie będzie mogła odrzucić.

Joseba spojrział na Seana, który wzruszył ramionami, a potem wywołał *Bruna*. Emilio wziął nadajnik i przerwał Johnowi, który chciał wiedzieć, co, do cholery, stało się z czwartym mikronadajnikiem.

– Nie pytaj, John, dobrze? Po prostu nie pytaj. Robię miłą ekstrę, John. Nie mogę ci powiedzieć więcej. Niech Frans połączy mnie z Sofią.

Wszyscy wpatrywali się w niego, kiedy czekał, nadal uśmiechnięty, na połączenie z Sofią, ale natychmiast spowaźniał, gdy zaczął do niej mówić. Nie chciał jej przestraszyć, więc zaczął odwoływać się do przyjaźni i zaufania, ale napotkał na mur lodowatej podejrzliwości.

– Masz rację, Sofio – powiedział. – Absolutnie. Ale nie jesteśmy uwięzieni... Wysłuchaj mnie!

Lecz to on musiał jej wysłuchać, a ona ostrzegała, błagała, groziła, podważała jego ocenę sytuacji.

– Sofio – przerwał jej w końcu – ja muszę to zrobić. Jest coś, co muszę zrozumieć. Dla samego siebie. Proszę cię tylko, żebyś dała mi trochę czasu... może parę tygodni. Proszę cię. Nigdy cię o nic nie prosiłem, Sofio. Tylko to jedno, dobrze? Daj mi tę szansę...

Nie dawała się przekonać. Nigdy nie można było jej przekonać. Odwrócił się, by spojrzeć na VaN’Jarrich – ich twarze były ściągnięte niepokojem, naznaczone głodem – i słuchał bezkompromisowych słów kobiety, którą kiedyś znał.

– Sofio, nie pozostawiasz mi wyboru – oświadczył w końcu, nienawidząc samego siebie. – Wierzę, że odnajdę Izaaka i sprowadzę go do ciebie, ale tylko pod warunkiem, że dacie nam spokój. Taki jest układ, Mendes. Daj nam spokój, a zrobię, co w mojej mocy, żeby przyprowadzić ci syna.

Zamknął oczy, a ona mówiła mu, co się stanie. Nie zaprzeczał. Wiedział, że miała rację.

W południe wspięli się na niskie wzniesienie, za którym rozciągała się porośnięta chwastami równina, a za nią widniały ruiny Inbrokaru spowite białawą mgiełką upału. Emilio długo wpatrywał się w poczerniałe ruiny. Nie było to miasto z jego snów, ale nadpalone wrota wydały mu się znajome, a kiedy zamknął oczy, zdołał odtworzyć w pamięci pokryte płaskorzeźbami kamienne mury, które kiedyś dawały iluzję bezpieczeństwa.

– Czujesz to? – zapytał go Rukuei.

– Nie. Jeszcze nie. – A potem poczuł słodkawy odór rozkładu. – Tak, teraz czuję. – Odwrócił się, by spojrzeć Kitheriemu w oczy: cudowne, nawiedzone i tak zmęczone jak jego własne. – Poczekajcie tutaj – powiedział reszcie i zszedł z Rukueim na pole bitwy.

– Miałem dwanaście lat – rzekł Rukuei, zwalniając kroku, by ten mały cudzoziemiec mógł za nim nadążyć. – Wojna miała tyle samo lat, co ja. W ciągu jednego dnia zginęło tutaj trzydzieści tysięcy Jana’atów, a potem miasto pełne uchodźców. A w ciągu następnego roku, może dwóch, zginęła cała cywilizacja. Pozostały tylko najtwardsze kości, ale i tak było ich wiele.

– *Ich krew rozlali, jak wodę, wokół Jeruzalem i nie było komu ich pogrzebać* – mruknął Sandoz. Tu i tam walały się szczątki porzucanego metalu. Pochyliwszy się, by przyjrzeć się jakiemuś hełmowi, Sandoz zobaczył ząb, szeroki, z płaską koroną. – Runao – stwierdził ze zdumieniem. – Kiedy oni zaczęli nosić zbroje?

– Pod koniec wojny.

– Słyszałem, jak powiedziano: Wybieraj wrogów mądrze, bo staniesz się im podobny – rzekł Sandoz i nagle odczuł potrzebę przeproszenia tego młodzieńca za to, że tak go przestraszył podczas pierwszego spotkania, ale umilkł, widząc, że Rukuei sztywnieje.

– Mój ojciec miał na sobie srebro i złoto – powiedział cicho Jana’ata, idąc ku błyszczącemu kawałkowi metalu. Znakomicie wykutą kłamrę, wdeptaną w błoto, przez lata ukrytą przed chciwymi oczami grabieżców, odsłoniły wreszcie ostatnie ulewne deszcze. Rukuei schylił się, by ją podnieść, ale ręka mu znieruchomiała, kiedy dostrzegł coś białego w pobliżu. Kość palucha chwytnej stopy, być może. A obok fragment wyrostka grzebieniowatego z podstawy czaszki.

– My... my palimy naszych zmarłych – powiedział i wyprostował się, spoglądając na ruiny, by pozbyć się widoku żalonych szczątków leżących na ziemi. – Tak więc wydaje się... stosowne, że tyłu zginęło w płomieniach, po bitwie...

Ale to, pomyślał. Te...

Mechaniczny furkot rąk cudzoziemca sprowadził go z powrotem na ziemię. Odwrócił się i zobaczył to, o czym kiedyś tylko marzył – Emilia Sandoza na polu bitwy pod Inbrokarem.

Pochyłony, sięgał po kawałki kości i zęby. Ostrożnie podnosił maleńkie kawałki, metodycznie zbierając szczątki Runów i Jana’atów wymieszane przez śmierć.

Rukuei bez słowa zaczął go naśladować, a potem nadeszli inni, by im pomóc – Kajpin i Tiyat, Sean Fein i Joseba Urizarbarrena, i Shetri Laaks. Nico zdjął koszulę i rozłożył ją, by składać na niej szczątki anonimowych zmarłych, i wkrótce ciszę przerwały smutne tony *Unafurtiva lagrima*. Pozostałe tu szczątki rozrzucone były po całym polu, więc kiedy zapełnili już ten prowizoryczny całun, poprzestali na tym, zanosząc to, co zebrali, między ruiny, gdzie woń spalenizny była silniejsza. Rozpalili ognisko z nadpalonych belek pozostałych po jakimś magazynie w pobliżu ambasady Mala Njeru i wkrótce swąd palonych kości wypełnił im nozdrza.

– Najwyraźniej pamiętam głos mojej małej siostrzyczki – powiedział im Rukuei, gdy kości płonęły z trzaskiem. – Wszystkie wolno urodzone dzieci Najdonioślejszego były w ambasadzie...

Musiał wiedzieć, jak to się skończy, ale miał nadzieję, że oszczędzą dyplomatów... – Roześmiał się, szydząc z naiwności swego ojca. – Moja siostra była gdzieś w tym pożarze. Kiedy uciekaliśmy z miasta, słyszałem, jak mnie woła. Srebrna nić dźwięku: Ru-ku-eiiiiii...

Tego wieczoru, kiedy się ściemniło, zaśpiewał im o nie zabliźnionych ranach, o utracie, żalu i tęsknocie, o pogłębianiu się i otwieraniu takich ran za każdym nowym ciosem godzącym w duszę, o spowolnieniu i rozrzedzeniu bólu i smutku w tańcu życia, w obecności dzieci. Kiedy tak śpiewał, Shetri Laaks powstał i odszedł chwiejnym krokiem, aby uwolnić się od bólu tych pieśni, ale kiedy zatrzymał się w sporej odległości od stosu, usłyszał za sobą kroki cudzoziemca i poznał po zapachu Sandoza.

– Powiedz mi – rzekł Sandoz, a jego milczenie było pustką, którą Shetri zapragnął wypełnić.

– On nie chciał mnie zranić – wyszeptał Shetri. – Jakżeby mógł? Rukuei myśli, że dzieci są nadzieją, ale się myli! One są wiecznym strachem. Dziecko to członek, który mogą oderwać... –

Zamilkł i starał się uspokoić oddech, zmusić go do stałego rytmu.

– Powiedz mi – powtórzył Sandoz.

Shetri zwrócił się ku głosowi cudzoziemca.

– Moja żona jest w ciąży i boję się o nią. Jest jedną z Kitherich, a oni są tacy mali. Ha’anała ledwo przeżyła ostatni poród... dziecko było szerokie w zadzie jak Laaksowie. Ha’anała bardzo się boi. Ta ciąża jest bardzo ciężka. Boję się o nią i o dziecko. I o siebie – dodał. – Sandoz, chcesz wiedzieć, o co mnie zapytała moja córka Sofi’ala, kiedy się dowiedziała, że jej matka znowu jest w ciąży? Zapytała: Czy to dziecko też umrze? Straciła już dwóch młodszych braci.

Myśli, że wszystkie dzieci umierają. Ja też.

Usiadł tam, gdzie stał, nie zważając na błoto i popiół.

– Byłem kiedyś adeptem Sti. Byłem trzeciakiem i czułem się z tym dobrze. Czasami tęsknię za czasami, kiedy w moim życiu była tylko nieruchoma woda i pieśni. Ale śpiewać musi sześcioro, a myślę, że ci inni też już nie żyją, a nie ma nikogo, kogo by można nauczyć obrządku. Kiedyś uważałem się za szczęśliwca, bo mogłem zostać ojcem, ale teraz... To straszna rzecz za bardzo kochać. Kiedy umarł mój pierwszy syn...

– Przykro mi z powodu tego, co utraciłeś – powiedział Sandoz, siadając obok niego. – Kiedy ma się urodzić to dziecko?

– Pewnie za parę dni. Z kobietami nigdy nie wiadomo. Może już się urodziło. Może już jest po wszystkim. – Zawahał się. – Mój pierwszy syn umarł na chorobę płuc. – Stuknął się w klatkę piersiową, żeby cudzoziemiec zrozumiał. – Ale drugi...

– Powiedz mi – powiedział cicho cudzoziemiec.

– Kapłani Sti słyną... słynęli ze swoich leków, z wiedzy, jak uzdrawiać rany i pomóc ciału pokonać chorobę, kiedy uzna się to za stosowne. Nie mogłem patrzeć, jak Ha'anala się męczy, więc próbowałem jej pomóc. Są leki zmniejszające ból... – Długo milczał, zanim wreszcie był w stanie skończyć. – To moja wina, że dziecko urodziło się nieżywe – powiedział w końcu. – Chciałem tylko pomóc Ha'anali.

– Ja też patrzyłem na śmierć drogiego mi dziecka. Zabiłem je – wyznał mu Sandoz. – To był chyba wypadek, ale odpowiedzialność spada na mnie.

Na wschodzie błysnęło; przez moment Shetri zobaczył twarz cudzoziemca.

– Więc – powiedział miękko, ze współczuciem – rozumiesz, co czuję.

Nasłuchiwali przez chwilę, czekając, aż dotrze do nich łoskot grzmotu. Kiedy cudzoziemiec znowu przemówił, jego głos zabrzmiał w ciemności cicho, ale wyraźnie.

– Shetri, bardzo ryzykowaliście, wyprawiając się na południe. Czego od nas oczekiwaliście?

Nas jest tylko czterech, jesteśmy cudzoziemcami! Czego od nas chcecie?

– Pomocy. Jakiegoś nowego pomysłu... jakiegoś sposobu, żeby zmusić ich, by nas wysłuchali! Próbowaliśmy już wszystkiego, ale... Sandoz, przecież my już nikomu nie zagrażamy! – krzyknął, zbyt zrozpaczony, by się wstydzić. – Chcieliśmy, żebyście to zobaczyli, żebyście im to powiedzieli! Nie prosimy ich o nic. Niech nas tylko zostawią w spokoju! Niech nam pozwolą żyć. I... gdybyśmy tylko mogli przenieść się nieco dalej na południe, gdzie są *cranile* i *piyanoty*, moglibyśmy się wyżywić. Nauczyliśmy się jeść dziczyznę... możemy się wyżywić, nie tykając Runów. Moglibyśmy nawet tego nauczyć Athaansiego i oni też by zaprzestali napadów! Gdybyśmy tylko mogli przenieść się do jakiegoś cieplejszego miejsca... gdybyśmy mogli zapewnić kobietom więcej jedzenia! Te góry nas zabijają!

Nico śpiewał teraz *Un bel di*; wieczorny powiew unosił tęskne zawodzenie.

– Posłuchaj mnie, Shetri. Runowie kochają dzieci tak jak wy. Ta wojna zaczęła się od wymordowania niewinnych niemowląt przez jana'atańską milicję. Co na to odpowiesz?

– Odpowiem: Mimo to nasze dzieci też są niewinne.

Zapanowało długie milczenie.

– Dobrze – powiedział w końcu Sandoz. – Zobaczę, co da się zrobić. Może niewiele, Shetri, ale spróbuję.

– Dzień dobry, Frans – powiedział Emilio następnego dnia, jakby od ostatniej transmisji nic się nie wydarzyło. – Chciałbym rozmawiać z Johnem i Dannym, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Po chwili usłyszał głos Candottiego.

– Emilio! Wszystko w porządku? Gdzie wy, do cholery...

– Posłuchaj, John, już ci mówiłem, że chcę przebiec tę dodatkową milę. Ale jeśli ty i Danny zechcielibyście podrzucić mnie i moich przyjaciół, to chyba wolałbym ją przelecieć.

– Bez wyjaśnienia nie da rady – odezwał się Danny Żelazny Koń.

– Dzień dobry, Danny. Wyjaśnię to za chwilę...

Włączył się Carlo.

– Sandoz, mam już tego dosyć. Mendes nie przekazuje nam prawie żadnych informacji, a kiedy przekazuje, jestem pewny, że kłamie!

– Ach, don Carlo! Mam nadzieję, że tej nocy spałeś lepiej ode mnie – powiedział Sandoz, nie zwracając uwagi na jego poirytowany ton. – Muszę cię prosić o pożyczenie nam wahadłowca. Na tym przedsięwzięciu nie można, niestety, zarobić, ale mam tu bardzo dobrego poetę, który może napisać o tobie epopcję, jeśli będziesz chciał. Nie chcę pojazdu bezzałogowego. Daj mi tamten drugi, z Dannym i Johnem, i niech będzie pusty, zadowolę się skrzynką amunicji i strzelbą myśliwską Joseby.

– Po co ta amunicja? – zapytał Danny podejrzliwie.

– Pamiętasz pierwsze zasady, Danny? Najpierw nakarmić głodnych. Sytuacja jest nieco inna, niż się spodziewaliśmy. Jeśli nasze informacje są ścisłe, pozostało już tylko kilka małych enklaw Jana’atów, a część z nich po prostu ginie z głodu. Joseba uważa, że cały gatunek jest na krawędzi wyginięcia. – Odczekał, aż z tamtej strony ucichnie wrzawa. – On i Sean postanowili sprawdzić to na miejscu. Ja też. Chcę mieć Danny’ego i Johna jako bezstronnych świadków. Obawiam się, że Sean, Joseba i ja nie jesteśmy już obiektywni.

– Sandoz – powiedział Frans – zlokalizowałem wasze położenie w pobliżu czegoś, co...

– Nie musisz wymieniać współrzędnych, Frans. Możemy być na podsłuchu – ostrzegł go Emilio. – Panowie, czekam na waszą odpowiedź. Nie mamy czasu do stracenia.

– Mówiłeś o epopei? – zapytał Carlo drwiącym tonem. – No cóż, może później znajdę coś bardziej dochodowego. Wysyłam ci prom, Sandoz. Zapłacisz mi, jak wrócimy do domu.

– Nie kuś mnie – powiedział Emilio i parsknął śmiechem, po czym przeszli do szczegółów lądowania.

DOLINA N'JARR

październik 2078 czasu ziemskiego

Ha'anala miała tej nocy dwa sny. Jej trzecie dziecko – to bezimienne, które urodziło się martwe – pojawiło się w drzwiach, małe i pomarszczone, ale radosne, z łobuzerskim uśmiechem.

„Gdzie byłeś?”, krzyknęła Ha'anala na jego widok. „Już prawie pora; czerwonego światła! Nie powinieneś być tak długo poza domem!” A dziecko odpowiedziało: „Nie powinnaś martwić się o mnie!”

Przebudziła się na krótko, czując ucisk w brzuchu, ale odwiedziny syna we śnie natchnęły ją otuchą i znowu zapadła w głęboki sen, jak jej się to często zdarzało podczas tej ciąży. W drugim śnie też było dziecko, ale tym razem przeżyła na nowo ostatnie minuty życia Urkinała i obudziła się z przerażeniem, wciąż słysząc świsty i szmery w jego małych płucach.

Suukmel, która wprowadziła się do niej, kiedy Shetri odszedł, też się obudziła.

– Już czas? – zapytała spokojnie w bladym świetle świtu.

– Nie – szepnęła Ha'anala. – Miałam sen.

Usiadła ostrożnie, nie chcąc obudzić śpiącej obok niej Sofi'ali.

Jeszcze jeden szary dzień, pomyślała, wyglądając przez szpary między kamieniami.

W osadzie było wciąż cicho.

– Dzieci znowu mnie odwiedziły.

– Ktoś powinien zawiązać ci wstążki na ramionach – powiedziała Suukmel, śmiejąc się z tego przesądu.

Ale Ha'anala wzdrygnęła się, nie tylko z zimna, ale i na wspomnienie tych małych, świszczących piersi.

– Wolalabym, żeby Shetri tu był. Czy Ma był z tobą, kiedy rodziłaś swoje córki?

– Och, nie – odpowiedziała Suukmel, wstając i zabierając się do porannych czynności. – Ma nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Poród? Nie, to by było nie na miejscu. Kobiety z mojej kasty zawsze były same... no, niezupełnie, bo miałyśmy Runki. Mężczyźni nie mieli nic wspólnego z kobietami i porodem, poza spowodowaniem tego wydarzenia. I wcale bym nie chciała mieć widzów.

– Ja też nie chcę widzów, ja chcę towarzystwa!

Ha'anala podciągnęła się na łokciach i oparła plecami o zwinięte posłanie swojego męża.

Czuła dziwny niepokój, mimo że I dopiero co otrzymała od Shetriego dobre wiadomości za pośrednictwem *Bruna*. On i inni czują się dobrze i przybędą dzisiaj I z cudzoziemcami niezwykłym pojazdem, który przeniesie ich do domu szybko i w sposób trudny do wykrycia.

– Nawet gdyby Shetri nie mógł znieść widoku porodu, to byłoby mi lżej...

Urwała, twarz jej zamarła. Nareszcie!, pomyślała, witając falę skurczu, przetaczającą się od góry do dołu. Kiedy ponownie otworzyła oczy, Suukmel przyglądała się jej ze zrozumieniem.

– Jeszcze nie mów nikomu – poprosiła ją Ha’anala, zerkając znacząco na Sofi’alę, która zaczynała się wiercić. – Potrzebuję towarzystwa, nie *fierna*.

– Jestem głodna! – zawołała Sofi’ala płaczącym głosem, choć oczy miała wciąż zamknięte.

Tak było dzień w dzień w tej porze roku.

– Twój ojciec przyniesie wiele wspaniałych rzeczy do jedzenia – powiedziała Suukmel dziewczynce i uśmiechnęła się smutno, kiedy wielkie lawendowe oczy otworzyły się na te słowa. Teraz słyhać już było odgłosy budzenia się sąsiadów i poczuły zapach dymu z ognisk rozpalanych przez Runów. – Wkrótce tu będzie, a tymczasem może być poszła do paleniska Biao-Tol i zobaczyła, co tam się gotuje?

– Poczekaj... – krzyknęła Ha’anala, kiedy Sofi’ala wybiegła, żeby, przyłączyć się do innych dzieci, które spędzały poranki, myszkując po wiosce, zaglądając do garnków, polując na najobfitsze lub najsmaczniejsze śniadanie. – *Sipaj*, Sofi’ala!

– Bądź grzeczna! – Suukmel zacmokała na te słowa, ale Ha’anala nie dała się uciszyć. – Jest nieznośna! I nie znoszę, jak próbuje rozkazywać wszystkim dzieciom!

– Widzisz w niej samą siebie – powiedziała Suukmel. – Nie sądź jej za surowo. To naturalne, że próbuje innymi rządzić.

– Wypróżnianie się też jest naturalne – odparła Ha’anala – ale nikt tego nie robi wszędzie i w każdej chwili, kiedy tylko poczuje potrzebę.

– Ale opierają się jej nawet dzieci Runów! To dobra szkoła – przekonywała ją Suukmel. – Wszystkie nabierają sił. Spędziły poranek na takich przekomarzaniach, znajdując w tym radość, ale wciąż miały na uwadze tempo i siłę skurczów.

– Teraz powinny być częstsze i silniejsze – powiedziała Ha’anala, kiedy weszły już wszystkie trzy słońca; najjaśniejsze przebijało przez chmury nad głową jak płaski, biały dysk.

– Już niedługo – zgodziła się Suukmel, ale ona też była trochę zaniepokojona, patrząc, jak Ha’anala zwija się w kłębek w swoim gnieździe i pogrąża w milczeniu.

Tymczasem Sofi’ala domyśliła się już, co się dzieje, więc Suukmel zajęła się pocieszaniem jej i witaniem gości, którzy zaczęli się schodzić, słysząc lamentsy dziewczynki. Jana’atowie wycofywali się po przekazaniu najlepszych życzeń, ale dom wkrótce zappełnił się Runami, którzy wnieśli entuzjazm, otuchę i jedzenie dla wszystkich, razem z ciepłem swych ciał i szczerym współczuciem. Podobnie jak oni, Ha’anala też uważała, że poród jest znakomitą okazją do świętowania i cieszyła się z ich towarzystwa, więc Suukmel ich nie wyganiała.

Skurcze nie powtarzały się częściej, ale były za to coraz silniejsze, co Ha’anala powitała z zadowoleniem, dzielnie znosząc ból. W samym środku ożywionej dyskusji nad sposobami przyspieszenia akcji wbiegł chłopiec, krzycząc, że zobaczył latającą maszynę i wkrótce wszyscy usłyszeli jej przerażający ryk, więc dom opustoszał w jednej chwili, bo wszyscy pobiegli, by zobaczyć to zdumiewające zjawisko.

– Leć... zobacz, jak to wygląda! – zawołała Ha’anala do Suukmel. – Opowiesz mi wszystko, jak wrócisz! Nic mi się nie stanie, ale przyślij mi tu Shetrieggo!

– Zrób to, zrób tamto – mruzczała Suukmel pod nosem, spiesząc na lądowisko wyznaczone na skraju doliny. – Zupełnie jakbym słyszała Sofi’alę!

Ha'anala, w końcu sama, zażywała spokoju, trochę zaskoczona tym, jak bardzo czuje się zmęczona, choć wszystko wskazywało, że do porodu jeszcze daleko. Usłyszała, jak ryk silników nagle zamilkł, potem dobiegła ją wrzawa podnieconych głosów. Wydawało się jej, że upłynęło wiele dni, zanim wreszcie zobaczyła Shetriego. Chciała go zapytać o tyle rzeczy, ale zdołała tylko powiedzieć:

– Komuś jest zimno.

Shetri pobiegł do drzwi i zawołał, że potrzebuje pomocy. Wkrótce Ha'analę dźwignięto na nogi i chociaż co jakiś czas przystawała i zginała się w pół, kiedy chwytaly ją kurcze, zdołała jakoś dojść do miejsca, gdzie rozpalono kilka ognisk i pieczono dziczyznę, i to w zdumiewających ilościach. Uradowana z tego spontanicznego święta, szukała wzrokiem w tłumie cudzoziemców. Jeden był prawie tak mały jak Sofia, inni wzrostu Izaaka, ale nie tak wysmukli jak on. Ciemni i jaśni, z brodami i bez, z grzywami i bez grzyw. A te języki!

Szlachetny *K'san* i *ruanja* wieśniaków, i *h'inglisz* – cudowna mieszanina rozradowanych głosów, języków, powitań, opowieści, porad kucharskich... Przypomniała sobie, że ona też mówiła taką mieszaniną języków, kiedy po raz pierwszy spotkała Shetriego.

– Są tacy różni! – krzyknęła. – To cudowne! Cudowne!

Ciesząc się ciepłem i perspektywą pogodzenia z południem, ukłękła ciężko na ziemi, pracując z całej siły, pewna, że jej dziecko powinno przyjść na świat właśnie teraz, pośród tego blasku i śmiechu. Poczowała jednak tak ostry ból, że aż krzyknęła, co uciszyło wszystkich, tak że słyhać było tylko syk tłuszczu spadającego do ognia i daleki trel jakiejś *p'rkry*. Kiedy odzyskała oddech, roześmiała się krótko i zapewniła wszystkich:

– Już więcej nie będę tego próbować!

I znowu rozbrzmiały rozmowy i śmiechy, ale wyczuła bijący od Shetriego niepokój, co ją zmartwiło.

– Opowiedz mi o twojej podróży! – poprosiła go czule, ale był za bardzo wystraszony i wymówił się, że musi pomóc cudzoziemcom rozdzielić mięso; przysłał jej Rukueiego, aby usiadł przy niej jak ruński małżonek. Przyszła też Suukmel, a potem Tiyat ze swoim najmłodszym dzieckiem na plecach. Ha’anala oparła się wygodnie o brzuch Rukueiego, a on objął ją czule ramionami, a nogi oplótł swymi nogami i zaśpiewał pieśń o swojej wyprawie w rozkołysanym rytmie długiego marszu. Zasłuchiwała się, szczerze zaciekawiona jego przygodami, śmiejąc się, kiedy Rukuei odegrał krótką komedię swojej sromotnej porażki w starciu z małym cudzoziemcem Sandozem.

– Małe istoty mogą być zaskakująco potężne – zauważyła Ha’anala, pochylając się, by ścisnąć swój nabrzmiały brzuch między piersiami i nogami, zadowolona, że nawet teraz może i z siebie wykrzesać trochę humoru. Usłyszawszy swoje imię, Sandoz podszedł do nich, robiąc ukłon, zamiast podać ręce. Kiedy mu przedstawiono Ha’analę i Suukmel, usiadł tak, by widzieć wszystkich: milczący, skulony, i kołysząc się lekko, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Jego poza bardzo przypominała pozycję Ha’anali, kiedy czuła skurcze, więc jej pierwsze słowa do niego brzmiały:

– To śmieszne, ale chyba nie jesteś w ciąży?

Wytrzeszczył na nią oczy, wzdrygnął się, ale po chwili odpowiedział z uśmiechem, najwidoczniej rozbawiony jej uwagą:

– Gdybym był, musielibyśmy stworzyć zupełnie nową religię. – Nie rozumiała jego słów, ale podobał się jej jego uśmiech. Miał oczy takie jak SoiTala, brązowe i małe, ale ciepłe, nie kamienne. – Pani, jaki język najbardziej ci odpowiada? – zapytał.

– *Ruanja* to język uczuć, angielski nauki... I dowcipów.

– *K'san* to język polityki i poezji – ciągnęła Ha'anala, przerywając na krótko, kiedy nadchodziła fala skurczu. – Hebrajski to język modlitwy.

Przez jakiś czas przyglądali się w milczeniu, jak Runowie krzątają się przy ogniskach, przypiekając na patykach warzywa, które teraz jedli również Jana'atowie.

– Marzyliśmy o tym – powiedziała Suukmel, uśmiechając się do Tiyat i wyciągając chwytną nogę, by złapać za kostkę najpierw Rukueiego, a potem Ha'anale.

– O czym? – zapytał Sandoz. – O dobrym jedzeniu?

Zastanowiła się przez chwilę, zanim uznała, że to ironia.

– Tak – zgodziła się chętnie, a potem zatoczyła ręką łuk. – Ale i o tym: o nas wszystkich razem.

– Czyjeś oczy czują się dobrze, kiedy na to patrzą – powiedziała Tiyat. Spojrzała w dół, na swojego śpiącego synka, a potem na wszystkich, którzy otaczali Ha'anale. – Trzy rodzaje są lepsze od jednego!

– Sandoz, powiedz mi o twoich towarzyszach – poprosiła Ha'anala w języku polityki.

Najpierw wskazał na tego z nagą czaszką i odpowiedział jej w języku uczuć.

– Djon ma zręczne ręce, jak Runao, i szczodre serce. Popatrz teraz na jego twarz, a dowiesz się, jak wyglądają ludzie, kiedy się z czegoś cieszą. Ktoś myśli: Największą przyjemność sprawia Djonowi pomaganie innym. Ma talent do przyjaźni. – Zamilkł na chwilę, a potem przeszedł na *K'san*. – Myślę, że on nie potrafi kłamać.

– A ten obok niego? – zapytała Ha’anala, zerkając na Suukmel, która przysłuchiwała się z uwagą.

Tym razem odpowiedział jej po hebrajsku.

– Ma na imię Szaan. Patrzy na wszystko bardzo trzeźwo i wszystko dostrzega. – Spojrzał po innych i zrozumiał, że tylko Ha’anala mówi po hebrajsku, więc przeszedł na *K’san*. – Czasami trzeba wysłuchać gorzkiej prawdy. Szaan jest twardy, nie oszczędza innych. Ale to, co mówi, jest ważne. – Wskazał na Josebę i uprościł jego imię. – Hosei też patrzy trzeźwo, ale jest subtelny. Kiedy Hosei mówi, słucham uważnie.

– A ten czarnowłosy? – zapytała Suukmel, kiedy Ha’anala umilkła, walcząc z kolejnym skurczem.

Sandoz wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

– Dani – powiedział, a oni czekali, jaki język wybierze. – On może się okazać bardzo pożyteczny dla was – powiedział, używając *K’sanu*. – Pochodzi z ludu, który przeżył to, co teraz przeżywają Jana’atowie i bardzo chce wam pomóc. Ale u niego czasami ideały są ważniejsze od etyki.

– Co sprawia, że może być niebezpieczny – powiedziała Suukmel.

– Tak – przyznał Sandoz.

– A ten, który śpiewa? – zapytała Ha’anala. – On chyba też jest trochę jak Jana’ata. Jest poetą?

Sandoz uśmiechnął się.

– Nie, nie jest poetą – odpowiedział w języku Runów. – Nico ceni jednak poezję i zdobi ją swoim głosem. – Spojrzał na Tiyat, ostrożnie dobierając słowa. – Nico jest podobny do Runao z wioski, którym może łatwo pokierować ktoś silny. – Zrobił pauzę, a troje Jana’atów wymieniło spojrzenia. – Nico może być zagrożeniem, ale teraz mu ufam. W każdym razie i tak z wami nie zostanie. Jest członkiem grupy kupców, która chce tylko zrobić interesy na południu i wracać.

Inni chcą tu pozostać, aby wam pomagać i uczyć się od was, jeśli się zgodzicie.

– A ty, Sandoz? – zapytał Rukuei. – Zostaniesz czy wrócisz?

Nie odpowiedział, bo Ha’anała zamknęła oczy, pochyliła się nad swoim brzuchem i tym razem wydała zduszony okrzyk, który ściągnął do jej boku Shetriego. Kiedy odzyskała oddech, powiedziała:

– Będzie dobrze. Nie boję się.

Wraz z jasnością dnia ustąpiły bóle, przyczajając się gdzieś w pobliżu. Jej uwaga migotała jak ogień, który ją grzał i który rozjaśniał noc, ale nadal przysłuchiwała się rozmowom wokół siebie, nie mogąc się nadziwić głosowi Sandoza tak różnemu od głosu Izaaka – nie krzykliwemu i urywanemu, ale miękkiemu i melodyjnemu, o tonie wznoszącym się i opadającym, o kadencjach zróżnicowanych i płynnych. Już dawno zapomniała, że ludzie mogą mówić w taki sposób i ze smutkiem pomyślała o latach, które minęły, odkąd po raz ostatni słyszała głos Sofii.

Ogarnięta żalem, bolała nad przeszłością, ale i nad przyszłością, której nie pozna, poczuła bowiem, że umrze – a nie było to rozumowe pogodzenie się z teoretyczną prawdą o śmiertelności, ale fizyczna pewność, że śmierć przyjdzie po nią raczej wcześniej niż później.

Ku swojemu zaskoczeniu zasnęła, budzona na krótko falami skurczów, świadoma, że za każdym razem, kiedy powraca do świata żywych, czerpie z coraz mniejszych zasobów energii. Raz odzyskała w pełni świadomość w ciemności i powiedziała:

– Kiedy odejdę, oddajcie dzieci mojej matce. – Zapadła cisza, a potem rozległy się pocieszające pomruki, ale ona dodała: – Zróbcie, jak mówię. Przypomnijcie jej o Abrahamie. Z powodu dziesięciu... – I urwała, tracąc świadomość.

O świcie ściągnęło ją z powrotem na świat warknięcie jej męża. Była już w domu, ale nie czuła zimna, bo leżała przykryta kocami, jakich nigdy jeszcze nie widziała. Nie poruszając się, mogła spojrzeć przez drzwi, na widmowy krajobraz złagodzony mgłą.

– Nie! Nie pozwolę na to! – upierał się Shetri. – Jak można nawet pomyśleć o czymś takim!

– Więc poddajesz się? – usłyszała pytanie cudzoziemca; jego chrapliwy, oskarżycielski szept słychać było dobrze w nieruchomym powietrzu wczesnego świtu. – Przecież nie musisz tracić ich obojga...

– Przestań! – krzyknął Shetri, odwracając się od Szaana i tuląc uszy.
– Nie chcę o tym słyszeć!

Zamknawszy oczy, Ha'anala słuchała, jak Rukuei wyjaśnia, dlaczego ona musi umrzeć.

Docierały do niej tylko strzępy jego słów.

– Nie ma na to rady... konieczne... uchronić przyszłe pokolenia od cierpienia... większe dobro...

Ha'anala nie rozpoznała kolejnego głosu, ale to mógł być Hosei.

– To nie jest żadna wada wrodzona, tylko słabość wynikająca z głodowania!

– Shetri, chyba masz rację, że Ha’anała wkrótce umrze – powiedział łagodnie Sandoz. – Myślę, że Szaan się myli. To, czego on chciałby spróbować, może zabić Ha’anałę. Nikt z nas nie jest specjalistą... nie wiemy, jak to zrobić w taki sposób, żeby również matce uratować życie, a Ha’anała jest teraz tak osłabiona, że na pewno by tego nie przeżyła. Przykro mi. Bardzo mi przykro. Ale... wśród nas, kiedy tak się dzieje, dziecko czasami jeszcze żyje przez jakiś czas, kiedy matka już umrze. Proszę cię... Jeśli na to pozwolisz, może będziemy mogli uratować przynajmniej dziecko.

– Jak? – zawołała Ha’anała mocnym głosem. – Jak uratujecie dziecko?

Ujrzała w drzwiach małą sylwetkę cudzoziemca, czarną na tle szarości, a po chwili był już u jej boku, klęcząc, z tymi dziwnymi urządzeniami na rękach, które złożył na udach.

– *Sipaj*, Ha’anała, ktoś myśli, że kiedy odejdziesz, dziecko będzie jeszcze żyło przez parę chwil. Można by było wtedy rozciąć ci brzuch i wyjąć dziecko.

– Profanacja – syknął Shetri, stając nad nimi, wysoki i sztywny. – Nie, nie, nie! Jeśli... Nie chcę tego dziecka! Nie teraz, nie w ten sposób! Ha’anało, błagam...

– Uratuj, co możesz – powiedziała. – Słyszysz, Shetri?

– Uratuj, co możesz!

Ale nie chciał się zgodzić, więc zaczęła się z nim sprzeczać Suukmel, a potem zapłakała Sofi’ala, a cudzoziemcy...

Nagle Ha’anała poznała, jak to jest być Izaakiem; jak mieć w sobie muzykę, którą zagłusza hałas na zewnątrz.

– Wynoś się, Shetri – powiedziała słabym głosem, zbyt wyczerpana, by tolerować *fierno* choć chwilę dłużej, zbyt zmęczona, by ją było stać na grzeczność. – Wy wszyscy! Zostawcie mnie w spokoju!

Ale wyciągnęła rękę i ścisnęła pazurami ramię Sandoza, i przytrzymała go mocno.

– Ty nie – powiedziała. – Ty zostań.

A kiedy zostali sami, powiedziała językiem modlitwy:

– Uratuj, co możesz.

Przez następne dziewięć godzin robił wszystko, o co go poprosiła, próbując dodać jej otuchy. Upewniona, że jest nadzieja na uratowanie dziecka, Ha’anała odzyskała siły i Emilio uwierzył, że może jednak da sobie radę sama. Wyrzucając sobie, że uległ panice, zastanawiał się ponuro, czy uda mu się kiedykolwiek usprawiedliwić przed Shetrim, który i tak był przerażony, bo przecież stracił już wcześniej dwoje dzieci.

Ale skurcze wciąż się powtarzały z tą samą częstotliwością, a nic nie wskazywało, by poród się zaczynał. Teraz Ha’anała najbardziej uskarżała się na pragnienie, ale nie była w stanie utrzymać w sobie żadnego płynu. Wyrzwał z kamiennej chaty, by poprosić o lód, ale okazało się, że mały lodowiec, który uformował się między dwoma szczytami nad doliną, był za daleko, by można było z niego skorzystać. John pobiegł do wahadłowca i w swoich rzeczach znalazł starą, miękką koszulę; zamoczywszy ją w wodzie, dał Emiliowi, który przyłożył Ha’anali do ust zwiniętą na kształt sutka tkaninę. Wessała trochę płynu i nie wymiotowała, więc Emilio moczył raz po raz koszulę i poił ją w ten sposób, aż zaspokoili pragnienie.

– Ktoś lubi dźwięk twojego głosu – powiedziała mu, nie otwierając oczu. – Mów do mnie.

– O czym?

– O czymkolwiek. Zabierz mnie gdzieś. Opowiedz mi o swoim domu. O ludziach, których tam pozostawiłeś.

Więc opowiedział jej o Ginie i o Celestynie, a potem milczeli przez jakiś czas, najpierw śmiejąc się z rozbrykanych dziewczynek, a później czekając, aż minie kolejna fala skurczów.

– Celestina. Piękne imię – powiedziała Ha’ana, kiedy ból minął. – Jak muzyka.

– Imię pochodzi od słowa oznaczającego niebo, ale jest też podobne do instrumentu muzycznego-, który brzmi jak chór srebrnych dzwonek. *Sipaj*, Ha’ana, jak będziemy nazywać to dziecko?

– O tym musi zdecydować Shetri. Opowiedz mi o Sofii, kiedy była młoda. – Widząc, że się waha, otworzyła oczy i powiedziała: – Więc nie mów. Żadnych trudnych rzeczy! Tylko łatwe, dopóki nie nadejdzie to najtrudniejsze. Co kochałeś, jak byłeś dzieckiem?

Pomyślał ze wstydem, że sprawił zawód i jej, i Sofii, ale natychmiast zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie w La Perłą, wspominając dawne pasje i uniesienia: twardy trzask piłki uderzającej w znoszoną rękawicę, szybki przerzut łukiem do drugiej bazy, podkrecony rzut do pierwszej. Niewiele z tego rozumiała, ale знаła radość ruchu i powiedziała mu to w krótkich, urywanych zdaniach.

Przyłożył jej do warg mokrą koszulę.

– A teraz muzyka – poprosiła, kiedy już mogła mówić. – Może wasz Nico zaśpiewa...

I Nico śpiewał, siedząc w ukośnych promieniach wpadających do chaty przez otwarte drzwi: arie, neapolitańskie pieśni miłosne, hymny religijne, których się nauczył w sierocińcu.

Wyciszona, zaspokoiwszy pragnienie, Ha'anała znowu poprosiła, aby dzieci oddano jej matce, a potem zasnęła. Nico śpiewał dalej. Emilio, zmęczony, też się zdrzemnął, a obudziła go pieśń, która wydała mu się najpiękniejsza spośród tych, które kiedykolwiek słyszał. Niemiecka, pomyślał, ale zrozumiał tylko kilka słów. Ach, to nieważne, uznał, czując, jak go napełnia bezmierny spokój. Melodia była wszystkim: łagodna i pogodna, szybująca miękko jak dusza ulatująca ku niebu, posłuszna jakiemuś tajemnemu prawu...

VaN'Jarri też się zasluchali. Dzieci tuliły się do rodziców, wszyscy wiedzieli, że zbliża się czas. Otworzywszy oczy, Emilio zobaczył, jak jej piersi zamierają po ostatnim tchnieniu.

Odrzucił koce i uważnie zbadał brzuch: dostrzegł słaby ruch i pomyślał: Wciąż żyje, wciąż żyje.

Nico podał mu nóż.

Widział, jakby z dużej odległości, własne, pozbawione czucia ręce, dokonujące cięcia szybko i stanowczo. Od wielu godzin z lękiem myślał o tej chwili, obawiając się, że cięcie będzie zbyt głębokie lub że zadrży mu ręka. Teraz spłynęła na niego jakaś niewypowiedziana łaska. Czuł się oczyszczony, uwolniony od wszelkich innych myśli i celów, gdy to ciało otwierało się pod nim, warstwa po warstwie, rozkwitające, połyskujące, jak czerwona róża o świcie, z płatkami skąpanymi w rosie.

– Już – powiedział cicho, przecinając błonę owodniową. – Nico, wyjmij dziecko.

Olbrym zrobił, co mu kazano; śniada twarz pobladła, gdy w mrocznej chacie rozległ się ten straszny dźwięk, ssący i wilgotny – odgłos ciała odrywanego od ciała. I zamarł w bezruchu, podtrzymując swoimi grubymi paluchami kruche ciało noworodka, jakby było z cienkiego szkła.

John stał już w drzwiach, gotów oczyścić dziecko i oddać je ojcu, ale kiedy spojrzał na to mokre futerko parujące w dłoniach Nica, odrzucił głowę do tyłu i krzyknął:

– Martwe!

Nico wybuchnął płaczem, a z zewnątrz dobiegł głośny lament. Sandoz wypadł z chaty jak szalenciec i wyszeptał błagalnym tonem:

– O Boże, nie. Nie tym razem...

Nagle wyrwał niemowlę z rąk Nica i opadł z nim na ziemię, wspierając się kolanach i łokciach. Małeńkie ciało było tuż pod nim, tak blisko, że czuł jeszcze ciepło łona jego matki.

Odessał błonę i płyn z nozdrzy i wypluł, a potem podłożył swoją zrujnowaną rękę pod główkę, drugą zacisnął mały, krótki pyszczek i ponownie objął wargami nos. Tym razem tchnął łagodnie i odczekał, znowu tchnął łagodnie i odczekał, i powtarzał to raz po raz, czując, jak narasta w nim ślepa wściekłość. W końcu poczuł, jak ktoś odciąga go za ramiona, ale wyrwał się niecierpliwie z uścisku tych rąk i znowu powrócił do upartych prób tchnięcia życia w nieruchome, wilgotne ciało, aż John, tym razem szorstko, oderwał go od niego, wołając głosem rozdygotanym od łkania:

– Emilio, przestań! Możesz już przestać!

Emilio, pokonany, przysiadł na piętach i wydał z siebie krótki, rozpaczliwy krzyk.

I zrozumiał dopiero wtedy, kiedy ów krzyk, wydarty z jego gardła, dołączył się do ostrego, cienkiego pisku noworodka.

Teraz wszystko utonęło w ogólnej wrzawie zdumienia i radości. Zwinne dłonie Runów uniosły niemowlę, a Emilio patrzył, oniemiały, jak je oczyszczają i zawijają w ręcznie tkane pieluchy, a potem podają sobie z rąk do rąk. Siedział tak długo, umazany krwią, czując w sobie pustkę. Potem dźwignął się na nogi i stał, chwiejąc się lekko i poszukując wzrokiem Shetriego Laaksa.

Bał się, że ojciec przeklnie to dziecko, pogrążony w żalu po stracie żony. Lecz Shetri tulił już niemowlę do piersi, niepomny niczego, wpatrzony w nie i kołyszący je lekko, by przestało krzyczeć.

Emilio Sandoz odwrócił się i wszedł z powrotem do kamiennej chaty, gdzie go powitały żalosne zwłoki kobiety, o której w ogólnej radości zapomniano tak samo jak o nim. Palimy naszych zmarłych, powiedział Rukuei. Kiedy? Dwa dni temu?

Trzy? Więc jednak papież miał rację, pomyślał obojętnie. Nie trzeba kopać grobu... Wyzuty z uczuć, usiadł ciężko przy tym, co tak niedawno było Ha'analą. Jeśli komuś potrzebny dowód na istnienie duszy, pomyślał, to niech spojrzy na ciało tuż po śmierci, niech zobaczy tę straszliwą pustkę.

Nieproszony i nieoczekiwany, spłynął na niego bezbrzeżny spokój, wzbudzony muzyką i śmiercią, i ową pozbawioną cieni miłością, jaką czuje się tylko w chwili czyichś narodzin.

Znowu poczuł, jak pochłania go potężna fala odpływu, ale tym razem walczył z nią, jak człowiek spychany przez prąd na otwarte morze. Złożywszy głowę w dłonie, pozwolił, by jej ciężar napał na protezy, po raz pierwszy w życiu pragnąc fizycznego bólu, nad którym by mógł zapanować, aby zapomnieć o tym, nad czym zapanować nie mógł.

Był to błąd. Łzy, które trysnęły z jego oczu, gdy ból rozdarł mu ciało, spowodowały obfite krwawienie z ran jego duszy. Zatracił się w tym płaczu, nie czując już nic, prócz tej świeżej rany. Lecz tym razem nie opłakiwał swego zgwałconego ciała ani zdruzgotanej miłości: opłakiwał zmarłych, nieodwracalne zło, bezbrzeżny smutek ostatecznej utraty. Opłakiwał Ha'anale. Opłakiwał wszystko, co utracił Shetri i to, co sam utracił – Ginę, Celestinę i życie, jakie mogli spędzić razem. Sofię, Jimmy'ego, Marca, D.W., Anne i George'a. Swoich rodziców, brata. Płakał nad samym sobą.

Powoli uspokoił się i położył obok Ha'anali, czując się pusty jak jej ciało.

– Boże – powtarzał szeptem, aż ogarnęło go znużenie. – Boże.

– Sandoz! Wybacz mi. – Danny zawahał się, ale po chwili znowu nim potrząsnął. – Wybacz mi. Czekaliśmy długo, a to jest ważne.

Sandoz rozejrzał się, oszołomiony; ledwie widział przez opuchnięte powieki. Otrząsnął się ze snu i zobaczył, że ciała Ha'anali już nie ma. W chacie byli sami jezuici.

– Dobrze się czujesz? – zapytał John, krzywiąc się na myśl o głupocie tego pytania, kiedy Emilio wymijająco wzruszył ramionami. – Słuchaj, jest coś, co powinieneś zobaczyć – dodał i wręczył mu swój laptop.

Frans Vanderhelst przesłał do jego skrzynki zestaw danych, licząc, że John sam zrozumie ich znaczenie. Przypadek konfliktu lojalności, uznał John, z narastającym niepokojem przyglądając się obrazom i gorączkowo starając się je zinterpretować. Najwyraźniej Frans obserwował to od pewnego czasu i zapewne sam się zastanawiał, co z tym począć. Dobry najemnik nie ma zbyt wiele swobody działania, dowodził Carlo, ale w końcu Frans zrobił, co mógł...

– Jezu – szepnęła Emilio, przeglądając obrazy. – Można ocenić ich liczebność?

– Sądzę, że główny trzon liczy ponad trzydzieści tysięcy – odpowiedział Joseba.

Joseba szybko pożegnał się z długo noszonym w sobie obrazem spokojnych, dobrotliwych i rozdyktowanych Runów, kiedy przyglądając się oznaczeniom dat i godzin na poszczególnych obrazach, stanął wobec faktów – rzeczywistej armii, która podbiła Rakhat równie szybko, a z większą skutecznością, jak Aleksander Macedoński podbił znany sobie świat.

– To wygląda jak lekka jazda w awangardzie – powiedział Danny, sięgając ręką ponad ramieniem Sandoza, by wskazać punkt na ekranie. – A tam oddziały pancerne, o jakieś dwa dni marszu za nią. To obraz sprzed czterech dni. Widzisz, jest jaśniejszy? Odbieramy połysk metalu.

– Jest też obraz w podczerwieni, ukazujący kolejne duże zgrupowanie za nimi – powiedział Joseba. – Popatrz na następny.

Sandoz wpatrzył się w ekran, a potem spojrział w górę, na ich zaniepokojone twarze.

– Artyleria – potwierdził Sean. – I zmierzają prosto ku nam.

– Przecież jak lądowaliśmy, przebijaliśmy się przez pokrywą chmur, a John nie przekroczył bariery dźwięku! – zawołał Emilio. – W jaki sposób nas zlokalizowali?

Odpowiedział mu Danny.

– Nie mam pewności, ale coś podejrzewam.

Emilio pomyślał przez chwilę, a potem zamknął oczy.

– Carlo nas sprzedał. To on przekazał im współrzędne.

– Na to wygląda.

Nico stał tuż za drzwiami.

– Więc *signora* nie musi czekać, aż przyprowadzimy jej Izaaka – powiedział. – Sama po niego idzie.

– Nie musiała zabierać ze sobą całej armii – zauważył Sean cierpkim tonem, pochylając się na laptopem obok Joseby.

– Sandoz, jest jeszcze coś, o czym powinienes wiedzieć – odezwał się Danny Żelazny Koń.

– Kiedy zgubiliśmy was trzech, Sofia Mendes przysięgła, że wytropi legowiska tych przeklętych *djanada* i skończy z nimi raz na zawsze.

– Tak. I nie musiała długo ich przekonywać – powiedział Sandoz. Wieczny pokój, bezpieczne granice, jasna przyszłość dla Runów... Otarł twarz ramionami, wszyscy powstali.

Przez chwilę, w tym ciasnym, kamiennym pomieszczeniu, otoczony potężnymi ciałami swoich towarzyszy, poczuł, że traci kontakt z rzeczywistością, ale natychmiast otrząsnął się i wrócił do teraźniejszości, a ta nie była wcale wesoła. – Musimy ostrzec VaN'Jarrich – powiedział. – Chyba się stąd ewakuują. Może powinni przenieść się do osady Athaansiego? Skupić się w jednej dolinie i zorganizować obronę?

Danny potrząsnął głową.

– Ryby w beczce, kiedy podciągną tu artylerię.

– Małe, rozproszone grupy mają większą szansę, że ich nie wykryją – powiedział Joseba – ale grozi im śmierć z głodu i zimna.

– Sześć albo pół tuzina – mruknął John. – Każde rozwiązanie jest równie złe.

– Decyzja nie do nas należy, prawda? – powiedział Sean.

– My im podamy fakty, a oni muszą coś z nimi zrobić. – A kiedy inni wzruszyli ramionami, godząc się z tym argumentem, ruszył do drzwi, dając znak głową Josebie. – Chodź, chłopie.

Musimy wyjść i ogłosić dobrą nowinę.

– Ciekaw jestem, co Carlo za nas dostał – powiedział John, kiedy Sean i Joseba przeszli obok Nica i opuścili chatę.

– Możliwość wycofania się w odpowiednim czasie – powiedział Emilio, przeglądając obrazy przesłane przez Fransa. – Popatrz na to. Ładują towar. Carlo zamierza napęlić luk i wracać do domu. Wysłał prom do Agardi... Co? Już trzy razy... – Urwał, a potem jęknął: – Och, mój Boże...

– Co? – zapytał John, przerażony. – Co jest w Agardi?

– Wytwórnice amunicji? Czy on...

– Nie. Nic z tych rzeczy. Tam są destylarnie – powiedział cicho Sandoz, patrząc na Danny'ego i Johna.

– Destylarnie? – powtórzył John. – Więc on ładuje na *Bruna*...

– Brandy z *yasapy* – dokończył Danny.

Sandoz pokiwał głową, a Danny westchnął, kręcąc głową.

– A więc to tak? – krzyknął John, wyrzucając ręce do góry.

– Carlo sprzedaje nas, kupuje rakhatańską brandy i wraca do domu bogatszy od Billa Gatesa!

Wściekły, opadł na ścianę naprzeciwko drzwi i osunął się po niej, siadając na ziemi i opierając plecami o zimne kamienie.

– A jednak – powiedział Emilio łagodnym tonem – wygląda na to, że jest jakaś sprawiedliwość we wszechświecie. – Stał w otworze wejściowym, światło z zewnątrz rozpałiło mu włosy, tak że nie widzieli jego twarzy. – Widzicie... nigdy nie miałem sposobności powiedzenia tego Carolowi, ale ta brandy jest...

Danny otworzył szeroko oczy i wstrzymał oddech.

– Okropna? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Powiedz, że tak – błagał John, wstając i podchodząc do Danny’ego. – Emilio, powiedz, że jest okropna! Skłám, jeśli musisz, ale powiedz mi, że to najgorszy trunek spośród tych, które piłeś w życiu.

Z nieprzytomnym wyrazem twarzy, z anielskim uśmiechem w oczach, Sandoz powiedział, cedząc słowa:

– Smakuje po prostu... jak... mydło.

Gdyby go kto zapytał, Emilio Sandoz potrafiłby wyjaśnić ten półhisteryczny śmiech, który pokonał żal, ból i rozpacz, ale nikt go nie słyszał. Kiedy wyszedł z chaty Ha’anali, ewakuacja osady już trwała – rodzice zbierali dzieci, wiązali toboły, sprzeczali się i krzyczeli, podejmując pochopne decyzje, zmieniając je, starając się nie wpaść w panikę. Pośrodku tego całego zamieszania była wysepka spokoju i ku niej ruszył, pewien, że spotka tam Suukmel Chirot u Vaadai przy wciąż dymiącym stosie Ha’anali.

Osunął się przy niej na kolana.

– Sprowadziliśmy na was kłopoty – powiedział. – Przykro mi z tego powodu.

– Chciałeś dobrze – odpowiedziała. – I dzięki tobie jest nowe życie.

– Nie pakujesz się? – zapytał.

– Jak widzisz – odrzekła pogodnie, ignorując zgiełk wokół nich.

– Szlachetna Suukmel, wysłuchaj mnie: nie jesteś tu już bezpieczna.

– Odkryłam, że bezpieczeństwo to pojęcie względne. – Podniosła rękę, jakby chciała zaciągnąć woal na głowę, ale powstrzymała się w połowie gestu. – Zostaję – powiedziała stanowczym tonem. – Postanowiłam, że jeśli cudzoziemka Sofia przybędzie do doliny N’Jarr, porozmawiam z nią. Mamy ze sobą coś wspólnego. – Uniosła nieco wargi, a w jej oczach mignęło rozbawienie. – A jakie są twoje plany?

– Bardzo podobne do twoich – odpowiedział. – Wybieram się na południe, żeby porozmawiać z Sofią.

38

NA DRODZE DO INBROKARU

listopad 2078 czasu ziemskiego

Nie użył wahadłowca, bojąc się, że w razie niespodziewanego zagrożenia zabraknie paliwa, więc wyruszył pieszo razem z Nikiem. Księża pozostali w dolinie N’Jarr, żeby pomóc jej mieszkańcom, ale Nico za nic nie chciał się z nim rozstać, więc Emilio nie protestował. Nie sądził, by to, co ich spotka podczas dwunastu dni wędrówki, wymagało użycia broni lub siły, a Nico już nieraz udowodnił swoją wartość i Emilio cieszył się z jego towarzystwa. Tiyat i Kajpin też z nimi poszły, żeby ich poprowadzić przez górskie przełęcze, kręte wąwozy i doliny.

Postanowili wrócić do ruin Inbrokaru, a potem pójść trochę dalej na południe i poczekać na drodze na Sofię i ruńską armię.

O drugim zachodzie słońca Emilio i Nico mieli pokrwawione kolana, a Emilio zaczął już się zastanawiać nad definicją „niespodziewanego zagrożenia”. Góry Garnu zbudowane były z cienkich i kruchych warstw, bardzo zdradliwych i męczących przy wspinaczce. Runki miały nie tylko chwytne nogi, ale i ogony, którymi mogły się podpierać, ale nawet dla nich była to trudna wspinaczka.

– Jak się czujesz, Nico? – zapytał Emilio, kiedy Tiyat i Kajpin pomogły wielkoludowi po raz piąty. – Może jednak powinniśmy wrócić po prom...

Urwał, słysząc za sobą grzechot osypujących się kamieni, i odwrócił się razem z Nikiem, by zobaczyć wysokiego, nagiego człowieka, schodzącego po zboczu na brudnych, bocianowatych nogach, z poszarpanym, niebieskim parasolem nad głową.

– Izaak? – zapytał Nico, strzepując brud z pocieranych dłoni i rozcierając kolejnego siniaka.

– Tak – zgodził się z nim Emilio. – Bo któż inny?

Spodziewał się dostrzec mieszaninę Jimmy’ego i Sofii w twarzy ich dziecka. Być może to właśnie było największym zaskoczeniem: Izaak nie był dzieckiem. Musi mieć koło czterdziestki, zdał sobie sprawę Emilio. Starszy od Jimmy’ego, kiedy umierał... Miał kręcone i rude włosy ojca, ale ciemniejsze, teraz przyprószone szarością, pozlepiane w brudne strąki. W długich, ptasich kościach było coś z delikatności Sofii i coś znajomego w ustach, ale trudno było odnaleźć matkę w tym ponurym widmie z nieuchwytnym spojrzeniem niebieskich oczu.

– Izaak ma swoje zwyczaje – poinformowała ich szybko Tiyat, kiedy mężczyzna zamarł w bezruchu na zboczu, o kilka kroków od nich.

Izaak nawet na nich nie spojrział, tylko wpatrywał się uważnie w coś na lewo od Emilia.

– Izaaku – zaczął Emilio i zawahał się – idziemy spotkać się z twoją matką...

– Nie wróć – odpowiedział Izaak donośnym, monotonnym głosem.

– Czy znasz jakieś pieśni?

Emilio, całkowicie zaskoczony, nie wiedział, co odpowiedzieć, ale odezwał się Nico.

– Ja znam mnóstwo pieśni.

– Zaśpiewaj jedną.

Nawet Nico zdawał się nieco wytrącony z równowagi tą nieoczekiwaną prośbą, ale stanął na wysokości zadania, odśpiewując *O mio bambino caro* Pucciniego z miękkim falsetem w wysokotonowych partiach, a potem zaśpiewał to jeszcze raz, kiedy Izaak go o to poprosił.

Przez jakiś czas w górskim pustkowiu słyhać było tylko te dwa głosy: bliźniacze, niewyszkolone tenory, naturalnie piękne w bliskiej harmonii. Nico, cały rozpromieniony, chciał jeszcze zaśpiewać *Questa o guella*, ale Izaak przerwał mu, mówiąc:

– To wszystko.

I odwrócił się, aby odejść.

Całkowity brak prozodii, zauważył Emilio, przypominając sobie kurs lingwistyki rozwojowej. VaN'Jarri wspominali o dziwactwach Izaaka, ale aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, że tu nie chodzi tylko o skutki długotrwałego osamotnienia.

– Izaaku! – zawołał, zanim mężczyzna zdążył się oddalić, podnosząc wysoko kolana jak wodny ptak. – Masz jakąś wiadomość dla swojej matki?

Izaak zatrzymał się, ale nie odwrócił do nich.

– Nie wróć – powtórzył. – Ona może tu przyjść. – Pauza. – To wszystko – dodał i zniknął za występem skały.

– Ona już idzie – mruknęła Kajpin.

– Prom jest zbyt hałaśliwy i za bardzo śmierdzi – zauważyła Tiyat, wracając do rozmowy, którą prowadzili, zanim ukazał się Izaak. – Najgorszą część drogi będziemy mieć za sobą jutro, przed trzecim zachodem słońca – obiecała.

Kiedy już przebyli łańcuch Garnu, wyszli na pofałdowaną sawannę, wznoszącą się i opadającą zaledwie na wysokość dorosłego Runao. W oddali ciemniały do barwy indygo szafirowe wzgórza, a bliżej płonęły w słońcu karmazynowe kwiaty i Emilio zaczął się cieszyć, że jednak poszli pieszo. Powtarzające się, rytmiczne ruchy zawsze go uspokajały, pozwalając skupić się na bólu mięśni i twardości gruntu pod nogami. Nie próbował przewidywać argumentów Sofii czy swoich własnych. Będzie dobrze, powtarzał sobie w myślach, stawiając jedną nogę przed drugą jak pielgrzym idący do Jeruzalem. Wciąż i wciąż: będzie dobrze. Nie wierzył w to; słowa Ha’anali po prostu pasowały do rytmu jego kroków.

Co jakiś czas zatrzymywali się, żeby coś zjeść; obozowali na równinie, nie dbając, że ich ktoś zobaczy.

– Jeśli nas zatrzymają i tak zaprowadzą do armii – stwierdziła obojętnie Kajpin. – Co za różnica?

Za dnia Emilio prawie podzielał ten fatalizm, ale noce były ciężkie, spędzane na wędrówkach we śnie po wypalonych, opustoszałych miastach albo na chodzeniu tam i z powrotem w przesyconej odgłosami ciemności. W końcu budzili się inni i razem zjadali to, co pozostało po wieczornym posiłku. Raz lub dwa Nicowi udało się upolować jakieś małe stworzenia, ale większość mięsa się zmarnowała. Emilio jadł bardzo mało – była to jego zwykła reakcja na napięcie. Krążył niestrudzenie, czekając, aż inni będą gotowi do drogi, powtarzając w myślach swoją mantrę: Będzie dobrze.

Ósmego dnia wędrówki na południe zobaczyli błyski metalu na horyzoncie. Późnym popołudniem, kiedy weszli na kolejną niską fałdę, ujrzeli już ciemną masę wojska u podstawy rozległej chmury pyłu.

– Będą tu jutro – powiedziała Tiyat, a potem spojrzała na zachód i dodała: – Jeśli wcześniej nie spadnie deszcz.

Tej nocy wszyscy źle spali i obudzili się, oddychając z trudem w mglistym i parnym powietrzu. Emilio, czekając, aż reszta zje śniadanie, wszedł na niskie wzniesienie, aby popatrzeć na dalekie obozowisko. Pierwsze słońce dopiero zaczynało się wspinać ponad widnokrąg, ale już teraz równina drgała i połyskiwała od upału, i czuł pot spływający mu po plecach. Pieprzę to, pomyślał, i zawołał do towarzyszy:

– Poczekamy tutaj!

– Dobry pomysł – powiedziała Kajpin, stając obok niego. – Niech oni do nas przyjdą!

Przedpołudnie spędzili, siedząc na tym wzniesieniu. Nico i Runki pojadali coś, gawędząc, jakby czekali na paradę wojskową. W miarę jak wojsko przybliżało się i zobaczyli, ilu ich jest, Tiyat i Kajpin też zamilkły jak Sandoz, strzygąc uszami, by złowić pierwsze dźwięki. Trudno było powiedzieć, czy naprawdę słyszą, czy tylko sobie wyobrażają dudnienie stóp, szcęk metalu, zawroźnienie komend i pogwar maszerujących oddziałów; burzowe chmury spowiły horyzont na zachodzie czarnymi festonami deszczu, a wiatr porywał wszystko prócz najbliższych odgłosów.

– Znosi się na ostrą burzę – powiedziała Tiyat z niepokojem, opierając się mocno na ogonie, bo wiatr był już naprawdę silny. Na zachodzie błyskawice nieustannie oświetlały spód czarnych chmur.

Kajpin też wstała.

– Deszcz pada na wszystkich – powiedziała obojętnym tonem, ale zaraz dodała bardziej złowieszcze zakończenie przysłowia: – Pioruny uderzają tylko w niektórych. – Zeszła ze wzgórza i usiadła w małym zagłębieniu, z pochyloną głową kontemplując widok maszerujących żołnierzy, by po chwili stwierdzić wesoło: – Cieszę się, że nie mam na sobie zbroi.

– Jak myślisz, kiedy zacznie się burza? – zapytał Nico.

Emilio spojrział na zachód i wrzucił ramionami.

– Za godzinę. Może mniej.

– Chcesz, żebym tam poszedł i zapytał o *signorę* Sofię?

– Nie, Nico. Dziękuję. Poczekaj tu. – Podszedł do Tiyat i Kajpin i powtórzył: – Poczekajcie tu.

A potem, nie oglądając się za siebie, zszedł powoli na drogę i ruszył nią w kierunku maszerującej armii, póki nie pokonał połowy dystansu. Wówczas stanął: mała, wyprostowana figurka z grzywą srebrnych i czarnych włosów rozwiewanych przez wiatr.

W tym czasie czoło wojska również się zatrzymało i po chwili szeregi rozstały się, by zrobić miejsce dla krytej lektyki niesionej przez czterech Runów.

Emilio próbował się przygotować na widok Sofii, na dźwięk jej głosu, ale szybko zrezygnował i po prostu patrzył, jak tragarze ostrożnie stawiają lektykę na drodze. Sprawnie rozwinęli wokół niej parawan o barwie nagietków, który zapłonął pod szarym niebem w ukośnych promieniach słońca wiszącego jeszcze nad wschodnim horyzontem. Potem z wozu zaopatrzenia wyjęto misternie rzeźbione składane krzesło i ustawiono przed lektyką. W końcu przystawiono do niej małe schodki i ujrzał drobną rękę, która rozchyliła zasłonę i chwyciła podaną jej dłoń, by się na niej wesprzeć.

Spodziewał się, że jest stara, ale nadal piękna – i nie zawiódł się. Ukośne blizny i pusty oczodół wywołał w nim wstrząs, ale słońca Rakhatu tak porzeźbiły jej twarz, że wyglądała, jakby była z gazy; blizny były teraz tylko trzema liniami pośród wielu innych, a jej jedno oko, żywe i bystre, zdawało się omiatać nieustannie otoczenie, jakby sobie tym kompensowała zmniejszenie o połowę pola widzenia. Nawet łuk jej pleców wydał mu się pełen wdzięku: jakby się pochyliła, by przyjrzeć się czemuś, co wzbudziło jej ciekawość. Usiadła na krześle i spojrzała w górę, przekrzywiając głowę. Czekwała na niego. Delikatna jak ptaszek, z rękami złożonymi na podołku, miała w sobie jakąś czystość szkieletu: wytworną, bezcielesną i martwą.

„Piękna jesteś”, pomyślał, „wdzięczna jak Jeruzalem, groźna jak zbrojne zastępy...”

– Sofio – powiedział i wyciągnął do niej rękę.

– Dużo czasu minęło – zauważyła chłodno, kiedy podszedł bliżej. – Mogłeś najpierw spotkać się ze mną. – Wpatrywała się w niego tym jednym okiem, póki nie opuścił wzroku. – Widziałeś Izaaka? – zapytała, kiedy zdołał znowu na nią spojrzeć.

– Tak – odpowiedział. Zesztywniała lekko i zaczerpnęła powietrza, a Emilio zrozumiał, iż sądziła, że jej syn dawno umarł, a tylko jego imię wykorzystują okrutnie, by zwabić więcej zakładników do jana’atańskiej warowni. – Izaak jest zdrowy... – zaczął.

– Zdrowy! – Parsknęła śmiechem. – Nienormalny, ale przynajmniej zdrowy. Jest z tobą?

– Nie...

– Więc nadal jest ich zakładnikiem.

– Nie, Sofio, wcale nie! Jest osobą, którą darzą wielką czcią...

– Więc dlaczego nie ma go tutaj z tobą?

Zawahał się, nie chcąc jej zranić.

– On... Izaak woli zostać tam, gdzie jest. Prosił, żebyś go tam odwiedziła. – Umilkł, spoglądając ponad nią na oddziały widoczne za złotym parawanem. – Możemy cię do niego zaprowadzić, ale to ty musisz pójść do niego.

– Czy to łowy? – zapytała, uśmiechając się chłodno. – Izaak jest przynętą, na którą chcą mnie złapać...

– Sofio, błagam! Jana’atowie nie są... Sofio, ty to wszystko źle pojmujesz!

– Ja to źle pojmuję – powtórzyła cicho. – Ja to źle pojmuję. Sandoz, byłeś tutaj... ile? Parę tygodni? – zapytała, unosząc brwi; jedna była wykrzywiona przez bliznę. – A teraz przychodzisz i mówisz mi, że ja to wszystko źle pojmuję. Zaraz! Jest na to angielskie słowo... niech pomyślę... – Spojrzała mu prosto w oczy, nie mrugając powieką. – Arogancja. Tak. To jest właściwe słowo. Prawie je zapomniałam. Wracasz tu po czterdziestu latach, przez trzy tygodnie zapoznajesz się z sytuacją i w końcu przychodzisz do mnie, żeby mi wyjaśnić, co się dzieje na Rakhacie.

Nie dał się onieśmielić.

– Nie na Rakhacie. Tylko w jednej małej osadzie Jana’atów ledwo utrzymujących się przy życiu. Sofio, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że Jana’atowie są bliscy wymarcia jako gatunek?

– Przecież nie chcesz...

– Tak ci powiedzieli? – zapytała i prychnęła z pogardą. – A ty im uwierzyłeś.

– Do cholery, Sofio, przestań mnie traktować jak dziecko! Potrafię poznać, kiedy ktoś głoduje, jak go zobaczę...

– No i co z tego, że głodują? Mam żałować kanibala, który głoduje?

– Och, na miłość boską, Sofio, oni nie są kanibalami!

– Tak? A jak ich nazwiesz? Jedli Runów...

– Sofio, wysłuchaj mnie...

– Nie, to ty wysłuchaj mnie, Sandoz – syknęła. – Przez blisko trzydzieści lat my-ale-nie-ty walczyliśmy z wrogiem, którego cywilizacja była najczystszyim wyrazem najbardziej charakterystycznej postaci zła: chęci odarcia innych z człowieczeństwa i zamiany ich na towar pierwszej potrzeby. Za życia Runowie byli potrzebni Jana’atom jako ich niewolnicy, asystenci, zabawki do zaspokajania żądz seksualnej. Po śmierci stawali się użytecznym surowcem, mięsem, skórą, kośćmi. Najpierw praca, potem mięso rzeźne! Ale Runowie są czymś więcej niż mięsem, Sandoz. Są ludem, który zdobył wolność i wywalczył ją od tych, którzy go więzili, pokolenie za pokoleniem. Bóg chciał ich wolności. Pomogłam im ją uzyskać i niczego nie żałuję. Wymierzyliśmy Jana’atom sprawiedliwość. Zebrałi to, co sami zasiali.

– Więc Bóg pragnie, by wymarli? – zawołał Emilio. – Bóg pragnie, by Runowie zamienili tę planetę w sklep z warzywami? Bóg pragnie, żeby nikt już nie śpiewał, żeby wszyscy byli do siebie podobni? Sofio, to już jest coś więcej niż zasada oko za oko...

Rozległ się dźwięk, który przypominał wystrzał, płaski i głuchy, i poczuł, jak na jego twarzy powstaje piekący zarys jej dłoni.

– Jak śmiesz – wyszeptwała. – Jak śmiałeś zostawić mnie tutaj, a teraz wrócić... po tak długim czasie... żeby mnie osądzać!

Stał nieruchomo, z odwróconą twarzą, czekając, aż to minie, wytrzeszczając oczy, aby powstrzymać łzy. Próbował sobie wyobrazić czterdzieści lat całkowitej samotności, bez Johna czy Giny, bez Vincenza Giulianiego czy Edwarda Behra, bez nikogo z tych, którzy mu pomogli...

– Przepraszam cię – powiedział w końcu. – Przepraszam!

– Nie wiem, co tu się dzieje i nie twierdzę, że rozumiem to, co musiałś tu przeżyć...

– Dziękuję. Miło mi to słyszeć...

– Ale, Sofio, ja wiem, co to znaczy być towarem codziennego użytku – powiedział, przerywając jej w połowie zdania. – Wiem, co to znaczy być odartym z człowieczeństwa. Wiem też, co znaczy być fałszywie oskarżonym i... niech Bóg się nade mną zmiłuje... wiem, co to znaczy być winnym... – Urwał i spojrział w bok, ale po chwili znowu napotkał jej oczy i rzekł: –

Sofio, jadłem mięso Runów z tego samego powodu, dla którego jedli je *djanada*: ponieważ byłem głodny i chciałem żyć. I zabiłem... zabiłem Askamę, Sofio. Nie myślałem, że to będzie właśnie ona, ale chciałem zabić, pragnąłem czyjejś śmierci, bo chciałem być wolny i było mi zupełnie obojętne w jaki sposób. Więc sama widzisz – dodał z łagodnym wyrzutem – że jestem ostatnią osobą, która mogłaby kogokolwiek osądzać! I wierzę ci, że Jana’atowie dostali to, na co zasłużyli! Ale, Sofio... nie możesz pozwolić, aby Runowie ich wymordowali! Oni już zapłacili za swoje grzechy i...

– Zapłacili za swoje grzechy! – Wstała i przeszła krok lub dwa, pochylona, chwiejąca się pod ciężarem garbu. – Spowiadałeś ich, ojczy? Rozgrzeszyłeś ich, po prostu dlatego, że o to prosili? – zapytała, z twarzą wykrzywioną pogardą. – Ale są winy, których nie można rozgrzeszyć! Są grzechy, których nie można wybaczyć...

Myślisz, że o tym nie wiem? – krzyknął, czując, jak narasta w nim gniew. – Nikogo już nie spowiadam! Nie jestem już księdzem, Sofio. Nie przybyłem tu, aby cię osądzać. Nie powróciłem nawet po to, żeby cię uratować! Jestem tu, ponieważ zostałem zbity do utraty przytomności i porwany przez Carla Giulianiego. Przez dużą część podróży z Ziemi byłem oszołomiony narkotykami i pragnę tylko jednego: wrócić do domu i przekonać się, czy kobieta, którą prawie poślubiłem siedemnaście lat temu, jeszcze żyje...

Wpatrywała się w niego, ale tym razem nie spuścił wzroku.

– Powiedziałaś, że wiesz, co się ze mną stało w Pałacu Galatna, Sofio, ale nie wiesz najgorszego: porzuciłem kapłaństwo, ponieważ nie potrafiłem wybaczyć tego, co mi zrobili. Nie mogę wybaczyć Supaariemu, który mi to zrobił – powiedział, podnosząc ręce. – I nie mogę wybaczyć Hlavinowi Kitheriemu, i wątpię, czy kiedykolwiek mu wybaczę. Nauczyli mnie nienawidzić, Sofio. Ironia losu, prawda? Usłyszeliśmy pieśni Kitheriego i zaryzykowaliśmy wszystko, aby tu przybyć, gotowi pokochać każdego, kogo tu spotkamy, gotowi uczyć się od nich! A kiedy Hlavin Kitheri spotkał jednego z nas... Spojrzał na mnie i pomyślał tylko o...

Zamilkł i odwrócił się od niej, z trudem łapiąc powietrze, ale przemógł się i znowu spojrzął jej w twarz, mówiąc głosem nabrzmiałym odrazą:

– Spojrzał na mnie i pomyślał: Jakie to miłe. Coś nowego do wyjebania.

– Już po wszystkim – warknęła z pobladłą twarzą. Ale on wiedział, że to nieprawda, nawet dla niej, nawet po tylu latach. – Pracujesz. Skupiasz się na zadaniu, jakie masz wykonać...

– Tak – zgodził się chętnie i szybko. – A ty uczyniłaś cnotę z samotności. Nazywasz to poleganiem na sobie samej, tak?

– Mówisz sobie, że niczego nie potrzebujesz, że już nie chcesz, by ktokolwiek pojawił się w twoim życiu...

– Odgrodz się murem!

– Myślisz, że nie próbowałem? – krzyknął. – Sofio, wciąż zwałam kamienie na kupę, ale już nic ich razem nie trzyma!

– Nawet gniew. Nawet nienawiść. Mam już dość nienawiści, Sofio. Jestem nią zmęczony. Jestem nią znudzony! – Burza była już blisko, błyskawice tylko na krótko wyprzedzały grzmoty, ale nie dbał o to. – Znienawidziłem Supaariego VaGayjura i Hlavina Kitheriego, i szesnastu jego przyjaciół, ale... Chyba wciąż nie potrafię nienawidzić zbiorowości – szepnął i ręce mu opadły. – Pozostała mi jeszcze ta jedna mała wysepka prawości. Sofio. Znienawidziłem ojców, ale nie potrafię nienawidzić dzieci. I ty też nie powinnaś, Sofio. Nie zaprowadzisz porządku, zabijając niewinnych.

– Nie – powiedziała, wsłuchując się we własne serce. – Nie ma niewinnych.

– Jeśli znajdziesz ci dziesięć, oszczędzisz resztę?

– Nie baw się ze mną w ten sposób – warknęła i skinęła na tragarzy.

On stanął między nią a lektyką.

– Kilka dni temu pomagałem przy porodzie maleńkiego Jana’aty – powiedział zdawkowo, zagradzając jej drogę. – Cesarskie cięcie. Zrobiłem, co mogłem. Okazało się, że to za mało. Matka umarła. Chcę, żeby to dziecko żyło, Sofio. Cholernie mało jest rzeczy, których jestem pewny, ale to jedno wiem z całą pewnością: chcę, żeby to dziecko żyło.

– Zejdź mi z drogi – szepnęła – albo zawołam straż.

Nie ruszył się.

– Mam ci powiedzieć, jak nazywa się starsza siostra tego dziecka? – zapytał lekkim tonem. – Sofi’ala. Ładne imię, prawda? – Obserwował jej reakcję, to drgnięcie głowy, jakby cofnęła się przed uderzeniem, i natarł znowu, bez litości. – Matka tego dziecka miała na imię Ha’anala.

A jej ostatnie słowa były o tobie. Powiedziała: „Oddajcie dzieci mojej matce”. Chciała, żebyśmy je zaprowadzili do Gayjuru! Coś w rodzaju krucjaty dziecięcej. Nie zrobiłem tego. Nie spełniłem jej ostatniego życzenia, bo już nigdy więcej nie chcę być odpowiedzialny za życie jakichkolwiek dzieci, Sofio. Ale ona miała rację. Te dzieci nigdy nikogo nie zabiły ani nie zniewoliły. Są tak samo niewinne jak dzieci YaKashanich, które wymordowano na naszych oczach.

Zaczęło padać. Krople były ciepłe jak łzy, a wiatr załopotał tkaniną osłony, prawie zagłuszając jego słowa.

– Będę poręczycielem tych dzieci i ich rodziców, Sofio. Proszę. Pozwól im żyć, a wszystko co dobre... muzyka, poezja, wszystko, do czego są tak uzdolnieni... będzie twoją zasługą – powiedział, teraz już zrozpaczony, bo jej milczenie uznał za odmowę. – Jeśli znowu zabiją, ja będę kozłem ofiarnym. Ich grzechy na moją głowę, dobrze? Zostanę tutaj, a jeśli znowu zabiją, uśmiercisz mnie, a im dasz jeszcze jedną szansę.

– Ha’anala nie żyje?

Kiwnął głową, powstrzymując szloch, bo to Sofia powinna ją oplakiwać.

– Dobrze ją wychowałeś, Sofio – powiedział łamiącym się głosem. – To była naprawdę wyjątkowa kobieta. Założyła tam w górach coś w rodzaju utopijnej wspólnoty. Prawdopodobnie z góry była skazana na zagładę... jak wszystkie utopie. Ale próbowała! Tam żyją razem wszystkie trzy gatunki, Sofio. Runowie, Jana’atowie, nawet Izaak. Nauczyła ich, że każda dusza jest maleńkim odbiciem Boga i że zabijanie jest niegodziwością, bo kiedy odbiera się komuś życie, tracimy to niepowtarzalne objawienie Boskiej natury.

Znowu zamilkł na chwilę, bo z coraz większym trudem wypowiadał słowa.

– Sofio, jeden z księży, z którymi przybyłem... uważa, że twoja przybrana córka była kimś w rodzaju Mojżesza dla swojego ludu! Trzeba było czterdziestu lat, żeby wypalić w Izraelitach niewolnictwo. Może trzeba czterdziestu lat, żeby wypalić w Jana’atach skłonność do panowania!

Wzruszył bezsilnie ramionami, widząc jej zdumione spojrzenie.

– Nie wiem, Sofio. Prawdopodobnie Sean jest naładowany jakimiś gównianymi teoriami. Może Abraham był psychotykiem, a schizofrenia była w jego rodzinie dziedziczna. Może Jezus był po prostu jeszcze jednym zwariowanym Żydem, który słyszał głosy. Albo może Bóg istnieje, ale jest zły albo głupi i właśnie dlatego na świecie jest tyle absurdu i niesprawiedliwości! To nie ma znaczenia! – zawołał, żeby przekrzyczeć ryk deszczu. – To naprawdę nie ma znaczenia.

– Mnie już Bóg nie obchodzi, Sofio. Tylko jedno wiem na pewno: chcę, żeby dziecko Ha’anali żyło...

Wyszła na deszcz, który pochłaniał teraz wszystkie inne dźwięki. Przez długi czas po prostu stała w ulewie, wsłuchując się w jej bezlitosny szum, czując jej chłostę na wykoślawionych ramionach, pozwalając, by przemoczyła jej włosy i obmyła zniszczoną twarz.

Kiedy powróciła ze swoich wspomnień, czekał na nią Emilio. Przemoczona i zziębnięta, wsparła się na jego ramieniu i powoli podeszła do lektyki, siadając ciężko na krześle.

Pierwsza fala nawałnicy minęła; deszcz bębnił teraz jednostajnie i przez pewien czas po prostu patrzyli na tonącą w nim równinę. Dotknęła jego ramienia, a on odwrócił się do niej.

Podniosła rękę i delikatnie przyłożyła do jego policzka, gdzie tak niedawno pozostawiła swój ślad, a potem odgarnęła mu pasmo włosów opadające na czoło.

– Posiwiałeś, staruszkule – powiedziała. – Wyglądasz gorzej ode mnie, a ja wyglądam okropnie.

Odpowiedział suchym tonem, ale w otoczonych czerwonymi obwódkami oczach błysnęło rozbawienie.

– Próżność nie należy do moich wielu wad, *madame*, ale niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę się obrazić.

– Kiedyś cię kochałam.

– Wiem. Ja też ciebie kochałem. Nie zmieniaj tematu.

– Ożeniłeś się?

– Prawie. Porzuciłem kapłaństwo, Sofio. Skończyłem z Bogiem.

– Ale On nie skończył z tobą.

– Najwidoczniej – odpowiedział zmęczonym głosem. – Albo to, albo jakiś cholerny ciąg wyjątkowego braku szczęścia. – Podszedł do krawędzi osłony. – Nawet teraz myślę sobie, że to wszystko jest jakimś bardzo kiepskim dowcipem. To dziecko, na którym mi tak zależy? Może wyrosnąć na takiego skurwysyna, że każdy będzie żałował, że nie umarło w łonie swojej matki, a ja zapiszę się w dziejach historii Rakhatu jako Sandoz Idiota, który uratował mu życie! – Uzbrojone w protezy ręce zwisały mu bezwładnie po bokach; prychnął, zawstydzony swoją absurdalną pretensjonalnością. – Prawdopodobnie będzie jeszcze jednym żalonym błaznem, starającym się, żeby wszystko wyszło jak najlepiej i żeby w dodatku było słuszne i zbawienne.

Nagle zmienił pozę. Zrobił się jakiś wyższy, postawniejszy, a Sofia Mendes usłyszała znowu tak jej kiedyś drogi teksański żargon D.W. Yarbrough, dawno zmarłego księdza, który i ją, i jego tak wiele nauczył.

– Panienko Mendes – wycedził Emilio, przegrany, ale nie pozbawiony humoru – myślę, że to całe cholerstwo wypruwa ze mnie flaki.

Zmęczony mówieniem, Emilio usiadł na ziemi obok niej i razem patrzyli, jak deszcz zamienia świat w błoto. Wkrótce zdała sobie sprawę, że usnął, oparty o wsporniki jej krzesła; kalekie ręce spoczywały bezwładnie na podołku. Czując pustkę, słuchała jego cichego pochrapywania i sama by zasnęła, gdyby jej w tym nie przeszkodził wielki, przemoczony mężczyzna, który zajrzał pod baldachim, miętosząc w rękach płócienny kapelusz.

– *Signora?* Czy już wszystko będzie dobrze? – zapytał z niepokojem.

– A kim ty jesteś? – zapytała cicho, spoglądając znacząco na Emilia.

– Nazywam się Niccolo d’Angeli. „D’Angeli” znaczy „od aniołów”
– wyszeptał wielkolud. – Od nich przyszedłem, zanim trafiłem do domu. Aniołowie mnie podrzucili. – Uśmiechnęła się, a on wziął to za dobry znak. – Więc wszystko będzie dobrze? – zapytał ponownie, wchodząc pod osłonę. – Jana mogą tu żyć, jeśli nie będą nikogo krzywdzić, tak? – Nie odpowiedziała, więc mówił dalej: – To by było bardzo sprawiedliwe. Czy don Emilio dobrze się czuje? Dlaczego tak siedzi?

– Śpi. Musiał być bardzo zmęczony.

– On ma nocne koszmary. Boi się spać.

– Jesteś jego przyjacielem?

– Jestem jego ochroniarzem. Myślę, że wszyscy jego przyjaciele nie żyją. – Zastanawiał się nad tym z ponurą miną, ale po chwili twarz mu się rozjaśniła, jakby mu coś nagle przyszło do głowy. – *Signora* jest jego przyjacielem, a żyje.

– Jeszcze żyję – potwierdziła Sofia.

Nico podszedł do skraju namiotu i popatrzył na niebo nieustannie przecinane błyskawicami.

– Podobają mi się tutaj burze – powiedział. – Przypominają mi ostatni akt *Rigoletta*. – On jest opóźniony w rozwoju, pomyślała. – Znaleźliśmy pani syna, *signora*. Chce, żeby go pani odwiedziła, ale myślę, że przedtem powinien coś na siebie włożyć. Powiedziałem coś złego?

Otarła oko.

– Nie. – Uśmiechnęła się i wyznała: – Izaak nigdy nie lubił się ubierać.

– Lubi pieśni.

– Tak. Tak, bardzo lubi. Izaak zawsze uwielbiał muzykę. – Wyprostowała się na tyle, na ile jej pozwalało wykoślawione ciało. – *Signor d’Angeli*, czy mój syn dobrze wygląda?

– Jest chudy, ale oni tu wszyscy są tacy. Była jedna pani, która umarła, rodząc dziecko, zanim wyruszyliśmy w drogę. Joseba uważa, że ona była za chuda i dlatego umarła... bo nie miała dość siły. Przynieśliśmy im jedzenie, ale oni byli tak głodni, że wszystko zwymiotowali, bo jedli za szybko. – Zobaczył, że *signora* skrzywiła się, ale nie wiedział, co to oznacza.

Obracając wciąż rondo kapelusza, przeniósł ciężar potężnego ciała z jednej nogi na drugą i zerknął na nią nieśmiało. – Co powinniśmy teraz zrobić? – zapytał po chwili.

Nie odpowiedziała od razu.

– Nie jestem pewna – wyznała szczerze. – Potrzebuję trochę czasu, żeby się zastanowić.

Kilka godzin później, w pierwszych chwilach odzyskiwania świadomości w wygodnym łóżku, Emilio Sandoz pomyślał, że jest w Neapolu. Chciał już powiedzieć: „W porządku, Ed, nie musisz już wyczekiwać”. Potem przebudził się całkowicie i zobaczył, że to nie brat Edward Behr, ale Sofia Mendes całą noc obserwowała jego twarz we śnie.

– Rozmawiałam z twoimi kolegami, którzy są w dolinie N’Jarr – powiedziała mu bez emocji – i z kobietą, która nazywa się Suukmel. – Zamilkła na chwilę, ale twarz miała nadal obojętną. – Nie rządę tutaj, Emilio, choć może twoi jana’atańscy przyjaciele mówili ci co innego. Ale mam pewne wpływy. Zrobię, co w mojej mocy, żeby delegacja VaN’Jarrich mogła bezpiecznie dotrzeć na rozmowy z Parlamentem Starszych. Zajmie to trochę czasu i nie będzie łatwe. Nie wiem nawet, czy uda mi się załatwić ci przesłuchanie. Starsi pamiętają, jak przedtem było. Jest pewna kobieta, Djalao VaKashan; ją będzie trudno przekonać. Ale powiem im, że ty i inni kapłani jesteście dobrymi ludźmi i macie dobre serca. Nie mogę obiecać więcej.

Usiadł i jęknął, bo cały był obolały, ale powiedział:

– Dziękuję ci. – Deszcz już ustał, przez zasłonę sączyło się słońce. – A ty, Sofio, co zrobisz?

– Zrobię? – zapytała i spojrzała w dal, żeby pomyśleć, zanim odpowie, o tętniących życiem miastach, o żywej polityce i pączkującym handlu, o beztroskich świętowaniach i zabawach, o radosnym docenianiu wszystkiego co nowe i nie wypróbowane. Myślała o rozkwicie teatru i eksplozji technologii, o żywiołowym rozwoju sztuki, odkąd *djanada* przestali rządzić życiem Runów. Myślała o Starszych, którzy teraz żyli dostatecznie długo, by wesprzeć doświadczenie młodych swoją prawdziwą mądrością, i o dzieciach obciążonych wadami, którym pozwolono żyć i które obdarzyły swój lud nieoczekiwanymi dobrodziejstwami.

To prawda, że trzeba było za to zapłacić. Byli tacy, którzy rozkwitali w nowym świecie – wyzwoleni w każdym sensie – i tacy, którzy nie potrafili się przystosować. Choroby, niedorozwój umysłowy, błędy, nie kończące się spory, nędza, wykorzenie, oszołomienie – wszystko to stało się teraz częścią życia Runów. Ale to, czego już dokonali, było naprawdę wspaniałe, a któż wie, do czego jeszcze są zdolni? Tylko czas może udzielić odpowiedzi.

A na drugiej szali są te ostre, półksiężycowate szpony i ametystowe oczy mrugające w słońcu...

Czytała Yeatsa, wygrzebanego z katalogu Jimmy’ego, i teraz pomyślała o słowach Emeryta: Pluję w twarz czasowi, który mnie przemienił...

– Co zrobię? – powtórzyła. – Sandoz, ja jestem stara. Spędziłam życie wśród Runów i wśród nich pozostanę. – Odwróciła głowę bokiem, pod światło, ślepy okiem w jego stronę, i długo milczała. – Niczego nie żałuję – powiedziała w końcu – ale swoją rolę już odegrałam.

DOLINA N'JARR

grudzień 2078 czasu ziemskiego

Po miesiącach uwięzienia na pokładzie *Giordana Bruna* góry otaczające dolinę N'Jarr wydały się Danielowi Żelaznemu Koniowi tak kuszące, że zaczął się z nadzieją uważnie przyglądać wysokiej półce skalnej na wschód od osady. Nie miał ekwipunku, a jego buty w ogóle nie nadawały się do wspinaczki, przeszło mu też przez głowę, że upadek z takiej wysokości z pewnością skończy się bardzo malowniczą śmiercią. Ale chciał być sam, marzył, że tylko Bóg wie, gdzie on jest, więc wyruszył o świcie, nie mówiąc nikomu o swoich planach.

Od chwili, gdy Emilio Sandoz opuścił dolinę, by spotkać się z Mendes na drodze do Inbrokaru, Danny czuł się tak, jakby zrzucił kilkanaście kilogramów. Kiedy zaczął wspinać się po skalnym licu góry, pomyślał, że w ciągu całego ostatniego roku nie czuł się tak szczęśliwy jak teraz. Ogarnął go spokój, uwagę pochłonęło mozolne poszukiwanie punktów oparcia.

Wczepiając palce w skalne szczeliny, miał przed oczami mocne kości nadgarstków dziadka Lundberga, grube jak kołki w płocie, czuł w piersiach serce babci Beauvais, silne i pracujące miarowo nawet po dziewięćdziesiątce. To zabawne, pomyślał, jak ci dziadkowie I zawsze starali się rozebrać go na czynniki pierwsze. Chętnie by I podzielili moje DNA, zaśmiał się w duchu, przypominając sobie, I jak rodzina jego ojca ostrzegała go złowieszczo, że ma „wątrobę Lakotów”. Teraz znalazł się w końcu w takim miejscu, gdzie to i wszystko nie miało żadnego znaczenia, gdzie był po prostu Ziemianinem. Dopiero tutaj zrozumiał, że nie był żadnym spornym terytorium, o które toczą boje jego dziadkowie, ale ogrodem, w którym każdy z jego żyjących przodków chciał dostrzec coś z siebie, coś, co się w nim zakorzeniło i wyrosło. Przez pewien czas zatracił się w czystym radowaniu się siłą; i zręcznością, ale wysokość zrobiła w końcu swoje. Czując, że brak mu tchu, poddał się kilkaset metrów od półki, która była jego celem, a znalazł za to wypełniony piargiem żleb, do którego wiatry nawiały dość drobin ziemi i roślin, by powstała miękka warstwa humusu. Usiadł tam, żeby odpocząć, przyglądając się rozplanowaniu rozłożonej w dole, opustoszałej osady – wyczulony na wszelkie oznaki mówiące o strukturze społecznej – i pomodlił się o pomyślność uchodźców, którzy opuścili ją dwa tygodnie wcześniej. Zdał sobie sprawę, że już wiele czasu minęło, odkąd czuł się socjologiem czy kapłanem.

Nieco zmartwiony faktem, że aż tyle czasu musiało upłynąć, by odzyskał normalny rytm oddechu, musiał w końcu przyznać się przed samym sobą, że pokonała go nie tylko wysokość.

Przypomniał sobie słowa Vincenza Giulianiego: „Jesteś młody, ojciec Żelazny Koni”. Już nie taki młody, pomyślał Danny, napełniając płuca górskim powietrzem i wspominając tamten wieczór w neapolitańskim ogrodzie. „Jesteś młody i masz wady młodego człowieka.

Krótkowzroczność. Pogardę dla pragmatyzmu...” Tutaj, tak wysoko nad doliną, jedynym dźwiękiem, jaki słył szał, był ryk wodospadu spadającego gdzieś blisko, bo od czasu do czasu czuł na twarzy wodny pył. Wreszcie samotny, z własnymi myślami, Danny zmusił się, by wyobrazić sobie szachownicę, ocenić ustawienie figur, przewidzieć wiele następnych ruchów.

Nieświadomie zadał sobie to samo pytanie, które uformowało większą część kariery Vincenza Giulianiego: Więc z kim mi tutaj przyszło pracować?

Trudno było o jasne wnioski. Biorąc pod uwagę wydarzenia pierwszej misji, katastrofa czaiła się za najmniejszym błędem; wszystko wskazywało na to, że w najlepszym razie mogą mieć nadzieję na zagmatwany impas. Jakby słyszał Sandoza, pomyślał nagle Danny. Ale to jest polityka. Musimy po prostu znaleźć jakiś sposób na to, by wszyscy gracze dostali przynajmniej to, czego potrzebują.

Prawie nie zdając sobie z tego sprawy, wstał i znowu zaczął się wspinać ku półce, która była jego celem, a kiedy do niej dotarł, rozwiązanie przyszło jak objawienie nad potokiem Cardoner i wydało mu się tak oczywiste, że zadał sobie pytanie, czy Vincenzo Giuliani mógł przewidzieć taką sytuację. To niemożliwe, a jednak...

Wygrałeś, ty stary lisie, pomyślał Danny i zdawało mu się, że usłyszał śmiech duszy, kiedy wciągnął się na półkę i stanął na niej jak posąg nad doliną. Najpierw Suukmel, pomyślał. Potem Sofia Mendes. Jeśli się zgodzi, to Carlo. A potem już inni.

Ironia tego, co zamierzał zaproponować, aż kłuła w oczy, a wiedział, że nie dożyje skutków.

Ale można przynajmniej zyskać na czasie. A liczył się tylko czas.

John Candotti siedział na pniu otoczony częściami zepsutej pompy, którą próbował naprawić, kiedy Danny wszedł junackim krokiem do wioski. Zbliżał się wieczór.

– Gdzie ty, do diabła, byłeś? – zawołał John na jego widok. – Sean i Joseba poszli cię szukać... Co z twoimi kolanami?

– Nic. Pośliznąłem się. Która godzina jest na *Brunie*?

John otworzył usta, zaskoczony tym pytaniem i energią, jaka tryskała z Danny'ego.

– Nie wiem. Od dawna nie patrzyłem na zegarek. – Spojrzał na słońca. – Chyba około ósmej.

– Więc na pokładzie jest już po kolacji? To dobrze. Mam dla ciebie robotę – powiedział Danny, wskazując głową miejsce, gdzie spoczywał wahadłowiec. – Chcę, żebyś wywołał Fransa. Powiedz mu, żeby spróbował brandy z *yasapy*. – John nie ruszył się z miejsca, a jego twarz wyraźnie mówiła, że nie zamierza tego zrobić. – Mógłbym poprosić cię, żebyś mi zaufał – powiedział Danny – ale mogę też po prostu kazać ci to zrobić.

John wypuścił powietrze z płuc i odłożył uszczelkę, którą wycinał.

– Nie do nas należy dociekanie powodu – mruknął i poszedł za Żelaznym Koniem na skraj doliny, gdzie stał wahadłowiec. – Nie sądzę, żebyś zechciał mi wyjaśnić? – zapytał, kiedy weszli do środka.

– Johnny – odpowiedział Danny – mógłbym to zrobić sam, ale obiecuję ci, że będzie śmieszniej, jak ty mi pomożesz. Po prostu zasugeruj Fransowi, że po posiłku dobrze by było coś wypić, zgoda?

John zmarszczył brwi.

– Ale on powie Carlowi...

Danny wyszczerzył zęby w uśmiechu. John zacisnął usta i potrząsnął głową, ale usiadł przed konsolą i wywołał *Giordana Bruna*.

– Johnny! – krzyknął Frans parę chwil później, odrobinę za serdecznie. – Co tam u was?

– Dostaliśmy... hm... twoją wiadomość, Frans – powiedział John, niepewny, czy Carlo monitoruje transmisję. – Sandoz o to zadba. – Odkaslnął i spojrzał na Danny'ego, a ten przynaglił go gestem. – Słuchaj, Frans, czy już próbowałeś tej brandy z *yasapy*?

– Skąd na to wpadłeś? – zapytał podejrzliwie Frans.

– Przypadkowe trafienie. Próbowałeś już?

– Nie.

– Bo Danny Żelazny Koń uważa, że może najwyższy czas tego spróbować. A potem powiedz szefowi, co o niej myślisz.

– Cudownie – powiedział Danny, kiedy John się rozłączył. – Teraz poczekamy z dziesięć minut.

Wystarczyło pięć.

– Miło cię słyszeć, Gianni – zaczął uprzejmie Carlo. – Chciałbym mówić z Żelaznym Koniem, jeśli łaska. – John wstał i wskazał Danny'emu krzesło przed konsolą ze spojrzeniem, które mówiło: Radź sobie sam.

– Dobry wieczór, Carlo – przywitał go Danny przyjaznym tonem i czekał.

– Biznes to biznes – powiedział Carlo tytułem krótkiego usprawiedliwienia. – Nie masz do mnie urazy?

– Ależ skąd. To wszystko zaczyna mi się podobać – wyznał Danny poufnym tonem. – Pytanie tylko, czy chcesz teraz dyskutować o warunkach ze mną? Może wolisz znowu spróbować szczęścia z Sofią Mendes? Aha, odbyłem z nią małą pogawędkę i wygląda na to, że kilka spraw przedstawiłeś jej fałszywie, kiedy dobijałeś z nią targu. Ona tak to odczuwa. Chyba uważa, że wpuściłeś ją w kanał. – Na wskaźniku przeskakiwały sekundy, a twarz Johna Candottiego zaczęło rozjaśniać zrozumienie. – A może wrócisz na Rakhat i pohandlujesz bezpośrednio z Runami? – zapytał Danny z troską w głosie, kiedy Carlo nie odpowiadał. – Tylko pamiętaj, żeby mieć pod ręką zestaw anafilaktyczny. Oczywiście, musisz mieć nadzieję, że zdołasz wytłumaczyć jakiemuś Runao, jak go użyć, bo nas nie będzie w pobliżu, żeby ci pomóc. Twoja kolej, mistrzu.

Milczenie nie trwało długo.

– A jakie są twoje warunki? – zapytał Carlo z zadziwiającą godnością, biorąc pod uwagę fakt, że prawdopodobnie słyszał odgłosy, jakie wydawał z siebie John.

– Wyładujesz cały towar tutaj, w dolinie N’Jarr – zaczął Danny – i nie próbuj mi wciskać kitu, bo czytałem manifesty. Zatrzymujemy załogowy wahadłowiec z pełnym zapasem paliwa...

– Kosztował fortunę! – zaprotestował Carlo.

– Zgadza się, ale zanim wrócisz na Ziemię, będzie starszy od większości drugich żon – oznajmił spokojnie Danny, a John zaczął odgrywać coś w rodzaju tańca zwycięstwa, którego istotnym elementem były typowo włoskie gesty wymierzone w niebo, gdzieś w kierunku trzydziestej drugiej deklinacji. – Jeszcze nie skończyłem – ciągnął Danny. – Nasz udział w handlu kawą będzie wynosił sto procent, ale jeśli chodzi o resztę, możemy być twoimi pośrednikami...

– Jaką mam gwarancję, że nie zatrzymacie bezzałogowca, kiedy wyślę wam ostatni transport? – zapytał Carlo podejrzliwie. – Możecie mnie zostawić z pustą do połowy ładownią.

– Na co dokładnie zasługujesz, ty żaloszny skurwysynie – zaśpiewał John radośnie, ocierając łzy z oczu.

– Wydaje mi się, że musisz mi zaufać, mistrzu – rzekł Danny, wyciągając wygodnie swoje długie nogi, żeby się przygotować do bardzo pracowitego dnia. – Ale jeśli uważasz, że możesz uzyskać lepsze warunki gdzie indziej...

Carlo nie uważał i rozpoczęły się zażarte negocjacje.

– Mówisz poważnie? – zawołał Sandoz parę dni później, kiedy Tiyat i Kajpin wyszły z Nikiem, żeby znaleźć coś do: zjedzenia. – Danny, rezerwy okazały się zgubą dla Indian...

– Sandoz, to nie są Stany Zjednoczone – odrzekł Kanadyjczyk stanowczym tonem – a my nie jesteśmy białymi anglosaskimi protestantami. No i mamy to za sobą, więc wiemy, jakich błędów unikać...

– I rezerwy są lepsze od wyginięcia – zauważył Joseba z chłodną precyzją. – Według mojej oceny, wystarczy dziesięć zgonów rocznie więcej niż teraz, a za parę pokoleń cała populacja Jana'atów po prostu wymrze. Jeśli trzeba wybierać między apartheidem a zagładą...

– No i Danny dobrze zna najgorsze strony rezerwatów – wtrącił John – więc może...

– Rozpaczliwe środki w rozpaczliwej sytuacji – powiedział Sean. – Nie muszę was chyba przekonywać, że nienawidzę wszelkich segregacji, ale to jedyny sposób, by położyć kres zabijaniu. To im pozwoli zapomnieć o dawnych urazach, a przynajmniej powstrzyma gromadzenie się nowych...

Zaraz, zaraz, nie tak szybko! – zawołał Emilio, mając w głowie taki zamęt ze zmęczenia, że zapragnął, by mówili po hiszpańsku, a to już była jawna oznaka skrajnego wyczerpania.

Niezliczone godziny spędzone na mechanicznej bieżni przygotowały go w jakiejś mierze do miesięcznej wędrówki przez pustkowia, ale spotkanie z Sofią zbyt wiele go kosztowało i nie spodziewał się, że natychmiast po powrocie tłum podnieconych mężczyzn otoczy go, zasypie nowinami i będzie żądał aprobaty dla jakiegoś dzikiego pomysłu. – No dobrze – powiedział w końcu, uznawszy, że wytrzyma jeszcze kilka minut. – Powiedzcie mi jeszcze raz...

– Widzę to jako terytorium politycznie niezależne – powiedział Danny. – Jana’atowie już są tutaj odizolowani... wystarczy, by rząd z południa sformalizował tę sytuację! Suukmel uważa, że byłoby to całkiem dobre rozwiązanie. Przekonała Shetriego, a teraz poszły przekonywać Athaansiego.

Kim, do cholery, jest ten Athaansi?, zastanawiał się mętnie Sandoz. Zdawał sobie sprawę, że wygląda okropnie, ale w końcu zawsze wyglądał okropnie, więc nikt już nie przywiązuje do tego wagi.

– Rozmawialiście o tym z Sofią?

– Oczywiście! – odpowiedział John, z którego wciąż tryskała radość.

– Rozmawialiśmy z nią parę dni temu. Chyba nie myślisz, że siedzieliśmy tu beczynnianie, ssąc sobie kciuki, kiedy ciebie nie było...

– Powiedziała, że nagłośni ten pomysł – powiedział Danny – ale decyzję i tak podejmie parlament Runów w Gayjurze. To zajmie trochę czasu, ale...

– Teraz mamy inny problem – przerwał mu Joseba. – VaN’Jarri muszą się jakoś dowiedzieć, że wojsko się wycofuje i że mogą tu bezpiecznie wrócić. Trzeba było ustalić jakiś sygnał umowny, ale nikt o tym nie pomyślał.

Pojawił się Nico z dwoma talerzami jedzenia z wahadłowca.

– Don Emilio – powiedział cicho – myślę, że powinieneś usiąść. Jesteś głodny?

Sandoz potrząsnął głową, ale usiadł na stołku.

– ...chcemy odbudować ich liczebność, to musimy zapewnić im żywność – mówił Joseba – i to dużo, ale te równiny są fabryką mięsa, a być może Runowie będą chcieli dostarczać dziczyznę w zamian za kawę lub coś innego. Możemy też znaleźć jakieś zwierzęta nadające się do udomowienia. – Nawet nie zauważył, że zaczął używać formy „my”. – Jana’towie uważają, że można wyhodować *kha’ani*, które będą składać jajka przez cały rok...

– A zanim to się stanie – wpadł mu w słowo John – możemy polować i przynosić coś większego...

– Mogę pomóc w polowaniach – powiedział Nico, nie bardzo rozumiejąc, o czym się dyskutuje, ale zadowolony, że teraz, kiedy Carlo ich porzucił, może służyć don Emiliowi i księżom.

– Ach, jestem tego pewny, Nico – powiedział Sean – ale ty i Sandoz wracacie na Ziemię.

Nico otworzył usta i czekał na wyjaśnienia. Sandoz spojrział ostro na Seana, a potem wstał i odszedł kilka kroków. Kiedy się odwrócił, miał twarz, z której nic nie można było wyczytać.

– Do Neapolu jest kawał drogi, Sean.

– No cóż, chyba masz rację, mistrzu, ale już ci zabukowaliśmy przelot do domu z Carlem – powiedział Danny. – Uległ naszej perswazji i zgodził się trochę poczekać, zanim wyruszy z powrotem. Wsadzimy was na prom z ostatnim ładunkiem towarów z Rakhatu.

John szczyrzył zęby w uśmiechu.

– Namówiliśmy Fransa, żeby spróbował tego szamponu z *yasapy*, Carlo nagle postanowił zrewidować swoje umowy. To było naprawdę zdumiewające, Emilio. Danny załatwił VaN’Jarrim wspaniałe warunki...

Sandoz pokręcił głową; jego wytrzymałość miała jednak granice, do których niebezpiecznie się zbliżał.

– Nie – powiedział bezbarwnym tonem. – Nico może wrócić, ale ja dałem słowo. Powiedziałem Sofii, że będę poręczyicielem Jana’atów...

– Chryste, przecież nam o tym powiedziała – odezwał się Sean. – To jest kobieta, która w Belfaście czułaby się jak w domu! Twarda suka, ale można się z nią dogadać, jeśli dostanie to, czego chce. Ja będę kozłem ofiarnym, Sandoz. Ty wracasz do domu i szukasz tej słodkiej Giny i jej Celestyny.

Milczenie przerwał Danny.

– Odwaliłeś już swoją robotę, mistrzu. Damy sobie radę.

– To nie wszystko – dodał podekscytowany John. – Rukuei chce z tobą lecieć na Ziemię...

– Próbowałem mu to wybić z głowy – powiedział Joseba. – Tutaj jest potrzebna każda para do rozrodu, ale okazało się, że jest wytrzebiony, więc...

Sandoz zmarszczył brwi, teraz czując już prawdziwy zamęt w głowie.

– Ale dlaczego on chce?...

– A dlaczego nie? – Sean wzruszył ramionami, wcale nie zdziwiony jeszcze jednym przykładem kapryśnych zachcianek przedstawiciela gatunku rozumnego. – Mówi, że musi zobaczyć Ziemię własnymi oczami.

Tego już było za wiele.

– *No puedo pensar* – mruknął Emilio. Wytrzeszczył oczy i pokręcił głową. – Muszę się przespać.

Czekając na Sandoza w chacie cudzoziemców, Rukuei Kitheri krążyły po niej bez wytchnienia, zadręczając się swojąbezsilnością i płonąąc nadzieją jak ciężarna kobieta, która nie wie, co nosi w swym łonie.

– Wróc z nimi – powiedział mu Izaak, a Rukuei usłyszał w tych słowach echo własnego pragnienia.

Bał się, że Sandoz się nie zgodzi. Wszyscy cudzoziemcy byli temu przeciwni, a Sandoz miał najwięcej powodów, by nienawidzić Jana'atów. Ale teraz wszystko już było inne i Rukuei od dawna zastanawiał się, jak poprosić o to człowieka, którego prawie nie znał i którego ledwo spodziewał się zrozumieć.

Powie cudzoziemcowi: Nauczyłem się, że poezja wymaga pewnej pustki, tak jak dźwięk dzwonka wymaga, by dzwonek był wydrążony. Pustka wczesnego życia mojego ojca stwarzała rezonans dla jego pieśni. Poczulem w swym sercu jego niepokój i czającą się ambicję. Poczulem w swym ciele gwałtowną obfitość, prawie seksualne uniesienie tworzenia.

Powie cudzoziemcowi: Nauczyłem się, że pustka duszy może stać się miejscem, w którym zamieszka Prawda – nawet jeśli nikt jej tam nie zapraszał, nawet jeśli będzie obrzucana obelgami i zwalczana, wypierana przez zwątpienie i niezrozumiana.

Powie cudzoziemcowi: W moim opustoszałym sercu zagościł inny ból, ale wierzę, że jest coś więcej – jakaś większa Prawda, której wszyscy jesteście dziedzicami, i chcę być nią napełniony!

Usłyszał kroki i zobaczył Sandoza wychodzącego zza rogu chaty; za nim szli inni, rozmawiając ze sobą. Obrócił się szybko w miejscu, pozostawiając na ziemi wachlarzowaty ślad, i zagroził wejście do chaty.

– Słuchaj mnie, Sandoz – zaczął, odrzucając głowę do tyłu w geście wyzwania. – Chcę lecieć z tobą na H’earth. Chcę nauczyć się waszej poezji i może nauczyć was naszej...

Urwał, widząc, jak twarz Sandoza blednie.

– Don Emilio potrzebuje odpoczynku – powiedział stanowczo Nico.
– Możesz z nim porozmawiać jutro.

– Czuję się świetnie – rzekł Sandoz, choć nikt o to nie pytał. – Czuję się świetnie – powtórzył.

A potem ugięły się pod nim kolana.

– Czy to normalne? – zapytała Kajpin, nadchodząc z misą pełną pędów.

Cudzoziemcy po prostu stali, gapiąc się bezmyślnie, więc usiadła obok, żeby coś zjeść. Po chwili powiedziała im:

– Bo my zwykle najpierw się kładziemy, a dopiero później zasypiamy.

Co obudziło wszystkich prócz Sandoza.

Omdlenie przeszło niepostrzeżenie w sen, który był bliski śpiączki. Zaczął płacić za tygodnie spędzone w drodze, za miesiące życia w napięciu, za lata oszołomienia i bólu. Spał przez cały dzień i nie obudził się, gdy zapadł wieczór, a kiedy wreszcie otworzył oczy, była gwieździsta noc.

Jakie to dziwne, pomyślał, nigdy przedtem nie śniła mi się muzyka. A potem zrozumiał, że to, co słyszy, nie jest snem i że nigdy czegoś takiego nie słyszał ani na Rakhacie, ani na Ziemi.

Wstał po cichu i znalazł drogę do wyjścia, przekraczając lub obchodząc uśpione ciała księży i Nica. Na chwilę przystanął w progu, a potem ruszył dalej pomiędzy kamiennymi murami jaśniejącymi księżycowym blaskiem i migotaniem Drogi Mlecznej. Zmierzając ku źródłu owego niesamowitego dźwięku, doszedł na sam skraj wioski, gdzie zobaczył postrzępiony namiot.

W środku siedział Izaak, prawie zgięty w pół nad staroświeckim laptopem, pogrążony w ekstazie, przemieniony przez niewysłowioną harmonię, delikatną jak płatki śniegu i precyzyjną jak matematyka, ale o zdumiewającej mocy – wstrząsającą i zarazem wysublimowaną. Jakby „gwiazdy poranne dźwięczały *unisono*”, pomyślał Sandoz, a kiedy muzyka ucichła, pragnął już tylko jednego: żeby usłyszeć ją znowu...

– Nie przerywaj. To jest zasada – powiedział nagle Izaak. W ciszy nocy jego głos był równie twardy, płaski i monotony jak miękka, barwna i melodyjna była ta muzyka. – Runowie doprowadzają mnie do szału.

– Tak – zgodził się Emilio, kiedy Izaak zamilkł. – Mnie też czasami doprowadzają do szału.

Izaaka to nie obchodziło.

– Każdy autystyczny jest eksperymentem – oznajmił niespodziewanie swoim martwym, wrzaskliwym głosem. – Nigdzie nie istnieje ktoś taki jak ja.

Przez chwilę przyglądał się swoim palcom, a potem rzucił krótkie spojrzenie na Sandoza.

Ten, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć, zapytał:

– Jesteś samotny, Izaaku?

– Nie. Jestem, kim jestem. – Odpowiedź była stanowcza i pozbawiona emocji. – Nie mogę być samotny, tak jak nie mogę mieć ogona. – Zaczął bębnić palcami po gładkiej skórze nad brodą. – Wiem, dlaczego ludzie tu przybyli. Z powodu muzyki.

Palce poruszały się coraz wolniej, aż znieruchomiały.

– Tak, to prawda – przyznał Emilio, wpadając w styl Izaaka: jedno trzysekundowe zdanie, milczenie przez trzydzieści sekund, nowe zdanie. Dłuższa pauza oznaczała: twoja kolej. – Przybyliśmy tu z powodu pieśni Hlavina Kitheriego.

– Nie tamte pieśni. – Palce znowu się poruszyły. – Mogę zapamiętać całą sekwencję DNA jako muzykę. Rozumiesz?

Nie, pomyślał Emilio, czując się bardzo głupio.

– A więc jesteś uczonym – spróbował, starając się go zrozumieć.

Izaak sięgnął ręką wyżej i zaczął sobie prostować skręcony kosmyk włosów, a potem znowu nawijać go na palec, tam i z powrotem.

– Muzyka jest tym, co myślę – powiedział w końcu.

– A więc ta muzyka jest jedną z twoich kompozycji? Jest...

– Emilio zwahał się – jest wspaniała, Izaaku.

– Nie skomponowałem jej. Odkryłem. – Izaak odwrócił się i z widocznym trudem patrzył w oczy Emilia przez całą sekundę, zanim przerwał kontakt. – Adenina, cytozyna, guanina, tymina: cztery podstawy. – Pauza. – Każdej podstawie przydzieliłem trzy tony, po jednym na każdy gatunek. Dwanaście tonów.

Zapanowało dłuższe milczenie i Emilio zrozumiał, że teraz jego kolej na jakiś wniosek.

– Więc ta muzyka mówi, jak myślisz o DNA?

Tym razem szybki potok słów.

– To jest DNA ludzi, Jana’atów i Runów. Grane razem. – Izaak zamilkł, zbierając się w sobie. – Wiele z tego to dysonansy.

– Pauza. – Zapamiętałem części, które harmonizują. – Pauza.

– Nie rozumiesz? – zapytał, biorąc milczenie Emilia za tępotę.

– To muzyka Boga. Przybyliście tu, żebym ją odnalazł. – Powiedział to bez zakłopotania, dumy czy zdziwienia. Dla niego było to proste stwierdzenie faktu. – Myślałem, że Bóg to tylko ulubiona bajka Ha’anali. Ale ta muzyka na mnie czekała.

Kosmyk prostował się i związał.

– Trzeba mieć wszystkie trzy sekwencje. – Znowu krótkie spojrzenie. Oczy niebieskie, jak Jimmy’ego. – Nikt inny nie mógł tego znaleźć. Tylko ja. – Głos był stanowczy, nalegający. – Teraz rozumiesz?

A więc Bóg tu był, pomyślał Emilio, oszołomiony, a ja... ja o tym nie wiedziałem.

– Tak – powiedział po chwili. – Myślę, że teraz rozumiem. Dziękuję ci.

Poczuł coś w rodzaju odrętwienia. Nie uniesienia, nie oceanicznej pogody ducha, którą kiedyś znał, dawno temu, całe życie wcześniej. Po prostu odrętwienie. Kiedy odzyskał mowę, zapytał:

– Czy inni mogliby posłuchać tej muzyki, Izaaku?

– Oczywiście. O to chodzi. – Ziewnął i wręczył laptop Emiliowi. – Obchodź się z tym ostrożnie.

Wyszedłszy z namiotu Izaaka, stał przez chwilę wpatrzony w niebo. Pogoda na Rakhacie wciąż się zmieniała i teraz Mleczna Droga szybko oddawała chmurom władzę nad nocą, ale wiedział, że kiedy niebo jest czyste, można spojrzeć w górę i bez wysiłku rozpoznać znajome wzory. Orion, Wielka Niedźwiedzica, Mała Niedźwiedzica, Plejady: arbitralne kształty narzucone przypadkowym punktem świetlnym.

– Gwiazdy wyglądają tak samo! – zawołał wiele lat temu, widząc po raz pierwszy nocne niebo Rakhatu. – Te same konstelacje! Jak to się dzieje?

– To wielka galaktyka w wielkim wszechświecie – odpowiedział mu ojciec Izaaka, śmiejąc się z niewiedzy lingwisty. – Cztery i trzy dziesiąte lat świetlnych to za mało, żeby była jakaś różnica w wyglądzie gwiazd tu i na Ziemi. Musiałbyś polecieć o wiele dalej, żeby zmienić swoją perspektywę.

Nie, Jimmy, pomyślał teraz Emilio Sandoz, patrząc w niebo, nie musiałem.

Jaki ojciec, taki syn, pomyślał później, zrozumiałwszy, że Jimmy Quinn też, jak jego niezwykle dziecko, odkrył niezemską muzykę, która zmieniła czyjąś perspektywę. Był mu za to głęboko wdzięczny.

Emilio zbudził najpierw Johna i wyprowadził go z wioski, do miejsca, gdzie mogli słuchać muzyki zupełnie sami, gdzie mogli porozmawiać na osobności, gdzie Emilio mógł przyglądać się twarzy przyjaciela, kiedy słucał, i dostrzec w niej odzwierciedlenie własnego zdumienia i oszołomienia.

– Mój Boże – szepnął John, kiedy ucichły ostatnie nuty. – Więc to dlatego...

– Może – odpowiedział Emilio. – Nie wiem. Tak. Chyba tak.

Ex corde volo, pomyślał. Pragnę tego z całego serca...

Jeszcze raz posłuchali muzyki, a potem przez jakiś czas wsłuchiwali się w nocne odgłosy Rakhatu, tak podobne do ziemskich: wiatr w zaroślach, poćwierkiwania i chroboty w pobliskich zielskach, odległe pohukiwania, miękki łopot skrzydeł nad głowami.

– Dawno temu, tuż po tym, jak Jimmy Quinn odebrał pierwszy fragment muzyki z Rakhatu – rzekł Emilio – znalazłem pewien wiersz.

*„Ani gwiazdy na niebie w zaciemnionych chmurach.
Chociaż może coś błyska w wyblakłych lazurach
Na podobieństwo światła, gdzieś bardzo daleko,
Coś, co zaledwie słyszę jako nikłe echo
Muzyki sfer niebiańskich pod palcem anioła”.*

– Tak – powiedział cicho John. – Doskonale. Kto to napisał?

– Edward Arlington Robinson – odrzekł Emilio, a potem dodał: – *Credo.*

– *Credo*: wierzę – powtórzył John z uśmiechem. Odchylił się do tyłu, obejmując kolana rękami, czując bezbrzeżny spokój i radość. – Powiedz mi, doktorze Sandoz, czy to tytuł wiersza, czy wyznanie wiary?

Emilio spojrział w dół; posrebrzone włosy przykryły mu oczy, kiedy zaśmiał się i pokręcił głową.

– Boże, dopomóż – powiedział w końcu. – Obawiam się... myślę... że chyba jedno i drugie.

– To dobrze. Cieszę się.

Milczeli przez jakiś czas, sam na sam ze swoimi myślami, ale potem John usiadł prosto, uderzony jakąś myślą.

– Jest taki ustęp w Księdze Wyjścia... Bóg mówi Mojżeszowi: „Żaden człowiek nie może oglądać mojego oblicza i pozostać przy życiu... Ale położę moją rękę na tobie, aż przejdę. A gdy cofnę rękę, ujrzysz Mnie z tyłu, lecz oblicza mojego tobie nie ukazę”. Pamiętasz to?

Emilio pokiwał głową.

– Zawsze myślałem, że to fizyczna metafora, ale... teraz się zastanawiam, czy to nie jest przypowieść o czasie? Może w ten sposób Bóg chciał nam powiedzieć, że nie jesteśmy w stanie poznać Jego zamiarów, ale po czasie... zrozumiemy. Zobaczmy, gdzie On był: zobaczymy jego plecy.

Emilio wpatrywał się w niego z martwą twarzą.

– Bracie mojego serca – powiedział w końcu. – Bez ciebie gdzie bym dzisiaj był?

John uśmiechnął się serdecznie.

– Pijany w trupa w jakimś barze?

– Albo po prostu trup. – Emilio spojrział w bok, mrugając powiekami. Kiedy był już w stanie przemówić, głos miał spokojny.

– Twoja przyjaźń powinna być wystarczającym dowodem, że Bóg istnieje. Dziękuję ci, John. Za wszystko.

John kiwnął głową raz, a potem drugi, jakby coś potwierdzał.

– Pójdę obudzić innych – powiedział.

KODA

Ziemia 2096

Jeszcze raz fale radiowe przeniosły na Ziemię muzykę z Rakhatu i jeszcze raz Emilia Sandoza wyprzedziły wiadomości, które miały zmienić jego życie.

Reakcje na muzykę DNA utrwaliły się na długo przed jego powrotem na Ziemię. Wierzący uznali ją za cudowne potwierdzenie istnienia Boga i świadectwo Bożej Opatrzności. Sceptycy oświadczyli, że to oszustwo, sprytna sztuczka wymyślona przez jezuitów, aby odwrócić uwagę od ich poprzednich niepowodzeń i błędów. Ateiści nie podważali autentyczności muzyki, ale uznali ją za jeszcze jeden przypadek, który nie dowodzi niczego – jak sam wszechświat.

Agnostycy stwierdzili, że to wspaniała muzyka, ale wstrzymali się od oceny, czekając Bóg wie na co.

Był to wzór, który ustalił się na Synaju i pod drzewem Bodhi, na Kalwarii i w Mekce, w świętych jaskiniach, u studni życia i w kamiennych kręgach. Znaki i cuda zawsze spotykają się z wątpliwością i może tak właśnie powinno być. Przy braku pewności wiara jest czymś więcej niż opinią – jest nadzieją.

Sam Emilio przeczytał kiedyś o uczonym z Lesotho, który utrwalił w swojej pamięci każdą ulicę w każdym mieście Afryki. Gdyby taki ktoś podłożył nutę pod każdą nazwę, to czy odnalazłby harmonię w adresach? Może tak, zakładając, że miałyby dostateczną liczbę danych, dość czasu i nic lepszego do roboty. A gdyby tak się stało, zapytywał sam siebie Emilio podczas długiej podróży na Ziemię, to czy ta muzyka stałaby się choć trochę mniej piękna?

Ostatecznie był lingwistą i potrafił przyjąć, że religia i literatura, sztuka i muzyka to tylko efekty uboczne struktury mózgu, który przychodzi na świat gotów wywieść język z bezładnego natłoku dźwięków, sens z chaosu. Nasza zdolność do nadawania znaczeń jest zaprogramowana, by rozwinąć się w taki sam sposób, w jaki rozwijają się skrzydła motyla, kiedy wyjdzie z poczwarki, gotów do lotu. Jesteśmy biologicznie zaprogramowani, by nadawać rzeczom znaczenie. A jeśli tak jest, zapytywał sam siebie, czy to umniejsza ów cud? Właśnie wtedy był już bardzo bliski modlitwy. Czymkolwiek jest prawda, myślał, niech będzie błogosławiona.

Giordano Bruno był prawie w połowie drogi, kiedy Nico zauważył, że don Emilia nie dręczą już nocne koszmary.

Od Ziemi dzieliło go tylko sześć miesięcy czasu subiektywnego. Skupił się na zadaniu, które samo się narzucało: na nauczaniu Rukueiego angielskiego, aby go przygotować na to, co mógł spotkać na Ziemi. Dobrze było troszczyć się o kogoś innego... i wykorzystywać własne doświadczenie dla dobra innej osoby. Zawieszony w czasie, Emilio przestał słuchać transmisji z Rakhatu, przechwytywanych przez Fransa, i ignorował odpowiedzi z Ziemi. Wszystko będzie dobrze, mówił sobie, a wszechświat niech martwi się o siebie; on sam ma tutaj zdolnego i chętnego ucznia. Tak więc kiedy Frans Vanderhelst zadokował w końcu *Bruna* w Orbitalnym Hotelu Shimatsu, gdzieś nad Pacyfikiem, Emilio Sandoz był niezwykle spokojny. Dlatego był zupełnie nieprzygotowany na własną reakcję po przeczytaniu listu, który czekał na niego przez prawie czterdzieści lat.

Napisany ręcznie na wykwintnym papierze czerpanym, by się nie rozpadł podczas jego przewidywanej nieobecności na Ziemi, krótki list zawierał następujące słowa:

„Wybacz mi, Emilio. Nie zniżę się do tłumaczenia łajdaka – i że nie miałem innego wyboru. Działalem po prostu w myśl zasady, że łatwiej jest błagać o przebaczenie, niż prosić o pozwolenie. Ponieważ ufam Bogu, ufam też, że w czasie tej podróży dowiesz się czegoś bardzo cennego. *Pax Christi*.

Vince Giuliani”.

Jezuita w średnim wieku, który wręczył mu ten list, nie znał jego treści, ale znał jego autora i okoliczności, w jakich został napisany, więc mógł podejrzewać, co zawiera.

– Ostatnie szarpnięcie łańcucha, ty przeklęty skurczybyku! – krzyknął Sandoz, potwierdzając hipotezę kapłana. Reszta komentarza była z głębi serca płynącą i podziwu godną mieszanką językową. Kiedy wreszcie skończył, a nie nastąpiło to szybko, znieruchomiał w śluzie powietrznej, z rękami zwieszonymi bezwładnie wzdłuż boków, wyczerpany atakiem złości. – A kim ty jesteś, do jasnej cholery? – zapytał po angielsku. – Patras Yalamber Tamang – odpowiedział ksiądz i ciągnął dalej w nienaganej hiszpańszczyźnie: – Jestem z prowincji nepalskiej, ale do niedawna uczyłem w El Instituto San Pedro Arrupe w Kolumbii. Przez ostatnie pięć lat byłem w zespole łączności z misją na Rakhat, współpracując z rządowymi i międzynarodowymi agencjami, a także z korporacjami sponsorującymi, przy koordynacji powitania pana Kitheriego. No i, rzecz jasna, Towarzystwo oferuje panu każdą pomoc, jakiej zechce pan od nas zażądać.

Wciąż rozdrażniony, Sandoz wysłuchał jednak do końca, jakie kroki podjęto, aby Rukuei poczuł się dobrze na Ziemi i aby ułatwić powrót Sandozowi i załodze *Giordana Bruna*.

Obsługa hotelowa składa się ze starannie wybranych, świetnie wyszkolonych wolontariuszy, którzy przestudiowali historię misji jezuickich i którzy potrafią się porozumieć *K'sanem*. Czekają już na nich zespół medyczny; podróżnicy będą odizolowani przez parę miesięcy, ale cały hotel jest wyłącznie do ich dyspozycji. To bardzo dobry i bardzo drogi hotel. W samym środku, w pobliżu osi mikrogravitacyjnej, wydzielono odpowiednio dostosowany apartament dla Fransa Vanderhelsta, w którym będzie mógł oddychać swobodnie. Czekają na niego endokrynolodzy; mają nadzieję, że uda im się naprawić genetyczne uszkodzenie, które naruszyło równowagę jego metabolizmu. Cargo Carla Giulianiego zostanie, oczywiście, zatrzymane, oczekując na decyzje celne. Sam Giuliani już został zatrzymany do czasu rozstrzygnięcia wielu złożonych problemów prawnych; jeden z nich zależy od tego, czy Sandoz oskarży go o uprowadzenie. Siostra *signora* Giulianiego została powiadomiona o jego powrocie, ale najwidoczniej nie spieszy się z zapewnieniem mu opieki prawnej.

Pochodzące z rozmaitych okresów nowiny z Rakhatu były różne. Athaansi Laaks został pokonany, ale jego frakcja nadal nie zgadza się na wariant z rezerwatami. Danny Żelazny Koń wciąż zabiega o negocjacje. W 2084 roku przez dolinę N’Jarr przeszła jakaś zaraza, ale w owym czasie Jana’atowie odżywiali się już o wiele lepiej i ofiar nie było tak dużo, jak się wszyscy obawiali. John Candotti donosił o śmierci Sofii. Shetri Laaks czuje się dobrze; poślubił drugą żonę. Ma już dwóch kolejnych synów. Ten pierwszy, którego uratował Emilio, jest już młodym mężczyzną i sam ma dziecko. Druga żona Shetriego znowu jest w ciąży; mają nadzieję, że to będzie córka. Według ostatniego spisu dokonanego przez Seana populacja Jana’atów liczy blisko dwa tysiące sześćset osobników. Joseba dodał własną analizę, wykazującą, że jeśli wskaźniki narodzin i zgonów utrzymają się na takim poziomie, a inne warunki też się nie zmieniają, populacja ma wszelkie szanse na stabilizację. W roku spisu do doliny N’Jarr przybyło około czterdziestu Runów. Nie zrównoważyło to w pełni zmarłych już Runów Va N’Jarr, ale zaznaczyła się tendencja wznosząca w porównaniu z poprzednimi pięcioma latami.

– A Suukmel wciąż żyje? – zapytał Emilio, wiedząc, że będzie to pierwsze pytanie Rukueiego.

– Tak – odrzekł Patras. – A przynajmniej żyła cztery lata temu.

– A muzyka? Na Rakhacie?

– Trwają dyskusje na temat dołączenia do niej słów. Sądzę, że to było nieuniknione.

– Czy ktoś pytał Izaaka, co o tym myśli?

– Tak. Odpowiedział: „To problem Rukueiego”. Izaak studiuje teraz zasoby biblioteki zawierające dane o południowoamerykańskich nicieniach – powiedział sucho Patras. – Nikt nie ma pojęcia dlaczego.

Sandoz zadał mu jeszcze wiele pytań, otrzymał wyczerpujące odpowiedzi i uznał, że wszystko jest pod należytą kontrolą.

– Dziękuję – powiedział Patras, kiedy Sandoz wyraził mu swoje uznanie. Prawdę mówiąc, doprowadzenie tych wszystkich raportów i wiadomości do porządku kosztowało go wiele nie przespanych nocy. – A teraz pokażę pokoje przygotowane dla pana Kitheriego. – Poprowadził go pierścieniowatym korytarzem w dół. – Kiedy pan trochę odpocznie, matka generał pragnie z panem pomówić...

– Słucham? – zapytał Sandoz, zatrzymując się raptownie. – Matka generał? – Parsknął śmiechem. – Czy to dowcip?

Patras, już parę kroków niżej, odwrócił się i uniósł pytająco brwi. Sandoz wytrzeszczył na niego oczy, całkowicie zbity z tropu.

– No cóż, prawdę mówiąc, to rzeczywiście żart – powiedział Patras, uradowany, kiedy Sandoz wybuchnął śmiechem.

– To nieładnie robić sobie żarty ze starych ludzi – złażał go Emilio, udając powagę, kiedy ruszyli dalej. – Jak długo ojciec czekał, żeby wypowiedzieć to zdanie?

– Piętnaście lat. Zrobiłem doktorat na Uniwersytecie Ganesha Mana Singha... z historii misji, ze szczególnym uwzględnieniem Rakhatu.

Przez następne kilka godzin skupili się na procesie wprowadzenia Rukueiego w nowe otoczenie i zapoznania go z nowymi towarzyszami. W natłoku bieżących obowiązków Sandoz odłożył na bok sprawy osobiste, ale pod koniec tego pierwszego długiego dnia powiedział do Patrasy Yalambere Tamanga:

– Była pewna kobieta... Zabrano się do przeszukiwania baz danych. Najwidoczniej wyszła powtórnie za mąż, zmieniła nazwisko i unikała rozgłosu, wiedząc życie, na jakie pozwala bogactwo i do jakiego zmusza poczucie winy. Odnalezienie aktualnych danych o niej okazało się niemożliwe.

– Bardzo mi przykro – powiedział mu Patras kilka tygodni później. – Ta kobieta zmarła w ubiegłym roku.

Ariana Fiore lubiła Święto Zmarłych. Lubiła ten cmentarz, uporządkowany i prosty, jego zwirowane ścieżki między rzędami ścian kryjących nisze pogrzebowe – wyspa spokoju i piękna pośród zgiełku Neapolu. Same krypty, po sześć jedna nad drugą, były zawsze pierwszego listopada wyczyszczone, złote w jesiennym słońcu lub połyskujące w srebrzystym deszczu.

Ariana była archeologiem przyzwyczajonym do obecności zmarłych i delektowała się tym porządkiem, wdychając z przyjemnością woń chryzantem zmieszaną z piżmem opadłych liści.

Niektóre z nisz były bardzo proste: polerowana mosiężna plakietka z nazwiskiem i datami, z małym światełkiem, które płonęło przez jakiś czas po pogrzebie. Dumni i bogaci często dodawali mały ekran, który można było aktywizować dotknięciem. Ariana miała wielką ochotę chodzić od krypty do krypty, poznając ich mieszkańców i wysłuchując opowieści o ich życiu, ale oparła się impulsowi.

Wokół niej rozlegały się ciche głosy i chrzęst kroków po zwirowanych ścieżkach. *Poveretto*, słyszała raz po raz, kiedy odwiedzający wzdychali i wkładali kwiaty do małych kamiennych waz. W ciszy rozpamiętywano dawne sentymenty, urazy, zobowiązania, a potem zapominano o nich na jeszcze jeden rok. Dorosli plotkowali, dzieci były trochę wystraszone. Była w tym atmosfera jakiegoś okazjonalnego formalizmu, która fascynowała Arianę; cmentarz nie był sceną aktywnego żalu.

Chyba dlatego zwróciła uwagę na mężczyznę siedzącego na ławeczce przed kryptą Giny. Na dłoniach, złożonych na podołku, miał rękawiczki. Samotny pośród tłumu odwiedzających groby w ten zimny i słoneczny dzień, mężczyzna płakał: łzy spływały mu po nieruchomej twarzy.

Idąc na cmentarz, nie miała zamiaru narzucać się temu obcemu człowiekowi, nie wiedziała nawet, czy go dziś tutaj spotka. Pierwsze miesiące po kwarantannie były prawdziwym cyrklem: wpadł w wir publicznego zainteresowania i prywatnych przyjęć. Ariana czekała długo, ale była cierpliwa z natury. I oto był.

– *Padre?* – zagadnęła cichym, ale pewnym głosem.

Samotny w swoim smutku, ledwo na nią spojrział.

– Nie jestem księdzem, *madame* – powiedział na tyle sucho, na ile zdołał, płacząc – i nie jestem niczym ojcem.

– A więc proszę spojrzeć jeszcze raz.

Zrobił to i zobaczył ciemnowłosą kobietę z wózkiem dziecinnym; jej synek był jeszcze taki mały, że spał z podkurczonymi nogami jak w łonie matki. Emilio w milczeniu przyglądał się jej twarzy – amalgamat Starego i Nowego Świata, żywego i umarłego. Roześmiał się, zaszlochał i ponownie roześmiał, zdumiony.

– Masz uśmiech swojej matki – powiedział w końcu, a ona uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – I mój nos, niestety. Przykro mi z tego powodu.

– Lubię swój nos! – krzyknęła z oburzeniem. – I mam też twoje oczy. Mama zawsze mi mówiła, kiedy się złościłam: Masz oczy swojego ojca!

Znowu się roześmiał, nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć.

– Często się złościłaś?

– Nie. Chyba nie. Ale miewam złe nastroje. – Wyprostowała się i oznajmiła: – Jestem Ariana Fiore. Mam przyjemność z panem Emiliem Sandozem, prawda?

Teraz śmiał się już szczerze, zapomniawszy o łzach.

– Nie mogę uwierzyć! – powiedział, kręcąc głową. – Nie mogę w to uwierzyć! – Rozejrzał się, kompletnie zbity z tropu, a potem przesunął się na ławce i powiedział: – Usiądź, proszę.

Często tu przychodzisz? Wiesz co? To brzmi tak, jakbym cię podrywał w jakimś barze! Czy nadal są bary?

Rozmawiali i rozmawiali, a popołudniowe słońce złościło im twarze. Ariana opowiedziała mu pokrótce, co wydarzyło się podczas jego nieobecności.

– Celestina jest teraz głównym scenografem w Teatro San Carlo. Miała już czterech mężów...

– Czterech? O mój Boże! – zawołał, wytrzeszczając oczy. – Nigdy jej nie przyszło do głowy, że nie trzeba od razu kupować, można wypożyczyć?

– Dokładnie to samo jej powiedziałam! – krzyknęła Ariana, czując się tak, jakby znała go od urodzenia. – Mówiąc szczerze, to myślę, że...

– Rzuca ich, zanim oni porzucają – dokończył za nią.

Skrzywiła się, ale po chwili wyznała:

– Szczerze mówiąc... ona po prostu uwielbia odgrywać główną rolę! Założę się, że wciąż wychodzi za mąż, bo lubi śluby. Powinieneś zobaczyć te przyjęcia weselne! I chyba wkrótce zobaczysz, bo jest teraz na tournée, a to zwykle oznacza złe wiadomości dla jej obecnego męża.

Kiedy ja wychodziłam za Giampola, na ślubie było tylko pięcioro przyjaciół i urzędnik magistratu... ale za to urządziliśmy sobie ekstrapryjęcie na dziesiątą rocznicę ślubu w zeszłym roku!

Obudzone głośną rozmową i śmiechem, niemowlę przeciągnęło się i zakwiliło. Oboje umilkli i czekali, co będzie dalej. Kiedy wydawało się, że znowu zasną, Ariana mówiła dalej, tym razem bardzo cicho.

– Zaszłam w końcu w ciążę tuż po śmierci mamy. Wiesz, co mówimy w Nowy Rok?

– *Buonfine, buon principio*. Dobry koniec, dobry początek.

– Tak. Chciałam mieć dziewczynkę. Myślałam sobie, że to by było tak, jakby mama wróciła.

– Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, a potem wyciągnęła rękę, by dotknąć pulchnego, aksamitnego policzka dziecka. – Ma na imię Tommaso.

– Jak umarła twoja matka? – zapytał w końcu.

– No cóż, wiesz, że była pielęgniarką. Kiedy zaczęłam chodzić do szkoły, wróciła do pracy. Zabezpieczyłeś nas dobrze, ale chciała robić coś pożytecznego. – Emilio pokiwał głową, twarz miał martwą. – No więc wybuchła epidemia... nadal nie udało się wyłonić czynnika, który ją powoduje... wciąż szaleje po świecie. Z jakiegoś powodu najczęściej atakuje kobiety w starszym wieku. Tu, w Neapolu, nazywają ją „Nonna”, bo umierają na nią babcie. Ostatnie świadome słowa mamy brzmiały: „Bóg będzie musiał wytłumaczyć się z wielu spraw”.

Emilio otarł oczy rękawem płaszcza i roześmiał się.

– Cała Gina.

Przez długi czas milczeli, słuchając śpiewu ptaków i rozmów wokół nich.

– Oczywiście – powiedziała Ariana, jakby nie było żadnej przerwy w rozmowie – Bóg nigdy niczego nie wyjaśnia. Kiedy życie złamie ci serce, masz po prostu zebrać kawałki do kupy i zacząć od początku.

Zerknęła na śpiącego Tommasa. Szukając pociechy w jego ciepłym ciałku, wychyliła się i ostrożnie wyjęła go z wózka, jedrią rękę podkładając pod brzoskwiniową główkę, drugą pod małe pośladki. Po jakimś czasie uśmiechnęła się do ojca i zapytała:

– Chciałbyś potrzymać swojego wnuka?

Dzieciaki i niemowlęta, pomyślał. Nie rób mi tego znowu.

Ale nie można się było opierać. Popatrzył na swoją córkę, o której nigdy nie śnił i na jej maleńkie dziecko – marszczące buzię we śnie bez snów – i znalazł miejsce w zatłoczonym cmentarzu swojego serca.

– Tak – powiedział w końcu, zdumiony, zrezygnowany i dziwnie zadowolony. – Tak. Bardzo bym chciał.

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym, podobnie jak za pierwszym razem, podać niektóre z moich źródeł. Na fragment Księgi Wyjścia 33,17-23, który natchnął Johna Candottiego, zwróciłam uwagę, czytając *Sparks Beneath the Surface* Lawrence'a Kushnera, zacytowany w wersji z Chatam Sofer. Genetyk Susumu Ohno dokonała konwersji kodu genetycznego myszy na nuty, a rezultat podobno przypomina Bacha; harmonia ukryta w sekwencjach DNA czeka jednak wciąż na swojego odkrywcę. Niezwykłe autobiografie Tempie Grandin i Donny Williams umożliwiły mi wgląd w świat autyzmu, podobnie jak porażająco szczerą i piękną książką Clary Claiborne Park *The Siege*. Wiersz z powstania w getcie warszawskim, którego refren mówi o „mięsie zbuntowanym”, to *Counterattack* Władysława Szlengela, a natrafiłam nań w książce Adiny Błady Szwajger *Remember Nothing More*. Sean Fein i ja uczyliśmy się chemii z książek Bettye Kapłan i z *Water, Ice and Stone* Billa Greena, którego proza jest tak przejrzysta i piękna, jak badane przez niego antarktyczne jeziora. Kiedy pisałam, często przychodziły mi do głowy dwie pieśni: *Testimony* Robbiego Robertsona i *Beim Schlafengehn* Richarda Straussa.

Maura Kirby ma swój udział w poczęciu tej książki. Kate Sweeney i Jennifer Tucker pomagały mi w okresie pisarskiej ciąży i trwały przy mnie w czasie długiego porodu; od obu nauczyłam się wiele o okrucieństwie artysty. Mary Dewing nie tylko nauczyła mnie pisać, ale i nauczyła mnie (i Nica) cenić operę. David Kennedy, Aitor Esteban i Roberto Marino pomogli mi w poznaniu specyfiki języka angielskiego, którym się mówi w Belfaście, euskary i neapolitańskiej odmiany włoskiego. Moja zwykła reakcja na krytykę polega na ukryciu się w skorupie i ssaniu kciuka, a jednak spotkałam ludzi, od których przyjąłem parę słów prawdy o wcześniejszych wersjach tej książki i o sposobach dokonania w nich poprawek i ulepszeń. Są to: o. Ray Bucko TJ, Miriam Goderich, Tomasz i Maria Rybakowie, Vivian Singer, o. Marty Connell TJ, Ellie D'Addio, s. Richard Doria, Louise Dewing Doria, Rod Tulonen, Ken Foster, Kathie Colonnese, Paula Sanch, Judith Roth, Leslie Turek, Delia Sherman i o. Kevin Ballard TJ.

Jednym z wielkich i trwałych dobrodziejstw, jakie na mnie spadły po napisaniu *Wróbla*, jest przyjaźń wielu członków Towarzystwa Jezusowego; mam nadzieję, że wybaczą mi porwanie, o którym piszę w tej książce. Vince Giuliani i ja dobrze wiedzieliśmy, że to straszne święństwo, ale po prostu nie potrafiliśmy wymyślić innego sposobu ściągnięcia Emilia Sandoza z powrotem na Rakhat!

Każdy autor może tylko marzyć o tak pomysłowym i skutecznym agencie, jak Jane Dystel, i bardzo się cieszę, że jej współpracownicy Miriam Goderich w końcu udało się przekonać ją do zainteresowania się *Wróbleni* Leona Nevler i David Rosenthal mają swój udział w pierwszym drgnięciu mojej wiary, z którego narodziła się potrzeba napisania obu moich powieści, i będę im za to zawsze wdzięczna. Cała załoga wydawnictwa Villard i Balantine była naprawdę cudowna, ale chcę szczególnie podziękować Brianowi McLendonowi, którego talent publicystyczny dorównuje jego poczuciu humoru i zdrowemu rozsądkowi, Marysue Rucci, która dokonała ostatecznej redakcji książki, a także Denni sowi Ambrose'owi za jego pogodną cierpliwość przy wprowadzaniu przeze mnie zmian w ostatnich minutach przed drukiem. Dziękuję też ludziom z działu sprzedaży Random House i licznym księgarzom, którzy sprzedawali *Wróbla*, a także wielu czytelnikom, którzy powiedzieli mi, że dobrze zrobiłam, porzucając antropologię i biorąc się za pisanie powieści. Dobrze wiem, ile wam wszystkim zawdzięczam, i mam nadzieję, że *Dzieci Boga* spełnią wasze oczekiwania.

Na koniec pragnę wyrazić mą miłość i wdzięczność Donowi i Danielowi, mojemu najlepszemu mężowi i mojemu najlepszemu synowi, których pomoc, miłość, cierpliwość i śmiech karmiły moją duszę. Dziękuję wam, chłopcy.*M.D.R.*